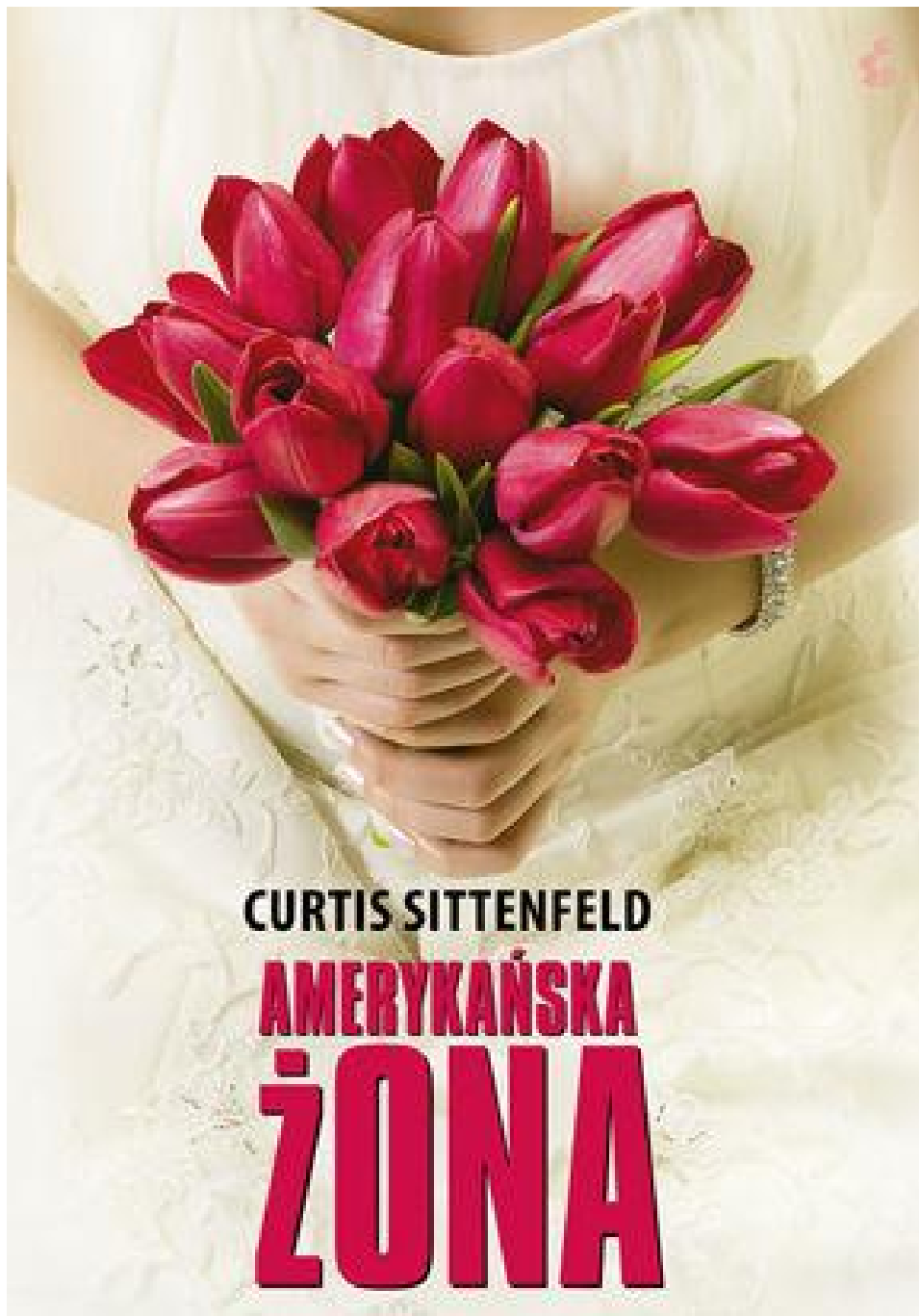




CURTIS SITTFELD
AMERYKAŃSKA
ŻONA

Z języka angielskiego przełożyła Katarzyna Petecka— Jurek



Wiersze

Dla Matta Carlsona, mojego amerykańskiego męża

Amerykańska żona jest fikcją literacką, luźno zainspirowaną życiem amerykańskiej pierwszej damy. Jej mąż, jego rodzice i niektórzy prominentni członkowie jego administracji są rozpoznawalni. Wszystkie pozostałe postaci to wytwory wyobraźni autorki, podobnie jak dotyczące ich wydarzenia.

Amerykańska żona

PROLOG

Lipiec 2007, Biały Dom

Czy popełniłam straszliwy błąd?

Obok mnie w łóżku śpi mój mąż, oddech ma głęboki i równy. Na początku naszego małżeństwa, w zasadzie w jego pierwszych tygodniach, kiedy chrapał, wypowiadałam na głos jego imię, a gdy odpowiadał przepraszającym tonem, prosiłam, aby obrócił się na bok. Jednak bardzo szybko wyznał, że wolałby, gdybym po prostu go szturchnęła; niepotrzebne były żadne rozmowy, gdyż nie chciał, żeby go budzono.

— Po prostu mnie obróć — powiedział i się uśmiechnął. — Szturchnij mnie porządnie.

Wydawało mi się to niegrzeczne, ale nauczyłam się to robić.

Dzisiaj jednak mój mąż nie chrapie, nie ponosi więc winy za moją bezsenność. Podobnie jak nie jest jej winna temperatura w pokoju (18 stopni w nocy, 21 za dnia, kiedy żadne z nas i tak prawie nigdy w nim nie przebywa). Emitująca biały szum maszyna pomrukuje dyskretnie przycupnięta na półce, a dzięki szczelnie zasuniętym firankom i zasłonom spowija nas głęboka ciemność. Obecnie bez przerwy w naszym życiu obowiązują procedury bezpieczeństwa. Stały się już jednak rutyną i nieraz myślałam sobie, że jesteśmy o wiele bardziej bezpieczni od przeciętnej rodziny z klasy średniej żyjącej na przedmieściach; oni mają system alarmowy, być może psa rasy Jack Russell terier, punktowy reflektor na najbardziej wysuniętym narożniku domu, a nas ochraniają snajperzy i helikoptery, wyrzutnie rakiet i strzelcy wyborowi na dachach. Jesteśmy narażeni na większe ryzyko, ale też poziom ochrony jest nieporównywalny — czasem wręcz absurdalny. Powtarzam sobie, że chodzi o pozycję, jaką zajmujemy, jesteśmy po prostu symbolami; kim jesteśmy jako ludzie, w zasadzie nie ma znaczenia. Gdyby było inaczej, świadomość, ile z naszego powodu wydaje się pieniędzy i ile wkłada wysiłku, mocno by mnie krępowała. Nieustannie sobie tłumaczę, że gdyby nie my, ktoś inny musiałby grać tę samą rolę.

Od kilku nocy źle sypiam. Rzecz nie w tym, że mam problem z zaśnięciem. Zmęczenie pojawia się jak zwykle — gdy minie dziesiąta wieczorem, z każdą upływającą półgodziną coraz trudniej mi się skoncentrować, a gdy wsuwam się pod kołdrę, zwykle kilka minut po jedenastej, czasem mój mąż jest jeszcze w łazience, kiedy indziej przegląda ostatnie dokumenty, mówiąc do mnie z drugiego końca pokoju, a ja odpływam. W końcu kładzie się do łóżka, obejmuje mnie, ja wynurzam się z morza snu, mówimy sobie nawzajem: „Kocham cię”, i w owej spowitej mgłą chwili wierzę, że wciąż posiadamy coś znaczącego; że prawdziwe są nasze ciała w ciemnościach i że cała reszta — wystawienie na widok publiczny, zobowiązania i kontrowersje — jest zmyśleniem i udawaniem. Gdy jednak koło drugiej nad ranem się budzę, ogarnia mnie lęk, że jest dokładnie na odwrót.

Nie wiem, czy to lepiej, czy gorzej, że budzę się o drugiej zamiast o czwartej. Z jednej strony cieszy mnie świadomość, że w końcu uda mi się znowu usnąć, a z drugiej noc wydaje się taka długa. Zazwyczaj śnię o przeszłości: o ludziach, których niegdyś znałam, a którzy już odeszli, lub o ludziach, z którymi moje stosunki zmieniły się nie do poznania. Nawet w najśmielszych wyobrażeniach nie sądziłam, że doświadczę tak wiele.

Czy dzisiaj zagroziłam prezydenturze mojego męża? Czy zrobiłam coś, co powinnam była uczynić wiele lat temu? A może i jedno, i drugie. ..Iw tym właśnie problem — że wiodę życie, które samo sobie przeczy.

CZEŚĆ I

Amity Lane 1272

Amity Lane 1272

Latem 1954 roku, nim poszłam do trzeciej klasy, moja babcia wzięła Andrew za dziewczynkę. Razem z babcią poszliśmy do sklepu spożywczego — rankiem tego dnia babcia czytała powieść, w której była mowa o jednym ze składników tak zwanej sałatki milionerów, i ulegając nagłemu pragnieniu jego posiadania, zabrała mnie ze sobą do miasta — i tam właśnie, w dziale produktów konserwowych, natknęliśmy się na Andrew, który towarzyszył swojej mamie. Jako że dzieliła je różnica pokoleń, mama Andrew i moja babcia nie przyjaźniły się, ale znały się, jak znają się ludzie w Riley, w stanie Wisconsin. Mama Andrew podszła do nas pierwsza.

— Pani Lindgren, jestem Florence Imhof — odezwała się, kładąc rękę na piersi. — Jak się pani ma?

Od pierwszego dnia w szkole Andrew i ja chodziliśmy do tej samej klasy, ale tylko mierzyliśmy się wzrokiem bez słowa. Mieliśmy po osiem lat. Podczas gdy panie gawędziły, Andrew wziął puszkę groszku i płaską dłońią przytrzymał ją pod brodą, a ja zastanawiałam się, czy się popisuje.

W tym momencie babcia szturchnęła mnie lekko.

— Alice, przywitaj się z panią Imhof.

Tak jak mnie nauczono, wyciągnęłam rękę.

— Ależ ta pani córeczka jest urocza — ciągnęła babcia, wskazując na Andrew. — Niestety, nie wiem, jak ma na imię.

Zapadła cisza, podczas której pani Imhof bez wątpienia zastanawiała się, jak wyprowadzić z błędu moją babcię. Wreszcie rzekła, dotykając ramienia syna:

— To jest Andrew. On i Alice chodzą do tej samej klasy w szkole.

Babcia zmrużyła oczy.

— Andrew, powiada pani? — Nawet przekrzywiła głowę, nastawiając ucha, jakby miała kłopoty ze słuchem, chociaż dobrze wiedziałam, że tak nie jest. Wyglądało na to, że celowo odrzuca możliwość przeprosin podsunietą jej przez panią Imhof. Ja chciałam klepnąć ją w ramię, pociągnąć, tak żeby jej twarz znalazła się obok mojej, i powiedzieć: „Babciu, to jest chłopie c!”.

Nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, że Andrew wygląda jak dziewczynka — w zasadzie w tamtym okresie życia nie bardzo zwracałam na niego uwagę — było jednak prawdą, że niespotykane długie rzęsy okalały jego brązowe oczy, a jasnobrązowe włosy nieco mu urosły przez lato. Jednak włosy miał długie tylko jak na ówczesne czasy i jak na chłopca — i tak były znacznie krótsze od moich — a jego drelichowe spodnie i koszula w biało—czerwo—ną krawę nie miały w sobie nic dziewczęcego.

— Andrew to młodszy z naszych dwóch synów — powiedziała pani Imhof, a w jej głosie pojawiła się zadzierzystość, pierwsza oznaka irytacji. — Jego starszy brat to Pete.

— Doprawdy? — Moja babcia zdawała się w pełni świadoma sytuacji, to jednak nie przekładało się na skruchę. Nachyliła się i skinęła na Andrew, który wciąż trzymał puszkę z groszkiem.

— Miło mi cię poznać — powiedziała. — Dopilnuj, żeby moja wnuczka zachowywała się w szkole, jak należy. Gdyby było inaczej, możesz mi o tym powiedzieć.

Andrew przez cały ten czas nie odezwał się ani słowem — nie wiadomo, czy w ogóle zwracał uwagę na rozmowę i zdawał sobie sprawę, że kwestionowana jest jego płeć — teraz jednak uśmiechnął się: nie rozchylając ust, ale szeroko, od ucha do ucha, jakby błędnie dawał do zrozumienia, że jestem jakąś rozrabiarą, a on w rzeczy samej będzie miał na mnie oko. Babcia, która przez całe swoje życie była wielką admiratorką rozrabiania, odwzajemniła uśmiech niczym konspirator. Pożegnawszy się z panią Imhof (nasze poszukiwania szczególnego składnika, ku rozczarowaniu, choć nie zdziwieniu mojej babci, okazały się nieudane), ruszyliśmy w przeciwną stronę. Wzięłam babcię za rękę.

— Babciu — szepnęłam, mając nadzieję, że nagannym tonem.

— Nie sądzisz, że to dziecko wygląda jak dziewczynka? — odparła babcia bynajmniej nie szeptem. — Jest naprawdę prześlizgnięty!

— Ciii!

— Cóż, to nie jego wina, nie chce mi się jednak wierzyć, że ja pierwsza pomyliłam się w ten sposób. Ma rzęsy długie na dwa i pół centymetra.

Jakby szukając potwierdzenia, obejrzałyśmy się obydwie. Od Imhofów dzieliło nas już jakieś dziesięć metrów, a pani Imhof była odwrócona tyłem do nas, schylając się ku półce. Andrew jednak stał twarzą do babci i do mnie. Wciąż uśmiechał się lekko, a gdy nasze spojrzenia się spotkały, dwukrotnie uniósł brwi.

— On z tobą flirtuje! — wykrzyknęła babcia.

— Co to znaczy „flirtuje”?

Roześmiała się.

— Tak robi ktoś, komu się podobasz i kto chce zwrócić twoją uwagę.

Podobałam się Andrew Imhofowi? Skoro twierdziła tak osoba dorosła

— i to nie pierwsza lepsza, lecz moja przebiegła babcia — musiała to być prawda. Lecz ani mnie to nie poruszyło, ani nie ucieszyło. Przede wszystkim zwyczajnie nie spodziewałam się tego. Po zastanowieniu się uznałam sprawę za niebyłą. Babcia znała się na wielu rzeczach, ale na pewno nie na życiu towarzyskim ośmiolatków. W końcu nawet nie rozpoznała w Andrew chłopca.

W domu, w którym dorastałam, było nas czworo: moja babcia, moi rodzice i ja. Ze strony ojca byłam trzecim pokoleniem jedynaków, co w owych czasach stanowiło rzadkość. Choć bardzo chciałam mieć rodzeństwo, już jako małe dziecko nauczyłam się, aby nie poruszać tego tematu — matka dwukrotnie poroniła, zanim poszłam do szkoły, a tylko o tych ciężach wiedziałam. To drugie poronienie nastąpiło w piątym miesiącu. Poprzez utracone cięższe moi rodzice pogrążyli się w cichym smutku, ale wydawało się, że jako rodzina żyjemy w równowadze. Podczas kolacji siedzieliśmy naprzeciwko siebie, każde po jednej stronie kwadratowego stołu w jadalni; zmierzając chodnikiem do kościoła, mogliśmy iść parami; latem mogliśmy się dzielić opakowaniem lodowych batonów Yummi—Freeze, mogliśmy też grać w karty, na przykład w brydża — nauczyli mnie tego, kiedy miałam dziesięć lat, i często w ten sposób spędzaliśmy czas w piątkowe i sobotnie wieczory.

Moja babcia była skłonna do kłótni, ale oboje rodzice zachowywali się wobec siebie niezmiernie uprzejmie i z ogromnym szacunkiem, a ja przez lata wierzyłam, że tak zachowują się normalne rodziny i wszelkie inne stosunki po—

strzegałam jako odchylenia. Od najmłodszych lat moją najlepszą przyjaciółką była Dena Janaszewski mieszkająca po drugiej stronie ulicy. Nieustannie mnie szokowało jej zachowanie, a tak naprawdę wszystkich Janaszewskich, ordynarne i głośne. Wrzeszczeli do siebie poprzez piętra i przez okna, wyjadali sobie na-

wzajem z talerzy, a Dena i jej dwie młodsze siostry nieustannie szarpały się za warkocze i szturchały w pośladki, bez pukania wchodzili sobie do łazienki. Kiedy raz ich ojciec użył w mojej obecności słowa „cholerne” — wszedł do kuchni i odezwał się dokładnie w te słowa: „Kto wziął moje cholerne nożyce do żywopłotu?” — najbardziej wstrząsnęło mną nie to, lecz fakt, że ani Dena, ani jej matka i siostry w ogóle nie zwróciły na to uwagi.

W mojej rodzinie życie płynęło spokojnie. Niekiedy rodzice nie zgadzali się w czymś — kilka razy w roku ojciec ściągał usta w prostą, cienką linię lub kąciki oczu opadały mu w wyrazie bolesnego zawodu — lecz zdarzało się to nieczęsto, a jeśli już, nie wymagało wyrażania swej opinii na głos. Sam roz— dźwięk, bez względu na to, które z moich rodziców było jego sprawcą, a które celem, był dla nich wystarczająco bolesny.

Mój ojciec powtarzał dwa motta, pierwsze brzmiało: „Nazwiska i twarze głupców często pojawiają się publicznie”, a drugie: „Cokolwiek robisz, bądź dobry”. Nie znam źródła pierwszego, lecz autorem drugiego był Abraham Lincoln. Ojciec pracował jako dyrektor filii banku, lecz jego wielką pasją, można powiedzieć, że hobby — które w dzisiejszych czasach jest rzadkością u ludzi, chyba że zaliczymy do niego przeszukiwanie Internetu lub rozmawianie przez telefony komórkowe — były mosty. Szczególnie podziwiał majestat Golden Gate i raz mi powiedział, że podczas jego budowy wykonawca, narażając się na wielkie koszty, zarządził, aby rozciągnąć pod nim ogromną siatkę bezpieczeństwa.

— To się nazywa odpowiedzialnością pracodawcy — stwierdził mój ojciec.
— Nie martwił się wyłącznie o zyski.

Ojciec dokładnie śledził budowę mostu Mackinac w Michigan — nazywał go Potężnym Maćkiem; a później Verrazano— Narrows, który po ukończeniu w 1964 roku miał połączyć Brooklyn i Staten Island i być najdłuższym podwieszanym mostem na świecie.

Moi rodzice dorastali w Milwaukee. Poznali się w 1943 roku, kiedy matka miała osiemnaście lat i pracowała w fabryce rękawiczek, a ojciec lat dwadzieścia i pracował w filii banku Wisconsin State Bank & Trust. Wdali się w pogawędkę w kawiarni i zaręczyli, kiedy ojciec zaciągnął się do wojska. Po zakończeniu wojny pobrali się i wraz z matką mojego ojca przeprowadzili czterdzieści pięć mil na zachód do Riley, by ojciec mógł otworzyć tam nową filię banku. Matka nigdy więcej nie podjęła pracy. Świetnie radziła sobie w roli gospodyni domowej — nigdy nie wydawała się przemęczona ani nie zrzędziła, nie wypominała nam, że tak dużo dla nas robi — szyła wiele ubrań dla siebie i dla mnie, dom utrzymywała w nienagannym porządku i zawsze przygotowywała nasze posiłki. Jednak jedzenie najczęściej bywało znośne, rzadko smakowite. Mama preferowała smażone bez tłuszczu steki lub zapiekanki z makaronu i sera. Uczyła mnie prze-

pisów w spokojny, bezpośredni sposób, nigdy nie wyjaśniając, czemu muszę je znać. Bo i czemu n i e miałabym ich znać? Była nieskończenie cierpliwa i często zdobywała się na drobne, urocze gesty: bez zbędnych słów zostawiała mi na poduszce śliczne wstążki lub miętowe cukierki albo stawiała mi na biurku pojedynczy kwiatek w małym wazoniku.

Moja matka urodziła się jako przedostatnia z ósemki rodzeństwa — widywała się z nimi raczej rzadko. Miała pięciu braci i dwie siostry, z czego tylko jedna siostra, ciotka Marie, który wyszła za mąż za mechanika, odwiedziła Riley. Gdy rodzice matki jeszcze żyli, jeździliśmy do nich do Milwaukee, jednak kiedy miałam sześć lat, oboje zmarli w odstępie dziesięciu dni i odtąd nie widywaliśmy wujków, ciotek i kuzynów całymi latami. Zawsze miałam wrażenie, że ich domy były małe i zatłoczone, przepełnione piskiem dzieci i zapachem kwaśnego mleka, mężczyźni byli oschli, a kobiety udręczone; a nikt, w sposób pozbawiony okrucieństwa, zbytnio nie interesował się nami. W miarę jak dorastałam, odwiedzaliśmy ich coraz rzadziej i rzadziej, a matka mojego ojca nigdy nam nie towarzyszyła, chociaż prosiła, żebyśmy przywozili jej ciasto schnecken z jej ulubionej niemieckiej piekarni. Jako dziecko odczuwałam ulgę, kiedy w końcu odjeżdżaliśmy sprzed domu któregoś wujka czy ciotki, choć zawsze starałam się to uczucie stłumić, już wtedy bowiem wiedziałam, że to nie po chrześcijańsku. Nigdy nie usłyszawszy tego od nikogo z najbliższej rodziny, sama zrozumiałam, że moja matka wybrała nas; wolała nasze wspólne życie od życia, jakie prowadziło jej rodzeństwo, i ta możliwość wyboru czyniła z niej szczęściarę.

Podobnie jak matka, babcia nie podjęła żadnej pracy po przeprowadzce do Riley, ale też w zasadzie nie angażowała się w prowadzenie domu. Gdy dzisiaj spoglądam wstecz, zdumiewa mnie, że jej całkowity brak służenia jakkolwiek pomocą nie budził w mojej matce oburzenia, ale wygląda na to, że tak było w istocie. Przypuszczam, że mama uważała teściową za zabawną, a ludziom, którzy nas bawią, potrafimy wiele wybaczyć. Niemal każdego dnia, gdy po południu wracałam ze szkoły, obie siedziały w kuchni, mama w przerwie między kolejnymi obowiązkami, w fartuchu lub ze ścierką do kurzu przewieszoną przez ramię, słuchała w skupieniu, jak babcia streszcza jej jakiś artykuł, który właśnie przeczytała, dajmy na to o morderstwie dziewczyny mafiosa w Chicago.

Moja babcia nigdy nie odkurzała ani nie zmiatała, a także niezwykle rzadko, tylko pod nieobecność rodziców w domu bądź jeśli mama była chora, gotowała — szykowała potrawy wyróżniające się głównie brakiem wartości odżywczych. Cała kolacja niekiedy składała się ze smażonego sera lub na wpół surowych naleśników. Ale za to czytała; w ten sposób głównie spędzała czas. Nikogo nie dziwiło, gdy w jeden dzień przeczytała całą książkę — najbardziej lubiła powieści, szczególnie rosyjskich mistrzów, ale czytała też książki historyczne, biografie i grafomańskie tajemnicze opowieści. Całymi godzinami, każdego ranka i po po-

łudniu siedziała albo w salonie, albo na swoim łóżku (łóżko było zawsze zasłane, a ona kompletnie ubrana), przewracając kartki i paląc pall maile. Od najmłodszych lat rozumiałam, że według mojej rodziny, to znaczy według moich rodziców, babcia była nie tylko inteligentna i swawolna, lecz że jej inteligencja i swawola się przenikały. Ze mogła opowiadać o kłątwie diamentu Hope lub kaniibalizmie w grupie Donnera — chodziło nie tyle o to, że powinna była się wstydić podobnej wiedzy, lecz o to, że nie było powodu się nią szczycić. Historyjki, którymi nas raczyła, były interesujące, jednak niewiele miały wspólnego z prawdziwym życiem: spłacaniem hipoteki, szorowaniem patelni, ogrzewaniem domu podczas przenikliwie zimnych zim w Wisconsin.

Jestem przekonana, że babcia zamiast się sprzeciwiać, w zasadzie podzielała to raczej niezbyt pochlebne zdanie na swój temat. Myślę, że w innych czasach zostałaby wyśmienitym krytykiem literackim pisującym do gazet, lub nawet wykładownicą angielskiego, jednak nigdy nie chodziła do college'u, podobnie zresztą jak moi rodzice. Mąż babci, ojciec mojego ojca, zmarł wcześnie, i jako młoda wdowa, babcia musiała pójść do pracy w sklepie z damską odzieżą, aby obsługiwać matrony z Milwaukee, które — jak mówiła — miały pieniądze, ale gustu za grosz. Pracowała tam do pięćdziesiątki — za jej czasów człowiek pięćdziesięcioletni uważany był za bardziej starego, niż obecnie — po czym przeniosła się do Riley wraz z moimi świeżo poślubionymi rodzicami.

Większość książek babcia wypożyczała z biblioteki, ale niektóre kupowała i te trzymała w swojej sypialni w regale tak przepełnionym, że na każdej półce stały ich dwa rzędy. Nasuwało mi to skojarzenie z dziewczynką z mojej klasy, Pauliną Geisseler, której drugie zęby wyrosły, jeszcze zanim mleczne zdążyły wypaść, i która czasami na naszą prośbę, bez cienia skrępowania, w czasie przerwy otwierała szeroko usta. Babcia prawie nigdy nie czytała mi na głos, ale regularnie zabierała mnie do biblioteki. W kółko wypożyczałam książki Laury Ingalls Wilder oraz serie o Nancy Drew i braciach Hardy, a babcia często w kuszący sposób streszczała mi powieści dla dorosłych: „Szlachetnie urodzona mężatka zakochuje się w mężczyźnie, który nie jest jej mężem; kiedy mąż dowiaduje się o zdradzie, ona nie ma wyboru i musi się rzucić pod nadjeżdżający pociąg.

Podobne opowieści przepełniały sypialnię mojej babci atmosferą intrygi, potęgowaną przez jej nieliczne, ale starannie dobrane rzeczy, z których najbardziej lubiłam stojące na biurku popiersie Neferetiti. Babcia dostała je od swojej mieszkającej w Chicago przyjaciółki Gladys Wycomb, było repliką starożytniej rzeźby wykonanej przez Tutmosa. Neferetiti miała czarne nakrycie głowy i piękną kolbę i spoglądała przed siebie z niesamowitym opanowaniem. Jej imię, jak wyjaśniła mi babcia, znaczyło „nadeszła piękna kobieta”.

Oprócz popiersia były też oprawione w ramki zdjęcia: na jednym widniała babcia jako mała dziewczynka w białej sukience, stojąca obok swoich rodziców w 1900 roku (straszliwie dawno!), na innym moi rodzice w dniu swojego ślubu, ojciec w mundurze wojskowym, a mama w dwurzędowej wąskiej sukience (choć zdjęcie było czarno— białe, wiedziałam, że sukienka miała kolor lawendy, bo tak mi powiedziała mama). Była też fotografia zmarłego męża babci, Harveya — został uchwycony, jak mruży oczy w słońcu; wreszcie jedno z moich zdjęć, szkolne, zrobione w drugiej klasie, na którym się uśmiecham troszkę niespokojnie, a włosy mam rozdzielone przedziałkiem i splecione w warkoczyki.

Z wyjątkiem książek, zdjęć, popiersia Neferetiti, kosmetyków i perfum, sypialni mojej babci w zasadzie nic nie wyróżniało. Babcia spała, tak jak ja, na jednoosobowym łóżku. Przykrywała je żółtą narzutą, a na niej zimą układała kraciate koce. Na ścianach wisiało niewiele rzeczy, a na nocnym stoliku rzadko znajdowało się coś poza lampką, książką, budzikiem i popielniczką. To miejsce pachnące papierosami i perfumami Shalimar mnie zdawało się wrotami do przygody, przedsionkiem dorosłości. W kryjówce babci wyczuwałam przeżycia i namiętności wszystkich ludzi, których koleje życia opisywały czytane przez nią książki.

Nie potrafię powiedzieć, czy babcia świadomie próbowała zarazić mnie pasją czytania, ale pozwalała mi wybierać spośród swoich książek do woli, także te, których raczej nie mogłam zrozumieć (w wieku dziewięciu lat zaczęłam *Portret damy* i porzuciłam po dwóch stronach), oraz takie, na które moja mama, gdyby oczywiście wiedziała, nigdy by się nie zgodziła (mając jedenaście lat, nie tylko skończyłam *Miasteczko Peyton Place*, ale też natychmiast przeczytałam je od nowa). Tymczasem moi rodzice nie posiadali w zasadzie żadnych książek, z wyjątkiem kompletu tomów Encyklopedii Bri— tannica o ciemnowiśniowych grzbietach, który trzymaliśmy w salonie. Mój ojciec prenumerował poranne i popołudniowe gazety wydawane w Riley: „The Riley Citizen” i „The Riley Courier”, podobnie jak czasopismo „Esqu— ire”, chociaż babcia zdawała się czytać je o wiele dokładniej od niego. Mama nie czytała i do dzisiaj nie wiem, czy ta niechęć spowodowana była brakiem czasu czy zainteresowania.

Ponieważ byłam córką dyrektora banku, żyłam w przeświadczeniu, że dobrze nam się powodzi. Dopiero po trzydziestce zrozumiałam, że żaden naprawdę zamożny Amerykanin nigdy nie podzieliłby tego poglądu. Riley leżało dokładnie w środku hrabstwa Benton, w którym to hrabstwie znajdowały się dwie konkurujące ze sobą wytwórnie sera: Fassbinders przy De Soto Way i White River Dairy, usytuowana bliżej miasta Houghton, chociaż mnóstwo ludzi w niej pracujących mieszkało w Riley, jako że Riley z czterdziestoma tysiącami mieszkańców oferowało znacznie więcej atrakcji i wygód, w tym kino. Wielu rodziców moich kolegów i koleżanek z klasy pracowało w jednej albo drugiej wytwórni; inne dzieci

pochodziły z niewielkich farm, kilkoro z dużych — Freddy Zurbrugg, który w trzeciej klasie, słysząc, jak nauczyciel użył słowa „pianista”, dostał takiego ataku śmiechu, że aż się popłakał, mieszkał na czwartej co do wielkości farmie w całym stanie — ale ja uważałam pochodzenie z miasta za o wiele bardziej wyrafinowane od pochodzenia ze wsi. Ulice Riley tworzyły siatkę prostopadłych linii, od zachodu granicząc z rzeką Riley. W południowej części miasta znajdowała się dzielnica handlowa, a ulice dzielnic mieszkaniowych sięgały rozciągających się na północy wzgórz. Jako dziecko znałam nazwiska wszystkich rodzin mieszkających przy Amity Lane: Weckwerthów, których syn, David, był pierwszym dzieckiem, jakie trzymałam na rękach, państwa Noffke, których kot, Zeus, zadrapał mi policzek do krwi, kiedy miałam pięć lat, i tym samym wywołał u mnie antypatię do kotów w ogóle — żywię ją po dziś dzień, i Cernochów, którzy w sezonie łowieckim wieszali na drzewie przed domem upolowanego jelenia. Kościół Calvary Lutheran, do którego chodzili moi rodzice, stał przy Adelpia Street, a szkoła podstawowa i gimnazjum, tworzące jeden kompleks, znajdowały się sześć przecznic od naszego domu. Nowe liceum — ukończone w 1948 roku, do którego ja zaczęłam uczęszczać dopiero w 1959, a wciąż nazywano je „nowym” — było największym budynkiem w mieście, imponującą konstrukcją z cegły podtrzymywaną od frontu sześcioma kolumnami w stylu korynckim i uwiecznioną na pocztówkach sprzedawanych w sklepie Utzen — storfa. Wszystko, co uważałam za właściwe Riley, zajmowało powierzchnię dziesięciu mil kwadratowych, poza którą we wszystkich kierunkach rozciągały się prairie, pastwiska, falujące wzgórza, lasy bukowe i kępy klonów.

Nie czułam się kimś lepszym, chodząc do szkoły z dziećmi, które wciąż korzystały z wychodków i nie jadły innego jedzenia poza tym, jakie zostało wyprodukowane na ich farmie. Wręcz przeciwnie, żyjąc w przekonaniu, że jestem w pewnym sensie uprzywilejowana, starałam się być wyjątkowo uprzejma dla kolegów z klasy. Wtedy nie mogłam o tym wiedzieć, ale po latach, kiedy zaczęłam wieść życie, jakiego nigdy bym się nie spodziewała, ów odruch bardzo mi się przydawał.

Przez kilka następnych lat prawie nigdy nie myślałam o tamtym dniu, kiedy w sklepie spożywczym razem z babcią spotkałyśmy Andrew Imhofa i jego matkę. Dwie osoby, które według mnie powinny były czuć się skrepowane — moja babcia swoją pomyłką co do płci Andrew i sam Andrew świadomością, że ktoś mógł się tak pomylić (gdyby ktoś z naszej szkoły dowiedział się o tym, Andrew padłby ofiarą niekończących się drwin) — zdawały się w ogóle tym nie przejmować. Wciąż chodziłam z Andrew do szkoły, ale rozmawialiśmy rzadko. Raz w czwartej klasie, przed lunchem nauczyciel wyznaczył go, by stanął przed nami i wywo-

ływał innych uczniów do ustawienia się w szeregu. Był to rytuał powtarzający się wielokrotnie każdego dnia.

— Jeżeli twoje imię zaczyna się na B — powiedział najpierw Andrew, a to oznaczało, że jego przyjaciel Bobby mógł stanąć tuż za nim.

— Jeżeli nosisz we włosach czerwoną wstążkę — rzekł następnie Andrew.

Tego dnia tylko ja miałam czerwoną wstążkę. Poza tym kiedy Andrew wypowiadał te słowa, stałam do niego przodem, a włosy miałam związane z tyłu w kucyk, a to znaczyło, że musiał wcześniej ją zauważyć. Nie odezwał się, nie pociągnął mnie za włosy, jak robili to niektórzy chłopcy, ale zauważył.

A potem, w szóstej klasie, razem z moją przyjaciółką Deną w niedzielne popołudnie wracałyśmy do domu i zobaczyłyśmy Andrew, jak Com—merce Street nadjeżdża z przeciwnej strony na swoim rowerze. Dzień był zimny, Andrew — ubrany w parkę i granatową czapkę — miał zarumienione policzki.

— Andrew ma wielkie płonące jaja! — wrzasnęła Dena, kiedy nas mijał.

Spojrzałam na nią przerażona.

Ku memu zdziwieniu i jak podejrzewam, również Deny, Andrew zahamował. Kiedy się obrócił, na jego twarzy malowało się rozbawienie.

— Co powiedziałaś? — zapytał.

W owym czasie Andrew był żylasty i wciąż jeszcze niższy od Deny i mnie.

— To jak w tej piosence! — obruszyła się Dena. — No wiesz: *Goodness, gracious...*

Choć jej własna matka była fanką Presleya, Dena uwielbiała Jerry'ego Lee Lewisa. Sensacyjna wiadomość, jaka się pojawiła wiosną następnego roku, o poślubieniu przez niego swojej trzynastoletniej kuzynki, większość ludzi przerażała, ale u Deny spotęgowała tylko zauroczenie, dając jej nadzieję. Jak mi sama powiedziała, gdyby coś nie ułożyło się pomiędzy Jerry'ym Lee a Myrą Gale Brown, szanse Deny na spotkanie się z nim w ósmej klasie stałyby się jak najbardziej realne.

— Przyjechałeś aż tutaj na rowerze? — zwróciła się Dena do Andrew. Im—hofowie mieszkali na kukurydzianej farmie kilka mil za miastem.

— Wczoraj wieczorem oszczeniła się cocker—spanielka Bobby'ego — powiedział Andrew. — Pieski są nie większe od twoich dwóch dłoni.

Wciąż nie zszedł z roweru, stał, trzymając go między nogami, a dłonie rozsunął na jakieś dwa, trzy centymetry, żeby pokazać, jak są malutkie. Nosił wełniane

rękawiczki. W ostatnim czasie nie zwracałam na Andrew zbytnej uwagi, ale teraz wydał mi się zdecydowanie starszy — po raz pierwszy, odkąd pamiętam, zdobył się na normalną rozmowę, a nie tylko *uśmieszki i ukradkowe spojrzenia*. Prawdę powiedziawszy, jego obecność krępowała mnie jak nigdy dotąd i *tym razem to ja nie miałam nic do powiedzenia*.

— Możemy zobaczyć szczeniaczki? — zapytała Dena.

Andrew potrząsnął głową.

— Mama Bobby'ego mówi, że póki nie urosną, nie wolno ich za często dotykać. Łapki i noski mają całkiem różowe.

— Chcę zobaczyć ich różowe noski! — krzyknęła Dena.

Wydało mi się to trochę podejrzanym, bo Janaszewscy mieli boksera, na którego Dena praktycznie nie zwracała uwagi.

— Na razie i tak w zasadzie tylko śpią — powiedział Andrew. — Wciąż jeszcze są ślepe.

Zdając sobie sprawę, że dotąd nie włączyłam się do rozmowy, wyciągnęłam w stronę Andrew białą papierową torebkę.

— Chcesz trochę lukrecji?

Razem z Deną wyprawiliśmy się do miasta po zakup słodczy.

— Andrew — powiedziała Dena, gdy Andrew zdjął rękawiczki i wsunął jedną rękę do torebki. — Słyszałam, że twój brat zdobył wczoraj przyłożenie.

— Nie byliście na meczu, dziewczyny?

Potrząsnęłyśmy przecząco głowami.

— W tym roku drużyna jest naprawdę dobra. Jeden z atakujących, Earl Yager, waży ponad sto czterdzieści kilogramów.

— Obrzydliwość — powiedziała Dena. Sięgnęła do mojej torebki i wzięła sobie nitkę lukrecji, choć przecież kupiła sobie własną. — W liceum zostanę cheerleaderką i w każdy piątek będę nosiła swój kostium, choćby było nie wiem jak zimno.

— A ty, Alice? — Andrew chwycił kierownicę roweru i skierował przednie koło w moją stronę. — Ty też zostaniesz cheerleaderką?

Kiedy spojrzał na mnie tymi swoimi zielonobrazowymi oczami z idiotycznie długimi rzęsami, pomyślałam sobie, że babcia mimo wszystko mogła mieć rację — nawet jeżeli Andrew nie flirtuje ze mną, to jego rzęsy na pewno.

— W liceum Alice wciąż będzie należała do skautów — powiedziała Dena. .

Ona sama wystąpiła ze skautowskich szeregów podczas wakacji, a ja, chociaż także się ku temu skłaniałam, wciąż jeszcze oficjalnie byłam członkiem.

— Ja przystąpię do Amerykańskich Nauczycieli Przyszłości — powiedziałam.

Dena uśmiechnęła się złośliwie.

— Bo niby jesteś taka bystra?

Była to wyjątkowo podła uwaga. Dena dobrze wiedziała, że od drugiej klasy marzyłam, by zostać nauczycielką. Uczyła nas panna Clougherry, która była nie tylko śliczna i dobra, ale też czytała nam na głos *Caddie Woodlawn*, od tamtej pory moją ulubioną książkę. Przez całe lata obie z Deną udawałyśmy, że jesteśmy nauczycielkami, które zupełnie przypadkowo nazywają się panna Clougherry, a naszymi uczennicami są siostry Deny, Marjorie i Peggy, ale podobnie jak w przypadku skautów, Dena straciła zainteresowanie zabawą na długo przede mną.

Dena zwróciła się do Andrew.

— Powiedz Bobbyemu, żeby pozwolił nam przyjść i pobawić się ze szczeniakami. Będziemy się z nimi obchodzić łagodnie, obiecujemy.

— Sama mu powiedz. — Andrew naciągnął rękawiczki i postawił stopy na pedałach. — Na razie, dziewczyny.

W następny poniedziałek Dena napisała do Andrew liścik: „Jakie jest twoje ulubione jedzenie? Jaka jest twoja ulubiona pora roku? Kogo wolisz, Eda Sullivana czy Sida Caesara?“, i po namyśle: „Którą dziewczynkę z klasy lubisz najbardziej?“.

Nie wspomniała o liściku, kiedy go doręczyła, ale po kilku dniach bez odpowiedzi była zbyt podekscytowana, żeby mi nie powiedzieć. Na wieść o jej postępku również mnie ogarnęło podekscytowanie, zupełnie jakbyśmy szykowały się do zawodów w sprincie, a ona wystartowała, zanim ja się zorientowałam, że wyścig już się rozpoczął. Nie uważałam jednak, że mam prawo czuć się w ten sposób — no bo czemu niby Dena nie może napisać liściku do Andrew — nie odezwałam się więc ani słowem. Poza tym kiedy minęły trzy czy cztery dni, a Andrew wciąż nie odpowiedział, moje zdenerwowanie przerodziło się we współczucie. Ulżyło mi tak samo jak Denie, gdy w końcu liniowana kartka z notesu złożona w twardy malutki kwadracik pojawiła się na jej ławce.

„Tłuczone ziemniaki“, napisane było starannie drukowanymi literami.

„Lato”.

„Nie oglądam tych programów, wolę Spina i Marty'ego z *Klubu Myszki Mickey*”.

„Sylwię Eberbach, również Alice”.

Sylwia Eberbach była najmniejszą dziewczynką w szóstej klasie, córką robotnika z fabryki, bladolicą i blondwłosą, która — jak dzisiaj podejrzewam — cierpiała na dysleksję: na lekcjach angielskiego, kiedy nauczyciel kazał jej czytać na głos, połowa uczniów ją poprawiała. Alice to byłam oczywiście ja. Bez wątpienia aż po dzień dzisiejszy odpowiedzi udzielone przez Andrew są przykładem najbardziej szczerego, uczciwego dokumentu, jaki kiedykolwiek widziałam. Jaką bowiem korzyść mogły mu przynieść właśnie takie odpowiedzi? A może po prostu nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi.

Razem z Deną przeczytałyśmy jego odpowiedzi, stojąc w holu po lunchu, przed dzwonkiem wzywającym na kolejne lekcje. Widok ostatniej linijki — „Sylwię Eberbach, również Alice” — był jak podarunek, obietnica mgliście szczęśliwej przyszłości. Całe podekscytowanie, jakie mnie ogarnęło na wieść, że Dena wysłała liścik, teraz znikło. Mnie — lubił mnie. Nie przeszkadzało mi nawet, że muszę dzielić się jego sympatią z Sylwią.

— Powinnam zatrzymać liścik? — zapytałam.

To było logiczne, moja przewaga nad Deną stała się oczywista i jasna jak słońce. Ona jednak spojrzała na mnie ostro i zabrała kawałek papieru. Pod koniec dnia, niecałe dwie godziny później, dowiedziałam się nie od samej Deny, lecz od Rhondy Ostermann siedzącej w ławce obok mnie, że Andrew i Dena chodzą ze sobą. I rzeczywiście, kiedy wychodziłam ze szkoły do domu, zobaczyłam ich, jak trzymając się za ręce, stoją na przystanku autobusowym.

Kiedy do nich podeszłam — Andrew jeździł autobusem, ale Dena i ja wracaliśmy razem do domu na piechotę — Dena odezwała się do mnie:

— Witam i pozdrawiam, Alice.

Najwyraźniej była bardzo z siebie zadowolona. Andrew skinął mi głową. Szukałam jakiegoś znaku, że Dena trzyma go siłą, wbrew jego woli, albo że przynajmniej czuje się rozdartą. On jednak wyglądał na zadowolonego i nastawionego przyjaźnie. Co się stało z „Sylwią Eberbach, również Alice”?

Niesamowite, ale Dena i Andrew pozostali parą przez następne cztery lata. Co prawda parą w okresie dojrzewania, a to znaczyło, że poza mną prawdopodobnie

nikt inny nie traktował ich poważnie. Ale wciąż publicznie trzymali się za ręce, a ich rodzice pozwalali im chodzić razem na hamburgery i mleczne shaki do Tattys. W obecności Deny Andrew był cichy, ale nie milczący. Czasami we trójkę wybieraliśmy się na film do Imperial Theater, a raz w siódmej klasie tak się złożyło, że Andrew siedział między nami — na ogół to Dena siedziała w środku — i zanim kurtyna się podniosła, Dena poszła kupić popcorn.

W ciągu tych kilku minut, kiedy jej nie było, Andrew i ja nie odezwaliśmy się do siebie ani słowem, a ja przez cały czas myślałam: „Tak naprawdę to my jesteśmy razem. Nie Andrew i Dena, tylko Andrew i ja. Ja to wiem i on to wie, i każdy, kto na nas spojrzy, też to wie od razu”. Miałam wrażenie, że jesteśmy jak zaczarowani, a kiedy Dena wróciła, czar prysł; Andrew całą swoją energię skierował na powrót ku Denie. W zasadzie nigdy nie dał mi żadnego dowodu, że w dalszym ciągu należę do lubionych przez niego dziewczynek. Doszukiwałam się go, czekałam, ale na darmo. W ósmej klasie Dena się przewróciła, kiedy biegła chodnikiem na tyłach szkoły, a on zlizywał krew z jej dłoni. Całymi tygodniami, ilekroć o tym pomyślałam, miałam wrażenie, że w żołądku otwiera mi się spadochron, a moje serce do niego wpada.

Pewnego popołudnia w drugiej klasie liceum Andrew bezceremonialnie zerwał z Deną — powiedział, że jest zbyt zmęczony trenowaniem futbolu, żeby mieć dziewczynę. Wtedy mierzył już metr osiemdziesiąt, był kickerem w Benton County Central High School Knights, a swoje niegdyś rozwichrzone włosy nosił krótko obcięte. Wówczas przestałam już w ogóle z nim rozmawiać. Nie tyle z poczucia lojalności wobec Deny — Andrew i ja wciąż lekko uśmiechaliśmy się do siebie, mijając się na szkolnych korytarzach — ile przez zwykłą logistykę, a mianowicie fakt, że nie mieliśmy razem żadnych lekcji. Nasze liceum było dużo większe od podstawówki i gimnazjum; niektórym dzieciom droga do szkoły zajmowała ponad godzinę.

Przez te lata, podczas których Dena i Andrew byli razem, często zastanawiał mnie błyskawiczny i przypadkowy sposób, w jaki zostali parą. Andrew ostentacyjnie nie interesował się Deną, a już kilka godzin później należał do niej. Wyglądało to na jakąś lekcję, nie byłam tylko pewna czego: agresywnego dążenia do tego, czego się chce? Lub może stanowiło dowód, że większość ludzi jest podatna na perswazję... Albo tylko potwierdzało, że są zwyczajnie nieprzewidywalni. Czy po przeczytaniu liściku Andrew miałam natychmiast podejść do niego i przedstawić swoje żądania? Czy moja wiara w naszą przyjemnie niewyraźną przyszłość była naiwna, czy byłam pasywna, czy też raczej zachowałam się jak frajerka? Przez kilka lat nieustannie zadawałam sobie te pytania; myślałam o nich wieczorem po odmówieniu modlitwy, zanim zasnęłam. A potem, kiedy zaczęło się liceum, zajęłam się innymi sprawami. Kiedy Dena i Andrew zerwali ze sobą (Dena wydawała się bardziej obrażona niż smutna, co zresztą szybko jej

przeszło), ja już od jakiegoś czasu — mimochodem — przestałam rozmyślać o nich i o tym, co nie przydarzyło się Andrew i mnie. Kiedy zdarzało mi się przełotnie o tym pomyśleć, cała sytuacja wydawała się idiotyczna; jeśli można było wyciągnąć z tego jakąś naukę, to tylko taką, że młodzi ludzie bywają strasznie głupi. Domniemany związek miłosny Deny i Andrew, moje własne tęsknoty i zagubienie — wszystko to z czasem sprowadziło się do odległych wspomnień z dzieciństwa.

Każdego roku dzień po Bożym Narodzeniu babcia udawała się pociągiem do Chicago w odwiedziny do swojej przyjaciółki, Gladys Wycomb, a potem wracała tam na ostatni tydzień sierpnia. Zimą 1962 roku, kiedy byłam w trzeciej klasie, pewnego listopadowego wieczoru przy obiedzie babcia oznajmiła, że życzy sobie, abym w te święta jej towarzyszyła — na jej koszt. Miała to być swego rodzaju kulturalna podróż obejmująca wizytę w teatrze i na przedstawieniu baletowym, a także podziwianie widoku z wieżowca.

— Alice ma już szesnaście lat i jeszcze nigdy nie była w wielkim mieście — powiedziała babcia.

— Byłam w Milwaukee — oburzyłam się.

— No właśnie — odparła babcia.

— Emilie, to cudowny pomysł — powiedziała mama w tej samej chwili, w której tato rzekł:

— Nie jestem pewien, czy w tym roku to się uda. Zostało raczej niewiele czasu, mamo.

— Musimy tylko zarezerwować jeszcze jeden bilet na pociąg — powiedziała babcia. — Nawet taka starowina jak ja może to zrobić.

— W Chicago jest zimno w grudniu — rzekł tato.

— Zimniej niż tutaj? — na twarzy babci malowało się powątpiewanie.

Nikt nie odezwał się słowem.

— A może jest jakiś inny powód, dla którego nie chcesz jej puścić? — Babcia mówiła przyjaznym tonem, ale ja wyczuwałam w nim podejrzliwość i zu—chwałość którą przewyższała oboje moich rodziców.

Nastała kolejna chwila ciszy.

— Pozwól, że się nad tym zastanowię — odezwał się w końcu ojciec.

Każdego ranka w naszym domu wszystko działo się zgodnie z utartym schematem. Kiedy ja pojawiałam się na dole, ojciec zazwyczaj zdążył już wyjść do banku, na stole znajdowałam rozłożoną gazetę „The Riley Citizen”, mama zmywała naczynia, a gdy ja wychodziłam do szkoły, babcia wciąż jeszcze spała.

Jednak następnego dnia pognałam na dół, jak tylko zadzwonił mój budzik, wciąż jeszcze mając na sobie koszulę nocną.

— Sama mogę sobie kupić bilet na pociąg, żeby babcia nie musiała płacić — zwróciłam się do taty.

Moje kieszonkowe wynosiło trzy dolary tygodniowo i przez kilka ostatnich lat udało mi się zaoszczędzić ponad pięćdziesiąt dolarów. Trzymałam pieniądze na koncie w banku ojca.

Ojciec, który siedział przy stole, zerknął na mamę. Stała przy kuchence i smażyła bekon. Wymienili spojrzenia.

— Nie miałem pojęcia, że tak bardzo chcesz pojechać do Chicago — powiedział tato.

— Myślałam, że chodzi o bilet...

— Porozmawiamy o tym przy kolacji — rzekł ojciec.

Co wieczór, zanim zaczęliśmy jeść, ojciec odmawiał tę samą modlitwę dziękczynną: „Przyjdź, Panie Jezu, bądź naszym gościem i pozwól, aby te dary były błogosławione. O, składajmy dzięki Panu, bo jest dobry, a Jego łaska trwa na wieki”. My odpowiadałyśmy: „Amen”. Tego dnia, ledwo unieśliśmy głowy, ojciec się odezwał.

— Martwiłem się o twój wyjazd do Chicago z Alice, kierując się wyłącznie tym, by nie sprawiać kłopotu Gladys. Dlatego też zadzwoniłem i zarezerwowałem dla was obu pokój w hotelu Pelham. Przez ten tydzień będziecie moimi gośćmi.

— Czyż tatuś nie jest kochany? — wykrzyknęła mama, jakby również usłyszała tę propozycję po raz pierwszy. — Alice, podaj babci brokuły w śmietanie — dodała już normalnym głosem.

— Mój kolega z pracy, pan Erie, mieszkał kiedyś w Chicago — powiedział ojciec. — Według niego Pelham to bardzo przyzwoity hotel i w bezpiecznej okolicy.

— Zdajesz sobie sprawę, że Gladys ma ogromne mieszkanie z kilkoma pokojami gościnnymi? — Trudno powiedzieć, czy babcia była zirytowana czy raczej rozbawiona.

— Babciu, nie znamy pani Wycomb tak dobrze jak ty — powiedziała mama.
— Nie chcielibyśmy się jej narzucać.

— Doktor — rzekła babcia. — Doktor Wycomb. Nie pani. Poza tym, Phillippie, znasz ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że będzie nalegała, abyśmy zamieszkały u niej.

— Gładys Wycomb jest lekarzem? — zapytałam.

Po raz kolejny moi rodzice wymienili spojrzenia.

— Jestem przekonany, że raz czy dwa będziecie mogli zjeść razem kolację — powiedział ojciec.

— Jakim lekarzem? — zapytałam.

Wszyscy w trójkę obrócili się ku mnie.

— Kobięcych problemów — powiedziała mama.

— To nie jest odpowiedni temat rozmowy przy stole — rzekł ojciec.

— Była ósmą kobietą w stanie Wisconsin, która uzyskała dyplom lekarza — powiedziała babcia. — Nie wiem jak wy, ale ja, która od biedy potrafię odczytać termometr, chyłę przed nią czoło.

Dorastałam, nieraz słysząc o Gładys Wycomb — zważywszy na to, że babcia dwa razy w roku wybierała się do niej z wizytą, Gładys Wycomb bardziej niż osobą była dla mnie miejscem docelowym, odległym, ale nie tak całkiem nieznanym — jednak dopiero kiedy zaczęło się mówić o moim wyjeździe do Chicago, zorientowałam się, jak mało o niej wiem. Kilka godzin później, gdy czytałam w łóżku powieść Agaty Christie, mama przyszła życzyć mi dobrej nocy.

— Dlaczego tato nie lubi doktor Wycomb? — zapytałam ją.

— Och, nie powiedziałabym, że jej nie lubi. — Mama stała nade mną i zdążyła już pocałować mnie w czoło, ale teraz przysiadła na brzegu łóżka i położyła rękę w miejscu, gdzie pod kołdrą znajdowały się moje kolana. — Doktor Wycomb zna tatę, odkąd był małym chłopcem, i czasami bywa nieco apodyktyczna. Uważa, że wszyscy powinni podzielać jej zdanie. Podejrzewam, że nie pamiętasz, jak nas tutaj odwiedzała, ponieważ pierwszy raz przyjechała, jak byłaś jeszcze dzidziusiem, a drugi raz, jak miałaś cztery czy pięć latek. Podczas jej drugiej wizyty coś się wydarzyło, rozmowa o Murzynach — czy powinni mieć prawa i tak dalej. Doktor Wycomb bardzo się zaangażowała w dyskusję, zupełnie jfkby chciała, żebyśmy się w czymś z nią nie zgodzili, a my myśleliśmy tylko: na miłość boską, przecież w Riley nie ma żadnych Murzynów.

Było w istocie prawdą, że w całym naszym mieście nie mieszkał ani jeden czarnoskóry człowiek. Widziałam już czarnych ludzi — jako dziecko byłam urzeczona, kiedy przejeżdżaliśmy obok restauracji, przed którą stali matka, ojciec i dwie małe dziewczynki w moim wieku, obie w różowych sukieneczkach — ale to było w Milwaukee.

— A ty jej nie lubisz? — zapytałam.

— Och, nie. Nie. Jest onieśmielającą kobietą, ale nie powiem, że jej nie lubię, i myślę, że to samo odnosi się do tatusia. Raczej wszyscy doszliśmy do wniosku, że będzie łatwiej, jeśli babcia zacznie jeździć do doktor Wycomb, niż ona do nas. — Mama poklepała mnie po kolanie. — Ale cieszę się, że się przyjaźnią, ponieważ wiem, że doktor Wycomb była prawdziwą podporą dla babci, kiedy umarł dziadek.

Stało się to, gdy mój tato miał dwa lata; jego własny ojciec, aptekarz, pewnego popołudnia dostał w pracy ataku serca i zmarł w wieku trzydziestu trzech lat. Już sama myśl o moim ojcu jako o dwulatku ścisnęła mi serce, ale świadomość, że tego dwulatka osierocił ojciec, była druzgocząca.

Mama wstała i po raz drugi ucałowała mnie w czoło.

— Nie czytaj zbyt długo — powiedziała.

Chociaż oficjalnym powodem naszej podróży było moje wzbogacenie kulturalne, ledwie pociąg zdążył ruszyć ze stacji w Riley, okazało się, że tak naprawdę babcia wybierała się do Chicago, aby w Marshall Fields kupić etolę z soboli. Wyznała, że widziała jej reklamę w „Vogue” i listownie zwróciła się do sklepu z prośbą, aby odłożyli dla niej jedną w rozmiarze S.

— Gdybym była mądra, zamówiłabym ją miesiąc wcześniej i poszłabym w niej do kościoła w Wigilię — powiedziała.

— Czy tato wie, że masz zamiar ją kupić?

— Dowie się, jak mnie w niej zobaczy, prawda? A będę wyglądać tak zniechęcająco, że na pewno będzie zachwycony. — Siedziałyśmy obok siebie i kiedy to mówiła, puściła do mnie oczko. — Mam trochę oszczędności, Alice, poza tym to żadna zbrodnia sprawić sobie przyjemność. Chodź, nałożę ci trochę szminki.

Wydełam usta. Kiedy skończyła, ujęła mnie pod brodę i przyjrzała mi się.

— Ślicznie — powiedziała. — Zostaniesz piękną Chicago.

Osobiście nie uważałam się za piękność, ale przez kilka ostatnich lat zaczęłam podejrzewać, że chyba jestem ładna. Mierzyłam metr sześćdziesiąt pięć,

miałam wąską talię i biust na tyle obfity, by nosić stanik z miseczką B, moje oczy były niebieskie, a włosy kasztanowobrazowe i lśniące — nosiłam je obcięte do brody i podkręcone w stronę policzków, z rozwichrzoną, postrzępioną grzywką. Poczucie, że jestem atrakcyjna, sprawiało mi głównie ulgę — wyobrażałam sobie, że życie musi być cięższe dla dziewcząt, które nie są ładne.

Nasza podróż pociągiem trwała nieco ponad dwie godziny. Na dworcu Union Station w Chicago czekała na nas kobieta, w której nie od razu rozpoznałam doktor Wycomb. Absurdalnie, spodziewałam się, że będzie miała zawieszony na szyi stetoskop. Gdy uściskały się z babcią, babcia stanęła obok doktor Wycomb i objęła ją ramieniem.

— Legenda swoich czasów — powiedziała.

— Gruba przesada — skwitowała doktor Wycomb. — Idziemy na drinka?

Uważałam, że jako przyjaciółki zupełnie do siebie nie pasują, przynajmniej

pod względem wyglądu; doktor Wycomb była ciężkawa, w sposób sugerujący siłę, a jej uścisk dłoni niemal sprawiał ból. Miała krótkie siwe włosy, nosiła okulary o białych oprawkach w kształcie kocich oczu, czarny gabardynowy płaszcz i szary tweedowy kostium; stroju dopełniały czarne skórzane czółenka na niskim obcasie i ze spiczastym noskiem. Babcia tymczasem, zawsze dumna ze swojego stylu i szczupłej sylwetki (szczególnie szczyciła się drobnymi kostkami u nóg i nadgarstkami), do wizyty w wielkim mieście przygotowała się wyjątkowo starannie. Dzień wcześniej zrobiłyśmy sobie manicure, a babcia poszła do salonu Very w centrum miasta, gdzie ufarbowała i ułożyła sobie włosy. Pod brązowym płaszczem z kaszmiru nosiła czekoladowy wełniany kostium — kołnierzyk był z aksamitu, a spódnica kończyła się tuż za kolanami — do kompletu wkładała brązowe szpilki z krokodylej skóry i brała taką samą torebkę. Owe dodatki były dla niej tak cenne, że przezwała je „moje kroksy”, które to przezwisko uznawane i rozumiane było przez każdego członka rodziny. W rzeczy samej, kiedy kilka tygodni wcześniej wybieraliśmy się na bożonarodzeniowe przyjęcie do Janaszewskich i trzeba było przejść na drugą stronę zaśnieżonej ulicy, ku swemu rozbawieniu usłyszałam, jak ojciec zwraca się do babci: „Mamo, radziłbym, żebyś poszła w botkach i dopiero na miejscu przebrała się w kroksy”. Ja również byłam wystrojona na spotkanie z doktor Wycomb. Miałam na sobie szkocką spódnicę, zielone rajstopy, biało— czarne sznurowane buciki, bluzkę¹ zielony wełniany sweter. Do kołnierzyka przypięłam broszkę, chociaż Dena powiedziała mi niedawno, że to świadczy, iż jestem dziewicą.

Gdy wyszliśmy z dworca, na ulicy panował istny chaos: chodnikami sunęły tłumy, pojazdy na jezdniach gwałtownie hamowały i trąbiły. Wokół nas wznosiły^{S1?} najwyższe budynki, jakie w życiu widziałam. Kiedy podeszłyśmy do beżo-

wego cadillaca, ku memu zdumieniu wysiadł z niego szofer w czarnej czapce, wziął od nas walizki i otworzył nam drzwi; najwyraźniej praca lekarki była lukratywnym zajęciem. Usiadłyśmy we trzy na tylnym siedzeniu, babcia w środku, ja po prawej stronie.

— Musimy zatrzymać się po drodze, jeżeli nie masz nic przeciwko temu

— zwróciła się babcia do doktor Wycomb. — Przy hotelu Pelham, na rogu Ohio i Wabash. Phillip wbił sobie do głowy, że Alice i ja będziemy dla ciebie ciężarem — jak sama widzisz, Alice jest bardzo nieposłuszna i wojownicza

— dlatego zrobił dla nas rezerwację, którą — naturalnie — odwołamy.

— Och, na litość boską! — powiedziała doktor Wycomb. — Czy on naprawdę ma mnie za kogoś o tak złym wpływie?

— Mamy nadzieję, że taka właśnie jesteś! — Mówiąc to, babcia obróciła się i pocałowała doktor Wycomb w policzek.

Znałam ten pocałunek, delikatność jej ust, zwiastujący jej zbliżanie się zapach Shalimar.

— Prawda? — powiedziała babcia, siadając na powrót prosto i klepiąc mnie w rękę.

Niepewna, jak powinnam się zachować, zaśmiałam się tylko. Doktor Wycomb pochyliła się do przodu.

— Kiedy twój ojciec był chłopcem, zdejmował z siebie całe ubranie, zanim się wypróżnił — powiedziała.

— Och, Gladys, ona nie chce tego słyszeć.

— Ale to pouczające. Ukazuje pewną... chyba sztywność, jaka zawsze cechowała Phillipa. Zdejmował całe ubranie, a potem, kiedy już siedział na sedesie, ze wszystkich sił zaciskał powieki i zasłaniał uszy rękami. Tylko w ten sposób mógł się wypróżnić.

Babcia się skrzywiła i powachlowała powietrze przed sobą, zupełnie jakby opowieść przywiodła do samochodu smród z łazienki.

— Czy mówię prawdę, Emilie? — zapytała doktor Wycomb.

— Prawda — odparła moja babcia — jest przeceniana.

— Twoja babcia była moją gospodynią — zwróciła się doktor Wycomb do mnie. — Czy wspominała o tym kiedyś?

— Nie odbywało się to w taki oficjalny sposób, jak można by sądzić po tym, co mówisz — powiedziała babcia.

— Kiedy skończyłam studia medyczne, byłam biedna jak mysz kościelna

— rzekła doktor Wycomb. — Mieszkałam na koszmarnym strychu należącym do koszarnej rodziny...

— Lichorobców — weszła jej w słowo babcia. — Czyż to nie brzmi jak nazwisko jakiejś koszarnej rodziny? Pani Lichorobiec żyła w przekonaniu, że została skrzywdzona przez ludzkość.

— Nie pozwalała mi trzymać jedzenia na strychu, bo według niej mogło to przyciągać zwierzęta — powiedziała doktor Wycomb. — Ale w spiżarni też nie wolno mi było niczego trzymać, bo podobno nie było dość miejsca. Kompletna bzdura, ale co miałam robić? Szczęśliwie twoja babcia, która mieszkała obok, ulitowała się nade mną i zaproponowała, żebym się u niej stołowała.

— Bałam się, że w przeciwnym wypadku umrzesz z głodu — odparła babcia. — Ja zawsze byłam szczupła, ale Gladys wyglądała dosłownie jak kościotrup. Worek kości i wielkie czarne cienie pod oczami.

— Worek kości — powtórzyła doktor Wycomb i się zaśmiała, po czym znów się pochyliła. — Dasz wiarę? — zapytała, kiedy nasze oczy się spotkały.

Szczerze mówiąc, myślałam dokładnie tak samo, ale uśmiechnęłam się, mam nadzieję w sposób neutralny i niezdradzający niczego.

— A potem zmarł twój biedny dziadek — ciągnęła doktor Wycomb.

— W którym to było roku, Emilie? Dwudziestym czwartym?

— W dwudziestym piątym.

— Twoja babcia chciała się przeprowadzić, ale ja powiedziałam: „Zastanówmy się. Ja marzę, żeby wynieść się od Lichorobców, a ty na pewno wolałabyś zostać w domu, w którym czujesz się u siebie...”. I tak zostałam lokatorką twojej babci i naprawdę świetnie się razem bawiłyśmy.

— Kiedy nastał wielki kryzys, z całego serca dziękowałam Bogu za Gladys — powiedziała babcia. — Jako wdowa nie byłam w stanie wyżyć z pensji, którą dostawałam u Clausnitzera. A skoro już mowa o życiu ponad stan.

— Wyjęła z torebki „Vogue” i rozłożyła pismo. — Czy widziałaś kiedyś piękniejszą etolę?

Doktor Wycomb się roześmiała.

— Alice, twoja babcia jest jedyną osobą w tym kraju, która po kryzysie stała się mniej oszczędna.

— Skoro i tak w każdej chwili możemy przestać istnieć, czemu odmawiać sobie odrobiny przyjemności? A poza tym czyż nie jest cudowna? Ten połysk, ^{Jest} absolutnie... Hm. — Babcia z zachwytem potrząsnęła głową.

— Czy ty też tak uwielbiasz się stroić, Alice? — W głosie doktor Wycomb słychać było czułość wobec babci.

— Och, ona jest o wiele mniej płytka ode mnie — powiedziała babcia. — Co semestr same szóstki. Wyobrażasz sobie moje rozczarowanie.

Prawdę mówiąc, podczas gdy rodzicom nie zależało jakoś szczególnie, żebym poszła na studia, babcia nieustannie mi powtarzała, że w ten sposób o wiele łatwiej odniosę sukces.

— To prawda? — spytała doktor Wycomb. — Same szóstki.

— Z prac domowych dostałam pięć minus — przyznałam.

Stało się tak dlatego, że w czasie pracy końcowej, w której wraz z Deną i Nancy Jenzer przygotowywałyśmy w klasie hawajskie klopsiki, Dena upuściła na podłogę miskę z sosem orientalnym.

— Interesują cię nauki ścisłe? — spytała mnie doktor Wycomb. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, zatrzymałyśmy się przed brązowym zadaszeniem, na którym widniał biały napis THE PELHAM.

— Gladys, ty tu zaczekaj, a nam to zajmie *dostownie* chwilkę — powiedziała babcia. — Alice, chodź ze mną.

Nasze walizki zostały w samochodzie, ale dopiero kiedy weszliśmy do środka, zrozumiałam, o co chodzi: wbrew temu, co babcia powiedziała doktor Wycomb, nie miałyśmy odwołać rezerwacji. Zameldowałyśmy się, po czym wyszłyśmy i odjechałyśmy samochodem doktor Wycomb, Babcia nie wyjaśniła mi niczego, a kiedy kobieta w recepcji powiedziała: „Za pokój z widokiem na jezioro dopłata wynosi sześć dolarów dziennie”, babcia odparła: „Pokój, który mamy, w zupełności nam wystarczy”. Dodała też, że nie trzeba wzywać bagażowego. Nie należałam do ludzi, którzy otwarcie kwestionują poczynania innych, poza tym uważałam się za sojuszniczkę babci. Dlatego, kiedy wróciłyśmy przez mroczny hol hotelu Pelham i wsiadłyśmy do samochodu, milczałam, gdy babcia zwróciła się do doktor Wycomb:

— Wszystko załatwione. Nie robili najmniejszych trudności.

Nie rozumiałam, czemu miało służyć nasze podwójne oszustwo — okłamywanie ojca w sprawie miejsca naszego pobytu i okłamywanie doktor Wycomb, że odwołałyśmy rezerwację — wiedziałam za to, że dobre wychowanie wymaga, aby dostosować się do tych, w towarzystwie których przebywamy. Moja babcia oczekiwała, że będę wobec niej lojalna, i nie zawiodła się.

Kiedy na dworcu doktor Wycomb zaproponowała drinka, wyobrażałam sobie, że mówi o restauracji, pojechaliśmy jednak do jej mieszkania przy Lake Shore Drive. Wjechaliśmy na siódme piętro; windziarz miał na sobie mundur bardzo podobny do uniformu szofera.

— Pani doktor — rzekł i kiwnął głową, po czym nacisnął odpowiedni guzik.

Milczeliśmy, kiedy winda się wznosiła, po czym wyszliśmy na korytarz o ścianach wyłożonych połączaną tkaniną — nie błyszczącą jak złoto, lecz o delikatnym brokatowym połysku, gustownie przedzielonym matowym motywem liii.

Operator windy wniósł nasze walizki do mieszkania. W pokoju przeznaczonym dla mnie znajdowały się dwa łóżka rozdzielone białym metalowym stolikiem, na którym stała lampa z ogromną żłobioną szklaną podstawą w kolorze malinowym. Był tam też najprawdziwszy stojak na walizki, na którym windziarz postawił moją. W pierwszej chwili, kiedy mężczyzna zaproponował, że poniesie nasze bagaże, chciałam zaprotestować, ale ponieważ babcia przystała, ja także się zgodziłam. Później się zastanawiałam, czy nie powinna była dać mu napiwku, czego nie zrobiła. W jej pokoju, połączonym z moim łazienką, którą miałyśmy dzielić, znajdowało się łóżko z baldachimem, wykonanym ze srebrno— błękitnego jedwabnego szantungu zebranego w środku wokół lusterka wielkości krakersa.

Na umeblowanie w salonie składała się mieszanina nowoczesnych i staromodnych sprzętów: dwie niskie białe sofy, wyglądający na antyk fotel z połączonymi oparciami, obrotowa biblioteczka z orzecha, wiele rycin i obrazów — niektóre z nich abstrakcyjne — ciasno rozwieszonych na ścianach. Doktor Wycomb poprosiła pokojówkę w czarnej sukience i białym fartuszką o drinka manhattan. Babcia uniosła rękę z wyprostowanym palcem wskazującym i środkowym.

— I dwa koktajle old— fashioned — powiedziała.

Doktor Wycomb popatrzyła na mnie zza swoich kocich okularów.

— A może wolałabyś gorącą czekoladę, Alice?

— Napije się old— fashioned — oznajmiła babcia. — Z brandy, nie whiskey — dodała, zwracając się do pokojówki.

— Och, Myra wie — zaśmiała się doktor Wycomb. — Nie zapominaj, że ja też jestem z Wisconsin, Emilie.

Pokojówka wyszła.

— Myra i ja rywalizujemy ze sobą — powiedziała wtedy doktor Wycomb. ~ Ona jest fanką White Sox, ja kibicuję Chicago Cubs. Interesujesz się baseballlem, Alice?

— W zasadzie nie — przyznałam.

— Jeszcze cię nawrócimy. Obawiam się, że w zeszłym sezonie Myra miała więcej powodów do radości, ale w tym roku, z Ronem Santo, Cubs mają o wiele większe szanse.

Kiedy Myra wróciła z drinkami, babcia uniosła swoją szklanę.

— Gladys, chciałabym wnieść toast — powiedziała. — Za ciebie, moja droga, światowej klasy gospodynię i prawdziwą przyjaciółkę.

Doktor Wycomb uniosła swoją szklanę.

— I nawzajem: za was, panie Lindgren, Emilie i Alice. Obie spoglądały na mnie wyczekująco.

— Za baseball — powiedziałam. — I rok 1963.

— Proszę, proszę. — Doktor Wycomb wymownie pokiwała głową.

— Za cudownie spędzony czas w Chicago — rzekła moja babcia. Stuknęłyśmy się szklaneczkami.

Jak się okazało, doktor Wycomb wzięła sobie tygodniowy urlop, aby móc się nami zająć. W pierwszej kolejności kupiłyśmy sobolową etolę dla babci, za którą, jak zresztą wcześniej podejrzewałam, doktor Wycomb zapłaciła bez zbędnych dyskusji. W ciągu kilku następnych dni wsiadałyśmy do samochodu i razem zwiedzałyśmy miasto. Odwiedziłyśmy Art Institute, Shedd Aquarium (przeraził mnie i zafascynował trzymetrowy aligator) i Joffrey Ballet, gdzie obejrzałyśmy popołudniowe przedstawienie *Córka źle strzeżona* i gdzie, jak zauważyłam, doktor Wycomb zapadła w głęboki sen. W budynku Prudentialu żołądek podszedł mi do gardła, kiedy wznosiłyśmy się windą na czterdzieste piętro — gdy w 1955 roku budynek oddawano do użytku, zamontowane w nim windy były najszybsze na świecie — a na mieszczącym się na czterdziestym pierwszym piętrze tarasie widokowym myślałam sobie, jak bardzo mój ojciec byłby zachwycony rozciągającą się z niego panoramą. Mimo że nosiłam kapelusz, szalik i rękawiczki, w silnym wietrze było mi nieznośnie zimno i zabawiłam na zewnątrz najwyżej minutę, po

czym uciekłam. Babcia i doktor Wycomb wcale nie wybrały się na taras. Wieczorami Myra przygotowywała i podawała nam kolację: duszone kotlety cielęce z suszonymi śliwkami lub cielęcinę z rzepą.

W sobotę doktor Wycomb udała się do szpitala, by sprawdzić, jak się mają jej pacjentki. Po jej wyjściu razem z babcią pojechałyśmy taksówką do hotelu Pelham. Schodami weszłyśmy na trzecie piętro — pięciopiętrowy budynek nie miał windy — do naszego pokoju, gdzie poza podwójnym łóżkiem nie było wiele więcej. Dysząc ciężko po wspinaczce po schodach, babcia zdjęła kapę, rozrzuciła pościel, z umywalki w łazience nalała wodę do szklanki i postawiła szklankę na parapecie okna. Potem stanęła przy oknie, które wychodziło na szary tył sąsiedniego budynku. Tego dnia temperatura wynosiła minus czternaście stopni i było tak szaro, że marzyłam, aby się położyć do łóżka i zdrzemnąć.

— Zachowuję się trochę głupio, prawda? — odezwała się babcia.

Wzruszyłam ramionami, wciąż nie mogąc się zdobyć na pytanie o nasze oszustwa.

— Nie chodzi o to, że twój ojciec mógłby zadzwonić do hotelu i spytać, czy pokój jest zamieszkały — powiedziała.

To prawda, z powodu kosztów ojciec unikał rozmów międzymiastowych. W tych nielicznych przypadkach, kiedy musiał gdzieś zadzwonić, krzyczał przedziwnie, jak gdyby dzięki uniesionemu głosowi kuzyn z Iowa mógł go lepiej słyszeć.

— Czy doktor Wycomb miała kiedyś męża? — zapytałam.

— Gladys jest sufrażystką. Powtarza zawsze, że nie mogłaby być lekarzem, gdyby miała męża i dzieci, i zapewne ma rację. Może pójdziemy na herbatę, żeby się ogrzać?

Przecnicę dalej znalazłyśmy kawiarnię, prawie pustą, i usiadłyśmy przy małym stoliku. Babcia przejrzała menu.

— Jadłaś kiedyś ekierkę? — zapytała.

Potrząsnęłam przecząco głową.

— Zjemy jedną na pół — powiedziała wtedy. — Nie służą figurze, ale są wyśmienite.

— Czy doktor Wycomb jest przyjaciółką Murzynów?

— Kto ci to powiedział? — Babcia obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem. ,

Nieładnie byłoby donosić na mamę.

— Po prostu tak się zastanawiałam, bo tylu ich mieszka w Chicago — odparłam.

Wówczas niewiele wiedziałam o protestach i demonstracjach, do których dochodziło w innych częściach kraju; o różnicy ras przypominała mi głównie Dena, której ojciec nie pozwalał słuchać płyt czarnoskórych muzyków, i dlatego chciała, żebym puszczała jej Chubby'ego Checkera czy Marvelettes, kiedy przychodziła do mnie.

— Doktor Wycomb popiera desegregację, podobnie jak ja. Ty też powinnaś — odezwała się babcia. — A to oznacza, że oni mogą z nami jeść, mieszkać i chodzić do szkoły. Ale skoro już mówimy o życiu towarzyskim, Gladys spędza o wiele więcej czasu z Żydami niż z Murzynami. Jak wiesz, Żydzi często zostają lekarzami. — Babcia wciąż przyglądała mi się bacznie i pozornie ni z tego, ni z owego spytała: — Nie masz żadnego fatyganta, prawda?

— Nie — odparłam, ale czułam, jak zaczyna mnie palić twarz.

Miesiąc wcześniej, w sobotę wieczorem tuż po Święcie Dziękczynienia razem z Deną jeździłyśmy na sankach na Bony Ridge w towarzystwie dwóch czwartoklasistów, Larryego Nalega i Roberta Beike'a. Robert zaprosił Denę, a ona wzięła mnie ze sobą. W wewnętrznej kieszeni kurtki Larry miał ukrytą butelkę bourbona, którą puścił w obieg. Nieraz zdarzało mi się upijać łyka z babcinych koktajli old—fashioned, czasami dawała mi też wiśniówkę, ale wtedy po raz pierwszy piłam alkohol poza domem. I chociaż nie mogłam się pozbyć poczucia winy, wiedziałam, że jeśli odmówię bourbona, Dena i chłopcy wezmą mnie za pannę porządnicką, co zresztą było prawdą. Musiałam więc napić się prosto z butelki czterokrotnie, tyle bowiem razy wypadła moja kolej, i chociaż mi nie smakowało, przynajmniej rozgrzałam się i rozluźniłam. Przed spotkaniem z Larrym i Robertem byłam stremowana, ale potem ogarnął mnie spokój i zaczęłam dobrze się bawić. W pewnym momencie pobiegłyśmy z Deną do kępy drzew u stóp wzgórza, zsunęłyśmy spodnie i wysikałyśmy się na śnieg, chichocząc i nie przejmując się niczym.

— Napiszcie swoje imię na żółto — krzyknął do nas Larry.

Na koniec chłopcy odprowadzili nas pod nasze domy i widziałam, jak po drugiej stronie ulicy Dena i Robert całują się namiętnie na werandzie. Przez kilka minut Larry stał parę metrów ode mnie — w pewnej chwili powiedział nawet: „Jak nie będą uważali, to pozamarzają im języki” — ale kiedy Robert i Dena oderwali się od siebie i Robert zawołał głośnym szeptem: „Musimy iść, Nagel”, bez ostrzeżenia rzucił się na mnie i zaczął mnie całować. Wargi miał zimne, ale język ciepły. Cały pocałunek trwał jakies osiem sekund i wymagał gwałtownych ruchów głową i szyją, jakby Larry brał udział w konkursie zjadania ciasta, tylko że *zamiast ciasta* miał moją twarz. A potem zeskoczył z naszych schodków i ra-

zem z Robertem podążył Amity Lane. Gdy odeszli na bezpieczną odległość, Dena i ja spotkałyśmy się na środku ulicy, a tam trzymając się nawzajem kurczowo, starałyśmy się nie krzyczeć.

— Wy się naprawdę całowaliście — syknęła Dena.

Dopóki Larry mnie nie pocałował, nie myślałam, że koniecznie musi to zrobić, ale po fakcie cieszyłam się, że to się stało. Cztery tygodnie później Robert i Dena umawiali się na poważnie, ale Larry i ja tylko mijaliśmy się na szkolnych korytarzach, zdawkowo dając sobie do zrozumienia, że się rozpoznajemy.

— Powinnaś mieć fatyganta — powiedziała moja babcia w kawiarni. — Kiedy ostatnio widziałam się z doktorem Ziemniakiem, pokazał mi zdjęcie Roya, który najwyraźniej wyrósł na przystojnego młodzieńca.

Doktor Ziemniak był naszym dentystą.

— Roy Ziemniak jest niski — powiedziałam.

— Po cóż tak wybrzydzać? W takim razie Eugene Schwab.

Schwabowie mieszkali dwa domy od nas.

— Eugene spotyka się z Ritą Sanocki.

— Córką Irmy i Morrisa?

Przytaknęłam.

— Zawsze uważałam, że ma świńską twarz.

— Babciu!

— Moja droga, to ty powiedziałaś, że Roy Ziemniak jest niski. A ja nie chciałam być wobec Rity okrutna, ale na pewno wiesz, o co mi chodzi. Jej oczy i nos. — Podeszła kelnerka, żeby przyjąć zamówienie. — Kiedy byłam w twoim weku, oświadczono mi się już dwukrotnie — powiedziała babcia po odejściu kelnerki. — Najwyższa pora, żebyś zaczęła się umawiać.

— Znalazłyśmy dżentelmena w sam raz dla ciebie — oznajmiła doktor Wycomb następnego wieczoru przy kolacji.

Jadłyśmy jagnięcinę, maślane bułeczki i karczochy — kolejna potrawa, której nigdy wcześniej nie kosztowałam. Raz w roku doktor Wycomb zamawia skrzynkę tych warzyw z Kalifornii. Babcia pokazała mi, jak należy usunąć liście i zanurzać je w maśle, jak delikatnie odgryzać miąższ przednimi zębami.

— Marvin Benheimer jest synem jednego z moich kolegów z pracy, gastroenterologa — mówiła doktor Wycomb do mnie. — Studiuje na drugim roku w Yale i jest bardzo wysoki. Przyjdzie po ciebie jutro o siódmej.

— Wspaniale — powiedziała moja babcia.

— Przyjdzie po mnie tu taj? Jutro?

— To będzie sylwester — zauważyła babcia. — Sądziłyśmy, że ucieszysz się po całym tygodniu spędzonym w towarzystwie dwóch starszych pań.

— Podoba mi się spędzanie czasu z wami.

— Nie musisz za niego wychodzić, Alice — powiedziała babcia. — Potraktuj to jako trening. Musisz wiedzieć, jak się zachować w różnych sytuacjach towarzyskich.

Nie mogłam oświadczyć babci, że mnie nie docenia — co prawda nie byłam na żadnej prawdziwej randce, ale też Larry Nagel nie był pierwszym, z którym się całowałam. W dziewiątej klasie, na czternastych urodzinach Pauline Geisseler graliśmy w pocztę i najpierw Bobby Sobczak wybrał mnie, a potem, kiedy była moja kolej, wybrałam Rudy'ego Kuesto. Obaj smakowali orzeszkami ziemnymi, ponieważ nimi właśnie poczęstowała nas między innymi Pauline.

— Nie musisz się denerwować — powiedziała doktor Wycomb. — Marvin to wyjątkowy młody człowiek. Zabierze cię na kolację, potem przyprowdzi do Palmer House, gdzie twoja babcia i ja spotkamy się na drinku z jego rodzicami, i wszyscy razem powitamy Nowy Rok. Nie brzmi to chyba aż tak strasznie, prawda?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, babcia odłożyła widelec.

— Brzmi cudownie — powiedziała cała rozpromieniona.

Nosił płaszcz i krawat, ja miałam na sobie spódnicę w szkocką kratę i bluzkę, w których przyjechałam z Riley, nie założyłam jednak broszki ani zielonego wełnianego swetra.

— Jest zbyt męski — wyraziła się moja babcia o swetrze, kiedy weszłam do salonu, by w stroju wyjściowym zaprezentować się jej i doktor Wycomb.

Na moje protesty, że zmarznę, oświadczyła, że do restauracji jest bardzo niedaleko. Przed wyjściem Marvin spędził chwilę w towarzystwie babci i doktor Wycomb. Kiedy Myra zapytała, czego się napije, poprosił o millera.

— Jeżeli to możliwe. Szampan wśród butelkowanego piwa! — dodał pełnym nieusprawiedliwionego entuzjazmu tonem, jakby udzielał głosu w reklamie.

W tej chwili poczułam, jak babcia unika kontaktu wzrokowego ze mną, nie chcąc zdradzić, czego ja byłam pewna niemal natychmiast — że Marvin był raczej mało atrakcyjny.

— Tu masz klucz — powiedziała doktor Wycomb, kiedy wstaliśmy do wyjścia. — Na wszelki wypadek. Zapisałam też adres i numer telefonu, gdyby zaszła niespodziewana potrzeba. — Podała mi kawałek papieru.

— Gladys, będą trzy przecznice stąd — rzekła babcia. — A Marvin nie był jak dotąd notowany, przynajmniej o niczym takim nie wspomniał.

— Doktor Wycomb wie, że jestem czysty i przejrzysty jak lza — powiedział Marvin i wszyscy się zaśmiali.

Ja jednak miałam złe przeczucia, gniecenie w żołądku, które się zaczęło, kiedy szcztkowałam włosy w łazience, i nie minęło, kiedy poznałam Mar— vina. Towarzyszyło mi nawet wtedy, gdy już się zorientowałam, że nie muszę się go bać.

— Może i jest trochę jak dupa wołowa — szepnęła do mnie babcia, kiedy Marvin podawał mi płaszcz. — Ale pamiętaj, trening.

— Ile masz wzrostu? — nie mogłam powstrzymać się od pytania, kiedy zjeżdżaliśmy windą do holu.

— Metr dziewięćdziesiąt pięć — odparł tonem, który wskazywał, że często mu zadawano to pytanie, ale udzielanie odpowiedzi na nie nigdy go nie znużyło.

Restauracja nazywała się „U Buddy'ego”, wyobrażałam więc sobie, że nie będzie zbyt elegancka i może nawet się okaże, że jesteśmy zbyt wystrójeni. Ale była elegancka, a my byliśmy jednymi z najmłodszych gości. Kiedy weszliśmy, ktoś wziął nasze okrycia, a *maitre d'* powiódł nas do skąpo oświetlonej jadalni, z ciężkimi zasłonami i fotelami z wysokimi oparciami przy stolikach.

— Prawdę powiedziawszy — odezwał się Marvin, gdy już siedzieliśmy — kiedy ojciec powiedział, że mam to zrobić, bałam się, że będziesz szkaradna, ale na szczęście okazałaś się cholernie ładna.

— Dzięki — bąknęłam niepewnie.

— Nie obrażaj się. Nie mówiłbym tego, gdybyś była szkaradna.

— Och — powiedziałam. — Okay.

— Jesteś jeszcze w liceum, prawda? — Kiedy skinęłam głową, dodał: — Radziłbym, żebyś trzymała się z daleka od Bryn Mawr. W ogóle od wszystkich Siedmiu Sióstr. Dziewczyny stamtąd to największe kretyнки.

— Co to jest Siedem Sióstr?

Popatrzył na mnie, jakby nie wiedział, czy mówię serio, czy też stroję sobie żarty.

— Ty naprawdę pochodzisz z małego miasteczka — rzekł bez złośliwości. — To żeńskie odpowiedniki uczelni Ligi Bluszczowej. Radcliffe i Harvard, Barnard z Columbia, i tak dalej. W *New Haven* naszą *siostrzaną* szkołą jest Vassar, chociaż dzieli nas dobre półtorej godziny.

— Chcę iść do Kolegium Nauczycielskiego Ersine w Milwaukee — powiedziałam — Tam chodzą same dziewczęta, może więc to jest siostrzana szkoła — nie wiem.

— Na pewno żadna z S i e d m i u Siostrzanych Szkół.

— Nie, chyba rzeczywiście nie. Ale naprawdę nie wiem.

— Nie — powiedział. — Z całą pewnością nie.

To niepokojące uczucie, które pojawiło się wcześniej — wciąż mi towarzyszyło. Teraz dołączyło do niego poczucie gorąca, które obejmowało całe moje ciało, gromadząc się głównie w policzkach i szyi.

— Jeżeli ja zamówię — dla nas, na pewno podadzą ci drinka — rzekł Marvin.

— Woda wystarczy. — Czubkami palców dotknęłam policzka i tak jak się spodziewałam, moja skóra płonęła.

— Przepraszam na chwilę.

Łazienka również była elegancka. Przy umywalce siedziała ciemnoskóra służąca, chyba niewiele starsza ode mnie. Do każdej kabiny prowadziły drewniane drzwi sięgające sufitu; wewnątrz uchwyt na papier toaletowy był złoty. Jak uczyłam mnie mama, zanim usiadłam, rozłożyłam po kawałku papieru z obu stron deski, a kiedy skończyłam się załatwiać, pochyliłam się do przodu, wsparłam łokcie o kolana i zasłoniłam twarz dłońmi. Nie miałam całkowitej pewności, że zwymiotuję, ale było to możliwe. Czy naprawdę byłam aż takim towarzyskim tchórzem? Chociaż nie wydawało mi się, żeby jakoś specjalnie zależało mi na zdaniu Marvina, być może moje ciało wiedziało więcej od umysłu.

Świadoma, że przy umywalce siedzi służąca, zmusiłam się, żeby wstać, spuścić wodę i doprowadzić ubranie do porządku. Umyłam ręce, a kiedy dziewczyna podała mi ręcznik, zobaczyłam talerzyk pełen monet.

— Bardzo przepraszam — powiedziałam — ale zostawiłam torebkę przy stole.

— Pozwoliłem sobie zamówić przystawkę — rzekł Marvin, kiedy wróciłam do sali. — Czy lubisz ślimaki?

— Owszem — odparłam, chociaż oczywiście wżyciu ich nie kosztowałam, ale przynajmniej wiedziałam, co to jest, i według mnie musiały być obrzydliwe.

Kiedy kelner przyniósł małą białą miseczkę wypełnioną brązowymi glutami unurzanyymi w rozpuszczonym maśle, musiałam odwrócić wzrok. Jako danie główne Marvin zamówił potrawkę z królika.

— Z przeprosinami dla pana Królika Bugsa — dodał, uśmiechając się złośliwie.

Ja poprosiłam o stek; wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, przynajmniej tutaj nie czekały mnie żadne niespodzianki. Dostanę zwykły stek, zjem trzy kęsy, w reszcie będę grzebać do końca posiłku.

Marvin nachylił się nad stolikiem.

— Oto moralny dylemat dla ciebie. Zbudowałaś na podwórku schron przeciwbombowy, a twoi sąsiedzi nie. Kiedy atakują nas Sowietzi, pryskasz do swojego schronu, ale sąsiedzi błagają cię o jedzenie i wodę. Co robisz?

— Słucham?

— Alice, śledzisz bieżące wydarzenia? I nie chodzi mi tu o kapelusz, jaki Jackie Kennedy założyła w tym tygodniu, ani kto projektował jej sukienkę.

— Czasem czytam gazety. — Jeden z organów wykonał właśnie salto w moim brzuchu, co na tyle odwróciło moją uwagę, że nie poczułam się obrażona protekcjonalnością Marvina.

— Strzelasz i zabijasz ich — powiedział. — Oto, co robisz. Skoro twoi sąsiedzi nie planowali z wyprzedzeniem, nie ponosisz odpowiedzialności za ich życie.

Wtedy kelner zjawił się z naszym jedzeniem i mój stek okazał się ochłapem mięsa wciąż przyczepionym do kości, w otoczeniu złowrogo połyskującego groszku i marchewki oraz pieczonego ziemniaka wylewającego się z popękanej skórki. Wiedziałam, że nie zjem nawet kęsa; nie mogłabym niczego tknąć.

— Z czego nikt nie zdaje sobie sprawy, jeżeli chodzi o Chruszczowa — zaczął Marvin.

— Wybacz, ale nie czuję się najlepiej — przerwałam mu. — Muszę już iść. ,

— Teraz? — Marvin był wyraźnie zbity z tropu.

— Przepraszam. — Wstałam. — Proszę, zostań. Sama wrócę do domu doktor Wycomb.

— Jesteś pewna?

— Nie powinniśmy zmarnować całego jedzenia. Naprawdę bardzo przepraszam.

Przebiegłam przez restaurację i odebrałam płaszcz od szatniarza — mówił do mnie, kiedy mi go podawał, ja jednak wyszłam bez odpowiedzi. Cała płonęłam i kręciło mi się w głowie. Myślałam tylko o tym, żeby to coś straszego, co przewracało się w moich wnętrznościach, nie wydostało się na zewnątrz, na widok publiczny. Jeżeli uda mi się dotrzeć do pustego mieszkania doktor Wycomb, będę mogła usiąść na podłodze w łazience, obok toalety i wtedy wszystko wyjdzie ze mnie w kulturalny sposób; nikt nie będzie świadkiem tej chwili.

„Idź przed siebie chodnikiem”, myślałam. I kiedy powtarzałam sobie te słowa w głowie, w swoim niepokoju i rozpaczycy jawiły mi się niczym pa— lindrom, w którym jestem zamknięta, czyściec mdłości. Panowało dotkliwe zimno, które w pierwszej chwili po wyjściu z restauracji wydawało się zbawienne, ale szybko także stało się udręką. Wreszcie jakimś cudem dotarłam do budynku, gdzie mieszkała doktor Wycomb. Odźwierny skinął mi głową, windziarz również chyba mnie rozpoznał.

— Szczęśliwego Nowego Roku — powiedział, ale ja nie odpowiedziałam.

Wiedziałam, że zachowuję się niegrzecznie, ale bałam się otworzyć usta.

Wreszcie złota jedwabna tapeta, hol, drzwi do mieszkania doktor Wycomb, moje drżące ręce, kiedy przekręcałam w zamku klucz, który od niej dostałam. W mieszkaniu grała muzyka — jazz, i to głośno — dlatego też, mimo mdłości, nie od razu przeszłam z foyer do holu wiodącego do sypialni. Przekonana, że po przyjeździe zastanę mieszkanie puste, byłam zdumiona i zaciekawiona (czyżby Myra słuchała tak głośno muzyki? Nie, przecież późnym popołudniem poszła do domu), skierowałam się więc do salonu i już miałam przekroczyć jego próg, kiedy usłyszałam śmiech mojej babci, a zaraz potem ujrzałam ją, jak siedzi na kolanach doktor Wycomb i całuje ją w usta.

Doktor Wycomb miała na sobie bordowy jedwabny szlafrok; babcia nosiła beżowy stanik i beżowe majtki obszyte koronką. Siedziała zwrócona twarzą do doktor Wycomb. Usta miały lekko otwarte, a oczy zamknięte. Ich pocałunek trwał kilka sekund i nie skończył się, kiedy się wycofałam tak zaskoczona, że przez chwilę szok, jakiego doznałam, okazał się silniejszy od mdłości. Musiałam wyjść z mieszkania. I tak zrobiłam, obchodząc się z drzwiami możliwie najo-

strożniej i najciszej. W holu mdłości powróciły ze zdwojoną siłą i zanim się zorientowałam, co robię, już to zrobiłam. Po obydwu stronach drzwi do windy stały wielkie metalowe wazony, wysokie prawie na metr, obwiązane czerwoną wstążką. Wstawiono do nich artystyczne kompozycje bożonarodzeniowych gałązek. Podeszłam do wazonu bliżej mnie, odsunęłam gałązki, po czym zwymiotowałam — obrzydliwie, smrodliwie, obficie — w jego otchłań.

Przez długi czas siedziałam skulona na wyłożonej dywanem podłodze obok windy, kompletnie wyczerpana. Wiedziałam, że muszę się ruszyć i albo zjechać na dół, do holu, albo zapukać do drzwi i poczekać, aż babcia bądź doktor Wycomb wpuszczą mnie do mieszkania, jednak ani jedno, ani drugie nie uśmiechało mi się zbyt. Wobec tego, opatulona spódnicą i płaszczem, zapadłam w drzemkę. Wydaje mi się, że upłynęła jakaś godzina, choć może mniej lub więcej czasu, kiedy znalazł mnie windziarz. To on zapukał do drzwi, a kiedy doktor Wycomb otworzyła, czułam się jak wagarowiczka.

— Zwymiotowała tutaj — powiedział windziarz. — No, nie wiem, kto to posprząta, ale ja dzisiaj obsługuję windę.

Wzrok doktor Wycomb spoczął na mojej twarzy.

— Może coś zjadłam — wymamrotałam.

— Dziękuję, Teddy — rzekła doktor Wycomb do windziarza. — Zajmę się wszystkim. Emilie — zawołała, prowadząc mnie do środka. — Alice wróciła wcześniej.

— Pozostawiał aż tyle do życzenia? — Głos babci stawał się coraz głośniejszy w miarę, jak zbliżała się do nas. — Alice, naprawdę powinnaś... — Wtedy mnie zobaczyła. — Wielki Boże, wyglądasz koszmarnie.

Zauważyłam, że jest kompletnie ubrana w swój brązowy kostium.

— Zwymiotowała, podejrzewam też, że ma gorączkę i jest odwodniona

— powiedziała doktor Wycomb.

Wspólnymi siłami położyły mnie do łóżka i zmierzyły mi temperaturę

— 39 stopni, jak się okazało.

— Musisz dostać płyny — powiedziała doktor Wycomb. — Emilie, przynieś ze spiżarni piwo imbirowe.

Pociągnęłam kilka łyków ze szklanki, którą przyniosła mi babcia — napój był słodki i gazowany — i natychmiast usnęłam, tym razem o wiele głębiej, niż jakiś czas temu w holu. Kiedy się obudziłam następnym razem, mały okrągły zegar na

marmurowym stoliku powiedział mi, że zbliża się ranek. Babcia spała na łóżku obok. Za trzecim razem na dworze zrobiło się jasno, ja byłam w pokoju sama i czułam zapach kawy. Wstałam, żeby pójść do toalety, a kiedy wróciłam, babcia czekała na mnie, paląc papierosa.

— Naprawdę wiesz, jak z klasą powitać nadchodzący rok — powiedziała.

— Przepraszam, że przeze mnie nie poszłyście wczoraj do hotelu.

— Jeśli rodzice Marvinina są choć trochę podobni do swojego potomstwa, uratowałaś nas. Muszę przyznać, że nie mogłaś wybrać sobie na chorowanie lepszego miejsca w całym Chicago. Miałaś na każde skinienie i zawołanie najlepszego lekarza w mieście.

Wróciłam do łóżka i przez resztę dnia wychodziłam z niego tylko wtedy, kiedy musiałam iść do łazienki; *nawet się nie wykąpałam*. Przykryta kołdrą, na przemian pociłam się i dygotałam z zimna, bolało mnie całe ciało, a one co jakiś czas mierzyły mi temperaturę.

— Samo musi przejść — powiedziała doktor Wycomb. — Za dzień lub dwa dojdiesz do siebie.

— Och, założę się, że jutro będzie już zdrowa — rzekła babcia. — Nieprawdaż, Alice?

Późnym rankiem następnego dnia miałyśmy wracać pociągiem do Riley.

— Na razie nie podejmujemy jeszcze decyzji — powiedziała doktor Wycomb.

Około ósmej wieczorem babcia przyniosła mi dwie aspiryny i szklanek świeżej wody.

— Twoi rodzice z pewnością woleliby, żebyś wróciła do domu lekko chora o czasie, niż zdrowa później. Jeżeli zostaniemy tu jeszcze jeden dzień, będą nieustannie wydzwaniać. Musiałybyśmy załatwić od nowa bilety, a twój ojciec będzie wściekły.

Bardziej chodziło o to, że trzeba by było się tłumaczyć. Trzeba by było pojechać do hotelu Pelham i z powrotem, udawać, że przedłużamy rezerwację pokoju, w *którym* nigdy nawet nie spałyśmy. Cały łańcuch kłamstw pozwalających mojej babci całować usta innej kobiety, starej, nawet nieatrakcyjnej — nie mogłam już o tym myśleć, o tamtym ułamku chwili, o dziwnym, budzącym niepokój widoku.

— Odpocznij — powiedziała babcia, podczas gdy ja milczałam. — Pociąg jest dopiero o jedenastej, będziemy więc miały mnóstwo czasu rano, żeby się spakować.

Kiedy zamknęłam oczy, usłyszałam, jak wstaje, i nie wiedziałam, czy to mi się śniło, czy rzeczywiście wymamrotałam te słowa.

— Nie wiem, po co mnie tu przywiozłaś.

— Przywiozłam cię dokąd? — powiedziała babcia, a ja zrozumiałam, że mówiłam na głos. — Do Chicago?

Obróciłam się na bok. — Co?

Babcia była zaniepokojona i patrzyła na mnie przenikliwie.

— Mówiłaś przez sen — rzekła na koniec.

Tuż przed wyjściem na dworzec miałam prawie trzydzieści dziewięć stopni gorączki, prawdą jednak jest, że kiedy mijaliśmy Dodsonville, przystanek przed Riley, czułam się niemal normalnie. Rodzice powitali nas radośnie.

— Czy byłaś na szczycie drapacza chmur? — zapytała mama. — Bardzo ci się podobało?

— Naprawdę miło z twojej strony, że zabrałaś ze sobą Alice — powiedział ojciec do babci, kiedy jechaliśmy autem.

Zabrzmiało to jak przeprosiny.

— W domu było tak cicho bez was — odezwała się mama. — Nawet zaczęłam czytać czasopisma babci.

Babcia uśmiechnęła się do mnie, ja uśmiechnęłam się do niej, ale wtedy mi się przypomniało i musiałam się odwrócić, żeby wyjrzeć przez okno.

Następnego dnia zadzwoniła Dena.

— Musisz do mnie przyjść — powiedziała, a w jej głosie słychać było łzy — To pilne.

— Co się stało?

— Po prostu przyjdź.

Stałam w kuchni i kiedy odwiesiłam słuchawkę, założyłam płaszcz i wybiegłam z domu. Po drugiej stronie ulicy zapukałam do wejściowych drzwi domu Janaszewskich — dzwonek był zepsuty od 1958 roku — ale ponieważ było mi zbyt zimno i za bardzo się martwiłam, przekręciłam gałkę i weszłam.

— Halo? — krzyknęłam.

W salonie siostry Deny, Marjorie i Peggy, kłóciły się o to, która z nich ma teraz puszczać muzykę z płyty. Peggy zerknęła na mnie.

— Dena jest na górze — powiedziała i wróciła do kłótni.

Na drugim piętrze drzwi do pokoju, który Dena dzieliła z Marjorie, były otwarte, ale pokój wydawał się pusty.

— Dena? — powiedziałam niepewnie.

Spod jednego z identycznych łóżek wychynęła ręka i pomachała do mnie. Kucnęłam, a potem przyklęknęłam i pochylając się do przodu, uniosłam narzutę.

— Co się stało? — zapytałam. — Mam tam wejść?

— Zrujnowałam sobie życie — odezwała się Dena drżącym i zapłakanyym głosem.

Położyłam się na plecach i wsunęłam pod łóżko. Natychmiast poczułam drapanie kurzu w gardle. Drogę zagrażało mi kilka przedmiotów — może jakichś butów czy zabawek — i musiałam je przesunąć, żeby znaleźć się koło Deny.

— O co chodzi? — spytałam.

Przełknęła, a potem odezwała się ponuro.

— Zgoliłam sobie baczki.

— Ale przecież ty nie masz baczków.

— Tak, t e r a z już nie mam.

Chwyciłam narzutę i uniosłam, żeby wpuścić pod łóżko trochę światła.

— Nic nie widzę — powiedziałam. — Musisz wyjść.

Wyczołgałam się spod łóżka, a po chwili Dena podążyła za mną.

Kiedy usiadła na podłodze wsparta ramionami o łóżko, z twarzą pokrytą czerwonymi plamami, mokrymi od łez oczami, jej brązowe włosy, nieco jaśniejsze od moich, ale obcięte tak samo, sterczały jak u małej dziewczynki. Sięgnęła po lusterko, które leżało na dywanie lśniąca stroną w dół. Dobrze je znałam — znaczną część swojego życia spędziłam, wpatrując się w nie, często równocześnie z Deną. Lustrzana część była mniej więcej wielkości twarzy, z brudnoróżową plastikową oprawką i rączką. Trzymając lusterko przed sobą, Dena odwróciła głowę w bok i z ponurą miną wpatrywała się w miejsce koło ucha.

— W dalszym ciągu nie wiem, o czym mówisz — powiedziałam.

— No, najpierw je ścięłam, ale wyglądały głupio, więc wzięłam żyłkę.

Zbliżyłam się i koniuszkiem wskazującego palca potarłam rzeczony miejsce.

— Postarałaś się. Jest idealnie gładkie. Pokaż drugą stronę. — Kiedy to zrobiła, tam również dotknęłam skóry. — W porządku — powiedziałam.

— Ale pomyśl, co będzie, jak odrosną. Będę miała szczecinę. Alice, będę miała popołudniowy zarost!

— Znowu się ogolisz.

— Codziennie, już do końca życia?

— Nikt nic nie zauważy — powiedziałam. — Zapewniam cię.

— Robert uważa, że owłosione dziewczyny są jak małpy. Wiesz, jak Mary Hafliger.

— Dena, przestań — weszłam jej w słowo. — To nie jej wina.

Mary Hafliger, która razem ze mną należała do Spirit Club, miała przedramiona porośnięte ciemnymi gęstymi włosami i słyszałam, jak zarówno chłopcy, jak i dziewczyny z naszej klasy nieraz o tym rozmawiali.

— Ale może coś z tym zrobić — powiedziała Dena. — Choćby utlenić.

— Mary jest miła — rzekłam. — Pamiętasz te mikołaje do czyszczenia fajek, które sprzedawałyśmy przed świętami? Każdemu przykleiła brodę i zajęło jej to cały tydzień.

Dena się uśmiechnęła.

— Jasne, założę się, że sama przykleiła się do tych bród.

Dena zrealizowała swój plan z podstawówki, że zostanie cheerleaderką, a członkinie Spirit Club stały dużo niżej w naszej szkolnej hierarchii. Niejeden raz zachęcała mnie, żebym ja także zmieniła przynależność — obiecywała, że kiedy zgłoszę swój akces, szepnie za mną słówko — ale ja jakoś nie marzyłam o wydzieraniu się i skakaniu na oczach innych ludzi.

Dena wciąż trzymała lusterko, wpatrując się w siebie. W pewnym momencie bezmyślnie ściągnęła usta. Jej rozpacz zdawała się minąć. Nagle postawiła lusterko na dywanie.

— Jestem na wpół dziewicą — wyszeptała.

— Co to znaczy?

— Zamknij drzwi. — Skinęła na nie, a kiedy zrobiłam, co kazała, mówiła dalej. — Pozwoliłam Robertowi włożyć go do połowy.

— Dena, nie musisz robić wszystkiego, co on ci każe. Powinien cię szanować.

— Dlaczego myślisz, że jest inaczej? — uśmiechnęła się złośliwie.

Wiedziałam, że wcześniej Dena pozwalała, żeby Robert wkładał jej rękę pod spódnicę czy do spodni, ale nigdy nie pod bieliznę, a przynajmniej tak twierdziła. Te doniesienia z pola bitwy były ekscytujące, ale też niezwykle groźne. Jak powiedziała nam nasza nauczycielka prac domowych, pani Anderson, niektórzy mężczyźni, kiedy się podniecą, nie potrafią nad sobą zapanować. W grę wchodziła reputacja dziewczyny, a co ważniejsze, istniało ryzyko zajścia w ciążę. Krążyły plotki, że niektóre dziewczyny z Benton County Central High uprawiają seks — na przykład o niejakej Cindy Pawlak wiadomo było, że nie tylko to robiła, ale na dodatek z wieloma różnymi mężczyznami, a największy skandal wywołała, zadając się z kierowcą gimbusa, żonatym człowiekiem z Houghton. Były też dziewczęta, zazwyczaj ze wsi, które zachodziły w ciążę, rzucały szkołę, po czym — jeśli im się poszczęściło — wychodziły za mąż. Była też dziewczyna w klasie wyżej, Barbara Grob, blondwłosa cheer— leaderka, która podobno ubiegłej wiosny postanowiła wyprowadzić się do kuzynki w Eau Claire, ale wszyscy wiedzieli, że pojechała do klasztoru urodzić dziecko, a potem oddać je do adopcji. Wróciła do szkoły wyniszczona i gruba i nie starała się o ponowne przyjęcie do drużyny cheerleaderek. Mimo że, jak widać, seks nie był czymś niespotykanym, nie spodziewałam się, że Dena n a p r a w d ę to robi; myślałam, że dotrze do krawędzi, będzie się droczyć i podpuszczać, ale na tym poprzestanie.

— Nie chcesz zaczekać z tym do ślubu? — spytałam.

Taki był mój plan, całkiem rozsądny, zważywszy na to, że od zamążpój— ścia dzieliło nas zaledwie kilka lat. W Riley nawet te dziewczęta, które poszły do college'u, często zostawały pannami młodymi jeszcze przed uzyskaniem dyplomu, a te, które w wieku dwudziestu pięciu lat wciąż nie miały męża, stały w obliczu staropanieństwa. Ruth Hofstetter, pracująca w sklepie z materiałami, w którym zaopatrywałyśmy się z matką, miała dwadzieścia osiem lat i żadnego fatyganta i ilekroć wychodziłyśmy z mamą ze sklepu, zawsze powtarzałyśmy, jakie to smutne, tym bardziej że Ruth była miła i ładna.

— Trochę już na to za późno — powiedziała Dena. — W zasadzie nie ma żadnej różnicy między częściowo, a do końca.

— Myślisz, że wyjdiesz za Roberta?

— Być może.

— Dena, jeśli wyjdiesz za kogoś innego, od razu się domyśli, bo w noc poślubną nie poplamisz prześcieradła krwią.

Prychnęła.

— Nie wszystkie krwawią. — Podniosła lusterko i znowu się w nim przejrzała. — O niczym nie masz pojęcia.

Unikałam babci, ale któregoś popołudnia na początku lutego mama wyszła do sklepu, a ja wróciłam ze szkoły i zastałam babcię siedzącą w salonie. Palila papierosa i czytała powieść Wilkiego Collinsa. Powiesiłam torbę przy drzwiach i poszłam do kuchni przyrządzić sobie coś do jedzenia. Babcia przyszła za mną. Sięgnęłam do kredensu po miód — chciałam posmarować nim tost.

— Jesteś okropnie naburmuszona od naszego powrotu z Chicago — powiedziała babcia. — Czy w związku z naszą podróżą chciałabyś o czymś ze mną porozmawiać?

— Nie — odparłam.

— Żadnych pytań na temat doktor Wycomb?

Potrząsnęłam głową.

Na chwilę zapadła cisza.

— Nie będę twierdzić, że przez całe życie nie zrobiłam niczego, czego mogłabym się wstydić — odezwała się w końcu babcia. — Ale od jakiegoś czasu nie mogę sobie nic zarzucić. Jeżeli nie wszyscy zgadzają się z moimi decyzjami, trudno. Zdanie innych nigdy nie miało wpływu na to, czy coś jest dobre czy złe.

W tej chwili brzydziłam się babcią. Była taką hipokrytką, pomyślałam — udaje bezpośrednią i szczerą, zniekształcając prawdę i wciągając mnie w swoje gierki. Stojąc tyłem do piecyka, mierzyłam ją wzrokiem.

— Ludzie są skomplikowani — ciągnęła. — A ci, którzy nie są, są nudni.

— W takim razie może jestem nudna.

Patrzyłyśmy na siebie, wreszcie babcia odezwała się autentycznie smutnym głosem.

— Może jesteś.

Robert Beike i Dena oficjalnie chodzili ze sobą już od kilku miesięcy, kiedy nadszedł maj, a wraz z nim komers gimnazjum i liceum. W marcu Dena postanowiła, że Larry Nagel powinien mnie zaprosić. Na kilka tygodni przed ko-

mersem stało się; kiedy wyszłam z pracowni chemicznej, Larry ze skrzyżowanymi ramionami stał na korytarzu. Nasze spojrzenia spotkały się i od razu wiedziałam, co go sprowadza. Razem ze mną szła moja koleżanka, Bet— ty Bridges.

— Idź przodem, dogonię cię — mruknęłam do niej.

Kiedy odeszła, Larry odezwał się niezbyt przyjaznym tonem:

— Idziesz na komers? — spytał.

— Chyba tak — odparłam.

— Chcesz iść ze mną?

— jasne.

— Okay — powiedział wciąż tym samym, obojętnym tonem. — To na razie.

Ruszył korytarzem w tym samym kierunku, w którym i ja się udawałam, ponieważ jednak chyba nawet przez myśl mu nie przeszło, że moglibyśmy pójść razem czy kontynuować rozmowę, zaczekałam, aż zniknie. Szczerze mówiąc, raczej nie mogłam oczekiwać, że moja zgoda wstrząśnie nim albo go ucieszy, skoro i tak Dena wszystko zaaranżowała. Czy byłam wstrząśnięta lub ucieszona jego zaproszeniem? Spodziewałam się jednak więcej entuzjazmu po słodkim, impulsywnym chłopaku, który całował mnie na ganku, i w pewnym sensie jego normalna obojętność czyniła jego zdolność do bycia słodkim jeszcze słodsza. Bez wątpienia na komersie nadarzy się okazja, by dowiódł mi tego po raz kolejny.

Mama uszyła mi sukienkę z wykroju, który znalazłam w „Mademoiselle” — była zielona, z dekoltem w serduszko i tiulową spódnicą — zamierzałam założyć do niej sięgające powyżej łokcia białe rękawiczki, sprawiające, że czułam się w nich — zarówno w złym, jak i w dobrym znaczeniu — niczym angielska królowa. Kilka godzin przed komersem znalazłam na swoim biurku papierową torebkę z zieloną opaską na włosy, w kolorze niemal identycznym jak kolor sukienki. Z opaską w ręce zbiegłam na dół. W kuchni mama wkładała do piekarnika zapiekankę.

— Bardzo ci dziękuję — powiedziałam. — Pasuje idealnie.

Uśmiechnęła się.

— Mam nadzieję, że będziesz się wspaniale bawić.

Zamknęła piekarnik, a ja pod wpływem impulsu objęłam ją — teraz, kiedy oddaliłam się od babci, mama stała mi się o wiele bliższa. Ze względu na pełnio-

na przeze mnie funkcję w Spirit Club rano musiałam zanieść do szkoły dwieście babeczek, jako przekąski na komers. Poprzedniego dnia mama do północy pomagała mi je dekorować złotym lukrem.

Nieco później, gdy rodzice i babcia kończyli kolację, poszłam na dół w sukience, wciąż jeszcze bez butów, ale w rękawiczkach i opasce na włosach, by się zaprezentować. Kiedy weszłam do jadalni, powitali mnie oklaskami.

— Dygnij — rozkazała babcia. Ponieważ stosunki między nami były bardziej napięte, kiedy przebywałyśmy sam na sam, obecność nieświadomych tego rodziców łagodziła atmosferę, więc jej posłuchałam.

Był wiosenny wieczór, w sąsiednim ogródku pan Nofłke kosił swój trawnik, a woń ściętej trawy napływała przez otwarte okna naszej jadalni.

Wtedy, ku memu zdumieniu, ojciec wstał i wyciągnął rękę.

— Czy mogę prosić do tańca? — spytał.

— Och, tylko włączę muzykę! — Mama pobiegła do salonu, żeby włączyć radio, i rozległa się muzyka orkiestrowa, chyba Glenna Millera.

Ojciec uniósł nasze ręce, tak że ułożyły się w łuk ponad moją głowę, i zakręcił mną.

— Alice, w tej sukience naprawdę ci do twarzy — powiedziała mama, przekrzykując muzykę.

Ojciec trzymał mnie delikatnie, zachęcając, bym się obracała i kołysała.

— Trzymaj się prosto. Nawet niscy faceci wolą, żeby ich dziewczyny trzymały się prosto, bo to świadczy o pewności siebie.

Cofnęłam ramiona i uniosłam brodę.

— Przechył ją! — krzyknęła babcia.

— Uważaj na jej plecy — dodała natychmiast mama.

Przy głośnym dźwięku saksofonów dobiegającym z radia poczułam, że lecę w dół, i usłyszałam, jak mama i babcia klaszczą. Być może gdy zawisłam tuż nad podłogą, krew gwałtownie napłynęła mi do głowy, a może sprawiła to muzyka, ale w tamtej chwili kochałam całą swoją rodzinę, także babcie, i to tak mocno, że zachciało mi się płakać. Byli dla mnie tacy dobrzy i troskliwi, byłam taką szczęściarą, a mimo to miałam świadomość, jak kruche bywa szczęście.

— Jesteś bardzo piękną dziewczyną — powiedział tato, gdy stałam już prosto, ale tak cicho, że ani mama, ani babcia go nie słyszały. — Nie pozwól, żeby twój partner cię dzisiaj wykorzystał.

Robert, Larry, Dena i ja jedliśmy kolację w Tatty s. Do tradycji Riley należało, że Przed komersem należy się wystroić, po czym pójść na ociekającego tłuszczem hamburgera. Pamiętając opowieści o dziewczynach, które tonęły we łzach, jeszcze zanim dotarły na bal, ponieważ ich jedwabne sukienki zostały poplamione ketchupem albo jakimś innym sosem, starannie schowałam swoje białe rękawiczki do torebki, a na kolanach rozłożyłam aż trzy serwetki. Robert był kierowcą, ja siedziałam na *tylnym* siedzeniu razem z Larrym. Mój optymizm dotyczący nadchodzącego wieczoru zbladł nieco, kiedy Larry podjął jedyną nieudaną próbę przyczepienia mi bukietka do dekoltu, po czym podał mi blad różową różyczkę.

— Przypnij to sobie sama, co? — powiedział.

Z Tattys pojechaliśmy do szkoły, gdzie w sali gimnastycznej było gorąco, głośno i tłoczno, ale tak właśnie powinno być. Nad naszymi głowami krzyżowały się żółte i niebieskie serpentyny, wielkim powodzeniem cieszyły się też żółto—niebieskie babeczki — próbowałam zobaczyć, czy moje na równi z innymi, ale wszystkie wystawiono na stołach pod ścianą i nie potrafiłam ich rozróżnić — na estradzie czterech mężczyzn w smokingach, czyli zespół z Madison Little Brothers, grało *Who Put the Bomp*.

— Hej, Alice — powiedział Robert.

Popatrzyłam na niego.

Uśmiechnął się lubieżnie.

— Larry już nie może się doczekać, żeby z tobą zatańczyć.

Oboje z Deną parsknęli śmiechem, a ja się przeraziłam, że za pośrednictwem Roberta Dena złożyła Larry'emu jakieś obietnice na temat mojej fizycznej dostępności. Dena i Robert już sześć razy uprawiali seks. Jak wyjaśniła Dena: po jednym razie na każdy miesiąc umawiania się, chociaż połowa z tego odbyła się w późniejszym okresie ich znajomości. Powiedziała mi, że nie chciała robić tego zbyt często, ponieważ wtedy nie byłoby w tym nic specjalnego. Powiedziała też, że Robert wiedząc, iż może mu się poszczęścić, ale równie dobrze i nie, bardziej o nią zabiega; tydzień wcześniej kupił jej białego pudła zabawkę, który miał miniaturową połączaną kostkę.

Kiedy zaczęliśmy z Larrym tańczyć, Larry nie próbował mnie od razu obmacywać, co przyjął z ulgą. Okazał się dobrym tancerzem, na pewno lepszym ode mnie, i nie schodziliśmy z parkietu — jedna piosenka się skończyła, zaczęła

druga, potem kolejna i jeszcze jedna. Wszystkie były szybkie. W samym środku *The Watusi* Larry krzyknął mi do ucha:

— Robert przyszedł — i wykonał gest naśladowujący picie z butelki. — Spotykamy się na parkingu — dodał.

— Ale przecież wszędzie są nauczyciele.

— Nikt nas nie zobaczy w samochodzie Roberta.

— Muszę sprawdzić, co z moimi babeczkami.

Larry wzruszył ramionami.

— Jak chcesz.

Kiedy odszedł, zobaczyłam, że Dena i Robert, którzy tańczyli nieopodal, teraz byli już przy wyjściu z sali. Skierowałam się do stołu z przekąskami, gdzie Betty Bridges pomagała nalewać poncz, i dzieliło mnie od niego jeszcze kilka metrów, kiedy poczułam na ramieniu czyjąś rękę. Odwróciłam się i ujrzałam stojącego przy mnie Andrew Imhofa.

— Masz ochotę zatańczyć? — zapytał.

— Jasne.

Wtedy rozpoznałam pierwsze takty piosenki *Lonely Town* Rickiego Nelsona.

— Och, ale to jest wolny utwór — powiedziałam.

Uśmiechnął się.

— No to co?

— W sumie nic — odparłam, ale nie byłam pewna, czy wypada tańczyć do wolnej piosenki z kimś, z kim się nie przyszło.

Kiedy wróciliśmy na parkiet, natychmiast i niespodziewanie uświadomiłam sobie, jak możemy wyglądać — ogarnęło mnie uczucie, że gdy ktoś na nas spojrzy, może sobie coś pomyśleć. Nie byłam tylko w stanie sprecyzować co.

Znaleźliśmy wolną przestrzeń w gąszczu par i zwróciliśmy się twarzami do siebie. Po sekundzie wahania położyłam dłoń na jego prawym ramieniu, on swoją prawą ręką objął mnie w pasie, złączyliśmy wolne dłonie i unieśliśmy je wysoko. Wciąż miałam na rękach swoje rękawiczki.

— Z kim przyszedłeś? — zapytałam.

— Z Bess Coleman.

Wykonał ruch brodą i zobaczyłam, że Bess tańczy pod koszem z Fredem Zurbruggiem, jednym z najbliższych kolegów Andrew.

— Czy ty i Bess...

Później doszłam do wniosku, że gdybym tego wieczoru naprawdę była zainteresowana Andrew, nie wypytywałabym się tak bezpośrednio.

Potrząsnął głową.

— Ty jesteś z Larrym, co?

— Dena to załatwiła, ale zaczynam się zastanawiać, czy na pewno nadaje się na swatkę.

Andrew się roześmiał.

— To prawda, jesteś zdecydowanie za dobra dla Nalega.

Umilkliśmy oboje.

— Pamiętasz, jak twoja babcia myślała, że jestem dziewczynką? — odezwał się Andrew po chwili.

— Nie miałam pojęcia, że o tym wiedziałeś!

— Nie było trudno się domyślić, zwłaszcza po tym jak powiedziała do mojej mamy: „Pani córeczka jest naprawdę bardzo ładna”.

— Nigdy tak nie powiedziała.

— Ale coś w tym stylu.

— To dlatego, że...

— Wiem. — Prawą ręką zasłonił oczy otoczone długimi rzęsami i potrząsnął głową. — Najgorszemu wrogowi nie życzyłbym takich rzęs. Mój brat mówi, że Max Factor powinien mnie wynająć do prezentowania tuszów do rzęs, i uwierz mi, nie ma to być komplement.

— Na pewno jest zazdrosny — powiedziałam.

Na estradzie jeden z członków zespołu śpiewał solo: *Goiri down to lonesome town I Where the broken hearts stay...*

— To co mówiłem o Larrym... Nie dlatego, że według mnie to zły facet

— Andrew przybrał bardzo poważny ton. — Po prostu nie z nim wyobrażałem sobie ciebie.

Domyślałam się, co w tej sytuacji powiedziałyby Dena, co prawdopodobnie powiedziałyby większość dziewcząt: „A z kim byś sobie mnie wyobrażał?”, ale miło było zostawić jego słowa bez komentarza, nie naciskać, widzieć płynące z nich możliwości, nie ograniczenia. Pamiętam, jak później myślałam, że wiem, iż Andrew zostałby moim chłopakiem i że uświadomiłam to sobie nie po raz pierwszy. Czyż nie wiedziałam tego zawsze, przez całe swoje życie? Dlatego po co się śpieszyć? Doświadczanie innych było rzeczą, którą niemal powinno się zrobić, jeszcze zanim się z nimi połączy.

— Jadłeś już babeczki? — spytałam.

— Tak, są naprawdę niezłe. Ale są też frytki.

— Niektóre babeczki są mojego wypieku — powiedziałam. — Nie te niebieskie, tylko te z żółtym lukrem.

— Tak właśnie m y ś l a ł e m, że smakują, jakby wyszły z kuchni Alice Lindgren! — rzekł, a ja pacnęłam go lekko w ramię. — Nie, były wyśmienite

— zapewnił. — Naprawdę.

Uśmiechaliśmy się do siebie, a po chwili Andrew się odezwał:

— Jeśli chcesz, możesz położyć głowę na moim ramieniu — zaproponował.

Zawahałam się.

— Czy jestem dość wysoka?

Rzecz jasna wahałam się nie tylko z tego powodu.

— Nie musisz — powiedział. — Tylko gdybyś chciała.

Kiedy to zrobiłam, nasze ciała znalazły się tak blisko siebie jak nigdy dotąd. Czulałam jego ciepło, siłę i nagle spłynął na mnie spokój; nasza rozmowa stała się nieistotna, słowa były nieważne, jak krople deszczu czy confetti, rzeczywiste było tylko to, jak obejmowaliśmy się nawzajem.

Gdy piosenka dobiegła końca, do Andrew podszedł Bobby Sobczak, a ja udałam się do krzątającej się przy stole z przekąskami Betty Bridges. Dziesięć minut później zmaterializowała się Dena, z zarumienionymi policzkami i oddechem przesiąkniętym zapachem alkoholu.

— Tańczyłaś z Andrew? — zapytała może nie do końca oskarżycielskim tonem, ale prawie, na pewno nieznoszącym sprzeciwu i pełnym niezdrowej ciekawości.

Byłam przekonana, że przez cały ten czas znajdowała się na zewnątrz, co oznaczało, że ktoś musiał jej powiedzieć.

— Kiedy poszliście sobie wszyscy, musiał zobaczyć, że stoję sama — odparłam. — Pewnie ulitował się nade mną.

Wiedziałam jednak, że nie tak było. W pewnym momencie, już pod koniec piosenki Andrew odetchnął głęboko i jestem niemal pewna, że wdychał zapach moich włosów.

W sierpniu babcia znowu pojechała do Chicago w odwiedziny do Gladys Wycomb, a ojciec, mama i ja spakowaliśmy walizki i wsiedliśmy do naszego sedana — był to turkusowy chevy bel air z 1956 roku, ze srebrnym ornamentem na masce w kształcie papierowego samolociku — po czym ruszyliśmy na północ przez Wisconsin na Górny Półwysep w Michigan, by zobaczyć Mackinac Bridge, znany również jako Mighty Mac — Potężny Mac. Kiedy zbliżaliśmy się do mostu od strony St. Ignace, ojciec, który aż do tej chwili prowadził, zatrzymał się i zamienił miejscami z mamą, żeby móc się rozglądać bez przeszkód, gdy będziemy przejeżdżać na drugą stronę. Most ciągnął się bez końca ponad wzburzoną błękitną wodą. Kiedy dotarliśmy na drugi koniec, mama zawróciła i ruszyła z powrotem na północ. Za pokonanie mostu trzeba było zapłacić 50 centów, co nie było jakimś wielkim wydatkiem, ale i tak stanowiło niespotykaną ekstrawagancję ze strony ojca. Zaparkowaliśmy na brzegu w St. Ignace. Mama i ja miałyśmy na sobie kurtki, chociaż było lato. Tato uradowany potrząsał głową.

— Wyobraźcie sobie te ilości betonu, stali i kabli ciągnących się przez osiem kilometrów ponad wodą — powiedział. — Niezwykły popis sztuki inżynieryjnej.

Po niebie nad mostem płynęły cirrusy o zaokrąglonych kształtach, a w powietrzu było czuć nadciągającą jesień. Jednak w Riley nadal panowały upały.

— Przejdziemy się trochę? — zapytał tato.

Poszliśmy esplanadą. W pewnych odstępach od siebie stały lornetki na monety i ojciec zatrzymał się przy kilku z nich, chociaż nie bardzo wiedziałam, jak widok na most z jednej może się różnić od widoku z innych.

— Zanim zbudowali most, przeprawa promem zajmowała godzinę — powiedział ojciec. — Czasem jednak tyle ludzi chciało się przeprosić, że trzeba było czekać dwanaście godzin, aż znajdzie się miejsce dla samochodu.

Przytaknęłam skinieniem głowy, chociaż w myślach układałam treść zdania, które zamierzałam wygłosić. „Babcia ma romans z doktor Wycomb” — powiem. Przez chwilę nawet wierzyłam, że teraz, kiedy odkryłam jej sekret, nie wróci z Chicago. Chociaż może z drugiej strony nie zdawała sobie sprawy, że ja wiem.

Ale chyba jednak tak, w innym wypadku bowiem byłaby bardziej dociekliwa, dopytując się o powody mojego naburmuszenia.

— Czy możecie sobie wyobrazić, ile trzeba cierpliwości, żeby czekać dwa-
naście godzin? — mówił tymczasem mój tato.

Czy powinnam się była domyślić, co ukrywa moja babcia? W wieku czter-
nastu lat czytałam *Studnię samotności*. Odstawiłam ją na półkę lekko skon-
fundowana wiadomością, że dwie kobiety się w sobie zakochują, nie na tyle ied-
nak, by zapytać o to babcie. Tak czy owak akcja powieści rozgrywała się dwie
dekady temu, do tego w Anglii. Ale nie mieściło mi się w głowie, żeby moja
własna babcia, babcia mieszkająca w moim domu, używająca w łazience tego
samego mydła co ja, babcia, w której biżuterię i szpilki przebierałam się jako ma-
ła dziewczynka — nawiązywała stosunki homoseksualne. Przecież miała męża,
urodziła dziecko! A nawet jeżeli była to prawda, czemu nie postarała się bardziej,
by nie dopuścić, abym poznała jej sekret? W pewnym sensie zawsze kochałam ją
mocniej, kochałam najbardziej, ale uważałam, że spiskujemy, ukrywając ten bo-
lesny fakt.

Mijaliśmy kolejną lornetkę i ojciec poszedł, by przez nią popatrzeć. Kiedy do
nas wrócił, ujął mamę za rękę, a ja czułam, jak rozpiera go entuzjazm.

Trzy kolejne noce spędziliśmy w motelu w St. Ignace, wszyscy w jednym po-
koju. Motel nosił nazwę Trzy Bryzy i miał basen — ojciec w nim pływał, ale dla
mamy i dla mnie woda była za zimna. W dniu, kiedy wędrowaliśmy po piaszczy-
stych wydmach jeziora Michigan, myślałam: „Powiem im za piętnaście minut.
Za kolejne piętnaście minut. Kiedy wrócimy do samochodu”. Następnego dnia
popłynęliśmy promem na Mackinac Island, gdzie przejechaliśmy się zaprzęgnię-
tym w konie wozem, jedliśmy krówki, a potem lunch w restauracji w Grand Ho-
telu.

— Może przyjedziesz tu kiedyś na swój miodowy miesiąc — powiedziała
mama i pod stołem ścisnęła mnie za kolano.

„Mają romans”, myślałam, „a doktor Wycomb kupuje jej drogie prezenty,
może nawet daje pieniądze”.

Do ostatniej kolacji w St. Ignace rodzice wypili dwie butelki wina, a później
tato namówił mamę, żeby popływała z nim w motelowym basenie. Niebo było
ciemne, ale basen podświetlony. Siedziałam w pokoju i słyszałam, jak się śmieją.
Poszłam spać, a następnego ranka po przebudzeniu pomyślałam: „Oni już wie-
dzą”. Spali na łóżku obok, a ja słuchałam głębokiego oddechu mamy i cichego
pochrapywania taty, jakby nawet we śnie starał się być uprzejmy. „Już wiedzą”,
myślałam, „a nawet jeżeli nie, to dlatego, że nie chcą wiedzieć”. Z pewnością
właśnie dlatego ubiegłej zimy ojciec początkowo sprzeciwiał się mojemu wyjaz-

dowi z babcią do Chicago. Zrozumiałam, że nic im nie powiem, ponieważ nie było to konieczne ani nie należało do moich obowiązków. Cieszyłam się, że wcześniej nie zdołałam tego z siebie wydusić.

Z tamtych wakacji, poza moimi rozmyślaniami, pamiętam rozczulający widok swojego ojca na esplanadzie tuż po naszym przybyciu na miejsce. Wiatr rozwiewał mu włosy, a on nie posiadał się z zachwytu, za wszelką cenę starając się wytłumaczyć mamie i mnie, dlaczego Mighty Mac robi takie wrażenie. Wtedy — tak samo jak i dzisiaj — zastanawiałam się, czy mój tata był jeszcze kiedyś równie szczęśliwy.

Trwało to dłużej, ale wracaliśmy do domu trasą południową: znowu pokonałszy most Mighty Mac (tym razem ja mogłam usiąść za kierownicą), potem skierowaliśmy się w dół przez niższą część Michigan, łukiem na południowy zachód przez skraj stanu Indiana i na północny zachód do Illinois, gdzie z dworca kolejowego w Bolinbrook, pięćdziesiąt kilometrów od Chicago, zabraliśmy moją babcię. Siedziałyśmy razem na tylnym siedzeniu, ale ona chyba położyła na mnie krzyżyk już wiele miesięcy temu i teraz czytała *Annę Kareninę*.

— To już drugi raz, prawda? — zapytała mama.

— Czwarty — odparła babcia odrobinę zgryźliwie.

Potem wróciliśmy do Wisconsin, miejsca, które pod koniec lata jest odurzająco piękne. Kiedy byłam mała, wszyscy wokół mnie wiedzieli o tym tak samo jak ja; jako dorosłą osobę nieustannie zdumiewa mnie fakt, że tak niewielu ludzi, z którymi mam do czynienia, naprawdę rozumie i odczuwa to wszystko, co się znajduje pomiędzy Pensylwanią a Kolorado. Niektórzy z nich przepracowali niekiedy miesiące, czasem lata w tych stanach, ale jeżeli nie pochodzą ze Środkowego Zachodu, dla nich te rejony to wyłącznie notowania sondażowe i polityczne mityngi, miasta i metropolie, w których nocują w hotelach, gdzie kapy na łóżko są z wierzchu lśniące, brązoworude, ale szorstkie i zmechacone od wewnątrz i gdzie na śniadanie kontynentalne składają się pakowane pączki i płatki śniadaniowe z dozownika, a w gabinetach fitnessu stoi pojedynczy rowerek stacjonarny i zepsuta bieżnia. Ci ludzie jadają kolacje w Perkins, a potem uskarżają się na standard restauracji.

Nie da się ukryć, że w tych rejonach panuje aura pewnego zaniedbania, która na mnie osobiście działa kojąco, jednak myśleć o Wisconsin lub Środkowym Zachodzie jako całości inaczej niż jak o czymś pięknym może tylko ktoś, kto nie dostrzega wyjątkowej siły tej ziemi. Soczystości traw i drzew w sierpniu, falujących wzgórz (Środkowy Zachód jest znacznie mniej płaski niż większość ludzi z zewnątrz sobie wyobraża), tego zapachu gleby, pól pszenicy skąpanych w wie-

czornym słońcu, cykania koników polnych o zmierzchu. Wszystko to zawsze sprowadzało na mnie poczucie spokoju. Można tu odetchnąć pełną piersią, to miejsce jest prawdziwe. Pory roku są zdecydowane, ale przemijają i powracają, a świat wydaje się znacznie bardziej solidny, niż można by sądzić z perspektywy odległych miast na wybrzeżu.

Bez wątpienia są malownicze miasta w Nowej Anglii, Kalifornii czy na Północno— Zachodnim Wybrzeżu, nie mogę jednak wyzbyć się wrażenia, że są one zbyt malownicze. Zwłaszcza na Wschodnim Wybrzeżu wszystkie te miejsca — Princeton, New Jersey, czy dajmy na to Farmington w Connecticut — wydają mi się agresywnie urocze, niestosownie zadowolone z siebie, nawet ksenofobiczne, dosłownie paranoiczne w swojej obawie, że ktoś mógłby zakwestionować ich lokalny urok. Podejrzewam, że owa nieufność bierze się z wysokich cen nadbrzeżnych nieruchomości, strachu, że zabraknie przestrzeni lub pieniędzy, i dlatego należy kurczowo trzymać się i bronić tego, co jest. Według mnie, na Zachodnim Wybrzeżu można spotkać podobne samouwielbienie — całe gadanie o bliskości zarówno oceanu, jak i gór — i piękno, jak dla mnie zbyt ostentacyjne. Za to Środkowy Zachód: jego spokojne piękno nie domaga się nachalnie, by podziwiać jego atrybuty. Tutaj jestem najspokojniejsza i najbardziej czuję się sobą.

W weekend przed rozpoczęciem ostatniego roku nauki w liceum późnym sobotnim popołudniem wyszłam ze sklepu mięsnego Braci Jurec z mieloną wołowiną, po którą posłała mnie matka, i usłyszałam, jak wita mnie klakson przejeżdżającego obok samochodu. Obróciłam głowę i zobaczyłam zielonego forda thunderbirda z białym dachem. Z okna od strony pasażera wychylał się opalony i uśmiechnięty Andrew Imhof. Pomachałam do niego i zesłam z krawężnika, lawirując pomiędzy dwoma zaparkowanymi samochodami. Kiedy podeszłam, zauważyłam, że obok niego, za kierownicą siedzi jego brat Pete; samochód był dwuosobowy.

— Witamy z powrotem — powiedział Andrew.

— Skąd wiesz, że wyjeżdżałam?

— Kiedy nie przyszedł do Pine Lake, myślałem, że jesteś chora, ale Dena powiedziała... To nie znaczy, że Dena i ja jesteśmy... Po prostu spotkaliśmy się tam...

— Nie znaczy, że znowu ją obraca — wtrącił Pete. — Chce, żebyś nie miała co do tego wątpliwości.

Pete oparł się o kierownicę i uśmiechnął złośliwie. Był o cztery lata starszy; po liceum wyjechał na Uniwersytet Wisconsin w Madison i najprawdopodobniej w czerwcu skończył studia. On i Andrew nie byli zbyt podobni: mieli takie

same brązowe oczy, ale Pete nie miał niesamowitych rzęs Andrew, poza tym Andrew był smukły i jasny, Pete zaś muskularny i bardziej ciemnowłosy. Wyglądał jak dorosły mężczyzna, na dodatek wcale nie był przystojny.

Andrew dobrodusznie przewrócił oczami w kierunku brata.

— Nie zwracaj na niego uwagi — powiedział do mnie. — Byłaś w Michigan, no nie?

— Tato chciał zobaczyć most Mackinac, a potem pojechaliśmy na Mackinac Island. Tam nie ma żadnych samochodów, tylko zaprzęgi konne.

— Gdzie konie, tam końskie gówno — powiedział Pete. — Mam rację?

— Udawaj, że go tu nie ma — rzekł Andrew.

— Wygląda na to, że mnóstwo ludzi było w Pine Lake — powiedziałam. — Dena mówiła, że przez całe lato nigdzie nie bawiła się lepiej.

— Serio? — Andrew wydawał się ubawiony. — Głównie polegało to na tym, że Bobby wyzywał każdego, kto w ogóle chciał go słuchać, na bitwę w wodzie. Prawdziwa impreza będzie w następny weekend u Freda, słyszałaś już? Jeśli ochłodzi się poniżej dwudziestu trzech stopni, zrobimy ognisko.

Pete znowu pochylił się do przodu.

— A Andrew obiecuje, że upiecze ci śliczną, smaczną kielbaskę. To była fascynująca rozmowa, ale mamy sprawy do załatwienia, braciszku. Chcecie jeszcze coś z Alice uzgodnić?

Andrew znowu pokręcił głową, a Pete przegazował silnik.

— Wybacz — powiedział Andrew do mnie. — Do zobaczenia we wtorek w szkole. Hej, naprawdę super, że w końcu będziemy w najwyższej klasie, nie?

Uśmiechnęłam się.

— Wspaniały rocznik '64.

Zielony thunderbird odjechał, a ja, gdy wracałam do domu z pół kilogramem mięsa, doznałam niespodziewanego przyływu energii, spotęgowanego plątaniną nowych myśli: jak świetnie Andrew wyglądał, opalony letnim słońcem; jakie to dziwne, że Pete Imhof wiedział, jak mam na imię; jak cieszyłam się na rozpoczęcie roku szkolnego, korzyści należenia do najstarszego rocznika; i jak bardzo liczyłam na to, że w sobotę temperatura spadnie poniżej dwudziestu trzech stopni i na imprezie u Freda rozpalą ognisko, a ja będę stać przy nim i czuć bijący od niego żar, patrzeć na skaczące płomienie i jak zwykle uświadamiać sobie, że one żyją tak samo jak ja.

Kiedy w ciągu kilku następnych dni widywałam Andrew — na rozpoczęciu roku szkolnego, jak siedział w swojej sportowej bluzie w auli kilka rzędów przede mną, albo na przerwie na zatłoczonym korytarzu, jak wyjmował książki ze swojej szafki — nie mieliśmy szans porozmawiać, czy choćby nawiązać wzrokowy kontakt. Ja nawet nie podejmowałam takich prób, zawsze towarzyszyła mi bowiem Dena albo jakaś inna koleżanka albo on szedł z chłopakami z drużyny — a ja czułam, że to co miałam mu do powiedzenia, mogłabym powiedzieć tylko wtedy, gdybyśmy byli sam na sam. Co prawda nawet n i e wiedziałam, co chciałam powiedzieć, ale z całą pewnością gdybyśmy się znaleźli sami i nikt by nam nie przeszkadzał, zdołałabym coś wymyślić.

Przez cały ten tydzień miałam wrażenie, że zmierzamy ku sobie — nawet kiedy mijaliśmy się obok laboratorium, idąc w przeciwnych kierunkach — dlatego nie zdziwiłam się, kiedy w czwartek po południu, po dzwonku obwieszczającym koniec lekcji, opuszczając bibliotekę, zobaczyłam go, jak wychodzi z sali gimnastycznej ubrany na trening, w bluzę i te krótkie — we spodenki, z kaskiem w prawej ręce. Kiedy teraz spoglądam wstecz, nie wiem, czy mogę ufać swojej pamięci, nie chce mi się wierzyć, że nie dopisuję tamtemu zdarzeniu znaczenia, którego wtedy w ogóle nie było. Popołudnie było słoneczne (jak się okazało, nie tylko w nadchodzącą sobotę, ale przez kilka kolejnych tygodni temperatura nie spadła poniżej dwudziestu trzech stopni), cykady grały jak szalone, trawa i drzewa zieleniły się, a my szliśmy ku sobie, on mrużąc oczy przed rażącym słońcem. Uśmiechaliśmy się oboje, a ja go kochałam, kochałam bezgranicznie, i wiedziałam, że on też mnie kocha. Czułam to. Gdy tamta chwila trwała, wiedziałam, że to czego najbardziej pragnęłam, już się stało, i miałam pewność, że to było wieczne i nieodwołalne.

A może teraz tak mi się tylko wydaje. Ale to było wszystko, co kiedykolwiek mieliśmy! Zbliżaliśmy się do siebie, on kierując się z sali, ja z biblioteki — wtedy właśnie szłam nawą, a on na mnie czekał, wtedy uprawialiśmy miłość; to była każda nasza rocznica, każde powitanie na lotnisku lub dworcu kolejowym, każde pogodzenie się po kłótni. To właśnie było całe nasze wspólne życie.

Byłoby czymś zupełnie naturalnym, gdybyśmy się objęli, ale tego nie zrobiliśmy. Ogromnie tego żałowałam, chociaż oczywiście nie najbardziej ze wszystkiego. Staliśmy tam spowici energią uścisku, którego nie było.

— Przepraszam za mojego brata wtedy w sobotę — powiedział, robiąc gest, jakby Pete znajdował się gdzieś w pobliżu. — Mam nadzieję, że cię nie obraził.

— Nie, jest zabawny, ale bardzo się od siebie różnicie.

— Chwila, to ja n i e jestem zabawny?

— Nie, też jesteś zabawny — odparłam. — Obaj jesteście.

— Bardzo dyplomatycznie, doceniam to. Przyjdiesz jutro na mecz?

— Będę sprzedawać popcorn. — Praca przy stole z przekąskami należała do moich obowiązków jako członkini Spirit Club. — Słyszałam, że grasz w tym roku.

— No, dość się naczekałem. — Roześmiał się, ale raczej skromnie niż z goryczą. — Na pewno nikt mnie nie pomyli z Pete'em.

To była prawda — zanim poszliśmy do liceum, brat Andrew był gwiazdą drużyny Knightów.

— Nie, ale w stroju do gry wyglądasz groźnie — powiedziałam i natychmiast zaczęłam się czerwienić.

— Tak? — Andrew nie spuszczał ze mnie wzroku. — Czy wyglądam jak ktoś, kto mógłby cię obronić?

Uśmiechaliśmy się oboje; każda uwaga uczyniona przez jedno z nas spotykała się z reakcją drugiej strony, każda była żartem lub komplementem. I nagle przemknęło mi przez myśl: flirtujemy.

Potem zrobiłam coś, przed czym nie mogłam się powstrzymać.

— Dlaczego chodziłeś z Deną? — zapytałam.

— Bo miałem jedenaście lat. — Ciągłe się uśmiechał. — Byłem zbyt głupi.

— Ale wciąż z nią chodziłeś! Cztery lata!

— Byłaś zazdrosna?

— Uważałam, że to — umilkłam na chwilę — dziwne.

— Kiedy Dena była moją dziewczyną — powiedział — mogłem być w pobliżu ciebie.

Kpił sobie ze mnie?

— Jeśli to prawda, nie było to zbyt miłe wobec Deny — stwierdziłam.

— Alice! — Wydawał się ubawiony i jednocześnie szczerze zmartwiony, że sprawił mi zawód.

Spuściłam wzrok. Co chciałam przez to osiągnąć? Problem w tym, że przez cały tydzień planowałam, co powiem Andrew, a kiedy w końcu nadarzyła się okazja, nic nie przychodziło mi na myśl.

— Co powiesz na to? — odezwał się. — A jeśli od teraz postaram się być miłszy?

— Ja też się postaram — odparłam, podnosząc na niego oczy.

Roześmiał się.

— Ty zawsze jesteś miła. — Chwilę milczał, potem nachylił się i wziął do ręki srebrny wisiołek, który nosiłam na szyi na łańcuszku. — To serce? — zapytał. Trzymał serduszko delikatnie, koniuszkami palców muskając wgłębienie między moimi obojczykami.

— Dostałam od babci na szesnaste urodziny — wyjaśniłam.

— Śliczne. — Puścił wisiołek. — Chyba muszę iść na trening, bo na mnie na— wrzeszczą. Jeśli nie spotkamy się jutro po meczu, to w piątek u Freda, tak?

Skinęłam głową.

— Czy to impreza, na którą przychodzi się punktualnie, czy też raczej ludzie się spóźnią?

— Ja wyjdę z domu mniej więcej o wpół do siódmej. Możesz przyjść o tej samej porze. — Andrew był niespotykanie bezpośredni, zwłaszcza jak na ucznia liceum; myślę, że brało się to z pewności siebie, którą jednak się nie afiszował.

Kiedy poszłam do college'u, chłopcy i dziewczęta uprawiali różne gierki, dziewczyny kilka dni zwlekały z oddzwonieniem albo chłopak dzwonił tylko wtedy, gdy dziewczyna nie rozmawiała z nim na imprezie, lub też zobaczył ją z kimś innym. Być może jednak, w przeciwieństwie do tamtych dziewczyn i chłopaków z college'u, Andrew naprawdę mnie lubił. Gdy się dłużej zastanawiam, dochodzę do wniosku, że nie, może nie lubił. Być może z powodu tego, co się wydarzyło później, wymyśliłam sobie naszą wielką miłość; przypadł mi w udziale makabryczny przywilej decydowania, co by było, tylko że nie było nikogo, kto mógłby mi zaprzeczyć. A może w ogóle jestem w błędzie?

Kiedy się pożegnaliśmy, obróciłam się na chwileczkę, gdy on szedł w stronę trybun, za którymi była bieżnia i boisko do futbolu: te jasnobrązowe włosy, niezbyt szerokie ramiona, powiększone przez ochraniacze, jego opalone na złocisty brąz łydki wyłaniające się z kończących się wysoko nad kostką spodenek. Kiedy jesteś dziewczyną z liceum, nie ma nic bardziej cudownego od chłopaka z liceum.

I mimo wątpliwości, czy nie manipuluję przeszłością, ilekroć przestaję wierzyć w uczucia Andrew do mnie i możliwość, że z czasem mogłyby się przerozdzić w coś poważniejszego — bo w końcu osiągnęliśmy wiek, gdy coś prawdziwego mogło zrodzić się między nami — wracam pamięcią do tej chwili, w której przyglądał się mojemu naszyjnikowi, trzymając go w palcach, i spytał, co to jest.

Przecież to musiał być tylko pretekst, żeby mnie dotknąć. W końcu każdy wie, co to jest serduszko.

Wieczorem tego dnia zmywałyśmy z mamą naczynia po kolacji, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Ojciec, który grał z babcią w scrabble w salonie, poszedł otworzyć.

— Dobry wieczór, Deno — usłyszałam jego głos.

— Poczęstuj ją ciastem z brzoskwiniami — powiedziała mama w tej samej chwili, kiedy Dena zjawiła się w kuchni.

— Nie, dziękuję, proszę pani — odparła Dena. — My także dopiero co zjedliśmy.

Do mnie powiedziała bezgłośnie, poruszając tylko ustami: „Muszę z tobą porozmawiać”.

— Mamo, mogę odejść? — zapytałam.

Jak tylko znalazłyśmy się na górze w moim pokoju, Dena skrzyżowała ramiona na piersiach.

— Jeżeli Andrew zostanie twoim chłopakiem, nigdy ci tego nie wybaczę — powiedziała.

Zamknęłam drzwi i usiadłam na bujanym fotelu w kącie. Nie wiem czemu, ale poczułam się we własnym pokoju jak gość; rodzice podarowali mi fotel, kiedy zdałam do liceum, w przekonaniu że będę czytać, siedząc na nim, ja jednak zawsze czytałam w łóżku. Dena stała oparta o biurko.

— Andrew nie jest moim chłopakiem — stwierdziłam.

— Ale chcesz, żeby był. Nancy widziała, jak po szkole flirtowałaś z nim przed drzwiami biblioteki.

Czyż mogłam zaprzeczyć? Nawet w tej chwili zdawałam sobie sprawę, że właśnie to robiłam.

— I już wiem, że tańczyliście razem na komersie.

— Nie wiedziałam, że on ci się wciąż podoba — powiedziałam.

— To bez znaczenia. Jeżeli jesteś moją przyjaciółką, nie ukradniesz face— ta, który należał do mnie.

— Dena, Andrew nie jest parą butów.

— A więc to prawda, że się za nim uganiaasz?

Odwróciłam wzrok.

— Gdybym chciała, mogłabym go odzyskać — powiedziała. — Wciąż czuje do mnie miętę.

Biorąc pod uwagę moją wcześniejszą rozmowę z Andrew, wydawało się to raczej mało prawdopodobne, ale nie mogłam nie doceniać Deny — już raz mnie zaskoczyła, zawracając Andrew w głowie.

— Nie umawiałaś się z nim od dwóch lat — powiedziałam ostrożnie. — Teraz masz Roberta. Nawet już nie mówisz o Andrew.

— Według ciebie codziennie powinnam mówić: „Ciekawe, co on tam teraz kombinuje? Hm, mam nadzieję, że Andrew jest w tej chwili szczęśliwy!”. Tak właśnie mam mówić?

Jej policzki pokryły rumieńce, wściekle różowe, i uderzyła mnie jej szcerość, przekonanie, że to ona ma rację.

— Dena, to ty mi go odebrałaś! I dobrze o tym wiesz. W szóstej klasie napisałaś ten głupi list. I chociaż odpisał, że mu się podobam, ty go zmusiłaś, żeby został twoim chłopakiem. Jak według ciebie czułam się przez cały ten czas? Wciąż jednak byłam twoją przyjaciółką. Teraz przyszła moja kolej.

Dena wpatrywała się we mnie.

— Nie pożądam domu bliźniego twego — powiedziała ze złością. — Nie będziesz pożądał żony bliźniego twego ani jego niewolnika, ani jego niewolnicy, ani jego wołu, ani jego osła, ani żadnej rzeczy, która należy do bliźniego twego.

Nigdy tak do końca nie wierzyłam w pobożność Deny — Janaszewscy byli co prawda katolikami, ale do kościoła chodzili raczej rzadko.

— Jestem winna pożądaniami nie bardziej od ciebie — stwierdziłam.

Dena zrobiła krok w kierunku drzwi, ale zanim wyszła, posłała mi ostatnie pełne złości spojrzenie.

— Ty i Andrew jesteście tacy sami — powiedziała. — Cisi, ale samolubni.

Droga De Soto biegnie na północ z Riley, ale mniej więcej osiem kilometrów za miastem krzyżuje się z drogą 177. W sobotę 7 września wieczór był pogodny. Miałam na sobie bladoniebieską zamszową spódnicę i białą bluzeczkę z kołnierzykiem a la Piotruś Pan, na wszelki wypadek wzięłam też jasnoróżowy sweterek z moheru. Usta pomalowałam jasnoróżową szminką i skropiłam się perfumami o

fiołkowym zapachu (kupiłam je w Marshall Fields, kiedy babcia kupowała sobie etolę z soboli, była to moja główna pamiątka z naszego wyjazdu do Chicago), założyłam też wisiołek z serduszkami. Normalnie pojechałabym do domu Freda Zurbrugga z Deną i Nancy Jenzer — Nancy jako jedyna z naszej trójki miała swój samochód, białego studebackera larka — ale w świetle ostatnich wydarzeń pożyczyłam naszego sedana od rodziców.

Byłam przekonana, że nigdy nie wyglądałam ładniej. Miałam na sobie same ulubione ubrania, co nigdy wcześniej mi się nie zdarzyło: ulubioną spódnicę, ulubioną bluzkę i ulubiony wisiołek. Po kolacji z rodzicami i babcią wyskubałam sobie brwi, ogoliłam nogi i pomalowałam paznokcie. Kiedy się ubierałam, słuchałam płyty Shirelles. Były chwile, gdy niemal fizycznie pragnęłam piosenki *Soldier Boy*, i kiedy teraz stałam, przeglądając się w lustrze na moim biurku, czułam, jak muzyka narasta we mnie, gromadzi się we mnie, a później, w trakcie wieczoru, będę mogła ją wykorzystać. Choć może to się wydawać dziwne, moja kłótnia z Deną zamiast mnie zniechęcić, dodała mi tylko energii, wzmacniając aurę oczekiwania.

— Wyglądasz naprawdę ładnie — powiedziała mama, kiedy zjawiłam się w salonie.

Wszyscy obrócili się w moją stronę. Mama, tata i babcia grali w brydża z sąsiadką, panią Falkę, która podobnie jak babcia była wdową, ale o kilka lat młodszą.

— Kim jest ten młodzieniec? — zapytała babcia.

— To zwyczajna impreza z okazji rozpoczęcia szkoły — powiedziałam. — Będzie ognisko.

— Rozumiem.

Widziałam, że babcia mi nie wierzy. W naszym wzajemnym zrozumieniu, które dawniej byłoby serdeczne, teraz wyczuwało się nutę antagonizmu. Mimo to ucałowałam w policzek każde z nich po kolei, nawet panią Falkę, bo zachowałamby się niegrzecznie, pomijając ją.

— Wiesz, o której masz wrócić — powiedział ojciec.

— O jedenastej — odparłam.

W samochodzie zmieniłam w radiu stację z ulubionej mojego taty, nadającej muzykę orkiestrową, na moją, gdzie Roy Orbison śpiewał *Dream Baby*. Wycofałam sprzed domu, najpierw opierając ramię o oparcie siedzenia pasażera, jak uczył mnie tato; zawsze wtedy miałam wrażenie, że obejmuję jakiegoś fantoma. Powoli zapadał zmrok, ale jeszcze nie było zupełnie ciemno.

Zastanawiałam się, czy Andrew pocałuje mnie dzisiaj wieczorem, czy wymkniemy się po cichu, żeby przejść się po sadzie w pobliżu domu Freda. Podejrzewałam, że na imprezie będzie alkohol, ale jeżeli ktoś mi zaproponuje drinka, odmówię — nie chciałam, żeby Andrew coś sobie o mnie pomyślał. Jednocześnie cieszyłam się, że całowałam się z tamtymi innymi chłopakami, Bobbym i Rudym w szóstej klasie, i Larrym ubiegłej zimy, a także później, kiedy odprawiał mnie do domu po komersie. Oboje chyba zdawaliśmy sobie sprawę, że już nigdy więcej nie będziemy ze sobą rozmawiać, i może właśnie dlatego on mnie pocałował. Tak więc teraz, przynajmniej w kwestii pocałunków, nie byłam taka do końca zielona.

Nie wyobrażałam sobie, że Andrew mógłby mnie wykorzystać albo potem opowiadać o mnie innym chłopakom; ufałam mu. Zastanawiałam się, czy o n będzie tym, któremu oddam swoje dziewictwo, nie wkrótce, ale po jakimś czasie, kiedy się pobierzemy, albo przynajmniej zaręczymy, bo czyż w zasadzie nie jest to prawie to samo? Biegając tym torem, moje myśli skierowały się ku Denie. Czy i jak przywitam się z nią na imprezie. Postanowiłam, że będę grzeczna, spróbuję ściągnąć jej wzrok i jeśli zareaguje pozytywnie, powiem jej „cześć”. Ale jeżeli odwróci spojrzenie naburmuszona, nie odezwę się słowem i poczekam do następnego tygodnia, zanim do niej zadzwonię. Nie chciałam prowokować żadnego publicznego konfliktu — gdyby do czegoś podobnego doszło, nasi szkolni koledzy byliby zachwyceni i zapewne uznaliby to za wydarzenie wieczoru, ale dla mnie byłoby to koszmarem.

Tym się właśnie zajmowałam, tak biegle moje rozproszone, kapryśne myśli, kiedy gnałam przez skrzyżowanie De Soto Way i Farm Road 177 i z hukiem uderzyłam w coś bliżej nieokreślonego z jasnego metalu. Ułamek sekundy i już było po wszystkim. Leżałam na wznak na żwirowej drodze; drzwi mojego samochodu były otwarte na oścież, wyrzuciło mnie na odległość dziesięciu metrów, a wokół walały się odłamki szkła. Wtedy panowały już ciemności, słońce zaszło chyba jakieś pół godziny wcześniej, a ja leżałam tam, z początku oszołomiona, potem tak zaskoczona i przestraszona, że z trudem łapałam oddech. Wypadek (jak do niego doszło? skąd wziął się drugi samochód?) pamiętałam jako zgrzytliwy huk, któremu towarzyszył trzask rozpryskującej się przedniej szyby. Teraz mój samochód i ten drugi wydawały trzeszczące, pobrzękujące dźwięki. Dziwne, ale moje radio wciąż grało — piosenkę *Venus in Blue Jeans*. Pomyślałam, że tamten samochód musiał skręcać w prawo z Farm Road 177 w De Soto Way, bo kiedy uniosłam głowę, zobaczyłam, że maska bel aira moich rodziców wbita była w drzwi kierowcy drugiego auta. Dotarło do mnie, że leżę na środku drogi i muszę się ruszyć. Spróbowałam unieść się na łokciach, ale w lewym ramieniu poczułam przeszywający ból. Oparłam się na prawej ręce i przeczołgałam za sedanem, starając się omijać potłuczone szkło. Droga nie miała pobocza, a wzdłuż niej biegł

plytki rów, w zasadzie więc nie miałam gdzie się usunąć. Z lewej skroni coś mi kapąło i kiedy to otarłam, na palcach zobaczyłam krew.

Dopiero na widok nadbiegającego farmera i jego żony usiadłam, chociaż byłam zbyt słaba, żeby do nich krzyknąć. Farmer był tęgim siwowłosym mężczyzną w kombinezonie i nie biegł, lecz człapał możliwie jak najszybciej, a jego żona, ubrana w domową sukienkę, podążała kilka kroków za nim. Farmer powiedział, że usłyszeli zderzenie i zadzwonili po karetkę. Kiedy zapytał, co się stało, wszyscy obróciliśmy się, by popatrzeć na samochody, pognieciony metal i rozbite szkło i wtedy dotarły do mnie dwie rzeczy: że tym drugim samochodem był zielony ford thunderbird, a za kierownicą tkwi nieruchoma, skulona postać.

Słyszałam swoją narastającą histerię, pełne przerażenia dyszenie — to on czy nie on? — a farmer powiedział coś do swojej żony, która kucnęła i obejmując mnie ramionami, zaczęła mówić:

— Kochanie, jak tylko przyjedzie karetka, zajmą się tobą.

Najpierw myśleli, że bełkoczę coś bez sensu, ale żona zrozumiała mnie pierwsza. Unosząc głowę, przemówiła cicho do męża:

— Ona sądzi, że go zna. Mówi, że chodzą do tej samej klasy.

Przyjechały dwie karetki, w tamtych czasach były to zwykle policyjne

radiowozy, z pojedynczym migającym na czerwono światłem na dachu, tak przystosowane, by na pace zmieściły się nosze. Kiedy ułożono mnie na noszach, przekonałam się wstrząśnięta, ale całkowicie pewna: to b y ł on. Głowa zwisała mu pod nienaturalnym kątem, ale to był on. W karetce nie mogłam opanować płaczu, jedna pielęgniarka mierzyła mi puls i badała mnie, druga w towarzystwie dwóch policjantów zajmowała się thunderbirdem. Żona farmera podeszła do mnie i powiedziała, że zawiadomi moich rodziców, muszę tylko podać jej nazwisko i numer telefonu. Na koniec westchnęła.

— Kochanie — powiedziała. — Ustawili ten znak stopu w takim miejscu, że trudno go zauważyć. To była tylko kwestia czasu.

Karetki stały zaparkowane od południowej strony miejsca, w którym doszło do wypadku, i kiedy się uniosłam, żeby zerknąć przez okno, po raz pierwszy zauważyłam znak, o którym wspomniała. Stał na polu po prawej stronie drogi — to był znak stopu dla mnie.

Moja karetka odjechała pierwsza i chociaż jeszcze nie do końca rozumiałam, co się stało, wiedziałam, że jest źle, a nawet znacznie gorzej, niż wydawało mi się tuż po wypadku. Drugim kierowcą był Andrew, a do wypadku doszło z mojej winy. Wyczuwałam, chociaż nikt mi tego nie powiedział, dopóki nie dojechałam

do szpitala, gdzie czekali moi rodzice, że Andrew nie żyje. Jak się okazało, nie myliłam się. Powodem śmierci był złamany kark.

W tamtym czasie byłam jak ostryga w skorupie. Nieotwarta i obnażona — obrzydliwy blady glut, czarny na brzegach, trochę fioletowy, ze śluzem, kałem i bezbarwna krwią— ale też niezamknięta szczelnie. Otwarta, rozchylona na kilka centymetrów. Można zajrzeć do środka; bez trudu da się otworzyć bardziej. Ale nie trzeba, ostryga cuchnie. Wszyscy wiedzą, co jest w środku.

Na każde pytanie można odpowiedzieć: oczywiście. Jak w y byście się czuli, gdybyście kogoś zabili? I gdybyście na dodatek byli siedemnastoletnią dziewczyną, a zabitym przez was człowiekiem byłby chłopak, w którym byliście zakochani? Oczywiście, że wolałabym znaleźć się na jego miejscu. Oczywiście, że myślałam o popełnieniu samobójstwa. Oczywiście, że myślałam, iż już nigdy nie zaznam spokoju ani szczęścia, że nie zostanie mi przebaczone, nie powinno mi być przebaczone.

Otwarcie muszli ostrygi — ból jest niewyobrażalny. Prześladowuje mnie to, co zrobiłam, ale jednocześnie nie mogę myśleć o szczegółach. Było tylko kilka przerażających momentów, praktycznie trwających całą wieczność, co nie jest równoznaczne z przerażającą wiecznością. Ale nie ma wątpliwości, nawet ich cienia, że chwile zaraz po były najgorsze.

Gdybym powiedziała dzisiaj, że nie ma dnia, żebym nie myślała o wypadku, byłaby to jednocześnie prawda i nie. Czasami zdarzają się dni, kiedy o nim nie myślę, nie przypominam sobie, jak odchodzi ode mnie w drodze na trening na boisku, z kaskiem pod pachą — a mimo to wypadek nieustannie mi towarzyszy. Płyne w moich żyłach, bije w rytm mego serca, jest w mojej skórze i włosach, moich płucach i wątrobie. Andrew umarł, ja spowodowałam jego śmierć i wtedy, jak kochanka, przyjął go w siebie.

Tamtej nocy w szpitalu moi rodzice nie rozumieli, że to ja byłam sprawczynią wypadku; sądzili, że wina jest obopólna. Przyjechali, kiedy doktor owijał mi lewy nadgarstek szarym bandażem, co wydawało się tak nieistotne, że aż krepujące, uraz będący nie tyle prawdziwym obrażeniem, ile błaganiem o pobłażliwość. Podano mi też dwadzieścia pięć mililitrów librium, opatrzone lewą skroń, a pielęgniarka przemyła zadrapania na rękach i nogach żółtym przezroczystym płynem.

To ja powiedziałam rodzicom o znaku stopu i o tym, że Andrew miał pierwszeństwo przejazdu. Mama i tato mieli na sobie te same ubrania, co godzinę wcześniej, kiedy wychodziłam z domu: ojciec wpuszczoną w spodnie koszulę,

mama odcinaną w pasie sukienkę z paskiem. Myślałam o tym, jak się zerwali od stolika, przy którym grali w karty. Rozwój wydarzeń wydawał się niepojęty i oszalamiający; wszystko to działo się zbyt szybko.

W pustej poczekalni, kiedy policjant potwierdził, że Andrew nie żyje, mama wstrzymała głośno oddech, tato ujął ją za rękę, a żadne z nas nie wyrzekło słowa. Policjant zadał mi kilka pytań na temat wypadku, między innymi o prędkość, z jaką jechałam (na pewno jej nie przekroczyłam), potem rozmawiał z tatą w cztery oczy. Wciąż jeszcze rozmawiali, kiedy zjawili się państwo Imhof; zawożenie matki Andrew niosło się, gdy szła korytarzem. Ojciec zakończył rozmowę z policjantem.

— Dorothy, zabieramy ją do domu — powiedział do mamy.

— Czy powinna porozmawiać z jego rodzicami? — zapytała mama.

— Na razie lepiej zostawić ich w spokoju — odparł ojciec.

Na parkingu zobaczyłam, że moi rodzice pożyczyli samochód od Jana—szewskich. Do domu jechaliśmy w milczeniu (o czym myśleli w tym czasie?). Na Amity Lane tato wysadził mamę i mnie przed naszym domem, a sam pojechał na drugą stronę ulicy, żeby zwrócić kluczyki. Babcia wyszła przed drzwi frontowe — co było niespotykane, rzadko nawet wstawała, po powrocie do domu zastawało się ją zawsze pogrążoną w lekturze na kanapie w salonie.

— Dzięki Bogu, jesteście cali i zdrowi — wykrzyknęła.

— Emilie, powinniśmy wejść do środka — odezwała się mama tonem tak oschłym, jakiego nigdy wcześniej u niej nie słyszałam.

— Jak rozumiem, samochód jest rozbity? — dopytywała się babcia, podążając za nami.

Kątem oka dostrzegłam, jak mama potrząsa głową: „Nie pytaj”. Potem zobaczyłam, że pani Falkę jeszcze nie wyszła — siedziała przy stole i paliła papierosa.

— Alice, napędziłaś nam porządnego strachu — powiedziała. — Co ci się stało w rękę?

— Idź na górę, Alice — poleciała mama.

Wychodząc z pokoju, nie patrzyłam ani na babcię, ani na panią Falkę. Kiedy pielęgniarka podała mi librium, przestałam płakać, ale gardło wciąż miałam obolałe, oczy podrażnione, policzki opuchnięte.

Wiele lat później miałam przyjaciółkę o imieniu Jessica, znacznie młodszą ode mnie, i pewnego razu opowiedziałam jej o tamtym wieczorze, kiedy zderzyłam się z samochodem Andrew. Prawie nigdy z nikim o tym nie rozmawiałam, ale byłyśmy sobie z Jessicą bardzo bliskie, a właśnie nadchodziła rocznica wypadku, co zawsze ciężko znosiłam. Jessica nie mogła uwierzyć, że po tym wszystkim wróciłam do domu i poszłam do swojego pokoju, a rodzice i babcia pozostawili mnie samą sobie. Ale wtedy czasy były zupełnie inne, mniej mówiło się o uczuciach, a poza tym byliśmy kompletnie nieprzygotowani — na tego rodzaju tragedie nie było gotowego scenariusza.

Weszłam do pokoju, nie włączając światła, zdjęłam buty i w spódnicy i bluzce wsunęłam się pod kołdrę (swetra już nigdy więcej nie zobaczyłam _ musiał zostać w samochodzie). To niemożliwe: ja spowodowałam czyjąś śmierć? A człowiekiem, do którego śmierci się przyczyniłam, był Andrew. Andrew Imhof zginął przeze mnie? Martwiłam się o wiele różnych rzeczy, testy, napięte stosunki z babcią, czasem też, że Chruszczow zbombarduje Stany Zjednoczone. Ale to? To było po prostu niemożliwe.

Pomyślałam: „Andrew”. Jego uśmiech i rzęsy, jego brązowe oczy, opalone łydki, moja głowa wsparta na jego ramieniu na komersie minionej wiosny. Zawsze mnie lubił, nigdy tego nie ukrywał — lata z Deną, myślałam sobie, nie liczyły się, więc czemu udawałam, że było inaczej... Zawsze czułam, że mnie zauważa. Ludzie albo nas zauważają, albo nie i nie ma to nic wspólnego z tym, czy nas znają. Znać kogoś, znaczy wiedzieć, jak się nazywa, gdzie mieszka, kim jest jego czy jej ojciec. Jeżeli kogoś zauważamy, wiemy, że ma jakieś przemyślenia, jakieś rzeczy uważa za zabawne, inne za okropne, pamiętamy, co powiedział miesiąc, albo może nawet lata temu. Andrew był dla mnie zawsze miły, zawsze mnie zauważał. Co innego w moim życiu było równie prawdziwe poza najbliższą rodziną?

Dlaczego więc, skoro już w dzieciństwie Andrew zaofiarował mi swoją uwagę i sympatię, na długo zanim Dena zagarnęła go dla siebie, dlaczego czekałam, trzymałam go na dystans? Bo rzeczywiście go trzymałam, teraz o tym wiedziałam, tak samo jak wiedziałam wtedy, kiedy tak postępowałam. Byłam pasywna, zachowywałam się ambiwalentnie, wyobrażałam sobie, że mamy mnóstwo czasu. Potem pomyślałam sobie, że gdyby wcześniej został moim chłopakiem, wybralibyśmy się na imprezę razem, nie jechałabym na nią sama.

Najgorsza w tym wszystkim i najbardziej porażająca była podwójna tragedia. Gdyby Andrew zginął w wypadku samochodowym, w którym nie brałabym udziału, i tak odczuwałabym straszliwą stratę. A gdybym z kolei uderzyła w samochód kogoś mi nieznanego i ten ktoś by zginął, to także byłby dla mnie koszmar. Ale obie te rzeczy — obie naraz — były nie do zniesienia.

On odszedł ode mnie, i to z mojej winy. Od tamtej chwili mniej więcej raz do roku w jakiejś gazecie natykałam się na doniesienia o podobnych przypadkowych nieszczęściach; dwaj bracia giną na tej samej drodze, tego samego dnia w dwóch różnych wypadkach motocyklowych, albo mąż i żona, każde w swoim samochodzie, zderzają się czołowo. „Jakie to niesamowite, jakie interesujące i nieprawdopodobne. Jakie były szanse?!”. Dla mnie te historie nie są interesujące, nie wydają się też nieprawdopodobne.

Nie poszłam na jego pogrzeb, moi rodzice też nie. Przez tydzień nie chodziłam do szkoły, a kiedy w końcu do niej wróciłam, mało kto się do mnie odzywał, ani w miły sposób ani niemiły. Na pierwszej stronie „The Riley Citizen” pojawił się artykuł o śmierci Andrew, ale ja wtedy nic o tym nie wiedziałam — rodzice ukryli go przede mną i minęło wiele lat, zanim okoliczności spowodowały, że po niego sięgnęłam. Gdy wiosną następnego roku kończyłam szkołę, dowiedziałam się, że księga pamiątkowa naszego rocznika została zadedykowana Andrew. Ale nawet to zostało zrobione w powściągliwy sposób, znalazła się w niej tylko strona z napisem: KU PAMIĘCI, jego zdjęciem, nazwiskiem i datami: ANDREW CHRISTOPHER IMHOF, 1946— 1963. Pani Schaub, moja nauczycielka angielskiego w dziesiątej klasie, podrzuciła mi kartkę z przepisany sonet Szekspira, tym zaczynającym się od słów: *Tę porę roku dostrzec we mnie możesz*¹ W zasadzie nie bardzo wiedziałam, co chciała mi w ten sposób przekazać. Udało mi się tylko przebiec wzrokiem liścik od niej i zauważyłam słowa: *bardzo trudne chwile dla Ciebie*, napisane niebieskim zamasztytym pismem, tym samym, którym wychwalała moje wypracowania o *Beowulfie* i *Opowieściach kanterberyjskich*. O tym właśnie wciąż marzyłam, chciałam być zwyczajną uczennicą, chciałam, żeby było zwyczajnie — nie chciałam tej nachalnej życzliwości ani tych ukradkowych ciekawskich spojrzeń kolegów z klasy, ani nieskrywanej wrogości, choć ta zdarzała się najrzadziej. W drugim dniu po moim powrocie do szkoły natknęłam się na Karla Cieślę, dawnego kolegę Andrew z drużyny.

— Najlepszy dowód, że dziewczyny nie powinny dostawać prawa jazdy — mruknął pod nosem, kiedy mijaliśmy się na korytarzu.

Miałam świadomość, że otacza mnie pełna zaskoczenia, wstydliva atmosfera sprawiająca, że ludzie litowali się nade mną, ale jednocześnie mnie unikali. Myślałam, że dlatego nikt poza Karlem nie dał wyrazu swojej złości, choć bez wątplenia niejeden był na mnie wściekły. Poza tym na moją korzyść przemawiały te wszystkie lata, kiedy byłam grzeczną dziewczynką, zawsze miłą i dobrą. Pewne-

¹ * Sonet 73, *Sonety*, William Szekspir, przeł. Maciej Słomczyński, Kraków 2001 (przyp. tłum.).

go razu zostałam w domu. Siedziałam przy kuchennym stole, usiłując zjeść kanapkę z tuńczykiem, którą mama przygotowała mi na lunch, i nagle zamarłam na krześle, porażona przerażającą myślą. A jeżeli ludzie podejrzewali, że zrobiłam to celowo? Ze chciałam z jakiegoś szalonego powodu zatrzymać go dla siebie albo że on mnie odtrącił, a ja postanowiłam się zemścić? Ale chyba nikt tak nie myślał, a przynajmniej nikt mi tego nie zarzucił wprost — w końcu Andrew i mnie nic nie łączyło poza tym, że chodziliśmy do jednej klasy.

W rzeczy samej prawie nikt nic nie mówił, nikt nie zaproponował, żebym poszukała pomocy u psychologa, nawet moja babcia, czytelniczka Freuda i Junga. Rankiem w niedzielę po wypadku mama zapukała do moich drzwi.

— Tatuś uważa, że nie musisz iść do kościoła, ale pomodlimy się za Andrew, ty i ja — powiedziała.

Pozwoliłam, żeby poprowadziła modlitwę (strup na lewym łokciu bolał, kiedy zginałam rękę), ale fakt, że nie przyniosło mi to żadnej pociechy, był pierwszą wskazówką, że zaczynałam tracić wiarę. Następnego dnia, w poniedziałek wieczorem, tato przyszedł do mojego pokoju.

— Widziałem się z panem Imhofem — powiedział. — Nie zostanie wniesione oskarżenie, ani przez nich, ani z urzędu. Pan Imhof to honorowy człowiek, mamy prawdziwe szczęście.

Siedziałam przy biurku i ojciec z powagą poklepał mnie po ramieniu. Jednak byłam nie tyle wdzięczna, ile przede wszystkim zaskoczona, że w ogóle mogły być mi postawione jakiegokolwiek zarzuty. Byłam tak ogłuszona całą sytuacją, że podobnej ewentualności nawet nie brałam pod uwagę.

Było, to w zasadzie wszystko, co moi rodzice powiedzieli w sprawie wypadku. Wyglądało na to, że w całym Riley doszło do powszechnego konsensusu, iż najlepiej będzie w ogóle o niczym nie mówić.

Tylko jedna osoba była wobec mnie bezpośrednia. Pod koniec mojego pierwszego dnia w szkole, przed powrotem do domu, poszłam schować książki do swojej szafki i tam czekała na mnie Dena. Nie wiedząc, czego mogę się spodziewać, zatrzymałam się kilka kroków od niej.

— Tak mi przykro, że przeze mnie musiałaś jechać na imprezę sama — powiedziała i wybuchła płaczem.

— Dena...

Padłyśmy sobie w ramiona i ścisnęłyśmy się mocno, a jej łzy spływały mi na szyję i bluzkę.

— Wiem, że wolał ciebie — bełkotała. — Zawsze cię wolał, i gdybyś pojechała z Nancy i ze mną, nigdy by do tego nie doszło.

Cofnęłam się o krok, by móc na nią spojrzeć. Twarz miała czerwoną i zapłakaną.

— To nie była twoja wina — powiedziałam.

Już wcześniej w skrytości ducha zastanawiałam się, czy przypadkiem ona nie ponosi winy, ale uznałam, że nie. Bez względu na okoliczności, które doprowadziły do tamtej chwili w samochodzie, to ja przejechałam znak stopu.

— Po prostu nie umiem go sobie wyobrazić... — przerwała, po czym dołączyła szeptem — martwego.

Nagle stanął mi przed oczami widok jego głowy wykrzywionej pod dziwnym kątem, zamazanej twarzy. Dlaczego nie podeszłam do niego, czemu nie weszłam przez okno od strony pasażera i nie objęłam go, gdy tkwił tam samotnie, wśród potłuczonego szkła i pogniecionego metalu? Na wiele sposobów torturowałam samą siebie w ciągu następnych miesięcy i lat, między innymi zastanawiając się, czy wciąż jeszcze wtedy żył, a jeśli tak, to czy dotyk innej ludzkiej istoty, mój dotyk, mógł go uratować. Ale przestałam już myśleć w ten sposób. Bo gdybym weszła do jego samochodu, a on i tak by umarł, żyłabym w przekonaniu, że to także był błąd.

— Czy ludzie są na mnie wściekli? — zapytałam Dena.

— Robert uważa, że twoja rodzina powinna się wyprowadzić, ale to idiota. Powiedziałam mu, że sam powinien się wyprowadzić.

Robert uważał, że moja rodzina powinna się wyprowadzić? Skończył szkołę w ubiegłym roku i teraz pracował w White River Dairy.

— A co mówią inni? — zapytałam.

Dena pociągnęła nosem.

— Nie masz przypadkiem chusteczki?

Miałam; wyjęłam z torby i podałam jej.

— Kiedy się dowiedziałam, pomyślałam, że policja mnie aresztuje — powiedziała, kiedy już wytarła nos. — Tak się bałam, że Marjorie musiała spać ze mną w łóżku.

— Nikomu nie powiedziałam o naszej kłótni — rzekłam. — Dena, słowo daję, to się stało nie dlatego.

Przygryzła wargę, najwyraźniej powstrzymując łzy.

— Nie powinnam była się wtrącać i nie pozwalać, żeby był twoim chłopakiem — powiedziała. — Ale chyba myślałam, że n i e mogę temu zapobiec i dlatego właśnie próbowałam.

Nie chbdziłam więcej z rodzicami i babcią do kościoła. W niedzielę po wypadku zostałam rano w łóżku, potem również w następną niedzielę i następną. Wyglądało na to, że dzięki temu wizyty w kościele stały się dla nich łatwiejsze; inni parafianie nie gapili się, a nawet jeśli tak, nie czynili tego nachalnie. W ostatnią niedzielę września zaczekałam, aż rodzice i babcia wyjdą, po czym wyjęłam z szuflady biurka kopertę, którą już wcześniej zakleiałam, i wyszłam frontowymi drzwiami. Od wypadku nie prowadziłam samochodu, a tym nie jechałam jeszcze ani razu — był to nowszy model chevy bel air, w innym kolorze. Ojciec przyjechał nim do domu w tydzień po wypadku.

— Czarny, Phillipie? — usłyszałam, jak matka pyta wyraźnie zdenerwowana.

— Dorothy, tylko taki mieli — odparł ojciec, a w jego głosie wyraźnie usłyszałam zmęczenie.

Był chłodny, szary jesienny poranek. Wyjechałam z miasta z szybkością mniejszą niż dwadzieścia mil na godzinę. Serce tłuło mi się w piersi, a ręce drżały. Zrozumiałam, że już nigdy nie mogę mieć wypadku, muszę bardzo, ale to bardzo uważać. Ulice były ciche i puste, bo wszyscy poszli do kościoła — podejrzewałam, że rodzice Andrew, którzy byli katolikami, również. Ta pustka była kojąca. Gdy dojechałam do De Soto Way, poczułam się na tyle pewna, że nieco mocniej nacisnęłam pedał gazu. Nie przekraczałam ograniczenia prędkości — chociaż w chwili wypadku również nie jechałam szybciej, niż było dozwolone — już nigdy w życiu nie jeździłam szybko, ale rozwijam prędkość na tyle dużą, by kierowca w samochodzie za mną nie musiał trąbić. Na szczęście tego dnia nikt za mną nie jechał. Byłam sama — nie zdarzyło mi się to ani razu od wypadku i już nigdy później w domu. Nawet kiedy siedziałam w swoim pokoju, za zamkniętymi drzwiami, po drugiej stronie zawsze ktoś był — matka, ojciec, babcia, sami albo z kimś — i ta osoba lub osoby wiedzieli. Mogli być mili, ale i tak wiedzieli, że tam jestem i że zrobiłam coś odrażającego. I nie miało znaczenia, że nie można tego cofnąć. Chodzili, oddychali, wzdychali, przemieszczali się w innych częściach domu, a ich obecność pobrzmiewała jak pytania. Nawet jeżeli świadomie powstrzymywali się od mówienia, ja słyszałam w swoim umyśle: „Wyjdiesz ze swojego pokoju? Płaczesz teraz czy nie? Kiedy upłynie dość czasu, żeby to nieszczęście przestało czaić się w każdym kącie, czekać, aż wyjdzie w rozmowie, nawet takiej, która pozornie wydaje się o czymś innym?”. Rzecz jasna nie zadawali żadnego z tych pytań, co oznaczało, że nie musiałam odpowiadać. Ja ze

swojej strony chętnie uprawiałam grę pozorów, udawałam, że czuję się dobrze, a życie płynie niemal normalnym torem. Nie chciałam ich obarczać takim ciężarem, wołałam, żeby był skumulowany, wyłącznie mój, jak plecak pełen nieszczęścia. Ale na drodze, obok dębów i srebrzystych klonów, wiązów i orzeszników, byłam tylko bezimienną, głupią dziewczyną. Ziemi Wisconsin — ukształtowanej przez lodowce, nawiedzanej przez tornada, zalewanej i osuszanej — mój czyn był całkowicie obojętny.

Wiedziałam, że zbliżając się do skrzyżowania z Farm Road 177, muszę pozostać skupiona, i powtarzałam sobie: „Skreć w prawo, skreć w prawo, skreć w prawo”. Świat został zredukowany do trzech słów, aż wreszcie skreśliłam i miejsce wypadku zostało z tyłu. Minęłam je, nie płacząc, nie dysząc ze zdenerwowania, nawet nie zwalnając. W tym momencie musiałam się skoncentrować, żeby znaleźć skręt na podjazd Imhofów — byłam u nich w domu tylko raz, na przyjęciu urodzinowym Andrew w drugiej, może trzeciej klasie. Po pokonaniu mili zobaczyłam go, czarną skrzynkę na listy z czerwoną metalową chorągiewką, pola, z których świeżo uprzątnięto kukurydzę, a między nimi wąską drogę dojazdową.

Dom był biały z zielonymi okiennicami, wyglądał na taki, w którym spędziło się normalne, szczęśliwe dzieciństwo. Na frontowej werandzie stała bez ruchu huśtawka. Kilkadziesiąt metrów dalej widniała czerwona stodoła, a przed jej otwartymi dwuskrzydłowymi wrotami kręciły się kurczaki. Nigdzie nie było żadnych samochodów, z wyjątkiem starej czerwonej półciężarówki, jakie często trzyma się na farmach do przemieszczania się po swojej ziemi, ale nie wyjeżdża się nimi na drogi. Weszłam na trzy schodki wiodące na werandę, wsunęłam kopertę, którą trzymałam w ręce, pomiędzy siatkowe i drewniane drzwi, cały czas mając nadzieję, że ani pan Imhof, ani jego żona nie nadepną na nią, wchodząc do domu. „Nigdy nie zdołam wyrazić, jak bardzo mi przykro”, napisałam na kartce. „Wiem, że przysporzyłam państwu mnóstwo bólu. Gdyby to było możliwe, oddałabym wszystko, żeby cofnąć to, co się stało”. Napisałam pięć wersji listu. W jednej było zdanie: „Resztę swojego życia poświęcę na naprawianie tego, co zrobiłam”, ale zrezygnowałam z niego, bałam się bowiem, że zbyt podkreśliła fakt, iż ja mam jeszcze życie przed sobą. „Ten wisiołek należy do mnie. Kiedyś spodobał się Andrew. Pomyślałam więc, że będzie państwu miło go mieć” — napisałam na zakończenie, i dlatego właśnie doręczałam list osobiście, zamiast wysłać go pocztą. Zsunęłam srebrne serduszko z łańcuszka i włożyłam je do koperty.

Nie zdążyłam wrócić do samochodu, kiedy usłyszałam, jak za moimi plecami otwierają się drzwi. Obróciłam się na pięcie, przede wszystkim przerażona, ale także z cieniem nadziei; poza zaskoczeniem i przestrawieniem gdzieś pojawiła się irracjonalna myśl, że to może Andrew we własnej osobie. Nawet kiedy już stałam zwrócona twarzą do domu, niewyraźna sylwetka malująca się za siatkowymi

drzwiami przedłużała nadzieję na to, co przecież niemożliwe. A potem zdałam sobie sprawę, że to Pete Imhof. Oczywiście, że nie Andrew.

Nie od razu otworzył siatkowe drzwi, ale stał tam przez kilka chwil, jak podejrzewam, przyglądając mi się. Byłam prawie całkiem pewna, że nie miał koszuli.

— Zostawiłam list — krzyknęłam w końcu, pokazując palcem. I dodałam absurdalnie, z dłonią przyciśniętą do piersi: — Jestem Alice Lindgren.

Pchnął siatkowe drzwi i ponieważ wydawało mi się, że powinnam, ruszyłam w jego stronę, po raz kolejny wspierałam się na schody i stanęłam przed nim na ganku. Rzeczywiście był bez koszuli — miał na sobie jasnobrązowe sztruksy i stał boso — i chociaż próbowałam nie patrzeć, zauważyłam ciemne włosy porastające jego pierś. Były gęstsze wokół brodawek, dużych i czerwonych, >rosły teraz coraz gęściej wzdłuż linii biegnącej od mostka do pępka, i niżej, gdzie nad paskiem spocjni utworzył mu się fałd ciała. Ramiona także miał owłosione, z wyjątkiem bicepsów, wyraźnie muskularnych. Mój ojciec — jak dotąd jedyny mężczyzna, którego regularnie widywałam bez koszuli, także ubiegłego lata w motelu w St. Ignace — w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat też był ładnie umięśniony, ale jego klatka piersiowa była biała i prawie zupełnie bez włosów.

— Moich rodziców nie ma — powiedział Pete. — Są w kościele.

Opuchniętą twarz pokrywał mu kilkudniowy zarost. W ciągu minionych tygodni wielokrotnie myślałam o panu i pani Imhof, ale muszę przyznać, że w zasadzie ani razu o nim. Nie byłam pewna, czy wciąż jeszcze mieszka w Riley, choć w tej chwili uświadomiłam sobie, że samochód, w który wtedy uderzyłam, najprawdopodobniej należał do niego.

— Pomyślałam — zawahałam się — wydawało mi się, że będzie lepiej, jeśli przyjdę, kiedy nie będzie ich w domu. Przepraszam, jeżeli cię obudziłam.

A potem, co było do przewidzenia, rozbrzmiało milczące echo znacznie większych przeprosin: „Wybacz, że zabiłam ci brata”.

— Nie obudziłaś mnie — powiedział Pete.

Spuściłam wzrok (nawet palce u stóp miał porośnięte ciemnymi włoskami), a potem spojrzałam znowu w górę, w jego oczy, brązowe jak u Andrew.

— Przepraszam — powiedziałam, i przez chwilę wpatrywaliśmy się w siebie. — Za to, co zrobiłam.

Żeby się nie rozpłakać, spuściłam wzrok i ścisnęłam razem kciuki i palce wskazujące. Nie mogłam płakać przed Imhofem.

— Wszyscy to wiedzą — powiedział Pete.

Podniosłam oczy.

— Wszyscy wiedzą, że ci przykro i że przepraszasz. — W jego głosie nie było złości ani współczucia; brzmiał obojętnie. I chociaż nie sądzę, by wątpli w szczerość moich słów, chciałam go o tym przekonać. — Nie musisz pisać listów do moich rodziców — powiedział. — Oni wiedzą. Moja mama lituje się nad tobą.

— Mam go zabrać?

Wzruszył ramionami. Milczeliśmy prawie przez minutę.

— Czekasz, żebym cię zaprosił? — zapytał w końcu. Już miałam powiedzieć, że nie, ale dodał: — Możesz robić, co chcesz.

Obrócił się i wszedł do domu. Poszłam za nim. To wydawało się przynajmniej odrobinę lepsze, niż gdybym zwyczajnie odeszła.

Wewnątrz nie paliły się żadne światła i kiedy przechodziliśmy obok pogrążonego w mroku salonu, dostrzegłam kamienny kominek, kanapę obitą granatowym aksamitem i, wyglądające na stare, pianino. Drewniane schody ze lśniąca poręczą wiodły na pierwsze piętro, my jednak weszliśmy drugimi schodami, ciasnymi i pokrytymi dywanem, które prowadziły z kuchni. Na ich szczycie znajdowało się dwoje drzwi, jedno zamknięte, drugie otwarte, i za nimi właśnie zobaczyłam pierwszą w całym domu palącą się lampę. Był to nieduży pokój z wielkim biurkiem, małym stolikiem, pojedynczym łóżkiem (niepościelonym, z białym prześcieradłem i brązową kapą zwiniętą niechlujnie w nogach, otwartą książką odwróconą grzbietem do góry i leżącą wprost na materacu) i stolikiem nocnym, na którym stała lampa i popielniczka.

On usiadł na łóżku, ja zostałam w drzwiach. Wskazałam na książkę *Atlas zbuntowany*.

— Czytałam to.

— Ciekawa, ale za długa — stwierdził.

— To prawda, nie należy do moich ulubionych.

Patrzył na mnie bez słowa. Po chwili klepnął miejsce na łóżku obok siebie.

— Może usiądziesz? — zapytał.

Przełknęłam i postąpiłam naprzód. W tym momencie muszę zaznaczyć, że byłam współwinna — weszłam za nim do domu i na górę. Niczego nie zaplanowałam, ale byłam współwinna. Kiedy usiadłam obok niego, nie upłynęło

więcej czasu niż sekunda, może dwie, kiedy jego usta znalazły się na moich, jego głodne, natarczywe wilgotne usta poruszające się zbyt rozpaczliwie, by można to było nazwać całowaniem. Po kilku sekundach mocno chwycił palcami moją prawą pierś, ścisnął i puszczał, i znów ścisnął. Jego pożądanie było większe od mojego, był też silniejszy. Chociaż był już bez koszuli, nie bałam się. Odczuwałam ogromną ulgę. Przez ostatnich kilka tygodni starałam się tak bardzo zebrać w sobie, zachowywać zgodnie z oczekiwaniami i próbować pomału naprawić straszliwy błąd, jaki popełniłam, a teraz musiałam się tylko poddać. Nikt mnie nie obserwował, nie rozmawiał o mnie, nie próbował delikatnie wypytać, nie potępiał ani nie pocieszał. Ktoś chciał czegoś ode mnie, to było złe, ale ja mogłam mu to ofiarować.

Sięgnął pod moją bluzkę i pod stanik, a ponieważ guziki bluzki mogły poodpadać, rozpięłam je. Kiedy od pasa w górę nie miałam już na sobie nic, pchnął mnie na materac, usiadł na mnie okrakiem i przywarł twarzą do moich piersi. Wtulał w nie policzki, lizał moje sutki, a jego zarost drażnił moją skórę. Nie było to nieprzyjemne uczucie, a im bardziej miotał się i mnie obłapywał, tym bardziej wydawał się podniecony. Kiedy zdarł ze mnie jednocześnie spodnie i majtki — nosiłam niebieskie dzinsy, i musiał wpierw odpiąć guzik i rozsunąć zamek — byłam naga, miałam tylko skarpetki, białe, wykończone koronką. Poderwał mnie w górę i obrócił twarzą w dół.

— Nie, musisz uklęknąć — powiedział i były to pierwsze słowa, jakie padły od dobrych kilku minut.

Nigdy nikomu tego nie opowiadałam i nigdy tego nie zrobię. W dzisiejszym świecie, w którym dziewiętnastoletnie dziewczyny całują się ku uciesze męskich obserwatorów, w którym sieci telewizyjne pokazują, jak kobiety kąpią się w jacuzzi w skąpych bikini, a półkule ich sztucznych piersi podskakują radośnie — w tym świecie być może nie byłoby to takie szokujące. Ale w 1963 roku, kiedy byłam w ostatniej klasie liceum, nie miałam pojęcia, że istnieje taka pozycja seksualna, nigdy nie słyszałam wulgarnego określenia „na pieska”. Nie byłam pewna, co Pete i ja robimy, nie byłam pewna, czy to jest seks, ale po kilku minutach pompowania poczułam w sobie jego wytrysk i zrozumiałam, że to jednak seks. Ścisnął mnie rękami za biodra, zmuszając, bym się położyła. Kiedy to zrobiłam, przywarł płasko do moich pleców, a ja czułam, jak zmniejsza się jego lepka erekcja.

Tkwiliśmy tak, oboje zwróceni twarzą do materaca; jego głowa nad moim lewym ramieniem; jego pierś na moich plecach; jego sflaczały penis w rowku między moimi pośladkami; jego nogi na moich nogach. Jego ciało było ciężkie i ciepłe, a ja miałam w głowie pustkę i wyłącznie świadomość tego spoczywającego na mnie ciężaru, który niczym tarcza całkowicie mnie osłaniał.

Trochę mnie bolało, ale w końcu nic w tym dziwnego, i odbyło się błyskawicznie, nie przynosząc mi fizycznej ulgi, jak jemu; w swojej naiwności nawet nie zdawałam sobie sprawy, że mogło być inaczej. Poza tym postąpiłam nierozważnie. Ale wszystko to było bez znaczenia. Kiedy leżałam na brzuchu, nie widziałam jego twarzy, ale widziałam, jak koniuszki jego palców dotykają mojego ramienia i czułam zapach jego skóry, trochę jak woń smażonej cebuli i mydła. A więc tak wyglądało spoczywanie nago w ramionach młodego mężczyzny.

Minęła kolejna chwila, gdy nagle Pete zsunął się ze mnie. Kiedy wstał, cały obnażony tył mojego ciała był widoczny w świetle lampy, w niedzielne południe, więc instynktownie się obróciłam i naciągnęłam na siebie prześcieradło. Stał przede mną nagi, porośnięty ciemnymi włosami, z pozbawioną wyrazu twarzą.

— Moi rodzice będą niedługo w domu — powiedział. — Musisz już iść.

Nawet kiedy znalazłam się już na De Soto Way, wszystko wydawało się szokujące i niewytłumaczalne. Ja uprawiałam seks z bratem Andrew? Czterdzieści minut wcześniej byłam dziewczyną dostarczającą liścik z kondolencjami, a chwilę później Pete Imhof od tyłu wpychał we mnie swojego penisa, a ja w ogóle się nie opierałam. W zasadzie nawet sama się o to prosiłam! Zmierzając w stronę miasta, mogłabym pomyśleć, że całe zajście jest tylko wytworem wyobraźni, gdyby nie niezaprzeczalna wilgoć między moimi nogami.

A mimo to czułam się znacznie lżejsza, niż kiedy wyruszałam z domu. Prawdopodobnie oszukiwałam ludzi — rodziców i babcię, może Andrew — ale nie tak się czułam. Raczej miałam wrażenie, że coś było nie w porządku, jak zdjęta z widełek słuchawka czy zlew pełen brudnych naczyń, a ja swoim uczynkiem wszystko posprzątałam i doprowadziłam do pierwotnego ładu.

Kiedy wróciłam, zaparkowałam samochód i weszłam do domu.

— Jesteś nareszcie! — wykrzyknęła mama, kiedy zjawiłam się w jadalni.

Podeszła do mnie i położyła mi dłonie na ramionach. Jedli niedzielny lunch: jagnięcinę, zieloną fasolkę i herbatniki.

— Martwiliśmy się — rzekł ojciec. — Nie wiedzieliśmy, dokąd pojechałaś.

— Musiałam coś załatwić.

— Następnym razem zostaw wiadomość — powiedział ojciec. — Dorothy, pozwól jej usiąść, żeby mogła zjeść.

Marzyłam, by pójść na górę i się wykapać, ale wyglądałoby to podejrzanie; przecież rano brałam prysznic. Zajmując swoje miejsce przy stole, zastanawiałam się, czy sperma Pete'a przesiąkła mi przez majtki i poplamiała spodnie.

— Cóż takiego musiałaś załatwić? — zapytała babcia.

Zapadła długa cisza.

— W związku ze szkołą — powiedziałam wreszcie.

Znów zaległa cisza — ostatnio takie chwile zdarzały się coraz częściej, chociaż może po prostu teraz zaczęłam zwracać na nie uwagę.

— Alice, dziewczyny Fricków śpiewały dzisiaj *A Mighty Fortress Is Our God* — powiedziała mama. — Cóż za przepiękne głosy.

Nikt się nie odezwał.

— A wiecie, Cecile mówiła mi, że dziewczęta mają nadzieję wystąpić latem na stanowych targach — dodała.

— Nazwiska i twarze głupców często pojawiają się publicznie — powiedział ojciec.

Powtarzał to *często* — ostatnio kiedy pan Janaszewski trzy razy pod rząd wygrał w bingo w St. Anns, a następnego dnia jego zdjęcie zamieszczono na pierwszej stronie „The Riley Citizen”. Jednak występ na stanowych targach nie wydał mi się aż tak niestosowny.

— Cóż, to chyba nie jest jeszcze pewne — stwierdziła mama.

Wiedziałam, że powinnam pomóc — mama się starała — ale nagle dopadła mnie paralizująca świadomość dobywającego się ze mnie zapachu, kwaśnosłownego odoru, z którym nigdy wcześniej się nie spotkałam, ale który rozpoznałam natychmiast.

— Chodziłam do szkoły z dziewczyną, która miała wspaniały głos — odezwała się babcia. — Leoną Stromberg.

Babcia położyła nóż i widelec równiutko obok siebie na talerzu, chociaż nie zjadła nawet połowy swojej porcji. Zapalając pall maila, mówiła dalej:

— Kiedy śpiewała, robiła to tak dobrze, że dostawało się gęsiej skórki. Któregoś lata, chyba w dziewiątym, może dziesiątym roku, do miasta przyjeżdża cyrk. Ona przekonuje kogoś, żeby jej posłuchał, ale z tego, co zawsze słyszałam, przyjęli ją nie ze względu na głos, ale na urodę. Doprawdy wielka szkoda. Nie dlatego, żeby nie była ładna, ale miała prawdziwy dar, a oni zdaje się zatrudnili ją głównie jako asystentkę magika. Tak czy owak Leona opuszcza Milwaukee wraz z cyrkiem — ma jakieś osiemnaście lat — i podróżuje tu i tam, gdzie popadnie. Któregoś dnia cyrk występuje w Baltimore i nagle w samym środku pokazu tygrys odgryza jej nos.

— O, coś podobnego — powiedziała mama.

— Czy to odpowiednie przy stole? — zapytał ojciec.

— Wszyscy jesteśmy dorośli. — Babcia mrugnęła do mnie, czego nie robiła już od jakiegoś czasu. — No, ale zapomniałam wspomnieć, że w owym czasie miała już zmienione nazwisko. Nie nazywała się Leona Stromberg, ale Mimi Etoile — „etoile” to po francusku „gwiazda”. *Parlez— vous français?* — Patrzyła na mnie. Potrząsnęłam głową. Niczym płomień, w mojej wyobraźni pojawił się obraz Pete'a Imhofa. Zignorowałam go całą siłą woli. — Ja też nie — powiedziała babcia. — Ale wracając do naszej heroiny. Mimi, z domu Leona, nie ma nosa, co oznacza koniec występów. Wszak nikt nie chce przypominać widowni o mrocznej stronie cyrku. Cóż, można by pomyśleć, że szczęście odwróciło się od niej. Nie ma żadnych oszczędności, nie wyszła za męża, jest daleko od domu. Właściciel cyrku idzie do niej, by ją zwolnić, i proszę, proszę, kto by się spodziewał, zakochują się w sobie. Jej twarz skrywają bandaż, ale to tylko każe mu wsłuchiwać się dokładniej w jej wyjątkowy głos. Jest od niej całe lata starszy, przekroczył pięćdziesiątkę, ale zabiega o nią i czyni z niej swoją beznosą oblubienicę. Z tego co mi wiadomo, żyli długo i szczęśliwie.

— Doprawdy dziwaczna historia — powiedział ojciec.

— Czy nadal podróżowała z cyrkiem? — zapytała mama.

— Przez jakiś czas, ale wkrótce kupił jej dom w Denver, sam też w nim mieszkał, kiedy nie był potrzebny w cyrku. Na koniec, bo musicie pamiętać, że nie był młodzieniaszkiem, sprzedał cyrk i spędzał z Mimi cały rok na okrągło. Pogoda w Denver jest całkiem znośna, mimo że góry są tak blisko.

Przełknęłam ostatnią fasolkę.

— Czy mogę odejść?

— Kochanie, jest jeszcze deser — powiedziała mama.

— Jutro mam test z historii. — Wstałam i wycofując się tyłem z pokoju, nie przestawałam mówić, by usprawiedliwić fakt, że wciąż jestem do nich zwrócona przodem. — Muszę się uczyć.

W swoim pokoju przebrałam majtki. Nie wiedziałam, co zrobić z zabrudzoną parą. Bałam się wrzucić ją do kosza na pranie i ryzykować, że mama je znajdzie, więc zwinęłam je w kulkę i schowałam z tyłu szuflady ze skarpetkami. W łazience, zanim oddałam mocz, kawałkiem papieru toaletowego wytarłam się między nogami. Na papierze pojawiła się warstwa przezroczystego śluzu. Wytarłam się znowu, ale tym razem zwilżyłam papier wodą. Potem spuściłam wszystko w klozecie, jakby zniszczenie dowodów mogło odwrócić to, co już się dokonało.

Późnym popołudniem następnego dnia, kiedy ojciec wciąż jeszcze był w pracy, babcia w salonie paliła papierosy i czytała „Vogue”, a ja wraz z mamą przygotowywałam kolację. Podeszłam na próg salonu.

— Mama pyta, czy chcesz, żeby polać ci brokuły sosem serowym, czy podać sos osobno.

Babcia podniosła wzrok.

— Może być osobno.

Nie odeszłam od razu.

— Czy opowieść o Mimi była prawdziwa?

Babcia przyjrzała mi się.

— A gdyby nawet — odezwała się w końcu — nie uważasz, że jest niesamowicie interesująca?

— Dzisiaj po południu jest spotkanie Spirit Club, prawda, kochanie? — zapytała mama w środowy poranek, kiedy w kuchni jadłam owsiankę.

I choć od wypadku nie byłam na ani jednym spotkaniu, poszłam tym razem z powodu jej ożywionego tonu, przekonania — to było naprawdę wzruszające — że jeżeli będziemy rozmawiać wesoło, można by pomyśleć, że nie zabiłam Andrew.

To było zwykłe spotkanie, z trwającą czterdzieści pięć minut kłótnią, czy transparent z napisem DO BOJU BENTON KNIGHTS na piątkowy mecz z Ho—ughton North High powinien zostać rozwinięty na porannym apelu czy też dopiero na samym meczu. Ja nie odzywałam się w ogóle, zagłosowałam tylko za rozwinięciem transparentu na apelu. Do Spirit Club należało szesnaście dziewcząt i jeden chłopiec, szczupły, pobudliwy czwartoklasista Peter Smyth, który miał obsesję na punkcie Elizabeth Taylor i który ilekroć nadarzyła się okazja, wcielał się w jej postać jako call girl w *Butterfield 8*.

Następnego dnia wychodziłam ze stołówki po lunchu, gdy Mary Hafliger, przewodnicząca Spirit Club, podeszła do mnie.

— Czy możemy porozmawiać na osobności? — spytała.

Skinęłam głową i z hałaśliwej stołówki wyszliśmy na spokojny parking dla nauczycieli. Był słoneczny dzień, a liście drzew okalających parking mieniły się złotem i czerwienią.

— Ciężko mi to mówić — powiedziała — ale uważamy, że nie powinnaś już należeć do Spirit Club.

Zaskoczyła mnie, ale w gruncie rzeczy nie byłam zdziwiona. Spodziewałam się wykluczenia, po prostu w tej chwili nie byłam na nie przygotowana.

Przełknęłam.

— W porządku.

— Wiedziałam, że zrozumiesz — powiedziała. — Chodzi o to, że ludziom robi się przy tobie smutno.

Przypomniałam sobie, jak broniłam przed Deną owłosionych ramion Mary, a potem zastanowiłam się, czy rzeczywiście na wczorajszym spotkaniu ktoś był smutny. Przez cały czas toczyła się kłótnia, tylko Peter Smyth obwieszczał w przerwach:

— Mamo, spójrz prawdzie w oczy. Zawsze byłam dziwką.

Czy jednak naprawdę mogłam winić Mary? Byłam Mimi Etoile, co uświadomiłam sobie nagle, byłam dziewczyną, której tygrys odgryzł nos, i teraz wesołym ludziom przypominałam o smutkach życia. Albo nie, może nie byłam Mimi, ponieważ ona w końcu doczekała szczęśliwego zakończenia. Poza tym to był tylko jej nos.

Następny raz był w piątek po szkole. On siedział za kierownicą zardzewiałej czerwonej półciężarówki, którą widziałam na farmie Imhofów. Zaparkował niedaleko kampusu.

— Alice — zawołał cicho, kiedy znalazłam się tuż koło auta.

Odwróciłam się, poznałam go i wsiadłam. Milczeliśmy przez całą drogę, póki nie skręciliśmy na podjazd wiodący do ich domu. Byłam zdziwiona. Podświadomie myślałam o tym, ale zakładałam, że udamy się w jakieś ustronne miejsce, być może nawet zrobimy to na siedzeniu półciężarówki.

— Ale co z twoimi... — zaczęłam.

— Spędzają ten weekend u wujostwa w Racine — odparł.

W domu poszłam za nim na schody. Czułam się pewnie, nie zdenerwowana. Pierwszy raz był jak wtedy, oboje na czworakach, on za mną. Ale kiedy zwałiliśmy się na materac, po jakimś czasie obróciliśmy się i leżeliśmy na wznak obok siebie, potem on położył się na boku, twarzą do mnie. Był wyższy, więc jego usta znajdowały się na wysokości czubka mojej głowy. Ta zmiana pozycji trwała dość długo, a my prawie nic nie mówiliśmy. Wciąż leżeliśmy obok siebie, kiedy on

zaczął wodzić palcami tam i z powrotem po wgłębieniu między moimi kośćmi biodrowymi, za każdym razem zsuwając się coraz niżej. Gdy dotarł tam, dokąd zmierzał, wzdrygnęłam się, co jednak nie oznaczało, że nie chcę, aby mnie tam dotykał. Jego ręka znieruchomiała, ale jej nie cofnął, nic też nie powiedział. Być może czekał, aż zaprotestuję. Kiedy tego nie zrobiłam, wrócił do przerwanej czynności. Zamknęłam oczy. Z początku oddychałam płytko i cicho, ale stopniowo zaczęłam dyszeć coraz gwałtowniej i głośniej. Czułabym się zawstydzona, gdybym wciąż była sobą, gdyby świat dalej istniał, ale nie byłam i nie istniał. Otworzyłam oczy i ujrzałam poszarzały biały sufit, górny brzeg brązowo— żółtych zasłon, po czym znowu je zamknęłam i zanurzyłam się z powrotem w falującą czerń kosmosu, pełną komet i asteroid. Znowu otworzyłam oczy — sufit, zasłony — i różnica była tak wielka, jakbym w jednej chwili siedziała przy biurku w swoim pokoju w domu, a w drugiej odwróciła się i ujrzała ciągnący się przede mną Wielki Mur Chiński. Nie wiem, czy to on położył się na mnie, czy też ja go na siebie wciągnęłam, ale w którymś momencie znowu był we mnie, znaleźliśmy się twarzą w twarz, ocieraliśmy się o siebie i zderzaliśmy, a ja trzymałam go za pośladki i oboje doszliśmy w tej samej chwili. Uniosłam nogi i oplótłam je wokół niego, by przyciągnąć go do siebie najbliżej, jak to możliwe, by wszedł we mnie jak najgłębiej. Dzisiaj widzę, że cały ten okres z Pete'em spowity jest takim smutkiem i żalem, że staram się o nim nie myśleć; mimo to jednak zdarza się czasem, że aż się skrzywię na to wspomnienie. Ale z lekkim rozbawieniem muszę przyznać, że to, co nam się przytrafiło tego dnia w jego pokoju, ta idealna synchronizacja w czasie, ani razu nie spotkało mnie w ciągu dziesiątków lat mego małżeństwa z człowiekiem, którego głęboko kochałam.

Kiedy tak leżałam z przytłaczającym mnie swoim ciężarem Pete'em Imhofem, a nasze oddechy się uspokajały, przyszło mi do głowy, że w tym momencie nie można nic powiedzieć. To była jedyna rzecz potężniejsza od smutku.

Dena zrozumiała, że śmierć Andrew była działaniem siły wyższej. Powiedziała mi o tym, kiedy siedziałam na jej łóżku i przyglądałam się, jak nakłada makijaż przed spotkaniem ze znajomymi w Tattys w sobotni wieczór. Kilkakrotnie proponowała, żebym się z nią wybrała, ale ja odmawiałam, co ona kwitowała:

— Musisz przestać o nim myśleć. Andrew był aniołem, który zbyt szybko od nas odszedł, ale nie naszą rzeczą jest pytać, dlaczego.

Powiedziała mi także, że ponieważ miała problemy ze snem, matka umówiła ją na rozmowę z ich księdzem i ojciec Krauss pomógł jej zrozumieć, że wszystko to było boskim planem.

— Powinnaś porozmawiać z waszym pastorem — poradziła.

Nic nie odpowiedziałam.

— Patrzysz, jak mi odrastają baki, prawda? — zapytała wtedy.

— Na nic nie patrzę.

— Nancy powiedziała, że powinnam pozwolić im odrosnąć, ale ile to zajmie miesięcy? Trzy?

Nie powiedziałam Denie o bracie Andrew, nie mogłabym. Nie była to żadna pikantna ciekawostka ani też moralny dylemat, nad którym mogłybyśmy debatować; to było nie do opisanania.

— Twoim baczkom niczego nie brakuje — stwierdziłam.

Kiedy w niedzielę cała moja rodzina udała się do kościoła Calvary Lutheran, ja pojechałam na farmę Imhofów. Zapukałam do drzwi i tak długo musiałam czekać, aż Pete otworzy, że w końcu uznałam, że nie ma go w domu. Zapukałam jednak raz jeszcze, tak dla pewności. Poprzedniego wieczoru ochłodziło się, temperatura spadła prawie do zera, więc miałam na sobie płaszcz.

W końcu otworzył drzwi.

— Jesteś głupia, że przyszłaś — powiedział. — Co by było, gdyby moi rodzice byli w domu?

— Powiedziałeś, że pojechali do Racine.

— Ale nie powiedziałem, kiedy wracają.

— Mam sobie pójść?

Obrzucił mnie pogardliwym spojrzeniem.

— Skoro już tu jesteś, równie dobrze możesz wejść.

Odwrócił się i ruszył w kierunku kuchni, a ja, jak już dwukrotnie przedtem, poszłam za nim.

Oprócz jajecznicy co najmniej z pięciu, może nawet sześciu jaj szykował sobie kielbaskę i opiekał w tosterze dwie kromki chleba. Kiedy się temu przyglądałam, nalał mi szklankę soku pomarańczowego. Nałożył sobie wszystko na talerz i usiadł przy stole, wobec czego ja usiadłam również. Zdjęłam płaszcz, złożyłam go i powiesiłam na krześle obok siebie. Żadne z nas nie odezwało się, dopóki Pete nie skończył jeść. Oparł się wygodnie, skrzyżował ramiona na pierśsiach i popatrzył na mnie.

— Pójdziemy na górę? — zapytałam.

Być może pośpieszyłam się nieco z tym pytaniem, ale ponieważ wydawało się oczywiste, że tak właśnie zręć i my, mówienie o czymkolwiek innym byłoby nieszczerze. Poza tym wiedziałam, że kiedy znajdziemy się w jego łóżku, nadzy i spleceni w uścisku, jego ponura złośliwość zniknie.

On jednak zignorował moje pytanie.

— O czym marzysz, Alice? Jakie są twoje nadzieje? — zapytał. — Czy myślisz, że zostaniesz w Riley na zawsze?

— Nie wiem.

— Ja bym tu nigdy nie został — stwierdził. — Wyprowadzam się do Milwaukee albo do Chicago, tylko tam mogę coś osiągnąć.

Byłam rzecz jasna zbyt młoda, by wiedzieć, że najpewniejszym znakiem, iż mężczyzna niczego nigdy nie osiągnie, są jego powtarzane w kółko zapewnienia, jak to z całą pewnością do czegoś dojdzie, ponadto ta rozmowa kompletnie mnie zaskoczyła. Pragnienie, byśmy poszli na górę, było coraz trudniejsze do odparcia.

— Pojechałam raz do Chicago z moją babcią — powiedziałam.

— Tak? Moje gratulacje.

Poczułam się głupio — nie umiałam powiedzieć, czy jego uwaga znaczyła, że sam był tam również, czy też wręcz przeciwnie.

— Mógłbym przejąć farmę, ale farmerstwo jest dla matołów — mówił dalej. — Dzisiaj rano musiałem wstać o szóstej, żeby nakarmić kurczaki. Człowiek zaharowuje się na śmierć w polu, jest na łasce pogody i co ma w zamian? Ja szukam posady urzędnika, w biznesie albo bankowości. Andy'emu podobało się tutaj, ale ja nigdy nie mogłem zrozumieć dlaczego.

Umilkliśmy oboje. Nie sędzę, by celowo wspomniał o swoim bracie, myślę, że przez chwilę nie pamiętał, co mnie łączyło z Andrew, a może nawet zapomniał, że Andrew nie żyje.

Przez cały ten czas nie paliło się w kuchni żadne światło i siedzieliśmy tak w mrocznej ciszy.

— Chodź tutaj — odezwał się Pete nieprzyjemnym tonem.

Wstałam i obeszłam stół. Miał na sobie te same brązowe sztruksy, co kiedyś, i sweter w szerokie czarne i czerwone pasy.

— Uklęknij — powiedział.

— W ten sposób? — zapytałam, gdy już klęczałam przed nim.

— Udawaj, że jesteś w kościele — rzekł z sarkazmem.

Nie spuścił ze mnie wzroku ani na chwilę, kiedy rozpinał spodnie, a potem opuścił je do kostek razem z białymi slipami. Jego penis wydał mi się szokująco mały, ale Pete wziął moją rękę i skierował ku sobie.

— Poruszaj i masuj go — powiedział i prawie natychmiast rozpoczęła się erekcja. — Zbliź się — dodał. — A teraz weź go do ust.

Nawet kiedy mówił, obejmował rękami moją głowę i przyciągał do siebie.

Lata wcześniej, w szóstej klasie mój kolega Roy Ziemiak, syn naszego dentysty, opisał ten akt Denie i mnie, a ja nie wiedziałam, czy mam mu wierzyć. Najwyraźniej mówił wtedy prawdę.

W pierwszej minucie zakrztusiłam się dwukrotnie, ale potem starałam się zachować rytm, w górę i w dół, i myślałam sobie: „Policzę do dwudziestu pięciu”. Pamiętałam, żeby za każdym razem dodawać słowo Missisipi, aby faktyczne miały sekundy: raz Missisipi, dwa Missisipi... Nad sobą słyszałam coraz głębsze i szybsze oddechy Pete'a. Po trzydziestu czterech sekundach uniosłam głowę. Oczy miał zamknięte, ale szybko je otworzył, a jego głos brzmiał na wpół śpiąco, na wpół rozpaczliwie — nie było w nim okrucieństwa.

— Nie, musisz skończyć — powiedział.

Kiedy wróciłam do tego, co na chwilę przerwałam, zaczęłam płakać. Nie chciałam, żeby zauważył, i chyba faktycznie się nie zorientował, zbyt był skupiony na czym innym, poza tym było tam już bardzo mokro, bo śliniłam się, nie przelękając normalnie. Kiedy w końcu wytrysnął mi w usta, szybko cofnęłam głowę i większość spłynęła na jego białe, owłosione uda. Tylko odrobinę musiałam zetrzeć z krawędzi ust i najwyżej jakaś kropelka spłynęła mi do gardła. Nachylił się, by wciągnąć slipy i spodnie, a ja schyliłam głowę, pozwalając, by łzy płynęły gwałtownie — gorące i niepowstrzymane.

— Płaczesz? — zapytał po upływie jakichś trzydziestu sekund.

Kłęczałam, wspierając pośladki o pięty, po czym usiadłam ze zgiętymi kolanami i skrzyżowałam ramiona. W dłoniach ukryłam twarz i szlochałam tak gwałtownie, że aż zaczęłam drżeć.

— Co się z tobą dzieje? — usłyszałam głos Pete'a.

Kiedy podniosłam wzrok, stał nade mną. Nasze oczy się spotkały i poczułam, jak twarz mi się wykrzywia i ściąga (z Andrew byłoby zupełnie inaczej, on po wszystkim tuliłby mnie i całował).

— Wiem, że nie mogę nic zrobić, by wynagrodzić stratę tobie i twoim rodzicom, ale mnie też go brakuje — powiedziałam.

— Chyba nie myślisz, że wy dwoje byliście w sobie zakochani, co? — Wściekłość w głosie Pete'a podpowiadała mi, abym zamilkła. — Że on był twoim chłopakiem?

Nie odpowiedziałam, ale przestałam płakać i nagle zrobiłam się czujna. Przechywałam, że bardzo szybko przyjdzie mi opuścić ten dom, a prawdopodobieństwo, że kiedykolwiek tu wrócę, było raczej niewielkie.

— Mój brat nie był twoim chłopakiem — powiedział Pete.

Otarłam oczy, wsunęłam włosy za uszy. Wstając, przytrzymałam się krzesła.

— Słyszałaś, co mówię? — powiedział Pete. — Nie był twoim chłopakiem.

Kiedy wkładałam płaszcz, przyszło mi na myśl, że będzie próbował zagrozić mi drogę.

— To, co właśnie zrobiłaś — rzekł — robią tylko dziwki, a mój brat nigdy nie umawiałby się z dziewczyną.

Wyszłam z kuchni, przeszłam przez hol obok salonu i frontowej klatki schodowej. Pete podążał za mną. Ale kiedy dotarłam do drzwi, zatrzymał się jakieś trzy metry ode mnie. Chwyciłam za klamkę i przekręciłam ją.

— Widzisz, nawet nie potrafisz się obronić — powiedział. — Dlatego właśnie jesteś dziewczyną.

Ta obrzydliwa niechęć pojawiła się między nami w jednej chwili, a to mogło oznaczać tylko jedno — że była tam przez cały czas. Popatrzyłam na niego i powiedziałam jedyną rzecz, o której wiedziałam, że jest prawdą:

— Przykro mi, że to nie byłam ja zamiast niego.

W tej właśnie chwili wkroczyłam w strefę mroku, w której starałam się jedynie brnąć naprzód. Ujrzałam, jak przy udziale Pete'a próbowałam naprawić całą sytuację — może w nieco perwersyjny sposób, ale próbowałam — i teraz w końcu zrozumiałam, że to sytuacja nie do naprawienia. A nawet, prawdę mówiąc, wszystko pogorszyłam. Nie mogłam nawet czerpać pociechy z faktu, że się umartwiałam: w zasadzie sprawiało mi przyjemność, kiedy Pete mnie dotykał, podobał mi się aspekt fizyczny (on był nagim owłosionym mężczyzną pięć lat starszym ode mnie, pieszczącym mnie w sposób, w jaki nie powinien tego robić, a ja nie powinnam na to przyzwalać — oczywiście, że było to podniecające), po-

dobal mi się też rozwój wypadków, zastanawianie się nad tym, co się wydarzy, myślenie o czymś bliskim Andrew bez konieczności myślenia o jego śmierci. Ale w ostatecznym rozrachunku do tragedii doszła uraza, poza tym obciążające sekrety, złe postęпки, które zraniłyby znających mnie ludzi, gdyby się o nich dowiedzieli. Rozwiązaniem było wycofanie się, zamknięcie w sobie. To nie wymagało wysiłku, było wręcz czymś odwrotnym — kapitulacją.

Chodziłam do szkoły, oddawałam zadane prace, z których większość odrabiałam w sali do nauki. Po drugiej klasie korzystanie z niej nie było obowiązkowe i dawniej spędzałam czas z Deną na sali gimnastycznej, gdzie chłopcy rzucali do kosza, a my siedziałyśmy na ławkach, kuląc się, gdy piłka nadlatywała niebezpiecznie blisko. Wiezorami oglądałam telewizję albo grałam w karty z rodziną, ale tylko po to, żeby nie myśleli, iż przestało mnie to bawić, a podczas posiłków rozmawiałam z nimi, ale też tylko tyle, by nie zaczęli się martwić, że znalazłam się o krok od popełnienia jakiego nieprzemyślanego czy nieodwracalnego czynu. Takie niebezpieczeństwo jednak nie istniało, ponieważ nie miałam dość energii.

Próbowałam czytać powieści, kiedyś najpewniejszy sposób ucieczki przed rzeczywistością, ale nawet gdy zagłębiałam się w szesnastowieczną Szkocję czy współczesny Manhattan, zawsze wyczuwałam czający się na krawędzi strony koszmar mojego życia, nadciągającą falę. Czasem ten koszmar zwyczajnie mnie zalewał i w żaden sposób nie dawało się go powstrzymać. Najgorzej było rano, zaraz po przebudzeniu. Czułam się źle, męczyły mnie mdłości, które czasem, kiedy leżałam spokojnie i bez ruchu, mijały. Najczęściej jednak musiałam biec do łazienki, gdzie wymiotowałam do klozetu, a potem starałam się powstrzymać łzy. Było piętnaście po piątej, czasem dwadzieścia, i wydawało się niemożliwe, by dzień już zaczął być nieudany.

Wieczorem leżałam w łóżku przy zapalonym świetle, z zamkniętymi oczami i słuchałam *Lonesome Town*. Czułam, jak piosenka mnie uspokaja, utula, jak wtedy, gdy ktoś podtrzymuje nas w wodzie, kiedy nasze ciało prawie nic nie waży. *You can buy a dream or two / To last you all through the years*, śpiewał Ricky Nelson. *And the only price you pay / Is a heart full of tears*. Bawiłam się srebrnym naszyjnikiem, który nosiłam tamtego popołudnia przed biblioteką, i chociaż jakaś część mnie żałowała, że podarowałam rodzicom Andrew wisiołek w kształcie serduszka, fakt, że mi go brakowało, zdawał się świadczyć o podjęciu przeze mnie właściwej decyzji.

Któregoś ranka na początku listopada wyszłam z łazienki, gdzie właśnie wymiotowałam — nie było jeszcze szóstej — i zastałam babcię stojącą w nieoświetlonym holu, wyglądającą niczym zjawa w różowym satynowym szlafroku i białych pantoflach.

— Wymiotowałaś?

— Nic mi nie jest — powiedziałam cicho. — Bolał mnie żołądek, ale już jest lepiej.

Przyjrzała mi się bacznie.

— Wiesz zapewne, że w ten sposób nie zostaniesz szczupłą. To stara sztuczka, której próbuje wiele dziewcząt, ale szkodzi na zęby i puchną od tego policzki. Nawet się nie obejrzysz, a będziesz wyglądać jak chomik.

— Babciu, nie zmuszam się do wymiotów.

— Jeżeli boisz się przytyć, o wiele bardziej elegancko jest palić. Papierosy hamują apetyt i jednocześnie spalają kalorie.

Wiedziałam, że papierosy są niezdrowe — pan Frisch mówił nam o tym na biologii — ale nie chciałam się z nią spierać.

Babcia wyciągnęła rękę i złapała mnie za brodę, żebym musiała patrzeć na nią. W ósmej klasie byłam już wyższa od niej, ale zwykle nosiła obcasy, które wyrównywały różnicę wzrostu. Teraz jednak patrzyłam na nią z góry. — Nie karz sama siebie — powiedziała. — To niczego nie naprawi.

Kiedy byłam w szkole, wśród zgiełku i ludzi spieszących się do obowiązków, które tak naprawdę były nieistotne, często zastanawiałam się, czy nie byłoby mi lepiej w domu, gdybym mogła w ogóle zrezygnować ze szkoły. Ale w domu też było źle, tyle że w inny sposób. Stopniowo zrozumiałam, że muszę wyjechać z Riley, pójść do college'u i nigdy więcej nie wrócić. Ale musiałam wybrać jakąś inną uczelnię niż Ersine Teachers College w Milwaukee, gdzie studiowało mniej niż tysiąc dwieście dziewcząt. W tak małej społeczności moja historia musiała stać się znana, ktoś na pewno znał kogoś z Riley, albo któraś z moich koleżanek z klasy także zdecyduje się na tę właśnie szkołę. Przypuszczam, że przekonanie, iż zapisanie się na University of Wisconsin w Madison uważałam wtedy za posunięcie radykalne, świadczyło o moim prowincjonalizmie. Szkoła miała ponad dwadzieścia tysięcy studentów, a w takim tłumie bez trudu można się zgubić.

Kiedy następnym razem babcia przyłapała mnie na wymiotowaniu, nie czekała na mnie w holu; siedziała na moim łóżku, przerzucając strony „The Rise of Silas Lapham”, książki, którą znalazła na moim stoliku nocnym. W jej głosie słychać było poranną chrypkę.

— Zamknij drzwi — powiedziała.

Zrobiłam, co kazała.

— Ostatnim razem byłam głupia, prawda? Kiedy myślałam, że próbujesz schudnąć.

Stałam obok biurka i milczałam.

— Pojedziemy do Chicago i zajmiemy się wszystkim. Przypuszczalnie w przyszłym tygodniu, muszę zadzwonić w kilka miejsc. Zrobisz wedle uznania, ale radzę, byś nie mówiła nic rodzicom. Nie wiem, czemu miałoby to służyć.

W pierwszej chwili chciałam udać, że nie rozumiem, tyle tylko że rozumiałam aż za dobrze. Wieczorem, kiedy słuchałam *Lonesome Town*, wiedziałam. Babcia miała rację.

— Czy to nie jest... — zawahałam się. — Czy to nie jest nielegalne?

— Oczywiście, i zdarza się bez przerwy. Nie da się zalegalizować ludzkiej natury.

— Nie sądzisz, że powinnam urodzić?

— Sądzę, że to by cię zabiło — powiedziała cicho. — W innych okolicznościach powiedziałabym: „Jedź do domu dla dziewcząt w Minnesocie, jedź do Kalifornii”, ale teraz nie jesteś dość silna. Niedługo będziesz znowu, ale jeszcze nie teraz.

Kiedy mówiła, poczułam, jak wykrzywają mi się usta, a *do oczu* napływają łzy.

— Przepraszam, że cię zawiodłam.

— Chodź, usiądź przy mnie — powiedziała, a kiedy usiadłam, pomasa— wała mi plecy, przesuwając dłonią po moim białym bawełnianym szlafroku. — Musimy popełniać błędy — odezwała się po chwili. — W ten sposób uczymy się wyrozumiałości dla innych. — Milczała chwilę. — Nie musisz mi mówić, kto jest ojcem. To nie ma znaczenia.

Zamiast pociągiem, pojechałyśmy autobusem. Zgodnie z poleceniem babci poszłam do szkoły, jakby to był zwykły dzień, ale na pierwszej przerwie wezwano mnie do gabinetu dyrektora, gdzie czekała na mnie babcia. Poszłyśmy szybko na przystanek i wsiadłyśmy do autobusu jadącego do Chicago.

— Jestem pewna, że ktoś robi to też w Riley — stwierdziła babcia — ale musiałabym popytać, a nie chcę, żeby ludzie gadali — dodała.

Z dworca przy Broad Street pojechałyśmy taksówką do szpitala. Jak pouczyła mnie babcia, nic nie jadłam ani nie piłam od poprzedniego wieczora, więc w taksówce żołądek mi się skręcał, wypełniony jedynie niepokojem.

— Podałam, że nazywasz się Alice Warren — powiedziała babcia. — Na wszelki wypadek.

Warren to było jej nazwisko panieńskie.

— Chyba mnie nie aresztują, prawda? — zapytałam.

— Nie aresztują cię — odparła.

— Doktor nie będzie używał brudnych narzędzi?

Babcia spojrzała na mnie dziwnie.

— Sądziłam, że się domyślasz, iż to Gladys przeprowadzi zabieg. Dlatego przyjechałyśmy tutaj.

Babci nie wpuszczono na salę operacyjną. Miałam na sobie niebieską szpitalną koszulę. Kiedy położyłam się na stole, pielęgniarka umieściła mi stopy w metalowych uchwytach.

— Pani doktor chce z tobą porozmawiać, zanim podamy narkozę — powiedziała pielęgniarka.

Po dziesięciu, może dwunastu minutach zjawiała się doktor Wycomb w białym kitlu. Uścisnęła mi rękę, a ciepło jej dotyku uzmysłowiło mi, jak bardzo byłam zziębnięta.

— Wiem, że to trudne, Alice — powiedziała. — Ale zanim się zorientujesz, będzie po wszystkim i szybko dojdiesz do siebie. Cały zabieg polega na tym, że rozszerzę ci szyjkę macicy, a potem użyję bardzo cienkiego narzędzia do jej wyłyżeczkowania. Przez kilka dni możesz odczuwać skurcze i plamić — będziesz musiała zakładać podpaski — ale wyjdiesz stąd o własnych siłach.

Oslabła, skinełam tylko głowę. Wtedy nawet nie wiedziałam, co znaczy „wyłyżeczkowanie”, ale po powrocie do Riley sprawdziłam; definicja w słowniku brzmiała „skrobanie”.

— Gdyby w najbliższych dniach lub tygodniach pojawiły się jakieś problemy, musisz koniecznie do mnie zadzwonić — powiedziała doktor Wycomb. — Twoja babcia ma mój numer telefonu.

Nie była obojętna — wciąż trzymała mnie za rękę — tylko zachowywała się rzeczowo i profesjonalnie, w sposób, który kazał mi zrozumieć, że prawdopodobnie jest dobra w swoim fachu.

— Jeszcze jedno: zostawię to Emilie i chcę, żebyś wzięła od niej te rzeczy, kiedy już wrócicie do domu. Nie musisz rozmawiać o tym z babcią. — Doktor Wycomb sięgnęła do brązowej papierowej torebki, której nie zauważyłam wcze-

śniej, wyjęła z niej białą gumową kopułkę i wręczyła mi ją wraz z zatkaną tubką, również białą. — Przed włożeniem musisz wypełnić krążek maciczny środkiem plemnikobójczym — powiedziała. — Potem wepchnij krążek głęboko do pochwy, żeby zamknął szyjkę. Poćwicz kilka razy, zanim znajdziesz się w sytuacji, w której będziesz go naprawdę potrzebować, i pamiętaj, że sam środek plemnikobójczy nie jest skuteczny — jeżeli koleżanki mówią inaczej, są w błędzie.

Kiedyś byłoby to nie do pomyślenia, nie zniósłabym, gdyby przyjaciółka mojej babci używała słów „środek plemnikobójczy” i „pochwa”. Ale teraz wydarzyło się tyle rzeczy nie do pomyślenia i nie do zniesienia, że same słowa zbladły, przyćmione znacznie ważniejszym znaczeniem tego, co mówiła.

— To się więcej nie powtórzy — powiedziałam. — Ja nie jestem... — Chciałam powiedzieć, że naprawdę jestem dziewczynką, którą wydawałam się ubiegłej zimy, ale przecież konieczność takiego zapewnienia umniejszała jego wartość.

— To jest rozmowa o zdrowiu, nie o moralności — rzekła doktor Wycomb.

— Kiedy ktoś raz odbędzie stosunek seksualny, prawdopodobieństwo, że zostanie seksualnie aktywny, jest wysokie. — Poklepała mnie po ręce. — Bardzo mi przykro z powodu wypadku — dodała, po czym wezwała pielęgniarkę.

Kiedy ocknęłam się z otumanienia środkami anestezjologicznymi, znajdowałam się w innym pomieszczeniu — otworzyłam oczy, zamknęłam je i otworzyłam znowu — a babcia siedziała obok mnie i czytała. Zamrugałam kilka razy, mając umysł wciąż otępiały.

— Czy powinnam napisać do doktor Wycomb list z podziękowaniami? — zapytałam.

— Nie sądzę, aby to było konieczne. — Babcia włożyła zakładkę pomiędzy dwie strony i zamknęła książkę. — Ale przyjdzie sprawdzić, co u ciebie, więc może będziesz chciała podziękować jej osobiście. Jak się czujesz?

— Która godzina?

— Po drugiej. Spałaś prawie godzinę.

— Czy mama nie... Nie czeka, aż wrócę ze szkoły?

— Powiedziałam jej, że po szkole zabieram cię na zakupy. Alice, jeżeli chcesz im powiedzieć, decyzja należy do ciebie.

— Nigdy im nie powiem — rzekłam i jak się okazało, była to prawda.

Kiedy doktor Wycomb weszła do sali pozabiegowej, wciąż jeszcze byłam otumaniona.

— Mam nadzieję, że przeze mnie nie trafi pani do więzienia — powiedziałam.

Doktor Wycomb i babcia wymieniły spojrzenia.

— To bardzo powszechny zabieg, Alice. Ty byłaś moją trzecią pacjentką w tym tygodniu.

Po powrocie do Riley z trudem mogłam spojrzeć w oczy moim rodzicom. „Cokolwiek robisz, bądź dobra”. Dorastałam, słysząc ojca powtarzającego te słowa i och, ależ go zawiodłam, ależ zawiodłam ich wszystkich. W weekendy, kiedy pani Falkę przychodziła zagrać w brydża z rodzicami i babcią, stałam w holu na górze i przysłuchiwałam się, jak rzucają i obracają karty, i wydawali mi się dziećmi.

Krwawiłam przez kilka dni, ale nawet nie bolało mnie zbyt. Kiedy obraz lub jakieś uczucie do Andrew bądź Pete'a pojawiało się w moich myślach — działo się to w różnych momentach i z różnych powodów — starałam się je odegnąć. Czekałam, że czas zrobi swoje.

22 listopada, w piątek, wychodziłam ze stołówki po lunchu. Szłam tuż za kilkoma innymi uczniami, kiedy nagle nadbiegły drugoklasistka Joan Skryba i pierwszoklasistka Millie Devon. Biegły i płakały. Chociaż krzyczały na cały głos, prawie nie można ich było zrozumieć. Z początku nie miałam pojęcia, o co chodzi, gdy jednak w końcu do mnie dotarło, wciąż nie mogłam uwierzyć, wydawało się to tak nieprawdopodobne — prezydent Stanów Zjednoczonych? Prezydent Kennedy? Wtedy ktoś inny, jakiś chłopiec wybiegł ze stołówki za nami i powtórzył to samo, i wszyscy mówili jednocześnie, a dziewczyna obok mnie, Helen Pajak, z którą w ogóle się nie przyjaźniłam, chwyciła mnie z całej siły za rękę. Ale dopiero kiedy zobaczyłam, jak pani Moore, moja nauczycielka matematyki, otwarcie szlocha, zrozumiałam, że to prawda. Nieco ponad godzinę wcześniej prezydent Kennedy został postrzelony w Dallas.

Wszystko zamarło, trwało jakby w zawieszeniu; przez całe popołudnie, do końca lekcji nie mówiliśmy o niczym innym, ale nikt już nie był podniekowany. Wszyscy byliśmy zwyczajnie osłupiali. A potem, jakąś godzinę później usłyszeliśmy, że nie żyje. Ale skoro dokonano zamachu na prezydenta Kennedy'ego, co jeszcze się wydarzy? Jaki był w tym sens, jaka logika, jakie prawa rządziły tym światem? Zwykle pod koniec dnia, a zwłaszcza w piątek, w korytarzu, gdzie znajdowały się nasze szafki, rozbrzmiewały krzyki i śmiech, odgłosy zatraskiwanych metalowych drzwiczek, ale dzisiaj panowała cisza.

Nie płakałam po nim ani wtedy, ani nigdy, chociaż — jak chyba każdy — siedziałam przed telewizorem jak urzeczona. Nie pamiętam, by kiedykolwiek indziej moja rodzina oglądała telewizję podczas kolacji; zabraliśmy talerze z jedzeniem do salonu. Wszystko zostało odwołane, w Riley i we wszystkich innych miejscach, imprezy sportowe, przedstawienia, seanse filmowe, zamknięto restauracje i sklepy, a po ulicach nie jeździły prawie żadne samochody. Tak naprawdę nie było nic innego do roboty, jak tylko się zastanawiać, co się stało. W ciągu następnych dni, kiedy w gazetach pojawiło się zdjęcie Lyndona Johnsona zaprząsiganego na prezydenta przez Sarah Hughes na pokładzie Air Force One, w telewizji pokazywali surrealistyczny materiał, w którym Jack Ruby zastrzelił Lee Harveya Oswalda na posterunku policji. W Święto Dziękczynienia Johnson wygłaszał swoją mowę inauguracyjną. „Ta straszliwa tragedia stanie się początkiem drogi ku amerykańskiej wielkości”, powiedział nam — moi rodzice i babcia wydawali się równie ogłupiali jak ja.

Ale to prawda: uwielbiałam Kennedy'ego, uważałam, że jest bystry, przystojny i pełen życia. A jednak kiedy zginął, odczułam ponurą ulgę. Nie byłam szczęśliwa; absolutnie nie. Ale wydarzyło się coś tak potwornego, że przyćmiło potworność tego, czego ja byłam sprawczynią. Nie według mnie, ale według wszystkich innych; to, co ja zrobiłam, teraz wydawało się małe i nieistotne. Odkryłam to natychmiast, jeszcze tego popołudnia w szkole. Ta śmierć była o niebo większa i gorsza od śmierci Andrew i nie miała nic wspólnego ze mną; w najmniejszym nawet stopniu nie ponosiłam za nią winy. To jedyne odkupienie, na jakie mogłam liczyć.

Aż do dzisiaj czuję się głęboko zawstydzona swoją reakcją. Przez całe życie tylko jednej osobie przyznałam się do tego, co naprawdę czułam tamtego dnia.

CZEŚĆ II

Sproule Street 3859

Kiedy miałam dwadzieścia siedem lat, miesiąc po moim rozstaniu z Simonem Tórnkvistem postanowiłam, że jeżeli do trzydziestki nie wyjdę za mąż, kupię dom sama. Chociaż nikomu o tym nie powiedziałam, myśl tkwiąca gdzieś w zakamarkach umysłu dawała mi poczucie bezpieczeństwa; sprawiała, że moje życie mniej było czymś, na co czekam, stawało się raczej jakimś zaplanowanym procesem. Jeżdżąc po Madison, myślałam sobie czasem: „Coś w tym stylu”. Najwyżej trzy sypialnie, ogródek, ale nie za duży, przy ulicy z wysokimi drzewami. Również dom nienarozny, bo one znajdowały się zbyt blisko na widoku. Jako bibliotekarka w szkole podstawowej imienia Hieodory Liess zarabiałam osiemset trzydzieści trzy dolary po odprowadzeniu podatków i jak tylko podjęłam decyzję, z każdej wypłaty odkładałam dwieście dolarów na rachunek oszczędnościowy; pieniądze składałam w znajdującej się po sąsiedzku filii Wisconsin State Bank & Trust rano w ostatnią sobotę każdego miesiąca.

Nie byłam pewna, kiedy dokładnie powinnam zadzwonić do pośrednika. W dniu trzydziestych urodzin? Dzień później? W swoich planach nigdy nie uwzględniłam takich szczegółów, ale też nigdy nie zostały urzeczywistnione, ponieważ dwa miesiące przed moimi urodzinami, w lutym 1976 roku zmarł mój ojciec. Tak samo jak jego ojciec dostał zawału, i chociaż mojemu ojcu udało się przekroczyć pięćdziesiątkę — żył o dwie dekady dłużej od swego — ja uznałam to za wątpliwy dowód łaski. Dzisiaj rzecz jasna nie uważam już tego za żadną łaskę.

W dniu pogrzebu ojca padał śnieg. Moja matka, babcia i ja starałyśmy się, przez wzgląd na siebie i ponieważ pochodzimy ze Środkowego Zachodu, zachować spokój; mama zdawała się przede wszystkim troszczyć — a może tylko udawała — o to, czy sukienka z czarnej krepy, którą kupiłam w Pranges, jest wystarczająco ciepła. Po powrocie do domu nieco skrepowane zabawiałyśmy rodzeństwo mamy i ich współmałżonków, z którymi nie widziałyśmy się od lat. Przyszli też inni członkowie naszego kościoła, a także współpracownicy ojca z banku, wszyscy z kwiatami lub jedzeniem (były to przeważnie zapiekanki, chociaż zastępca kierownika przyniósł całą szynkę). A potem wszyscy sobie poszli i zapanowała cisza, spotęgowana padającym śniegiem.

W niedzielę wieczorem musiałam wracać do Madison — w poprzednim tygodniu załatwiłam sobie trzydniowe zastępstwo w pracy, ale w poniedziałek rano miałam już zajęcia w szkole — i mama odprowadziła mnie do samochodu, kuląc się przed zimmem. Kiedy siedziałam za kierownicą, dała znak, bym opuściła okno.

— Zapnij pasy — powiedziała.

— Już zapiełam — odparłam.

Kiedy oddalałam się od niej, od domu, w którym dorastałam, wreszcie zostałam sama i zaczęłam szlochać. Gdy dojechałam do autostrady, śnieg znów sypał i nie osiadał na długo, przypomniały mi się wskazówki na temat jazdy po ośnieżonych drogach, jakich udzielał mi ojciec: „Jedź powoli. Trzymaj się w odpowiedniej odległości od samochodu przed tobą. Jeżeli wpadniesz w poślizg, kręć kierownicą w tę samą stronę”. Otwierając drzwi do swojego mieszkania w Madison — mieszkałam na drugim piętrze budynku przy Sproule Street — usłyszałam dzwonek telefonu. Gdy odbierałam, wiedziałam, że to mama, która bez wątpienia przez ostatnią godzinę dzwoniła co dziesięć minut, żeby sprawdzić, czy już dojechałam. Wysoko między łopatkami czułam ból w plecach, napiętych po jeździe i wszystkim innym, co się ostatnio wydarzyło.

Przez półtora roku od śmierci ojca prawie co tydzień pojawiałam się w Riley, żeby sprawdzić, jak mama z babcią sobie radzą. Zwykle zajeżdżałam przed dom w sobotę tuż przed lunchem. Raz przywiozłam ze sobą pizzę, jednak zamiast odciążyć mamę i ulżyć jej w gotowaniu, co było moim zamiarem, tylko ją zdenerwowałam. Tak więc odtąd przywoziłam wyłącznie siebie i od czasu do czasu jakieś brudne rzeczy do prania. W trójkę zasiadałyśmy przy stole w jadalni do posiłku, który już wtedy zaczynał wydawać się staromodny: klops i tłuczone ziemniaki albo zapiekanka. Zawsze planowałam, że wyjadę w niedzielę po kościele (po pogrzebie ojca bez dyskusji zaczęłam znowu chodzić na mszę, ale robiłam to wyłącznie przez wzgląd na mamę; gdy niedzielę spędzałam w Madison, nigdy nie szłam do kościoła), kiedy jednak potem myślałam, że się pożegnám, a one spędzą wieczór w salonie, mama z robótką przed telewizorem, a babcia pogrążona w lekturze, bardzo mnie to zasmucało i koniec końców zostawałam i spałam jeszcze jedną noc w moim starym łóżku. W czasie roku szkolnego rano musiałam wyruszać o szóstej, żeby zdążyć do Madison i przebrać się do pracy. Droga międzystanowa 94 była ciemna i w zasadzie pusta, jeśli nie liczyć mnie i kilku osiemnastokółówek.

Wszystko to sprawiło, że za domem do kupienia zaczęłam się rozglądać dopiero latem 1977 roku. Moim pośrednikiem okazała się kobieta o nazwisku Nadine Patora, energiczna, apetycznie puszysta i co najmniej o dziesięć lat starsza ode mnie. Biorąc pod uwagę skromny standard interesujących mnie domów — byłam gotowa zapłacić najwyżej czterdzieści tysięcy dolarów, i ani centa więcej — traktowała mnie ze znacznie większą cierpliwością, niż miałam śmiałość oczekiwać. Do lipca zdążyłyśmy obejrzeć ponad trzydzieści ofert, z których tylko jedna zainteresowała mnie naprawdę — był to nieduży jednopiętrowy domek z cegły w dzielnicy Nakoma — ale po kilku dniach namysłu nie złożyłam oferty. Chciałam domu, który rzeczywiście mnie zachwyci, w którym zechcę spędzić

resztę życia i któremu poświęcę nieskończoną energię, a nie takiego, który będzie tylko zwyczajnie odpowiedni. Równie dobrze mogę nadal coś wynajmować.

— Założę się, że jesteś równie wybredna, jeżeli chodzi o mężczyzn — powiedziała Nadine, uśmiechając się szelmowsko, gdy w niedzielne popołudnie jechałyśmy obejrzeć kolejny dom.

— To by wyjaśniało, dlaczego wciąż jestem sama — roześmiałam się.

— Nie, to dobrze. — Nadine pochyliła się i poklepała mnie po kolanie. Była rozwiedziona i miała dwie nastoletnie córki. — Uwierz komuś, kto złapał pierwszą nadarzącą się okazję.

Większość domów, które oglądałyśmy w dokumentach pokazywanych mi przez Nadine, wyglądała obiecująco, ale wystarczyło, że przekroczyłam ich próg, by wiedzieć, że to nie to: okna były za małe albo szafki kuchenne działały na mnie przygnębiająco (lut) w pokojach unosił się kwaśny zapach, a ja nie chciałam ryzykownie zakładać, że zniknie wraz z nowym właścicielem. Tak więc nie uwierzyłam Nadine, kiedy zadzwoniła do mnie w czwartek tuż po Czwartym Lipca.

— Znalazłam twój nowy dom.

Był to bungalow z dwiema sypialniami przy ulicy McKinley, nie tak ślicznej jak ta, przy której mieszkałam, ale nie stać mnie było na kupno domu w tej okolicy. A McKinley emanowała pozytywną energią, o czym pomyślałam od razu, kiedy wraz z Nadine skręciłyśmy w nią. Minęłyśmy jakiegoś pana z psem na spacerze, dwójkę dzieci w strojach kąpielowych podskakujących w wodzie ze spryskiwaczy. Zaparkowałyśmy przed białym domem z wąską werandą. Po wejściu do środka zobaczyłam salon z wykuszowym oknem z miejscem do siedzenia oraz kuchnię, małą i staroświecką, ale bardzo jasną. Jeszcze zanim sobie uświadomiłam, że mogłabym tu zamieszkać, zaczęłam planować, gdzie postawię meble, zastanawiając się, czy mój stolik śniadaniowy zmieści się w kuchni albo pod którą ścianą w sypialni ustawię łóżko. Dom był pusty — Nadine raczyła mnie jakąś skomplikowaną historią o właścicielu, który przeniósł się do Tennessee i dopiero pół roku później wystawił dom na sprzedaż, ale ja słuchałam jej jednym uchem. Zaglądałam za zasłonkę pod prysznicem i otwierałam wszystkie schowki, zeszłam do piwnicy. Na moją decyzję ostateczny wpływ miała dębowa szafka, jaką znalazłam w holu na drugim piętrze. Zamykała się na zatrzask. Była wielkości szafki na leki, jakie zwykle znajdują się za lustrem w łazience, może tylko nieco głębsza, ale zbyt płytka na trzymanie w niej pościeli, środków czyszczących czy czegoś równie praktycznego. Wyglądała raczej na miejsce odpowiednie do przechowywania listów miłosnych, amuletów czy wisiorków.

— Chcę ten dom — oznajmiłam Nadine, gdy wsiadłyśmy do jej auta.

— Ależ nagle zrobiłaś się zdecydowana.

— Miałaś rację — powiedziałam. — Jest idealny.

— W porządku. — Nadine wyglądała na ubawioną. — Skoro jesteś pewna, że nie chcesz się z tym przespać, ile proponujesz?

Cena wywoławcza wynosiła trzydzieści osiem tysięcy czterysta.

— Trzydzieści osiem? — zapytałam niepewnie,

Potrząsnęła głową.

— Trzydzieści dwa. Ty podniesiesz, on spuści i spotkacie się w środku.

Zerknęła na zegarek, dochodziła piąta w czwartkowe popołudnie. — Dasz IDU dwadzieścia cztery godziny?

— Wolno nam zmuszać go do takiej szybkiej decyzji?

— Jeżeli wolisz, może to być czterdzieści osiem godzin.

— Nie, dwadzieścia cztery jest w sam raz. Po prostu nie chcę pokazywać, że mi zależy.

Prawdę mówiąc, dwadzieścia cztery godziny bardziej mi odpowiadały; w sobotę wybierałam się do Riley i wolałam nie rozmawiać telefonicznie z Nadine w obecności babci i mamy. Nie mówiłam im, że zamierzam kupić dom, bo bałam się, że mama zechce dać mi jakieś pieniądze, a wątpiłam, by po śmierci ojca mogła sobie na to pozwolić. Planowałam im powiedzieć, kiedy wszystko zostanie sfinalizowane; będę wtedy mogła zaprosić je do Madison, pokazać im prawdziwy dom i nazywać go swoim. W trójkę usiadziemy na werandzie i będziemy popijać lemoniadę — pod warunkiem że kupię jakieś meble.

— Zależy ci, też coś! — prychnęła Nadine. — Proponujesz temu facetowi pieniądze. Cóż, być może negocjacje przeciągną się na weekend, ale zobaczę, co da się zrobić. — Lekko uszczypnęła mnie w ramię. — Podniecające, prawda? Trzymaj kciuki, słodziutka.

Wieczorem, mniej więcej dwadzieścia minut po tym, jak zgasiałam światło, zadzwonił telefon. Natychmiast pomyślałam, że to Nadine z odpowiedzią, ale kiedy podniosłam słuchawkę, rozległ się w niej głos o wiele lepiej mi znany.

— Nawet nie myśl, że nie przyjdiesz na barbecue do Hickensów.

— Dena, wydawało mi się, że masz dzisiaj randkę, w innym wypadku zadzwoniłabym, żeby ci powiedzieć, że złożyłam ofertę kupna domu.

— W końcu znalazłaś coś, co odpowiada twoim wymaganiom? Jasna cholera, idziemy go zobaczyć!

— Nie teraz — powiedziałam szybko. — Aresztują nas za naruszenie cudzej własności.

Siedziałam już przy stole w kuchni, gdzie miałam telefon, w białej koszuli nocnej bez rękawów. Od zakończenia szkoły w czerwcu spałam przeważnie w salonie. Spojrzałam na ścienny zegar, nie było jeszcze wpół do jedenastej, więc nie mogłam zrugać Deny za dzwonienie w środku nocy. I tak już wyśmiewała się ze mnie, że chodzę spać z kurami, a ja zazwyczaj tłumaczyłam się tym, że przecież rano muszę wstać do pracy — co w tej chwili nie miało znaczenia, bo przecież trwały wakacje.

— To przy McKinley Street — powiedziałam. — Może mogłybyśmy pójść tam jutro, chociaż wolałabym nie zapeszać, dopóki nie dowiem się na pewno.

Dena westchnęła z teatralną przesadą.

— W ogóle nie umiesz się bawić. A skoro już o tym mowa, w Eagle natknęłam się na Kathleen Hicken i podobno mówiłaś jej, że w ten weekend wybierasz się do domu. Alice, nie możesz pozwolić, żebym sama musiała zadawać się z tymi ludźmi. Rose Trommler mnie nienawidzi.

— Nie bądź śmieszna.

— Wszystkie te baby są grube, a ich mężowie nudni.

— Po pierwsze, to nieprawda, ale skoro faktycznie tak uważasz, czemu tak ci zależy, żeby tam iść?

— Muszę — powiedziała Dena. — Charlie Blackwell tam będzie, a ja mam zamiar go uwieść.

Roześmiałam się.

— Jestem pewna, że świetnie poradzisz sobie beze mnie.

— Charlie Blackwell — powiedziała. — Jak ci Blackwellowie.

— Och, Dena, naprawdę chcesz mieć do czynienia z tą rodziną?

Blackwellowie, jak wiedzieli wszyscy w Wisconsin, dorobili się na produktach mięsnych. (W pobliżu Milwaukee mieli kilka masarni i mówiło się, że w każdym sklepie w kraju można kupić ich kielbasę — co nie znaczy, pomyślałam sobie, że trzeba mieć na to ochotę. Przyzwyczaiałam się do ich jedzenia, ale kiedy dorosłam, stwierdziłam, że jest dla mnie za tłuste). Harold Blackwell, ojciec rodziny, był gubernatorem Wisconsin w latach 1959—1967, a potem w 1968 roku

bezsukutecznie ubiegał się o prezydenturę. Tydzień po zamieszkach na Uniwersytecie Wisconsin, podczas których młoda kobieta, Donna Ann Keske z Racine, została sparaliżowana od pasa w dół po interwencji policji, wystąpił w programie *Face the Nation* i nazwał przeciwników wojny w Wietnamie „niewykształconymi brudasami”, tym samym dając wyraz braku wycucia, które w normalnych okolicznościach byłoby niefortunne, a w tak burzliwych czasach okazało się wręcz katastrofalne. Chociaż Blackwell był republikaninem i pochodził z Wisconsin, nawet mój ojciec by go nie poparł, gdyby nie odpadł z prezydenckiego wyścigu po konwencji w New Hampshire. Miał w sobie jakieś lekceważenie, jakby nie uważał przeciętnego człowieka za inteligentnego na tyle, by na niego głosował. Teraz porzucił politykę — obito mi się o uszy, że stał na czele jakiegoś uniwersytetu, chociaż nie potrafiłabym powiedzieć jakiego — ale jeden z jego czterech synów rok wcześniej został wybrany do kongresu Milwaukee.

— Wiesz co — powiedziałam. — Jeżeli ten Charlie jest tym Blackwellem, o którym myślę, to Jeanette i Frank próbowali mnie z nim umówić kilka lat temu. Ale może to był któryś z jego braci.

— Próbowali cię z nim umówić, a ty nie chciałaś? — Dena nie mogła uwierzyć.

— Spotykałam się wtedy z Simonem.

Prawda była taka, że prawdopodobnie i tak bym odmówiła — pieniądze, republikanie i kiełbaski nie wydawały mi się specjalnie kuszącym połączeniem.

— Ed to ten, który jest kongresmenem, Charlie dopiero będzie się ubiegać — powiedziała Dena. — Na północ stąd, chyba w Houghton. To wciąż tajemnica, ale Kathleen powiedziała mi, że zgłosi swoją kandydaturę na wiosnę. Czy nie uważasz, że zasługuję, aby poślubić wpływowego mężczyznę?

— Jak najbardziej.

Kiedy odezwała się ponownie, jej pewność siebie jakby zmaląła.

— Alice — powiedziała. — Hickensowie i ta cała reszta są tacy krytyczni. Kathleen zaprosiła mnie wyłącznie dlatego, że jesteś moją przyjaciółką. Potrzebna mi tam jesteś jako moralne wsparcie.

Dena już raz wyszła za mąż — jej eks był starszym człowiekiem, szefem od reklamy, dwukrotnie rozwiedzionym w chwili, kiedy Dena go poznała, sama pracując jako stewardesa w liniach TWA. Mieszkali w Kansas City pod koniec lat sześćdziesiątych i w pierwszej połowie siedemdziesiątych, po czym w 1975 roku, nie mając dzieci, również się rozwiedli. Dena przeniosła się do Madison i za pieniądze otrzymane po rozwodzie otworzyła sklep na State Street, w którym

sprzedawała ubrania i dodatki dla znających się na modzie studentek: dzwony i minispódniczki, przeźroczyste szale i torebki z aksamitu, ażurowe, robione na szydełku chusty i wątpliwego pochodzenia etniczne ozdoby. Ilekroć wchodziłam do sklepu — nazywał się „U D.” — czułam się niewyobrażalnie stara i choć asortyment nie odpowiadał mojemu stylowi, zawsze coś kupiłam.

Jeśli nie brać pod uwagę moich na ogół nietrafionych ekscentrycznych zakupów, obecność Dena w mieście dawała mi prawdziwą radość, zwłaszcza odkąd prawie wszystkie dziewczyny, z którymi przyjaźniłam się w college'u, powychodziły za mąż. Rzecz nie w tym, że nie można się przyjaźnić z mężatką, ale to już nie jest ta sama przyjaźń — ona ma sztywny rozkład zajęć, zwłaszcza odkąd pojawią się dzieci, ale nawet jeszcze wcześniej już nas nie potrzebuje; my potrzebujemy przyjaźni, dla niej przyjaźń jest czymś ponadplanowym, ekstra.

Dena i ja dzwoniłyśmy do siebie cztery razy dziennie, często nawet minutę po zakończeniu poprzedniej rozmowy, kiedy zapomniwałyśmy sobie powiedzieć coś szczególnie istotnego: „Jak się nazywa ten facet w Salon Styles, który obcinał ci ostatnio włosy?” albo: „Możesz przynieść do mnie dzisiaj album Carpenterów?”. Ona wpadała przed randką, żeby pokazać mi swój strój, albo dzwoniła i mówiła: „Mam dzisiaj ochotę na kino” i dziesięć minut później spotykałyśmy się w Majestic. W niedzielne poranki wybierałyśmy się razem na długie spacery — Dena także przestała chodzić do kościoła. Nazywałyśmy te nasze spacery przechadzkami dla zdrowia, dzięki czemu stawały się nieco bardziej godnym pochwały substytutem modlitwy. I regularnie spotykałyśmy się, by zjeść razem kolację, po której ona zazwyczaj proponowała drinka i była wielce zawiedziona, słysząc, że jak zwykle muszę iść do domu i się wyspać. Ona umawiała się na randki znacznie częściej ode mnie; powiedziała mi, że w pierwszym tygodniu pracy dla TWA, latem po ukończeniu szkoły dostała receptę na tabletki antykoncepcyjne i od tamtego czasu ani na chwilę nie przestała ich zażywać. Jeżeli chodzi o moje randki, znajomi często starali się mnie z kimś umówić i czasem się zgadzałam, żeby nie wyjść na sztywniarę, ale w sobotni wieczór z przyjemnością szłam do teatru z przyjaciółką — Dena również kpiła z mojej przyjaźni z Ritą Alwin, nauczycielką francuskiego w Liess Elementary, która była czarna i starsza od naszych matek — albo zostawałam w domu i czytałam. Ludzie tacy jak Hickenowie, z którymi spotykałam się raz na miesiąc, czasem raz na dwa miesiące, tworzyli krąg moich, nazwijmy to, drugorzędnych znajomych. Wiele należących do niego już w tej chwili żon było na studiach moimi siostrami ze stowarzyszenia, a z kilkoma mężami byłam na weekendowych wyjazdach bractw (pewnej gwiazdzistej nocy nad jeziorem Mendota, wiosną na pierwszym roku kompletnie zalany Wade Trommler ogłosił wszem wobec, że jestem dziewczyną idealną) i po zrobieniu dyplomu pozostawialiśmy w kontakcie. A oni po kolei łączyli się w pary i mieli dzieci. Nie da się ukryć, że moja chęć spędzania z nimi czasu zmie-

niała się w zależności od tego, na ile chciało mi się znosić ich krytyczne uwagi na temat mojego życia w pojedynkę. Zawsze mnie zdumiewało, że ludzie pozostający w związkach małżeńskich uważali, iż potrafią uświadomić człowieka w kwestii bycia samotnym, jakby sam nie do końca zdawał sobie z tego sprawę.

— Dena, wybacz — powiedziałam. — Ale już wyjaśniłam Kathleen Hicken, że nie mogę przyjść. Mama i babcia wiedzą, że przyjeżdżam.

— Możesz pojechać do domu w niedzielę — powiedziała Dena. — Co za różnica, przecież jest lato?

— Nie będę ci potrzebna na tej imprezie — rzekłam. — Załóż swoją sukienkę bez pleców i Charlie Blackwell nie zdoła oderwać od ciebie oczu.

— Słuchaj — powiedziała Dena. — Bez dyskusji. Przyjadę po ciebie w sobotę o pół do szóstej.

— Wydawało mi się, że grill zaczyna się o piątej.

— Przyjedziemy modnie spóźnione. Wypijemy za twoje wstąpienie do klasy posiadaczy ziemskich.

Jak dotąd to lato było wyjątkowo udane. Smutek, jaki odczuwałam po śmierci ojca, zmniejszył się, minęło już bowiem początkowe bolesne zaskoczenie. Poza tym miałam cel, nie było nim tylko szukanie domu, ale też projekt, jaki realizowałam dla swojej biblioteki.

Skończyłam Uniwersytet Wisconsin w 1968 roku, przez dwa lata uczyłam trzecioklasistów — w tym wieku dzieci są wyjątkowo niesforne — po czym wróciłam na uniwersytet, żeby zrobić dyplom z bibliotekoznawstwa. Kiedy nauczalam, zdałam sobie sprawę, że w rozkładzie zajęć szkolnych najbardziej lubię lekcje, na których czytam z dziećmi: *Pajęczynę Charlotty, Harolda i fioletową kredkę, Jagody dla Sal*. Dzieci siedzą po turecku na podłodze i z szeroko otwartymi oczami nachylają się ku mnie w oczekiwaniu. Doszłam do wniosku, że gdybym została bibliotekarką, byłoby to jak trwająca bez końca lekcja czytania. W 1972 roku obroniłam tytuł magistra, zaczęłam pracować w Liess Elementary i pięć lat później, jako trzydziestojedolatka, wciąż tam byłam.

Tego lata planowałam zrobić z papier mache dziesięć wielkich postaci z książek dla dzieci, między innymi Eloise, królicę i jej dzieci z *Uciekającego królika* i Mr. Sneezę z serii książeczek *Mr. Men* (do zrobienia trójkątnego szkieletu wielkiej głowy Mr. Sneezę'a użyłam drucianej siatki). Na pomysł wpadłam minionej jesieni, kiedy w Halloween zobaczyłam na swojej ulicy małą dziewczynkę przebraną za Fizię Pończoszanekę. Wiosną zwróciłam się do wydawców z prośbą o pozwolenie — przypuszczam, że nic by się nie stało, gdybym tego nie zrobiła,

ale wzdrygałam się na myśl, że jako bibliotekarka mogłabym naruszyć czyjeś prawa autorskie — i na początku czerwca kupiłam potrzebne materiały. Planowałam, że kiedy we wrześniu po Świącie Pracy zacznie się nowy rok szkolny, moje postaci będą siedziały na bibliotecznych półkach lub, jak w przypadku *Padle* — to — the — Sea w swoim kanu, zwiślały nad wejściem.

Zaskoczył mnie ogrom prac — sądziłam, że zajmą mi parę tygodni — ale im dłużej trwały, tym bardziej byłam nimi zaabsorbowana. Z początku pracowałam w salonie, ale figury zaczęły zajmować coraz więcej miejsca, a poza tym nie chciałam, żeby moi goście (to znaczy głównie Dena) zobaczyli je przed ukończeniem, więc rozłożyłam je na podłodze w sypialni, papier pakunkowy nawet na łóżku, a sama zaczęłam spać w salonie. Do pracy zakładałam dzinsową spódnicę i stare koszule mojego ojca. Nierzadko brudziłam się mieszaniną mąki i wody i pociłam jak mysz z powodu braku klimatyzacji.

Co rano, zanim zrobiło się gorąco, przechodziłam przez kampus i szłam wokół jeziora Mendota, którego wody lśniły w słońcu, a fale lekko rozbijały się o brzeg (te spacerki w pojedynkę nie były przechadzkami dla zdrowia, były po prostu spacerami), a potem wracałam do domu i pracowałam do lunchu albo i dłużej, jeżeli Nadine nie miała akurat do pokazania mi żadnego domu. Podczas spacerów, a czasem w środku nocy, wpadałam na pomysł, jak zrobić bardziej realistyczne rzeźby Pierre'owi „Nie dbam o to” Maurice a Sendaka (przycięłam odpowiednio czarną perukę, bo kiedy rzeźby zwyczajnie namalowałam, wyglądały po prostu płasko). Wczesnym wieczorem kończyłam pracę i przygotowywałam sobie sałatkę z kukurydzy i pomidorów albo kotlet wieprzowy, a po kolacji siadałam na parapecie w sypialni i popijając piwo, podziwiałam dokonania minionego dnia. Nikomu nie mówiłam o swoim projekcie i czasem się martwiłam, że inni nauczyciele uznają go za dziwactwo lub przesadę, ale kiedy myślałam o dzieciach wchodzących do biblioteki pierwszego dnia szkoły, czułam podekscytowanie.

Nadine zadzwoniła rankiem w piątek.

— Sprzedający przedstawił ofertę. Może być trzydzieści pięć i pół?

Jeśli miałam wpłacić dwadzieścia procent, jak wcześniej powiedziałam w banku, w którym starałam się o kredyt, będzie to wynosiło siedem tysięcy sto.

— Okay — powiedziałam.

— O matko i córko, ależ jesteś łatwa. Nie możesz choć trochę ponarzekać, przynajmniej na początek?

Roześmiałam się.

— Chcę ten dom.

— Dobra. Zaczekaj.

Zadzwoiła dwadzieścia minut później.

— Pozwól, że jako pierwsza pogratuluję nowej właścicielce domu — powiedziała.

Wydałam okrzyk triumfu.

— Może wpadniesz do mnie do biura, żeby podpisać papiery, powinnaś też jeszcze dzisiaj zadzwonić do inspektora. Mogę coś zaproponować?

— Jasne — powiedziałam.

— Kup butelkę szampana. Masz się z czego cieszyć.

Następnego dnia pojawiła się Dena, żeby zabrać mnie na grilla do Hickenów, ale najpierw pojechałyśmy na McKinley Street.

— *Home, home on the range, where the deer and the antelope play..* — śpiewała Dena w samochodzie.

Kiedy pokazałam jej, gdzie ma zaparkować, dom wydawał się inny, ale jednocześnie taki, jakim go zapamiętałam — teraz był bardziej wyraźny, bardziej rzeczywisty. W ogródku rósł świerk, a trawa była soczyście zielona. Kwadratowy budynek miał kolor biały, drewniana łuszcząca się podłoga na frontowym ganku — brązowy. Nie było garażu, tylko podjazd z dwoma betonowymi pasami rozdzielonymi trawą. Świadomość, że to wszystko będzie należało do mnie, była przytłaczająca i zapierająca dech w piersiach. Nie miałam jeszcze kluczy, ale Dena się uparła, żebyśmy zajrzały przez okna i weszły do tylnego ogródka — okazał się spadzisty.

— Ślicznie, prawda? — zapytałam.

Dena skinęła energicznie głową.

— *Where seldom is heard a discouraging word/And the skies are not cloudy all day..* — zaśpiewała.

Spóźniłyśmy się na grilla, ale Charlie Blackwell przyszedł jeszcze później. Siedziałyśmy już z Deną w ogrodzie za domem, na piknikowej ławce ustawionej na trawie, kiedy wyłonił się z kuchni z sześciopakiem piwa w każdej ręce. Miał na sobie żeglarskie buty bez skarpetek, wystrzępione szorty khaki, pasek z kwa-

dratową srebrną klamrą i wypłowiła różową koszulę, która — co zauważyłam od razu, choć dzieliło nas jeszcze kilka metrów — musiała być bardzo dobrej jakości. Podniósł sześciopaki do uszu i potrząsnął nimi — pomyślałam, że to niezbyt mądre, jeśli chodzi o piwo — po czym krzyknął do zgromadzonych w ogrodzie:

— Cześć wam wszystkim, chłopaki i dziewczęta!

Było nas chyba piętnastoro. Od razu podeszło do niego kilku mężczyzn, a Cliff Hicken poklepał go po plecach. Charlie otworzył jedną z przyniesionych przez siebie puszek, a kiedy to zrobił, trochę wzburzonego piwa wylało się. Przycisnął więc usta do puszki i siorbiąc, zlizał spływającą pianę. Potem coś powiedział. Wszyscy się roześmiali, ale jego śmiech był najgłośniejszy.

— Pasuje do ciebie idealnie — powiedziałam pod nosem do Dena.

— Nie mam szminki na zębach, prawda? — Obróciła się ku mnie, szczerząc swoje siekacze.

— Wyglądasz świetnie — powiedziałam.

Dena odczekała dziesięć minut, żeby nie zachowywać się w zbyt oczywisty sposób, po czym wstała, a ja się przyglądałam, jak idzie po trawie i niczym dar ofiarowuje siebie Charliemu Blackwellowi. Dzień wcześniej byłam w bibliotece publicznej, żeby w gazetach poszukać o nim wzmianek — na długo przed pojawieniem się Internetu szczyliłam się swoim talentem do wynajdowania informacji, szóstym zmysłem do szukania w encyklopediach i mikrofilmach — i chociaż o samym Charliem znalazłam niewiele poza tym, że jest synem byłego gubernatora, dowiedziałam się, że jeżeli faktycznie startowałby w okręgu, do którego należy Houghton, jak twierdziła Dena, miałby przeciwko sobie człowieka piastującego urząd od czterdziestu lat.

Kiedy Dena odeszła, odezwała się Rose Trommler, siedząca na przeciwnym końcu ławki, obok Jeanette Werden.

— Dena Cimino to naprawdę niezła sztuka — powiedziała.

Cimino — tak aktualnie nazywała się Dena, już nie Janaszewski.

Udając, że nie rozumiem, o co naprawdę chodziło Rose, przytaknęłam.

— Dena to najzabawniejsza ze znanych mi osób — rzekłam. — Zupełnie się nie zmieniła od czasu, kiedy chodziłyśmy razem do przedszkola.

Rose i ja piłyśmy białe wino; Jeanette była w szóstym miesiącu ciąży i nie piła w ogóle. Rose się nachyliła.

— Nie powinnam tego mówić, ale czy ona niekiedy nie doprowadza cię do szału?

Rose i jej mąż mieszkali obok Hickenów; w college'u należałyśmy razem do Kappa AlfaTeta. Trudno było nazwać ją złym człowiekiem, była tylko straszliwą plotkarą.

— Myślę, że nie bardziej niż ja doprowadzam ją — rzuciłam lekko.

— Praktycznie rzuciła się na Charliego Blackwella — powiedziała Jeanette.

— Zastanawiam się, czy nie powinnymy go ostrzec.

Spojrzałam na nią.

— Przed czym? — zapytałam neutralnym tonem, na co ani ona, ani Rose nie odpowiedziały. — Założę się, że potrafi doskonale sam się o siebie zatroszczyć — dodałam.

— Alice, a ty? — Rose zanurzyła frytkę w cebulowym dipie. — Musisz mieć na oku kogoś wyjątkowego.

— W zasadzie nie.

Uśmiechnęłam się na znak, że mi to nie przeszkadza. Ironia polegała na tym, że naprawdę mi nie zależało, a przynajmniej nie tak, jak one mogły sądzić. W chwilach kiedy darzyłam je najmniejszą życzliwością, myślałam sobie: „Nie chodzi o to, że nie mogłam poślubić waszych mężów, ale o to, że nie chciałam”. Ale rzadko mężatka była w stanie uwierzyć, że kobieta samotna miała jakikolwiek wybór w kwestii swojego statusu. Poprawiłam się na ławce.

— Jeanette, czy to prawda, że ty i Frank spędziliście w Sheboygan Czwartego Lipca? Musiało być cudownie.

— Cóż, mama Franka tak strofowała Katie i Dannyego, jakby sama nigdy wcześniej nie miała dzieci. — Jeanette potrząsnęła głową. — Powtarzała w kółko jak zepsuta płyta: „Odlóżcie to, przestańcie tak biegać”. Przecież pojechaliśmy tam właśnie po to, żeby mogli sobie pobiegać. A Frank miał piątkę rodzeństwa, ale twierdzi, że wtedy jego matka nigdy nie była w złym humorze.

— To przykre — stwierdziłam.

— Och, na szczęście mieliście towarzystwo innych dorosłych, Jeanette

— odezwała się Rose. — Kiedy razem z Wadem zabraliśmy dzieci do La Crosse, on wciąż łowił ryby, a ja czułam się jak wdowa. Nawet mu powiedziałam: „Wade, uważaj, bo twój syn wkrótce zapomni, jak wygląda jego ojciec”.

Jeanette zachichotała, ja też, żeby sprawić im przyjemność, chociaż te słowa przypomniały mi o mojej mamie i babci — prawdziwych wdowach

— i o tym, że o wiele bardziej wolałabym być teraz w domu w Riley, niż siedzieć tutaj z tymi dwiema kobietami. Albo wolałabym pracować nad moimi postaciami z papier mache — już niemal w połowie zrobiłam Babara (najtrudniejsza była jego trąba), a nie zaczęłam jeszcze Żółwia Yertle — czy choćby siedzieć z piórem w ręce i w notesie robić plany związane z moim przyszłym domem.

— Alice, o ile się nie mylę, nie miałaś prawdziwego chłopaka od czasu tamtego wysokiego gościa? — powiedziała Rose. — Musisz mi przypomnieć, jak on się...

— Simon. — Znowu spróbowałam uśmiechnąć się przyjaźnie, ale potem dałam jej to, czego z pewnością chciała — przyznałam, że coś jest ze mną nie tak, w nadziei, że zostawi mnie w spokoju. — Chyba jestem w okresie posuchy — stwierdziłam.

— W biurze prokuratora pracuje z Frankiem bardzo przystojny facet — rzekła Jeanette.

— Jeanette, nie powinnaś umawiać Alice z przestępcą — powiedziała Rose.

Jeanette ją pacnęła.

— Przecież wiecie, że nie o to mi chodziło. Jest prawnikiem i ma świetne mieszkanie przy Orchard Ridge. Nie miałybyś nic przeciwko iguanie, prawda?

— Nie wydaje mi się, żebym była w typie gadów. — Wstałam. — Idę dolać sobie wina. Przynieść wam coś?

— Kiedy wrócisz, przypomnij mi, żebym ci opowiedziała o nowym dyrektorze w szkole Katie — powiedziała Jeanette. — To postawny, wysoki mężczyzna i ma niziuteńką żonę Chinę.

Skinęłam kilka razy głową i uniosłam w górę pusty kieliszek na dowód, że nie opuszczam ich, ponieważ są nie do zniesienia.

Na tarasie minęłam Denę i Charliego Blackwella akurat w chwili, kiedy Dena koniuszkami palców dotknęła jego ramienia. Brawo, pomyślałam. W domu skorzystałam z toalety na pierwszym piętrze i kiedy wychodziłam, omal nie wpadłam na Tanyę, starszą z dwóch córeczek Hickenów.

Podniosła do góry książeczkę w twardej okładce.

— Poczytasz mi?

To była książeczka o Madeleine, ta, w której Madeleine wpada do Sekwany i ratuje ją pies.

Rozejrzałam się. W kuchni znajdowało się kilka osób, w tym Kathleen Hicken, mama Tanyi, ale chyba nas nie widzieli, poza tym wątpię, by ktoś zauważył moją nieobecność.

Usiadłyśmy na kanapie w salonie, Tanya obok mnie. Była małą blondynką z końskim ogonem i wielkimi brązowymi oczami.

— Wiesz, jak mam na imię? — spytałam ją. — Jestem pani Alice. A ty jesteś Tanya, prawda?

Kiwnęła główką.

— Ile masz lat?

— Pięć i jedną czwartą.

— Pięć i jedną czwartą! Czy to znaczy, że twoje urodziny są w kwietniu?

— Dwudziestego trzeciego kwietnia — powiedziała. — Lisa ma urodziny czwartego stycznia, ale ona ma dopiero dwa latka.

Lisa była drugą córeczką Hickenów.

— Ja też mam urodziny w kwietniu — odrzekłam. — Szóstego, siedemnaście dni przed tobą. — Otworzyłam książeczkę i zaczęłam czytać: — „W Paryżu, w starym domu porośniętym winem...” — przerwałam. Tanya przybliżyła się do mnie jakby w nadziei, że uda się jej wejść do książki. Doskonale rozumiałam ten odruch. — Założę się, że wiesz, co jest dalej — powiedziałam i powtórzyłam. — „W Paryżu, w starym domu porośniętym winem.

— „...mieszkało dwanaście małych dziewczynek w dwóch równiutkich rzędach” — dokończyła Tanya.

— „Wychodziły z domu o wpół do dziesiątej / W dwóch równiutkich rzędach, w słońcu i słocie / Najmniejsza miała na imię...”

— „Madeleine”! — krzyknęła triumfalnie Tanya.

Obróciłam stronę i ukazała się ilustracja, na której Madeleine spada z mostu.

— Ojej — powiedziałam.

— Ona się nie utopi — uspokoiła mnie Tanya.

Czytałyśmy dalej.

— Nazwali psa Genevieve — powiedziała Tanya, kiedy doszliśmy do następnej strony.

W dalszym ciągu wygłaszała podobne komentarze, redaktorskie i wyjaśniające: „Gruba pani jest wstrętna”, „Genevieve ma szczeniaczki” — a kiedy doszliśmy do końca, zapytała:

— Przeczytasz mi jeszcze raz?

Spojrzałam na zegarek.

— Dobrze, ale potem muszę wrócić do ogrodu i porozmawiać z dorosłymi. Twój tatuś grilluje mięso na kolację, prawda?

— Ja jem paluszki rybne z sosem tatarskim.

— Brzmi groźnie — powiedziałam.

Tanya postanowiła mnie uspokoić i sprawić, żebym się nie bała.

— Nie, sos tatarski to taki majonez — powiedziała, a ja doszłam do wniosku, że mała podoba mi się jeszcze bardziej.

Zbliżaliśmy się do końca powtórnego czytania historii o Madeleine, kiedy w łukowatym wejściu do salonu pojawił się Charlie Blackwell. Podniosłam wzrok, nasze spojrzenia się spotkały, uśmiechnęłam się i czytałam dalej. To, co robiłyśmy z Tanyą, raczej nie wymagało wyjaśnienia, a poza tym uważałam, że sekret kontaktów z dziećmi — a przynajmniej coś, co wygląda na sekret, sądząc po zachowaniu niektórych rodziców — polega na tym, żeby traktować je normalnie. Nie pozwalać, by ktoś inny rozpraszał naszą uwagę, nie robić min ponad ich głowami, traktując je jak rekwizyty, nie hołubić ich i nie spełniać każdej zachcianki. Zwracać uwagę, ale bez przesady.

On jednak nie wyszedł. Czułam, że stoi tam i patrzy na nas, a kiedy doszliśmy do ostatniej strony, odstawił puszkę z piwem i nagroził nas oklaskami. Oklaski stłumiły odgłos bąka puszczonego przez Tanyę, z czego się ucieszyłam, bo dziewczynka, choć jeszcze malutka, wyglądała na kogoś, kto czuje się skrępowany, kiedy zdarzy mu się podobne *fauxpas* w obecności wysokiego nieznanego mężczyzny.

— Muszę kupkę — mruknęła i ześlizgnęła się z kanapy, po czym przemknęła obok Charliego i wybiegła z pokoju.

— Wystraszyłem ją?

Kiedy mówił, przeciągał samogłoski, ale nie z płaskim akcentem z Wisconsin, lecz nieco bardziej nosowo i jednocześnie jak ktoś lepiej wykształcony.

— Wydaje mi się, że musiała dokądś pójść — powiedziałam.

— W takim razie nie masz już pretekstu, żeby dalej się ukrywać. — Pociągnął łyk piwa i się uśmiechnął.

— Nie ukrywam się. Czytałyśmy bajkę.

— Czyżby?

Był niezaprzeczalnie przystojny, ale zachowywał się zadziornie, w sposób, którego nigdy nie lubiłam. Mierzył nieco ponad metr osiemdziesiąt, wyglądał na wysportowanego, był lekko opalony, włosy miał gęste, suche, jasnobrązowe i falujące, z rodzaju tych, co to nie poruszają się przy każdym potrząśnięciu głową. Miał też szelmowskie brwi i orli nos z szerokimi nozdrzami, wyglądającymi jak gdyby bez przerwy nimi poruszał. Sprawiał przez to wrażenie zniecierpliwionego, co zapewne umacniało jego sposób postrzegania wielu osób — wskazywało, że są inne, ciekawsze miejsca, a jego zainteresowanie nimi jest ograniczone.

— Czasem stwierdzam, że towarzystwo dzieci może być bardziej stymulujące od towarzystwa dorosłych — powiedziałam oschle.

— Urocze. — Nie wyglądał na urażonego. Wciąż się uśmiechał. Ale ja natychmiast pożałowałam swoich słów, wiedziałam bowiem, że zachowałam się niegrzecznie.

— A może po prostu czasem nie mam zbyt wiele do powiedzenia w towarzystwie dorosłych — dodałam.

— To, że nie ma się nic do powiedzenia, mało komu zdaje się przeszkadzać. — Zrobił szelmowską minę. — Mnie na pewno nie.

Jego kpiący stosunek do samego siebie zbił mnie z tropu i musiałam się uśmiechnąć. Wstałam z zamiarem powrotu do ogrodu.

— Chyba powinnam się przedstawić. Jestem Alice Lindgren.

— Och, wiem, kim jesteś. Myślisz, że zapomniałbym, jak nazywa się dziewczyna, która nie chciała się ze mną umówić?

— Ja nie... — przerwałam speszona. — To było wieki temu. I byłam wtedy z kimś innym. To nie było nic osobistego.

— A ja myślałem, że doszły do ciebie jakieś straszliwe plotki. Albo co gorsza, jakaś okropna prawda.

Znowu się uśmiechnął; najwyraźniej przywykł do tego, że uważa się go za czarującego.

— Jeżeli faktycznie mówi się o tobie straszne rzeczy, które na dodatek są prawdziwe, może powinieneś się tym zająć, zanim zaczniesz ubiegać się o urząd.
— Mogłam iść na całość i udawać, że nie wiem, kim jest, ale nie widziałam w tym większego sensu. Każdy tutaj wiedział, kim on jest, bez względu na to, czy go wcześniej poznał. A on wiedział, że my wiemy. Gdyby było inaczej, przedstawiliby się w chwili, kiedy ja to zrobiłam.

— Zanim zacznę się ubiegać, tak? — powiedział. — Wieści szybko się rozchodzą.

— Madison to w gruncie rzeczy małe miasto.

— A mimo to nie spotkaliśmy się aż do teraz. Jak to wytłumaczysz?

Wzruszyłam ramionami.

— Mieszkaś tu od dawna? Wydawało mi się... twoja rodzina pochodzi chyba z Milwaukee?

— *Au contraire, mademoiselle.* Jestem urodzonym madisończykiem. Chodziłem do przedszkola i pierwszej klasy do Duncan Country Day, a potem wróciłem w ósmej klasie.

— Och, ja uczę w Liess — powiedziałam. — Jestem bibliotekarką.

— Aha! Właśnie mi się wydawało, że czytasz z prawdziwym przekonaniem. Córeczka Cliffa i Kathleen wiedziały, kogo poprosić.

— Czy teraz już wierzysz, że się nie ukrywałam?

— Na mojej ulicy mieszkał chłopak, który chodził do Liess — powiedział Charlie. — Norm Baker, ale my nazywaliśmy go Szczurek. Dobry był z niego dzieciak. Błada gęba i różowy, drżący nos, ale porządny chłopak. Chyba nie widziałem go od 1952 roku.

— Podejrzewam, że szkoła zmieniła się od czasów Szczurka.

Charlie się uśmiechnął.

— Chcesz powiedzieć, że nie jest już kryształowo czysta?

— Nie do końca.

Zapadła cisza i chyba chciałam ją czymś wypełnić — przede wszystkim, żeby nie pozwolić Charliemu wykazać, że brak kryształowej czystości mojej szkoły jest czymś złym (nie wiedziałam, czy ma taki zamiar, ale wolałam nie ryzykować).

— Wczoraj kupiłam dom — oznajmiłam.

Uniósł brwi.

— Żartujesz? Tylko ty, nie...?

Wcale się z tym nie kryjąc, zerknął na serdeczny palec mojej lewej dłoni. ; Zignorowałam jego pytanie.

— Przy McKinley. Jeżeli wiesz, gdzie jest sklep żelazny Roneya, McKinley leży kilka ulic dalej.

— Gratuluję, w ten sposób realizujesz swój własny amerykański sen. — Uniósł lewą rękę jak do przybicia piątki, jednak żeby to zrobić, musiałam podejść do niego, co na wpół świadomie zrobiłam. Nasze dłonie zetknęły się, wydając zdecydowany, głośny odgłos kłaśnięcia. — Jest w przyzwoitym stanie? No wiesz, rury, dach i tak dalej ?

— Wygląda na to, że tak, ale jeszcze nie obejrzał go inspektor. — Postu—
kałam pięścią w ścianę. — Odpukać.

— Gdybyś miała jakieś kłopoty, z przyjemnością ci pomogę. — Przerwał na chwilę. — Co nie znaczy, że mam jakieś pojęcie o konserwacji domu, ale próbuję zrobić na tobie wrażenie. Jak mi idzie?

Co prawda roześmiałam się, ale poczułam ucisk w żołądku. Nie. Przy—
szły tutaj w interesie Deny, nie moim.

I wtedy on się odezwał.

— Może dasz się zaprosić w przyszłym tygodniu na kolację na cześć życia, wolności i pogoni za dziesięcioprocentową hipoteką? Masz czas we wtorek?

— Och, hipoteka nie jest już taka wysoka — odparłam. — Teraz wynosi ja—
kieś siedem procent.

— Co, w tle wciąż majączy jakiś facet? — Jego głos w dalszym ciągu brzmiał wesoło, ale wyczuwałam w nim zaskoczenie, że nie przyjął zaproszenia nacychmiast. Zauważyłam, jak odrobinę opadły mu kąciki ust. — Chcesz, żebym go wyzwał na pojedynek, to dajesz mi do zrozumienia?

Nie chciałam ranić uczuć Charliego Blackwella. Starłam się, aby moje słowa zabrzmiały naprawdę szczerze.

— Niestety, przez kilka następnych tygodni jestem naprawdę zajęta. Muszę układać plany lekcji.

— Tylko na tyle cię stać? Planowanie lekcji w lipcu? Do licha, to mniej więcej tak, jakbyś mi mówiła, że musisz sobie umyć włosy

— Nie chodzi o ciebie — powiedziałam. — Naprawdę.

Staliśmy blisko siebie i miałam ochotę przyłożyć dłoń do jego policzka. Był znacznie bardziej wrażliwy, nie tak pewny siebie, jak początkowo sądziłam. Przybliżyłam się do niego jeszcze bardziej, ale dotknęłam tylko jego łokcia, poprzez różowy rękaw koszuli. Teraz czułam ciepło jego pachnącego mydłem ciała, zapach piwa i lata. Przekrzywiłam głowę.

— Może wrócimy na przyjęcie?

Myślałam, że wyjdę zaraz po podaniu jedzenia, ale zaczęliśmy grać w szarady, co przeciągnęło się w czasie i było bardzo zabawne, na dodatek tuż przed ostatnią kolejką mojej drużyny Dena przytuliła się do mnie i przycisnęła wargi do mojego ucha.

— Zaraz zwymiotuję — wyszeptał.

Zarzuciłam sobie jej ramię na szyję, sama objęłam ją w pasie i jak najszybciej zaprowadziłam do domu. Potknęła się lekko na dwóch schodkach wiodących na taras, ale miałam nadzieję, że reszta gości jest zajęta grą. Było już po dziewiątej, temperatura wciąż utrzymywała się w okolicy trzydziestu stopni i dopiero zaczęło się ściemniać. Pojawiły się komary, więc Kathleen zapaliła kilka świeczek o zapachu trawy cytrynowej, ale one tylko częściowo je odstraszają.

W łazience na pierwszym piętrze uniosłam klapę klozetu.

— Pochyl się — powiedziałam.

Dena zdążyła się już ułożyć na wznak na podłodze, z głową możliwie jak najdalej od miski klozetowej.

— No, Dena — powiedziałam. — Musisz ze mną współpracować.

— Jak to możliwe, że mamy już po trzydziści jeden lat, ale żadna nie ma męża ani dzieci? — wybełkotała. — Do tej pory miałam mieć już trójkę dzieci. Mindy, Alexandra i... Jak chciałam dać na imię trzeciemu?

— Nie pamiętam — odparłam.

— Nie mów tak. — Była równie rozdrażniona jak moi uczniowie, pierwszo— i drugoklasiści, kiedy od ich ostatniego posiłku upłynęło zbyt dużo czasu. — Musisz pamiętać!

— Trący? — podsunęłam.

— Trący to nie jest żadne wyjątkowe imię.

— Dena, jeżeli chcesz zwymiotować, musisz nachylić się nad klozetem. Może weźmiesz mnie za rękę, a ja pomogę ci się podnieść?

Dena pominęła kilka kolejek gry w szarady, ale mimo to dziwiło mnie, że nie zauważyłam wcześniej, jak bardzo jest pijana. W niespotykanym u niej akcie uległości uniosła obydwie ręce, a ja ciągnęłam ją za nie, dopóki nie usiadła.

— Przesuń się trochę do przodu — powiedziałam.

— Ty nie wyszłaś za mąż ani razu — rzekła.

— Wiesz co, Dena, mnie to w zupełności odpowiada.

Spojrzała na mnie szklanym wzrokiem.

— Ale byłaś w ciąży. Żałowałaś kiedyś, że usunęłaś? — Dopiero parę lat wcześniej przyznałam się w końcu Denie do tej dawnej aborcji; była pierwszą osobą, której w ogóle o tym wspomniałam, i odniosłam wrażenie, że była tym przejęta o wiele mniej niż ja. — WTWA znałam dziewczynę, która robiła to trzy razy — powiedziała wtedy.

— Dena, chcesz, żebym ci pomogła, czy nie? — zapytałam ją.

— A mówiłam ci, że kiedy chodziłaś z Simonem, wyobrażałam sobie, że on ma naprawdę długiego, chudego penisa? Bo wiesz, on był takim długim, chudym facetem.

Nie było to do końca nieprawdą, ale nie zamierzałam dawać jej satysfakcji, przyznając rację.

— Zauważyłaś — mówiła dalej Dena — że ilekroć spotykamy się z Rose Trommler, to ona albo przytyła, albo schudła dziesięć kilogramów?

— Dzisiaj rzeczywiście wygląda nieco grubawo — przyznałam.

— Ona jest jak Superman, który wchodzi do budki telefonicznej. Wychodzi z pokoju w rozmiarze sześć, wraca w rozmiarze dwanaście. — W tym momencie Denie odbiło się, a ja kucałam tak blisko niej, że poczułam ciepły, kwaśny powiew na twarzy.

— Dajże spokój, Dena! Uważaj trochę. Mam zaczekać na zewnątrz?

— Oto nadchodzi — powiedziała i w końcu nachyliła się jak trzeba nad klozetem. Umilkłyśmy obie.

Po jakiejś minucie się odezwałam.

— Teresa. Tak ma się nazywać twoja druga córka. Właśnie mi się przypomniało.

Wyglądało na to, że Dena zamierza coś odpowiedzieć, ale znowu jej się odbiło, słabo i delikatnie w porównaniu z monstualnym strumieniem, który z niej wytrysnął. Odsunęłam do tyłu jej włosy i odwracałam wzrok, dopóki nie skończyła wymiotować. Dzięki pracy z dziećmi stałam się mniej wrażliwa — wciąż musiałam oglądać ich brudne rączki, kiedy coś im się przytrafiło — ale są sytuacje, kiedy obrzydliwość to obrzydliwość. Zwłaszcza w wydaniu dorosłej kobiety.

Spuściłam wodę w klozecie, a kiedy woda się uspokoiła, Dena splunęła do niej kilka razy. Gdy się odezwała, mówiła rzeczowym, znacznie trzeźwiejszym tonem.

— Nie podobam się Charliemu Blackwellowi — stwierdziła. Wstała, odkręciła kurek i wsunęła dłoń pod strumień, po czym podniosła ją do ust. — Bardziej przypomina gościa ze Wschodniego Wybrzeża niż kogoś stąd — dodała, kiedy przełknęła wodę. — Bardzo pewny siebie.

— Rozmawiałam z nim krótko — odparłam.

— Kolejny zmarnowany sobotni wieczór, co? — Prawie się uśmiechnęła, ale nie do końca.

— To nie pora na analizowanie życia — powiedziałam. — Podziękuję Hickenom i pojedziemy do domu.

— Muszę się położyć.

Otworzyła drzwi łazienki i poszłam za nią do salonu. Książeczka o Madeleine wciąż leżała na kanapie, więc ją przesunęłam. Wolałabym wyjść, zamiast czekać, aż Dena się wyśpi, co według mnie obie nas stawiało w nie najlepszym świetle.

Ale Kathleen Hicken była niemal zachwycona, kiedy znalazłam ją w kuchni i zakomunikowałam, że Dena nie czuje się dobrze i musi odpocząć.

— To znaczy, że impreza się udała — ucieszyła się.

— Dam jej pół godzinki — powiedziałam.

— Rany, zostaw ją do rana. — Kathleen machnęła niedbale ręką. — Chyba nie chcesz sama wlec jej do łóżka.

— Serio? — Przygryzłam wargę. — Jeżeli naprawdę nie masz nic przeciwko temu, wróć do domu pieszo, a tobie zostawię jej kluczyki, żebyś je mogła dać jej rano.

— Cóż, na pewno Denie nie będzie potrzebny budzik. — Kathleen uśmiechnęła się, wycierając blat szmatką. — Dziewczynki dopilnują, żeby się obudziła, zanim kur zapieje.

W ogrodzie przyjęcie zdawało się dobiegać końca. Większość gości stała, niektórzy już sobie poszli. Ja dołączyłam do pań, które wnosiły wypełnione ogryzionymi kośćmi papierowe talerzyki, miski z chrupkami, puste kieliszki i puszki po piwie. Chwilę później, przed wyjściem, poszłam podziękować Kathleen.

— Dena na pewno nie będzie ci przeszkadzać? — upewniłam się.

— Alice, nie zawracaj sobie tym głowy — odparła.

Podziękowałam także Cliffowi, wzięłam swoją torebkę, zajrzałam do

Deny — leżała na boku i pochrapywała — i wyszłam frontowymi drzwiami. Mieszkałam jakiś kilometr na zachód od Hickenów. Nie doszłam jeszcze do następnej przecznicy, kiedy usłyszałam za plecami szybkie kroki. Odwróciłam się i przez ramię zobaczyłam Charliego Blackwella.

— Masz na oku jakąś lepszą imprezę? — zapytał.

— Przecież tam już wszystko dobiegało końca — odparłam.

— Jasne. Mogę cię podwieźć?

Starałam się dojrzeć jego twarz, ale w świetle rzucanym przez oddaloną o kilka metrów latarnię wydawała się zaczerwieniona i szara jednocześnie.

— Ile wypiełeś? — zapytałam.

— Jesteś bardzo bezpośrednia.

Od liceum nie jechałam samochodem z kierowcą, który był choćby na lekkim rauszu.

— Wiesz co? — powiedziałam. — Przejdę się. Ale miło było cię poznać.

Obróciłam się, lecz Charlie nie ustępował.

— Przynajmniej pozwól, że cię odprowadzę. Dość mam odmawiania jak na jeden wieczór, Alice.

Ruszyliśmy.

— Jak rozumiem, nie boisz się ciemności? — zagadnął.

Rzuciłam mu spojrzenie z ukosa.

— Żarty sobie stroisz?

— Zdradzę ci sekret, ale musisz przyrzec, że nikomu nie powiesz. Obiecujesz? — Nie czekając na moją odpowiedź, mówił dalej. — Potwornie boję się

ciemności. Po prostu umieram ze strachu. Moi rodzice mają dom w Door County i prędzej odgryzłbym sobie nogę, niż spędził tam samotnie noc.

— Czego aż tak się boisz?

— Właśnie w tym rzecz — nie mam pojęcia, co tam się czai! Ale hej, wiesz co? Teraz się nie boję, a to dlatego, że ty jesteś ze mną. Co prawda jesteś delikatna, ale wyglądasz na bardzo zaradną. Gdyby spotkało nas coś strasznego, na pewno byś sobie z tym poradziła.

— Zawsze obsypujesz komplementami kobiety, które ledwo znasz?

— Ledwo cię znam? Dobry Boże, myślałem, że jesteśmy już starymi przyjaciółmi. — Uniósł rękę do serca, jakby go zraniła, zaraz jednak cudownie ozdrowiał. — Oto, co wiem: po pierwsze, kupiłaś sama jedna dom, co oznacza, że jesteś niezależna i finansowo wypłacalna; po drugie, już robisz porządek w swoich szkolnych dokumentach, choć jest dopiero lipiec, a to znaczy, że jesteś odpowiedzialna. Albo kłamiesz, ale pozwolę sobie na przywilej wątpliwości. — Przy każdym punkcie wystawiał po jednym palcu. — Po trzecie, jesteś mistrzynią gry w szarady. — Co nie było prawdą; *Dźwięki muzyki* odegrałam po prostu tragicznie. — Po czwarte, albo masz chłopaka, ale udajesz, że nie, ponieważ nie potrafisz oprzeć się mojemu urokowi, albo nie masz, ale nie chcesz zrobić mi przykrości. Wszystko jedno, ja tak czy owak zamierzam pokonać każdą przeszkodę. Wniosek: wiem o tobie wszystko. — Kiedy szliśmy, czułam, jak Charlie patrzy na mnie i się uśmiecha. — Rozumiem cię, wyczuwam czekającą nas długą i szczęśliwą przyszłość i jestem przekonany, że ty także ją wyczuwasz. Och, ale musisz lubić baseball... Chyba lubisz baseball?

— Raczej trudno mnie nazwać zagorzałym kibicem.

— Zostaniesz nim. — Charlie machnął wyimaginowanym kijem w powietrzu. — Brewersi w końcu zbierają się do kupy. Mnóstwo młodych talentów w zespole, i zapamiętaj moje słowa, to może być ich zwycięski sezon.

— Prawdę powiedziawszy — wyznałam — poszłam na przyjęcie do Hickenów wyłącznie z jednego powodu: żeby pomóc Denie przykuć twoją uwagę.

— Denie? — Był wyraźnie zagubiony. — Tej rozwódce?

— Kto ci o tym powiedział? Nie, to nie ma znaczenia — jesteś równie podły jak Rose i Jeanette. Dena to cudowna dziewczyna. Przez ponad piętnaście lat pracowała jako stewardesa i zwiedziła cały kraj.

— A mimo to nie nauczyła się kontrolować picia.

— Nie jadła zbyt dużo — powiedziałam. — To dlatego.

— Coś ci powiem — odezwał się. — Wystarczy na nią popatrzeć i od razu widać, że použíwała sobie w życiu, ale kimże ja jestem, żeby rzucać kamieniem? Wydaje się całkiem miła. Nie wygląda mi jednak na kogoś, jeśli rozumiesz, co mam na myśli, kto byłby materiałem na żonę dla wschodzącej gwiazdy Partii Republikańskiej.

Jego arogancja była doprawdy niesamowita; zabawna, ale jednocześnie irytująca.

— Jestem zdeklarowaną demokratką — powiedziałam. — Możesz to dopisać w swoim dossier na mój temat. I muszę przyznać, że jesteś nadzwyczaj pewny siebie jak na kogoś, kto staje w szranki z człowiekiem piastującym ten urząd od czterdziestu lat.

Zamiast się obrazić, Charlie wyraźnie był zachwycony.

— Zawsze podziwiam każdego, kto potrafi się czegoś dowiedzieć. A wiesz, kto wydaje się idealnym materiałem na żonę?

Wskazał na mnie.

— Wygłupiasz się — stwierdziłam.

— Jak to się stało, że kobieta taka... taka cudowna jak ty nie została jeszcze złapana w sidła?

— Może nie chcę być złapana — odparłam. — Nie przyszło ci to do głowy?

Nie ma co mówić, chciałam tego, i to bardzo; chciałam wyjść za mąż, w nocy spać w łóżku z mężczyzną; idąc do miasta, trzymać go za rękę, przygotowywać dla niego posiłki wymagające zbyt wiele zachodu, by gotować je dla jednej osoby — pieczeń wołową, lasagne. Chciałam mieć dzieci i wiedziałam, że byłabym dobrą matką, nie idealną, ale dobrą, już nawet postanowiłam, że nie pozwolę, by moje córki nosiły włosy dłuższe niż tylko do brody, bo widziałam, jak moje uczennice stają się przez to próżne, a dbanie o loki nabiera cech rodzinnego przedsięwzięcia. A mimo to, na przekór temu wszystkiemu, czułam zadowolenie, okłamując Charliego Blackwella.

— Tylko mi nie mów, że jesteś jedną z tych feministek — powiedział. — Nie mogłabyś być, bo jesteś za ładna.

Popatrzyłam na niego.

— Nie warto tego nawet komentować, a poza tym naprawdę nie rozumiem, dlaczego interesuje cię moje życie uczuciowe.

— Och, interesuje jak najbardziej. A to dlatego, że rzuciłaś na mnie urok.

Był tak frustrujący. Po części dlatego, że mówił dokładnie to, co chciałam usłyszeć od mężczyzny, ale pragnęłam, żeby mówił to szczerze. Tęskniłam za prawdziwym uczuciem, nie za kpinami i żartami.

— Uważam, że powinnaś zaprosić mnie na kawę — powiedział Charlie, kiedy dotarliśmy przed dom, w którym mieszkałam. — Ktoś rozsiewa plotki, jakoby był pijany.

Zrezygnowana potrząsnęłam głową i pozwoliłam, żeby wszedł za mną do małego holu, z którego wyłożone dywanem schody prowadziły na drugie piętro. Charlie stał za mną, kiedy otwierałam drzwi.

— Masz jakieś piwo? — zapytał, kiedy w kuchni nastawiałam ekspres do kawy. — Bo jeżeli nie masz nic przeciwko temu, wolę piwo.

Wyjęłam z lodówki dwie puszki piwa Pabst i podałam mu jedną. Kiedy ją otworzył, stuknął nią w moją puszkę.

— Za Alice — powiedział. — Kobietę nie dość, że piękną, to jeszcze z doskonałym gustem w kwestii alkoholu.

— Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że nigdy nie odpuszczasz? — zapytałam.

Z przerażeniem patrzyłam, jak wychodzi z kuchni i idzie przedpokojem w stronę sypialni, w której pracowałam nad swoimi postaciami z książek.

— Proszę, nie wchodź... — zaczęłam mówić, ale on najwyraźniej mnie nie słuchał.

Poza tym drzwi do sypialni były otwarte. Kiedy go dogoniłam, stał na środku pokoju i obracając się, oglądał po kolei każdą figurę.

— To do biblioteki, w której pracuję — wyjaśniłam, a mój głos zabrzmiał dziwnie głośno w panującej ciszy.

Nie miałam pojęcia, jak zareaguje na figury, ani nawet jakiej reakcji bym sobie życzyła. Nie był, przypomniałam sobie, moją docelową widownią. Milczał przez całą minutę, a potem odezwał się najzupełniej poważnym tonem:

— Są niesamowite — stwierdził.

Przełknęłam.

— Poznaję Ferdynanda. — Wskazał na byczka z kwiatami wplecionymi w rogi. — A to jest Mike Mulligan i jego parowa koparka, Mary Anne.

— Skala nie całkiem się zgadza — powiedziałam.

— Byłem szaleńczo zakochany w Mary Anne. — Uśmiechnął się. — Po prostu wiedziałem, że któregoś dnia dokopią się do tej piwnicy. Och, i Eloise! Zawsze uważałem, że jest jak wrzód na tyłku.

— Dziewczynki lubią ją bardziej niż chłopcy.

— A to kto? — Brodą wskazał na kąt pokoju, gdzie jaskrawozielone liście — wycięłam je z beli krzykliwej jedwabnej materii — zwiisały z czubka brązowego pnia.

— „Drzewko darów” — odpowiedziałam. — To książka wydana, kiedy my byliśmy w liceum, czyli mniej więcej... Ile ty właściwie masz lat?

— Trzydzieści jeden — odparł. — Rocznik 1964.

— Ja też. I właśnie w tym roku wyszło *Drzewko darów*. To moja ulubiona książka. Czytałam ją chyba z siedemdziesiąt razy i pod koniec zawsze chce mi się płakać. — Wystarczyło, że tylko mówiłam o książce, a mój głos od razu zaczynał drzeć ze wzruszenia, co mnie krępowało.

— Dlaczego chciałaś płakać aż siedemdziesiąt razy? — zapytał Charlie, ale czule, bez cienia drwiny. Skinął w prawo. — A ten Chińczyk to kto?

— To Tikki Tikki Tembo. Chłopiec, który wpada do studni i każdy, kto chce sprowadzić dla niego pomoc, musi powtórzyć jego imię, a jest ono wyjątkowo długie. Tikki Tikki Tembo to wersja skrócona. Całe imię brzmi — słowo daję, jest naprawdę długie.

— Ale teraz już musisz je powiedzieć...

— Naprawdę?

Skinął głową.

Zaczerpnęłam powietrza. Na randkach rzadko mówiłam o swojej pracy — chociaż teraz to nie była, rzecz jasna, żadna randka. ' — Tikki Tikki Tembo—nosa rumbo-chari Bari ruch— pip peri pombo — wyrecytowałam, a kiedy skończyłam, oboje uśmiechaliśmy się do siebie.

— Jeszcze raz — poprosił. — Robi wrażenie — dodał, kiedy spełniłam jego prośbę.

Ukloniłam się.

— Te dzieciaki, które uczysz, muszą za tobą szaleć — stwierdził.

— Cóż, nie jestem głupia. Uczniowie zaczynają buntować się przeciwko nauczycielom w gimnazjum, ale w szkole podstawowej walczą między sobą, kto ma usiąść mi na kolanach.

Przyjrzał mi się — wciąż stał na środku pokoju, a ja tuż przy drzwiach — a wyraz, jaki malował się na jego twarzy, można było oddać tylko jednym słowem: oczarowanie. Nie mam pojęcia dlaczego, ale najwyraźniej oczarowałam Charliego Blackwella. I zdałam sobie sprawę, w pierwszej chwili ze smutkiem, żalem, a potem cieniem nadziei, że nikt tak na mnie nie patrzył od czasu Andrew Imhofa. W ciągu minionych piętnastu lat mnóstwo razy umawiałam się na randki, byłam w niejednym związku, nawet mi się oświadczano, ale nigdy nikogo nie oczarowałam.

— Alice, co byś zrobiła, gdybym teraz cię pocałował? — zapytał Charlie.

Popatrzyliśmy na siebie i nagle pokój wypełnił się nieśmiałością i obietnicą.

— Jeżeli chcesz się dowiedzieć, chyba będziesz musiał spróbować — odparłam po długiej chwili.

Simona Tórnkvista poznałam w sklepie z butami, kiedy miałam dwadzieścia sześć lat; on kupował drewniaki, ja sandały doktora Scholla. On miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i był szczupły, nosił okulary w stylu Johna Lennona, okrągłe, w złotych oprawkach, miał niesforne blond włosy, strzępiastą blond brodę, opadające lewe oko z powodu blizny, która biegła od kości policzkowej do ucha, i amputowaną lewą rękę. Odniósł te rany w Wietnamie, czego się domyśliłam, zanim zdążył mi powiedzieć. Ponieważ był leworęczny, miał dziecienny charakter pisma; ale o tym dowiedziałam się później.

Kiedy siedzieliśmy w sklepie, czekając, aż sprzedawca wróci z naszymi butami, zauważyłam, że jak na marzec jest niespotykane ciepło. Po skończonych zakupach staliśmy na chodniku przed sklepem, w dalszym ciągu rozmawiając. Upłynęło może z dziesięć minut, gdy uniósł swoje lewe ramię. Nosił rdzawą welurową koszulę z długimi rękawami, z których lewy był zgięty w łokciu i przypięty do ramienia.

— Czy to ci przeszkadza? — spytał Simon.

— Nie — odpowiedziałam.

— Może w takim razie wybierzemy się dzisiaj do kina?

Poszliśmy na *Ojca chrzestnego*. Uważałam, żeby usiąść po jego prawej stronie, na wypadek gdyby chciał wziąć mnie za rękę, czego jednak nie zrobił. Później poszliśmy na kolację do pubu przy Doty Street. Stwierdził, że film jest prze-

ceniany, chociaż nie wyjaśnił dlaczego. Był o rok młodszy ode mnie — co mnie zdumiało, ponieważ miałam głupią skłonność uważać nowo poznanych ludzi niższych ode mnie za młodszych, a wyższych automatycznie za starszych — i pracował jako dyspozytor w firmie hydraulicznej, jednocześnie studiując na uniwersytecie. Jeszcze nie zdecydował, z czego będzie robił dyplom, ale skłaniał się ku filozofii lub naukom politycznym.

Nasza rozmowa nie wydała mi się specjalnie interesująca, ale przez cały czas czułam coś na kształt wewnętrznego drżenia, jakby żebra miały mi się zapaść, i musiałam się koncentrować, żeby je utrzymać w miejscu. Był to nieomylny znak, który natychmiast rozpoznałam, że Simon pociąga mnie fizycznie. Odwiózł mnie do domu (zastanawiałam się, czy będzie miał na kierownicy to, co dorastając, nazywaliśmy „gałeczką” — dziadek Deny, który stracił prawą rękę w wypadku traktorowym, miał taką — jednak nie miał, na dodatek świetnie sobie radził, prowadząc jedną ręką). Kiedy dojechaliśmy, nachyliłam się i pocałowałam go w policzek. Nigdy nie robiłam pierwszego kroku, ale ośmielił mnie fakt, że Simon był młodszy.

Wydawał się zaskoczony, ale zareagował pozytywnie i przytuliliśmy się do siebie, on objął mnie prawym ramieniem, a ja miałam nadzieję, że położy na mnie swój lewy kikut, ale tego nie zrobił. Teraz wiem — wtedy nie miałam o tym pojęcia, ale po latach przeczytałam artykuł — że są fetyszyści amputowanych kończyn, i z jednej strony wypieranie się podobnych inklinacji można uznać za obronę, lecz nie sądzę, aby o to mi chodziło. Patrząc z perspektywy czasu, muszę przyznać, że gdyby nie jego obrażenia, nie pociągałby mnie. Jednak rzecz nie w samych obrażeniach. Gdyby oparł swoje okaleczone ramie o moje plecy, byłby to z jego strony gest zaufania, odsłoniłby się, pragnąc znaleźć się bliżej mnie, i tym samym dałby mi szansę na udowodnienie, że byłam warta ryzyka, jakie podjął. Bez zahamowań zaopiekowałabym się nim.

Mimo pytania, jakie zadał mi przed sklepem Simon, nie przejmował się zbyt nio swoim kalectwem. Miał też blizny, co odkryłam podczas naszych kilku następnych randek, z lewej strony piersi. W Phuoc Long Province, na początku zimy 1970 roku, jego oddział wpadł w zasadzkę, a on został trafiony pociskiem z granatnika przeciwpancernego. Mówił o tym zwyczajnie, bez emocji, jak w zasadzie o wszystkim; kilka razy nazwał wojnę w Wietnamie „jedną wielką ścierną”, ale swoim politycznym przekonaniom dawał wyraz rzadko i niechętnie. Nie był pierwszym znanym mi człowiekiem, który walczył w Wietnamie. Pojechało tam kilkunastu chłopców z mojej klasy w Benton County Central High School. Bradley Skilba zginął w Tay Ninh we wrześniu 1968, trzy miesiące po ukończeniu szkoły; w 1969 Yves Ha— akenstad wrócił do domu na wózku inwalidzkim, sparaliżowany od pasa w dół; Randall Larson zginął na północny wschód od Katum w 1970 roku. Czasem się zastanawiałam, czy byłoby inaczej, gdyby Andrew

Imhof również pojechał na wojnę — co przecież nie byłoby wykluczone — i gdyby stracił życie w Wietnamie, zamiast na skrzyżowaniu De Soto Way z Farm Road 177. Wyobrażałam sobie, że jego rodzina zniosłaby to łatwiej; odbieraliby to jako tragedię w szlachetnej sprawie, a nie niepotrzebną stratę. Z całą pewnością mnie byłoby łatwiej, nie odczuwałabym tego dławiącego poczucia winy. Ale i tak brakowałoby mi go, odszedłby tak czy siak, i w pewnym sensie gorsza byłaby świadomość, że zginął w obcym kraju, tak daleko od domu; koniec końców w zasadzie nie byłby to lepszy smutek.

Kiedy po raz pierwszy uprawialiśmy z Simonem seks, robiliśmy to nieśmiało, ostrożnie, jednocześnie czując podekscytowanie czymś nowym. Od czasu Pete'a Imhofa spałam tylko z Wadem Trommlerem, z którym spotykałam się przez dwa lata w college'u. Chociaż zerwaliśmy, kiedy odrzuciłam jego oświadczenia w lecie przed ostatnim rokiem studiów, zawsze będę wdzięczna Wade'owi za jego dobroć i delikatność, za to, że tak bardzo różnił się od Pete'a. Po zerwaniu z Wadem chadzałam na różne randki i często potrafiłam przewidzieć, kiedy jakiś facet chciałby się ze mną umówić, gdybym tylko dała mu jakiś zachęcający sygnał. Ale ci mężczyźni, podobnie jak Wade, wydawali mi się niewinni jak mali chłopcy.

W ostatniej klasie liceum przestałam sądzić, że małżeństwo mi się ot tak, po prostu należy. Rzecz nie tylko w tym, że już nie uważałam się za kogoś, kto na nie zasługuje, czy też utraciłam wiarę w opiekę wszechświata, chodziło też o to, że nie chciałam poślubić człowieka, dopóki nie mogłabym mu się pokazać naprawdę taka, jaka jestem — nie miałam zamiaru nikogo oszukiwać — ale niewiele było mężczyzn, wobec których umiałam to sobie wyobrazić, którym chciałabym pokazać się jako ktoś bardziej skomplikowany, niż można by sądzić z pozorów. Myśl o wysiłku i tłumaczeniach, jakie by to za sobą pociągało, zniechęcała mnie, ale też uspokajała. Nie musiałam się wysilać, jak większość kobiet gorączkowo poszukujących pana Właściwego. Pogodziłam się, że nadchodzące lata przyniosą to, co pisane, a ja mam na to tylko niewielki wpływ. Życie w pojedynkę nie wydawało mi się czymś strasznym, na pewno nie gorszym od życia z kimś nieodpowiednim.

Wtedy poznałam Simona, który okazał się nieoczekiwaną odmianą. Nie reprezentował ani samotności, ani jakiejś udawanej szczęśliwości; stanowił trzecią możliwość: zbawcze spółkowanie. Myślałam, że całkowita akceptacja innego człowieka jest tylko odrobinę gorsza od bycia całkowicie akceptowanym. Wciąż zgadzam się z tym po części, poza tym jednak to, co myślałam o Simonie, o tym, że mogę się nim opiekować, teraz postrzegam jako próżne i błędne.

Spotykaliśmy się przez jedenaście miesięcy, w którym to czasie mieszkaliśmy trzy kilometry od siebie i widywaliśmy się dwa razy w tygodniu. Ja pracowałam

jako nauczycielka, on studiował i pracował w firmie hydraulicznej, ale to właśnie powinno być mi do myślenia: ani razu nie przyszło mi do głowy, że mogłabym zmienić swój rozkład zajęć przez wzgląd na niego. Chociaż miał młodszą siostrę, zamężną, i młodszego brata, niedorozwiniętego umysłowo, który mieszkał z rodzicami na farmie, nigdy nie poznałam nikogo z jego rodziny. Ja natomiast po trzech miesiącach znajomości zaprosiłam go na niedzielny lunch do Riley. Pod koniec wizyty, choć nikt ani razu nawet nie wspomniał o Wietnamie, ojciec — sam weteran — uściśnął Simonowi rękę.

— Młodzi ludzie, tacy jak ty, przynoszą zaszczyt temu krajowi — powiedział.

— Twój ojciec jest koszmarnie naiwny — stwierdził Simon, kiedy wracaliśmy samochodem do Madison.

Czy działałam jak jakiś robot? Nad tym się wciąż zastanawiam, nie nad tym, dlaczego wtedy nic nie odpowiedziałam, ale nad całym czasem, jaki spędziłam z Simonem. Ale wyglądało to jak związek, miało wszelkie zarysy i rytuały. Kimże więc byłam, by twierdzić inaczej? W środy gotowałam dla niego kolację, w każdą sobotę wieczorem szliśmy na film do Majestic (był jedynym znanym mi człowiekiem, poza Ritą Alvin, nauczycielką francuskiego, którego nie trzeba było namawiać do obejrzenia zagranicznego filmu), a po filmie wracaliśmy do mnie i kochaliśmy się, po czym około północy on jechał samochodem do siebie. Po kilku pierwszych epizodach później już nie miałam regularnie orgazmów z Simonem, ale przypisywałam to raczej wcześniejszemu nadmiarowi podekscytowania z mojej strony niż niedociągnięciom z jego. Wkrótce przywykliśmy do siebie nawzajem, a jeżeli on był w złym nastroju, jego rozdrażnienie było najważniejsze; mogłam się wykazać, starając się go udobruchać. I nie wydaje mi się, aby miało to związek z ogólnie pojmowaną różnicą płci; nie, sądzę, że działało się tak, ponieważ ja to byłam ja, a on to był on.

Moi rodzice wydawali się zadowoleni. Mama nie potrafiła zdobyć się na pytanie wprost o nasze ewentualne zaręczyny, ale robiła to w bardziej subtelny sposób, na przykład: „Czy myślisz, że gdyby tatuś zechciał załatwić Simonowi pracę w banku, Simon byłby zainteresowany?” albo: „Ginny Metzger mówiła mi, że Arlette znalazła suknię ślubną z prawdziwej koronki za siedemdziesiąt dolarów w sklepie w Milwaukee”. Tymczasem babcia zauważyła tylko: „On jest jak pan Lloyd, prawda?”. Chodziło jej o rozwiązłego jednorękiego nauczyciela z *Pełni życia panny Brodie*. Zrozumiałam, że Simon nie zrobił na niej korzystnego wrażenia. Minęło jednak kilka miesięcy, zanim pojęłam, jak bardzo było ono niekorzystne.

W Boże Narodzenie — był rok 1973 — prasowałam koszule w pokoju mojej babci, podczas gdy ona siedziała na łóżku i czytała.

— Po prostu nie możesz wyjść za tego swojego przyjaciela — powiedziała niespodziewanie.

Mówiąc to, nawet na mnie nie spojrzała.

— Chodzi ci o Simona? — Obróciłam się do niej.

— To ponurak.

Zamurowało mnie.

— Babciu, on bardzo dużo przeszedł.

Potrząsnęła głową.

— Nie mówię, że miał łatwe życie, ale założę się, że nawet jako mały chłopiec już był ponurakiem.

— Sugerujesz, że powinnam z nim zerwać?

Babcia zastanawiała się chwilę nad moim pytaniem .

— Chyba tak — powiedziała w końcu.

Milczałam.

— Odkąd Dena wyjechała do Kansas City, któż jak nie ja ma ci przemówić do rozumu? — rzekła. — Nie obrażaj się, chodzi mi wyłącznie o twoje dobro.

— Może po prostu nie chcesz, żebym wzięła ślub — powiedziałam, nie dodałam tylko, że „z mężczyzną”. Babcia i ja nigdy nie rozmawiałyśmy o Gladys Wycomb, ani przed wizytami babci w Chicago, ani po nich. Po wydarzeniach jesieni 1963 roku zawarłyśmy milczący pakt — zbyt wiele jej zawdzięczałam

— i z czasem nasze stosunki nabrały cech normalności. Lecz była to normalność, której trzeba było czasem strzec i o którą trzeba było zadbać. Staralam się nie być aż tak krytyczna, traktować babcię z większym szacunkiem i troską, niż kiedy byłam nastolatką, i już sam ten fakt, że musiałam wkładać w to wysiłek, świadczył, że nigdy więcej nie będzie między nami normalnie.

— Dlaczego miałabym nie chcieć, żebyś wzięła ślub? — rozzłościła się babcia.

— To absurd. Małżeństwo to nie piknik, ale wypada korzystnie w porównaniu z alternatywą. Powiem ci, w czym tkwią problemy twojego lubego. Są dwa.

Czułam się rozdarta, z jednej strony chciałam ją powstrzymać, zanim posunie się za daleko, z drugiej zaś byłam potwornie ciekawa, co myśli.

— Po pierwsze — powiedziała — jest nudny. Nie ma w nim życia. Co prawda mnóstwo kobiet wychodzi za nudnych mężczyzn, ale twój Simon w dodatku nie jest dobrym człowiekiem, a to już straszliwa mieszanka. Można poślubić mężczyznę, który jest nudny, ale przy tym dobry, można też wyjść za kogoś okrutnego, za to fascynującego — niektórzy znajdują w tym upodobanie — ale poślubienie mężczyzny, który jest nadęty i niedobry, to recepta na nieszczęście.

Kiedy jej słuchałam, czułam, jak twarz zalewa mi fala gorąca, i to nie od żelazka.

— Prawie w ogóle go nie znasz — stwierdziłam.

— Jestem baczna obserwatorką ludzkiego zachowania. Zabiegasz o tego młodzieńca, a on jest zwyczajnie zimny. Posłuchaj, jeżeli postanowisz za niego wyjść, pójde do kościoła z uśmiechem na twarzy, ponieważ będę wiedziała, że podjęłaś tę decyzję świadomie, z szeroko otwartymi oczami. Ale gdybym nie odezwała się słowem, do końca życia zastanawiałabym się, czy mogłam zapobiec wielkiej sercowej tragedii.

— Cóż, teraz na pewno nie musisz się poczuwać do odpowiedzialności — rzuciłam lekko.

Chciałam pokazać, że jestem gotowa wybaczyć jej te przykre słowa, najwyraźniej jednak ona wcale nie miała ochoty na żadne przebaczenie.

— Na pierwszy rzut oka widać, że chodzi tu o tego chłopaka Imhofów — powiedziała. — Chcesz zamienić zmarłego chłopca na okaleczonego mężczyznę i gdybym sądziła, że coś z tego wyjdzie, pozwoliłabym, żebyś spróbowała. Ale to jest niemoralne. I nierealne. Nieszczęścia nie wykluczają się nawzajem.

Rzecz jasna, byłam pewna, że myli się co do Simona. Najpierw wierzyłam w to całkowicie, ale w miarę jak mijały kolejne dni, a jej słowa odbijały mi się echem po głowie, moje przekonanie słabło. Przypomniałam sobie wszystko pewnego wieczora po kolacji we włoskiej restauracji, kiedy zanim wsiedliśmy do samochodu, wspięłam się na palce, żeby pocałować Simona.

— Twój oddech za bardzo czuć czosnkiem — powiedział, odwracając głowę.

Mimo to wciąż spotykaliśmy się dwa razy w tygodniu, aż do środy, miesiąc przed naszą pierwszą rocznicą, kiedy nakładałam na talerze kurczaka w śmietanie.

— Czy myślałeś kiedyś, że moglibyśmy się pobrać? — zapytałam.

Kurczak parował i Simon zdjął okulary, żeby wyczyścić ich szkła serwetką.

— W zasadzie nie — odparł.

Natychmiast wiedziałam, że zarówno ta rozmowa, jak i nasz związek dobiegły właśnie końca, ale sytuacja zdawała się wymagać, abym nie ustępowała.

— Mimo że spotykamy się prawie od roku?

— Chyba nie wierzę w małżeństwo. — Założył z powrotem okulary. — Wydaje się instytucją skazaną na zagładę. Wiem poza tym, że zdecydowanie nie chcę mieć dzieci.

Nie jestem pewna, jaką zrobiłam wtedy minę (nie dość, że byłam zawiedziona i zbита z pantałyku, to na dodatek czułam się jak kompletna idiotka — czyż nie powinnam była dowiedzieć się tego o nim całe miesiące wcześniej, czyż nie powinnam była przeprowadzić jakiegoś dochodzenia?).

— Zakładam, że ty natomiast chcesz mieć dzieci — dodał.

— Simonie, jestem nauczycielką. Nie pracowałabym z dziećmi, gdybym nie lubiła z nimi przebywać.

Położył swoją dłoń na mojej.

— Porozmawiamy o tym innym razem.

Dwa tygodnie później zadzwonił do mnie

— Nie wydaje mi się, żebyśmy byli kompatybilni na dłuższą metę — stwierdził

— Chyba masz rację — odparłam.

W ten sposób dokonało się być może najbardziej bezkrwawe zerwanie w historii związków.

— Czułam w kościach, że podejmiesz właściwą decyzję — powiedziała babcia, kiedy następnym razem przyjechałam do domu.

Ponieważ nie chciałam, aby litowała się nade mną, skinęłam tylko głową, i nigdy nie zdradziłam, że tak naprawdę to nie była moja decyzja.

Charlie został wtedy u mnie do późna i spałam tak niewiele, że kiedy po południu następnego dnia zjawiłam się w Riley, kręciło mi się w głowie, przepełniało mnie poczucie winy i byłam wyczerpana; tuż za oczami zaczął się zbierać ból głowy.

Zauważyłam na podjeździe brak samochodu mamy, kremowego forda galaxie. Kiedy weszłam do domu, zastałam babcię na kanapie w salonie — moją

chudą jak patyk, niepoddającą się upływowi czasu, żywiącą się nikotyna i literaturą babcią. Podsunęła mi policzek do pocałowania.

— Myślę, że twoja matka ma jakiś sekret — stwierdziła.

— I o coś dobrego czy złego?

Na twarzy babci odmalował się wyraz skupienia i jednocześnie zakłopotania, w rodzaju tych, jakie przyjmujemy, kiedy nie potrafimy sobie przypomnieć nazwy jakiejś przyprawy, której właśnie skosztowaliśmy.

— Przypuszczam, że ma romans z Larsem Enderstraissem.

— Panem Enderstraissem? Naszym listonoszem?

— Wygląda na przyzwoitego człowieka. Trochę zbyt korpulentny, ale zapewne nie odżywia się, jak należy, skoro mieszka sam.

— Uważasz, że mama spotyka się z panem Enderstraissem? Od kiedy?

Pan Enderstraisse pracował na poczcie przy Commerce Street, odkąd byłam dzieckiem; wyglądał na dobrodusznego człowieka, miał wąsy jak mors i mocno zaokrąglony brzuch.

— Nie ma sensu się ekscytować — powiedziała babcia. — Twoja matka jest dorosłą kobietą i zasługuje na odrobinę rozrywki.

— Ale czy jesteś pewna?

— Prowadzi długie rozmowy przez telefon, ale odbiera zawsze na górze. Mogę tylko zakładać, że w ten sposób nie chce dopuścić, żebym podsłuchiwała. I załatwia różne tajemnicze sprawy. Kiedy pytam, gdzie była, tłumaczy się mgliście.

— Jak ma się do tego pan Enderstraisse?

— Właśnie teraz jest u niego. Zachorował na półpasiec, tak przynajmniej twierdzi Dorothy, która poszła zanieść mu nieco chłodnika.

— Skoro jednak wiesz, dokąd poszła, nie jest to żadna tajemnicza sprawa.

Babcia zmarszczyła brwi.

— Nie pyskuj mi tu.

— Chodziło mi tylko... — przerwałam. — Babciu, ja chyba też mogę mieć romans.

Natychmiast nadstawiła uszu.

— Ale Dena pierwsza się nim zainteresowała, więc teraz nie mam pojęcia, co robić. On naprawdę mi się podoba, chociaż poznałam go dopiero wczoraj.

— O, mój ty świecie. — Babcia założyła nogę na nogę. — Bądź taka dobra i przynieś mi mrożonej herbaty, a potem wszystko mi opowiesz.

Z dzbanka w lodówce nalałam nam obu herbaty, wróciłam ze szklankami do salonu i streściłam wydarzenia ostatniego wieczoru, tylko pobieżnie wspominając o zamroczeniu Deny i nieco przydługiej wizycie Charliego w moim mieszkaniu; starałam się dać do zrozumienia, bez mówienia tego wprost, że pożegnaliśmy się, jak tylko odprowadził mnie do domu. Naprawdę nie potrafiłam zgadnąć, jak zareagowałyby babcia, zważywszy na jej sympatię dla Deny. Kiedy byłyśmy w szkole, specjalnie za nią nie przepadała, ale polubiła ją nagle latem, gdy skończyłam college. Był rok 1968 i któregoś dnia po południu babcia oznajmiła mi, że chciałyby spróbować marihuany, bo tyle się o niej ostatnio słyszy. Ponieważ sama nigdy wcześniej nie paliłam trawki, bez specjalnego entuzjazmu zwróciłam się do Deny, gdy następnym razem przyjechała do miasta — jako stewardesa, mogła latać do Milwaukee za darmo, a potem odwiedzać mnie w Madison albo jechać do domu do Riley — i jakiś czas później, kiedy moi rodzice wybrali się na smażenie ryby, zasiadłyśmy w trójkę w pokoju babci i zapaliłyśmy skręta.

— Trudno mi doprawdy pojąć, o co tyle zamieszania — powiedziała babcia. — Jestem wam bardzo wdzięczna, moje panny, za zaspokojenie mojej ciekawości.

Kiedy skończyłyśmy palić skręta, sięgnęła po papierosa.

Opowiedziałam do końca o swoim spotkaniu z Charliem i babcia napiła się herbaty.

— Myślisz, że powinnam spotkać się z nim znowu?

Babcia odstawiła szklankę na korkową podstawkę na bocznym stoliku.

— Nie śpieszyłabym się z podejmowaniem decyzji. Poczekaj na rozwój sytuacji.

— Nawet nie wiem, czy zadzwoni, ale kiedy go poznałam, nabrałam nadziei. Nawet nie potrafię tego nazwać.

— Dobrze się bawiłaś w jego towarzystwie — powiedziała babcia.

Czy to było aż tak proste? A jeśli tak, czemu zdarzało się tak rzadko? Z zewnątrz dobiegł warkot nadjeżdżającego samochodu mamy.

— Ani słowa o Larsie Enderstraisie. — Babcia złączyła kciuk i palec wskaźujący i przesunęła nimi wzdłuż ust. — Buzia na kłódkę.

O ósmej wieczorem babcia poszła do siebie na górę, a mama i ja zasiadliśmy przed telewizorem, choć tak naprawdę żadna z nas nie oglądała *Człowieka za sześć milionów dolarów*. Mama robiła na drutach etui na okulary, ja przeglądałam ostatni numer babcinego „Vogue'a”.

— Mamo, gdybyś zechciała kiedyś z kimś się spotykać... — zwróciłam się do niej w czasie przerwy na reklamy.

Weszła mi w słowo, zanim zdążyłam dokończyć.

— Na miłość boską, skąd taki pomysł?

— Nie mówię, czy to wypada czy też nie, ale gdybyś uznała, że jesteś na to gotowa, nikt nie miałby nic przeciwko.

— Alice, pomyśl, co czułby ojciec, gdyby słyszał, co teraz wygadujesz.

Odłożyła robótkę i wyszła z pokoju, a kiedy się zastanawiałam, jak bardzo udało mi się ją obrazić, wróciła, lewą dłoń trzymając zaciśniętą w pięść. Usiadła obok mnie i rozwarła palce, ukazując złotą broszkę.

— Czy mogłabyś to sprzedać dla mnie?

Broszka była w kształcie gałązki, z listkami inkrustowanymi małymi brylancikami. Zwisał z niej jeden mały granat — miał imitować jabłko, a może jagodę. Nigdy wcześniej jej nie widziałam.

— Należała do mojej matki, ale nie mam jej do czego i kiedy nosić — wyjaśniła.

— Ale to miło mieć jakąś pamiątkę — rzekłam.

Mama miała tak niewiele pamiątek po swojej rodzinie, że trudno było mi zrozumieć, dlaczego chciała pozbyć się broszki. Podała mi ją, a ja koniuszkiem palca dotknęłam granatu; był chłodny i gładki.

— Mogłabyś założyć ją w święta do kościoła — stwierdziłam, a ona bez ostrzeżenia wybuchła płaczem.

— Mamo, co się stało?

Położyłam jej rękę na plecach. Nie widziałam mamy płaczącej od dnia wkrótce po śmierci taty.

— Strasznie narozrabiałam — powiedziała.

— O czym ty mówisz?

— Od początku miałam złe przeczucia. Ale zaufałam temu młodemu człowiekowi, chciałam dać mu szansę, a poza tym myślałam, że będzie to jakieś zabezpieczenie na przyszłość nie tylko dla babci i dla mnie, ale także dla ciebie, bo tak ciężko pracujesz w szkole. A on powiedział, że przez rok może mi się zwrócić nawet i trzysta procent.

— Jaki on? Zaczynij od początku. — Czułam, jak zaczyna mi cierpnąć skóra, ale wiedziałam, że przynajmniej jedna z nas musi zachować spokój. — Chcę ci pomóc, mamó, ale muszę wiedzieć, co się stało.

— On jest mniej więcej w twoim wieku. Przyszedł i był bardzo miły, taki inteligentny.

— Dałaś mu jakieś pieniądze? — Staralam się nie okazywać żadnych emocji.

— Popełniłam straszliwy błąd.

Znowu zebrało się jej na płacz.

— Mamó, uspokój się. Jakoś to załatwimy. Ale muszę zapytać, ile mu dałaś?

— Z ubezpieczenia... ubezpieczenia twojego ojca... — głos jej drżał.

Ciarki zmieniły się w gęsią skórę, która pokryła całe moje ciało.

— Pieniądze z polisy ubezpieczeniowej taty? — zapytałam, a ona przytaknęła skinieniem głowy. — Dałaś mu wszystko?

— Och, kochanie, tego nigdy bym nie zrobiła.

— W takim razie ile?

Zdumiewało mnie, że potrafiłam zachować tak neutralny ton.

— Z początku chciał dziesięć tysięcy dolarów, ale powiedziałam mu, że nie znajdę żadnych innych inwestorów. Powiedziałam: „Nie znam się na finansach i nie będę udawała, że jest inaczej”. On powiedział, że jeżeli złożę podwójną sumę, zrobi dla mnie wyjątek, ponieważ większość musi znaleźć inwestorów.

— I dałaś mu dwa razy więcej pieniędzy?

Łzy znowu napłynęły jej do oczu.

— Alice, tak bardzo mi wstyd — powiedziała. — Naprawdę nie wiem, co mi strzeliło do głowy — po prostu...

— Mamó, proszę, przestań się denerwować. Chciałabym wiedzieć, co tak naprawdę kupiłaś. Czy to były akcje czy nieruchomości, może jakiś produkt?

— To był fundusz inwestycyjny.

— Nie była to przypadkiem piramida inwestycyjna? — zapytałam powoli.

— Och, oczywiście, że nie. — Po raz pierwszy od kilku minut głos mamy zabrzmiał zdecydowanie. — Nie, nie. To był fundusz inwestycyjny i pieniądze się zwróca, kiedy dołączą inni członkowie.

— Może więc rzeczywiście zarobisz na tym...

Pokręciła przecząco głową.

— Nie mógł znaleźć nikogo innego, ale musiał ponieść koszty administracyjne.

— Kim jest ten człowiek? To mi brzmi nad wyraz podejrzanie.

— Wiem, kochanie. Naprawdę żałuję, że zainwestowałam podwójnie, ale gdybym zachęciła do tego kogoś z moich przyjaciół, czułabym się teraz znacznie gorzej.

— Czy to znaczy, że poza tym, co zostało z polisy ubezpieczeniowej na życie taty, masz jeszcze jakieś inne oszczędności?

— Wielkie nieba, Alice, nie wylądujemy z babcią na ulicy, jeżeli o to się martwisz. W najgorszej sytuacji możemy wziąć pożyczkę pod zastaw domu. Wiesz, że bank tatusia dałby nam bardzo korzystny procent, chociaż wolałabym zaoszczędzić sobie takiego wstydu i nawet już się zastanawiałam, czy nie pójść gdzie indziej. Och, ojciec byłby przerażony tym, co zrobiłam.

Pożyczka na dom? Wciąż nie wiedziałam, ile oszczędności jej zostało, nie miałam też pojęcia, ile wydają miesięcznie na życie, bałam się jednak, że mama załamałaby się, gdybym zmusiła ją do podania konkretnych liczb.

— Nie możesz się zadręczać — powiedziałam. — Chciałaś zabezpieczyć babcię i siebie, i właśnie tego życzyłyby sobie tato.

— Był takim odpowiedzialnym człowiekiem. Czy wiesz, że co miesiąc dostaję połowę jego poborów, a kiedy skończę sześćdziesiąt dwa lata, dostanę też zasiłek socjalny? To będzie w 1987 roku, ale tak długo muszę na to czekać, że niezbyt mnie to pociesza. Nie wolno ci o niczym mówić babci — rzekła mama. — W jej wieku musimy jej oszczędzać zmartwień.

— Dobrze, ale wydaje mi się, że ten facet od inwestycji powinien trafić do więzienia. Wiem, że jesteś skrupowana, ale powinnaś na niego donieść.

W tej chwili na twarzy mamy odmalował się wyraz fałszywej niewinności, którego nigdy wcześniej u niej nie widziałam.

— To nie jest... — zawahałam się. — To nie jest nikt, kogo znamy?

— Kochanie, to naprawdę nie ma znaczenia.

— Mamo, musisz mi powiedzieć, kto to jest.

— Riley to takie małe miasto, sama wiesz, jak ludzie gadają — powiedziała, a ja przypomniałam sobie, że podobną rzecz powiedziałam Charliemu Blackwellowi o Madison. Jednak bardziej, znacznie bardziej odnosiło się to do Riley. — Jak sprzedamy broszkę, będziemy wiedzieć, na czym stoimy — ciągnęła moja matka. — Jest wiktoriańska, co znaczy, że cenna. Dzięki niej możemy odrobić przynajmniej część strat i udawać, że nic się nigdy nie stało.

— Mamo, u kogo zainwestowałaś pieniądze?

Wydawało się, że w ogóle nie jest zła, czego niestety nie mogłam powiedzieć o sobie, wyglądała tylko na smutną i zmęczoną.

— Nie chcę robić nikomu kłopotu, rozumiesz? Nie wolno ci nikomu powiedzieć ani słowa. Jestem pewna, że on nie chciał źle, po prostu zabrakło mu doświadczenia i zwyczajnie go to przerosło. — Szukała chyba kolejnych argumentów, ale w końcu rzekła po prostu: — To był Pete Imhof.

Po niespokojnej nocy spędzonej w łóżku mojego dzieciństwa zjadłam jajka na bekonie, przygotowane przez mamę na śniadanie, podczas którego żadna z nas nie napomknęła o rozmowie z wczorajszego wieczoru; babcia wciąż jeszcze spała u siebie na górze. Po śniadaniu przeczytałam „The Riley Citizen”, a jak tylko mama wyszła z kuchni, zerwałam się i otworzyłam szufladę, w której trzymała notes z telefonami. Był w nim, razem z numerem telefonu i adresem przy Parade Street. Kilka minut później wyruszyłam na piechotę; mamie powiedziałam, że wjeżdżając do Riley poprzedniego dnia, w jednym z wystawowych okien zobaczyłam bluzkę, która mi się spodobała.

Zważywszy na to, że był poniedziałek, moja wyprawa przed piątą po południu, gdy on najprawdopodobniej przebywał jeszcze w pracy, nie miała większego sensu, ale byłam tak zdenerwowana, że nie chciałam przebywać w pobliżu mamy czy babci. Pomyślałam, że najpierw przejdę się spacerkiem, zorientuję dokładnie, gdzie on mieszka, a potem wrócę, by go złapać, zanim wyjadę z miasta. Gdyby nie udało mi się z nim porozmawiać, musiałabym spędzić tu jeszcze jedną noc, na co nie miałam ochoty, między innymi dlatego, że wciąż się zastanawiałam, czy Charlie Blackwell zadzwoni, a gdyby to zrobił, chciałam być wtedy w Madison. (Zaloty, zanim nastąpiła era automatycznych sekretarek, poczty głosowej i elektronicznej — jakież dziwne wydaje się to dzisiaj).

Kiedy nachodziły mnie myśli o Charliem, co działo się często w czasie minionych dwudziestu czterech godzin, czułam się jak porcja masła roz-

puszczającego się na rozgrzanej patelni. Nasz pierwszy pocałunek trwał dobre kilka minut, potem najpierw siedzieliśmy na kanapie, potem leżeliśmy, ja na plecach, z głową na oparciu, on na mnie. Rozmawialiśmy, rozmawialiśmy, całowaliśmy się i całowali, jego usta ciepłe, wilgotne, znajome i nowe, a czasem patrzyliśmy tylko na siebie, nasze twarze idiotycznie blisko siebie, i uśmiechaliśmy się. Oboje byliśmy wystarczająco dorośli, by wiedzieć, że na długo takie zachowanie nam nie wystarczy, ale chyba dlatego tym bardziej byliśmy zachwyceni, właśnie tą świadomością, że może trwać tylko kilka godzin. Leżąc pod nim, czułam się niewyobrażalnie szczęśliwa.

— Myślę, że powinienem sobie pójść w ciągu najbliższych pięciu minut — powiedział, gdy minęła północ. — Zanim porzucę dobre maniery i spróbuję cię uwieść.

Chociaż oboje przez cały ten czas mieliśmy na sobie ubrania, mnie w którymś momencie rozpiął się stanik, a on, kiedy mówił, dostał erekcji. Oczywiście, mogliśmy się przespać, ludzie już tak się zachowywali, był w końcu rok 1977. Wkładka domaciczna (nie ta, którą dostałam od Gladys Wycomb, lecz nowsza wersja) leżała w szafce pod umywalką w łazience, nieużywana od czasu Simona. Ale pierwszy raz mnie kusilo, by uprawiać seks z mężczyzną tej samej nocy, kiedy go poznałam, ale wiedziałam, że robiąc to, pominęłabym normalne etapy wzajemnego poznawania się.

— Może więc pocałuj mnie porządnie na dobranoc — powiedziałam niezbyt ochoczo. — Potem zapytaj, czy mam czas w tym tygodniu.

— Chwileczkę. — Udał, że jest wstrząśnięty. — Chcesz powiedzieć, że uda ci się jakoś wcisnąć randkę ze mną między przygotowania do zajęć bibliotecznych?

— To nie było zbyt miłe. — Obróciłam głowę w bok, zerkając na niego spod rzes. — Chciałam się zgodzić, kiedy zapraszałeś mnie wcześniej, ale pomyślałam, że nie powinnam ze względu na Denę.

— Miło mi, że w ogóle się zastanawiałaś.

Kiedy znowu obróciłam głowę, uśmiechnął się, a to niemal wystarczyło, bym zapomniała o wściekłości Deny.

Jednak przed wyjściem nie zapytał mnie znowu, i ledwo sobie poszedł, już tego żałowałam. Chyba nie do końca sobie uświadamiałam, że Charlie Blackwell mi się podobał. Było z nim podobnie jak z domem przy McKinley, zanim jeszcze dotarło do mnie, że chcę mieć ten dom, zaczęłam w myślach go meblować. Tyle że teraz zastanawiałam się, czy w ogóle powinnam kupować jakikolwiek dom, kiedy sytuacja finansowa mojej matki stała się tak niepewna. Czy nie powinnam

zachować oszczędności na wypadek, gdyby problem okazał się większy, niż sądziłam?

A co z Deną? Kiedy podążałam na wschód Commerce Street, coraz bardziej oddalając się od Riley River, i kiedy nie było przy mnie Charliego, którego obecność mnie rozpraszała, moja zdrada wobec przyjaciółki rysowała się jaskrawiej. Musiałam z nią porozmawiać. Ale najpierw powinnam się zastanowić, co jej powiem, a dopiero potem z nią pomówić. Nie, najpierw musiałam zdecydować, co się dzieje między Charliem i mną, czy to był tylko flirt, czy też będziemy się spotykać, i wówczas się zastanowić, co powiedzieć Denie, a p o t e m z nią porozmawiać.

Idąc ulicą Commerce, minęłam sklep mięsny braci Jurec, tawernę Gra— dye-go i piekarnię Stromonda, gdzie dzieci, które nie miały jeszcze dwunastu lat, dostawały cukierka w kształcie psiej kości. W miejscu dawniej zajęтым przez sklep tekstylny teraz mieściła się chińska restauracja — chińska restauracja w Riley! Słyszałam też, że Ruth Hofstetter, przystojna sprzedawczyni ze sklepu z materiałami, której staropanieństwo przed trzydziestką niepokoiło i zasmucało moją mamę i mnie, później została właścicielką sklepu, ale potem i tak go sprzedała, bo wyszła za męża za owdowiałego farmera z Hough— ton. Ruth zapewne była już po czterdziestce. Teraz dzieląca nas różnica wieku wydała mi się znacznie mniejsza niż w czasie, kiedy ja chodziłam do liceum, a ona miała dwadzieścia siedem czy dwadzieścia osiem lat. Niedawno przyszło mi do głowy, że mogłabym wyjść za czterdziesto— , czy nawet pięćdziesię— cioletką, jak Ruth, zwłaszcza jeśli nie znajdę męża w miarę szybko. Nie tyle wzbudzało to mój sprzeciw, ile wydawało się trudne do pojęcia. Jak można, zwłaszcza po raz pierwszy, wyjść za starego człowieka? Jak można wciąż nosić w sobie tę dziewczynę z czasów młodości, marzenia o satynowej sukni i białych liliach, wiążąc się z mężczyzną o mięsistych dłoniach, ze starczymi plamami, przerzedzonymi siwymi włosami? Dick Cimino miał czterdzieści osiem lat, kiedy pobierali się z Deną, ale w jej przypadku o to właśnie chodziło, o podtatusiawego lowelasa obdarowującego ją prezentami i zaszczycającego atencją.

Odpowiedzią na pytanie, jak Ruth to się udało, był zapewne jej wiek — wtedy także była starsza. Jeżeli kobieta wychodzi za starszego mężczyznę, ona także jest starsza i wygląda starzej. Nie różni się zbytnio od niego. Ale może być też odwrotnie — on jest młody duchem, a jego obwisłe ciało i zmarszczki stanowią tylko rodzaj przebrania.

Tam gdzie Commerce przecina Colway Avenue, otoczenie trochę się zmienia. Może nie staje się obskurne, bo w Riley nie ma obskurnych okolic, ale pojawia się nieco więcej domów z obłazącą farbą i rozklekotanymi meblami wystawionymi na werandę. Słońce zaszłoza chmurę, ale wciąż panował upał.

Skręciłam w Paradę Street. Sprawdziałam numery. Okazało się, że mieszkał w dwupiętrowym budynku wyłożonym szarym winylowym sidingiem. Od początku pełnił funkcję kamienicy, nigdy zwykłego domu. Serce waliło mi jak młotem, kiedy podeszłam do drzwi frontowych, które się okazały nie— zamknięte. Znalazłam się w korytarzu o szarych ścianach i podłodze wyłożonej niebieskim linoleum, ze schodami pokrytymi przezroczystym plastikowym chodnikiem. Śmierdziało tam zatęchłym papierosowym dymem. Drzwi do jego mieszkania znajdowały się po lewej stronie na pierwszym piętrze. Zanim nacisnęłam dzwonek, pomyślałam, że na pewno będzie w domu, bo w tak paskudnym miejscu może mieszkać tylko ktoś bez pracy, ale natychmiast skarciłam się za tę snobistyczną uwagę, na dodatek prawdopodobnie błędną... i wtedy otworzył drzwi.

Wydawał się zaskoczony, ale też lekko ubawiony moim widokiem.

— Alice Lindgren — powiedział. — Dużo wody upłynęło.

Byłam co prawda zdenerwowana, ale przede wszystkim zła, i to gniew stał się moim motorem napędowym.

— Jak mogłeś? — wybuchłam.

Uśmiechnął się, co tylko bardziej mnie rozwścieczyło. Miał na sobie biały podkoszulek bez rękawów, obcięte džinsy i klapki, zapuścił ciemną, gęstą brodę i przytył co najmniej dwadzieścia kilogramów od czasu, kiedy widziałam go po raz ostatni. (Raz, kiedy przyjechałam do domu z college'u, poszłam z Betty Bridges na mlecznego shake'a do Tattys i zauważyłam go w drugim końcu restauracji, siedzącego przy kontuarze tyłem do nas. Nie drgnęłam i nie wypowiedziałam słowa, dopóki pół godziny później nie wyszedł. Poza tym jednym razem, nie widziałam go przez prawie czternaście lat).

Podszedł do kanapy, na której chyba siedział wcześniej — stojący obok mnie telewizor był włączony na kanale nadającym program *Czy cena jest właściwa?* (Pete Imhof ogląda *Czy cena jest właściwa?*), a na stoliku do kawy leżała niedokończona krzyżówka w „The Riley Citizen” i długopis bez zakrętki, obok popielniczka z wciąż jeszcze dymiącym świeżo zgaszonym papierosem.

— Interesy sięgają coraz dalej na południe — powiedział, ale dopiero po tym jak zapalił świeżego papierosa, zaciągnął się i wydmuchał dym przez nos.

— Pete, to było jawne oszustwo!

— Od kiedy to stałaś się ekspertem od zarządzania kapitałem?

Był szczerze urażony i po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że to nie było celowe. Poszedł do mojej matki, ponieważ zapewne usłyszał o śmierci mojego ojca, domyślił się, że dostała odszkodowanie, a on szukał źródeł finansowania.

Może naprawdę myślał, że jego plan przyniesie zyski. Może nie zrobił tego tylko po to, żeby mi dopiec.

— Cokolwiek by to było — powiedziałam. — Nie powinieneś wciągać bezbronnych ludzi w ryzykowne przedsięwzięcia. Moja matka potrzebuje pieniędzy na życie i na utrzymanie osiemdziesięciodwuletniej babci.

— Alice, ja też straciłem. Trzydzieści pięć tysięcy, prawdę mówiąc dużo więcej niż ktokolwiek inny.

— Musisz zwrócić pieniądze mojej mamie. — Staralam się mówić zdecydowanie i przekonująco.

Prychnął.

— Z pustego i Salomon nie naleje.

— W takim razie znajdź inny sposób, żeby to naprawić.

— Jeżeli usłyszę kiedyś o jakiejś okazji, która mogłaby ją zainteresować. ..

— Nawet nie myśl, żeby jeszcze kiedyś się z nią kontaktować.

— Najwyraźniej masz problemy z podjęciem decyzji — stwierdził.

Popatrzyłam na niego z wściekłością.

— Może spróbuj się rozluźnić — zaproponował i wyciągnął w moją stronę paczkę papierosów, cameli. Potrząsnęłam głową. — Gdybyś wolała piwo, mam mnóstwo — dodał. — Co prawda jest jeszcze wcześniej, ale ja nikogo nie osądzam.

Skrzyżowałam ramiona na piersiach.

— Hej, widzę że nie masz obrączki — zauważył. — Nie wyszłaś za mąż?

Wpatrywałam się w niego, a złość szalała we mnie z siłą huraganu. Przypomniało mi się, jak kiedyś w swoim domu nazwał mnie dziwką; było to niezatarte wspomnienie, które jednak starałam się upchnąć w najciemniejszym zakamku pamięci.

— Moglibyśmy się rozluźnić. — Uśmiechał się złośliwie. — Zabawić wspólnie.

— Jesteś odrażający.

— Dawniej tak nie myślałaś. — Uśmiechnął się, a kiedy nie odwzajemniłam się tym samym, spoważniał. — Zapomnij o pieniądzach, Alice. Twoja matka jest

doroślą kobietą, była żoną bankiera, na miłość boską! To był obiecujący układ, ale zgłosiło się za mało ludzi i trzeba było ograniczyć straty.

— To mi nie wystarcza — powiedziałam.

Patrzyliśmy na siebie wrogo. Potrząsnął głową.

— Masz tupet, to trzeba przyznać. Zarzucasz mi, że zabawiłem się kosztem twojej rodziny? Kto jak kto, ale ty powinnaś najlepiej wiedzieć, że zdarza się popełnić błąd.

Zagrał swoją kartą atutową. Ale czy w pewnym sensie sama się o to nie prosiłam? W tej sytuacji wszystkiemu byłam w zasadzie winna ja, nie on. Miejsce mojego gniewu zajęło poczucie winy. A czy kobiecie poczucie winy nie przystoi bardziej, nie jest dla niej znacznie wygodniejsze? Tak, bez względu na to co Pete Imhof zrobił bądź powiedział, nieważne, jak był okrutny, jak bardzo manipulował, mój uczynek i tak zawsze będzie gorszy. Świadomość tego powstrzymała mnie od przewrócenia jego stolika, ciśnięcia popielniczką czy podrapania mu twarzy.

— Nigdy nie zbliżaj się do żadnej z nas — powiedziałam tylko, opuszczając jego mieszkanie.

Dopiero po minięciu kilku przecznic zaczęłam płakać. Ze strachu, że zobaczy mnie ktoś, kogo znam, ukryłam się w wąskim przejściu między dwoma domami; zapewne weszłam na cudzy teren. Stałam tam, oparta o ścianę pokrytą białym aluminiowym sidingiem, z drżącymi ramionami, szczęśliwa, że nad głową huczy mi wentylator klimatyzacji. Płakałam nawet nie dlatego, że według mnie nie zasługiwałam na karę; oczywiście, że zasługiwałam. Minęło prawie czternaście lat od tamtego wieczoru, kiedy wjechałam swoim samochodem w auto Andrew Imhofa — za kilka tygodni powróci koszmar, jaki nawiedzał mnie co roku pod koniec sierpnia z taką samą regularnością, z jaką rozkwitał dereń czy pojawiały się świetliki — a Andrew i tak będzie martwy, mnie zaś wciąż porażać będzie ogrom popełnionego przeze mnie błędu. Andrew już zawsze będzie martwy, a ja zawsze zrozpaczona. To się nigdy nie skończy.

A problemy, które pojawiły się w moim życiu w ciągu minionych czterdziestu ośmiu godzin: utrata pieniędzy przez matkę, moje nieoczekiwane zainteresowanie mężczyzną, na którym zależało Denie... Jakie miałam prawo, żeby się na nie skarżyć? W sumie i tak spotykało mnie znacznie więcej szczęścia niż pecha. Ale nie potrafiłam się nie zastanawiać, czy mogłam postąpić inaczej, czy mogłam zapobiec podobnemu rozwojowi wypadków. Usilnie starałam się być odpowiedzialna i uważająca; zawsze mnie obchodziło, co myśleli bądź czuli inni.

Przestań, powiedziałam sobie. Przestań się nad sobą uzalać. Wszystko jest w porządku. Łzy przestawały płynąć — słowo daję, w miarę jak przybywało mi lat, coraz rzadziej i krócej zdarzało mi się płakać. Bądź praktyczna. Myśl o tym, co możesz zrobić, rozwiąż każdy problem z osobna, nie wszystkie naraz. Nie popełniłaś żadnej nowej zbrodni wobec Andrew; w kółko chodzi o jedno i to samo. Nie możesz niczego cofnąć, musisz żyć dalej, próbować nie przysparzać więcej cierpienia. Natychmiast pojęłam, że nie mogę kupić domu przy McKinley i że nie mogę ponownie się spotkać z Charliem, nawet jeżeli zadzwoni. Tak postanowiłam — to nie było trudne.

Przełknęłam, otarłam oczy chusteczką wyjętą z torebki i wyszłam spomiędzy domów. Już dawno temu stałam się swoją własną powiernicą.

Nie zaplanowałam tego wcześniej — mgliście wydawało mi się, że pójdę do sklepu zajmującego się sprzedażą antycznej biżuterii — ale zmierzając w stronę Madison drogą 94, kiedy minęłam już trzeci billboard reklamujący ten sam lombard, zatrzymałam się. Zdumiałam się, widząc, że właścicielką jest kobieta. Już samo to, że kobieta stała za ladą, było zadziwiające. Wszędzie, na półkach i w przejściach, stały telewizory, wieże stereo, motocykle i skórzane kurtki, a w gablotce za szkłem widniał wielki Budda z jadeitu.

Mama dała mi samą broszkę, nie zawinęła jej nawet w papier, i kiedy podawałam ozdobę kobiecie, natychmiast pożałowałam, że nie włożyłam jej najpierw do jednego z trzech czy czterech małych aksamitnych pudełeczek na biżuterię, które miałam (zawsze wydawały mi się zbyt ładne, żeby tak po prostu je wyrzucić). W takim pudełeczku broszka prezentowałaby się o wiele bardziej elegancko.

— Chciałabym to sprzedać — powiedziałam.

Uznałam, że najlepiej będzie mówić możliwie jak najmniej, bałam się bowiem zdradzić z niezajomością lombardowego slangu. Jako jedyny klient w sklepie przynajmniej nie miałam widowni.

Kobieta była mniej więcej w wieku mojej mamy, jej dłonie zdobiło kilka bransoletek i pierścionków (długie paznokcie pomalowała na ciemnoczer— wono), a szyję wielki srebrny krzyżyk na srebrnym łańcuszku. Włosy miała miedziane, krótkie, ale puszyste, a głos głęboki i życzliwy.

— Straszliwy upał, no nie? — powiedziała, przyglądając się broszce.

— Wisconsin w lipcu — odparłam przyjaźnie.

Błagam, pomyślałam. Błagam, błagam, błagam.

Oglądała broszkę przez szkło powiększające.

— Wieczorem idę z wnuczką popływać. Założę się, że na plaży są tłumy. Dam pani pięćdziesiąt dolarów.

Zamrugałam. Spojrzała na mnie, a ja starałam się zapanować nad mimiką.

— Naprawdę, nie uważa pani... — przerwałam na moment. — Jestem pewna, że to wiktoriańska broszka.

Jak tak stałam obok telewizora, nawet sama dla siebie byłam żałosna.

— Pięćdziesiąt dolarów — powtórzyła kobieta odrobinę mniej życzliwie. Na pewno słyszała niezliczone historie o finansowych niedolach; w tym zawodzie musiała być twarda.

Zabrałam broszkę.

— Muszę się nad tym zastanowić.

— Oferta jest ważna do ósmej wieczorem. Jak pani przyjdzie z nią później, trzeba będzie wycenić na nowo.

— Dziękuję za pomoc. Miłego pływania — dodałam, zanim wyszłam ze sklepu, bo nie chciałam wyglądać na zrozpaczoną czy urażoną, ponieważ nie chciałam być zrozpaczona czy urażona.

Zadzwoiłam do Nadine z kuchni.

— Jak leci? — zapytała, kiedy się przedstawiłam.

— Czuję się naprawdę podle, że muszę to zrobić — zaczęłam. — Bardzo cię przepraszam, zwłaszcza że tak się napracowałam, żeby pomóc mi w znalezieniu odpowiedniego domu, ale czy możemy rozwiązać umowę? Możemy, prawda? To zgodne z prawem? A sprzedający zatrzymuje zaliczkę?

Wydałam na to pięćset dolarów — niemało, ale zdecydowanie mniej, niż wynosiłaby kaucja i miesięczna rata hipoteczna.

— Nabierasz mnie? — zapytała Nadine.

W tej chwili najbardziej cierpiałam nie z powodu utraty domu, ale dlatego, że popełniłam gafę, nie dotrzymując obietnicy złożonej osobie, która była dla mnie dobra. Jednak równie mocno się bałam, że nie będę mogła się wycofać, że na to już za późno.

— Alice, każdy ma wątpliwości. — W głosie Nadine znać było optymizm.

— Proszę cię, posłuchaj mnie. Zrób listę tego, co cię martwi, później przejrzymy ją razem i zobaczymy, czy dalej czujesz tak samo. Kupno domu to poważny krok, ale wiem, że będziesz szczęśliwa jak dziecko.

— Nie mogę kupić domu — powiedziałam. — Coś się stało.

— Martwisz się kontrolą budowlaną? — zapytała Nadine.

— Nie chodzi o ten dom. W ogóle nie mogę kupić domu, żadnego.

Przez długą, straszliwą chwilę Nadine milczała.

— Wiesz co, nieraz zdarzają się rąbnięci klienci — powiedziała w końcu.

— Ale nigdy nie sądziłam, że ty też się do nich zaliczasz.

— Jestem ci naprawdę szczerze wdzięczna za pomoc — rzekłam. Nie brałam pod uwagę, że mogłabym podać jej powód, dla którego zmieniłam zdanie, byłoby to pogwałcenie prywatności matki, ale postanowiłam, że za parę dni napiszę do Nadine liścik. W ten sposób przynajmniej po części naprawię całą sytuację. — Chciałabym wiedzieć, czy poza zaliczką muszę też ponieść jakieś kary umowne? I czy tobie należy się jakaś zapłata?

— Nie. — Powiedziała to lodowatym tonem, jakiego nigdy u niej nie słyszałam. — Nie musisz ponosić żadnych kosztów. W końcu dałaś tylko swoje słowo. '

Byłam u siebie i pracowałam nad postacią Babara — miał zielone ubranie i czerwoną muszkę z papier mache, i taką samą żółtą koronę — byłam zachwycona końcowym efektem, wystąpił tylko jeden, wcale nie drobny problem, a mianowicie pod wpływem ciężaru trąby głowa opadała mu do przodu, jakby zasypiał. Wpadłam na pomysł, żeby zawiesić mu na szyi przeciwwagę, na próbę była to puszka rosółu z makaronem, wyjęta z kredensu — chciałam ją schować z tyłu. Niestety jednak sznurek wciąż był widoczny i wyglądał jak malutkie lasso. Pomyślałam, że może byłoby lepiej przyczepić mu z tyłu głowy haczyk (posadziłabym Babara pod ścianą, żeby dzieci niczego nie zauważyły), drugi przybić do ściany i oba połączyć. Kiedy się nad tym zastanawiałam, zaczęłam jednocześnie myśleć o Charliem Blackwellu i o tym, że dotąd nie zadzwonił. Jeżeli nie zadzwoni w ogóle, poczuję się urażona — oznaczałoby to, że tak naprawdę nie był mną zainteresowany, liczył tylko na wspólną noc — z drugiej jednak strony wiele by to uprościło. Nie musiałabym mu tłumaczyć, dlaczego więcej się nie zobaczymy. Tak czy owak postanowiłam nie wspominać o nim Denie. Wyznając jej wszystko, przysłużyłabym się przede wszystkim sobie, chodziłoby mi bardziej o moje rozgrzeszenie, niż jej uświadomienie. Gdy tak myślałam o Babarze, Char-

liem i Denie, nagle zadzwonił telefon i serce mi podskoczyło (Charlie?), kiedy jednak odebrałam, w słuchawce rozległ się głos Deny.

— Jeśli przyjdiesz dzisiaj wieczorem, zrobię *ratatouille*. Mam bakłazana, który niedługo rzuci się na mnie.

— Co mam przynieść? — zapytałam.

— Butelka wina jest zawsze mile widziana. Cholera, mam klienta. Zadzwonię za chwilę.

Kilka minut później telefon znowu zadzwonił.

— Czerwone lepiej pasuje do *ratatouille*? — spytałam.

Nastąpiła chwila ciszy, po której odezwał się Charlie.

— Alice?

Zalała mnie jednocześnie fala radości i zdenerwowania,

— Przepraszam — spodziewałam się kogoś innego.

— Mam zadzwonić kiedy indziej?

— Nie, nie — przerwałam. — Mogę rozmawiać, jeżeli ty możesz.

— Cóż, w końcu to ja zadzwoniłem. — Był rozbawiony.

Nastąpiła chwila ciszy, po której odezwaliśmy się jednocześnie.

— Co słychać? — zapytał Charlie.

— Robię Bab...

Umilkliśmy też jednocześnie, dając szansę drugiej stronie, by odpowiedziała pierwsza.

— Tak, no więc myślałem o naszych planach na dzisiaj — powiedział w końcu Charlie.

Mieliśmy jakieś plany na dzisiaj? Rzeczywiście, był wtorek, pierwsza propozycja Charliego, ale czy nie odrzuciłam tego zaproszenia, a on, czy nie zapomniał zaproponować innego terminu?

— Myślałem o Gilded Rose — mówił dalej. — Mam wygłosić przemówienie w Waupun, więc jeśli ci to nie przeszkadza, musielibyśmy spotkać się nieco później. Ósma trzydzieści ci odpowiada?

Gilded Rose była najbardziej elegancką restauracją w Madison, właściwie jedyną elegancką restauracją, w której nigdy nie byłam. Moja przyjaciółka Rita, którą zaprosił do niej kiedyś siostrzeniec z żoną, mówiła mi, że mają tam koktajl z krewetek za pięć dolarów.

— Charlie, nie mogę się z tobą umówić — powiedziałam.

— Już to chyba przerabialiśmy?

— Myślałam o tym i rzecz nie w tym, że mi się nie podobasz albo że ja...

— przerwałam, ale nie miałam powodu nie być z nim szczerą, zwłaszcza jeżeli w ten sposób nie poczuje się zraniony — ... albo że ja się nie podobam tobie. Ale Dena jest moją najlepszą przyjaciółką i postąpiłabym nie fair wobec niej.

— To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałem.

Spodziewałam się, że się ze mną zgodzi, albo przynajmniej powie, że nie warto się o to spierać. Ukazywałam mu się jako neurotyczka, po cóż więc miałby zabiegać o kogoś, kto tak szybko zdradza swoje neurozy? Ale nie poczułam się obrażona, kiedy zlekceważył moje wątpliwości. Wręcz przeciwnie, uszczęśliwił mnie tym, dał nadzieję, że być może to on ma rację. Ta nadzieja była kompletnym przeciwieństwem mojego przekonania, że jej nie ma.

— Poznałem twoją przyjaciółkę dziesięć minut wcześniej, niż poznałem ciebie — powiedział. — Jeżeli ona uważa, że może sobie rościć do mnie jakieś prawa, jest nienormalna, a jeżeli ty jej wierzysz, jesteś o wiele bardziej nienormalna od niej.

— Charlie, kwestionowanie normalności kobiety nie jest najlepszym sposobem na zdobycie jej względów — rzekłam.

Roześmiał się, speszony.

— Ale założę się, że nasze ścieżki jeszcze nieraz się skrzyżują — mówiłam dalej. — Czy nie byłoby wobec tego dobrze, gdybyśmy rozstali się jak przyjaciele?

— Wiesz, kiedy ostatni raz zaprosiłem dziewczynę do Gilded Rose?

— W dalszym ciągu nie był zły; był za to zdecydowany. — Nigdy. Jestem draniem, ale naprawdę staram się ciebie przekonać.

— To mi pochlebia, Charlie, ale...

— OK, to może zrobmy tak — przerwał mi. — Dajmy sobie spokój z kolacją. Przyjdź na moje przemówienie. To nie będzie randka, tylko spotkanie obywatelskie.

— Twoje dzisiejsze przemówienie?

— To jedna z tych imprez w klubie Lions. Wspominałaś, zdaje się, że uwielbiasz słuchać ludzi, którzy nie mają nic do powiedzenia?

— Przemawiasz tam, bo ubiegasz się o miejsce w Kongresie?

— Kto mówi, że się ubiegam? W ten sposób rodzi się plotka, kochanie.

— Był pełen życia i zadowolenia. Kiedy z nim rozmawiałam, świat nie wydawał się taki skomplikowany. — Obiecuję, że to nie będzie randka — powiedział.

— Sala będzie po brzegi wypełniona farmerami dobrze po siedemdziesiątce, świetnie nadającymi się na przyzwoitki.

— Czy kobietom wolno brać udział w tego rodzaju imprezach?

— Żarty sobie stroisz? Lwy uwielbiają swoje lwice. Muszę tam być wcześniej i porozmawiać z kilkoma facetami, więc byłoby niezłe, jeśli moglibyśmy się spotkać już na miejscu. Klub jest przy Oak Street 2726, tuż przy głównej ulicy w Waupun. Przemówienie zaczyna się o siódmej. — Usłyszałam, że się uśmiecha. — Zatycki do uszu dozwolone.

Po południu poszłam do sklepu w pobliżu ratusza, który sprzedawał nie tylko starą biżuterię, ale także antyki. Czuję się w nim swobodniej niż w lombardzie, ale mężczyzna za ladą — około sześćdziesiątki, był chudy i miał cienki wąsik, a jego przesadna modulacja głosu utwierdziła mnie w przekonaniu, że jest homoseksualistą — zaproponował mi siedemdziesiąt pięć dolarów za maminią broszkę.

— Ale jest prawdziwa, prawda? — zapytałam.

Tutaj jakoś mniej wstydziłam się swojej nieznajomości handlu biżuterią.

— To czternaście karatów — powiedział. — Zawiera więcej metalu niż złota. Sądzę, że jest wiktoriańska.

W lombardzie moja nierealna nadzieja, przeczucie, że broszka prawdopodobnie nie rozwiąże problemów finansowych matki, połączone z brakiem pewności, że tak będzie w istocie, czyniły mnie bezbronną, podatną na rozczarowanie. Tym razem miałam mniejsze oczekiwania. Nawet nie próbowałam dyskutować z tym człowiekiem.

Kiedy skończyłam rozmawiać z Charliem, zadzwoniłam do Deny z pytaniem, czy możemy przelożyć *ratatouille* na następny wieczór — udawałam, że zapomniałam o umówionym wcześniej spotkaniu z Ritą Alwin.

— Okay — powiedziała Dena. — Ale ostrzegam cię, że swoje najlepsze dni mój bakłażan ma dawno za sobą.

Próbowałam usprawiedliwić swoje kłamstwo tym, że podczas naszej pierwszej rozmowy Dena nawet nie dała mi szansy potwierdzić, że mogę się z nią zobaczyć. Było to jednak kiepskie wytłumaczenie i czułam się źle, kiedy brałam prysznic, a potem nakładałam szminkę i tusz do rzęs. Humor poprawił mi się w samochodzie — w radiu puszczała Jimmiego Buffetta. To doskonała pora na jazdę, kiedy wieczorne słońce unosi się nad polami jak przysłonięty mgiełką złoty medalion.

Klub Lions w Waupun mieścił się w budynku z cegły, dzielącym parking z firmą roszczeniową. Kiedy weszłam do środka tuż przed siódmą, jakieś czterdzieści osób siedziało na sześćdziesięciu krzesłach, z czego większość zajmowała rzędy bardziej z tyłu. (Szybko się nauczyłam, że sukces spotkania można oceniać w zależności od punktu odniesienia. Lepiej mieć dwudziestu pięciu uczestników i dwadzieścia krzeseł, niż stu pięćdziesięciu i sześćset krzeseł. Choć dzisiaj, muszę to przyznać, myśl o publiczności składającej się z dwudziestu pięciu czy nawet stu pięćdziesięciu osób przyprawia mnie o nostalgię). Usiadłam w połowie sali, na krześle przy przejściu, i kiedy Charlie mnie zauważył — stał przed podium w marynarce w biało—niebieskie prążki, spodniach khaki, białej koszuli z szerokim kołnierzykiem i szerokim krawacie w czerwono—brązowe pasy — skinął, bym usiadła bliżej. Możliwie jak najdyskretniej pokręciłam odmownie głową. Przekrzywił głowę — „Dlaczego nie?” — a mnie nagle oświeciła myśl, jak mało znamy się nawzajem. Jeżeli myślał, że należę do osób, które chętnie zasiadają w pierwszych rzędach albo, Boże uchojaj, które lubią, by mówca zwracał się do nich bądź wyróżniał je w jakikolwiek sposób, nie wiedział o mnie absolutnie nic.

Wprowadził go dżentelmen, który przedstawił się jako przewodniczący klubu. Słuchając życiorysu Charliego, również przypominałam sobie, jak słabo go znam; gdy lista jego dyplomów i zasług osiągnęła punkt kulminacyjny, dotarło do mnie, że przecież nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie pracuje lub czy może ubieganie się o mandat w Kongresie jest pracą samą w sobie. Dowiedziałam się, że skończył Princeton University w 1968 roku, a między 1968 a 1973 pracował w przemyśle hotelarskim na zachodzie. Potem poszedł do Wharton School na Uniwersytecie Pensylwanii, którą ukończył w 1975 roku (szkoła biznesu? pomyślałam). Przez ostatnie dwa lata był zastępcą dyrektora w zakładach Blackwell Meats, gdzie nadzorował produkcję i sprzedaż (a więc jednak pracował) i w chwili obecnej mieszka w Houghton. Chwileczkę, chwileczkę — Houghton?

Charlie stanął przy mównicy i poprawił mikrofon.

— My, mieszkańcy Szóstego Okręgu w Wisconsin, stanowimy mocną grupę obywateli — powiedział. — Jesteśmy ludźmi samowystarczalnymi, solą tej ziemi, dumnymi, lecz nie wyniosłymi, spoglądającymi w przyszłość, lecz jednocześnie szanującymi przeszłość.

Spojrzałam w lewo, przyglądałam się twarzom w moim rzędzie. Czy ktoś mógł określić to, co mówi, jedynie jako normalne przemówienie podczas kampanii? Co prawda jako takie przemówienie nie było złe. Charlie nie był porywający, ale pewny siebie i inteligentny, a także — mogłam to przyznać z czystym sumieniem — niezwykle przystojny.

— Nie jest tajemnicą, że stoją przed nami wyzwania — mówił. — Nasz stan potrzebuje więcej miejsc pracy, bardziej wszechstronnej opieki zdrowotnej, mniejszych wydatków ponoszonych przez pracujące rodziny. To zawsze było priorytetem Blackwellów i jest priorytetem dla mnie.

Kiedy skończył, kilku mężczyzn zadało pytania (z wyjątkiem dwóch starszych matron, publiczność była wyłącznie męska), ale była to typowa środkowozachodnia publiczność, grzeczna i pełna szacunku. Nawet z pozoru najbardziej kontrowersyjne pytania — „Może byście sami stworzyli nowe miejsca pracy, otwierając fabrykę Blackwellów tutaj, w Waupun?” — brzmiały raczej jak żart, a w każdym razie przyjmowane były ze śmiechem. Nie wstałam ze swojego miejsca. Czekałam, aż sala się opróżni i zostaną w niej tylko Charlie, przewodniczący klubu, który go wprowadzał, jakiś człowiek sprzątający krzesła i młody mężczyzna stojący obok Charliego. Z torebki wyjęłam książkę, którą właśnie czytałam: *Przypomnij się, króliku*; zaczęłam ją poprzedniego wieczoru. Po kilku minutach podszedł do mnie młody człowiek i wyciągnął rękę.

— Hank Ucker. A ty to zapewne piękna bibliotekarka.

— Alice Lindgren — powiedziałam, wstając, by uścisnąć mu dłoń.

Nie zareagowałam na uwagę o „bibliotekarce” — nieraz słyszałam podobne, na ogół od mężczyzn, zwłaszcza tych nowo poznanych. W podtekście były koczki, okulary i oziębłość, pod którymi tak naprawdę kryły się wyuzdane apetyty seksualne.

Hank Ucker wskazał na powieść Updike'a.

— Zawsze lubiłem dobre książki o zwierzętach.

Prawdę mówiąc, *Przypomnij się, króliku* było o człowieku z Pensylwanii, którego małżeństwo przeżywa kryzys, ale nie poprawiłam go. Hank Ucker był niższy od Charliego, parę centymetrów niższy ode mnie, łysiał, zza okularów w rogowej oprawie patrzyły inteligentne, lekko zezowate oczy, miał wielki zadarty

nos i pierwsze zarysy podwójnego podbródka. Mogłam zakładać, że on także jest w okolicach trzydziestki, należał do tego rodzaju mężczyzn, którzy wyglądali, jakby urodzili się jako ludzie w średnim wieku; rzeczywiście przez kolejne dziesięciolecia jego wygląd zmieniał się niewiele, a w wieku pięćdziesięciu lat miał buzię jak niemowlę.

— Niezła przemowa naszego przyjaciela Blackwella — powiedział. — Zgodzisz się ze mną, prawda?

— Będiesz pracował przy jego kampanii? — zapytałam.

— Jakiej kampanii? — zapytał na wpół kpiąco, na wpół udając, że nie ma pojęcia, o czym mówię.

Zawahałam się.

— Żartuję — powiedział. — Na razie trzymamy to w tajemnicy, żeby był większy szum, kiedy ogłosimy oficjalnie. Nigdy nie wyszłaś za mąż, prawda?

Zamrugałam zaskoczona.

— Pytam, bo jesteś bardzo piękna — dodał, a mnie uderzyło, że za jego słowami nie kryła się nawet chęć poflirtowania.

— A p a n jest żonaty, panie Ucker?

— Proszę mi mówić Hank. I tak, jestem. — Uniósł lewą rękę i pomachał palcami, prezentując złotą obrączkę. — Razem z moją panią obchodziliśmy właśnie piątą rocznicę.

— Moje gratulacje.

— Małżeństwo to instytucja, którą gorąco polecam, ale może już doświadczyłaś osobiście jej wielorakich przyjemności? — Powiedział to jowialnie. W ogóle był jowialny, praktycznie cherubinkowy, ale z drugiej strony stwarzał wrażenie osoby bardzo wyrachowanej.

— Jestem prawie pewna, że jak dotąd nie byłam zamężna — odparłam tonem równie radosnym jak on.

Właśnie wtedy Charlie podszedł do Hanka od tyłu i położył dłonie na jego ramionach, serwując mu trzysekundowy masaż.

— Nie wierz w ani jedno słowo tego człowieka — uprzedził mnie. Wyczułam, że zastanawiał się, czy pocałować mnie w policzek, co mogłoby się wydać zbyt obcesowe.

Zamiast tego ujął moją dłoń i ją ścisnął. Powoli, żeby nie wyszło zbyt ostentacyjnie, wycofałam rękę.

Ruszyliśmy we trójkę w stronę wyjścia. ;

— Podobało mi się twoje przemówienie — stwierdziłam.

Charlie wzruszył ramionami.

— Mogło być lepiej, mogło być gorzej. Pomogłoby, gdyby publiczność nie była taka otępiała.

Wciąż jeszcze nie wyszliśmy, a w drugim końcu sali przewodniczący klubu wyłączał z kontaktu mikrofon. Zastanawiałam się, w przeciwieństwie do Charliego, czy nas słyszał.

— To tylko rozgrzewka, Alice — powiedział Hank, otwierając drzwi. — Pomyśl o dzisiejszym dniu, ale pomnożonym przez tysiąc, wtedy wyrobisz sobie jakieś pojęcie.

Charlie trącił mnie lekko łokciem.

— Nie wysilaj się, Ucks. Niełatwo zrobić na niej wrażenie.

— To zaszczyt móc cię poznać, Alice — powiedział Hank, kiedy staliśmy na parkingu.

Ujął moją prawą dłoń i złożył na niej pocałunek. W jego geście była jednocześnie agresja i parodia, chociaż nie umiałabym powiedzieć parodia czego.

Charlie rzucił Hankowi kluczyki.

— Pogadamy rano, wielkoludzie?

— Wiesz, gdzie mnie znaleźć — odparł Hank. Odszedł kilka kroków, po czym się obrócił. — Nie musisz się martwić, Alice. Na końcu Harry i Janice wracają do siebie.

Musiałam mieć głupkowatą minę, bo wskazał na książkę, której wciąż jeszcze nie schowałam do torebki.

— *Przypomnij się* jest bardziej dojrzała od *Uciekaj, króliku*, ale prawdę mówiąc, obie są dla mnie zbyt dekadencjne.

— A ty się na tym znasz, co, Ucks? — powiedział Charlie, gdy Hank zmierzał do samochodu. Po czym nagle, jakby sobie coś uświadomił, zwrócił się do mnie. — Hej, wiesz co? Wygląda na to, że ktoś musi mnie podrzucić.

Przewróciłam oczami.

— Właśnie się dowiedziałam, że w zasadzie nie mieszkasz w Madison, więc nawet nie wiem, dokąd miałabym cię zawieźć.

— Ach, o to chodzi. — Charlie machnął ręką. — To zrozumiałe, że trzeba mieszkać w okręgu, z którego się startuje, więc Hank znalazł mi lokum w Houghton. Mieszkanie w Madison wynajmuję na nazwisko brata.

— Bardzo sprytnie.

— Nie, to standard. Słuchaj, jest knajpka z hamburgerami w połowie drogi do Beaver Dam, naprawdę niesamowita. Należysz do dziewczyn, które jadają cheeseburgery z bekonem?

— To brzmi jak zaproszenie na randkę, Charlie.

Uśmiechnął się.

— Ależ skąd. Po prostu dwoje dorosłych ludzi odmiennej płci spędza na rozmowie letni wieczór.

Gdy to mówił, Hank właśnie wyjeżdżał z parkingu i zatrąbił.

— Twój szef kampanii, czy kim on tam jest, przed chwilą zdradził mi zakończenie książki — powiedziałam. — Zdajesz sobie z tego sprawę?

Charlie udał, że bardzo go to rozgniewało.

— No, teraz Hank naprawdę się doigrał. Jutro dam mu do wiwatu.

— Mówię poważnie — rzekłam. — Nie musiał tego robić.

— Zwyczajnie sobie zażartował. Prawdopodobnie chciałby porozmawiać z tobą o książkach — jest niesamowicie odczytany — tylko nie wie, jak zacząć. A co do tych mniej rozwiniętych intelektualnie — ponownie wziął mnie za rękę, na co tym razem pozwoliłam. — Co powiesz na burgera?

Restauracja nazywała się „U Reda”, drewniane ściany miała pomalowane tanim lśniącym lakierem, siedzenia pokryte czarnym winylem, a stoliki porysowane, z wydrapanymi inicjałami i wyznaniem miłości bądź nienawiści.

— Mają tu niesamowite krążki cebulowe — stwierdził Charlie. — Jeżeli zamówię, skusisz się?

Normalnie unikałam zarówno cebulowych krążków, jak i frytek — pilnowałam, żeby nie przytyć — ale skinęłam potakująco głową, wiedziałam bowiem, że i tak zjem najwyżej kilka, bo będę zbyt podekscytowana.

Nasza kelnerka była po pięćdziesiątce i miała plakietkę z imieniem EVELYN.

— Dzięki, kochana — powiedział Charlie, kiedy postawiła na stoliku dwa plastikowe kubki z wodą z lodem. — Dopilnujesz, żeby burgery były krwiste, tak jak lubię? Soczyste? — dodał, kiedy złożyliśmy zamówienie.

Kelnerka uśmiechnęła się pobłaźliwie.

— Powiem kucharzowi.

— Znasz ją? — zapytałam, kiedy odeszła.

— W tych stronach, Alice, znam wszystkich. — Uśmiechał się w ten swój charakterystyczny sposób. — No dobrze, nie widziałem jej nigdy w życiu. Ale stawiam wszystkie pieniądze, że gdybym powiedział jej, że startuję w wyborach, do końca kolacji zdobyłbym jej głos.

— W takim razie szkoda, że trzymasz to w takiej tajemnicy. Kazałeś Han—kowi mnie zapytać, czy miałam kiedyś męża?

Charlie gwizdnął.

— Rany, ten facet nie traci czasu. Niczego takiego mu nie kazałem.

Uwierzyłam mu, Charlie uważał swoje własne wady za ujmujące, i dlatego niczego nie ukrywał.

— Wyobrażam sobie — dodał — że sprawdzał, czy nadajesz się na randkę z kandydatem na kongresmena. Nie rozumie, że pytanie brzmi, czy ja jestem dość dobry, żeby umówić się z tobą. Chyba powinienem był cię przed nim przestrzec, nie jest specjalnie subtelny, ale Bóg mi świadkiem, bezapelacyjnie znakomity. Ma dwadzieścia siedem lat, skończył z pierwszą lokatą prawo na Uniwersytecie Wisconsin, wychował się w Republikańskiej Partii Wisconsin. Trudno znaleźć kogoś bardziej oddanego. Zaczął pracować jako stażysta, kiedy miał szesnaście, siedemnaście lat, a po tym jak został przyjęty do Phi Beta Kappa, został asystentem mojego taty.

— Przyjaźnicie się?

— Nie poszedłbym z nim na piwo, i tylko po części dlatego, że jest abstynentem. Ale spędzamy ze sobą coraz więcej czasu i jakoś dotrzymuje mi kroku. Jest świetnym gościem, niesamowicie błyskotliwym. W miarę jak kampania będzie się rozkręcać, zacznę ściągać grube ryby, ale nie wiem, czy znajdę lepszego stratega od Ucksa. Jest niezrównany, kiedy trzeba spojrzeć na coś z szerszej perspektywy. Potrafi przewidzieć ataki drugiej strony. Na pewno pojawią się zarzuty nepotyzmu i chodzi o to, żeby odpowiedzieć i iść dalej. Mamy wszystko pod kontrolą.

Kelnerka podała nam piwo — Charlie zamówił millera, więc ja też — i Charlie stuknął swoją butelką w moją.

— Zdrówko.

— Jakie są inne pytania, które pomogą ocenić, czy mogę się spotykać z kandydatem na kongresmena? — zapytałam. — Rzecz jasna hipotetycznie.

Pociągnął długi łyk piwa.

— Po pierwsze twoja przynależność partyjna. — W dalszym ciągu zachowywał się łobuzersko, wciąż jeszcze nie był tak naprawdę poważny. — W zasadzie dlaczego jesteś demokratką? Na przykład Jimmy Carter... Jak możesz znieść tego głupka, plantatora orzeszków?

— W porównaniu z Nbcconem wypada bardzo korzystnie.

Charlie pokręcił głową.

— Nixon się nie liczy. Nowy dzień, nowy ład.

— Uważam, że nauczyciele szkół publicznych standardowo są demokratami — stwierdziłam. — Zdziwiłbyś się, ilu naszych uczniów musi dostawać darmowe lunche.

— Jak przypuszczam, są to dzieci czarnych matek na zasiłku, które przyjeżdżają tu z Chicago?

— Niezbyt ładnie to ująłeś.

— Po prostu masz miękkie serce — rzekł Charlie. — Dlatego uważasz się za demokratkę. Postarzejesz się, dorobisz i wtedy zobaczysz, jakie naprawdę są twoje przekonania.

— Chyba jesteśmy w tym samym wieku?

— Ale ja w tym dorastałem. I dłużej się nad tym zastanawiałem.

— Nie dlatego jestem demokratką, że się nad tym nie zastanawiałam — odparłam. — Jestem demokratką właśnie dlatego, że się zastanawiałam.

— O matko i córko, kobieto, myślałaś kiedyś o pisaniu przemówień? Mnie nie przekonasz, ale mnóstwo ludzi łyknie to gównno. Wybacz słownictwo.

— Wiesz, że dorastałam w Riley, tuż obok Houghton — powiedziałam. — Nasza szkoła rywalizowała z Houghton High. Gdybyś więc chciał się czegoś dowiedzieć o miejscu, w którym rzekomo mieszkasz, mogłabym ci służyć pomocą, ale wyłącznie pod warunkiem, że przestaniesz kpić sobie z mojej partii politycznej.

— W takim razie nie muszę ci wyjaśniać, czemu mieszkam tam tylko nominalnie — powiedział. — Jeżdżę tam raz na tydzień, odbieram pocztę, sprawdzam, czy szopy nie narobiły szkód, i czym prędzej się wynoszę.

— Skoro tam jest tak okropnie, mogłeś wybrać sobie jakieś inne miejsce.

Charlie potrząsnął głową.

— Szósty okręg ciągnie się aż do Appleton, ale na północy mamy fabryki, więc wszystko jest pod kontrolą. Na południu znajduje się warownia Alvina Winceka, i na tym musimy się skoncentrować. Widzisz, jak masz szczęście, dorastasz w Riley zamiast w Houghton. Waszym reprezentantem jest Meers — man, prawda? Budzie Meersman, mamy dla ciebie świetnego republikańskiego gracza zespołowego.

— Nigdy nie głosowałam w Riley — powiedziałam. — Kiedy pierwszy raz byłam uprawniona w 1968, zarejestrowałam się w Madison.

— Błagam, tylko mi nie mów, że głosowałeś na Humphreya.

— Charlie, jestem demokratką — przypomniałam mu. — Oczywiście, że na niego głosowałam.

— Przez takich jak ty mój tata przegrał — powiedział Charlie.

Mogłam wymienić kilka powodów, dla których gubernator Blackwell

nie został wybrany na prezydenta w 1968 roku — nie znalazł się nawet w trójce finalistów wytypowanych przez republikanów — nie sądziłam jednak, że Charlie tak do końca żartuje.

Pojawiła się kelnerka z czerwonymi owalnymi koszykami z plastiku, w których na woskowanym papierze było nasze jedzenie.

— Niech pan sprawdzi, czy może być — poprosiła.

— Na pewno tak, panno Evelyn — odparł Charlie.

Przeciąłam swojego burgera na pół.

— Dlaczego w takim razie chodziłeś do szkoły na wschodzie? — zapytałam.

— Nawiązujesz do mojej „edukacji w renomowanych uczelniach Ligi Bluszczonej”? — Wymówił te słowa z przesadną intonacją. — Wierz mi, to dużo gorsze od Princeton czy Penn. Po pierwsze, wylądowałam w szkole z internatem, niewielkiej instytucji o nazwie Exeter, które zasadniczo zajmuje się hodowlą snobów. Jest w New Hampshire, moja matka dorastała w Bostonie i wciąż uwielbia styl życia Wschodniego Wybrzeża — można usunąć dziewczynę z

Massachusetts, ale nie wypienisz Massachusetts z dziewczyny. Tak więc wszyscy odsiedzieliśmy swoje w Exeter, potem cztery lata w Old Nassau, jak ci, co znają się na rzeczy, nazywają Princeton, potem przyszedł czas na Wharton. Zawarłem tam wspaniałe przyjaźnie i nauczyłem się trochę, mimo że bardzo się starałem, ale żebyś mnie źle nie zrozumiała, założyciele funduszy powierniczych z New England to nie mój sort ludzi. Są za bardzo w stylu: „Mimsy, bądź uprzejma podać gin z tonikiem”, bardzo zimni i sztuczni. Ich wesela — na jednym byłem drużbą kolesia z New Canaan — są tylko odrobinę mniej ponure i nadęte od pogrzebu. To nie moja bajka.

— Skoro jednak byłeś synem gubernatora, na pewno wychowywałeś się w Madison Country Club i tak dalej.

Charlie prychnął.

— Madison Country Club jest dla parweniuszy, kochanie. Ci, co znają się na rzeczy, należą do Maronee Country Club. Jest na północy Milwaukee.

— Posłuchaj sam siebie — powiedziałam. — Co tam twoi koledzy z Princeton — ty jesteś snobem.

— Nie ma nic złego w oddzielaniu ziarna od plew, i nie chodzi mi tu o sferę ekonomiczną. To mentalność Ligi Bluszczowej. Czy twój tatuś należał do takiego a takiego klubu, czy twoja babcia należała do Cór Amerykańskiej Rewolucji? To są tylko etykiety. Ale z drugiej strony chyba nie zaprzeczysz, że są ludzie lepsi i ludzie gorsi?

— Nawet nie wiem, co przez to rozumiesz. — W tym momencie mogłam poczuć do niego awersję, przynajmniej niewielką, on jednak zmarszczył brwi i się uśmiechnął.

— No właśnie, ja też nie — powiedział.

Ugryzł swojego burgera. Nie przeciął go, jak ja, na pół, ale trzymając w obu rękach, wgryzał się w niego z apetytem.

— Podejrzewam, że jestem takim samym hipokrytą jak wszyscy — powiedział. — Ale jeżeli chcesz, żeby ktoś doznał rozdwojenia jaźni, wystarczy sprawić, żeby kiedy będzie w ósmej klasie, jego ojciec został gubernatorem. Pamiętaj, ja się nie uskarżam. Byłem naprawdę dumny z ojca. Ale podczas imprez traktowali mnie po królewsku, w szkolnej szatni każdy miał mnie na celowniku, a potem w szkole z internatem, jak słyszeli, że pochodzę z Wisconsin, pytali, czy wychowywałem się w stodole. W pierwszym tygodniu w Exeter jakiś gość zapytał mnie, naprawdę nie żartuję, czy jako dziecko miałem w domu elektryczność. Te wszystkie uprzedzenia, z jakimi się stykałem, tylko wzmożyły dumę z mojego

pochodzenia i tego, kim jestem. Ale czy w związku z tym mam się bratać z mechanikiem Bobem? Może niekoniecznie. — Łypnął na mnie okiem. — Przy najmniej nie do czasu, kiedy oficjalnie zgłoszę swoją kandydaturę, a fotoreporter z „The Houghton Gazette” zjawi się, by to udokumentować. Ale słowo daję... — nachylił się ku mnie — .. nie jestem zwolennikiem elityzmu. Wierzysz mi, prawda?

— Już sama nie wiem, w co wierzyć.

Na jego twarzy odmalował się wyraz niekłamane go zmartwienia i ta szczerść ujęła mnie na nowo. Byłam niemal pewna, że poglądy Charliego nie odbiegają zbytnio od tych, jakie wyznaje większość panów obecnych na grillu u Hickenów. Z tą różnicą, że Charlie się ze swoimi nie kryje.

— Założę się, że jako udręczony ósmoklasista byłeś niezwykle uroczy — powiedziałam.

Uśmiech natychmiast powrócił na jego twarz.

— Jasna sprawa. Jak ci smakuje twój burger?

— Jest wyśmienity.

Charlie zdążył już pochłonąć swojego, ja nie dokończyłam nawet pierwszej połowy.

— Mam pomysł — powiedział. — Właśnie przyszedł mi do głowy. Chcesz posłuchać?

— Jasne.

— Pójdę zapłacić. Potem wrócimy do Madison, z przyjemnością będę prowadził. Pójdziemy do twojego mieszkania, zdejmiemy z siebie wszystkie ubrania, wskoczymy do łóżka i pokażę ci, że republikanie mają jakie takie pojęcie o pewnych rzeczach. — Przerwał. — Kiedy skończysz jeść, ma się rozumieć.

Gdybym udała zaskoczenie albo niesmak, byłoby to z mojej strony nieszczerze — w moim życiu wydarzyło się dość rzeczy o wiele bardziej szokujących czy niesmacznych od propozycji seksualnej. A poza tym Charlie mówiąc to, był taki chłopięcy, słodki, bezpośredni. Mimo wszystko mogłam udać, że czuję się urażona, nie dlatego, że naprawdę tak było, ale dlatego, że chciałam, aby tak myślał, z czystej przyzwoitości. Uznałam to jednak za głupotę. Miałam trzydzieści jeden lat. Nie będę się martwić, że przeskakuję kolejne etapy wzajemnego poznawania się, po co mam się kłócić — kłócić o to, że nie chcę spotykać się z Charliem — skoro i tak nie zależy mi na zwycięstwie. Nie, nie miałam co do niego całkowitej pewności, i tak moje stosunki z Deną staną się napięte. Ale nie opłacało mi się, że

od tak dawna — od wypadku, chociaż w pewnym sensie również przed nim — próbowałam postępować odpowiedzialnie i ostrożnie — zwłaszcza ostatnio. Poza tym Charlie był tak niesamowicie przystojny. Chciałam zdjąć z siebie całe ubranie i wskoczyć z nim do łóżka.

W mieszkaniu Pierre i pan Sneeze urzędowali na moim łóżku, obok siedział przycupnięty mały króliczek z *Uciekającego królika*, którego wyposażyłam w strój rybaka. (Mama królicza była w salonie i czekała na swoją wędkę i rybackie buty). Ostrożnie postawiłam figury na podłodze przy ścianie, a kiedy się odwróciłam, Charlie był już bez koszuli i rozpinał pasek.

— Co? — powiedział. — Myślałaś, że żartuję?

— Przynajmniej pozwól, że puszczę jakąś płytę.

Kiedy go wymijałam, udałam, że chcę go pacnąć w policzek i wtedy zwróciłam uwagę (miałam nadzieję, że zrobiłam to dyskretnie), że jego pierś jest atletyczna, opalona i porośnięta, ale nienadmiernie, jasnobrązowy — mi włoskami. W salonie w pierwszym odruchu sięgnęłam po album Johna Denvera, ale przypomniałam sobie, że Denver popierał prezydenta Cartera. Przestraszyłam się, że Charlie uzna to za jakąś demonstrację z mojej strony, wybrałam więc Steviego Wondera.

Z salonu do sypialni prowadził krótki przedpokój — kiedy nim szłam, Charlie niespodziewanie stanął zupełnie nagi w drzwiach, ze skrzyżowanymi na piersi ramionami i szerokim uśmiechem. Gdy podeszłam, rozpostarł ramiona i objął mnie, pogładził po plecach i ucałował w czubek głowy. Ja pocałowałam go w nagie ramię — było pokryte beżowymi piegami — a potem odnaleźliśmy najpierw nasze usta, potem języki, a jego penis drgnął ku mnie kilka razy, aż wreszcie podniósł się w twardej erekcji. To bardzo miłe uczucie, kiedy obejmuje się zupełnie nagiego mężczyznę, samej będąc ubraną. Czułam zapach jego skóry, smak piwa, które wypił do kolacji, na koniec sama zdjęłam bluzkę przez głowę i upuściłam ją na podłogę. Charlie pochylił się i wtulił twarz w moje piersi; nie rozpiął mi stanika, lecz zwyczajnie zsunął miseczki w dół.

Wkrótce ja też nie miałam na sobie nic i padliśmy na łóżko. Objęłam go nogami i ujęłam dłońią jego penis, by pomóc mu wejść we mnie. Było to zupełnie naturalne, wręcz konieczne, że łączymy się w ten sposób, kiedy nagle oprzytomniałam gwałtownie i złapałam go za ramiona.

— Zaczekaj, mój krążek jest...

— Nie, ja mam zabezpieczenie. Wszystko jest w porządku.

Miał to w portfelu, w kieszeni jego spodni leżących na ziemi. Kiedy patrzyłam, jak wyjmując kondom, byłam zbyt oszołomiona, by się krępować, że tak mu się przyglądam. Pośladki miał małe, jak wielu mężczyzn, o czym wciąż zapominam. Jak to możliwe, że ktoś z tak uroczą pupą jest takim bezwzględny politykiem? Charlie klęknął na łóżku — ja leżałam płasko na plecach, on górował nade mną — i może to zabrzmie ordynarnie, ale kiedy ujrzałam jego penis, poczułam, że mogłabym go pokochać. Dawniej, gdy widziałam penisy moich kochanków, uważałam je za dziwaczne twory, jednocześnie komiczne i odrażające. Lecz penis Charliego, skierowany ku górze czerwony trzonek z nabrzmiałymi żyłami i końcówką niczym czapeczka, wzruszył mnie, poczułam na jego widok głębokie oddanie. Był tak całkowicie j e g o, a ja czułam, że nie ma takiego miejsca na jego ciele, którego nie chciałabym dotknąć, ani takiego na moim, którego nie pozwoliłabym dotknąć jemu.

Kiedy nałożył prezerwatywę, objął mnie w pasie, zniżył się i znowu wszedł we mnie.

— Nie mogę uwierzyć, że coś tak wspaniałego jest zgodne z prawem — zamruczał.

— Naprawdę się cieszę, że jesteś tu i teraz — powiedziałam, a on uśmiechnął się do mojej szyi.

Kilka minut później doszedł i opadł na mnie. Objęłam go, nie mówiąc ani słowa, a po paru chwilach uniósł głowę, byśmy mogli na siebie patrzeć.

— Chciałem jeszcze trochę wytrzymać, ale jesteś prawdziwą boginią o cudownych, podniecających piersiach.

— Charlie.

Po raz pierwszy dzisiaj wieczoru poczułam się skrepowana.

— Nie wiedziałaś, że masz podniecające piersi?

Zasłoniłam mu usta dłonią.

— Twoja kolej — powiedział, kiedy zabrałam rękę. — Jestem praworęczny, więc lepiej będzie, jak położę się z tej strony.

Brodą skinął na lewo i zsunął się ze mnie.

— Nie musisz — powiedziałam.

— Alice, chcę, żeby klient był całkowicie usatysfakcjonowany.

— Nie jestem pewna... po prostu.

— Chyba miałaś już kiedyś orgazm? Nic nie szkodzi, jeśli nie miałaś, ale w takim razie jesteś naprawdę poszkodowana.

— Nie, miałam — powiedziałam. — Po prostu, no wiesz, nie za każdym razem.

— To nie do przyjęcia. Przecież to zwykła czynność biologiczna.

— Bardzo jesteś wykształcony.

— Hej, czytałem *Strach przed lataniem*. Wiem wszystko o przelotnym wiadomo czym.

— Doceniam... — zawahałam się.

Czas, w jakim osiągałam orgazm, stał się problemem pod koniec mojego związku z Simonem; bywało, że rezygnował zawczasu.

— Cieszę się, że chcesz spróbować — powiedziałam. — Ale obawiam się, że nic może z tego nie wyjść, a ja nie chciałabym zepsuć tego jakże udanego dotąd wieczoru.

— Najwyraźniej nie zdajesz sobie sprawy, jaki dobry jestem w te klocki. Obróciłam głowę, by spojrzeć mu prosto w oczy.

— Nie dzisiaj. Ściągnął brwi.

— Nie pojmuję, jak można nie chcieć.

— Charlie, nie mam ochoty — powiedziałam, czując, że w moim głosie słychać zniecierpliwienie.

Przez chwilę żadne z nas się nie odzywało.

— Chcesz poznać dalsze informacje, jakie zgromadziłem do twojego dossier? — przemówił po chwili niepewnie.

Wcześniejszy czar prysnął. Nie chciałam zachowywać się z chłodną rezerwą, ale też nie chciałam udawać wesołości.

— Może kiedy indziej — powiedziałam.

— Nie, to są same pozytywy. Uaktualniałem dane przez cały wieczór.

— Mówił ciepłym, pojednawczym tonem. — Zacznę od początku: Alice Marie Lindgren, urodzona 6 kwietnia 1946 roku. Ukochana jedyna córka Phillipa i Dorothy, wnuczka... hm... Musisz mi chyba podpowiedzieć.

— Emilie.

Postarałam się, by zabrzmiało to miło. Skoro on się starał, mogłam i ja. Poza tym zaskoczyło mnie i pochlebilo mi, że potrafił to wszystko wyrecytować. Opowiedziałam mu wszystko podczas godzin, które spędziliśmy, leżąc na mojej kanapie w ubiegłą sobotę, ale nie spodziewałam się, że zapamięta, tym bardziej że po pierwsze, pił, a po drugie, pletliśmy trzy po trzy.

— Piątkowa studentka i zasadniczo porządna dziewczyna — mówił dalej.

— No właśnie, jakiego jesteś wyznania?

— Moja rodzina to luteranie, ale ja chodzę do kościoła tylko wtedy, kiedy jestem z nimi.

— Nie chodzisz do kościoła? *Mon Dieu*, przespałem się z ateistką!

— Och, proszę cię — powiedziałam, a Charlie przytulił się do mnie.

— Idźmy dalej. Uniwersytet Wisconsin, rocznik 1968 — *summa cum laude*? Potrząsnęłam głową.

— *Magna*, ale biorąc pod uwagę, że to ty poszedłeś do Princeton nie wiem, dlaczego masz mnie za taką mądrą.

Uśmiechnął się.

— Powiedzmy, że nie z powodu piątek w indeksie znali mnie w kampusie. Na szczęście mówimy o tobie, nie o mnie. Po college'u uczyłaś trzecią klasę w... Znowu musisz mi odrobinę pomóc.

— Harrison Elementary — odpowiedziałam. — Wątpię jednak, żebym wspominała ci o tym wcześniej, nie przyznam więc punktów karnych.

— Często czytujesz *Drzewko darów*, równie często płaczesz. Nie, teraz żartuję — rzuciłem okiem na tę książkę i już rozumiem, czemu tak ci się podoba. Poza tym nie ma w niej zbyt wielu trudnych słów, przynajmniej jak dla takiego tępaka jak ja. — W ciągu trzech dni od naszego ostatniego spotkania znalazł *Drzewko darów*? Byłam zdumiona. (Później wyszło na jaw, że nie kupił książki, ale przeczytał całą na stojąco w księgarni — ale jednak).

— Potem dyplom magistra na UW — mówił tymczasem Charlie. — Następnie szkoła podstawowa Theodory Liess, gdzie nasza bohaterka pracuje ciągle, podczas roku szkolnego zachwycając dzieci swoim urokiem, a w czasie wakacji zajmując się konstruowaniem wielkich, jaskrawych, kolorowych zwierząt z kartonu.

— Z papier mache, ale i tak jestem pod wrażeniem.

— Cóż, w naszym dossier mamy do odnotowania jeszcze jeden fakt. — Zerknął zezem na swoją dłoń, udając, że czyta. — Aktualnie uwodzona przez dobrze zbudowanego młodego polityka. Jeszcze o tym nie wie, ale wkrótce do szaleństwa się zakocha.

— Och, czyżby? Tak tu jest napisane? — chwyciłam go za rękę, a on wyrwał mi ją.

— To są ściśle tajne dokumenty, a pani, panno Lindgren, nie ma klauzuli dostępu.

Obrócił się i pocałował mnie w usta. Początkowo pocałunek miał odwrócić tylko moją uwagę, ale już po chwili skupiliśmy się na nim bez reszty, nie mogąc się od siebie oderwać.

Było jednak coś, w czym Charlie nie miał racji; już wiedziałam, że właśnie zaczynam się zakochiwać.

Przyszłam po Denę do sklepu. To ja zaproponowałam wspólny lunch, mając nadzieję, że wykorzystam okazję i przyznam się do wszystkiego, a kiedy w końcu spotkamy się na odkładanym od jakiegoś czasu *ratatouille*, będziemy mieć tę rozmowę za sobą. Ledwie jednak przekroczyłam próg sklepu, zrozumiałam, że to nie był dobry pomysł. W sklepie roilo się od klientów, a Dena kręciła się zaafektowana i szczęśliwa.

— Jeżeli Joan Dorff nie odbierze sztruksowej torby do pierwszej, zadzwoń do niej i powiedz, że nie możemy jej dłużej trzymać.

Poszliśmy do znajdującego się nieopodal baru kanapkowego.

— Tak przy okazji, ja stawiam — powiedziałam, kiedy otworzyliśmy menu.

— Cholera, gdybym wiedziała, zaproponowałabym Gilded Rose. Czyżbyśmy świętowały kupno twojego domu?

Wydawało się, że jest jeszcze za wcześnie, aby podać prawdziwy powód. Ale może przejmowałam się zbyt, może sytuacja będzie niezręczna tylko przez krótką chwilę.

— Zanim zapomnę — powiedziała Dena. — W Second Time Around widziałam kapitalną kanapę, którą powinnaś kupić do salonu. Kosztuje trzysta dolarów, ale znam właścicielkę i na pewno uda mi się załatwić jakiś rabat.

— Dena, umówiłam się z Charliem Blackwellem — wyznałam. Natychmiast zmrużyła oczy.

Brnęłam dalej.

— Wtedy na imprezie powiedziałaś, że w zasadzie ci się nie podoba.

— Właściwie powiedziała, że chyba ona nie podoba się jemu, ale obie wersje były w gruncie rzeczy zbliżone, a przedstawiona przeze mnie wydawała się bardziej dyplomatyczna. — Musisz zrozumieć, że nie zaplanowałam tego, ale my po prostu... wydaje mi się, że zwyczajnie zaiskrzyło między nami. Zanim go poznałam, uważałam, że ty pasowałabyś do niego lepiej, ale okazało się...

— Zaczynałam tracić wątek. — Nasza przyjaźń jest dla mnie naprawdę ważna, Deno, i dlatego chcę być z tobą szczerą. Zdaję sobie sprawę, że...

— Chyba się z nim nie przespałaś? — przerwała mi w pół zdania. Zawahałam się.

— Chyba sobie żartujesz — westchnęła z obrzydzeniem. — Wystarczy, że zainteresuje się jakimś facetem, a ty z miejsca też zaczynasz się za nim uganiać. Zawsze byłaś zazdrosna.

— To nieprawda.

— W takim razie jak to wytłumaczysz? Bo to przecież nie pierwszy raz. Nie mów tego, Deno, pomyślałam. Proszę, przez wzgląd na nas obie.

Przełknęłam.

— Gdybym nie czuła, że z Charliem naprawdę coś mnie łączy, nie ciągnęłabym tego. Ale kiedy z nim jestem... — Zrozumiałam, że to niemożliwe. Nie mogłam wyjaśnić swojego postępowania, jednocześnie nie sprawiając wrażenia, że się przechwalam.

— Co, może chcesz za niego wyjść?

— Nie zaprzeczę, że taka możliwość istnieje — powiedziałam i podejrzewam, że te słowa zaskoczyły mnie równie mocno jak Denę. Rzecz nie w tym, że nie dopuszczałam do siebie takiej myśli, lecz że zdobyłam się na wypowiedzenie jej na głos. — Ciągle jeszcze się poznajemy — dodałam pośpiesznie.

— Czy to dlatego, że jest bogaty?

— Oczywiście, że nie! Nigdy bym nawet... Nie rozmawialiśmy o pieniądzach. Nie sądzę, że jest rzeczywiście taki bogaty.

— Jest — powiedziała Dena. — Ma kupę forsy.

— Może jego rodzina, ale... ;

— Nie. — Głos miała zdecydowany. — On. Oni wszyscy.

Podeszła kelnerka, ale Dena uniosła rękę.

— Ja nie zostaję — powiedziała.

Kelnerka spojrzała na mnie.

— Proszę dać nam chwilkę — powiedziałam, a ona skinęła głową i odeszła. — Deno, nie odchodź. Albo idź, jeżeli uważasz, że musisz, ale niech nas to nie poróżni. Jesteś moją najbliższą przyjaciółką.

Kręciła głową.

— Kiedy człowiek raz się rozwiedzie, wie, że znacznie trudniej jest skończyć małżeństwo niż przyjaźń.

— Ale ja znam cię dłużej od Dicka — powiedziałam, co nawet w moich uszach zabrzmiało żałośnie.

— Kiedy ostatni raz wywinęłaś taki numer, miałyśmy po kilkanaście lat i zerowe pojęcie o wszystkim — kontynuowała Dena. — Ale teraz jesteśmy dorosłe, a to oznacza, że taka właśnie jesteś: lecisz na każdego, kim zainteresuje się twoja przyjaciółka. — Niemal żałowałam, że się nie wścieka, ale ona nawet nie podniosła głosu. — Mam dość twojego fałszu — stwierdziła. — Wiesz co? Zawsze byłaś taka porządna, więc zostań sobie żoną kongresmena. Spędzaj sobie czas z Trommlerami, Hickenami i całą resztą nadętych małżeństw. Niech Charlie kupuje ci biżuterię i samochody. — Chociaż niczego nie zamówiłyśmy, położyłyśmy już serwetki na kolanach. Dena zmiała swoją, cisnęła ją na stół i wstała. — Mam nadzieję, że da ci wszystko, czego zapragniesz.

Wyszła, a ja dalej siedziałam przy stoliku, nieco zakłopotana, że tak mnie porzuciła, ale też zaskoczona jej ostrą reakcją. Bałam się tego, ale nie do końca spodziewałam. A zaraz potem, tuż pod powierzchnią tych uczuć, może tylko bardziej zdecydowanie odczułam wdzięczność, że Dena, podobnie jak wcześniej Pete Imhof, nie wypowiedziała na głos imienia Andrew.

Kiedy następnym razem pojechałam do Riley, dopiero pod sam koniec lunchu powiedziałam mamie i babci, że nie zostaję na noc.

— Mam plany na dzisiejszy wieczór w Madison — powiedziałam, starając się, by zabrzmiało to neutralnie. — Myślę więc, że wyjadę po południu.

Było gorące sobotnie popołudnie i właśnie zjadłyśmy kanapki z sałatką z kurczaka.

— Naprawdę, dzisiaj po południu? — zapytała mama.

— Jakież to plany? — zaciekała się babcia.

Od śmierci ojca zawsze, ilekroć przyjeżdżałam, zostawałam na noc. Popatrzyłam wymownie na babcię — mogła się chyba domyślić, że plany miały związek z Charliem, podobnie jak mogła się domyślić, że gdybym chciała wdawać się w szczegóły, zrobiłabym to bez ponaglenia.

— Po prostu kilka osób spotyka się w Terrace — odparłam. Była to prawda: miałam poznać kilkoro znajomych Charliego. Kiedy mama wstała, by wynieść talerze, babcia złapała mnie za nadgarstek i przytrzymała.

— Zrobiła tort wiedeński na deser, specjalnie dla ciebie — wymamrotała, jak tylko mama weszła do kuchni.

— Och, nie miałam pojęcia... w takim razie zostanę — powiedziałam. Mama wróciła do jadalni.

— Dorothy, wygląda na to, że twoja córka ma nowego narzeczonego

— rzekła babcia.

— O mój Boże. — Mama zarumieniła się zamiast mnie.

— To jeszcze nic oficjalnego. — Rzuciłam babci zirytowane spojrzenie.

— Ale on ma na imię Charlie, dorastał w Madison i Milwaukee, i poznałam go przez Kathleen Hicken i jej męża, pamiętasz ich?

Był to wybieg mający na celu odwrócenie ich uwagi, by nie wdawać się w dalsze szczegóły dotyczące wychowania Charliego i jego aspiracji do miejsca w Kongresie. Nie byłam pewna, jak zareagowałyby moja rodzina, słysząc to, zważywszy na powtarzaną często przez ojca maksymę o nazwiskach i twarzach głupców. Poza tym nagle zdałam sobie sprawę, że nie mam pojęcia o politycznych sympatiach mojej matki. Zawsze wiedziałam, że babcia jest demokratką, a ojciec republikaninem, ale nie potrafiłam powiedzieć, jak głosuje mama.

— Miło mieć jakieś towarzystwo — powiedziała babcia. — Nie uważasz, Dorothy?

Mama, wciąż stojąc, wzięła dzbanek z mrożoną herbatą.

— Z tego, co mówisz, wydaje się bardzo miły, Alice — powiedziała, po czym znów znikła w kuchni.

— Chciałam dać jej możliwość, żeby wspomniała o Larsie Enderstraisie — szepnęła babcia, gdy w kuchni mama odkręciła wodę.

— Babciu, szczerze wątpię, żeby coś ich łączyło — powiedziałam również szeptem. — Jestem pewna, że tajemnicze sprawy mamy nie mają z nim nic wspólnego.

— Myślisz, że tylko ciebie ktoś może uwodzić? — zachichotała babcia, po czym odezwała się normalnym głosem. — Ktoś ma bardzo wysokie mniemanie o sobie.

Po południu babcia i ja czytałyśmy w salonie; babcia siedziała na kanapie, ja na krześle. Kiedy po jakimś czasie poszłam zobaczyć, co porabia mama, znalazłam ją w ogrodzie, gdzie plewiła pomidory.

— Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, zostanę na kolacji — powiedziałam. — Moi znajomi spotykają się dopiero o dziewiątej.

Było to kłamstwo, ale twarz mamy się rozpromieniła.

— Och, bardzo się cieszę. Będzie deser, o ile wiem, twój ulubiony.

Kiedy na nią patrzyłam — klęczała na ziemi, z głową osłoniętą frotowym

białym kapeluszem — czułam zalewające mnie fale czułości i poczucia winy. Czemu od razu nie powiedziałam Charliemu, że nie będę miała czasu dzisiaj? Mogliśmy dostosować swoje plany i spotkać się w nadchodzącym tygodniu. Lecz prawda była taka, że nie chciałam zostawać w Riley. Uroki rodzinnej miłości i obowiązków nie były w stanie, przynajmniej na razie, przyćmić perspektywy seksu na początku znajomości. Światło gwiazd, piwo, nasze splecione nagie ciała — tego chciałam, a nie stołu w jadalni i dwóch starszych kobiet, panierowanych kotletów cielejących i wiedeńskiego tortu. Zakochałam się, i zrobiłam się samolubna, ale nie znaczyło to, że wcześniej uczucie egoizmu było mi obce; po prostu nigdy wcześniej nie byłam naprawdę zakochana, a przynajmniej nie dość długo.

Kucnęłam obok mamy.

— Bardzo ładne pomidory.

Mama rzuciła na kupkę pęk chwastów.

— Kochanie, Dena na pewno mówiła ci o Marjorie. Lillian jest dosłownie wściekła.

Próbowałam przybrać niezobowiązującą minę. Oczywiście, że Dena nie mówiła mi o Marjorie, młodszej ze swoich dwóch sióstr.

— Ale wiesz, jaka to rodzina — powiedziała mama. — Dziewczynki zawsze były uparte. Mack może i był surowy, co Lillian łagodziła swoją pobłażliwością. Można rzec, że dla dziewczynek to jak raz na wozie, raz pod wozem.

Kiedy po raz ostatni słyszałam o Marjorie Janaszewski, wdała się w romans z Davidem Geisselerem, młodszym bratem naszej dawnej koleżanki z klasy, Pauli-

ne Geisseler. David miał już dwoje dzieci z kobietą, z którą nie wziął ślubu. On i Marjorie pracowali jako barmani w Loose Caboose przy Burlington Street.

— Ale trudno winić Lillian, że się martwi — mówiła dalej mama.

Przez cały ten czas miałam przy sobie kopertę — niezalepioną i niepodpisaną — i teraz podałam ją mamie.

— Miałaś świetny pomysł, żeby sprzedać broszkę — powiedziałam. — Zanimiosłam ją do sklepu z antykami.

— Och, kochana jesteś.

Nie zaglądnij do środka, mama zgięła kopertę i wsunęła ją do kieszeni spodnicy.

Musiałam się ugryźć w język, żeby nie powiedzieć: „Uważaj z tym”.

— Okazała się całkiem cenna — stwierdziłam tylko.

— To wspaniale — rzekła mama z roztargnieniem. — Alice, miałam ostatnio kłopot z mszycami, ale pani Falkę poradziła, żebym posadziła nagietki, i sprawdziły się wspaniale. Pani Falkę jest bardzo skromna, ale naprawdę zna się na roślinach.

Zamknęłam oczy i przez chwilę widziałam dom przy McKinley, werandę, siedzenia w oknach i sekretną szafkę, ale zaraz je otworzyłam, zobaczyłam mamę wyrywającą chwasty z ziemi, moją oddaną, dobrą mamę w białym frotowym kapeluszu, i dom zniknął. Czek opiewał na siedem tysięcy sto dolarów — o wiele mniej, niż mama dała Pete'owi Imhofowi, ale dokładnie tyle, ile miałam wpłacić jako pierwszą ratę.

Minęła północ, kiedy wraz z Charliem wychodziliśmy z Terrace. Jego przyjaciele okazali się w dużej mierze podobni do gości zaproszonych przez Hickenów na grilla, a nawet sytuacja jakby się powtórzyła: Will Warden, kuzyn w pierwszej linii Franka Werbena, przyszedł z żoną, Gayle, i jak tylko Charlie przedstawił mnie wszystkim, okazało się, że wraz z dwiema paniami spotkałyśmy się kilka lat wcześniej na pępkowym. W sumie było nas dziesięcioro, same małżeństwa, z wyjątkiem maklera giełdowego, przyjaciela Charliego, Howarda, i jego dziewczyny, Petal, dwudziestojedynolatki, która przed dwoma miesiącami skończyła studia na uniwersytecie.

— Jak sądzisz, kiedy wymyśliła sobie to imię?— szepnęła do mnie jedna z uczestniczek pępkowego (sama miała na imię Anne), przewracając oczami. — Nie mamy pojęcia, skąd Howard bierze je wszystkie.

Z wdzięcznością przyjąłem tę ofertę przyjaźni ze strony Anne, chociaż później rozmawiałam z Petal (to nie jej wina, że była o dziesięć lat młodsza od nas) i okazała się nad wyraz inteligentna, poza tym skończyła dwa kierunki, historię sztuki i italianistykę. Pod koniec wieczoru Anne odciągnęła mnie na bok.

— Charlie oszalał na twoim punkcie — stwierdziła.

Roześmiałam się, bo przyszło mi to łatwiej niż znalezienie odpowiednich słów. Nawet Will Warden trącił mnie w pewnej chwili.

— Nie miałem pojęcia, że ty i Blackwell jesteście razem — rzekł.

Przez cały wieczór wszyscy się kręcili i przemieszczali, co chwilę ktoś wychodził do toalety albo ci, którzy mieli dzieci, szli do budki telefonicznej, żeby zadzwonić do opiekunki i sprawdzić, czy wszystko w porządku, ale Charlie i ja w zasadzie nie odstępowaliśmy się na krok i nawet kiedy rozmawialiśmy z kimś innym, czułam na sobie jego uwagę: jego rękę na swoim kolanie albo u nasady pleców, szybkość, z jaką reagował, ilekroć wypowiedziałam jego imię czy klepnęłam go w ramię. Co chwilę nachylał się i pytał: „Jak tam?” albo „Trzymasz się?”. Była wspaniała letnia noc, temperatura sięgała prawie trzydziestu stopni, a jezioro Mendota wyglądało jak niemal idealnie czarna tafla, z kilkoma drgającymi refleksami światła.

A potem już zegnaliśmy się ze wszystkimi — jeszcze jedna para wychodziła razem z nami — i kiedy szliśmy wokół Memoriał Union do miejsca, w którym Charlie zaparkował samochód, wziął mnie za rękę. Nasze palce zachowywały się jakby zupełnie niezależnie od nas. Tam w dole, poniżej rozmowy, ułożyliśmy je, by splotły się ze sobą.

— Masz miłych przyjaciół — stwierdziłam.

Doszliśmy do samochodu Charliego, szarego chevy nova.

— Może ja poprowadzę? — zaproponowałam. Cały wieczór przesiedziałam, sącząc jedną szklanekę piwa.

Charlie podał mi kluczyki.

— Popatrz tutaj — rzekł, gdy włącza stacyjkę.

Kiedy to zrobiłam, nachylił się i pocałował mnie.

— Czekałem na to przez cały wieczór — powiedział.

Wyłączyłam stacyjkę i nachyliłam się ku niemu. Całowaliśmy się dalej i obejmowali. Czułam się szczęśliwa, że jesteśmy sami i tulimy się mocno do siebie. Podobało mi się, kiedy byliśmy w Terrace, ale nagle wydało mi się, że cały

spędzony tam czas, wszystkie rozmowy stanowiły tylko etap, który trzeba było pokonać, byśmy sobie zasłużyli na tę nagrodę.

Charlie odrobinę się odsunął.

— Nie myśl, że zapomniałem, co ci jestem winien. Jedźmy do mnie.

— Nic nie jesteś mi winien — odparłam zdezorientowana. Po chwili zrozumiałam. Charlie uśmiechał się szeroko. — Ach, o to chodzi — rzekłam.

— Nie przyjmuję odmowy. Masz prawo domagać się tego, co słusznie ci się należy.

I choć kiedy prowadziłam, czułam dreszcz oczekiwania, z drugiej strony mogłabym trwać w tym stanie zawieszenia. Z radością pojechałabym do Kanady, wiedząc, że u celu wydarzy się coś cudownego.

Po raz pierwszy znalazłam się w mieszkaniu Charliego i od razu zauważyłam, że zostawił włączone wszystkie światła. Mieszkanie było mniejsze i skromniej umeblowane od mojego, a salon zdawał się służyć przede wszystkim jako miejsce składowania sprzętu sportowego: brązowa skórzana torba z kijami do golfa stała oparta o jedną ścianę, a kij do baseballa, rękawice, rakiety tenisowe, piłka nożna, kij do lacrosse'a, pierwszy, jaki w życiu widziałam, leżały zwalone na kupę. Był tam też wielki telewizor, okazałych rozmiarów wieża stereo, czarny puf i obita ciemnoczerwonym welurem francuska barokowa kanapa na wygiętych nóżkach (później się dowiedziałam, że znalazł ją w piwnicy swoich rodziców w Milwaukee, gdzie przechowywano rzeczy należące do jego babci ze strony ojca, nietknięte od czasu jej śmierci siedemnaście lat temu). Na ścianach nic nie wisiało, a dwie z pięciu półek regału były puste. Z pozostałych trzech jedna mieściła kolekcję książek, druga zbiór świecidełek, na ostatniej stały oprawione w ramki fotografie: ojciec w smokingu i matka w połyskującej czerwonej sukni, patrzący sobie w oczy; Charlie i trzech mężczyzn, jak sądziłam jego bracia, stojący w szeregu na trybunach; Charlie i jakiś facet, obaj w kraciastych kurtkach, kucający nad zabitym kozłem z zakrwawionym pyskiem — Charlie przyglądał się z uśmiechem, jak drugi mężczyzna całuje kozła w jeden z rogów; Charlie w wieku dwudziestu, może dwudziestu jeden lat trzymający transparent z napisem: BLACKWELL NA PREZYDENTA. Na półce z książkami zauważyłam słownik, biografię Williego Maysa, bestsellery w rodzaju *Głębia* Petera Benchleya i oczywiście *Strach przed lataniem*, poza tym zbieraninę tytułów czytanych na licencjackich kursach z literatury: *Raj utracony*, *Sen nocy letniej*, *Faust* Goethego. Na ostatniej półce leżała podpisana piłka baseballowa, stał kufel do piwa, kilka kieliszków do wódki, przycisk do papieru w kształcie tarczy z czarno— pomarańczowej emalii i seledynowy gumowy wąż.

Wszystko to zauważyłam i zarejestrowałam w jednej chwili, ale tak naprawdę niewiele mnie to obeszło. Był kawalerem — to oczywiste, w innym wypadku przecież byśmy się nie spotykali. Mieszkanie miał czyste i niezagracone. Sypialnia była pusta, jeśli nie liczyć wielkiego materaca na sprężynach bez ramy, porządnie zaścielonego pościelą w biało—niebieskie pasy, i obracającego się pod sufitem wentylatora. W drzwiach do sypialni Charlie pocałował mnie znowu, po czym prowadził tyłem, kierując w stronę łóżka.

— Tak jest znacznie lepiej — powiedział, kiedy leżałam już na plecach, a on stał nade mną i się uśmiechał.

Miałam na sobie dzinsową spódniczkę i bordową tunikę w pomarańczowe i różowe kwiaty. Charlie pochylił się i obiema rękami uniósł tunikę i zdjął mi ją przez głowę. Kiedy tak mnie rozbierał, w dziwnie miły sposób czułam się jak dziecko, otoczone troską i opieką. Następny w kolejce był stanik, który wylądował gdzieś za moją głową. Charlie wpatrywał się we mnie, leżącą w świetle rzuconym przez wiszącą pod wentylatorem gołą żarówkę.

— Nie do wiary, jaka jesteś piękna — powiedział.

Nachylił się i mnie pocałował, najpierw w jedną brodawkę, potem w drugą. Robił to wolno i metodycznie, z początku z zamkniętymi ustami, ale potem je otworzył, by zacząć ssać, z szacunkiem, niemal z namaszczeniem.

Potem odpiął guzik mojej spódnicy i rozsunął zamek, a ja wygięłam plecy w łuk, żeby pomóc mu zdjąć ją ze mnie. Spódnicę również rzucił gdzieś na bok. Miałam na sobie różowe bawełniane majtki — Charlie wsunął kciuk pod gumkę i strzelił nią delikatnie o moje biodro.

— Cześć, różowiotka — powiedział z uśmiechem.

— Cześć — odpowiedziałam.

Kiedy popatrzyliśmy na siebie, poczułam to samo, co wcześniej, kiedy w moim mieszkaniu leżałam pod nim: wszechogarniające, przeogromne szczęście. Najbardziej na świecie pragnęłam właśnie tego, co miało za chwilę nastąpić. Jakie siły sprzysięgły się, aby uczynić ze mnie, niezasłużenie, taką szczęściarę?

Przesunął palcem od mojego pępka w dół, po majtkach, zwalniając przy kości łonowej, a kiedy dotarł do szparki, bawełna pod jego palcem była wilgotna.

— Widzę, że ktoś tu się nieźle bawi — powiedział.

Wyciągnęłam rękę; miał tak niewiele tłuszczu na brzuchu, że mogłam ją wsunąć do jego bokserów bez rozpinania mu spodni. Jego penis był gorący i twardy, a

kiedy musnęłam palcami jego koniuszek, Charlie westchnął, ale zaraz odsunął się i potrząsnął głową.

— Teraz chodzi o ciebie. Mną zajmiemy się później.

— Może chodzić o nas oboje.

Dotykałam go, on jednak pokręcił głową i odtrącił moją rękę.

Wtedy zdjął mi majtki — na sekundę zaplątały mi się w kostkach, ale uwolniłam się od nich — i leżałam naga na jego biało—niebieskiej pasiastej pościeli, a on kuczał nade mną, opalony i męski w żółtej koszulce polo, z falującymi nozdrzami, cieniem lekkiego zarostu, jasnobrązowymi włosami i tym uśmiechem, swoim idealnym uśmiechem. Czułam całkowity, niczym niezmacony zachwyty. Pochylił się, żeby pocałować mnie w mostek, pępek, brzuch, moją kość łonową, biodra, a potem ukląkł na podłodze, łokciami rozsunął mi nogi, by mnie otworzyć, zniżył twarz i zaczął mnie lizać. Lizał mocno i nieprzerwanie, a mnie z trudem przychodziło w to uwierzyć (twarz Charliego Blackwella wtulona między moje nogi?), ale też wiedziałam, że to nieuniknione; wykraczające poza logikę, mowę, obyczajność. Całkiem możliwe, myślałam sobie, że żyłam po to, aby być lizaną przez tego właśnie mężczyznę. Słyszałam swoje pełne rozkoszy jęki — leżałam wsparta na łokciach, z piętami niemal dotykającymi podłogi, a on klęczał, z ramionami wsuniętymi pod moje uda. Zaczął poruszać koniuszkiem języka, niemal nim uderzać w jedno i to samo miejsce. Jego policzki między moimi udami, jego podskakująca głowa, jego ochocze, wytrwałe mlaskanie — minęła chwila, gdy poczułam, że już nie mogę, nie wytrzymam; westchnęłam i krzyknęłam. To było jak drgawki, poczułam, że udami ściskam mu głowę, a on po chwili wyłonił się i pocałował mnie w czoło.

— Mam nadzieję, że cię nie udusiłam — powiedziałam.

— Nie wyobrażam sobie przyjemniejszej śmierci — odparł. — Pragnę znaleźć się teraz w tobie — dodał, szepcząc mi wprost do ucha.

Jak tylko założył kondom, oplotłam go nogami, a on wszedł we mnie. Kiedy szczytował, zrobił to po cichu, po prostu jego oddech stał się wolniejszy i głębszy, a po chwili znieruchomieliśmy. Poczułam ogarniającą mnie potężną senność. Mogłabym usnąć tu i teraz, bez mycia zębów czy twarzy, nie zmieniając pozycji. Ale nie zrobię tego; wiedziałam, że minie jakaś godzina i wyjdę, żeby wrócić do siebie. Kochać się z mężczyzną to jedno, ale spędzić z nim noc to zupełnie co innego — nawet jeżeli moje osobiste poczucie etykiety było nieco staromodne, nie potrafiłam się z nim nie liczyć.

— Powinniśmy to robić codziennie przez resztę życia — powiedział Charlie przytulony do mojego policzka. — Czuję, że się uśmiechasz — dodał.

Nagle zaczęliśmy spędzać ze sobą mnóstwo czasu. Przeniosłam postaci z papier mache do salonu, żebyśmy mogli z Charliem leżeć na moim łóżku, i chociaż nigdy nie zgadzałam się, aby został na noc, za każdym razem wychodził coraz później — o pierwszej, drugiej, zdarzało się, że i o trzeciej. Ponieważ po seksie często zasypialiśmy, zaczęłam nastawiać budzik na drugą.

— Na miłość boską, kobieto — jęczał Charlie, kiedy budzik się włączał.

— Wyłącz to.

Wtulaliśmy się w siebie i zasypialiśmy z powrotem, i po jakichś dwudziestu, trzydziestu minutach zrywałam się gwałtownie i szturchałam go w pierś.

— Naprawdę musisz już iść — mówiłam, a on udawał, że kuli się ze strachu, przykrywał głowę i lamentował.

— Skazują mnie na wygnanie! Królowa wypędza mnie ze swojego zamku!

Kilka razy próbował na mnie wpłynąć.

— Czy nie sądzisz, że byłoby miło obudzić się razem w jednym łóżku?

— spytał. — Moglibyśmy troszkę podokazywać z rana, o czym poza nami nikt by nie wiedział.

Prawdę powiedziawszy, mój opór wobec wspólnego spędzania całej nocy u niego bądź u mnie był między nami jedynym punktem spornym. Zdumiewało mnie, jakim Charlie był bezproblemowym człowiekiem, jak łatwo było z nim być. Kiedy na przykład z Simonem chcieliśmy się pocałować i nasze usta się nie spotkały, on udawał, że nic takiego się nie stało, w żaden sposób nie reagował, gdy jemu albo mnie zaburczało w brzuchu. Z Charliem natomiast wszystko odbywało się jawnie. Raz po kolacji oglądaliśmy telewizję u niego w salonie i wsunął rękę pod moją koszulę, żeby pogłaskać mnie po brzuchu. Pokręciłam odmownie głową.

— Żołądek mnie boli — powiedziałam.

— Nie krępuj się, pofolguj sobie, jeśli musisz — odparł. — I tak dla mnie będziesz najpiękniejszą dziewczyną w Madison.

Nie zrobiłam tego — nie mogłabym, prędzej zdecydowałabym się na występ taneczny ze stepowaniem w kościele moich rodziców — on jednak najwyraźniej nie miał podobnych zahamowań. Kilka dni później weszłam za nim do kuchni i poczułam nad wyraz odrażający smród.

— Czy ty właśnie...? — zapytałam.

— Nie pamiętam, ale to wielce prawdopodobne. — Uśmiechnął się. — W naszej rodzinie nazywa się to dęciem w róg.

Byłam nim oczarowana, a on był tak pewny swego uroku, lecz nie w arogancki sposób, lecz chłopięco ujmujący. Zawsze chciał się przytulać, nawet używał słowa „przytulać się”, czego nigdy nie słyszałam u żadnego mężczyzny. Któregoś dnia, kiedy przygotowałam dla nas na kolację halibuta w galarecie, pozmywał naczynia, a gdy skończył, przyszedł do salonu, gdzie leżałam na kanapie i czytałam. Bez słowa wyjął mi z rąk książkę i położył się na mnie.

— Nie obejmiesz swojego mężczyzny? — zapytał.

Kiedy byliśmy u niego, zawsze smażył na grillu hamburgery albo steki (tego wieczoru kiedy poszliśmy do Reds, nie wiedziałam jeszcze, że jedliśmy jedną z dwóch najbardziej ulubionych przez Charliego kolacji). Jego lodówka w zasadzie świeciła pustkami, ale miał w niej kilka rzeczy, należały do tej samej kategorii: keczup, musztardę, sos, opakowania bułek do hamburgerów, których nigdy porządnie nie zamykał, przez co bułki wysychały, i piwo, zajmujące całą jedną półkę. Jednocześnie w zamrażarce trzymał niezliczone ilości opakowań najlepszych steków bez kości Blackwell i mielonej wołowiny. Jego mieszkanie znajdowało się na parterze. W wybetonowanej części tylnego ogródka trzymał czarnego grilla na trzech nóżkach. Dostawał się do niego przez kuchenne okno, zdecydowanie rzadziej wychodził frontowymi drzwiami, by obejść dom dokoła. Ja siedziałam na kuchennym stołku, podczas gdy on wylaździł i wlaździł przez okno, pilnując mięsa, a kiedy kolacja była gotowa, zanosiliśmy nasze talerze do salonu, siadaliśmy na kanapie i oglądaliśmy baseball. Znałam wiele kobiet, dla których nie byłaby to żadna przyjemność, ale mnie podobało się, że gra ułatwiała rozmowę, że mogliśmy mówić albo milczeć. A Charlie był wyjątkowo słodki, kiedy wyjaśniał mi tajniki gry. Mówił: „Dobrze obronił, bo kiedy piłka leci prosto na ciebie, trudno określić, z jaką siłą” albo: „Wyautowali go, bo sfaulował po drugim uderzeniu”.

Każdego ranka Charlie jadł śniadanie w kawiarni przy Atwood Avenue i prosił, żebym się tam z nim spotkała, ale ja się bałam, bo moglibyśmy wpaść na kogoś znajomego, kto by pomyślał, że spędziliśmy razem noc. („W takim razie może powinniśmy tak zrobić”, żartował, ale ja dorastałam przed erą swobody seksualnej, kiedy zaczęłam studia, obowiązywała cisza nocna — w tygodniu od dziesiątej, w weekendy od północy — a mężczyźni mieli zakaz wstępu do naszego akademika; było mi trudno pozbyć się tak głęboko zakorzenionych przyzwyczajęń). Poza tym w ciągu dnia pracowałam: chciałam skończyć moje zwierzęta przed pierwszymi zebraniem nauczycieli, które miały się odbyć pod koniec sierpnia, a w miarę jak mijały tygodnie, rzeczywiście zaczęłam układać plany lekcji. Szczyciłam się, że jestem bibliotekarką, która nie powieła rok w rok tego samego materiału, a w tym roku szczególnie cieszyłam się na książkę *Salako i*

tysiąc papierowych żurawi, którą planowałam jako wstęp do zajęć z origami z czwartoklasistami.

Jeżeli chodzi o zajęcia Charliego, nazywał ten okres ciszą przed burzą — ciągle to powtarzał, przy mnie i przy innych. Ja nie chciałam zbytnio wypytywać go o zbliżające się wybory do Kongresu, ponieważ na samą myśl robiłam się nerwowa, poza tym wygrana jakoś nie wydawała mi się realna. Czy on naprawdę zamierzał większą część roku spędzać w Waszyngtonie, siedzieć w biurze na Kapitolu, debatować o polityce, głosować w Izbie? Mój niespokojny, wesoły, wysportowany, spontaniczny Charlie? Miałam wrażenie, że odgrywa rolę w jakiejś sztuce. No i przede wszystkim, gdyby został wybrany (co było mało prawdopodobne, ale gdyby jednak), to co się stanie z nami?

Do pracy w zarządzie Blackwell Meats nie jeździł, jak zdążyłam się zorientować, częściej niż dwa razy w tygodniu. Co prawda jeździł regularnie do Milwaukee, ale głównie po to, żeby w południe zagrać w tenisa z jednym z braci, co poprzedzał lunchem w towarzystwie Hanka Uckera i któregoś z możliwych sponsorów jego kampanii, prawników z wielkich firm, dyrektora zakładów produkujących silniki do motorówek, ludzi, których sam Charlie określał mianem sztywniaków. Pewnego razu ostrożnie zapytałam, czy swoją pracę w zakładach mięsnych uważa za pełnoetatową, na co on opowiedział bez cienia wahania.

— Alice — rzekł. — Oto rzut oka na to, kim jestem. Bycie Blackwellem jest moją pracą na pełny etat.

Późnymi popołudniami lub w weekendy, kiedy to coraz częściej rezygnowałam z wyjazdu do Riley, chodziliśmy z Charliem popływać na BB Ciarke Beach („Powinnaś nosić bikini”, stwierdził za pierwszym razem, kiedy zobaczył mnie w moim jednoczęściowym kostiumie w czerwono— białe paski), potem graliśmy w badmintonu u Hickenów albo spotykaliśmy się w Terrace z Howardem i jego kolejną młodą zdobyczą — Petal należała już do przeszłości — i Howard wraz z Charliem wypijali po kilka kufla piwa (Charlie zawsze prowadził w tamtą stronę, ale wracałam już niezmiennie ja), a potem szliśmy z Charliem do domu i grillowaliśmy. Nigdy więcej nie poszliśmy do Gilded Rose ani nie rozmawialiśmy na ten temat. Nie przeszkadzało mi to.

To, jak czułam się w towarzystwie Charliego, od czasu kiedy wyszliśmy razem z przyjęcia u Hickenów, przypominało zawieszenie w stanie permanentnego niedowierzania. Pasowaliśmy do siebie tak idealnie, że to było wręcz nieprawdopodobne, i już na pierwszej randce uznałam to za połączenie rozbawienia i lekkiej nieodpowiedzialności.

Pewnego razu, rok wcześniej, późnym popołudniem w majową sobotę spotkałam w sklepie na Maggie Stenta jedną z nauczycielek z Liess. Zaczęłyśmy rozmawiać, podczas gdy jej dzieci szalały między półkami.

— Słuchaj, może byś do nas wpadła? — zaproponowała w pewnej chwili Maggie. — Jemy dziś hamburgery.

Chociaż miałam przygotowaną wcześniej listę spraw do załatwienia, przyjełam zaproszenie i pojechałam za Maggie do jej domu, gdzie zapomniałam zupełnie o mleku zostawionym na tylnym siedzeniu mojego samochodu.

— Napijesz się sangrii? — zapytała Maggie, kiedy weszliśmy do domu. — Wczoraj mieliśmy gości, i jeśli nie wypijemy tego, co zostało, zepsuje się.

Siedziałyśmy na krzeselkach w ogrodzie, a dzieci Maggie skakały na trampolinie — starsza dziewczynka, Jill, była moją uczennicą. Mąż Maggie był w domu, na piętrze.

— Bob, przygotujesz kolację? — krzyknęła do niego Maggie. — Ja nie mam siły.

Potem zjawiała się sąsiadka Maggie, niejaka Gloria, i oznajmiła nam, że z całą pewnością widziała, jak pod kanapę w jej salonie wbiega jaszczurka.

— Niespecjalnie duża — powiedziała. — Jakies dziesięć centymetrów.

Maggie była wyraźnie zachwycona wieścią, poszliśmy więc do Glorii, gdzie zaczęłyśmy podnosić kanapę, spod której w końcu wybiegła jaszczurka — w kolorze oliwkowym — po czym znikła w wywietrzniku w podłodze. Maggie uznała, że potrzebna nam będzie siatka, której żadna z nas nie posiadała, wobec czego zostawiłyśmy dzieci pod opieką męża Maggie, a same poszliśmy do sklepu żelaznego, chociaż mąż Maggie ostrzegał nas, że będzie zamknięty. Rzeczywiście był zamknięty.

— Widziałaś kiedyś bardziej niewychowane dzieci od moich? — zapytała Maggie życzliwie, kiedy wracałyśmy.

Wróciłyśmy do domu Glorii, tam rozejrzałyśmy się po piwnicy, niesamowicie zagraconej, nigdzie jednak nie znalazłyśmy nawet śladu jaszczurki. Dochodziła już wtedy siódma wieczorem, musiałam przygotować lekcje na następny dzień, lekko wstawiłam się sangrią (skończyło się na tym, że dwie godziny później zadzwoniłam po taksówkę), a mleko na tylnym siedzeniu samochodu na pewno zdążyło się zepsuć. Ale to, jak czułam się tamtego popołudnia, przypominało stan, w jakim się znajdowałam, przebywając z Charliem. To nie jest moje prawdziwe życie. Powinnam robić co innego. Świetnie się bawię.

W połowie sierpnia wybrałam się do fryzjera w Salon Styles. Ledwo usiadłam na krześle ze świeżo umyтыми włosami, a już zagadnął mnie Richard, który zawsze mnie strzygł.

— Słyszałaś o Elvisie? — zapytał.

— Chyba nie.

— Nie żyje. W radiu mówili, że miał atak serca, ale mnie się wydaje, że stary drań za bardzo lubił różne lekarstwa.

W ogromnym lustrze, przed którym siedziałam, ujrzałam, jak oczy robią mi się wielkie niczym spodki.

— Nie był przecież stary, prawda?

— Miał czterdzieści dwa lata. — Richard rozdzielił mokre włosy przedziałkiem na środku głowy i ujął w ręce pasma po obu stronach mojej twarzy, trzymając je za końcówki. — Ile tym razem podcinamy?

Wieczorem, jak tylko wróciłam do domu z pracy, wykręciłam numer Deny. Słyszając, w jak przyjacielskim tonie mówi do słuchawki, jeszcze nie zdając sobie sprawy, że to ja, poczułam lekkie ukłucie w sercu.

— Mówi Alice — powiedziałam. — Myślałam dzisiaj o tobie w związku z... Na pewno już wiesz, że Elvis nie żyje. Pamiętasz, jak twoja mama zabrała nas na premierę *Więziennego rocka*, a potem zrobiła nam kanapki z masłem orzechowym i bananami? — Dena nie odpowiedziała od razu, dodałam więc: — Czy twoja mama jest bardzo smutna?

— Nie rozmawiałam z nią.

— Cóż, właśnie myślałam o twojej rodzinie. — Przerwałam. — Dena, brakuje mi ciebie. Przepraszam cię i tęsknię za tobą.

— Wciąż się z nim spotykasz?

— Dena, chodziłaś na randki o wiele częściej ode mnie. Wydaje mi się, że... Cóż, jesteś taka piękna i energiczna, jestem stuprocentowo pewna, że spotkasz tego właściwego. I będziesz się c i e s z y ć, że nie trafił ci się Charlie.

— Miło być jasnowidzem. — Głos miała oschły.

— Nigdy dotąd nie doświadczyłam tego, co z nim przeżywam — powiedziałam. — Nie narażałabym na szwank naszej przyjaźni, ale to jest coś innego, wyjątkowego.

— I zadzwoniłaś, żeby mi to powiedzieć?

Siedziałam przy stole w mojej kuchni ze wzrokiem wbitym w podkładkę z pomarańczowej ceraty we wzorek w motyle i wiedziałam, że Dena mi nie wybaczy.

— Czy twoja siostra dobrze się czuje? — zapytałam mimo to. — Kilka tygodni temu moja mama wspomniała...

— Alice, przestań — powiedziała Dena. — Dobrze? Po prostu przestań.

— Gdybyś zmieniła zdanie... — zaczęłam.

Nie dała mi dokończyć.

— Zostaw mnie w spokoju. Tylko o tyle cię proszę.

Następnego dnia pod wieczór staliśmy z Charliem w kolejce do kasy w sklepie spółdzielni.

— Chwila moment — powiedział, obracając się ku mnie. — Czy nie kupiłaś przypadkiem domu?

Zamarłam, ale tylko na sekundę.

— Inspekcja budowlana nie wypadła dobrze.

— Co się stało?

— Belka w piwnicy się przesunęła i całe fundamenty są niestabilne.

Nadine mówiła mi kiedyś o klientach, którzy chcieli kupić dom, którego inspekcja wykazała dokładnie taki problem. Poczułam się niezręcznie, kłamiąc w ten sposób, ale jak miałam wytłumaczyć Charliemu łańcuch wydarzeń, które zmusiły mnie do rezygnacji, jak miałam mu opowiedzieć o mamie i jej inwestycji, jeszcze zanim pozna ją osobiście, by nie uznał jej za lekkomyślną czy nieodpowiedzialną, w jaki sposób mogłam mu wytłumaczyć, co łączy moją rodzinę z Petem Imhofem? Nigdy nie wspomniałam ani Wade'owi Trommlerowi, ani Simonowi Tórnkvistowi o Andrew; zwłaszcza w przypadku Wade'a zastanawiałam się, czy nie dowie się sam, jako że nie byłam jedyną osobą z Riley mieszkającą w Madison, ale o ile mi wiadomo, nigdy nic podobnego się nie stało.

— To pech — powiedział Charlie.

— Chyba nie było mi pisane.

Kiedy doszliśmy do kasy, zaczęłam wyklądać moje zakupy. Do wieczornych steków postanowiłam zrobić sałatkę z soczewicy i Charlie poszedł ze mną do sklepu spółdzielni. Nigdy wcześniej nie był w podobnym przybytku.

— Zawsze podejrzewałem, że jesteś hippiską — powiedział, kiedy weszliśmy do środka.

Wyłożyłam soczewicę, czosnek, ser feta, orzechy, oliwę z oliwek i świeży koperek.

— Jak myślisz — zagadnął, nie patrząc na mnie. — Ile kosztowałyby naprawa fundamentów?

— Och... — zawahałam się.

Wyczuwałam, że wkraczamy na grząski grunt, dotykamy delikatnego tematu z wieloma skomplikowanymi podtematami. Kiedy dwa dni wcześniej w mieszkaniu Charliego, trzymając talerz, weszłam z kuchni do salonu, zauważyłam na stole czek wystawiony na Charlesa Blackwella, opiewający na dwadzieścia tysięcy dolarów. Ale czek był też wystawiony przez Charlesa Blackwella — jego nazwisko widniało w lewym górnym rogu. W życiu nie widziałam czeku na taką sumę, nie miałam pojęcia, na co był przeznaczony ani dlaczego był jednocześnie od i dla Charliego. Nie tknęłam go, tylko przysiadłam na kanapie i czekałam na Charliego. Kiedy wszedł ze swoim talerzem, usiadł, rzucił okiem na czek, po czym bez słowa kontynuował rozmowę, którą zaczęliśmy w kuchni.

W sklepie odparłam:

— Naprawa fundamentów prawdopodobnie kosztowałyby tyle co kupno całego domu. Nie warto.

Kasjerka zaczęła kasować nasze zakupy, a za nami kolejna klientka wykladała swoje. Była smukła, mniej więcej w naszym wieku, miała na sobie bluzeczkę z krótkimi rękawami i wiążaną w pasie spódnicę. Swoich piegów i jasnorudych włosów na pewno sama nie znosiła, ale ja zawsze uważałam je za urocze.

— Czy to był dom twoich marzeń, czy też miałaś do niego stosunek taki sobie? — zapytał Charlie.

— Raczej taki sobie — odparłam, starając się zachować spokój.

Nie mogłam ciągnąć tej rozmowy, bo chyba bym się rozplakała. Do rozpacz doprowadzało mnie nie to, że straciłam dom — aż tyle o tym nie myślałam — ale to, że wszystko wydawało się takie trudne i dziwaczne. Gdybym powiedziała: „Bardzo proszę, kup mi ten dom. Nie mam nic przeciwko temu”, czy Charlie by się zgodził? Zauważyłam, że rudowłosa wzięła rzeczy, jakie zwykle kupują ludzie samotni: opakowanie płatków śniadaniowych, kilka jabłek, plastikowe opakowanie zwykłego jogurtu.

— Już nie mogę się doczekać sałatki z soczewicy — powiedział Charlie, kiedy kasjerka nas podliczała.

Nachylił się i pocałował mnie w policzek.

Nagle z porażającą jasnością zrozumiałam, że teraz zaliczam się do innej kategorii ludzi. Przez dekadę mego dorosłego życia byłam jak ta rudowłosa kobieta: kupowałam płatki i jogurt, stałam obok par i patrzyłam, jak obdarzają się czułościami; teraz sama stanowiłam część takiej pary. I miałam niemal całkowitą pewność, że już nigdy nie wrócę do stanu poprzedniego. Wiedziałam, jak ona żyje, znałam to aż za dobrze! Chciałam uścisnąć jej piegowatą rękę i powiedzieć: „Dobrze jest być po drugiej stronie, ale ty też nie musisz narzekać. Baw się i korzystaj. Samotność jest trudna i ogromnie przeszkadza,

ale za to inne rzeczy stają się o niebo łatwiejsze”.

*

Kilka miesięcy wcześniej razem z Ritą Alwin kupiliśmy bilety na przedstawienie *Romeo i Julia* w małym teatrze eksperymentalnym i kiedy w końcu wybrałyśmy się w tym tygodniu, okazało się, że eksperyment polegał na tym, iż występujący aktorzy byli nadzy przez cały czas trwania sztuki. Nie byli szczególnie utalentowani. Co chwilę zerkałyśmy z Ritą na siebie i chichotałyśmy.

— Nie uważasz, że dość się napatrzyłyśmy? — zapytała Rita w czasie anaktu.

Poszłyśmy na lampkę wina do baru za rogiem.

— Coś się w tobie zmieniło — powiedziała, kiedy usiadłyśmy naprzeciwko siebie.

— Ściąłam włosy. — Zmierzwiłam je żartobliwie.

Wtedy nosiłam je sięgające brody, wciąż były gęste i ciemne (w duchu szczycałam się, że nie muszę potajemnie wrywać pojedynczych siwych włosów), po bokach lekko nastroszone. Ubiegłej wiosny ktoś mi powiedział, że przypominam Sabrinę z *Aniołków Charliego*, ale ta uwaga bardziej mnie zaniepokoiła, niż mi schlebiała, jako że wypowiedziała ją dziewczynka z trzeciej klasy.

— Nie chodzi o włosy — rzekła Rita. — Ty promieniejesz. — Nachyliła się ku mnie. — Zakochałaś się?

— Co? Nie. Nie, ale chyba jestem trochę opalona. — odparłam. A po chwili dodałam: — Cóż, spotykam się z takim jednym, ma na imię Charlie.

— Wiedziałam!

Rita skończyła sześćdziesiąt lat, nie miała męża, i chociaż była atrakcyjna, chyba z nikim się nie spotykała. Wiedziała o Simonie, ale rzadko wspominałam jej o przypadkowych randkach, na jakie czasem się wybierałam — uważałam za żenujące, kiedy kobiety bez przerwy opowiadały o swoich sprawach sercowych.

— Przeprowadź go na piknik z okazji rozpoczęcia roku szkolnego — powiedziała Rita. — Jaki on jest?

— Jest przystojny i zabawny. Sama nie wiem, bardzo miły. I naprawdę przystojny.

Rita poklepała mnie po ręce. Zaskoczyło mnie, że wyglądała na szczerze uradowaną.

— Wiedziałam, że w końcu cię to spotka — stwierdziła.

W życiu bym nie pomyślała, że to możliwe, ale w porównaniu z mieszkaniem w Houghton, lokum Charliego w Madison wyglądało jak szczyt osiągnięć dekoratorskich. Bez konkretnego powodu pojechałam tam z nim w piątek po południu — ponieważ teraz już wszędzie wybieraliśmy się razem — i stwierdziłam, że wynajął, czy raczej Hank Ucker wynajął w jego imieniu mieszkanie w pozabawionym wyrazu czteropiętrowym budynku cztery przecznice od centrum. Był to lokal z dwiema sypialniami i aneksem kuchennym, brązową wykładziną na podłodze, żółtą narożną kanapą w drobne niebieskie i czerwone zygzaki i niskim stolikiem do kawy. Na podłodze w kącie stał niepodłączony telewizor. Szafy świeciły pustkami, w łazience nie było mydła, żadnych ręczników, ścierek w kuchni, nawet serwetek; za to na kuchennym zlewie znajdował się pojemnik pełen płynu do naczyń, i kiedy po skorzystaniu z toalety umyłam nim ręce, Charlie wypiął w moją stronę brzuch.

— Wytrzymaj się we mnie — powiedział. — O rany, teraz to mnie naprawdę podnieciłaś — rzekł, gdy użyłam jego koszuli jako ręcznika.

— Po co ci dwie sypialnie, skoro i tak nigdy tu nie sypiasz?

— W końcu zjawi się jakiś dziennikarz i zacznie węszyć — uśmiechnął się Charlie. — Jedna sypialnia mogłaby wyglądać podejrzanie, jakbym tylko wynajmował tu mieszkanie, żeby uwiarygodnić swoje kandydowanie z tego okręgu. Nie chciałbym wypaść jak jakiś cyniczny polityk w oczach zacnych obywateli Houghton.

— Powinniśmy pójść na zakupy — stwierdziłam.

— Wy, kobiety, zawsze tak mówicie.

Wykrzywiłam się w odpowiedzi.

— Żartuję — rzekł. — Maj obiecała przygotować tu wszystko, zanim się wprowadzę, ale jeżeli tak ci zależy, żeby zostawić ślad swojej damskiej rączki, proszę bardzo.

Maj było chyba przezwiskiem, jakim Charlie i jego bracia zwracali się do matki — skrótem od Her Majesty, Jej Wysokość. Charlie twierdził, że matce przezwisko naprawdę się podoba; nie pamiętał, kiedy zaczęli tak do niej mówić, ale chyba najstarszy brat chodził wtedy do liceum, a Charlie był w czwartej albo piątej klasie. Zapytałam, jak zwracają się do ojca. Odparł, że tato — oczywiście — po czym dodał, że wnuki wołają na dziadka Pif— paf, a na babcię Grandmaj.

— Mówię o kupnie mydła, co większości ludzi kojarzy się raczej z higieną niż przyozdabianiem domu — powiedziałam. — To miejsce jest przygnębiające, ale nie musi takie być. Jest przygnębiające, poza tym wygląda jak oszustwo.

— Bo to jest oszustwo. — Pochylił się i pocałował mnie.

— Charlie, skoro startujesz z tego okręgu, powinieneś spędzać tu czas. Na świecie są gorsze miejsca do mieszkania od Houghton.

— Myślisz, że zastanawiali się, czy hasło reklamowe miasta nie powinno tak właśnie brzmieć?

— Możesz wierzyć albo nie, ale ja staram się pomóc. — Rozejrzałam się.

— Zawrzyjmy układ. Ulokujemy cię tutaj naprawdę. Kupimy pościel, ręczniki i jedzenie — nic, co by się mogło zepsuć, ale co nieco, żeby zappełnić szafki. A potem zostaniemy tu na noc.

Wciąż jeszcze ani razu nie spędziliśmy wspólnie całej nocy aż do rana, co wydawało się prawdziwą głupotą z mojej strony.

— Może najpierw się poprzytulamy, a na zakupy pójdziemy później?

— zaproponował Charlie.

— Nie będę się przytulać na łóżku bez pościeli.

— Ciężko się z tobą rozmawia, Lindy. — Lindy było nowym przezwiskiem nadanym mi przez Charliego, skrótem od mojego nazwiska. — Mam nadzieję, że nie jesteś na tajnej liście płac Izby Handlowej Houghton?

Uśmiechaliśmy się do siebie. I tak to właśnie wyglądało z Charliem: ilekroć traciłam do niego cierpliwość, jednocześnie czułam rozbawienie. Bawił mnie, a jego bawiły próby przypodobania się mu. Czułam, że naprawdę mogę mu pomóc, że moje zorganizowanie i spokój równoważą jego energię i wesołość, i vice versa.

— Nawet gdybym była — powiedziałam — nigdy bym ci się nie przyznała.

Późnym popołudniem kochaliśmy się, ale ostatecznie wylądowaliśmy na kanapie, bo chociaż kupiliśmy pościel, chciałam ją najpierw wyprać.

— Kto tak robi? — zdziwił się Charlie.

— Wszyscy — odparłam.

Zmarszczył brwi.

— Ale przecież jest całkiem nowa i nieużywana.

Leżeliśmy nadzy na kanapie, a on pieścił mnie tak długo, aż poczułam te ciepłe, gwałtowne skurcze i wtedy wszedł we mnie. Kiedy skończyliśmy, leżeliśmy, a pot na naszych ciałach stopniowo wysychał.

— Biedny Hank Ucker pewnie zasiądzie któregoś dnia na tej kanapie, nie mając pojęcia, co się na niej wcześniej odbywało — powiedziałam.

— Nic nie sprawi mu większej przyjemności — odparł Charlie. — Ale kiedy usiądzie tu moja matka...

— Nawet nie kończ. To zbyt krępujące.

— Niedługo musisz poznać moją rodzinę — powiedział. — Teraz są w Seattle, ale wszyscy przyjadą do Halcyon w Door County na Święto Pracy.

Och, i na Boże Narodzenie, musisz przyjechać na Boże Narodzenie. Maj robi fenomenalną gęś. Tajemnica polega na tym, że maceruje ją w piwie imbirowym.

Odnosiłam wrażenie, że rodzice Charliego głównie podróżują. Teoretycznie mieszkali w Milwaukee, ale wciąż odwiedzali przyjaciół w Denver lub Bostonie, przyjeżdżali do Door County (najwyraźniej był jeszcze jeden dom, trzeci, na Sea Island w Georgii), latali do Wirginii, żeby Harold Blackwell mógł wygłosić mowę na tamtejszym uniwersytecie, albo na biznesową konferencję do Oklahoma City, gdzie miał wystąpić jako główny mówca. Uważałam, że to musi być wyczerpujące, chociaż sama osobiście leciałam samolotem zaledwie dwukrotnie: raz jako dwudziestolatka z rodzicami i babcią do Waszyngtonu, gdzie razem z tatą weszliśmy pieszo na szczyt Washington Memoriał, podczas gdy mama i babcia wjechały windą; drugi raz, kiedy miałam dwadzieścia sześć lat i jeszcze nie zaczęłam odkładać na dom, w czasie wiosennych ferii razem z Ritą Ałwin wybrałyśmy się na wycieczkę do Londynu, gdzie przejechałyśmy się dwupiętrowym autobusem i byłyśmy na *Kupcu weneckim* i *Pułapce na myszy*. Charlie natomiast podróżował bardzo dużo. Kiedy podczas rozmowy była mowa o różnych miejscach, mimochodem wspominał, nie bacząc, czy rozmówca będzie pod wra-

zeniem, czy też raczej poczuje niechęć, że tam był: w Honolulu, Charleston i Palm Springs, Marthas Vineyard i Dallas, Nashville i w Nowym Orleanie. Baltimore, jak twierdził, było „brudne”, a Portland w Oregonie to „nuda”.

— Mój brat, Arthur, zaczyna podejrzewać, że coś jest na rzeczy — mówił Charlie. — Od kilku tygodni próbuje mnie przedstawić jakiejś dziewczynie i w końcu mu powiedziałem, żeby dał sobie spokój, co było raczej, nazwijmy to — uśmiechnął się — niespotykane.

Jak zdołałam się zorientować, Charlie był najbliższym z Arthurem, zarówno wiekowo, jak i pod względem przyjaźni; wszyscy jego bracia byli już żonaci.

— Gdyby jakiś facet chciał się z tobą umówić, odmówiłabyś, prawda? — zapytał.

— Oczywiście, Charlie, nie sypiam z każdym na lewo i prawo.

— Nie, nie o to mi chodziło. Po prostu upewniam się, że rozumiemy się w tej kwestii.

— Wiesz, jesteśmy bardzo blisko miejsca, gdzie mieszka moja rodzina — powiedziałam. — Może powinniśmy wybrać się tam jutro.

— Myślisz, że sprostam wymaganiom pań Lindgren? ' j — Jeżeli będziesz się zachowywał, jak należy.

Roześmiał się.

— Mam nie prosić twojej babci, żeby pociągnęła mnie za palec?²

Było już pół do siódmej, więc wstaliśmy, ubraliśmy się i przygotowaliśmy kolację. Wcześniej kupiliśmy talerze, sztuce, garnki i patelnie w Scori—lio, jedynym domu handlowym w Houghton — uparłam się, żeby przed użyciem również wszystko umyć — potem wstąpiliśmy do sklepu spożywczego po spaghetti, sos marinara i chleb. (Charlie szepnął do mnie: „Myślisz, że inni klienci patrzą na ciebie i myślą sobie, cóż za rozwiązała dama z ciebie, skoro zostajesz na noc u swojego chłopaka?”). Kiedy szykowaliśmy jedzenie, panowała leniwa atmosfera; z sypialni przynieśliśmy radio i nastawiliśmy stację z jazzem. Nagle w głowie sprecyzowała mi się myśl, która już kilkakrotnie mnie nachodziła, ale zawsze nie do końca jasna: prawie całkowita pewność, że pocałunek babci i doktor Wycomb, którego byłam świadkiem przed laty, musiał być pocałunkiem po stosunku. Wtedy go nie rozpoznałam; wystarczyło mi — aż nadto — że widziałam, jak się obejmują, nie mając pojęcia, czy to dopiero wstęp, przygotowanie do czegoś. Jednak z perspektywy czasu nie dało się zaprzeczyć: ta leniwa, pełna miłości,

² Żart polegający na tym, że ktoś pociągnięty za palec puszcza bąka (przyp. tłum.).

znużona czułość, jaka rodzi się między dwojgiem ludzi, którzy już nie zmiierzają do aktu, lecz właśnie go spełnili, to przepełnione szczęściem rozluźnienie. Mało prawdopodobne, bym głosiła takie teorie w pierwszych tygodniach mojej znajomości z Charliem, ale wraz z wiekiem doszłam do przekonania, że najlepszą częścią jest spełnienie. W miejsce z konieczności pełnych napięcia zabiegów poprzedzających stosunek pojawiają się miłe, prozaiczne zmartwienia: kiedy wstać z łóżka, gdzie podziała się koszula, co zjeść. Żadna ze stron już nie stara się przekonać tej drugiej, żeby już dążyć do finału bądź go jeszcze odwlec; nikt już nie próbuje niczego osiągnąć, tylko zwyczajnie można nawzajem cieszyć się swoim towarzystwem.

Około trzeciej nad ranem obudziłam się i stwierdziłam, że moja ręka spoczywa na kroczu Charliego. Oboje leżeliśmy nadzy pod prześcieradłem, bo Charlie przekonał mnie, że podczas naszej inauguracyjnej nocy razem powinniśmy mieć pościel. On spał na plecach, ja na boku obok niego, z głową na tej samej poduszce, a dłońią na górnej części jego uda. Zamarłam. Jeżeli jednak poruszę ręką, czy on się zorientuje, że w ogóle ją tam trzymałam? Najwolniej jak potrafiłam przesunęłam palce o kilka centymetrów, a on się poruszył, dokładnie tak jak się obawiałam. Przytulił mnie do siebie jedną ręką i nie otwierając oczu, pocałował mnie we włosy, po czym zasnął z powrotem.

Leżałam w ciemności z otwartymi oczami. Czy tak naprawdę nie wystawiałam nas na próbę? Czy nie zastanawiałam się, choćby tylko podświadomie, na ile mogę sobie pozwolić, co jest niestosowne, na ile możemy zbliżyć się do siebie? Charlie tymczasem albo niczego nie zauważył, albo go to nie poruszyło. Przesunęłam rękę tam, gdzie wcześniej leżała, i także zasnęłam.

Kiedy następnego dnia zjawiliśmy się w moim domu w Riley, zapukałam do drzwi i otworzyła nam babcia, ubrana w pomarańczową akrylową sukienkę bez rękawów, pończochy i pomarańczowe szpilki. Cieniuteńki pasek z białej skóry opasywał jej szczupłą talię, a odkryte ramiona wyglądały przeraźliwie mizernie. Kilkakrotnie obrzuciła wzrokiem najpierw mnie, potem Charliego — musiała wyciągać szyję — po czym klasnęła w dłonie.

— Ale będzie zabawa! — wykrzyknęła.

Podstawiła mi policzek do pocałowania.

— To jest Charlie — powiedziałam. — Charlie, to moja babcia, Emilie Lindgren. Babciu, chciałam zadzwonić, ale byliśmy w okolicy i...

— Moja droga, uwielbiam niespodzianki. Mam nadzieję, że ty także — dodała łobuzerskim tonem.

Tak naprawdę nie zadzwoniłam celowo, bo po pierwsze, nie chciałam zwracać uwagi na fakt, że Charlie i ja spędziliśmy razem noc w Houghton, ale także dlatego, że nie chciałam, aby mama czuła się zobowiązana do przygotowania wystawnego posiłku, w zasadzie bez uprzedzenia. Jadły lunch codziennie o wpół do pierwszej, a kiedy weszliśmy do domu, było za kwadrans druga.

— Proszę pani, obiecałem pani wnuczce, że będę zachowywał się jak najlepiej — powiedział Charlie, ale zanim babcia zdążyła odpowiedzieć, rozległ się głos mamy.

— Kto przyszedł, Emilie? — zawołała.

I weszła do salonu, a jej oczy zrobiły się wielkie.

— Alice, spodziewaliśmy się ciebie dopiero w przyszły weekend. — Wpadliśmy tylko przejazdem — powiedziałam. — Chciałam was przedstawić. .. To jest Charlie. Charlie, to moja mama.

— Dorothy Lindgren — rzekła mama, po czym uścisnęli sobie z Charliem dłonie.

Zapadła przydługa chwila ciszy, którą w końcu przerwała mama, ale ze znacznie mniejszym entuzjazmem, niż mogłam oczekiwać.

— Może usiadzimy w pokoju obok?

Czyżbym wpadła na nie najlepszy pomysł? Dopiero kiedy weszliśmy do jadalni, gdzie mama z babcią zazwyczaj nie zostawały zbyt długo po lunchu, zrozumiałam, w czym rzecz. Przy stole, w koszuli z krótkimi rękawami, popijając kawę z filiżanki, dziwnie małej w dłoni tak postawnego mężczyzny, siedział Lars Enderstraisse. Nie musiałam na nią patrzeć, by wyczuć, że moja babcia triumfuje; wyczuwałam też niespokojne skrępowanie mamy.

— Kochanie, znasz pana Enderstraisse — powiedziała. — Lars, pamiętasz moją córkę, Alice, a to jest jej przyjaciel, Charlie... Jak się nazywasz, Charlie?

— Blackwell — odpowiedziałam pośpiesznie.

— Bardzo proszę, mówcie do mnie Lars — odezwał się pan Enderstraisse. Charlie i ja usiedliśmy na krzesłach, przed którymi nie było żadnego nakrycia na stole.

— Może zjecie szynkę? — zaproponowała mama.

— Już jedliśmy lunch — odparłam. — Przepraszam, że nie zadzwoniłam, żeby was uprzedzić, ale właśnie byliśmy w Houghton. — Już żałowałam, że postanowiliśmy przyjechać bez zapowiedzi. Znowu zapadła cisza.

— Może przynajmniej podam wam coś do picia — przerwała ją mama. ; — Nie, dziękujemy — powiedziałam.

— Napiłbym się piwa, jeśli jest — odezwał się w tej samej chwili Charlie.

— Pomogę ci. — Wstałam. — Ktoś jeszcze ma ochotę?

— Piwo niezbyt służy Larsowi — oznajmiła autorytatywnie moja babcia. Choć prawdopodobnie tylko ja to zauważyłam, moja babcia wprost emanowała samozadowoleniem.

— Wzdęcia, gazy i tym podobne — potwierdził pan Enderstraisse. Wyglądał na szczerego. Zastanawiałam się, czy rzeczywiście spotyka się

z mamą. Nigdy wcześniej nie widziałam go bez munduru pracownika poczty.

— Alice, usiądź — powiedziała mama, a ja, choć niepewnie, usłuchałam.

— Alice, założę się, że nie słyszałaś o włamaniu do Schlingheyde'ów— babcia zwróciła się do Charliego i mnie. — O niczym innym nie mówi się ostatnio w sąsiedztwie. Don i Shirley przespali całe zajście, ale rano zobaczyli, że okno w kuchni jest zbite, nie ma telewizora, znikło też całe srebro Shirley. Najdziwniejsze jednak, że na suszarce w kuchni znaleźli połowę kanapki z indykiem, kilka razy nadgryzionej. Wyobrażacie sobie, że ktoś robi sobie coś do jedzenia i jednocześnie okrada dom? Nawet posmarował chleb majonezem.

— Kiedy to się stało? — zapytałam.

— Dorothy, czy to było w sobotę w nocy? — zawołała moja babcia przez ramię.

— W poniedziałek — powiedziała mama, zjawiając się w drzwiach do jadalni z piwem dla Charliego. — Pomyślałam sobie, że to ktoś z poważnymi problemami.

Podawała piwo Charliemu.

— Raz w latach sześćdziesiątych przyjaciele rodziców też zostali obrabowani — powiedział Charlie dobrodusznie. — I złodziej zostawił jeden but.

Charlie, rzecz zrozumiała, nie miał pojęcia, jak niezwykła jest obecność Larsa Enderstraisse.

— Mam nadzieję, że zamykacie drzwi na klucz — powiedziałam.

— Och, policja Riley złapie gościa w jednej chwileczce — odparła babcia uroczystym tonem. — Jeżeli szeryf Culver wyrwie się z Tawerny Grady'ego na dłużej niż godzinę, włamywacz nie będzie miał szans. — Bez ostrzeżenia zwró-

ciła się do Charliego. — Cóż takiego uczyniłeś, że zasłużyłeś na wizytę w domu przodków Alice?

— Zdobyłem jej serce — odparł Charlie z uśmiechem.

Ogarnęła mnie lękliwa ciekawość, czy babcia i Charlie przypadną sobie do gustu. Oboje mieli żywe temperamenty, jednak chyba nie tego samego rodzaju, a czasem różne odmiany tej samej skłonności okazują się gorsze od całkowitej odmienności. Pod stołem Charlie wziął mnie za rękę.

— Charlie, czy ty również jesteś nauczycielem? — zapytała mama.

— Nie, proszę pani, pracuję w przemyśle mięsnym. — Kiedy ścisnął mnie za rękę, zastanawiałam się, czy wyczuwa, jak bardzo jestem spięta. — Dzielę swój czas między Houghton, Madison i Milwaukee.

Czy Charlie zakładał, że zdążyłam już im powiedzieć, z jakiej pochodzi rodziny? Zważywszy na to, że nie, być może powinnam zrobić to teraz, kiedy moja skrytość lada moment mogła zmienić się w jawne kłamstwo.

Babcia zapaliła papierosa, którego wyjęła z paczki leżącej obok jej talerza.

— Musisz zostawiać sporo kasy na stacjach benzynowych.

— Charlie, słyszałem jak Alice mówiła, że nazywasz się Blackwell — przemówił Lars Enderstraisse. — Czy jesteś jakoś spokrewniony z kiełbasami Blackwell albo dawnym gubernatorem?

— Mam nadzieję, że nie — powiedziała radośnie babcia. — Ten stan dusił się pod jego rządami.

— Harold Blackwell jest ojcem Charliego — powiedziałam pewnym głosem, jakbym mogła w ten sposób zagłuszyć po fakcie jej uwagę.

Zapadła cisza, którą w końcu przerwał właśnie Charlie.

— Tylko polityka potrafi wzbudzić tak zażartą niechęć, prawda? — powiedział i się uśmiechnął, słabo co prawda, ale przynajmniej się starał.

— Tw o i m ojcem jest Harold Blackwell? — Wyraz zaskoczenia wykrzywił twarz mojej matki.

— W przyszłym roku Charlie startuje w wyborach do Kongresu — dodałam. — Ale to tajemnica, więc nikomu nie mówcie.

Zerknęłam, by sprawdzić, czy się zezłościł, i zobaczyłam, że bynajmniej nie jest zachwycony, lecz trudno mi było stwierdzić, czy bardziej zirytowała go uwaga mojej babci czy też mój brak dyskrecji. Czy nie lepiej jednak było za jed-

nym zamachem mieć to wszystko za sobą? Czy też może się okazać, że ta wizyta położy gwałtowny i zdecydowany koniec naszemu związkowi, ukazując na tle mojej rodziny, jak w gruncie rzeczy niewiele nas łączy?

— Wybory do Kongresu. Wielkie nieba! — wykrzyknęła mama, a ja przypomniałam sobie, jaką jestem ignorantką w kwestii jej politycznych upodobań. — Czeka cię niezwykle interesujący okres.

— Swoją kandydaturę zgłoszę dopiero w styczniu — powiedział Charlie. — Szczerze powiedziawszy, nie będzie mi łatwo, mając za przeciwnika takiego starego wyjadacza jak Alvin Wincek. Ale naprawdę uznałbym za przywilej, mogąc służyć mieszkańcom Szóstego Okręgu Wisconsin.

Błagam, tylko nie przybieraj tego swojego tonu mówcy, pomyślałam. Nawet nie mogłam spojrzeć na babcię.

— Jesteś republikaninem jak twój ojciec? — zapytała, a kiedy odważyłam się na nią zerknąć, zobaczyłam, że spogląda wyzywająco na Charliego.

— W rzeczy samej — przyznał ugodowym tonem.

— W tak postępowym mieście jak Madison powinni was wszystkich przegonić na cztery wiatry — stwierdziła babcia.

— Pozory mylą. — Charlie w dalszym ciągu mówił uprzedzająco grzecznie.

— Protestujący studenci są głośni i wojowniczo nastawieni, ale prawdziwym kręgosłupem Madison są ciężko pracujące rodziny z klasy średniej.

Przestańcie obydwójce, chciałam krzyknąć.

— Republikanin, którego naprawdę podziwiam, to Gerald Ford — powiedziała mama. — Znalazł się w takiej trudnej sytuacji, na dodatek ta jego biedna żona, musi się tak zmagać ze swoim zdrowiem.

— Jerry to lojalny żołnierz frontowy — rzekł Charlie. — To człowiek, który zna swoje mocne strony, ale i ograniczenia.

Nastąpiła pauza, podczas której zdawaliśmy się oceniać, w którą stronę potoczy się rozmowa. Charlie ściągnął cugle.

— Ma pani piękny dom, pani Lindgren — rzekł, nie pozostawiając wątpliwości, że pani Lindgren, do której się zwraca, to moja mama, w żadnym razie babcia. — Jak długo państwo tu mieszkają?

— Ojej, to już... Emilie, pomóż mi... Przyjechaliśmy tuż przed narodzinami Alice, więc sądzę, że jakieś trzydzieści jeden lat. Charlie, na pewno poznałeś

przyjaciółkę Alice, Denę. Jej rodzice mieszkają dosłownie naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, a sprowadzili się tu niecałe pół roku po nas.

— Poznałem Denę — rzekł Charlie ciepło. — Prawdziwa z niej dusza towarzystwa.

— Och, to istny pistolet. Lillian mówiła mi, że interes w jej sklepie wręcz kwitnie.

— A co tam u jej siostry? — zapytałam.

— Wydaje mi się, że ma się już lepiej. — Mama się uśmiechała. — Charlie, czy Alice mówiła ci, że jej ojciec był dyrektorem filii banku Wisconsin State tutaj, w Riley?

Charlie uśmiechnął się również, ale raczej obojętnie.

— Mają też swoje filie w Madison — powiedziałam. — Jedna jest przy West Washington, obok skweru.

— To najlepszy bank w regionie. — Mama energicznie pokiwała głową.

— Na pewno nic nie zjecie? Alice, wczoraj znowu zrobiłam szarlotkę i miałaś absolutną rację, że do ciasta trzeba dodać kwaśnej śmietany.

— Za to mogę ręczyć — wtrącił się Lars. — Muszę przyznać, że gdybym dzisiaj rano wiedział, że zasiądę przy stole z synem gubernatora Wisconsin, wziąłbym ze sobą aparat. Wszyscy na poczcie poumierają z zazdrości, kiedy powiem im to w poniedziałek. — Tu zwrócił się bezpośrednio do Charliego. — Tam właśnie pracuję, na poczcie przy Commerce.

Chciałabym nie odczuwać skrępowania.

— Zdziwilibyście się, ale nawet w mieście takim jak Riley ludzie ślą przesyłki w najbardziej niezwykle miejsca — mówił Lars. — Parę dni temu pewien pan nadał paczkę aż do Brukseli, w Belgii.

— Gdzie przyszła na świat Audrey Hepburn — odezwała się babcia.

Nastąpiła chwila przerwy.

— Pani Lindgren — odezwał się Charlie, najwyraźniej nieporuszony pracą wykonywaną przez Larsa. — Czy mam jeszcze szansę na szarlotkę?

— Ależ naturalnie. — Mama zerwała się z krzesła. — Alice?

— Ja dziękuję, ale pomogę ci w kuchni — zaproponowałam.

W kuchni na piecyku stała przykryta aluminiową folią patelnia, którą mama włożyła do włączonego piekarnika.

— Charlie może zjeść na zimno, mamó.

— Ale ciepła jest znacznie lepsza. Szkoda, że skończył się sos waniliowy. Może powinnam wyskoczyć do sklepu?

— Absolutnie nie.

— Nie miałam pojęcia, że to syn Harolda Blackwella — powiedziała. I po chwili dodała: — Wiem, że obecność Larsa musiała cię zaskoczyć. Któregoś dnia kupowałam znaczki i zaczęliśmy rozmawiać... To bardzo dobry człowiek, Alice.

— Rzeczywiście, wygląda na takiego.

— Nikt mi nigdy nie zastąpi twojego ojca. — Powiedziała to gwałtownie, z zaciętą miną, jakby bała się, że jej nie uwierzę.

— Mamó, uważam, że nic się nie stało. Powinnaś utrzymywać kontakty towarzyskie. Powinniście we dwójkę przyjechać kiedyś do Madison na kolację. Może wzięlibyście babcię, chyba że w tym czasie będzie w Chicago.

Mama wyraźnie się zmieszała.

— Czy babcia mówiła ci, że wybiera się do Chicago?

— Czy za tydzień albo dwa nie wypada pora jej wizyty u doktor Wy— comb?

Mama potrząsnęła głową.

— Babcia już od lat nie odwiedza Gladys.

Zdziwiłam się.

— Nie ma dość sił?

— Cóż, skończyła już osiemdziesiąt dwa lata — powiedziała mama. — Umysł wciąż ma tak ostry i przenikliwy, że łatwo się o tym zapomina. — Mama wzięła minutnik, przyglądałam się, jak nastawia go na siedem minut. Jednocześnie mówiła: — Alice, chciałam ci bardzo podziękować, że sprzedałaś dla mnie broszkę. Wiem, że prawdopodobnie nie dostałaś za nią tyle, ile jest warta, ale każdy cent się przyda.

Nie zostaliśmy długo; myślę, że wszyscy, może z wyjątkiem babci, czuliśmy się znużeni wizytą. Mama się uparła, żeby Charlie wziął ze sobą resztkę szarlotki, której nie zjadł, i już po chwili staliśmy w piątkę w salonie, żegnając się.

— Nareszcie rozumiem, dlaczego Alice tak czule mówi o miejscu, z którego pochodzi — powiedział Charlie do mojej mamy, a jego głos brzmiał głośno i pewnie, ale jakby obojętnie. Później się przekonałam, że w ten sposób zwraca się do swoich wyborców.

— Nigdy nie głosowałam na twojego ojca — powiedziała babcia, ściskając mu rękę. — Ale zawsze podziwiałam wyczucie stylu twojej matki. Kiedyś widziałam jej zdjęcie w przepięknej etoli z lisa.

— Powtórzę jej pani słowa — odparł Charlie, ale bez uśmiechu.

W samochodzie pokazałam mu, jak wyjechać z miasta, i kiedy znaleźliśmy się na autostradzie, przez dziesięć minut żadne z nas nie odezwało się słowem.

— Przepraszam, że wyszło tak niezręcznie — powiedziałam w końcu. — Bardzo się starałam.

Milczał.

— Jesteś zły?

— Pouczasz mnie, jak powinienem się zachowywać, ale kilku lekcji etykiety mogłabyś udzielić swojej babci.

— Charlie, ona ma osiemdziesiąt dwa lata. I zwyczajnie sobie żartowała.

— Chyba tobie wydaje się zabawna, bo mnie wręcz przeciwnie. Pewnie powiesz, że to chamstwo z mojej strony, ale znalazłoby się kilka dziewczyn o republikańskich przekonaniach, które byłyby szczęśliwe, mogąc się ze mną spotykać.

— Nie wątpię.

— Jeżeli mamy być razem, potrzebuję twojego wsparcia. Ubieganie się o urząd jest bardzo stresujące. Patrzyłem, jak mój ojciec przez to przechodził, teraz mój brat, i naprawdę nie jest łatwo. To wyczerpujące. Muszę wyjść do ludzi i przekonać ich, że warto na mnie głosować, ale skoro nie potrafię przekonać własnej dziewczyny, na ile mogę być dla nich wiarygodny.

Milczałam jakiś czas.

— Zagłosowałabym na ciebie — powiedziałam w końcu.

— Masz szczęście, nie startuję z twojego okręgu.

— Nie wierzysz mi?

Zerknął na mnie.

— Jasne, że wierzę. Czemu nie?

— Charlie...

— Same słowa to za mało. — Łypnął na mnie.

— To nie fair z twojej strony.

— Alice, w mojej rodzinie liczy się przede wszystkim lojalność. Nic nie jest równie ważne. Ktoś obraża Blackwella i koniec. Jeszcze w podstawówce dzieciaki myślały, że uda im się mnie wciągnąć w dyskusję albo chciały mnie podpuścić — nie obchodziło mnie to. Ja nie próbuję ludzi przekonywać. Odcinam się od nich. Kiedy więc słyszę, jak twoja babcia...

— Naprawdę przykro mi, że to powiedziała.

— Jako urzędnik państwowy skupiasz wokół siebie zwolenników, starasz się pozyskiwać niezdecydowanych, ale krytycy? — z nimi trzeba sobie dać spokój. Ich nigdy nie przekonasz. Jak ma się trochę oleju w głowie, nie należy tracić na nich czasu.

Umilkliśmy oboje.

— Co powiesz na to? — zagadnęłam go. — Może nie rozmawiajmy o polityce? Nigdy w życiu nie było mi tak dobrze, jak tego lata, kiedy spędzaliśmy razem czas. Słowo daję. Ale nie mogę udawać, że wierzę w rzeczy, w które tak naprawdę nie wierzę. Nie chcę stać na wiecu i wykrzykiwać slogany. — (Już wiele, wiele lat temu straciłam rachubę, ile razy na wiecach wykrzykiwałam slogany, skandowałam na scenie, a kamery wszystko rejestrowały). — Umówmy się, że będę cię wspierać nie jako polityka, ale jako człowieka — ciągnęłam. — Odłóżmy na bok to, co nas dzieli, ty nie będziesz próbował przekonać mnie, a ja ciebie, po prostu będziemy nawzajem cieszyć się sobą. Oszałam, czy może jednak da się to zrobić? Zapewniam cię, że nigdy nikomu nie p o w i e m , jeżeli nie będę się z tobą zgadzać, to wyłącznie nasza sprawa.

— Czy ja cię dobrze rozumiem? — rzekł. — Ja startuję do Kongresu z ramienia republikanów, ty jesteś hippiską, która obiecuje nie przyznawać się do tego publicznie ani przed moją rodziną i razem tworzymy zgrany duet?

Zawahałam się.

— Coś w tym stylu.

— I nawet nie mogę spróbować przekonać cię, że Jimmy Carter to żałosny dupek? — Ałe mówił już łżejszym tonem; nie musiał dodawać, że znowu jesteśmy po tej samej stronie, sama o tym wiedziałam. — A odpowiadając na twoje pytanie — dodał. — Nie, nie jesteś ani odrobinę szalona. Umawiałem się z szalonymi dziewczynami, ale ty się do nich nie zaliczasz. , ,

— Dziękuję.

Znowu na mnie patrzył.

— Jesteś niezwykłą kobietą, Alice.

Uśmiechnęłam się cierpko.

— Są tacy, co powiedzieliby, że ty jesteś niezwykłym mężczyzną.

— Masz bardzo silne poczucie własnej tożsamości. Niczego nie musisz innym udowadniać.

Czy też tak uważałam? Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mam poczucie tożsamości, zwyczajnie czułam, że j e s t e m sobą.

— Oczami wyobraźni widzę taki obrazek — mówił tymczasem Charlie. — Jesteśmy starzy, starsi od moich rodziców dzisiaj. Mamy osiemdziesiąt, do licha, dziewięćdziesiąt lat. Siedzimy sobie w bujanych fotelach na werandzie. Może mieszkamy w Door County. I jesteśmy zwyczajnie szczęśliwi, że mamy siebie nawzajem, cieszymy się swoim towarzystwem. Potrafisz sobie to wyobrazić?

Serce mi zatrzepotało. Czyżby chciał mi się o s w i a d c z y ć ?

— Wydaje mi się, że nigdy mi się nie znudzisz — powiedział. — Chyba zawsze będziesz dla mnie interesująca.

Wtedy poczułam, jak do oczu napływają mi łzy. Ale nie rozplakałam się, a on się nie oświadczył (jasne, że nie, przecież spotykaliśmy się dopiero od miesiąca) i przez kolejną długą chwilę żadne z nas się nie odezwało.

— Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć — odezwałam się, kiedy wjechałiśmy na Sproule Street.

— Obiecujący wstęp do rozmowy. — Zatrzymał się przed moim domem i obrócił do mnie. W oczach migotały mu ogniki, a usta układały się w uśmiech. Wiedziałam, że muszę szybko przejść do rzeczy, zanim obleci mnie strach.

— Kiedy byłam w ostatniej klasie liceum, miałam wypadek — powiedziałam. — Prowadziłam samochód i wjechałam w inny samochód, a jego kierowca zginął.

— Jezu — jęknął Charlie, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy mówiąc mu to, nie popełniłam błędu. Zaraz jednak przyciągnął mnie do siebie. — Chodź tutaj.

Uniosłam rękę, powstrzymując go.

— To nie wszystko. To był chłopak, którego znałam. Kochałam się w nim, i myślę, że on we mnie także. Nigdy nie było żadnych prawnych reperkusji, ale do wypadku doszło z mojej winy.

Charlie znowu chciał mnie przytulić, ale ja pokręciłam głową.

— Musisz usłyszeć wszystko. Później czułam się okropnie winna. Dalej tak się czuję, chociaż już tak się tym nie zadreczam. Ale skończyło się na tym

— musiałam wziąć głęboki oddech — że przespałam się z bratem Andrew. Tak nazywał się ten chłopiec, Andrew Imhof, a jego brat to Pete. Spałam z nim kilka razy, nikt o niczym nie wiedział. Ale zaszłam w ciążę i usunęłam ją. Babcia załatwiła, że aborcji dokonała znajoma lekarka, jej przyjaciółka. Nigdy nie powiedziałam Pete'owi, rodzicom, w ogóle nikomu.

— Alice... — Przyciągnął mnie i przytulił, na co mu tym razem pozwoliłam, a jego skóra była ciepła i pachniała dokładnie tak, jak się spodziewałam.

— Tak mi przykro, Lindy — wyszeptał w zgięciu mojej szyi.

— Nie wiem, czy akurat mnie należy się współczucie.

Odsunął się na tyle, byśmy mogli spojrzeć sobie w oczy.

— Myślisz, że ja nie popełniałem błędów?

— Na taką skalę?

— Prawdę mówiąc, w college'u sądziłem, że przeze mnie dziewczyna zaszła w ciążę. Przez dwa miesiące z rzędu nie dostała okresu i oboje odchodziliśmy od zmysłów. Ona studiowała w Sweet Briar, ja w Princeton, i zastanawiałem się, czy mógłbym udawać, że to nie moje dziecko, chociaż wiedziałem, że nie sypia z nikim poza mną. Kiedy w końcu dostała okres, nigdy więcej się do niej nie odezwałem, i co teraz powiesz w kwestii należnego współczucia?

— Byłeś młody.

— Ty też. Ludzie chrzanią różne rzeczy. Tak po prostu. Zaczęło się od Adama i Ewy, i o ile mi wiadomo od tej chwili ludzkość nieustannie jest niedoskonała. Mogę coś zaproponować? Wejdźmy do środka, żebym mógł cię porządnie przytulić.

— Okay, chociaż najpierw muszę ci powiedzieć wszystko do końca... Cóż, moja mama straciła właśnie sporo pieniędzy w piramidzie finansowej, i to było powodem, dla którego nie kupiłam domu, nie przez kontrolę budowlaną. Och, i jestem niemal pewna, że moja babcia jest lesbijką.

Ku mojemu zaskoczeniu Charlie wybuchnął śmiechem.

— Twoja bab... — próbował odzyskać panowanie nad sobą. — Wybacz... tylko że... chcesz mi powiedzieć, że ta starowinka jest lesbą?

— Licz się ze słowami, Charlie.

— Masz dowody?

— Ma... przyjaciółkę, taką jedną panią. To lekarka, i są parą od lat. Wydaje mi się, że babcia jest już za słaba na wyprawy do Chicago, ale są sobie bardzo oddane.

— Szacuneczek dla babci! — Charlie naprawdę się uśmiechał. — Każdy, kto uważa kobiety za bardziej atrakcyjne od mężczyzn, ode mnie nie usłyszy złego słowa. Co jeszcze? Zaczyna się robić ciekawie.

— To już chyba wszystko — powiedziałam. — Nie, chyba jeszcze to, że Deny nie rozmawia ze mną, ponieważ spotykam się z tobą. Miałam rację, że się wścieknę. — Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej dochodziłam do wniosku, że zachowanie Deny odzwierciedla frustrację wywołaną jej własnym życiem, ja miałam z tym niewiele wspólnego — była zła, że nie ma męża ani dzieci. Może naprawdę wiązała jakieś nadzieje z Charliem, jeszcze zanim go poznała, ale wydawało się to raczej mało realne, a jej złość na mnie przesadzona.

Charlie machnął ręką.

— Przejdzie jej. — Wyjął kluczyk ze stacyjki. — Nie kończymy tej rozmowy, po prostu wejdźmy do domu.

Chociaż nie wiem, czy miał ochotę na seks — zapewne tak było — ale na nim właśnie się skończyło. Weszliśmy do mojego mieszkania, a on przytulił mnie mocno, i już po chwili sięgaliśmy po siebie, marząc, by pozbyć się całego napięcia, zapomnieć o całym tym gadulstwie. Padło zbyt wiele słów, zaczęły się na siebie nakładać i zlewać, a teraz liczyło się tylko jego ciało na moim, rytmiczny ruch naszych bioder. Może czyni to ze mnie kobietę jaskiniową, ale nie znam lepszego sposobu od seksu na przywrócenie spokoju między dwojgiem ludzi.

Po wszystkim wtulił się we mnie od tyłu.

— Pragnę się tobą opiekować, chronić cię, sprawić, byś zawsze była bezpieczna — powiedział.

Tym razem zaczęłam płakać, prawdziwe łzy płynęły mi po policzkach.

— Chciałabym, żebyś rzeczywiście mógł — odezwałam się. — Chciałabym, żeby to było możliwe dla każdego.

— Obróć się — poprosił. — Kocham cię, Alice — rzekł, kiedy zrobiłam, jak chciałam.

Kciukiem otarł łzę pod zewnętrznym kącikiem mojego oka.

— Ja też cię kocham — odparłam.

Wydawało się to takie nieadekwatne do tego, co czułam: uwielbienia, wdzięczności, ulgi, podszytego winą podekscytowania tym, co nas czeka. Jak do tego doszło? I Bogu dzięki, że tak się stało.

— Wiem, że to co powiedziałaś mi w samochodzie, to naprawdę ważne — rzekł. Leżeliśmy twarzami do siebie, a on pogładził mnie po biodrze. — Ale od-tąd pójdzie już gładko. I wszystko będzie dobrze.

Babcia zadzwoniła późnym popołudniem, kiedy płukałam z farby pędzel, którym malowałam Yertle'a i skorupę żółwia.

— Charlie jest wspaniały — powiedziała.

Zamurowało mnie.

— Kpisz sobie ze mnie.

— Cóż, jego poglądy polityczne są okropne, ale zbyt długo nasiąkał konserwatyzmem. Jestem przekonana, że zdołasz go przekonać do naszego widzenia świata.

— Babciu, on startuje do Kongresu jako republikanin.

— Nie ma nawet cienia szansy, kochana. Ten stary lis Wincek położył łapę na Szóstym Okręgu, jeszcze zanim przyszłaś na świat. Poza tym podejrzewam, że bardziej chodzi tu o tradycję w rodzinie Blackwellów, niż szczerą chęć wygrania ze strony Charliego. Zaczekajmy, aż mu to samo przejdzie. Ale szaleje za tobą, co do tego nie ma wątpliwości.

— I podobał ci się, mimo swoich politycznych przekonań?

— Jest cudowny. Pełen życia, doskonale wychowany. Poza tym to świetna partia, z czym zgadza się również twoja matka. W tej chwili czyści twoją ślubną wyprawę. Skoro już o tym mowa — czy mam powiedzieć coś o twojej matce i Larsie, czy też raczej wolisz to zrobić sama?

— Chyba właśnie to zrobiłaś.

— To gadanie przy stole o wzdęciach i gazach — z pewnością nie jego nie-naganne maniery ją urzekły, ale nie nam osądzać jej chęć zabawienia się.

— Babciu, to ty go napuściłaś.

Roześmiała się.

— No, może troszeczkę.

— Cieszę się, że Charlie ci się podoba — powiedziałam.

Nawet jeśli ten zachwyty nie jest odwzajemniony, dodałam w duchu.

— Alice, trzymaj się tego młodzieńca. — Babcia chyba była szczerze uszczęśliwiona. — Znalazłaś prawdziwego anioła stróża.

W następnym tygodniu, poprzedzającym początek roku szkolnego, przewiozłam moje figury do biblioteki. Musiałam wykonać dwa kursy, żeby przewieźć je wszystkie moim capri, ostrożnie ułożone jedna na drugiej. Chociaż poza Charliem nikt ich nie widział, byłam niemal całkowicie pewna, że wyszły dokładnie tak, jak chciałam. Nawet głowa Babara trzymała się prosto, kiedy przyczepiłam ją do haczyka z tyłu.

Ustawiałam właśnie Eloise na półce, kiedy usłyszałam basowy głos.

— Są naprawdę ładne, Alice.

— Duży Glenn!

Tak właśnie wszyscy, nauczyciele i uczniowie, nazywaliśmy woźnego w Liess, niespotykane wysokiego czarnego mężczyznę po siedemdziesiątce; pracował w naszej szkole od ponad pięćdziesięciu lat. Podbiegłam do niego i mocno go uścisnęłam.

— Jak minęło wam lato z Henriettą? — zapytałam.

Osobiście nigdy nie poznałam żony Dużego Glenna, ale słynęła z ananasowego ciasta, które Duży Glenn przynosił do pokoju nauczycielskiego co roku w maju, rankiem tuż przed zakończeniem roku szkolnego. Na ogół zniknęło do dwadzieścia po ósmej, jakby jego konsumpcja stanowiła rodzaj zawodów.

— Na pewno spokojnie, skoro nie kręciły się tu żadne diabły wcielone — dodałam.

Duży Glenn się uśmiechnął.

— Masz na myśli nauczycieli czy uczniów?

— Założę się, że stęskniłeś się za nami wszystkimi — stwierdziłam.

Zrobił krok ku mnie i ściszył głos.

— Nie rozgłaszaj tego, ale słyszałem, że mąż Sandy jest poważnie chory.

Zamrugałam.

— Znowu?

Sandy Borgos uczyła w drugiej klasie i była miłą, dwa razy starszą ode mnie kobietą, która podczas zebrań nauczycielskich robiła na drutach i która nosiła, jak tylko to było możliwe, beżowy szal własnej roboty. Dwa lata wcześniej u jej męża zdiagnozowano raka gardła, chociaż z tego, co ostatnio do mnie dotarło, był w okresie remisji.

— Teraz wszystko w rękach Boga — powiedział Duży Glenn. — A ktoś mówił ci o Carolyn?

Duży Glenn był między innymi niezastąpionym źródłem szkolnych plotek.

Pokręciłam przecząco głową. O jakieś siedem, osiem lat młodsza ode mnie Carolyn Krawiec pracowała w przedszkolu, w Liess była stosunkowo od niedawna, więc znałam ją raczej słabo.

— Nie wraca w tym roku — powiedział Duży Glenn. — Znalazła sobie nowego narzeczonego i wyjechała z nim do Cedar Rapids, w Iowa. — Znacząco unióśł brwi. Zawsze odbywało się to w ten sposób: zamiast wyrażonej jawnie dezaprobaty niedwuznaczne spojrzenia.

— Rany — powiedziałam.

— To musi być coś poważnego.

W głosie Dużego Glenna słychać było powątpiewanie, a we mnie wezbrała fala protestu. Może to było coś poważnego.

— Kiedy powiadomiła Lydię?

Lydię Bianchi, naszą pięćdziesięcioletnią dyrektorkę, dość lubiłam. Była mężatką, ale bezdzietną, co wywoływało spekulacje wśród jej podwładnych — to znaczy, nas — czy brak potomstwa był jej wyborem czy osobistą porażką.

— Najwyżej tydzień, góra dwa temu — powiedział Duży Glenn. — Wybranek pracuje w branży farmaceutycznej, regularnie przyjeżdża do Madison, można by więc pomyśleć, że nie ma przeszkód, aby się widywali. — Wzruszył ramionami. — Chyba już zapomniałem, czym jest miłosna namiętność w młodości.

— Zatrudnili kogoś na jej miejsce?

— Byłabyś zainteresowana?

— Ależ skąd! Zostaję w bibliotece.

Wtedy właśnie gdzieś w głębi duszy zrozumiałam, że prawdą jest coś wręcz przeciwnego. Zrezygnuję. Odejdę z pracy. Jeżeli Charlie i ja zostaniemy razem, jeżeli sprawy między nami ułożą się w sposób, którego przed nikim, nawet przed sobą, nie sprecyzowałam od czasu tamtej rozmowy z Deną w barze kanapkowym, to moje dni jako nauczycielki będą policzone.

Kiedy tak stałam, gawędząc z Dużym Glennem, czułam, jak teraźniejszość mi umyka. Zrozumiałam, że wkrótce odejdę, a gdy to się stanie, pod moją nieobecność inni nauczyciele będą mówić o mnie tak, jak ja teraz o Ca— rolyn.

Wszyscy od zawsze powtarzają, że w Madison nie ma tornad z powodu jezior. Miasto leży w przesmyku, który to termin dorastające tam dzieci znają od najwcześniejszych lat. I podczas gdy Wisconsin nie jest nawiedzane przez tornado z taką samą regularnością jak miasta na południe i zachód od nas, kilka razy w roku pojawia się zagrożenie — może z raz wydaje się ostrzeżenie, a raz dochodzi do prawdziwej burzy. Kiedy byłam dziewczynką, w Ri— ley każdej wiosny odbywały się ćwiczenia. Jeżeli byliśmy w klasie, wychodziliśmy i siadaliśmy po turecku na korytarzu, uczeń przy uczniu, stykając się kolanami, wszyscy zwróceni twarzami do ściany, ze schyłonymi głowami i skrzyżowanymi na nich ramionami. Jeżeli byliśmy na zewnątrz — czasem ćwiczenia wypadały podczas przerwy, co zawsze uważaliśmy za wielkie marnotrawstwo — nauczyciel prowadził nas do zagłębienia w zboczu trawiastego pagórka za szkołą, gdzie kładliśmy się płasko na brzuchach, łapiąc się za ręce, tworząc nieregularny krąg lub ludzki kwiat, z płatkami z naszych ciał skierowanymi na zewnątrz. W liceum żartowaliśmy z absurdalności tych poczynań: „T o ma nam uratować życie?”. Wyobrażałam sobie unoszoną w powietrze siatkę z dzieci, za wszelką cenę starających się nie puścić nawzajem swoich dłoni.

W niedzielne popołudnie pod koniec sierpnia 1977 roku pojawiło się zagrożenie tornadem. Dzień wcześniej byliśmy z Charliem na imprezie u Gar— hoffów. Jestem niemal pewna, że w łazience na piętrze goście palili marihuanę, co mnie zdziwiło — bywałam już na przyjęciach, gdzie paliło się trawkę, ale u Garhoffów dzieci spały na tym samym piętrze. Wyszliśmy krótko po północy i. Charlie spędził u mnie godzinę, usiłując wymóc na mnie zgodę, aby mógł zostać do rana.

— Jak w Houghton — przekonywał mnie. — Sama widzisz, jak dotąd ogień piekielny nas nie pochłoniął.

Nie ustąpiłam. Wiedziałam, że rano ma iść z Hankiem na mszę w Lomi— ra, później na naleśnikowe śniadanie. Tymczasem ja marzyłam, żeby wreszcie po-

sprzątać mieszkanie: w zlewie piętrzyły się naczynia, w łazience stosy rzeczy do prania, czekały niezapłacone rachunki — słowem wszystko to, o czym chętnie zapomina się na początku związku.

W niedzielę poświęciłam na prace domowe kilka godzin, a tymczasem niebo z błękitnego zrobiło się szare. Około drugiej po południu temperatura spadła o kilka stopni w porównaniu z porankiem, pozamykałam więc okna w kuchni i sypialni i włączyłam radio. Tornado zbliżało się do Lacrosse, zmierzając na południowy zachód, i wciąż jeszcze nie było wiadomo, czy uderzy w Madison. Zadzwoiłam do Charliego.

— Cieszę się, że szczęśliwie dotarłeś do domu — powiedziałam, kiedy odebrał.

— Już nigdy więcej nie zjem naleśnika. Boże wszechmogący, Lindy, te drobne starsze panie za nic nie chciały słuchać, że już nie mogę.

— Wyglądałeś ostatnio przez okno? — Stałam przy kuchennym zlewie, przed oknem wychodzącym na tylne podwórko i tył domu znajdującego się za moim. — Nawet ptaki przestały śpiewać.

— Chyba się nie boisz?

Słyszałam w tle telewizor.

— Oglądasz baseball?

— Brew Crew właśnie daje łupnia drużynie White Sox, wielkie dzięki. Zwycięstwo smakuje jeszcze lepiej po ostatnich dwóch przegranych.

— Przeszkadzałoby ci, gdybyśmy się nie rozłączali? — zapytałam. — Nie musimy rozmawiać.

;; — Może przyjdiesz do mnie? Albo wolisz, żebym ja przyszedł do ciebie?

— Zapomniałeś, że mój telewizor jest czarno— biały?

— W takim razie ty przyjdź i będziesz mogła pomasować mnie po brzuchu.

— Wolałabym teraz nie prowadzić, gdyby... — zaczęłam i w tym momencie nagle zaczął dudnić padający deszcz. Po chwili zorientowałam się, że to nie deszcz, tylko grad.

— Mike Caldwell zaraz zmieni pałkarza — powiedział Charlie. — Miałem co do niego pewne wątpliwości, ale dzisiaj gra całkiem przyzwoicie. Natomiast Steve Brye... — W tym momencie rozbłysła błyskawica, po czym rozległ się ogłuszający huk grzmotu i natychmiast zawyły syreny, jak zwykle jękliwie i złowieszczo.

— Schodzę do piwnicy, co ty też powinieneś zrobić — oznajmiłam. — Proszę, Charlie, przestań oglądać mecz.

— Wiesz, że nic złego się nie dzieje, prawda? — Głos miał spokojny i czuły.

— Charlie, wyłącz telewizor.

Jakbym wybierała się na plażę, chwyciłam ręcznik, książkę (był to *Dar Humboldta*) i latarkę i wybiegłam z mieszkania. Drzwi do piwnicy były za schodami w korytarzu na parterze. W domu znajdowało się jeszcze jedno mieszkanie, na parterze właśnie. Zajmował je doktorant o imieniu Ja— hoon Choi, z którym wspólnie przeżyliśmy kilka wcześniejszych tornad. Tym razem jednak jego samochód nie stał na podjeździe, przypuszczałam więc, że mojego sąsiada nie ma w domu. Zeszłam po chwiejnych drewnianych schodach i zapaliłam pojedynczą gołą żarówkę, która oświetlała piwnicę. Nasz gospodarz trzymał tu swój sprzęt żeglarski i jakieś ogrodowe meble, ale w zasadzie pomieszczenie stało puste. Rozłożyłam leżak z metalowymi oparciami i siedzeniem z winylu, ale okazał się tak zardzewiały i pokryty pajęczyną, że natychmiast złożyłam go z powrotem. I stałam, z książką i latarką w ręce. Przez kilka ostatnich minut nie mogłam odpuścić od siebie myśli o ulotności szczęścia. Mnie się to nie przydarzy — wszyscy w to wierzymy, musimy wierzyć, żeby jakoś żyć na tym świecie. Komuś innemu. Nie mnie. Ale raz na jakiś czas przydarza się to nam, albo komuś na tyle bliskiemu, że równie dobrze moglibyśmy to być my. Ludzie, których nigdy nie spotkało nic złego, wierzą w przeznaczenie, że przytrafia się nam to, co zapisane. Reszta jest mądrzejsza. Wyobraziłam sobie drzewo wpadające przez okno do salonu Charliego, Charliego porwanego z kanapy, uwięzionego w potężnym powietrznym wirze, i wreszcie ciśniętego na ulicę bądź jakiś dach. Ludziom niemieszkającym na terenach zagrożonych tornadami albo w okresach spokoju mieszkańcom stanów nawiedzanych przez tornada może się to wydawać komiczne — latająca krowa albo lodówka — ale teraz na zewnątrz szalał grad, było ciemno jak w nocy, a ja denerwowałam się coraz bardziej. Niemożliwe, żeby dwa razy nieszczęście spotkało ludzi, których kocham, myślałam, ale jakoś nie potrafiłam sama siebie przekonać.

Nagle, poprzez odgłos dudniącego gradu i wyjących syren przebiło się walenie, jak po chwili domyśliłam się dochodzące z parteru. W pierwszej sekundzie nic nie zrobiłam, ale w końcu wbiegłam po schodach, spodziewając się zobaczyć Ja— hoon Choi przez szybę w drzwiach frontowych. Zamiast niego ujrzałam Charliego.

— Mój Boże, Charlie! — wykrzyknęłam, otwierając drzwi.

Wolnym krokiem przekroczył próg, a ja chwyciłam go w objęcia.

— Nie powinieneś był tu przyjeżdżać! — zawołałam.

Pocałowaliśmy się — miał mokre usta.

Pociągnęłam go do piwnicy, i kiedy się tam schroniliśmy, pokazał na ręcznik, który przez cały czas trzymałam.

— To dla mnie? — Wytarł sobie głowę, a potem się rozejrzał. — Bardzo tu nastrojowo.

— Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś.

— Na Williamson pospadały gałęzie, ale założę się o każde pieniądze, że tornado nas ominie. To zwykła burza z piorunami. — Kiedy to mówił, syreny umilkły. — Widzisz? — Uśmiechnął się. — Bóg się ze mną zgadza.

— Mimo to nie było na tyle bezpiecznie, żebyś...

Zasłonił mi usta ręką, zmuszając mnie, bym umilkła.

— Jadąc tutaj, coś sobie pomyślałem. Ale musisz przestać na mnie krzyczeć. Jeżeli wezmę rękę, będziesz cicho?

Kiwnęłam głową, a on odsłonił mi usta.

— Doszedłem do wniosku, że powinniśmy się pobrać — powiedział. — Koniec z tym idiotycznym przemieszczaniem się w deszczu. Powinniśmy mieszkać razem, w nocy spać w tym samym łóżku, rano budzić się obok siebie, a jak przyjdzie tornado, będę mógł się tobą zaopiekować i jednocześnie oglądać sobie baseball.

Popatrzyliśmy na siebie.

— Chcesz powiedzieć... To znaczy... Prosisz mnie o rękę? — zapytałam niepewnie.

.. — Na to wygląda.

Uśmiechał się, ale odrobinę nerwowo.

; — Okay — powiedziałam.

Słyszając to, rozpromienił się.

Objął mnie z taką siłą, że uniosłam się nad ziemią — dosłownie, nie w przenośni. Siedzieliśmy w tej brudnej, ponurej piwnicy. Moje życie właśnie ulegało dramatycznej zmianie, a my tkwiliśmy w ciemnym jak grób miejscu. Wciąż byłam sobą, nie wystrzeliło mnie w jakąś inną przestrzeń, nie pojawił się blask. Dopiero po jakimś czasie ta chwila nabrała właściwego znaczenia. Kiedy trwała, wszystko wydawało się nowe, dziwne, podniecające i niepewne; ale zupełnie inne, niż kiedy patrzyłam na to później: wtedy było znaczące, znajome, dające po-

czucie pewności. Z perspektywy czasu jawiło się niczym nieunikniona przerwa w narracji, ale wyłącznie dlatego, że z tejże perspektywy większość wydarzeń, dróg, którymi podążamy, wydaje się nieunikniona.

Tak oto utraciłam Denę, ale zyskałam małżeństwo; przyjaźń zamieniłam na romans, koleżeństwo na męża. Czy nie była to rozsądna cena, jaką większość ludzi gotowa jest zapłacić? Nie będę więcej tą przypuszczalnie ekscentryczną, przypuszczalnie godną pożałowania kobietą, która nigdy nie wyszła za mąż, moja egzystencja nie będzie zagadką, którą inni czują się w obowiązku rozwiązać.

Najbardziej jednak zdumiewało mnie, że miałam poślubić człowieka, którego kochałam; nie musiałam kierować się decyzją, czy się ustatkować, czy też raczej pozostać samotną. Pospolitą ulgę płynącą z posiadania partnera miałam szansę poznać już w 1967 roku, kiedy to mogłam poślubić Wade'a Trommlera, lub później jakiegoś innego mężczyznę. A teraz dostawałam znacznie więcej. Charlie był kochany, zabawny, pełen życia, był niesamowicie przystojny — jego porośnięte jasnobrązowymi włoskami przedramiona, jego eleganckie koszule, jego uśmiech, wreszcie charyzma — czekałam na to trzydzieści jeden lat, czasem myślałam, że kolejna szansa już się nie trafi, aż w końcu znalazłam kogoś, kto może obiektywnie nie był doskonały, ale wystarczająco doskonały dla mnie. Nie zostałam ukarana, ostatecznie czekała mnie nagroda, choć trudno było powiedzieć za co.

Minęło sześć tygodni, odkąd się poznaliśmy.

W środę i czwartek przed Świętem Pracy mieliśmy konferencję nauczycieli poprzedzającą rozpoczęcie roku szkolnego. W gruncie rzeczy nauczyciele nie różnili się specjalnie od uczniów: podobnie obwąchują się po kilku miesiącach niewidzenia, porównują, jak kto spędził wakacje, sprawdzają, kto schudł, a kto się opalił. Podczas powitalnej mowy dyrektorki, wygłaszanej w sali gimnastycznej, siedziałam na ławce między Ritą a Maggie Stentą, nauczycielką pierwszej klasy, która zaprosiła mnie do siebie na hamburgery i sangrię wiosną ubiegłego roku. Kiedy nasza dyrektorka, Lydia Bianchi, przedstawiała harmonogram dyżurów w szkolnym autobusie, Rita nachyliła się ku mnie.

— Jak tam twój nowy chłopak?

— Spotykasz się z kimś? — Maggie obróciła się do nas.

Potrząsnęłam głową, jakbym nie dosłyszała lub nie chciała odwracać

uwagi od pani dyrektor. A tak naprawdę nie wiedziałam, jak mam mówić o Charliem; nie chciałam się przechwalać czy też rozplętywać w zachwytach. Minęły trzy dni, a my wciąż nikomu nie powiedzieliśmy o zaręczynach. Najpierw

chcieliśmy powiadomić nasze rodziny, a ponieważ na Święto Pracy wybieraliśmy się do Blackwellów do Door County, a do Riley mieliśmy pojechać w następny weekend, uznaliśmy, że będzie przyjemniej, kiedy o wszystkim powiadomimy ich osobiście. Nie wiedziałam tylko, jak rodzina Charliego przyjmie fakt, że w tym samym czasie mnie poznają i się dowiadują, że zostanę ich nową synową.

Każdego roku wszyscy nauczyciele musieli obejrzeć ten sam półgodzinny film o wszawicy — wszyscy z tego powodu utyskiwali. Widziałam go już sześciokrotnie. W tym roku miał być wyświetlony w czwartek po lunchu, w bibliotece. Wracałam właśnie z Ritą ze stołówki i wciąż jeszcze byliśmy na korytarzu, kiedy Steve Engel, sześćdziesięcioletni nauczyciel fizyki, uderzył głową w kanoe Paddle— to— the— Sea wiszące w drzwiach do biblioteki.

— Świetna łódka — usłyszałam, jak mówi nie wiadomo do kogo.

Po kilku próbach udało mi się w końcu znaleźć właściwe miejsca dla wszystkich figur z papier mache: uciekające króliki, Mike Mulligan i Mary Anne siedzieli na niższych półkach, gdzie trzymałam książki dla młodszych dzieci, Ferdynand trzymał straż nad katalogiem, a Drzewko darów zajęło miejsce honorowe, na moim biurku. Nie do końca mogłam uwierzyć, że udało mi się zrobić wszystkie dziesięć figur, zwłaszcza że Charlie w dużej mierze zaprzętał moją uwagę. Prawdopodobnie poświęciłam dwieście godzin na ich wykonanie — z czego, przyznaję, większość przypadła na okres przed poznaniem Charliego — i nie miałam wątpliwości, że wielu ludzi uznałoby to za totalną stratę czasu.

Kiedy seans dobiegł końca, Deborah Kuehl, znakomicie zorganizowana szkolna pielęgniarka, która była odpowiedzialna za puszczenie filmu, wyjaśniła zasady wprowadzenia nowej polityki „zero gnid”.

— Nie do wiary, że mówi o tym zaraz po lunchu — mruknęła Rita.

Deborah była rzutka i energiczna, chętnie dzieliła się swoim medycznym doświadczeniem i nigdy jej nie przeszkadzało, kiedy któryś z nauczycieli prosił ją o radę — bez protestów zaglądała do gardeł i otwarcie mówiła, kiedy podejrzewała zapalenie, doradzała też, kiedy według niej trzeba było zapobiec infekcji przytrzaśniętego drzwiami palca.

Na koniec swojego wystąpienia zapytała, czy mamy jakieś pytania, i Rita podniosła rękę.

— Chciałam tylko powiedzieć, że biblioteka prezentuje się fantastycznie, nie uważacie? Alice sama zrobiła wszystkie zwierzęta.

Czułam, jak nauczyciele w rzędach przed i za nami obracają głowy, by na mnie popatrzeć.

— To bardzo miłe z twojej strony, Rito, ale liczyłam raczej na pytania dotyczące planu zwalczania gnid.

Deborah popatrzyła na zgromadzonych. Żadna ręka nie powędrowała w górę, co zdawało się ją tylko częściowo rozczarować.

— Rzeźby rzeczywiście bardzo przydają kolorytu pomieszczeniu — powiedziała sztywno, ale bez złośliwości. — Brawo, Alice, dla twojej kreatywności.

Rita zaczęła klaskać.

— Rito, błagam cię — mruknęłam półgębkiem, ale pozostali już się do niej przyłączyli.

Czułam, że się rumienię.

Tak się złożyło, że kiedy w następnym tygodniu dzieci wróciły do szkoły, bardzo się uśmieły z moich figur, ale też wzięły je dokładnie za to, czym były, to znaczy zwyczajną dekorację. Figury nie najlepiej zniosły nadchodzący rok: już pod koniec pierwszego dnia byczek Fernando stracił róg, który padł ofiarą nadmiernej ekscytacji jednego z drugoklasistów, a po lekcji szóstej klasy okazało się, że Eloise ma domalowany wąs (wiedziałam niemal na pewno, którzy dwaj chłopcy *to* zrobili). I tak pod koniec roku szkolnego musiałam wyrzucić wszystkie figury, z wyjątkiem Drzewka darów, które wciąż jeszcze mam. Przy każdej kolejnej przeprowadzce pakuję je, coraz ostrożniej, niczym bezcenną wazę. Ale całkiem szczerze mogę przyznać, że nie zmartwiło mnie krótkie życie moich postaci. Zrobienie ich dostarczyło mi mnóstwo satysfakcji i radości, a jeżeli komuś zależy na wielkim szacunku czy wyrazach prawdziwej wdzięczności, niech raczej nie decyduje się na pracę z dziećmi.

W owym czasie nie miałam jednak pojęcia, że była to chwila mojego największego zawodowego sukcesu. Otrzymałam wtedy najwyższe wyrazy uznania za to, kim jestem jako ja, a nie jako przedłużenie kogoś innego, lub co gorsza jako symbol. Trzydziestu pięciu nauczycieli oklaskujących mnie w szkolnej bibliotece było może i skromnym triumfem, ale i tak poczułam się mile ujęta. W latach, które nastąpiły potem, towarzyszyła mi wielka, wulgarna wręcz uwaga, w ilości mogącej zadowolić kogoś nawet najbardziej próżnego, o najniższym poczuciu własnej wartości, która jednak nigdy nie sprawiła mi nawet w minimalnym stopniu takiej przyjemności.

Wieczorem jedliśmy z Charliem kolację u niego, siedząc na kanapie w salonie, z talerzami na kolanach, podczas gdy w telewizji Brewersi grali z Detroit Tigers.

— Jeżeli mielibyśmy brać ślub na wiosnę, może zrobimy to w Arbore— tum? Czy twoim rodzicom przeszkadzałoby, gdybyśmy nie mieli ceremonii w kościele?

— Wiedziałem, że jesteś ateistką! — Wskazał na mnie. — Nie, nie sędzę, żeby mieli coś przeciwko imprezie na otwartym powietrzu, ale musi odbyć się wcześniej. Do stycznia muszę już mieszkać w Houghton na dobre.

— Sam czy ze mną?

— Zazwyczaj tak to się odbywa, że mąż z żoną żyją pod jednym dachem

— Charlie zrobił swawolną minę. Był boso, w białych szortach i białej koszulce polo, ponieważ jeszcze nie wziął prysznic po tenisie, w którego grał po południu z Cliffem Hickenem.

— Odrzuca cię mój jurny męski zapach? — zapytał, kiedy w ogródku stał przy grillu i smażył hamburgery. Przytulił się do mnie i zrobił kilka tanecznych kroków. Zatkaną sobie nos, udając, że smród jest nie do wytrzymania

— odniosłam wrażenie, że o to mu chodziło — ale lubiłam, kiedy był spocyny. Dla mnie jego zapach wcale nie był odpychający.

— Kiedy miałyby się odbyć wesele? — zapytałam. — Do stycznia zostało raptem pięć miesięcy.

— Wesele to zwykła impreza, na której jedna z pań jest ubrana na biało. Do licha, zrobmy to choćby jutro.

— Twój romantyzm dosłownie zwała mnie z nóg.

— Powiedzmy, że w październiku — rzekł. — Masz czas w październiku? Zastanowiłam się. Znacznie wcześniej, niż sobie wyobrażałam, ale był to termin realny.

— Nie widzę przeszkód.

— Oto konkretna dziewczyna. Nie chcemy niczego wystawno— szpanerskiego, prawda? Wszyscy moi bracia i ich żony robili wesela w wiejskim klubie, nie pominęli nawet kolejki składających życzenia. No, John nie, ożenił się z Nan, która pochodzi ze wschodu, i wszystko zostało zorganizowane u jej rodziców w Bar Harbor. No właśnie, a co powiesz na to: jak ci się widzi Hal— cyon? Mnóstwo miejsca, mnóstwo łóżek i najbardziej widowiskowe otoczenie z możliwych.

— Powiem ci jutro, jak zobaczę je na własne oczy. Ale jeżeli ma to być we wrześniu, na ziemi może już leżeć śnieg.

Charlie zastanawiał się przez chwilę

— Do licha z twoją praktycznością — odezwał się w końcu.

Zawahałam się.

— Ale dokończę rok szkolny, prawda? Nawet jak zamieszkamy w Houghton, będę dojeżdżać do Madison.

Charlie wzruszył ramionami

— Jeśli to dla ciebie ważne.

— Źle bym się czuła, rezygnując w połowie roku. Ludzie tak robią, ale Lydia — nasza dyrektorka — nie znosi, kiedy ktoś wywija jej taki numer.

— Pod warunkiem że to będzie twój ostatni rok w Liess, możesz robić, jak ci się podoba. Ale w lecie będziesz mi już potrzebna, co do tego nie ma wątpliwości. Bycie żoną kandydata to praca sama w sobie, o czym Maj wie aż za dobrze.

— Ale nigdy nie będę musiała przemawiać publicznie? Wygłaszać przemówień?

Uśmiechnął się.

— Czy to warunek wyjścia za mnie za mąż?

— Charlie, z trudem potrafię wydusić słowo na zebraniu nauczycieli.

— Okay, okay, nigdy nie będziesz musiała wygłosić mowy. — Przez chwilę milczał, a kiedy odezwał się ponownie, jego głos brzmiał poważnie. — Nie wygram. Zdajesz sobie z tego sprawę?

— Niezbyt optymistyczne nastawienie.

— To nie jest udawanie, nie uważam siebie za figuranta. Nie o to mi chodzi. Poświęcę się kampanii całym sercem. Ale szans jako takich nie mam. Nie chodzi o to, żebym został wybrany. Chodzi o to, żebym wyrobił sobie nazwisko, pokazał ludziom, że jestem dorosły. Jestem poważnym człowiekiem o poważnych poglądach.

Kiedy patrzyłam na niego, ogarnęło mnie niemiłe uczucie, że nie mogłabym powiedzieć komuś: „Jestem poważnym człowiekiem o poważnych poglądach”. Do głowy mi nie przyszło, że mogłoby to być konieczne.

— Ale przecież mnóstwo ludzi poświęci czas i pieniądze... — zaczęłam wolno.

Potrząsnął głową.

— Tak to działa. Kładziemy fundamenty.

— Fundamenty pod co? Za dwa lata znowu zamierzasz startować do Kongresu?

— Na razie rozważam różne opcje. Może nie za dwa lata, ale z czasem, kto wie? Może jakieś stanowisko w Partii Republikańskiej, może wybory do Senatu. W procesie politycznym najważniejsze jest wycucie czasu.

Odłożyłam hamburgera.

— To brzmi niesamowicie cynicznie.

— Nie ja ustalam zasady — powiedział Charlie.

— Ale chętnie według nich grasz.

— Cholera, Alice. — On też odłożył hamburgera i odstawił swój talerz na stół przed kanapą. Był to tandetny stół z białego laminatu. Charlie powiedział mi z nieskrywaną dumą, że kilka miesięcy wcześniej znalazł go na chodniku, gdzie jego sąsiedzi wystawili go wraz z innymi śmieciami. — Myślałem, że będziesz mnie wspierać. Czy nie to właśnie powiedziałaś wtedy w samochodzie, czy też może zrozumiałem cię opacznie?

— Nigdy nie marzyłeś o normalnym życiu? Nie rozumiem, w czym jest lepsze życie urzędnika państwowego od życia zwykłego obywatela?

— Po pierwsze, chodzi o służbę, a nie ego. Niektórzy siedzą w tym dla zaspokojenia własnego narcyzmu, oczywiście, ale nie Blackwellowie. Alice, jeżeli próbujesz wybić mi z głowy kandydowanie, to mamy poważny problem.

— Z tego co mówiłeś, zrozumiałam, że masz zamiar startować tylko ten jeden raz.

— Z czego z kolei wynika, że zakładałaś moją przegraną. Z jednej strony wydajesz się oburzona wyrzucaniem pieniędzy na kampanię, z drugiej liczysz, że wygra ten drugi.

Umilkliśmy oboje.

— Nie kłóćmy się — powiedziałam.

; Zwinął w kulkę serwetkę i cisnął ją przez pokój w stronę kominka. Kiedy zerknęłam na jego profil, zobaczyłam, że jest naburmuszony.

— Chcesz, żebym sobie poszła? — zapytałam.

— Może tak będzie lepiej.

Wstałam i z drżącymi rękami wyniosłam swój talerz do kuchni. Czy wciąż byliśmy zaręczeni? Czy przynajmniej byliśmy jeszcze parą? Skoro nikomu nie powiedzieliśmy o naszym zamiarze pobrania się, nie będziemy musieli niczego odwoływać. Może mimo wszystko nasz związek miał w sobie coś ulotnego, nieprawdziwego? Mogliśmy wszystko zakończyć bez potrzeby tłumaczenia czegokolwiek. Gdyby ktoś pytał, mogłabym zwyczajnie powiedzieć, że się wypaliło.

Jadąc do siebie do domu, myślałam, że może tak będzie lepiej. Czy naprawdę chciałam zamienić swoją niezależność na rolę kogoś wspierającego i pomagającego? Dlaczego miałabym marzyć o życiu wypełnionym słuchaniem przemów jak ta, którą wygłosił w Klubie Lions w Waupun? Pomijając fakt, że nie zgadzałam się z jego poglądami politycznymi, te mowy były zwyczajnie nudne. W kółko powtarzało się w nich jedno i to samo, przepełnione były zawołanym przypochlebianiem się, przekonaniem o słuszności i pozorną przejrzystością — były równie fałszywe i głupie, jak miały być szczerze i istotne. A Charlie nie tylko żądał, abym tolerowała jego uczestnictwo w tej farsie, ale też żebym się nią zachwycała. Czy ja oczekiwałam, że któregoś dnia zjawi się w mojej bibliotece i zasiądzie, by posłuchać, jak czytam *Chlebek z dżemem dla Francesi*

Podobne myśli kotłowały mi się w głowie przez dwie godziny. Leżałam w łóżku, na kołdrze i czytałam *Dar Humboldta* — a kiedy podniosłam wzrok znad akapitu na stronie 402, moja pewność rozwiała się natychmiast i poczułam ciężki, uporczywy smutek. Przedmiot naszej kłótni z Charliem wydał mi się abstrakcyjny i nieistotny. Ledwo pamiętałam słowa, jakie padły; chciałam tylko siedzieć obok niego, leżeć pod nim, obejmować go ramionami, czuć, jak on obejmuje mnie. Był całkowitym przeciwieństwem ulotności; ulotne było wszystko inne, a on był konkretny, stały, najważniejszy. Możliwość, że moglibyśmy się rozstać, porażała mnie i przyprawiała o rozpacz; była nie do zniesienia.

Pragnęłam nie ulec pokusie i nie zadzwonić do niego — lepiej będzie z tym poczekać do rana. Arogancją było zakładać, że jego złość przechodzi takie same etapy i w tym samym czasie, co moja, wyobrażać sobie, że on również już mi wybaczył. A mimo to, gdybym mogła do niego zadzwonić, gdybym mogła wszystko naprawić, ulga byłaby tak wielka, że aż warta podjęcia ryzyka. W łazience umyłam twarz i zęby, wyskubałam brwi, żeby czymś się zająć. Wróciłam do sypialni i przebrałam się w bawełnianą nocną koszulę bez rękawów. Była dziesiąta dwadzieścia i postanowiłam, że zadzwonię do niego nie wcześniej niż o jedenastej. Aż do tej godziny nie podejmę decyzji, co mu powiem, zostawię sobie otwartą drogę. Jeżeli uda mi się powstrzymać, nie zadzwonię, jeżeli jednak nie zapanuję nad sobą, dopiero o jedenastej zastanowię się nad doborem słów.

Leżałam na boku, przy włączonym świetle i otwartym oknie i czułam powiew wpadającej bryzy. Próbowałam nie płakać. Kogo obchodzi, czy przez następne pięćdziesiąt lat będę musiała siedzieć i wysłuchiwać przemówień o podatkach? Może nauczę się chować książkę w torebce pod właściwym kątem i czytać, kiedy nikt nie będzie patrzył. Nie, bycie żoną Charliego nie stanie się dla mnie żadnym ograniczeniem; kiedy z nim byłam, życie wydawało się składać z samych możliwości, było jakby pełniejsze, bardziej hałaśliwe i znacznie zabawniejsze. Nigdy nie wierzyłam, że życie jest przygodą. Dla mnie było raczej serią obowiązków, z których jedne bywały całkiem przyjemne, a inne wymagały zwyczajnie zaciśnięcia zębów. Teraz jednak widziałam, że może być też wypełnione żartami, radością i swawolą. Oto mogłam dostać osobistego przewodnika po krainie powodzenia, a ja się opierałam, jak kiedyś w przypadku Andrew Imhofa. Co było ze mną nie tak?

Dosłownie zerwałam się z łóżka, pognałam do kuchni, podniosłam słuchawkę i zaczęłam wybierać numer, kiedy rozległ się dzwonek do moich drzwi. Gdy zbiegłam po schodach i otworzyłam, popatrzyliśmy sobie w oczy i bez słów padliśmy sobie w objęcia, ściskając się z całych sił.

— Jeżeli nie chcesz, żebym kandydował po raz drugi, nie będę. Do licha, nie muszę nawet już teraz — powiedział.

— Myślę, że jednak powinienes — odparłam.

— Obiecuję, że nie będę cię indoktrynował — rzekł. — Możesz sobie głosować nawet na Fidela Castro, a ja nie mrugnę nawet okiem.

Chociaż nie płakałam, kiedy zaczęłam się śmiać, brzmiało to jak rozpaczliwy, histeryczny śmiech, który dopada nas po gwałtownym ataku płaczu.

— Umówmy się, że już nigdy nie będziemy się tak paskudnie wobec siebie zachowywać, dobrze? — Patrzył na mnie, ujmując dłońmi moją twarz. — Bo nie mogę tego znieść, zwyczajnie nie mogę.

Wciąż jeszcze chichotałam w nerwowej uldze.

— Charlie, przepraszam cię.

— Jak widać, wciąż jeszcze się poznajemy — stwierdził. — Nic dziwnego, że wielu powie, że za bardzo się śpieszymy. Ale ja nigdy w życiu nie byłem bardziej pewny. Móc poznawać cię lepiej, spędzić z tobą najbliższe tygodnie, potem lata — niczego bardziej nie pragnę.

— Charlie, wiem, że tak zostałeś wychowany, i uważam, że to zaszczyt. Wierysz w ulepszanie świata i podziwiam to. — Gdy wypowiadałam te słowa, zrozumiałam, że są prawdziwe.

W tej chwili sceptycyzm mnie opuścił, i to na dłuższy czas; praktycznie na zawsze. Istnieje coś takiego jak dożywotni spór, ale my z Charliem nie nadawaliśmy się do tego — tak niewielkie mieliśmy chęci na chowanie urazy, że nawet jej odrobina miała smak żółci. Mogliśmy się zgadzać albo unikać dyskusji, a ja byłam dobra i w jednym, i w drugim; dzięki płci, geografii, a przede wszystkim temperamentowi, równie dobrze potrafiłam się zgadzać, jak robić uniki.

Gdybym miała opowiedzieć historię swojego życia (wciąż odrzucałam nadarzające się ku temu okazje) i gdybym była w tym szczerą (a nie byłabym, rzecz jasna — nikt nigdy nie jest), prawdopodobnie kusiłoby mnie, żeby powiedzieć, że kiedy tamtej nocy staliśmy w moim mieszkaniu, ja w nocnej koszuli, Charlie w dżinsach i czerwonej koszuli, dokonałam wyboru: przedłożyłam nasz związek nad moje polityczne przekonania, miłość nad ideologię. Ale to też byłaby szczerść fałszywa; służyłaby raczej atrakcyjności narracji, niż zgadzała się z prawdą. Moje przekonania kryłam w swoim wnętrzu — rzadko odczuwałam potrzebę wygłaszania ich na głos. Ale gdybym musiała, moje polityczne poglądy można by ująć w stwierdzeniu, że współczułam biednym i cieszyłam się, że aborcja została zalegalizowana. I w zasadzie w tamtej chwili niczego nie wybrałam. Zaledwie kilka tygodni wcześniej poznałam Charliego, a już na myśl, że mogłabym żyć bez niego, czułam się jak ryba wyrzucona z wody na piasek. Zmiana z demokratki w republikankę, lub przynajmniej udawanie, że tak się stało, choćby tylko przez uśmiechanie się dla zmylenia przeciwnika, wydawała się niewielką ceną za umożliwiającą oddychanie falę, która mnie zaleje.

Charlie się uśmiechał.

— Co? — zapytałam.

— Właśnie do mnie dotarło. — Nozdrza zadrżały mu lekko. — To będzie nasz pierwszy w życiu seks na zgodę.

Dla matki Charliego kupiłam bazylię w małej doniczce z terakoty, ale już mniej więcej w połowie drogi do Halcyon zaczęłam się zastanawiać, czy dokonałam właściwego wyboru. Te wątpliwości pojawiły się, kiedy zaczęło do mnie docierać, że Halcyon w stanie Wisconsin nie jest, jak wcześniej zakładałam w oparciu o rzucane mimochodem uwagi Charliego, miastem. Okazało⁵¹ się, że jest to raczej grupa domów usytuowanych na prawie trzystuhektarowej połaci ziemi rozciągniętej na wschodniej części półwyspu, znanej jako Door County, i aby móc stać się właścicielem jednego z owych domów, trzeba być członkiem Halcyon Club. Wszystko wskazywało na to, że członkostwo nabywało się wraz z urodzeniem w jednej z pięciu rodzin: Niedleffów, Higginso—nów, de Wolfów, Thayerów i Blackwellów. Jak mi Charlie radośnie oznajmił, po raz pierwszy pocałował się z Christy Niedleff, kiedy on miał dwanaście lat, a ona czternaście;

Sarah Thayer, matka rodu Thayerów, była siostrą Hugh deWolfa, patriarchy rodu deWolfów; Hugh deWolf i Harold Blackwell, ojciec Charliego, byli współlokatorami w Princeton; Emili Higginson była matką chrzestną brata Charliego, Eda. Jak na razie tyle wewnętrznych szczegółów udało mi się spamiętać, choć było ich znacznie, znacznie więcej i Charlie dzielił się nimi ze mną z narastającym entuzjazmem w miarę, jak zbliżaliśmy się do celu naszej podróży. Rodziny wspólnie nabyły ziemię w 1943 roku; każda miała swój dom i swoją przystań, ale wszyscy jadali posiłki w stanowiącym wspólną własność i wspólnie utrzymywanym klubie. Och, a w ten weekend odbywał się Halcyon Open, cieszący się wieloletnią tradycją turniej tenisowy, którego srebrny puchar zajmował miejsce na półce nad kominkiem w budynku klubu i na którym co roku grawerowano nazwiska kolejnych mistrzów w singlu i deblu. Charlie wygrał turnieje singli w 1965, 1966 i 1977 roku, a razem ze swoim bratem Arthurem wygrali debła w 1969 roku.

— Jecie wszystkie swoje posiłki w klubie? — zapytałam. — Śniadanie, lunch i kolację?

— Batoniki z masła orzechowego są nie z tej ziemi — powiedział Charlie. — A szarlotka! Człowiek jest dumny, że urodził się w Ameryce.

— Ale kto gotuje? Po kolei pełnicie dyżury?

— Nie, nie, mamy personel — powiedział to zwyczajnym tonem.

Naturalnie, że był personel — spróbowałam przyjąć to szybko i niezauważalnie. Tak jak nie uważałam za konieczne przeproszać, że dorastałam w klasie średniej, tak samo nie uważałam, że Charlie musi przeproszać za uprzywilejowane pochodzenie.

— Przede wszystkim są to Ernesto i jego żona, Mary — mówił. — Wspaniali ludzie, z tych co to żrą się jak pies z kotem, ale wszyscy wiedzą, że za sobą szaleją. I oni zawsze zatrudniają kogoś z miasta, jedna z ich siostrzenic, niech mnie licho, jeśli pamiętam, jak miała na imię, była... chyba najlepiej można to ująć „obficie wyposażona”. To musiało być chyba ze dwadzieścia lat temu. Codziennie rano pochylała się, żeby postawić francuskie tosty, a mnie oczy wyłaziły z orbit. Mówię ci, razem z braćmi byliśmy w siódmym niebie, aż w końcu Maj zorientowała się w czym rzecz i powiedziała Mary, żeby kupiła dziewczynie lepiej dopasowany mundurek. — Charlie zabębnił palcami w kierownicę; był naprawdę w wyśmienitym nastroju. — Dawniej podczas weekendów Święta Pracy — kontynuował — wystawiane były coroczne musicale, co już chyba wszystkim się przejadło. Walt Thayer grał na pianinie, Maj i pani deWolfe pisały libretto, a ja, daję ci przenajświętsze słowo honoru, byłem przekonany, że zrobię karierę na

Broadwayu, co praktycznie przyprawiło Maj o zawał serca, jak zapewne możesz sobie wyobrazić.

— O czym były te musicale?

— O tym, co działo się podczas lata. Spędzaliśmy tutaj dwa i pół, trzy miesiące w roku, więc ubawu było zawsze po pachy, i to nie tylko wśród dzieciaków, dorosłym też odbijało. Wlali w siebie po kilka ginów z tonikiem i hulaj dusza. Znasz te różowe flamingi, ogrodowe ozdóbki, które tak kocha biała hołota?

Kiedy byłam w pierwszej klasie liceum, nasza sąsiadka, pani Falke, postawiła dwa takie w swoim ogródku.

— Yhm — powiedziałam tylko.

— No więc Billy i Francie Niedleff kupili dwa w mieście i postawili przed naszym domem. Jak tylko dowiedzieliśmy się, czyja to sprawka, Maj zapalała rządzą zemsty i którejs nocy pod osłoną ciemności przyczepiła je na dziobie łodzi pana Niedleffa. Kilka dni później pani Niedleff postawiła je w naszym ogrodzie, oba w czapkach baseballowych Cubsów, takich malutkich, które sama zrobiła z tektury, bo tata zwyczajnie nie znosi Cubsów. I tak w kółko, przez całe lato, aż błazenada sięgnęła zenitu, kiedy tato którejs nocy poszedł do łazienki, a tam znalazł w wannie żywego flaminga. — Charlie zachichotał. — Mówię ci, nie wiem, kto był bardziej przerażony: tato czy biedny flaming.

— Ale co z nim zrobiliście? Chyba go nie zatrzymaliście?

— Och, wzięli go do zoo w Greek Bay następnego dnia. Ale wcześniej zdążył wyrznąć w łazience imponującą kupę, no, ale w końcu był przecież w toalecie. Czyż można mieć do niego pretensje?

Charlie wciąż jeszcze chichotał, kiedy zaczęłam z innej beczki.

— Może nie powinniśmy mówić o naszych zaręczynach w ten weekend. Nie wiem, czy to będzie na miejscu. Powinniśmy zaprosić twoich rodziców¹ moją mamę i babcię na lunch do Madison i powiedzieć im wszystkim razem.

Charlie obrócił się ku mnie z uśmiechem.

— Zaczynasz mieć wątpliwości?

— Wydaje mi się, że to niegrzecznie mówić którejs rodzinie najpierw — powiedziałam. — Poza tym dla twoich rodziców to może być zbyt wiele. Pozwólcie, to jest Alice, a tak przy okazji, ona jest moją narzeczoną.

— Chyba się nie boisz, że cię nie polubią? :

— Nie — odparłam, choć nie do końca szczerze.

Mijaliśmy wysokie, smukłe brzozy i wraz ze stresem spowodowanym zbliżającym się spotkaniem zaczęłam czuć niepokój, jaki wywołuje świadomość, że coraz bliżej znajduje się woda, choć jeszcze jej nie widać. Jazda z Madison trwała prawie cztery godziny. Minęła trzecia, kiedy skręciliśmy w płataninę węższych dróg, aż wreszcie dotarliśmy do szutrowej, po której wybojach jechaliśmy jakieś pięć kilometrów. Wreszcie poprzez drzewa ujrzałam jezioro Michigan, wciąż odległe, ale błękitne i połyskujące w słońcu. Charlie zjechał z drogi i skręcił na soczystą zieloną łąkę, na której tu i ówdzie rosły klony i iglaki, a także stały nieregularnie rozrzucone budynki o białych ścianach i różnej wielkości. Uznałam, że największy z nich to budynek klubu.

— Kochane, stare Halcyon — powiedział Charlie i zaczął gwałtownie trąbić. Wskazał największy budynek. — To Alamo, gdzie śpią mama z tatą i kilkoro wnucząt. Może tam cię ulokują, ale bardziej prawdopodobne, że w którymś z tamtych domów. — Pokazał mniejsze zabudowania. — To jest Catfish, Gin Rummy i Stare Nassau. A widzisz ten? — Uśmiechnął się. — Tam zapaliłem swojego pierwszego jointa i o mało nie puściłem wszystkiego z dymem. Nazywa się Itty— Bitty.

Wystawił głowę przez okno i zobaczył, że ktoś wyłonił się z największego domu i zmierza ku nam, ktoś niezwykle podobny do Charliego, tylko z nieco ciemniejszymi włosami. Charlie jechał prosto na niego — chyba z trzydzieści kilometrów na godzinę, niezbyt szybko, ale też nie powoli, zważywszy na odległość — a im bliżej podjeżdżał, tym szerzej nadchodzący facet się uśmiechał. Szedł z całkowitą nonszalancją, i w ostatniej sekundzie, kiedy zaczynałam już nerwowo mrugać, Charlie nacisnął pedał hamulca.

— Ale z ciebie tchórzliwa baba, Chas! — krzyknął mężczyzna.

Charlie zaparkował samochód obok wykończonego drewnem combi — pod tylną ścianą domu stało pięć innych aut — a mężczyzna podszedł do drzwi z mojej strony i opierając ramiona na dachu, zajrzał przez moje otwarte okno.

— Więc to ty jesteś powodem, dla którego nie dane nam było oglądać Chasbo od tygodni — powiedział. — Teraz już rozumiem, dlaczego.

— Odwal się, zboku — odezwał się Charlie głosem tak uszczęśliwionym, jakiego nigdy wcześniej u niego nie słyszałam. — Alice, poznaj mojego brata, Arthura.

Uścisnęliśmy sobie dłonie przez okno.

— Podziwiam cię — powiedział Arthur. — Nie każda kobieta chce się spotykać z niedorozwojem.

Charlie wysiadł już wtedy z samochodu i zanim się zorientowałam, co się dzieje, zaatakował Arthura z boku i obydwaj zaczęli tarzać się po trawie, okładając się i zanosząc ze śmiechu. Otworzyłam drzwi i wysiadłam; zapach, ten słodki, czysty zapach północnego Wisconsin — dzięki niemu Halcyon niemal stawało się warte swojej pretensjonalnej nazwy. Popatrzyłam na pięć budynków. Byłam niemal pewna, chociaż Charlie nie powiedział tego wprost, że stanowiły wyłączną własność Blackwellów, a nie część Halcyon, jak sądziłam na początku. Moje niedawne pierwsze kroki na rynku nieruchomości nauczyły mnie myśleć pewnymi kategoriami i oceniłam, że największy ma niecałe pięćset metrów kwadratowych; trzy kolejne siedemdziesiąt pięć, może osiemdziesiąt pięć metrów kwadratowych, a ostatni, Itty— Bitty, nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia. Na grządce wokół wiązu rosły barwinki, a trawa była tak zielona i soczysta, że zapragnęłam zdjąć buty. Obeszłam największy dom. Jakies siedem metrów przede mną w trawie biegł chodnik, a ze czterdzieści metrów dalej, u stóp trawiastego zbocza znajdowała się wąska kamienista plaża i woda. W jezioro wychodził długi pomost. Na jego końcu dostrzegłam postaci leżące na ręcznikach bądź siedzące na leżakach. Na wodzie unosiła się tratwa, z której skakał właśnie ktoś w czerwonych kąpielówkach.

Kiedy wróciłam do samochodu, Charlie i Arthur podnieśli się i szli ku mnie, obaj jednakowo zdyszani.

— Powiedz mi, Alice — odezwał się Arthur. — Czy Chasbo wciąż ma problemy z impotencją, czy też wreszcie się wyleczył?

— U tego samego lekarza, który leczył twoje wzdęcia. — Charlie się uśmiechał. — Świetny gość.

— Lepsze gazy niż obwisłość — stwierdził Arthur.

— Powtarzaj to sobie, pierdzielcu — odparł Charlie.

— Alice, bądź ze mną szczerą — odezwał się Arthur. — Czy urzekło cię krasomówstwo Charliego?

Charlie objął Arthura.

— Wszystkiego nauczyłem się od mojego brata.

Obaj uśmiechali się tak samo.

— Witajcie w Halcyon — powiedział Arthur. — Macie ochotę na piwo?

Otworzyliśmy bagażnik i wnieśliśmy nasze rzeczy do domu.

— Nie wiem, gdzie Maj ulokuje Alice, ale na razie wrzucimy graty do Alamo — powiedział Arthur.

Trzymałam swoją torebkę i doniczkę z bazylią (teraz wydawała się okropnie prostacka, prostacka po hippisowsku), a Arthur niósł walizkę, którą ubiegłej zimy kupiłam w sklepie u Deny, z winylu w różowo— brązowe tureckie wzory, z różowymi skórzanymi paskami.

— Kto jest? — zapytał Charlie, kiedy podeszliśmy do siatkowych drzwi.

— Niech pomyślę... Ed i John łowią ryby z Joe Thayerem, Ginger ma migrenę — Arthur uniósł z powątpiewaniem brew — tata i Maj pływają z chłopcami i Lizą, Jadey pojechała z dzieckiem do miasta po spray na komary — uważajcie, bo kopruchy po prostu oszalały — wujek Trip śpi, a Nan gra w tenisa z Margaret. Kogoś pominąłem?

— Wujek Trip jest? — zapytał Charlie.

— A czy Święto Pracy bez niego byłoby udane? — uśmiechnął się Arthur.

Kiedy Arthur otwierał drzwi, a ja i Charlie wchodziliśmy w ślad za nim do domu, jeżeli o mnie chodzi, równie dobrze mogliby rozmawiać po por— tugałsku — tylko nieliczne z wymienianych przez nich imion coś dla mnie znaczyły i wydawało się, że będę potrzebowała nie wiadomo ile czasu, by to się zmieniło. Myślałam się jednak i już pod koniec weekendu z pewnymi problemami, ale potrafiłam powiedzieć, że: Ed był najstarszym bratem, kongres— menem; Ginger była jego żoną, podatną na ataki migreny, a może tylko je udającą, w zależności od tego, komu dawało się wiarę (tak czy owak wszyscy Blackwellowie poza Edem zdawali się zgodni, że Ginger jest ponura i sztywna, i dlatego ich opowieści o niej miały służyć jako ostrzeżenie dla mnie); chłopcy byli ich synami, Harry, lat dziesięć, Tommy, lat osiem, i Geoff, czterolatek; do „chłopców” zaliczał się też syn Arthura, trzyletni Drew; Jadey była żoną Arthura, a Winnie ich jedenastomiesięczną córeczką; John był drugim najstarszym bratem, mężem Nan; dziewięcioletnia Liza była starszą córką Johna i Nan, a Margaret, lat siedem, młodszą. Wujek Trip nie był niczym wujkiem, tylko trzecim współlokatorem Harolda Blackwella i Hugh deWolfa, kiedy studiowali na Uniwersytecie Princeton od jesieni 1939 do wiosny 1940 roku; i na koniec wreszcie tatą był Harold Blackwell, a matką Maj Priscilla Blackwell.

Joe Thayer, z którym Ed i John wybrali się na ryby (Blackwellowie posiadali pięć łodzi: kuter, motorówkę, dwie łodzie wiosłowe i kanu), miał trzydzieści sześć lat i był najstarszym dzieckiem Walta i Sarah Thayerów — Thayerowie to kolejna rodzina z Halcyon. Pracował jako prawnik w Milwaukee. Joe był również mężczyzną, z którym jedenaście lat później, pewnej nocy w kampusie w Princeton, całowałam się. Ale była to najmniej istotna z rzeczy, o której tego popołudnia nie miałam pojęcia.

Weszliśmy do wielkiego domu — Alamo — przez spiżarnię, która prowadziła do kuchni. Zarówno istnienie kuchni, jak jej skromność zaskoczyły mnie. Lodówka była biała, o zaokrąglonych krawędziach (wyglądała, jakby pochodziła z lat czterdziestych, i głośno buczała). Stała tam też wielka kuchenka gazowa z czterema palnikami i dębowy stół z zatłuszczonym blatem, przysunięty do ściany, i krzesłami po obu stronach, na których leżały cienkie granatowe poduszki. Na ścianie wisiał zegar z białym porcelanowym cyferblatem i czarnymi wskazówkami, z logo Schlitz na środku. Uderzające było, że pomieszczenie wydawało się zagracone — pełne różnych rzeczy, jak kuchnia w każdej licznej rodzinie; w metalowym podwieszonym u sufitu koszyku zauważyłam ziemniaki i cebule, obok kuchenki znajdował się stojak z przyprawami, na lodówce piętrzyły się opakowania płatków śniadaniowych, na stole stała otwarta paczka chipsów.

Wskazałam na chipsy.

— Wydawało mi się, że wszystkie posiłki jecie w klubie.

— Alice, mężczyzna nie wyżyje tylko na śniadaniu, lunchu i kolacji — powiedział Arthur.

— Blackwellowie od jedzenia lepsi są tylko w pićiu — dodał Charlie.

— A skoro o tym mowa... — Otworzył lodówkę i wyjął trzy puszki piwa, z czego po jednej podał Arthurowi i mnie. — Chryste, dobrze być tu znowu

— stwierdził, kiedy otworzył swoją i pociągnął z niej potężny łyk.

— Zakładam, że Charlie wtajemniczył cię w nasz skomplikowany system kanalizacyjny — zwrócił się do mnie Arthur.

Spojrzałam na Charliego.

— Ups — powiedział, ale z uśmiechem. — Bałem się, że nie przyjedzie

— rzekł do Arthura.

— Czas na lekcje rachunków — powiedział Arthur. — Jest nas teraz tutaj, Chas, siedemnaścioro Blackwellów? Osiemnaścioro? Ale za to jest jedna łazienka, i to nie tylko w tym domu, ale w ogóle we wszystkich. To znaczy, Maj i tato mają ubikację, ale tylko oni mogą z niej korzystać. Staram ci się uzmysłowić, że trzeba się streszczać.

— Okay — skinęłam głową.

— Rury też nie są w najlepszym stanie, dlatego trzeba spuszczać wodę wcześniej i często — powiedział Charlie.

— A jak wysrasz się porządnie, lepiej zaprzyjaźnić się z wieszakiem.

Arthur obrócił rękę i zrobił ruch, jakby coś kroił.

Nie zaszokował mnie, prawdę mówiąc, nawet nie wiedziałam, czy taki miał zamiar, czy też zwyczajnie był sobą. Arthur wydał mi się dziecinny, ale dziecinność mi nie przeszkadzała — nie przez przypadek pracowałam w szkole

— a poza tym poznając rodzinę Charliego, chciałam wypaść jak dobra kumpela.

— Czy to ta sama łazienka, w której wasz tato natknął się na flaminga?

— zapytałam.

— Mówiłeś jej o tym? — Arthur się roześmiał, potrząsając głową. — Klasyka, absolutna klasyka. Szkoda, że nie słyszałaś tego gęgolenia i jęczenia. Kto by pomyślał, że flamingi w ogóle wydają jakieś odgłosy? Pozwól, oprowadzę cię.

We trójkę przeszliśmy z kuchni do salonu, ogromnego pomieszczenia, w którym na północnej ścianie mieścił się największy kominek, jaki w życiu widziałam — był tak wielki, że mogłabym w nim stanąć. Powyżej na ścianach wisiały trofea myśliwskie: najwyżej znajdował się łoś i kilka jeleni (przynajmniej dwa z porożem o sześciu odnogach), nieco poniżej pstrąg i łosoś, bażant i dziki indyk, a także ciecior. W jednym z kątów dostrzegłam, jak sądzę, pokazowy egzemplarz kolekcji — wypchanego czarnego niedźwiedzia stojącego na tylnych łapach. Miał około trzech metrów, szczyrzył paszczę w przerażającym, choć niemym ryku i miał białą łatkę w kształcie serca na piersi. Tyle tylko że bestia pozbawiona była całej swojej groźnej powagi przez kowbojski kapelusz tkwiący na jej łbie. Ciekawe, czy przerażała najmłodszych Blackwellów?

Meble w salonie nie pasowały do siebie i miały wyblakłe obicia. W oczym przedzie wszystkim rzucały się dwie białe bambusowe kanapy, obite, jak podejrzewam, tkaniną, która kiedyś była czerwona, ale teraz przybrała barwę spranego różu; na obydwu piętrzyła się kolekcja poduszek ozdobionych w marynistycznym stylu: latarniami morskimi, żaglówkami, muszlami. Na półce pod blatem zrobionego z bambusa wielkiego stolika do kawy upchnięto różne gry planszowe, w wyblakłych, czasem porozrywanych pudełkach (zauważyłam scrabble, Monopoly i Candy Land, a także kilka układanek z puzzli). Na frontowej ścianie, od jej połowy do sufitu, przez całą długość pokoju biegły okna z żaluzjami, z których wiele było rozsuniętych, ukazując osłoniętą werandę zastawioną wiklinowymi meblami na ogromnej słomiance. Na drugim końcu pomiędzy ścianami rozwieszony był hamak, w którym — chwilę trwało, zanim go zauważyłam — smacznie spał mężczyzna w średnim wieku. Za werandą rozciągało się jezioro Michigan.

— Sypialnie są tutaj.

Arthur powiódł nas do krótkiego korytarzyka prowadzącego do dwóch mniejszych pokoi. W pierwszym na podłodze leżała kolejna słomianka, stało ogromne małżeńskie łóżko zasłane białą kapą, dwa nocne stoliki zawalone stosami książek i gazet, toaletka z lustrem, pomalowana jasnoniebieską farbą, tu i ówdzie obłaząca. W drugim pokoju znajdowało się podwójne łóżko z metalową ramą w kolorze mięty i wyglądający na dość zabytkowy, telewizor na komodzie. Dopiero kiedy ujrzałam dwie sypialnie po drugiej stronie domu, w których poza łóżkami nie było nic, jeżeli nie liczyć rozrzuconych na podłodze zabawek i ubranek, zrozumiałam, że pierwsza sypialnia musiała należeć do rodziców Charliego.

— Jeśli można, skorzystałabym ze słynnej łazienki — powiedziałam.

— Tędy. — Charlie skinął głową i podążyłam we wskazywanym przez niego kierunku.

— Spłukuj wcześniej i często — krzyknął za mną Arthur.

Znalazłam się w holu, gdzie na wieszakach wisiały stare płaszcze i flanelowe koszule, a nad nimi na wysokiej półce tkwiły poupychane byle jak różne domowe parafernalia: frisbee, buty na śnieg, plastikowy latawiec, książka telefoniczna, zakurzony dwulitrowy pojemnik z szarą farbą do ścian.

Po zewnętrznej stronie drzwi do łazienki widniała porcelanowa owalna plakietka z fantazyjnymi literami „WC”. Było to jednak mylące — to nie była ubicacja; o czym zorientowałam się, jak tylko otworzyłam drzwi i weszłam do pomieszczenia wielkości jadalni w moim rodzinnym domu w Riley. Znajdowała się tu pralka, suszarka, wanna na lwich łapach, stary klozet z czarną plastikową deską, łańcuchem do spuszczenia wody i zbiornikiem wiszącym nad głową użytkownika; nieduża porcelanowa umywalka; obok niski drewniany stolik, na którym stały cztery kubki, a w każdym po kilka szczoteczek do zębów; półka z książkami, głównie w miękkiej oprawie, ale zauważyłam też dwie w twardej: *Wyznania Nata Turnera* i wielką zieloną *Trójcę* Leona Urisa — było też okno zasłonięte nie całkiem nieprzezroczystą zasłonką z bawełnianego woalu, przez które widziałam zaparkowane samochody i słyszałam nie tylko bryzę, lecz również odległe pokrzykiwania pływających i opalających się na pomoście. Zamknęłam drzwi i uniosłam sukienkę — na spotkanie z rodziną Charliego założyłam żółtą, robioną na drutach sukienkę z kołnierzykiem, krótkimi rękawami i paskiem w talii, do tego niebieskie sandały dr. Scholla — kiedy się zorientowałam, że drzwi same się otworzyły. Po drugiej próbie zamknięcia ich zrozumiałam, że mi się to nie uda; żaden zamek nie zaskakiwał, miękkie drewno drzwi wyslizgiwało się z równie miękkiego drewna framugi. No jasne. Trochę się zdenerwowałam (jedna łazienka na osiemnaście osób przez trzy dni!), ale zaraz się opanowałam,

zdejęłam *Wyznania Teda Turnera* i *Trójkę* z półki i położyłam na podłodze, aby przytrzymały drzwi. Jestem pewna, że znajdowały się w łazience w tym właśnie celu. Dla pewności zamknęłam też okno.

Kiedy wyszłam, Charlie i Arthur siedzieli w salonie, gdzie Arthur pokazywał Charliemu artykuł o ich bracie Edzie w czasopiśmie „Washington”, periodyku mi nieznanym.

— Wielki Boże, Eddie łysieje. — Charlie uniósł magazyn, by mi pokazać. — Na pewno wyrażę mu swoje z tego powodu ubolewanie. Alice, chcesz się przebrać w kostium?

— Chyba będzie bardziej dystyngowanie, jeżeli poznam twoich rodziców w sukience.

Arthur się roześmiał.

— Jeżeli liczyłaś na dystyngowane towarzystwo, to źle trafiłaś. ; ,

Podszedł do małego stolika między dwoma białymi bambusowymi krzesłami i wziął z niego niewielkie zdjęcie w ramce z poczerńiałego srebra.

— Przedstawiam dowód A.

— O rany — uśmiechnął się Charlie. — Chcesz, żeby mnie rzuciła tu i teraz?

Arthur podał mi zdjęcie. U góry tuż pod zaszłym srebrem widniał monogram, litery PBH, z tym że B pośrodku było największe. Zdjęcie ukazywało blondynkę w białej ślubnej sukni, Arthura we fraku, a po ich bokach grupę młodych, uśmiechniętych ludzi: po stronie panny młodej sześć druhen w jednakowych sukniach z różowej satyny, po stronie Arthura sześciu mężczyzn we frakach, z których najbliżej Arthura stał Charlie.

— Bardzo piękne — powiedziałam. — Kiedy braliście ślub?

— W siedemdziesiątym pierwszym, ale nie o to chodzi. Przyjrzyj się dokładnie.

— Mogę tylko powiedzieć, lepiej uważaj — rzekł Charlie. — Nie ty, Alice.

W dalszym ciągu przyglądałam się fotografii. Wreszcie zobaczyłam, a Arthur dostrzegł, że to widzę.

— Niezły rozmiar, co? — powiedział. — Ale o tym chyba już sama wiesz.

Na zdjęciu, tam gdzie powinien znajdować się rozporek Charliego, zwisało coś czerwonego. Nie bardzo pasowało do całości, ale trudno było się pomylić:

Charlie wyjął ze spodni (przynajmniej miałam nadzieję, że on, a nie ktoś inny) swoją mosznę i wystawił ją do zdjęcia.

Zerknęłam na Charliego — słowo daję, Blackwellowie byli jak sześcio—kłaści z Liess, którzy przeklinają w zasięgu słuchu nauczyciela, czekając na reakcję.

— Niezwykła poza do zdjęcia — rzuciłam swobodnie.

— Jadey potrzebowała pięciu lat, żeby mi wybaczyć, ale warto było. — Charlie się uśmiechnął. — Nie, ona doskonale wiedziała, że to tylko dla zabawy.

— Moja żona jest w i e l k ą admiratorką eleganckich worków na orzeszki — powiedział Arthur. — Naprawdę wielką.

Charlie wziął mnie za rękę i ścisnął.

— Obiecuję, że na naszym ślubie tak się nie zachowam. — Arthur zachichotał, nie mając pojęcia, że naprawdę jesteśmy z Charliem zaręczeni. I wtedy właśnie usłyszałam kroki na schodach wiodących na werandę i głos, dystygowany, należący do pani w średnim wieku.

— Ram— tam— tam — rozległ się okrzyk. — Wyczuwam świeżą krew natrętnej dziewczyny.

— Czy mam się zwracać do twojej mamy po imieniu, czy też raczej proszę pani? — zapytałam szeptem.

Charlie skierował się na werandę, ja ruszyłam za nim.

— Hej, Maj, Alice chce wiedzieć, czy ma mówić do ciebie po imieniu, czy raczej proszę pani?

— Charlie — syknęłam.

Jego matka się roześmiała.

— To zależy — odparła. — Zobaczymy, na ile Alice przypadnie mi do gustu.

Miała siwe, sięgające brody włosy, przylizane do tyłu, ale tylko dlatego, że

były mokre, co jest normalne przez kilka minut po wyjściu z wody. Nosila jednoczęściowy granatowy kostium kąpielowy, poza tym nic, żadnych sandałów czy ręcznika. Mierzyła prawie metr osiemdziesiąt, a jej nogi, piersi i ramiona były jednocześnie pomarszczone i opalone; sylwetkę miała szczupłą i wysportowaną. („Byłam kapitanem drużyny hokeja na trawie w Dana Hall, ale także w Holyoke", wyznała mi jakiś czas później, a ja mruknęłam coś z aprobatą, nie dlatego, że byłam pod wrażeniem, ale ponieważ sądziłam, że tego oczekuje).

Póki co nie spojrzała na mnie, tylko ujęła Charliego pod brodę — zdziwiłam się, że Charlie i jego matka się nie objęli — i obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

— W tej fryzurze wyglądasz jak Żyd — powiedziała ciepło.

Charlie roześmiał się bez wahania — i chyba szczerze.

— Hej, przynajmniej ja mam włosy, czego nie można powiedzieć o twoim najstarszym synu.

Ale ona już podeszła do mnie; bez śladu zakłopotania czy choćby słowa przepaszam taksowała mnie wzrokiem.

— No, no, niebrzydka jesteś.

Postąpiłam krok do przodu i wręczyłam jej doniczkę z bazylią.

— Bardzo dziękuję, że zgodziła się mnie pani gościć.

— Alice przywiozła ci marihuanę domowego chowu — powiedział Charlie.
— W Madison mają najlepszą.

— To bazylia — wyjaśniłam pośpiesznie.

Pani Blackwell zwróciła się do Charliego:

— Na pewno żałujesz, że to nie marihuana — powiedziała, a w jej głosie znać było dumę, która jeszcze urosła, kiedy zwróciła się do mnie. — Moi synowie to niepoprawne łobuzy, z wyjątkiem Eddiego, który jest grzeczny jak prymus. Charlie mówił mi, że pochodzisz z Riley, musisz więc znać rodzinę Zurbruggów.

Skinęłam głową.

— Z Fredem chodziłam do szkoły.

Zurbruggowie byli najbogatszą rodziną w Riley, a może nawet jedynymi bogatymi ludźmi — posiadali jedną z największych farm mlecznych w całym stanie i oczywiście to na imprezę do Freda jechałam tamtego dnia, kiedy doszło do wypadku.

— Wszystkie w Klubie Ogrodniczym w Milwaukee zazdrościłyśmy Adzie Zurbrugg jej gladioli — powiedziała pani Blackwell. — Nie mamy pojęcia, jak to robiła. I co za przykra sprawa z Geraldine, prawda? To było takie urocze dziecko.

— Czy coś... ? — Zawahałam się.

Geraldine była najstarszą siostrą Freda i jeżeli spotkało ją jakieś nieszczęście, ja nie miałam o niczym pojęcia.

— Jest gruba jak stodoła! — wykrzyknęła pani Blackwell. — Musi ważyć ze sto dwadzieścia kilogramów! Absolutna tragedia.

— Nie widziałam jej od kilku dobrych lat.

— Gdyby ktoś kiedyś zdelegalizował bikini... — pani Blackwell roześmiała się wesoło. — Alice, będziesz spać w Itty— Bitty. Chas, pomóż jej się rozlozować i wyjaśnij, jak wygląda sprawa z łazienką. — Znowu zwróciła się do mnie. — Halcyon jest może i trochę rustykalne, ale na pewno nie masz nic przeciwko nieco obozowym warunkom. Jesteś singielką czy debelką?

Potrzebowałam kilku sekund, by się zorientować, o czym mówi.

— Och, nie gram w tenisa. — Uśmiechnęłam się z żalem. — Ale Charlie opowiadał mi o waszym turnieju i na pewno jest to wspaniała tradycja.

— Skoro nie grasz w tenisa, to co u licha robisz? — Udawała zakłopotanie, chociaż dam sobie uciąć głowę, że nie była ani trochę zakłopotana. Emanowała sprytem.

— Cóż... — przerwałam. Czy jej pytanie było retoryczne czy dosłowne? Nikt się nie odezwał. — Lubię czytać — odparłam.

Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy nie starałam się być ugodowa czy szczerą na siłę. Zwyczajnie odpowiedziałam, ponieważ Priscilla Blackwell wyglądała na kogoś, kto nie znosi, jeśli ktoś usiłuje ją przekonać, że jest wystarczająco dobry. Zapewne nie zniosłaby też, gdyby ktoś się nie starał, ale chyba nie aż do tego stopnia.

Charlie położył mi rękę na plecach.

— Alice to prawdziwy geniusz — powiedział. — Przeczytała wszystkie książki, jakie istnieją. — Nawet jeżeli był to absurd, to uroczy. — Słyszałem, że Ginger ma migrenę? — dodał.

Pani Blackwell prychnęła.

— Ginger to płaksa. — Spojrzała na zegarek. — Drinki podajemy punktualnie o szóstej, do klubu wyjdziemy dwadzieścia po siódmej. — Znowu patrzyła na mnie. — Na pewno będziesz chciała przebrać się do kolacji — dodała.

W Itty— Bitty stały dwa piętrowe łóżka, minilodówka (Charlie natychmiast wyjął sobie z niej piwo) i szafa, w której poza kilkoma metalowymi wieszakami nic nie było; rzecz jasna nie było też łazienki. Z czterech łóżek tylko jedno miało

pościel: ciasno naciągnięte białe prześcieradło, poduszkę w białej poszewce i brązowy wełniany koc, złożony w nogach.

Charlie usiadł na kocu, zgarbiony, by nie uderzyć głową w łóżko powyżej. Ja zajęłam się rozwieszaniem swoich ubrań.

— Idealnie — powiedział. — Bałem się, że umieści cię z jakimś *skrzeczącym* bratankiem albo bratanicą, ale jesteś tu sama, *możesz* sobie czytać, spać... — Uśmiechnął się. — Przyjmować nocnych gości.

— Na to nie licz. — Powiesiłam bluzkę na wieszaku. — Nie mam zamiaru ryzykować, że twoja mama nas nakryje. Przywoziłeś do Halcyon inne dziewczyny?

— Czy to zaszyfrowane pytanie, z iloma spałem? Możesz mnie zapytać wprost.

— To nie był żaden szyfr, ale skoro sam zacząłeś...

— Z jedenastoma — powiedział. — Przed tobą, rzecz jasna. *A ty? Ilu* miałaś facetów?

— Licząc z tobą, czterech.

Postawiłam swoje białe szpilki na dnie szafy.

— Serio, czterech? — Charlie wydawał się zdumiony.

— A co sobie myślałeś?

— Brat tego chłopaka z liceum, ja, i...

— W college'u spotykałam się z Wadem Trommlerem, a kilka lat później z facetem o imieniu Simon.

— Ty stworzyłaś dwugarbną bestię z Trombonem Trommlerem? Trom—bone cię bzykał? — Charlie w ogóle nie wydawał się zazdrosny, tylko zwyczajnie ubawiony. — Jednorazowe. O rany. Wade chyba jest, bez przesady, najnudniejszym facetem na całej kuli ziemskiej. Nie zrozum mnie źle, jest w porządku, ale nudniejszy od zmywarki. Jaki był?

— Dlaczego chcesz o tym rozmawiać?

W czasie ostatniego meczu badmintona Charlie i Wade byli w jednej drużynie, ale ja nie uważałam już Wade'a za swojego byłego chłopaka, tylko za męża Rose.

— Czy znaczy, że był zły, czy też raczej dobry? — dopytywał się Charlie.

— Był w porządku — odparłam. — Masz rację, że jest miły, i masz też rację, że jest nudny.

— Daleko mu do Charliego Blackwella?

Podeszłam do niego i objęłam go. Wciąż siedział, mógł więc wtulić twarz w moje piersi.

— Jest tylko jeden Charlie Blackwell — powiedziałam. — Dzięki Bogu _ nie mogłam się powstrzymać, żeby tego nie dodać.

— A ten drugi facet, Simon jaki?

— Miał na nazwisko Tórnkvist. Na pewno go nie znasz. Był w pewnym sensie hippisem, ale też niezwykle poważnym człowiekiem.

— A w łóżku?

— Charlie, proszę cię.

— Próbuję wyrobić sobie pełny obraz Lindy. Żeby iść w przyszłość, najpierw trzeba uszanować przeszłość.

Łagodnie odchyliłam mu głowę do tyłu, żebyśmy mogli na siebie popatrzeć.

— Czy to z jakiegoś przemówienia?

Uśmiechnął się złośliwie.

— Być może.

— Myślę, że Simona prześladowało to, że walczył w Wietnamie — powiedziałam.

— Aha. — Charlie pokiwał głową. — Zgorzkniały hippis. Dobrze, że od niego odeszłaś.

— Nie kpij z niego — powiedziałam. — To przyzwoity człowiek. Ty nie... — Przeczuwałam odpowiedź, ale nie byłam pewna. — Nie byłeś w Wietnamie, prawda?

— Nie mogłem. Płaskostopie.

Charlie był boso, już w kąpielówkach i teraz wyprostował nogi i wygiął stopy.

— A twoi bracia?

— Najpierw Ed był w szkole prawniczej, potem ożenił się z Ginger, więc dostał odroczenie, a potem okazało się, że John i Arthur też mają płaskostopie. Jak

pech, to pech, no nie? — uśmiechnął się. Zrobił w powietrzu znak cudzysłowu. — Wtedy pracowałem w „gościnnym przemyśle” — co oznacza, że jeździłem na nartach. Byłem instruktorem w Squaw Valley, wyhodowałem sobie góralską brodę. Muszę zapytać Maj, czy ma jakieś zdjęcia, bo naprawdę warto, żebyś to zobaczyła.

Dziwnie się czułam, wspominając Simona w gościnnym domku w wakacyjnej posiadłości Blackwellów, dziwnie, bo to miejsce tak diametralnie różniło się od farmy, na której mieszkała rodzina Simona. Wiedziałam, że uznaliby Blackwellów za ludzi folgujących sobie, wulgarnych i zadowolonych z siebie, a oni z kolei mieliby go za pozbawionego poczucia humoru ponuraka — choć wątpliwe, by ich ścieżki miały się kiedykolwiek skrzyżować. Co oznaczał fakt, że z taką łatwością odnajdywałam się w towarzystwie zarówno jednych, jak i drugiego? Czy byłam aż tak zmienna, bez określonej tożsamości? Potrafiłam podać argumenty za i przeciw ludziom zarówno pokroju Blackwellów, jak i Simona. Mimo to trudno było sobie wyobrazić, aby zachowanie Charliego, w przeciwieństwie do mojego, zmieniało się w zależności od dziewczyny, z którą akurat się spotyka; on zawsze byłby tym samym Charliem. Powiedział mi, że mam silne poczucie własnej tożsamości, ale zastanawiałam się, czy prawdą nie było coś wręcz przeciwnego — czy to, co on brał za siłę, w rzeczywistości nie było umiejętnością przystosowania się do niego, a to, jak mnie widział, nie było odbiciem jego własnej osobowości. Ja byłam grzeczna, odpowiednio wykształcona, wystarczająco ładna i skoro chciałam za niego wyjść, oznaczało to, że jest tego wart. Jednak nie — ten tok rozumowania *donikąd nie* prowadził. Mnóstwo kobiet wyszłoby za Charliego. Nie mogę być aż tak zadufana w sobie, by sądzić, że moja decyzja poświęcenia go określa jego status w ogólnym czy oficjalnym stopniu. Priscilla Blackwell zdrowo by się uśmieła, tym bardziej że postrzegała mnie jako skromną małomiasteczkową nauczycielkę. Z drugiej strony byłam przecież skromną małomiasteczkową nauczycielką. (Sama przed sobą udawałam, że doszłam do takiego wniosku, pod nim jednak krył się kolejny, ten właściwy: a mianowicie że w zasadzie miałam rację. Faktycznie mnóstwo kobiet wyszłoby za Charliego, kobiet takich jak Dena, nie kobiet takich jak ja. Ja nie wychodziłam za niego dla jego pieniędzy czy pozycji społecznej. Wychodziłam za niego, ponieważ lubiłam jego towarzystwo. Byłam też, z jego punktu widzenia, poważną osobą — widział mnie tak, jak ja widziałam Simona — i właśnie ta moja powaga w sposób fundamentalny go określała, jego swawolę czyniła powierzchowną, skrywającą ukryte głębiej pokłady mądrości i stabilności. Gdyby Charlie Blackwell rzeczywiście był zepsutym lekkoduchem, Alice Lindgren nie zdecydowałaby się za niego wyjść; oboje musieliśmy w to wierzyć. Ale jak już mówiłam, udawałam, że do takiego wniosku nie doszłam).

Charlie poklepał mnie po plecach.

— Pośpiesz się i wskakuj w kostium — powiedział. — Chciałbym popływać przed kolacją.

13wie godziny później, kiedy za minutę szósta weszłam na stopnie wiodące na osłoniętą werandę Alamo, zobaczyłam, że weranda świeci pustkami. Naturalnie natychmiast zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie zrozumiałam źle, gdzie bądź o której wszyscy spotykają się na drinku, a mój niepokój wzrósł, gdy obróciwszy się, dostrzegłam brata Charliego, Johna, wspinającego się po trawiastym zboczu od strony jeziora, ubranego tylko w kąpielówki i prowadzącego za rączkę swoją siedmioletnią córeczkę, Margaret. Na mój widok uśmiechnął się łobuzersko.

— Zaraz zjawimy się z powrotem — powiedział do mnie. — Z szybkością błyskawicy, prawda, Margaret? Alice, wyglądasz pięknie.

Na szyi miał przewieszony zużyty ręcznik, a w prawej ręce niósł gumową rurkę. Oboje z Margaret mieli spieczone słońcem nosy i ramiona.

Po południu na pomoście poznałam Johna i kilkoro innych Blackwellów. Wszyscy byli mili — dzieci w najlepsze bawiły się i chlapały w wodzie

— a ja miałam trudności z zapamiętaniem, kto jest kim, z wyjątkiem Harolda Blackwella, który w chwili gdy nadeszliśmy z Charliem, wychodził po drabince z wody. Wyglądał jak starsza wersja gubernatora, na którego w liceum i na studiach zwracałam tylko przelotną uwagę w gazetach czy telewizji, z tą różnicą że teraz zamiast garnituru miał na sobie spodenki kąpielowe, mokre siwe włosy oklejały mu pierś, a brodawki przypominały matowe monety. Widok brodawek byłego gubernatora nieco mnie poruszył, ale postanowiłam się tym nie przejmować. (Przyszło mi na myśl, że Dena byłaby zachwycona nieco krępującymi okolicznościami mojego spotkania z eks— gubernatorem i zrobiło mi się żal, że nie będę mogła jej tego opisać, zaraz jednak moją uwagę zaprzętnęli kolejni Blackwellowie, których przyszło mi poznać). Kiedy Charlie nas sobie przedstawił, Harold ujął moje obie ręce w swoje dłonie.

— Nie potrafię wyrazić, jak bardzo cieszy mnie twoja obecność tutaj

— powiedział.

Nie przypominał człowieka, którego pamiętałam z telewizji, obcego ¹ pewnego siebie, bardzo w średnim wieku i bardzo męskiego. Czy zmienił go czas? Otaczała go aura serdeczności, smutna i jednocześnie autentyczna

— smutek tego człowieka czynił go przede wszystkim miłym.

Właśnie otworzyłam siatkowe drzwi wiodące na werandę Alamo, kiedy z domu wychynęła szczupła czarna kobieta w średnim wieku, w czarnej sukience i

białym fartuszku. Tacę z dipem krabowym i krakersami, którą niosła, postawiła na wielkim okrągłym stole, na którym na śnieżnobiałym obrusie znajdowały się już butelki wina, whiskey, brandy, słodkich i gorzkich wermutów, poza tym srebrny kubek z lodem, cytryna, naczynie z wisienkami, zielone koktajlowe serwetki i całe mnóstwo szklanek i kieliszków do wina, whiskey, drinków — odbijające się w nich wieczorne słońce tworzyło magiczne refleksy. Wypełniona lodem i puszkami Pabsta i Schlitza plastikowa lodówka ze zdjętą pokrywą stała tuż obok stołu.

— Dzień dobry — powiedziałam. — Jestem Alice Lindgren. Jestem... Jestem tu na zaproszenie Charliego.

Kobieta skinęła głową, ale niezbyt życzliwie.

— Czego się pani napije?

— Czy przyszedłam za wcześnie? — zapytałam. — Może pomogę pani nakryć do stołu?

Na wiklinowych stolikach między krzesłami spostrzegłam miseczki z orzeszkami oraz z cheetos, poza tym, przyjrzawszy się dokładniej, zobaczyłam, że na serwetkach widnieje żółta piłeczka tenisowa i biały napis: TENISIŚCI NIE FAULUJĄ!

— Chce pani białego wina, czy na to ma pani ochotę? — zwróciła się do mnie kobieta.

— Bardzo chętnie.

Kiedy zobaczyłam, że otwiera butelkę, natychmiast pożałowałam, że nie odmówiłam, ale chyba było już za późno. Podała mi kieliszek i zdążyłam upić zaledwie łyk, kiedy rozległ się donośny męski głos.

— Panno Ruby!

Kątem oka dostrzegłam poruszającą się błyskawicznie sylwetkę i kobieta w fartuszku pofrunęła w powietrze. Jak się okazało, nadszedł Charlie i to on ściskając pannę Ruby, okręcił ją *w powietrzu*, a kiedy postawił, zmierzyła go rozwścieczonym spojrzeniem.

— Nie masz za grosz rozsądku — powiedziała, wyglądając fartuszek.

Charlie uśmiechnął się radośnie.

— Panno Ruby, oto moja przyszła oblubienica, Alice Lindgren. Alice, oto moja pierwsza miłość, panna Ruby.

Mogłam się zdenerwować, że Charlie zdradził, iż jesteśmy zaręczeni — pogwałcił w ten sposób umowę, jaką zawarliśmy w samochodzie — tyle że kiedy wraz z panną Ruby uścisnęłyśmy sobie ręce, ona zdawała się ani trochę bardziej mną zainteresowana, niż zanim pojawił się Charlie. Czy Charlie wszystkie swoje przyjaciółki przedstawiał jako przyszłe oblubienice? Nie było to niemożliwe.

— Nie dotykaj tego krabowego dipa, Charlie Blackwellu — warknęła panna Ruby, a ja zobaczyłam, jak Charlie wsadza palec wskazujący do kryształowej miseczki ustawionej obok butelek z winem. Panna Ruby wciągnęła głośno powietrze nosem. — Nie możesz użyć noża jak cywilizowany człowiek?

— Ale tak lepiej smakuje. — Charlie oblizwał palec. — Alice, napij się?

Uniosłam swój kieliszek z winem.

— Doskonale — powiedział. — I oczywiście, wyglądasz olśniewająco.

Pocałował mnie w usta; najwyraźniej był w nastroju do popisywania

się. Widziałam to już kilka razy w Madison, kiedy znajdowaliśmy się wśród ludzi. Czasem uroczo się wygłupiał, wciąż jednak potrafił słuchać, co się do niego mówiło, kiedy indziej zaś, zwłaszcza gdy pił od kilku godzin, zamieniał się w patentowanego głupka głuchego na uwagi kogokolwiek, kto nie był równie pijany i nakręcony jak *on*. W takich wypadkach *zwyczajnie* uzbierałam się w cierpliwość — czekałam, aż będziemy mogli pójść do domu, czasem wymieniałam pełne politowania spojrzenia z innymi dziewczynami czy żonami. Nigdy go nie zachęcałam, ale też nie miałam zamiaru go pouczać, jak powinien się zachowywać.

— Panna Ruby może potwierdzić, że po raz pierwszy w całej historii rodziny zjawiam się tu pierwszy — powiedział Charlie. — Nie chciałem, żebyś pomyślała, że zjawiłaś się w niewłaściwym miejscu, Lindy. Standardowy czas Blackwellów wynosi... panno Ruby, jak się pani wydaje, jakieś czterdzieści pięć minut opóźnienia?

— Nie popisuj się — odparła.

Charlie wskazał na nią.

— Ta kobieta zajmowała się mną od chwili, kiedy przywieźli mnie ze szpitala, i Bóg mi świadkiem, zawierzyłbym jej życie.

— Na pewno — powiedziała panna Ruby i weszła z powrotem do domu.

— Jest przezabawna, nie sądzisz? — zwrócił się do mnie Charlie. — Prawdziwy skarb.

Nie byłam pewna, czy powinnam się z nim zgodzić, ledwie jednak panna Ruby znikła z horyzontu i jedyną publicznością, jaka mu została, byłam ja, uspokoił się. Mimo to wciąż było widać, że nie może się doczekać nadcho— dzącego wieczoru. Trudno mi było mieć do niego o to pretensje — nie dało się ukryć, że spotkania rodzinne Blackwellów obejmowały nie tylko konkurencje sportowe, lecz same w sobie były swoistą konkurencją. Przebywanie wśród Blackwellów (to samo wrażenie powracało niejednokrotnie podczas następnych lat) sprawiało, że zazdrościłam im ich klanowej energii, pewności siebie, liczebności, ale też oddychałam z ulgą, że mnie przyszło dorastać w spokojnej i cichej rodzinie. Blackwellów łączyło tyle wspólnych żartów, tyle było przezwisk i odniesień do zamierzchłej przeszłości, tyle nieustannej rywalizacji — wątpię, bym była jedyną osobą, którą to nużyło.

W ciągu najbliższej półgodziny pojawili się wszyscy, albo wyłaniając się z wnętrza Aiamo, albo nadciągając z pozostałych domów, wielu wciąż jeszcze z mokrymi włosami, mężczyźni w prążkowanych garniturach lub spodniach khaki i granatowych blezerach, panie w letnich sukienkach, prowadząc za ręce dzieci — małe dziewczynki w zielonych lub różowych sukienkach z marszczeniami na karczkach lub wyhaftowanymi balonikami i jabłuszkami, w bucikach Mary Janes, chłopców w krótkich spodenkach i białych, opadających na kostki skarpetkach oraz białych bucikach z paskiem.

Podawano drinki — większość dorosłych sączyła tradycyjne koktajle, dzieci popijały koktajle Shirley Tempie lub Roy Rogers — panna Ruby krążyła wokół z dipem krabowym, a ja poznawałam kolejnych członków klanu Blackwellów. Szybko stało się jasne, że nie muszę aktywnie uczestniczyć w żadnej z rozmów, wystarczyło, bym kiwała głową i śmiała się w odpowiednim momencie.

— Wszyscy tak bardzo chcemy cię poznać — powiedziała Nan, żona brata Charliego, Johna, po czym nie zadała mi ani jednego pytania, podczas gdy wraz z Charliem staliśmy w jej towarzystwie jakieś dziesięć minut. John i Charlie prowadzili rozmowę, skupiając się głównie na aktualnej jakości ryb w jeziorze, następnie przechodząc do kwestii, czy zwycięstwo 1:0 Brewersów nad Detroit Tigers należy przypisać dobrej grze Brewersów czy też raczej kiepskiej Tigersów. Nie przeszkadzało mi to; zawsze miałam słabość do ludzi gadatliwych, ponieważ uważałam, że odwalają robotę za mnie. Na ogół nie mam zbyt wiele do powiedzenia — niemal zazdroszczę innym ich zdecydowanych poglądów, uporu i pewności — i słuchanie całkowicie mi wystarcza. Było kilka interesujących mnie tematów (kiedy ktoś przeczytał tę samą książkę, z radością porównywałam wrażenia), ale nie umiałam udawać, że mam zdanie na jakiś temat, kiedy go nie miałam. Kilka razy tak zrobiłam, ale potem czułam gorzyc pustki i żal.

W następnej kolejności wdałam się w rozmowę z wujkiem Tripem, równie elokwentnym, który wyjaśnił mi, że dzieli swój czas — nie dowiedziałam się, czy z powodu interesów, czy dla przyjemności — między Milwaukee, Key West i Toronto. Wtedy wydawało mi się to najdziwniejszym z możliwych trójką, ale prawdę mówiąc, jeżeli chodzi o znajomych Blackwellów, żaden układ nie jest jakoś wyjątkowo zaskakujący. Milwaukee i Sun Valley, Milwaukee i Adirondacks, Minneapolis i Cheyenne i Phoenix, Chicago i San Francisco. Sprzedawali tkaniny, wydobywali rudę lub posiadali galerię w Santa Fe, albo byli konsultantami — jeszcze zanim konsulting stał się tak popularny jak dzisiaj — bądź zwyczajnie pływali po zatoce Alaski, co według ich słów było cudowne.

Co do braci Charliego, Ed, najstarszy, był kongresmenem; drugi w kolejności, John, pracował jako dyrektor naczelny Blackwell Meats (po południu na przystanku Charlie przedstawił mi Johna jako kielbasianego króla wszystkich kielbasianych królów); i wreszcie Arthur, dwa lata starszy od Charliego, pracował w rodzinnej firmie jako prawnik. Żadna z żon nie pracowała zawodowo.

Na werandzie panował tłok i właśnie wdałam się z Johnem w dyskusję o kuratorze publicznym Wisconsin, to znaczy John mówił o czasach, gdy kurator Ruka, którego nazywał Herbem, umieścił piłkę w dołku po czterech uderzeniach w Maronee Country Club, gdy nagle Liza i Margaret, dwie córki Johna, przechnęły się obok nas i znikły w tłumie dorosłych. Młodsza Margaret wróciła i klepnęła mnie w rękę. Spoglądała na mnie zdenerwowana i podekscytowana, z tajemniczą miną, która powiedziała mi, że prawie na pewno przysłała ją siostra.

— Czy pani jest dziewczyną wujka Chasa?

— Margaret, co się mówi, kiedy przerywa się komuś rozmowę? — zbeształ ją John.

— Przepraszam — powiedziała Margaret. — Przepraszam, ale czy jest pani dziewczyną wujka Chasa?

— Tak — odparłam.

— Czy używa pani perfum?

Roześmiałam się.

— Czasami.

— Czy wie pani, jak się robi kocią kołyskę?

— Wiem — powiedziałam. — A ty wiesz, jak się robi kocią kołyskę?

— To sznurek Lizy, ale powiedziała, że jak pani zagra, to ja też mogę.

Popatrzyłam na Johna.

— Chyba zostałam wezwana.

John się uśmiechnął, niby zmieszany (wątpię, by tak było rzeczywiście, ale wszyscy Blackwellowie rozumieją, jak ujmująca może być odrobina pokory, a im ważniejsza persona, tym bardziej ujmująca pokora).

— Naturalnie nie musisz nigdzie iść — powiedział. — Co się mówi? — zwrócił się do Margaret.

— Dziękuję, proszę pani — rzekła Margaret, biorąc mnie za rękę i prowadząc na schody, gdzie czekała na nas Liza. Kilka metrów dalej chłopcy toczyli pojedynkę na cienkie patyki.

Byłyśmy w trakcie trzeciej *kombinacji figury* nazwanej przez Lizę paszczą kraba, kiedy brzęk w szkło uciszył werandę. Na moim zegarku była siódma czterdzieści. Czy dzieci już jadły? Jeśli nie, to zachowywały się niespotykane grzecznie.

— Pozwólcie zgrzybiałemu starcowi wygłosić kilka słów — powiedział Harold Blackwell i odpowiedziały mu pohukiwania i okrzyki zachęty. Arthur włożył palce do ust i gwizdnął. Charlie stał tuż za drzwiami i wsunawszy przez nie głowę, kiwnął na mnie, żebym weszła do środka. Wślizgnęłam się obok niego, a on wziął mnie za rękę.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

Skinęłam głową.

— To prawdziwa przyjemność dla Priscilli i mnie gościć was tu wszystkich. — Harold Blackwell rozejrzał się po zgromadzonych na werandzie. — Jesteśmy naprawdę błogosławieni jako rodzina. — Wciąż oczekiwałam pewnej sztuczności i fałszu w jego głosie, znowu jednak uderzyła *mnie autentyczna* szczerłość, z jaką wypowiadał te słowa. — Widząc was tu wszystkich razem, nie potrafię wyrazić, jaka rozpira mnie duma — powiedział, a ja pomyślałam, że się rozplącze. (Spróbowałam go sobie wyobrazić jako kandydata na prezydenta, mówiącego „brudni i niewykształceni”, ale to się okazało trudne; tamten oficjalny wizerunek zaczynał mi się rozmywać, zastąpiony widokiem człowieka stojącego kilka metrów ode mnie, z poorly zmarszczkami twarzy, jasnobrązowymi włosami, jak u Charliego, tylko rzadszymi i zaczesanymi do tyłu, nie osłaniającymi czaszki). Nie rozpląkał się. Zamiast łez na jego twarzy pojawił się uśmiech. — Bardzo się cieszymy, że mogliśmy poznać Alice. Witamy cię serdecznie, moja droga.

— Słuchajcie, słuchajcie — powiedział Charlie i zagrzechotał lodem w szklance; pił whiskey.

— Alice, czy myślisz, że uda ci się okiełznać mustanga Blackwellów? , krzyknął John.

— Jak na razie nie została wysadzona z siodła — odkrzyknął Charlie.

— Wysadzona, wsadzona? — ktoś wrzasnął; komentarz w stylu Arthura, ale równie dobrze mógł to być wujek Trip.

— Spokojnie — powiedział Harold. — Chcę powiedzieć, że być może któregoś dnia i wy będziecie mieli okazję popatrzeć na trzy pokolenia i poczuć miłość i dumę, jakie dzisiaj przepełniają mi serce. Niech Bóg po wsze czasy błogosławi i chroni rodzinę Blackwellów i niech światło Jego ducha spada na nas wszystkich.

Wzniósł swój kieliszek, wszyscy poszli w jego ślady, a kilka osób powiedziało: „Amen”. Na nowo rozbrzmiały rozmowy, kiedy Arthur głośno chrząknął, a po chwili wspiął się na krzesło.

— Teraz jest równie odpowiednia pora jak każda inna — powiedział. — Kiedy dowiedziałem się, że Chasmo przywozi do domu swoją nową dziewczynę, chciałem ją w jakiś sposób uhonorować. Napisałem więc wiersz. — W tej chwili weranda zadrżała od głośnych, rehotliwych wrzasków, do których dołączył nawet Charlie. Arthur wyjął z kieszeni kawałek złożonej kartki, rozwinął ją, po czym zaraz złożył z powrotem.

— Jestem pewny, że udało mi się nauczyć go na pamięć.

— Uważaj, Szekspirze! — zawołał Charlie.

— No dobrze. — Arthur przełknął i skinął głową. — Chwileczkę, to limeryk, wspomniałem już?

— Mów ten cholerny wiersz! — wrzasnął John.

Arthur spojrzał wprost na mnie i się uśmiechnął.

„Nimfomaniakalna Alice

Dynamit wzięła za penis

Wyrzuciło jej waginę

Aż za Północną Karolinę

A kawałki z cycków rozwałki do Phoenix”.

W zapadłej ciszy słyszałam szmer drobnych fal uderzających o brzeg jeziora i głos jednego z chłopców, mówiącego: „Ale to m o j e”. Zaraz potem na weran-

dzie rozległ się głośny ryk śmiechu, a mnie z trudem przyszło uwierzyć, że to śmieje się pani Blackwell. Bardzo szybko pozostali zaczęli jej wtórować, krztusząc się i pokrzykując. Byłam tak zszokowana, że mogłabym się rozplakać — byłyby to łzy zaskoczenia, nie smutku czy bólu — wiedziałam jednak, jak ważne jest, abym tego nie zrobiła. Głowę trzymałam wysoko uniesioną, uśmiechając się nieco sztucznie. Nie patrzyłam na Charliego, bałam się bowiem, że ujrzę wyraz złośliwego triumfu. Ciekawe, czy dzieci to słyszały? A panna Ruby?

— Bis! — krzyknęła pani Blackwell. — Jeszcze raz!

Na wypadek, gdyby komuś coś umknęło, Arthur zaczął od początku: „Nimfomaniakalna Alice.

Kiedy skończył, odezwała się pani Blackwell, wciąż uśmiechnięta radośnie.

— Wyzywam każdego, kto ośmieli się twierdzić, że moi synowie nie są najmądrzejsi w całym chrześcijańskim świecie — powiedziała. — Arty, przeszedłeś sam siebie.

— Daleki jestem od wychwalania moich młodszych braci — odezwał się Ed. — Ale to było mistrzostwo świata.

(Ed podobno był największym sztywniakiem z nich wszystkich).

Wujek Trip mnie trącił.

— Nie codziennie ktoś pisze wiersz na twoją cześć, prawda?

Parsknęłam sztucznym śmiechem, ale na nic więcej nie było mnie stać.

Charlie i ja wciąż staliśmy ramię w ramię, nie patrząc na siebie, byłam jednak niemal pewna, że się uśmiechał, gdy zwrócił się do mnie przez zaciśnięte zęby.

— Jesteś przerażona, prawda? — powiedział.

— Arthur tego nie napisał. — Ja także ledwo poruszałam ustami. — Słyszałam to już w 1956 roku, w wykonaniu niejakiego Roya Ziemiaka.

Charlie zachichotał.

— Wyżebraj, pożycz, ukradnij — powiedział. — Cały Arthur.

Po chwili dodał:

— Świetnie sobie radzisz. Wiem, że to niełatwe.

Obrócił się ku mnie i spojrzeliśmy sobie prosto w oczy — wyraz jego twarzy nie był wcale triumfujący, raczej niepewny. W tej chwili jego twarz była mi tak

bliska; może wydawała się taka na tle wszystkich innych, które dzisiaj zobaczyłam, ale ta bliskość mnie zaskoczyła. Brązowe oczy Charliego, zmarszczki w ich kącikach, jego zmierzwiłone, falujące jasnobrązowe włosy, jasnoróżowe usta, w tej chwili spierzchnięte, do których tyle razy w ciągu minionych siedmiu tygodni przywierałam swoimi wargami — jego rysy przynosiły ulgę. O wiele trudniejsze było powstrzymanie się przed dotknięciem, kiedy znajdował się na tyle blisko, że mogłam to zrobić, przyłożyć dłoń do jego policzka lub szyi, nachylić się i pocałować go, objąć go ramionami i czuć, jak on odwzajemnia us'cisk. Ulgę przynosiła też świadomość, że w końcu — jeśli nie dzisiaj, to wkrótce i jeszcze długo, długo potem — znowu będziemy sam na sam, będziemy mogli rozmawiać o innych albo nie rozmawiać wcale, tylko po prostu być razem bez tych wszystkich ludzi. Czułam, że spotkało mnie takie szczęście, niemal cud, że spośród zebranych na werandzie właśnie on był moim partnerem. Nie Arthur, Bogu niech będą dzięki, nie John czy Ed, ale Charlie — to Charlie należał do mnie. Na pewno on także jest kpiarzem, ale czułam, że ma znacznie wrażliwsze serce niż jego bracia, lepiej od nich rozumie świat, ludzkie zachowania; kpiny Charliego wyglądały raczej na wygłaszane świadomie, niż odruchowo. (Później rzecz jasna zastanawiałam się, czy automatycznie przypisujemy obiektowi swoich uczuć wrażliwe serce i współczucie dla świata. Być może to prawda, dopóki dotyczy nas; jak długo ten ktoś przebywa w naszym towarzystwie, tak długo wykazuje się tymi cechami, ponieważ to my jesteśmy obiektem jego uczuć. Być może jest spostrzegawczy, ale tylko jeśli chodzi o nas, i dobry, ale także tylko dla nas).

Kiedy tak patrzyliśmy na siebie z Charliem, otoczeni gwarem rozmów i brzękiem szkła na wieczornym koktajlu u Blackwellów, przyszło mi do głowy, że gdybym przyjechała do Halcyon, zanim się z nim zaręczyłam, istniała duża szansa, że do zaręczyn by nie doszło. W kontekście naszych rodzin dzielące nas różnice wydawały się przeogromne. W tej jednak chwili wydawało mi się, że dobrze się stało, iż wcześniej nie miałam pojęcia, w co się pakuję; cieszyłam się, że jest już za późno.

Na kolację do klubu wyruszyliśmy odrobinę niezorganizowanym pochodem. Kiedy minęliśmy sosnowy zagajnik po prawej stronie, moim oczom ukazał się kolejny kompleks domów, wielkością i rozkładem przypominający ten należący do Blackwellów. Wynikało z tego, że Blackwellowie posiadali połać ziemi położoną najbardziej na północ. Z największego domu również wylewał się potok mężczyzn, kobiet i dzieci, na czele których kroczył siwowłosy osiemdziesięciolatek utykający na prawą nogę, wsparty o zakrzywioną laskę z ciemnego drewna, ubrany w granatowe spodnie wyszywane w nieduże zielone żółwie.

— Haroldzie, nie pozwolę, żebyś zjadł wszystkie ptysie ze słodkich ziemniaków — zawołał afektowanym tonem.

— Nawet bym się nie odważył, Wrzaskunie! — odkrzyknął Harold Blackwell.

Albo przynajmniej wydawało mi się, że takich właśnie słów użył, ale jakoś nie bardzo chciało mi się wierzyć, dopóki w sali jadalnej klubu nie wylądowałam na krześle obok tegoż właśnie mężczyzny.

Ze środka sali na cztery strony świata rozchodziły się cztery długie stoły — tworzyły jakby gigantyczny krzyż — i nie były przydzielone po jednym na rodzinę, jak sobie wyobrażałam (później zrozumiałam, że to niemożliwe, ponieważ stoły były cztery, a rodzin pięć), lecz matriarchinie w arbitralny sposób kierowały każdego na jego miejsce. Pani Blackwell skierowała dzieci do jednego ze stołów, swoich najstarszych synów i ich żony w różne miejsca, bynajmniej nie koło siebie, na koniec skupiła swoją uwagę na Charliem i mnie.

— Chas, usiądź koło pani deWolfe, już nie może się doczekać, żebyś przedstawił jej swoją teorię na temat Jimmyego Connorsa. Alice, ty siadaj tutaj. — Wskazała na przedostatnie miejsce przy stole. — Nie lubię, kiedy pary siedzą obok siebie. To takie nudne, nie sądzisz?

Skinęłam głową, nie mogąc sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni ktoś wskazywał mi miejsce, które mam zająć.

Na stołach leżały białe obrusy, a przed każdym biesiadnikiem stały pełne nakrycia. Porcelana i srebro były ładne, choć z całą pewnością nienowe, a w całym klubie panowała taka sama aura jak w Alamo — ciemnozielone bawełniane zasłony były wyblakłe, drewniane podłogi porysowane, krzesła z drewna wcale nie najwygodniejsze, z rodzaju tych, jakie spotyka się w internatach. Na skrzyżowaniu stołów stał ogromny wazon fioletowych hortensji, a nad kominkiem wisiał niebrzydki olej przedstawiający ciemną wodę: bardzo możliwe, że jezioro Michigan.

Kiedy wszyscy zajęli już swoje miejsca — mężczyźni czekali na kobiety, a te z kolei najpierw sadowiły dzieci — siedzący obok mnie właściciel spodni w zielone żółwiki wyciągnął do mnie rękę.

— Wrzaskun Higginson — powiedział.

— Alice Lindgren.

Gdy wymienialiśmy uścisk dłoni, czułam się poniekąd dumna, że nie parsknęłam śmiechem ani nawet nie drgnęły mi wargi. (Dwa tygodnie później, już w Madison w „Wisconsin State Journal” znalazłam na pierwszej stronie artykuł o ekspansji Wall Bank — konkurenta Wisconsin State Bank & Trust, trzydziestoletniego pracodawcy mojego ojca — któremu towarzyszyło malutkie zdjęcie,

ziarniste i wielkości znaczka pocztowego, na tyle jednak wyraźne, że rozpoznałam na nim człowieka podpisanego jako Leslie J. Higginson, będącego założycielem banku. Oznaczało to, że mój ojciec na pewno musiał o nim słyszeć, wątpliwe jednak, by wiedział, że reaguje na przydomek „Wrzaskun”).

Na przystawkę w płytkich białych miseczkach podano krem z porów ozdobiony żdźbłami szczypiorku.

— Allison — zwrócił się do mnie Wrzaskun, czy może raczej pan Higginson; naprawdę nie bardzo wiedziałam, jak powinnam się do nich wszystkich zwracać — często bywasz w Door County?

Nie poprawiałam go.

— Prawdę mówiąc, jestem tu po raz pierwszy, ale miejsce warte jest reputacji, z której słynie.

— Trudno wyobrazić sobie lepszy dzień — Wrzaskun potrząsnął głową. — Jest absolutnie cudownie.

Zastanawiałam się, czy przydzielając mi miejsce, pani Blackwell skazywała mnie na banicję, okazało się jednak, że sama zasiadła po drugiej stronie stołu, tyle że o jedno krzesło dalej (żeby mieć mnie na oku? nie, idiotka ze mnie).

— Wrzaskun — odezwała się. — Powiedz mi, że to, co mówią o Cecyli i Gordonie, to nieprawda. Jeżeli przeniosą się do Los Angeles, jest nadzieja, że już nigdy więcej ich nie zobaczymy.

— Och, na miłość boską! — oburzył się Wrzaskun. — Lot do Kalifornii to nic dla takiego zatwardziałego podróżnika jak ty, Priscillo.

Potrząsnęła głową.

— Kiedy ostatnio byłam w Los Angeles, powiedziałam sobie, co za dużo, to niezdrowo. Koszmarny ruch, obrzydliwe jedzenie, a personel w Biltmore był wyjątkowo niekompetentny. Niby takie światowe miasto, ale według mnie jest bardzo prowincjonalne.

Wiedziałam, że są ludzie, którzy nie uwierzyliby, słysząc, że ktoś z Wisconsin ośmiela się wygłosić podobną uwagę; mylili się jednak. Pani Blackwell tymczasem mówiła dalej:

— W marcu spotkałam Cecyli na Sea Island i powiedziałam jej: „Cecyli, jeżeli wasza dwójka poważnie myśli o ucieczce na Zachodnie Wybrzeże, ani Harold, ani ja więcej się do was nie odezwiemy”.

— Tak naprawdę chodzi o Gordona, czyż nie? Wiem, że bardzo mu zależy na podtrzymywaniu związków z azjatyckimi inwestorami, i w ten sposób będzie mu o wiele łatwiej...

Rozmowa toczyła się dalej mniej więcej tym torem, gdy tymczasem przeszliśmy do dania głównego, na które podano kurczęta. Dyskutowali o jakimś innym małżeństwie, niejakich Bankroftach, którzy jak wywnioskowałam, mieszkali w Milwaukee, odnawiali kuchnię i mieli pecha zatrudnić nieudolnego wykonawcę; potem mówili o Legrandach, których syn studiował na drugim roku medycyny w Dartmouth, chociaż pani Blackwell powątpiewała, czy ma „dość rozumu” — postukała się w skroń — żeby zasłużyć na dyplom („Jego stopnie na UW były gorsze od stopni Chasa w Princeton!” — wykrzyknęła); na koniec rozmowa zeszła na wiedeńską wiolonczelistkę, która od kilku miesięcy grała z orkiestrą symfoniczną Milwaukee i mieszkała u Emily i Willa Higginsów, syna i synowej Wrzaskuna.

— Włosi mawiają, że goście są jak ryby. — Pani Blackwell uśmiechnęła się złośliwie. — Po trzech dniach zaczynają cuchnąć.

(Natychmiast szybko policzyłam, że skoro przyjechaliśmy z Charliem w piątek i planujemy wyjechać w poniedziałek, spędzimy tu nie więcej niż trzy dni. Chociaż to tylko ja byłam gościem, Charlie należał do rodziny).

Przez całą kolację kiwałam głową w — mam nadzieję — odpowiednich odstępach czasu, uśmiechałam się, kiedy oni się uśmiechali, śmiałam, kiedy oni wybuchali śmiechem, nawet odpowiedziałam na pytanie o moje muzyczne upodobania.

— Allison, wolisz muzykę klasyczną czy raczej z okresu romantyzmu? — zapytał Wrzaskun.

— Zawsze lubiłam Piątą Mahlera — odparłam.

Najpierw byłam wstawiona, potem już porządnie pijana, w sposób, w jaki nigdy wcześniej mi się to nie przydarzyło. Kelnerzy i kelnerki, z których większość nie mogła mieć więcej niż czternaście lat, szczerze i często uzupełniali nasze kieliszki. Po raz drugi wybrałam się do łazienki w chwili, gdy właśnie podawano kawę i deser, i kiedy szłam, zaczęło mi się kręcić w głowie.

Za jadalnią znajdował się salon. Ściany jego i korytarza prowadzącego do łazienki były gęsto pokryte oprawionymi w ramki fotografiami, w większości czarno—białymi: mieszkańcy Halcyon trzymający świeżo złowioną rybę lub grający w tenisa (*uchwyceni* w ruchu bądź pozujący z raketami skrzyżowanymi przed sobą). Na jednym ze zdjęć była pani Blackwell, trzymająca za rączkę małego chłopczyka, którym równie dobrze mógł być Charlie. Stali na werandzie, jak

sądzę tegoż właśnie budynku, w którym mieścił się klub. Pani Blackwell nie należała do piękności, ale miała ciemne włosy i była atrakcyjna, o gładkiej, pozabawionej zmarszczek twarzy i z łobuzerskim błyskiem w oku. Wracając z łazienki, przyglądałam się zdjęciu, kiedy nie wiadomo skąd pojawiła się jakaś kobieta i chwyciła mnie w objęcia.

— Tak się cieszę, że wreszcie mogę cię poznać! — wykrzyknęła. Mówiła z akcentem podobnym do akcentu Charliego, przypominającym południowy.

Nawet kiedy uwolniła mnie z jednostronnego uścisku, nie przestała mocno ścisnąć mnie za ramię, wpatrując się we mnie z entuzjazmem. Miała bardzo jasne blond włosy ściągnięte w kucyk, duże przednie zęby i opaloną skórę; była śliczna, ale w tej chwili znajdowała się zdecydowanie za blisko mnie.

— Słyszałam o tym sprośnym wierszyku, który napisał Arthur, i jestem wprost oburzona. Siedziałam z dzieckiem w Gin Rummy, ale gdybym tam była, nigdy bym mu na to nie pozwoliła. Na pewno uważasz, że jesteśmy najbardziej skandaliczną rodziną na całym świecie.

Nagle jej oczy zrobiły się wielkie i nie przesadzę, mówiąc, że zaczęła wrzeszczeć.

— Och, nie masz pojęcia, kim jestem! Niech mnie licho! — Zaczęła się śmiać, przykładając dłoń do piersi. — Jestem Jadey! Żona Arthura! Jestem Jadey Blackwell! Och, Alice, musisz mi wybaczyć moje skandaliczne zachowanie!

— To prawdziwa przyjemność cię poznać. — Słyszałam w swoim głosie wylewność, rzecz zdecydowanie mi obcą. — Ale twój mąż zapomniał, że jest też odmienne zakończenie limeryku. — Zarówno słowa „odmienne”, jak i „limeryk” były trudne do wymówienia i rozpierała mnie duma, że mi się udało. — On powiedział: „A kawałki z cycków rozwałki aż w Phoenix”. Ale można też tak: „A jej odbytnicę w Dallas okolicę”. Wiedziałaś, że poślubiłaś plagiatora?

Jadey przyjrzała mi się uważnie.

— O słodki Jezu, jesteś pijana? — stwierdziła.

Pokręciłam przecząco głową, ale ona nie dała się zmylić.

— Och, ja też bym była na twoim miejscu! Och, na pewno wychodzisz¹ sobie! Mogę sobie tylko wyobrazić, czym jest dla ciebie ten weekend. Tak⁰ krópnie z ciebie pokpiwają, prawda? Przez pierwszy rok małżeństwa byłam wciąż na granicy łez, a przecież dorastałam z Blackwellami! Och, nienawidziłam ich wszystkich, a kiedy Arthur zmusił mnie, żebym za niego wyszła, myślałam sobie: „Jadey, czyś ty oszalała? Przecież wiesz, że ta rodzina to jedna wielka banda!”.

Czy Jadey oszalała? Przebywałam w jej towarzystwie zaledwie minutę, a już czułam, że mogłabym poprawnie odpowiedzieć na to pytanie.

— Nie ruszaj się n i g d z i e — powiedziała. — Idę po Charliego. Moje biadactwo, jesteś pijana jak prosie.

Ponieważ rzeczywiście byłam pijana, nie miałam nic przeciwko, żeby tam sobie stać i nic nie robić; patrzyłam na srebrny puchar stojący nad kominkiem — miał prawie pół metra wysokości — i kiedy Charlie z Jadey następującą mu na pięty wychynął z jadalni, trzymałam puchar w objęciach, wpatrując się w niego w skupieniu.

— Gdzie jest twoje nazwisko? — zapytałam Charliego, a on był jednocześnie rozbawiony i zaniepokojony.

— Odstawmy to na miejsce, mała złodziejko. — Wyjął mi puchar z rąk i odstawił nad kominek. — Powiedz Maj, że Alice zapadła na jakąś dziecięcą chorobę — zwrócił się do Jadey.

— Na przykład ma kolkę, Chas? — wykrzywiła się do niego Jadey.

Machnął ręką lekceważąco.

— Wymyśl coś. Odprowadzę ją do Itty— Bitty.

Jadey położyła ręce w miejscu, gdzie ramiona przechodzą mi w szyję; kiedy tak stała, wyglądała jak połączenie babuni, która chce mnie uszczypnąć w policzki, i kochanki pragnącej mnie pocałować.

— Alice, zostaniemy n a j l e p s z y m i przyjaciółkami — oznajmiła. A potem zniżyła głos. — Ginger i Nun to n u d z i a r y . Nie mają złych zamiarów, ale to histeryczki. Ale słyszałam o tobie — znowu mówiła szybciej i głośniejszym głosem — i od razu wiedziałam. Pomyślałam sobie: „Alice to dziewczyna z mojej bajki”.

Co Jadey o mnie słyszała? I kiedy — dzisiaj czy wcześniej — a poza tym od kogo?

— Wyglądasz na wyjątkową osobę — powiedziałam, a Charlie wybuchnął śmiechem.

— Nigdy tak się nie zachowuje — zwrócił się do Jadey. — Poważnie, wcześniej jej takiej nie widziałem.

— Jest urocza — powiedziała Jadey i przytrzymała dla nas drzwi, gdy wychodziliśmy z klubu. — Chas, uważaj, żeby się nie przewróciła.

Wyłożony płytkami chodnik oświetlały tylko gwiazdy i półksiężyc, a odległość, jaką musieliśmy pokonać, wydawała się dużo większa niż ta, którą prze-

szliśmy, idąc na kolację. Charlie jedną ręką obejmował mnie w pasie, drugą podtrzymywał za łokieć.

— Ostrożnie, imprezowiczko — powiedział. — Czy towarzystwo Wrzasku — na Higgi^{nsona} było aż takie okropne?

Mijaliśmy rodzinny kompleks usytuowany najbliżej klubu — jak dowiedziałam się kilka godzin wcześniej, ten akurat należał do Thayerów.

— Wszyscy tutaj są tacy bogaci — powiedziałam.

Charlie się roześmiał, ale już nie tak serdecznie.

— Podoba ci się to? — zapytał po chwili.

— Bogaci ludzie są dziwacznik! — wykrzyknęłam. (Była to uwaga często powtarzana przez Charliego w następnych latach). — Kocham cię, Charlie, ale cała ta afera wokół tenisa, Princeton, hotelu Biltmore... Czasem sobie myślę, że gdybyś był brygadzystą w Fassbinder, byłoby łatwiej.

— Chodzi ci o tę wytwórnię serów?

— Robią też masło — powiedziałam. — Pójdziemy popływać?

— To chyba nie jest najlepszy pomysł.

— Podobno to ty jesteś rozrywkowy. — Dźgnęłam go w żebra. — Zabawowy Charlie. Teraz się boisz? Pamiętasz, jak mi mówiłeś, że boisz się ciemności?

— Staram się jakoś trzymać ze względu na moją ululaną dziewczynę.

— Wiem, że boisz się ciemności, bo zapisałam to w swoim dossier. Moje dossier Charliego Van Wycka Blackwella. — Każde z imion wymówiłam, przesadnie akcentując. — A teraz nie mogę cię ochronić, ponieważ — przypomniały mi się słowa Jadey — jestem pijana jak prosię.

— Nie da się ukryć — powiedział Charlie. — Teraz tylko się zastanawiam, czy upijasz się fajnie czy też niefajnie.

— Jak pozwolisz mi popływać — odezwałam się — będę naga, a ty będziesz mógł mi włożyć swojego penisa pod wodą.

— O rany! — jęknął. — Okay, doszedłem do wniosku, że powinnaś zostać alkoholiczką. Jesteś wspaniałą pijaczką.

— To mój pierwszy raz.

— Wybacz, ale trochę za późno, żebym dał się na to nabrać.

— Nie, nie — powiedziałam. — Pierwszy raz, kiedy jestem pijana.

— Cóż, zachowujesz się jak doświadczony zawodnik.

— Nie, szczerze! Widzę, że mi nie wierzysz, ale mówię prawdę.

— Problem w tym, że nie wiem, kiedy wrócą pozostali — powiedział, kiedy dotarliśmy do części Blackwellów. — A jeśli będziemy się pluskać po tym, jak Jadey powiedziała Maj, że źle się poczułaś...

— Chyba nie boisz się ciemności. — Stuknęłam koniuszkiem palca w czubek nosa Charliego. — Ty się boisz swojej matki.

Roześmiał się.

— Też byś się bała, — Podejrzewam, że własne upodobanie do picia, co przecież robił przez całe swoje życie, czyniło z Charliego wyjątkowo tolerancyjnego dla pijaństwa innych. — Bardzo mi się spodobała twoja propozycja wkładania mojego penisa w ciebie — powiedział. — Ale może wejdziemy do Itty— Bitty?

— Zróbmy to tutaj. — Wyślizgnęłam się z jego objęć i położyłam na trawie. Byliśmy przed Alamo; panna Ruby wciąż jeszcze mogła się znajdować w środku, a może już poszła na noc do domu za klubem, w którym sypiała wraz z pozostałą służbą rodzin z Halcyon, ale tak czy inaczej zapomniałam o niej. Trawa była chłodna, jej źdźbła odrobinę lepkie.

— Wielki Boże, kobieto — powiedział Charlie. — Kim ty jesteś?

Pozbierał mnie z ziemi i na wpół zaniósł, na wpół zaciągnął przez trawnik do Itty— Bitty. Wewnątrz nie paliło się żadne światło, ale najpierw położył mnie na łóżku, dopiero potem sięgnął do kontaktu.

— Muszę się odpryskać — powiedział. — Nigdzie nie odchodź.

Wiedziałam, że nie poszedł do Alamo, żeby skorzystać z łazienki, tylko

przystanął gdzieś niedaleko, bo leżąc w łóżku, słyszałam, jak oddaje mocz. Zachichotałam. Pomyślałam, że ponabijam się z niego, kiedy wróci, potem pomyślałam, jak poczuję jego penisa w swojej dłoni. Ale to była moja ostatnia myśl, ponieważ gwałtownie usnęłam. Jak powiedział mi Charlie następnego dnia rano, kiedy wrócił do Itty— Bitty, ja spałam jak zabita, nieświadoma niczego.

Około czwartej rano, kiedy ciemności nocy przechodzą w szarość przedświt, obudziłam się z uciskiem w żołądku i wiedziałam, że rozpaczliwie muszę skorzystać z toalety. Byłoby lepiej, gdyby chciało mi się wymiotować, ponieważ po-

tencjalnie było to coś, co można załatwić na dworze; ja miałam gorszy problem. Mimo to przez kilka kolejnych minut leżałam, cierpiąc na dolnym łóżku, ponieważ perspektywa biegania po trawniku do Alamo, potem siedzenia na klozecie i wydawania ordynarnych odgłosów, podczas gdy cała reszta domu śpi, wydawała mi się gorsza. Czy zanim ktoś wybierze się na wczesnoporaną wyprawę do łazienki, powinien wpierw założyć prawdziwe ubranie? Czy istniał jakiś ustalony protokół, a ja powinnam się domyślić, na czym polega? Kiedy dłużej nie mogłam już wytrzymać, podniosłam się z łóżka i ze zdumieniem stwierdziłam, że mam na sobie nie nocną koszulę, lecz noszoną poprzedniego wieczoru sukienkę — prześlakniętą zapachem alkoholu i jedzenia — i boso wybiegłam na zewnątrz, na chłodną, wilgotną od rosy trawę. Bałam się, że dom będzie zamknięty, na szczęście niepotrzebnie. (Później się dowiedziałam, że nigdy nie był zamykany, nawet w zimie, kiedy nikt w nim nie przebywał; opiekował się nim jedynie miejscowy zarządca. „Jeżeli wandale zechcą wejść, wolę, żeby zrobili to drzwiami niż oknem” — powiedziała kiedyś cierpko pani Blackwell, jakby chciała pokazać, że równa z niej babka. Było mało prawdopodobne, zwłaszcza na początku, żebym zdołała odgadnąć, jak pani Blackwell zareaguje w danej sytuacji, bez względu jednak na jej reakcję, kiedy moja była odmienna, natychmiast odnosiłam wrażenie, że dlatego, iż wywodziłyśmy się z różnych klas społecznych. Lub przynajmniej wiedziałam, że tej rozbieżności mogę przypisać każde nieporozumienie, a ona wierzyła w to z takim przekonaniem, że równie dobrze mogła to być prawda).

Wślizgnęłam się przez tylne drzwi — nie te od kuchni, lecz od strony korytarza prowadzącego do łazienki. Jak się spodziewałam, w domu panowała kompletna cisza. Zamknęłam drzwi do łazienki. Tym razem już wiedziałam, że trzeba je podeprzeć książkami, a potem usiadłam i miałam wrażenie, że w żołądku rozwija mi się wąż — rozwijał się bardzo szybko — ale ja wciąż nie mogłam go wypuścić. Chciałam, ale nie mogłam, ponieważ bałam się odgłosów, jakie przy tym zaczęłyby wydawać. Pochyliłam się w przód, objęłam za boki i próbowałam nie jęczeć. Przecież i tak wszyscy śpią, powtarzałam sobie, nadal jednak byłam jak sparaliżowana. W końcu wąż nagle rzucił się, obnażył kły i rozdwojony język i wszystko ze mnie wyleciało, z długim, przerażającym chlupotem. Pamiętając ostrzeżenia o kruchości kanalizacji, natychmiast pociągnęłam za łańcuch. Ale jeszcze nie skończyłam — wiedziałam, że nie — i woda w toalecie jeszcze się nie uspokoiła, kiedy następny groteskowy strumień wypłynął ze mnie. Jakie to upokarzające, że tyle wypięłam, a przy tym jakie głupie z mojej strony. (Od tamtego czasu nigdy nie pozwoliłam sobie na więcej niż dwa drinki na wieczór). Żołądek miałam już pusty, cudownie pusty, ale wciąż byłam obolała i roztrzęsiona. Podtarłam się, po czym spuściłam wodę po raz drugi, a kiedy wstałam i woda podeszła z powrotem do góry, zobaczyłam, że samo spłukanie nie wystarczy; do porcelanowych ścianek klozetu przywarły brązowe smugi. Mam tam wsadzić rę-

kę? Byłam przyzwyczajona do sprzątania po dzieciach; zwykle był to mocz, ale młodszym niespodzianki przytrafiały się regularnie, zdarzało się też, że ktoś zwymiotował, i jeśli Duży Glenn był zajęty, zwykle zamiast na niego czekać, sama rozsypywałam trociny na dywanie. Pociągnęłam za łańcuch po raz trzeci, a kiedy woda spłynęła, kłębem papieru toaletowego wytarłam najgorsze ślady, zanim woda podniosła się na powrót. Potem wrzuciłam papier do klozetu, spuściłam wodę raz jeszcze — czy Priscilla Blackwell wsłuchiwała się właśnie w tortury zadawane jej rurom kanalizacyjnym? — i umyłam ręce. Mydło było owalne i jasnoniebieskie, w wielu miejscach popękane i zużyte do grubości gitarowej kostki. Kiedy przyłożyłam do niego dłoń, rozpadło się na dwa kawałki, a ja pomyślałam — była to najzupełniej naturalna, niewymuszona reakcja — „nienawidzę tego miejsca”.

Nigdy w ten sposób nie myślałam i nawet w tej chwili natychmiast się tego zawstydziałam. Blackwellowie ponosili winę za mój chory żołądek w równym stopniu jak za letnią burzę! (Och, ale tacy byli zachwyceni swoją jedyną łazienką, swoimi wyblakłymi meblami i omszałym, chybotliwym pomostem, wyszczerbionymi talerzykami, poczerniałymi ramami obrazów i twardymi materacami. Uwielbiali ten fałszywy, wybiórczy brak wygód, swobodę wobec konwensów i potencjalne skrzępowanie gości. W moim rodzinnym domu także mieliśmy tylko jedną łazienkę, ale nigdy nikomu z mojej rodziny nie przyszło do głowy, by być z tego faktu dumnym. W ogóle mnie nie zaskoczyło — ale już to rozumiałam — kiedy kilka tygodni później pojechałam wraz z Charliem do domu Blackwellów w Milwaukee, ich głównej rezydencji, przy której nawet Alamo wydawało się małe; sądzę, że dom w Milwaukee miał ponad tysiąc metrów kwadratowych powierzchni, kamienny kolos ze spadzistym dachem. Był rozległy, miał mnóstwo kominów, rzędów okien, części wysuniętych do przodu lub cofniętych w głąb; połączenie kamienia i ogromu sprawiło, że przypominał zamek. Trawnik od frontu był zielony i nienagannie przystrzyżony, jak pole golfowe, garaż mógł pomieścić cztery samochody — co oznaczało, że przy liczebności służby, gości i młodszych członków rodziny, co najmniej trzy lub cztery auta zawsze stały na zewnątrz, na żwirowym podjeździe — z tyłu znajdował się basen z wodą utrzymywaną w mało przyjemniej temperaturze piętnastu stopni; Charlie mówił, że „kurczy się od niej moszna”. Wnętrze ozdobiły podłogi z drewna, ogromne orientalne dywany, żyrandole, sięgające podłogi draperie, masywne meble, olejne obrazy przedstawiające in ar tve natury kwiatów i czaszek, a jadalnię ogromne malowidło naścienne ukazujące angielską scenę z polowania: lordowie i damy, pola i drzewa, psy i ptaki. Ach, było też siedem łazienek. Nic dziwnego więc, że tak uwielbiali brak wygód w Halcyon. Uwielbiali go tak samo, jak dzieci z przedmieść uwielbiają spać w namiocie we własnym ogrodzie. Jednak tę niepełną wiedzę o Blackwellach, tę pseudoświadomość umieściłam w tym samym miejscu, w którym umieściłam swoje zdanie na temat powodów, dla któ-

rych Charlie żenił się ze mną — a mianowicie fakt, że dawałam mu wiarygodność — w najgłębszych zakamarkach umysłu. Jak sądzę, jest to cecha bardziej właściwa mieszkańcom przybrzeżnych miast niż tym ze Środkowego Zachodu, to przekonanie, że wszystkie wrażenia należy wysuwać na pierwszy plan, rozwodzić się nad negatywnymi uczuciami, uważać, że one są ważne, że należy o nich mówić, na przykład z terapeutą, wyciągać z nich wnioski, lub przynajmniej porównywać je z rówieśnikami w przekonaniu, że żywią podobne).

Nie, nie nienawidziłam tego miejsca, nie miałam pretensji do Blackwellów o chory żołądek ani o nic innego. Nienawiść była takim melodramatycznym uczuciem, gwałtownym i głupim. Jeżeli Blackwellowie budzili we mnie pewien sceptycyzm, byłam ostatnią osobą, która mogła mieć zastrzeżenia co do przyszłych teściów czy w ogóle bogaczy.

Odłożyłam książki na półkę i powolutku otworzyłam drzwi, starając się, żeby nie zaskrzypiały. Kiedy wychodziłam, usłyszałam czyjś kaszel, ale nie miałam pojęcia, z której sypialni dochodzi. Wróciłam po swoich własnych śladach na mokrej trawie i zanim weszłam do Itty— Bitty, spojrzałam w prawo, na płaskie i szare jezioro, ciemniejsze od nieba, tak poważne, surowe i piękne, że aż wstrzymałam oddech. Nie, to nie pretensjonalność czy afektacja przyciągała tutaj Blackwellów — jakże byłam nie w porządku, posądzając ich o to. Oni po prostu doceniali piękno Halcyon i mogli sobie na to pozwolić. Czy moi rodzice, gdyby posiadali tyle pieniędzy i czasu, nie chcieliby spędzać kilku miesięcy każdego lata w takim pięknym miejscu?

A może kiedy tak stałam na schodach do Itty— Bitty, łatwiej przyszło mi wybaczyć Blackwellom, ponieważ byłam zmęczona i chciałam wrócić do łóżka? Może zwyczajne zmęczenie kazało mi się poddać, zamiast próbować się ^kręcić od przyszłości, którą właśnie zaczęliśmy planować z Charliem.

Kilka godzin później, przy śniadaniu w klubie, Arthur zwrócił się do mnie z drugiej strony stołu.

— Alice, słowem na dzisiaj są nogi — powiedział. — Bardzo proszę, rozwiń je.

Jadey, która siedziała obok niego z dzieckiem na kolanach, uderzyła go żartobliwie.

— Nawet jeszcze nie wypila pierwszej kawy — ofuknęła go.

Jadey nie wspomniała słowem o naszym wczorajszym spotkaniu, za co byłam jej wdzięczna, chociaż jej mina zdradzała dyskretnie rozbawienie.

Jak się przekonałam, śniadanie było bardziej niezorganizowanym wydarzeniem od kolacji. Co chwilę ktoś się pojawiał, ktoś inny zniknął, a jeżeli chciało się tost, angielską muffinkę czy płatki, trzeba było sobie wziąć samemu z bufetu przygotowanego na długim stole. Jajka, bekon czy wafle zamawiało się u kelnera, bladego, chudego nastolatka o wystającym jabłku Adama.

Niektóre dzieci były już w kostiumach kąpielowych, a kilku dorosłych, w oczekiwaniu na turniej, miało na sobie białe stroje do tenisa, panie plisowane spódniczki, których krótkość graniczyłaby z nieprzyzwoitością, gdyby nie oczywisty fakt, że kiedyś, w zamierzchłej przeszłości została zaakceptowana. Priscilla Blackwell nosiła także właśnie miniaturową spódniczkę i bardzo krótkie skarpetki z różowymi pomponami z tyłu nad kostką. (Dopiero w 1988 roku Rada Starszych Halcyon — posiadająca własny statut, której członkiem można było zostać, ale pod warunkiem że było się mężczyzną i że zostało się wybranym, i w ten sposób po dwóch mężczyzn z każdej rodziny pełniło urząd przez pięć lat — zdecydowała, że na kortach tenisowych Halcyon można nosić inny kolor niż obowiązującą dotąd biel. Przez następną dekadę przeciwnicy tej decyzji, głównie siedemdziesięciosześcioletni Billy Niedleff i jego średni syn, Thaddeus, wówczas czterdziestoletni, nieustannie narzekali na spadek standardów).

Kiedy dzień wcześniej zjawiłam się w Halcyon, bałam się, że weekend będzie mi się dłużył, ale okazało się coś wręcz przeciwnego. Podczas śniadania dręczył mnie przeszywający ból głowy, ale w ciągu dnia osłabł. Większość czasu przesiedziałam na kocu obok kortu, obserwując mecze, bądź to przyglądając się grze Charliego, bądź siedząc obok niego, kiedy akurat nie grał. Obficie się spocił podczas rozgrywki, po czym napełnił filiżankę wodą z termosu przy siatce, oblał sobie nią głowę i otrzepał się jak pies. Rano, kiedy przyszedł do Itty— Bitty, żeby zabrać mnie na śniadanie, zastał mnie ubraną i czekającą na niego.

— Gdzie moja ulubiona rozpustnica? — zawołał, wchodząc przez drzwi.

— Charlie, tak bardzo cię przepraszam za moje wczorajsze zachowanie _ powiedziałam.

— Jedyne, za co musisz przeproszać, to że najpierw mnie podnieciłaś, a potem straciłaś przytomność, ale odbiję to sobie.

Nachylił się, żeby mnie pocałować, a ja odetchnęłam z ulgą, że mój mężczyzna nie chowa urazy, przynajmniej nie w stosunku do mnie (Simon był jego całkowitym przeciwieństwem).

— Weź ze sobą szczoteczkę do zębów — dodał. — Dzisiaj rano Maj już musiała wezwać hydraulika do klozetu w Alamo i właśnie w tej chwili facet usiłuje dokonać jakiegoś cudu. Aktualnie głównym podejrzanym wyrznięcia kolosalnej kupy jest John.

Kiwnęłam neutralnie głową — wybacz mi Johnie, moją nielojalność — i nie powiedziałam ani słowa.

Na korcie pani Blackwell pokonała Emily Higginson 7:3, 6:4.

— Podejrzewam, że porządnie przespana noc była tym, co zalecił ci doktor — zwróciła się do mnie.

Byłam niemal pewna, że wiedziała o moim nadużyciu alkoholu, zastanawiałam się też, czy nie wie, że ja ponoszę odpowiedzialność za zatkaną toaletę, ale tylko mruknęłam coś na potwierdzenie.

Na korty wzięłam ze sobą książkę *Blady ogień*, wydany po śmierci Na—bo-kova latem tego roku — ale z powodu słońca i ciągłych rozmów ostatecznie nie przeczytałam nawet słowa. Sporo czasu spędziłam na zabawie z dzieckiem Jadey i Arthura, Winnie. (Jako samotna kobieta po trzydziestce pilnowałam się, aby nie zachwycać się zbyt cudzymi dziećmi, żeby nie wyglądało, jak bardzo jestem zdesperowana; ta konieczność mnie denerwowała, bo z a w s z e lubiłam dzieci, odkąd sama byłam jeszcze mała, Jadey na szczęście należała do tych matek, które zdawały się wdzięczne każdemu, za potrzyma—^{nie} jej pociechy na kolanach). Tego dnia, podobnie jak w ciągu następnych, tyle było rozmów, zajęć i posiłków, tyle razy trzeba było się przebierać w kostium kąpielowy, który nie zdążył jeszcze całkiem wyschnąć, wskakiwać do Wody (miała idealną temperaturę, była na tyle chłodna, by odświeżać, lecz ⁿⁱe zimna, jak czasem jezioro Michigan), potem płynąć motorówką do miasta na lody, wrócić do Halcyon, z powrotem założyć spódnicę na kolację, że ani się obejrzałam, jak opaliłam sobie twarz i ramiona. W niedzielę rano epi—skopalny ksiądz, wielebny Ayrault, przyjechał o dziesiątej, aby na werandzie Alamo odprawić mszę dla rodziny Blackwellów, włącznie z komunią świętą. Okazało się, że przyjechał z Greek Bay tylko w tym celu. Później podczas lunchu siedział w klubie obok pani Blackwell.

— To miłe z jego strony, że przyjechał tutaj z tak daleka — powiedziałam do Charliego.

— Na widok republikanów wielebny dostaje erekcji — odparł.

W niedzielne popołudnie zwycięzcy Halcyon Open otrzymali swoje trofea, niewielkie tanie złote figurki na drewnianych podstawkach, gotujące się do serwu; nazwiska na srebrnym pucharze miały zostać wygrawerowane później, póki co puchar został wręczony zwycięzcy w singlu mężczyzn, Rogerowi Niedleffowi, i dwóm panom, którzy wygrali debła, Dwightowi deWolfe i jego szwagrowi, Wymanowi Lawrensonowi. W singlu kobiet zwyciężyła Sarah Thayer, w deblu Priscilla Blackwell i jej synowa, Nan.

— Roger okropnie się nadyma, kiedy wygra — mruknął Charlie, kiedy zwycięzcy odbierali nagrody.

Po ceremonii dwunastoletnia Nina deWolfe puściła z magnetofonu *Gwiazdzy sztandar*. Pani Blackwell ze swojej strony triumfowała. Kiedy wracaliśmy do Alamo — od kortów dzielił je jakiś kilometr — pomyślałam, że następnego dnia wyjeżdżamy, i zalała mnie fala nostalgii. Zaczynałam przyzwyczajać się do rytmu Halcyon.

Zbliżaliśmy się do domu, gdy dogoniła nas Jadey i dotknęła mojej ręki.

— Chodź, umyjemy sobie włosy w jeziorze — powiedziała. — Mam dwadzieścia minut, zanim dziecko się obudzi i rozpęta się piekło.

Pobiegła w stronę Gin Rummy, domku, który zajmowała wraz z Arthurem i dziećmi. Zerknęłam pytająco na Charliego.

— Słyszałaś — powiedział. — Pospiesz się.

— Myje włosy w jeziorze?

— Żeby nie czekać w kolejce do łazienki.

Prawdę mówiąc, kiedy kilka minut później stałyśmy z Jadey w wodzie, a plastikowa butelka z szamponem tkwiła na najwyższym stopniu drewnianej drabinki, odniosłam wrażenie, że ta kobieta myje włosy w jeziorze przede wszystkim dlatego, że uważa to za świetną zabawę. Uniosła ręce i zaczęła masować sobie głowę, aż całkowicie pokryła ją biała piana.

— Pamiętasz, jak robiłyśmy to na letnich obozach? — zapytała.

Roześmiałam się niezobowiązująco, ponieważ nigdy w życiu nie byłam na letnim obozie.

— Masz prześliczny kostium — dodała. — To z Marshall Fields?

— Ze sklepu mojej przyjaciółki w Madison.

Jadey miała na sobie bikini Lilly, ja jednocześnie kostium w biało— — czerwone paski. Jeszcze nie wiedziałam, że Jadey jest mistrzynią zakupów

— miała szósty zmysł, jeżeli chodziło o wycucie, które rzeczy zostaną przecenione, a za które warto zapłacić pełną cenę, bo inaczej zostaną wykupione. Przyszło mi do głowy, że Jadey i Dena przypadłyby sobie do gustu, a może wręcz przeciwnie — jak w przypadku Charliego i mojej babci, ich osobowości mogły zaskoczyć w zupełnie niewłaściwym kierunku.

— Masz szczęście, że twoje cycki wciąż są takie jędrne — mówiła Jadey.

— Przekroczyłaś już trzydziestkę?

— Skończyłam trzydzieści jeden — odparłam.

— No wiesz, to nie fair! Ja mam dopiero dwadzieścia siedem.

— Popatrz tylko na moje kurze łapki. — Przybliżyłam do niej twarz i przekrzywiłam, żeby widziała moje prawe oko.

— Czy Charlie, tak jak Arthur, oczekuje, że będziesz nosić seksowną bieliznę? Arthur każe mi kupować te przebrania, na widok których prostytutka by się zarumieniła. A ja mu na to: „Dopóki sam na sobie nie poznasz, jakim piekłem jest urodzenie dziecka, nie jesteś w stanie wyobrazić sobie, co moje ciało musiało znieść. Teraz potrzebuję pięciu lat, a i tak nie wiem, czy choć w połowie dam radę być na nowo ładacznica.

Roześmiałam się, chociaż miałam świadomość, że głos niesie się po wodzie. Nieco dalej, jakieś pięćdziesiąt metrów od nas ktoś z Higginsonów pływał tam i z powrotem wzdłuż ich pomostu; nie rozpoznałam go, ale kiedy przyszliśmy, przerwał i pomachał do nas.

Jadey i ja stałyśmy w wodzie sięgającej nam do piersi, jezioro było teraz ciemnoniebieskie, a słońce na zachodnim niebie ciężkie i żółte. Jadey opadła na plecy, zanurzyła ramiona i głowę; kiedy wypłynęła, cały szampon zniknął, a wilgoć sprawiła, że jej włosy nabrały barwy złota. Wygięła plecy w łuk¹ zaczęła machać nogami, by utrzymać się na powierzchni.

— Jak cię traktuje Maj? Potrafi być ostra, nie uważasz?

Uniosłam palec, dając do zrozumienia, że przerywamy, potem zatkałam sobie nos i dałam nura pod wodę.

— Chciała *mieć córeczkę*, *sama* tak mówiła, ale wciąż rodzili się chłopcy i w końcu... — powiedziała Jadey, ledwie wystawiłam głowę nad powierzchnię.

— Ciii! — Nie mogłam tego znieść. Nie informacji, bo tych byłam aż nadto ciekawa, ale poczucia, że inni, może nawet sama pani Blackwell mogą podsłuchiwać naszą rozmowę.

— Prawdziwa z ciebie bibliotekarka — roześmiała się Jadey.

— Nie — wyszeptałam i gestem wskazałam na dom. — Boję się, że mogą...

— Kapuję. — Jadey skinęła głową i zniżyła głos. — Przynajmniej taka jest teoria, dlaczego nie lubi dziewczyn — bo czuje się odrzucona przez nie. Czy gadam jak Zygmunt Freud?

Uśmiechała się, jakby pokpiwała sama z siebie, a ja zastanawiałam się, czy przejęła od Blackwellów zwyczaj naprzemiennego naśmiewania się i kpienia z samej siebie, czy też zawsze taka była. Później mi opowiedziała, że jej rodzice przyjaźnili się z Blackwellami, ona poznała Arthura, kiedy sama była w ósmej klasie, on w ostatniej liceum, ale spotykać zaczęli się dopiero, gdy poszła do college'u. Powiedziała mi też — sama ją o to zapytałam — że Jadey to przydomek nadane jej przy urodzinach przez matkę; naprawdę nazywała się Jane Davenport Aigner, i oczywiście po ślubie z Arthurem przyjęła nazwisko męża.

— Chodzi mi o to, żebyś nie bała się Maj — powiedziała Jadey. — Szczeka groźniej, niż gryzie.

— Nie mogę powiedzieć, że się jej boję.

Naprawdę się nie bałam. Tutaj w Halcyon byłam na jej terenie, ale nie opuszczało mnie przekonanie, że w ogólnym kontekście pani Blackwell pochwaliała rzeczy, które dla mnie nie miały fundamentalnego znaczenia. Miałyby dla Deny. Mnie natomiast zależało na poprawnych, przyjaznych stosunkach. Nie czułam potrzeby, byśmy stały się sobie bliskie, nie musiałam stać się jedną z jej ulubienic. Gdyby mnie n i e lubiła, czułabym się z tym źle, ale wystarczy mi, gdy będzie uważała, że jestem w porządku. A w miarę jak upływał weekend, odnosiłam wrażenie, że coraz bardziej przypadam jej do gustu — poprzedniego dnia późnym popołudniem, przed porą koktajli, przeszła obok Charliego i mnie, gdy akurat graliśmy w scrabble na werandzie Alamo.

— Daj mu popalić, Alice — powiedziała.

Jadey zaczęła płynąć na grzbiecie, wyrzucając za głowę najpierw jedno, otem drugie ramię, a ja przyglądałam się i byłam pod wrażeniem. Sama nie pływałam najlepiej. Co prawda ojciec uczył mnie pływać w jeziorze Pine w Riley, ale oparowałam tylko styl pieskiem i teraz nie mogłam nawet marzyć o naśladowaniu stylu grzbietowego Jadey czy płynnych, pewnych uderzeń kraula jednego z Higginsów.

Jadey zaczęła płynąć z powrotem ku mnie.

— Masz szczęście, że jesteś starsza — powiedziała. — Bez obrazy. Chodzi po prostu o to, że ja miałam dwadzieścia jeden lat, kiedy wyszłam za Arthura, i łatwo mnie było zastraszyć. Wystarczyło, żeby Maj powiedziała do mnie: buu, a już płakałam w kącie. Poza tym Arthur miał w zwyczaju... — W tym momencie rozległ się niedający się z niczym pomylić płacz dziecka. Jadey przewróciła oczami. — Nigdy nie miej dzieci — rzuciła, ale już płynęła w stronę drabinki.

— Jadey — zawołałam, a ona obejrzała się przez ramię. — Dziękuję, że byłaś taka miła w piątek wieczorem.

W niedzielę wieczorem, w porze koktajlu (jeżeli był jakiś dzień, w którym Blackwellowie powstrzymywali się od picia, ja go nie widziałam), po raz pierwszy rozmawiałam w cztery oczy z bratem Charliego, Edem. Co prawda w ciągu ostatnich dni kilkakrotnie znaleźliśmy się w tej samej przestrzeni, jednak ani razu nie zwróciłam się bezpośrednio do niego. Świadomie nie próbowałam zbliżyć się do niego, dlatego że był kongresmenem — nie żebym tego w skrytości ducha chciała, ale przede wszystkim nie chciałam, aby ktoś mógł sobie w ten sposób pomyśleć. Ale tym razem to on podszedł do mnie na werandzie.

— Mam nadzieję, że nie czujesz się przez nas przytłoczona — powiedział.

(Oczywiście był dumny z faktu, że są przytłaczający, jak wszystkie duże i szczęśliwe rodziny).

— Nie, naprawdę cudownie się bawię — odparłam.

— Słyszałem, że jesteś bibliotekarką w szkole podstawowej. Przyznaję, że nie czytam tyle, ile bym sobie życzył, ale według mnie nauczycielstwo to wspaniały zawód dla kobiety.

— Przypuszczam, że twoi synowie świetnie się uczą. — Nie chciałam się Ptzyepochlebić, po prostu zauważyłam, że Harry, Tommy i Geoff są bardzo Zgadani jak na swój wiek i żywi, ale nie dzicy.

— To dobrzy chłopcy — powiedział Ed. — Ginger ma ręce pełne roboty, ale na

pewno się nie nudzi. — Kiedy mówił, zauważyłam, że z rzadziejącymi włosami Ed najbardziej przypominał ich ojca. Był również jedynym Blackwellem lekko przy tuszy i nosił okulary. — Muszę przyznać, że odkąd wychowuję trzech synów, tym bardziej podziwiam Maj. Nie mam pojęcia, jak dała sobie radę z czwórką.

— Ciężko ci podróżować nieustannie między Milwaukee a Waszyngtonem? — Jak widać, w końcu sama skierowałam rozmowę na te tory; miałam tylko nadzieję, że nie popełniłam nietaktu.

Ed potrząsnął głową.

— Służyć temu krajowi, Alice, to naprawdę przywilej — odparł. — Prawdziwy zaszczyt. I moi chłopcy o tym wiedzą. Kiedy tatuś nie może utulić ich do

snu, na pewno nie jest im łatwo, ale są dumni, że gdzieś tam ojciec broni interesów mieszkańców Wisconsin.

Kiedy słuchałam Eda, uderzyło mnie, że fakt, iż używał tych słów tak często, nie sprawiał automatycznie, że były nieprawdziwe — czyż nie były prawdziwe, jeżeli w nie wierzył? Po tej pierwszej myśli zjawiała się następna: „Proszę, błagam, niech Charlie nie wygra wyborów”.

Jakby wyczuwając moją mentalną zdradę, Charlie zmaterializował się obok nas.

— Ed, wchodzisz w pokera o dziesiątej? Właśnie dzwonił Gil de Wolfe.

— Alice, jak się czujesz, przestając z hazardzistą? — Ed zsunął okulary na czubek nosa i ponad nimi patrzył na mnie z kpiącą powagą. — Czy ty to pochwalasz?

— Jedyne poker, w jakiego gra Alice, to poker rozbierany — powiedział Charlie.

— Charlie! — oburzyłam się.

Ed się roześmiał, wskazując na Charliego.

— Przy nim musisz pilnować swojego waleta, bo inaczej okradnie cię do cna. j No, co się stało? — Podszedł do nas zapłakany Tommy, środkowy syn Eda.

— Drew nie chce oddać sprężyny Slinky.

Ed uniósł wymownie ramiona.

— Obowiązki wzywają — powiedział do Charliego i mnie.

— Nie masz nic przeciwko temu, że po kolacji wyskoczę na dwie godzin — ki do de Wolfów? — zapytał mnie Charlie.

— — I tak muszę się spakować.

— Marzysz o ucieczce?

— Polubiłam twoją rodzinę, Charlie — powiedziałam. — Byli naprawdę niezwykle gościnni... Cóż, może poza limerykiem, ale jakoś to przeżyję.

— Wiesz? Podobasz mi się. I myślę, że w tej chwili wyglądasz wyjątkowo ślicznie. — Charlie pochylił się i pocałował mnie w usta. Zrobił to szybko, ktoś jednak zauważył.

— Patrzcie na nasze gołąbki! — rozległo się.

— Dobry Jezu, nie możecie choć na chwilę oderwać od siebie rąk? — wykrzyknął stojący nieopodal John.

Cofnęłam się, chociaż nie dotykaliśmy się w jakiś nieodpowiedni sposób. Na werandzie zapanowała cisza i nagle z jej drugiego końca przemówił wujek Trip.

— Chasbo, teraz, kiedy Alice zobaczyła już stado, z jakiego się wywodzisz, nie boisz się, że ucieknie?

— Mam nadzieję, że nie — powiedział Charlie, a ja, czując na sobie spojrzenia wszystkich Blackwellów, uśmiechnęłam się sztywno.

— Alice, musisz uważać — odezwał się John. — Bo coś mi się tak wydaje, że Chas chce cię o coś zapytać.

Zapadła cisza, tym razem krótsza, ponieważ postanowiłam uprzedzić wszelkie głupawe uwagi i docinki.

— W zasadzie — zaczęłam, ale głos miałam zachrypnięty, więc odchrząknęłam najdelikatniej, jak umiałam. — W zasadzie Charlie już poprosił mnie o rękę, a ja się zgodziłam.

Równie dobrze mogło mi się wydawać, ale chyba usłyszałam, jak ktoś wstrzymał oddech i prawie na pewno była to Ginger. Charlie położył mi rękę u nasady pleców, kiedy nagle stojący obok hamaka Harold się odezwał.

— Rany boskie, coś niesamowitego — wykrzyknął. — Co za wspaniała nowina. Nawet sobie nie wyobrażacie, jacy jesteśmy szczęśliwi.

W jednej chwili wszyscy Blackwellowie mówili naraz.

— Bez żartów? — dopytywał się Arthur i razem z Johnem ściskali Charliego po męsku.

Ed wrócił, żeby ucałować mnie w policzek, a Arthur dał mi kuksańca.

— Witaj w szalonej rodzinie, Alf — wykrzyknął.

Harold wychylił się zza Charliego i poklepał mnie w rękę. Nadbiegła ^{tez} pod-
ekscytowana Jadey.

— Wiedziałam! Wiedziałam! Mówiłam ci, że zostaniemy przyjaciółkami, ^{ae}
^{ter}az jest nawet lepiej; teraz będziemy s i o s t r a m i !

Wyswobodziłam się z objęć Jadey, widząc, że się zbliża pani Blackwell; poprawiłam włosy. Wszyscy i wszystko wokół mnie znikło. W zasadzie było prawdą, że nie bałam się pani Blackwell, przynajmniej teoretycznie. Ale prawdą też było, że kiedy zwracała na mnie uwagę, zawsze czułam, i to niekoniecznie w

sensie pozytywnym, że w pomieszczeniu jesteśmy tylko my dwie i muszę zachować całkowitą czujność.

Nie objęła mnie ani nie pocałowała, w żaden sposób nawet nie dotknęła. Wyglądała na rozbawioną i jednocześnie nie do końca przekonaną i przez długą chwilę patrzyła na mnie w milczeniu.

— Bardzo sprytna z ciebie dziewczyna — powiedziała na koniec.

— Nie jestem zły — powiedział Charlie w samochodzie, kiedy wracaliśmy już do Madison. — Naprawdę nie jestem. W idealnym świecie czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy najpierw powiedzieli Maj i tacie, zamiast przy wszystkich? Ale cóż, co się stało, to się nie odstanie.

— Wiesz na pewno, że twoja mama jest niezadowolona, czy też tylko tak podejrzewasz?

— Maj lubi, żeby się z nią cackać — uśmiechnął się Charlie. — Jak wszystkie kobiety. Słuchaj, przecież to ty chciałaś poczekać i powiadomić nasze rodziny jednocześnie, ale w końcu i tak wszyscy by się dowiedzieli, więc co za różnica. — Wyciągnął rękę i uściśnął moją dłoń. — Maj może mieć tylko pretensje o sposób, w jaki to wyszło na jaw. Na pewno nie chodzi o ciebie.

— Nigdy nie miałam problemu, żeby dojść z ludźmi do porozumienia

— powiedziałam. — Nie mam do niej pretensji, jeśli wolałaby synową z rodziny o lepszych koneksjach. W końcu do tego przywykła. Ale myślę, że do mnie też przywyknie, i nie martw się, nie będziesz miał z tego powodu kłopotów.

Minęła dobra chwila, podczas której Charlie milczał i patrzył prosto przed siebie przez przednią szybę.

— Chcę, żebyś wiedziała — powiedział wreszcie — że gdybym miał wybierać między tobą a nimi, wybrałbym ciebie.

— Nie bądź śmieszny.

— Moglibyśmy uciec do... Dokąd zawsze chcieliśmy uciec? W marzeniach widziałem się w Meksyku, ale na pewno dostałbym lamblii. Myślę, że bezpieczniej będzie w Kalifornii.

— Aż tak się nie przejmuję — zapewniłam go.

— Troszkę seksu na plaży — kontynuował. — Będziemy spali w hamaku, żywili się tym, co złowię, a ty będziesz nosić stanik z kokosa.

A gdybym się zgodziła? Nie na tę rysunkową wersję, ale prawdziwą, na przeprowadzkę do innego stanu. Na ułożone przez nas, nieodziedziczone życie. Co musielibyśmy — co Charlie by musiał — udowodnić z dala od naszych rodzin? Czy temu, co się stało w nadchodzących latach, można było zapobiec, czy ja mogłam temu zapobiec, zwyczajnie kapitulując? Czy Charlie był bardziej przewidujący, niż sądziłam? Może jemu przyszłość jawiła się wyraźniej niż mnie. A może zwyczajnie blefował.

— Pochodzimy z Wisconsin, Charlie — powiedziałam. — Tu jest nasze miejsce.

I wreszcie zaczęła się szkoła, ten jedyny w swoim rodzaju wyjątkowy hałas, jaki rankiem, przed pierwszym dzwonkiem robią rozkrzyczane, rozbiegane dzieci, listy obecności na moim biurku, skupienie, w jakim uczniowie zapisują ołówkiem swoje nazwisko, duma tych, którzy zaczynają czytać kursywę. Przeczytałam *Tico i złote skrzydła* pierwszoklasistom i *Kwiaty dla Algernona* dzieciakom z szóstej klasy — zawsze wierzyłam, że jedenastolatki, nawet jeżeli nie przyznają się do tego głośno, lubią, kiedy im się czyta — czwartoklasiści zrobili papierowe żurawie na zajęciach z origami. Zaczęły się poniedziałkowe poranne apele, dyżury na przerwie, kiedy starałam się zapanować nad brutalnością w czasie gry w zbijanego, i lunche w stołówce: hot dogi z chilli, pizza pepperoni i połówki brzoskwiń w syropie, a co drugi piątek śniadanie na lunch, co uczniowie uwielbiali, a czego nauczyciele nienawidzili — francuskie tosty, placki ziemniaczane i kielbaski. Posiłek kończył się za kwadrans dwunasta, żołądek skręcał się od nadmiaru cukru, skrobi i taniego mięsa, człowiek marzył wyłącznie o tym, żeby się położyć, a tu wpadała kolejna klasa, rozpętywała się kłótnia, kto w czasie czytania ma usiąść na jednym z dwóch pufów lub czyja kolej na sprawdzenie najnowszej historyjki o chłopcu detektywie Leroyu „Encyklopedii” Brownie. Codziennie, kiedy o trzeciej po południu lekcje dobiegały końca, czułam się wyczerpana, ale szczęśliwa.

Teraz jednak było inaczej; przez wszystkie wcześniejsze lata mnóstwo czasu poza lekcjami poświęcałam na szkolne sprawy, teraz prawie wcale. Dawniej zostawałam w bibliotece do wieczora, przygotowując się na następną — y dzień, albo po końcowym dzwonku szłam do sali Rity, żeby porozmawiać o uczniach, którzy tego dnia wzbudzili moje zaniepokojenie — czy Rita też zauważyła wysypkę na ręce Eugene Demartino, albo czy nie sądziła, że Mi— chelle Vink i Tamara Jones sprzysięgły się przeciwko Beth Reibel? Ale kiedy w tym roku szkoła się zaczęła, natychmiast po zakończeniu lekcji biegłam do samochodu, a w dni, gdy miałam dyżur autobusowy, odczuwałam lekką irytację. Czułam presję życia, mojego życia z Charliem — chciałam iść do sklepu po produkty na kolację, którą mieliśmy zjeść wieczorem, albo do domu posprzątać czy ogolić sobie nogi. Jeżeli w jakimś

dniu Charlie nie miał spotkania z Hankiem Uckerem ani nie jechał do swojej pracy w Milwaukee, wtedy po prostu chciałam być z nim, leżeć razem z nim na zaścielonym kapą łóżku, patrzeć, jak złociste światło popołudniowego wrześnie-
wego słońca sączy się przez okno, napawać się tym wszystkim, co nowe i ekscy-
tujące, póki jeszcze takie było. Przy dzieciach nadal byłam pełna życia i cierpli-
wości. Poza szkołą jednak nieraz zostawiałam torbę przy drzwiach, czasem na-
wet w samochodzie, i nie otwierałam jej aż do następnego dnia, kiedy wracałam
do pracy. Zamiast tego całowałam usta Charliego, jego ramiona, płaski brzuch,
słonawą skórę, a on poruszał się we mnie, wciąż od nowa i od nowa. Kochałam
leżeć pod nim, przyjmować go w siebie. Teraz, kiedy byliśmy zaręczeni, w koń-
cu pozwalałam mu zostawać na noc albo spałam u niego i miał rację, mówiąc, że
miło jest budzić się razem. Nieraz składałam dzięki, że jako bibliotekarka nie
muszę sprawdzać w domu żadnych prac.

Nasz ślub odbył się w sobotę, 8 października, w Milwaukee. Była jedenasta
rano, uroczystość miała miejsce w głównym holu domu Blackwellów, po-
prowadził ją przewielebny Wesley Knuli, biskup diecezji episkopalnej w Mil-
waukee. Po ceremonii zaślubin gości zaproszono na uroczysty lunch, na którym
podano szampana i lemoniadę, kanapki z rukwią i jajkami z chleba z odciętą
skórką; przygotowała je panna Ruby wraz z córką, dziewiętnastoletnią Yvonne.

Kiedy powiedziałam mamie i babci, że wychodzę za Charliego — pojechałam
do Riley sama, bez niego — mama płakała ze szczęścia, a babcia, nie wstając z
krzesła, odtańczyła taniec radości. Później wyjaśniłam mamie, że wesele nie bę-
dzie zbyt drogie, ponieważ zostanie wykorzystany dom Blackwellów i ich do-
mowa służba; jeżeli zechce wypisać czek na dziewięćdziesiąt dolarów za szam-
pana, będzie to aż nadto. Ustaliłam tę kwotę, jako najniższą z możliwych, o któ-
rej wiedziałam, że wyda się jej do przyjęcia. Nie wiem na pewno, ile Blackwel-
lowie zapłacili za wesele, ale pozwoliłam im pokryć koszty — Również w spo-
sób, który — jak miałam nadzieję — zapobiegnie dalszym pytaniom, powiado-
miłam mamę, że Dena i ja pokłóciłyśmy się, i dlatego moja przyjaciółka nie zo-
stała zaproszona na ślub. Niemniej jednak i tak dostałam od jej rodziców sosjer-
kę.

Zjawilo się czterdziestu dziewięciu gości. Dwudziestu dziewięciu Black-
wellów. Dwunastu przyjaciół Charliego (znał ich z Exeter, Princeton i Wharton)
wraz z żonami; Hank Ucker z żoną; Kathleen i Cliff Hickenowie, jedyni z rozle-
głego grona znajomych z Madison, których zaprosiliśmy; i wreszcie ostatnia
czwórka, to znaczy moja mama, babcia, nasza długoletnia sąsiadka zza płotu, pa-
ni Falkę, oraz moja najbliższa koleżanka z Liess, Rita Alvin. Okazało się, że po-
za panną Ruby i Yvonne Rita była jedyną czarnoskórą osobą na przyjęciu. Wese-
le mogło być znacznie wystawniejsze, z dużo większą ilością gości; ale nie

chciałam robić zbędnego zamieszania. Nie mieliśmy družbów, jedynie Liza i Margaret Blackwell rozsypywały przed nami kwiatki. Nie było tańców, aczkolwiek nieopodal bufetu przygrywała nam harfistka. Jadey nałożyła mi makijaż i ułożyła włosy w sypialni na piętrze przed samą ceremonią, do ślubu założyłam białą bawełnianą bluzkę z dekoltem w serek i dopasowaną w talii, sięgającą do połowy łydek spódnicę, znalezione przeze mnie na wieszaku w Pranges kilka tygodni wcześniej, a także białe szpilki. (Kiedy się ubierałam, do sypialni zajrzała Priscilla Blackwell i widząc mnie, wykrzyknęła: „Cóż za urocza sukieneczka! Wyglądasz zupełnie jak pionierka szykująca się do przeprawy przez Wielkie Równiny!”). Miałam mały bukiet z pięciu białych lilii; Charlie miał w butonierce pojedynczą białą lilię, podobnie jego ojciec; pani Blackwell, moja mama i babcia miały przypięte do sukienek bukietki.

Do ołtarza poszłam sama alejką powstałą pomiędzy dwoma rzędami składanych białych krzeseł z drewna, których — jak się okazało — nie trzeba było wypożyczać, ponieważ Blackwellowie mieli takich prawie dwieście, podobnie jak okrągłych składanych stołów; wszystko to trzymali w swojej ogromnej, niewykończonej piwnicy i kazali wyciągać z okazji przyjęć czy imprez charytatywnych. Kiedy zobaczyłam Charliego czekającego na mnie u stóp schodów obok wielebnego Knulla, nie poczułam żadnych wyjątkowych emocji poza lekkim skrępowaniem, że tyle uwagi ściągam na siebie, na uczucie, jakim nawzajem darzymy się z Charliem. Z jakiego powodu mieliśmy się obnosić z tym tak publicznie? Cóż, tym powodem były konwenanse, nie najgorsze z możliwych uzasadnień. Kiedy przechodziłam obok pierwszego rzędu, ujrzałam mamę i babcię, obie rozpromienione. Ceremonia trwała krótko; później bracia Charliego wygłosili toasty, czego się trochę obawiałam; były prymitywne, ale ogólnie nieszkodliwe.

Na przyjęciu, kiedy Charlie rozmawiał z moją mamą, poszłam usiąść przy babci; pani Falkę wyszła do łazienki i babcia, paląc papierosa, rozglądała się po pokoju.

— Wżeniłaś się w kawał rodziny — powiedziała. Popatrzyłyśmy na siebie. — Mają szczęście, że im się trafiłaś.

— Mogę się napić? — wskazałam na kieliszek z szampanem na stoliku, a babcia skinęła głową na zgodę. — Mama wspominała mi, że od jakiegoś czasu nie odwiedzałaś doktor Wycomb. Jeżeli boisz się podróży pociągiem, mogłabym cię czasem zawieźć do Chicago. Nawet w ciągu najbliższych weekendów. Po weselu zapanuje względny spokój.

Babcia wyglądała na zaskoczoną.

— Oczywiście, jeżeli nie chcesz... — powiedziałam szybko. — Myślałam po prostu...

— Gdybyśmy stanęły przed drzwiami Gladys, prawdopodobnie i tak by nas nie wpuściła. — Babcia uśmiechnęła się smutno. — Lata temu pogniewała się na mnie.

— Czy był jakiś... — zawahałam się. — Czy coś się stało?

W ten sposób podjęłyśmy temat, którego tak pracowicie i tak długo starałam się unikać, a teraz, zamiast zdenerwowania czy niesmaku, czułam jedynie non-szalancję w stylu do— licha— z— tym— wszystkim; zastanawiałam się, po co zmarnowałam tyle energii na uciekanie.

— Gladys chciała, żebym przeniosła się do Chicago — powiedziała babcia. — Zwłaszcza po tym, jak wyjechałaś na studia. Mówiła wtedy: „Nic cię tam w Riley nie trzyma”. Nie miała dzieci ani wnuków, więc nie potrafiła tego zrozumieć. Uważała, że marnuję swoje ostatnie lata w małym miasteczku, podczas gdy mogłam wieść razem z nią życie kosmopolitki. Ale ja nigdy nie rozważałam tego na poważnie. Twój ojciec nie rozumiałby tego, a zmuszona wybierać między Gladys a własnym synem, nie miałam specjalnie nad czym się zastanawiać.

Przełknęłam.

— I przestałyście się kontaktować?

— Znalazła sobie inną przyjaciółkę. — Babcia z kwas'ną miną zaciągnęła się papierosem. — Młodsza, o ile się nie mylę. Co prawda nietrudno o kogoś młodszego ode mnie, ale ona jest naprawdę młoda, dużo młodsza nawet od Gladys. Zadawanie się z dziećmi, czy nie tak to się nazywa?

— Tak mi przykro, babciu. Przykro mi, że... — przerwałam. „Ze tak dziecinnie zachowałam się wobec tego, czego chciałaś od świata. Ze nie potrafiłam zaakceptować czegoś, co nie krzywdziło nikogo, że zachowywałam się, jakby było w tym coś wstydliwego, tylko dlatego że ktoś kiedyś dał mi do zrozumienia, że tak jest, a nie dlatego, że sama zastanowiłam się nad całą sytuacją”. — Przykro mi, że tak się stało — powiedziałam.

— Cóż, to już naprawdę zamierzchła przeszłość. — Uniosła kieliszek z szampanem. — Znajdź mi coś mocniejszego do picia, dobrze? Czy republikanie nie lubią tradycyjnych drinków?

— Jestem pewna, że znajdę kogoś, kto ci takiego zrobi.

— Twoja teściowa wygląda na niezłą jędzę — powiedziała babcia, kiedy wstawałam.

— Chyba nie jest mną zachwycona.

Babcia postukała papierosem o popielniczkę.

— Coś musisz zrobić, jak należy.

Kiedy po wszystkim odjeżdżaliśmy sprzed rezydencji, Charlie walnął się dłonią w czoło.

— O cholera — powiedział z sarkazmem. — Zapomnieliśmy o płatnym tańcu!

W Riley, ale chyba też w Madison byłam na wielu weselach, gdzie odbywały się płatne tańce; jak podejrzewam, Charlie nigdy czegoś takiego nie widział.

No c mieliśmy spędzić w pensjonacie w Waukesha, wiktoriańskim domu pomalowanym na szaro— niebiesko.

— Wygląda na nawiedzony — powiedział Charlie, kiedy wjechaliśmy na zwirowy podjazd.

Ja wybrałam pensjonat, kierując się rekomendacją jednej z nauczycielek.

— W takim razie trzeba było samemu czegoś poszukać — odparłam.

— Zawsze jesteś taka marudna, kiedy wychodzisz za mąż? — zapytał i uśmiechnęliśmy się do siebie.

Około trzeciej nad ranem potrząsał mną, żeby mnie obudzić.

— Muszę się wysikać — powiedział.

Odepchnęłam go.

— Śpię.

— Chodź ze mną, dobrze? — Łazienka znajdowała się na korytarzu, kilka metrów od naszego pokoju. Charlie pochylił się i zapalił lampę na moim nocnym stoliku. — Chodź. To tylko chwila. Pośpieszę się.

Zasłoniłam twarz zgiętą w łokciu ręką.

— Zgaś to — powiedziałam.

— No chodź. — Jego głos był jednocześnie przypochebny i błagalny. — To miejsce mnie przeraża.

Uniosłam rękę.

— Naprawdę chcesz, żebym poszła z tobą do łazienki?

— Lindy, od pierwszego dnia wiesz, że boję się ciemności. To nie była fałszywa reklama.

Potrząsnęłam głową, ale też uśmiechałam się pod nosem. W korytarzu nocna lampka podłączona do gniazdka dawała nikłą poświatę, ale żadne z nas nie znalazło przełącznika światła. Poszłam pierwsza.

— Słyszałaś to? — szepnął Charlie, kiedy podłoga skrzypnęła.

— Uspokój się — odszepnęłam. — Ten dom ma co najmniej sto lat.

W łazience przycupnęłam na grzejniku obok ściany, a Charlie stanął nad klozetem. Kiedy skończył, odwrócił się i pocałował mnie w usta.

— Wiedziałem, że zenię się z właściwą kobietą, i: — Umyj ręce i wracajmy do łóżka — odparłam.

Kiedy zasnęłam znowu, po raz pierwszy od wielu lat przyśnił mi się Andrew Imhof. Byliśmy w jakimś wielkim, dziwnym zatłoczonym pomieszczeniu — może kiepsko oświetlonej szkolnej auli — i nie rozmawialiśmy ze sobą, ani nie patrzyliśmy na siebie, ale ja miałam świadomość każdego jego ruchu; tak naprawdę moja uwaga skupiała się wyłącznie na nim, chociaż udawałam, że jest inaczej. A potem nagle on zniknął, a ja czułam się boleśnie zawiedziona. Chciałam do niego podejść, wiedziałam, że on tego chce, ale odkładałam to na tyle długo, że w końcu straciłam swoją szansę. Kiedy się obudziłam, było wpół do siódmej, nasz pokój w pensjonacie zaczynał dopiero jaśnieć; spaliśmy na wysokim łóżku z baldachimem, pod kołdrą z patchworku tak ciężką, że cała się spociłam. Wciąż odczuwałam zawód — chciałam tamtego chłopca ze snu. Nawet nie odwracając głowy w stronę Charliego, wiedziałam. Nie tego. Tamtego. Andrew. Bycie z Andrew nastąpiłoby całkowicie naturalnie; wszystko znalazłoby się na swoim miejscu, a ja musiałabym jedynie się poddać. I tęskniłam za tamtym uczuciem bycia adorowaną przez przystojnego chłopca, bycia siedemnastolatką, życiem, które dopiero miało się rozpocząć — jak to możliwe, że wszystko to działo się tak dawno temu, dlaczego podążyłam całkowicie inną drogą? Czułam się zawiedziona nie dlatego, że Charlie poprosił, abym poszła z nim do łazienki — to było tak naprawdę urocze. Czułam się tak z powodu wszystkiego innego: byłam teraz żoną (żoną) młodego polityka z aspiracjami, miałam teściową, która mnie nie lubiła, mój mąż był w zasadzie (rzadko, nawet sama przed sobą nie lubiłam tego przyznawać) bez pracy. A pragnęłam się zestarzeć w Riley; nie dla mnie były sprośności ani bogactwa.

Wtedy Charlie poruszył się, przyciągając mnie do siebie. Kiedy wreszcie popatrzyłam na jego twarz, mój sen zaczął się rozwiewać. Przekręciłam się w jego stronę, spodami palców u nóg dotknęłam wierzchu jego stóp, czułam, jak włoski na jego goleniach drażnią skórę moich łydek, czułam jego kościste kolana — czasem niemal sprawiały mi ból, kiedy leżał ze zgiętymi nogami — i przylgnę-

łam do niego, skuliłam się pod jego piersią i ramionami. Poczułam znajomy zapach jego skóry, wiedziałam, że jest przystojny; nie tak przystojny jak był Andrew Imhof, ponieważ Andrew był nastolatkiem, doskonałym i złocistym, gdyby jednak Andrew dzisiaj żył, też nie byłby już taki przystojny jak wtedy. Dlaczego to, co łączyło mnie z Charliem, nie było tak nabrzmiałe obietnicą, jak to, co łączyło mnie z Andrew — oczywiście, że nie było. Dawne obietnice nigdy nie zostały zrealizowane, bo nie mogły być. Charlie i ja już znaleźliśmy się lepiej, niż kiedykolwiek było to możliwe z Andrew. Nawet jeżeli Charlie nie potrafił powiedzieć, jak nazywała się piekarnia przy Commerce Street, lub nie wiedział, dlaczego w tawernie Grady'ego w 1956 roku wybuchł pożar, nawet jeżeli nie do końca rozumiał, skąd się wywodzę, rozumiał, kim jestem teraz — wiedział, jak wysmażony lubię stek, znał kolor mojej szczoteczki do zębów, minę, jaką robiłam, kiedy orientowałam się, że nie zamknęłam okien w samochodzie, zanim zaczęło padać. I gdybym miała zostać w Riley, czy nie zostałabym? Nie z powodu Charliego przeniosłam się do Madison — to ja, z własnej woli prawie dziesięć lat wcześniej wyjechałam do Madison i rzadko tego żałowałam.

Wtedy doszło do pierwszego i jedyne go paranormalnego zdarzenia w moim małżeństwie. Charlie poruszył się przez sen, otworzył oczy i popatrzył na mnie.

— Musisz sobie wybaczyć, że zabiłaś tamtego chłopca — powiedział bez ostrzeżenia. (Był pierwszym człowiekiem, który użył słowa „zabiłaś” — sama nieraz tak robiłam w myślach, ale na głos nikt nigdy przy mnie tak nie powiedział. Lata później w ten właśnie sposób pisano o tym w artykułach, a zwłaszcza w Internecie, ale Charlie zrobił to pierwszy). — Ze względu na siebie, ale i na mnie także — mówił dalej, głosem ochryplym od snu, a mimo to pewnym siebie i upartym. — Nie wybacząc sobie, nadajesz temu zdarzeniu zbyt wielkie znaczenie, sprawiasz, że o n, ten chłopiec, staje się zbyt ważny.

— Umilkł na chwilę. — A to ja mam być miłością twojego życia.

Tak mnie zaskoczył, że nawet nie pamiętam, co odpowiedziałam — pewnie nic poza „Okay” — i zasnęliśmy z powrotem, Charlie najpierw.

Kiedy obudziliśmy się jakąś godzinę później, nie wspomnieliśmy o tej rozmowie. Gawędziliśmy leniwie, Charlie usiłował mnie namówić na seks

— „Musimy skosztować to jak najszybciej” — ale ja chciałam poczekać do powrotu do domu, bo ściany w pensjonacie były tak cienkie, że słyszeliśmy przez nie chrapanie właściciela. Na śniadanie zeszliśmy do jadalni na dole, podano herbatniki i dżem wiśniowy. Oszołomienie snem, ten rozdzierający smutek — już znikły. Teraz, kiedy byliśmy już na nogach, ubrani, w ruchu, kiedy nastał normalny dzień, dostrzegałam całkowitą irracjonalność snu. Kochałam Charliego; poszczęściło mi się niewyobrażalnie.

Ale sen powrócił — prawdę mówiąc, powracał stale, wciąż na nowo. Oceniam, że przez całe moje małżeństwo śniłam o Andrew mniej więcej co dwa, trzy tygodnie i prawie zawsze tak samo jak wtedy w noc poślubną: był obecny, ale nieuchwytny. Stał niedaleko, nie rozmawialiśmy, a mnie przepęłniała ogromna tęsknota. Po przebudzeniu znacznie dłużej otrząsałam się z niej, niż zapominałam o samym śnie.

Myślę jednak, że sen jest pewnego rodzaju darem; pozwala mi pamiętać Andrew bez obciążania tych wspomnień poczuciem winy. Może rozgrzeszenie, jakiego udzielił mi Charlie, odniosło skutek, który został wzmocniony upływem czasu. Od mojej nocy poślubnej minęło wiele lat. Na pewno nie byłam już tą samą osobą, co tamtego wrześnieowego dnia w liceum, a ponieważ tak naprawdę to już nie ja — dzisiejsza — spowodowałam tamten wypadek, mogłam wybaczyć dziewczynce, którą wtedy byłam, tak samo jak chciałabym, tylko że znacznie szybciej, wybaczyć każdemu innemu koledze czy koleżance na moim miejscu.

I tak we śnie po raz pierwszy poczułam nasze rozstanie nie jako utratę Andrew, ale jako utratę samej siebie. Nie było to już: „Tak mi przykro z powodu tego, co ci zrobiłam”. Teraz było to: „Wróć do mnie. Wróć do mnie, bo minęło już czternaście lat, a ja wciąż potwornie za tobą tęsknię”.

Na początku maja następnego roku spotkałam swoją dawną agentkę nieruchomości, Nadine Patorę. Był sobotni poranek, Charlie wraz z Hankiem gnał z konferencji mleczarzy w Kimberly do domu opieki w Menasha, potem czekała ich kolacja w Manitowoc; ja przebierałam w skrzynce z jabłkami na targu, kiedy poczułam na sobie ciężar czyjś spojrzenia. Podniosłam wzrok. Nadine stała dokładnie naprzeciwko mnie, po drugiej stronie stoiska. Niepewna, co powinnam zrobić, uśmiechnęłam się do niej.

— Słyszałam, że wyszłaś za mąż. — Wskazała na moją obrączkę, zwykłą, gładką, ze złota.

Zdałam sobie sprawę, że nie napisałam do niej listu z przeprosinami za wycofanie się z kupna domu. Miałam zamiar, ale podczas mojego narzeczeństwa z Charliem kompletnie o tym zapomniałam.

— Nadine, bardzo cię przepraszam za...

— Widziałam zapowiedź o ślubie w gazecie — powiedziała. — Przyzwoitość nakazywała, żeby mi powiedzieć.

— Moja decyzja nie miała nic wspólnego z zamążpójściem.

— Nie wiem, do jakiego agenta się zwróciliście, ale powiem tak: byłam wystarczająco dobra dla ciebie jako dla singielki ze skromnym budżetem, wiem też,

nawet jeżeli ty nie, że pierwszorzędnie wywiązałabym się z szukania domu dla ciebie i twojego męża. Kiedy siedzisz w biznesie tak długo jak ja, znasz wiele okolic.

— Nie, nie — powiedziałam pośpiesznie. — Nie kupiliśmy domu. Wynajmujemy mieszkanie w Houghton.

— Są publiczne rejestry, Alice. Mogę pójść w poniedziałek i dowiedzieć się kto był waszym agentem i ile zapłaciliście.

— Szczerze — powiedziałam. — Tylko wynajmujemy.

Nadine ściągnęła usta.

— Syn byłego gubernatora startuje do Kongresu, a ty oczekujesz, że uwie—
rzą?> że mieszka w jakimś nędznym mieszkanku?

Nie doszło do kolejnego spotkania z Deną, ale z przykrością muszę przyznać, że stało się tak prawdopodobnie dlatego, że nie spróbowałam porozmawiać z nią jeszcze raz, zanim wyprowadziłam się z miasta. Tego dnia kiedy wyszła z naszego lunchu, nie uważałam naszej przyjaźni za skończoną, chociaż ona twierdziła inaczej; domyślałam się, że wybaczyłaby mi. W dalszym ciągu tak uważam, gdyby okoliczności — głównie czynnik geograficzny — nie trzymały nas z daleka od siebie. Gdybym zdobyła się na odwagę i któregoś dnia, po odpowiednim upływie czasu, weszła do jej sklepu albo gdyby ona znalazła sobie jakiegoś narzeczonego na poważnie, kiedy ja jeszcze byłam w Madison, myślę, że mogłybyśmy zacząć od nowa tam, gdzie przerwałyśmy.

Ale tylko raz przed przeprowadzką ją widziałam i zabrakło mi odwagi, by się przywitać. Było to kilka miesięcy przed spotkaniem z Nadine, w ciemne lutowe popołudnie. Wychodziłam właśnie ze sklepu papierniczego przy State Street, w którym kupowałam walentynkę dla Charliego. Zobaczyłam Denę po przeciwnej stronie ulicy, odwróconą do mnie tyłem, i aż wstrzymałam oddech; stałam tam bez ruchu przy ceglanej ścianie sklepu i czekałam, póki Dena nie doszła do następnej przecznicy. Od tamtej chwili nie widziałam jej ani razu przez trzydzieści lat.

W listopadzie 1978 roku Charlie nie został reprezentantem szóstego okręgu. Przegrał z Alvinem Wincekiem, 58 procent do 42. Charlie osiągnął lepszy wynik, niż się spodziewano, ale i tak był daleki od wygranej. Ja minionej wiosny złożyłam wymówienie u dyrektorki Liess, Lydii Bianchi, i całe lato spędziłam, towarzysząc Charliemu w podróżach na pace półciężarówki, na burtach której widniały napisy: BLACKWELL DO KONGRESU. Słyszałam, jak przedstawia się tyśiącom wyborców, dawałam mu pastylki do ssania, kiedy głos go zawodził, a on

i tak nie przestawał mówić, trzymałam go za rękę, klaskałam, jadłam cebulowe krążki i frytki, znowu klaskałam i jadłam kolejne cebulowe krążki i frytki, a kiedy Charlie wygłaszał swoją mowę rezygnacyjną w siedzibie głównej kampanii w noc wyborów, oboje popłakaliśmy się trochę, i nawet jeżeli powód naszych łez nie był do końca taki sam, nie był też całkowicie odmienny. Razem przeżyliśmy coś wielkiego; nasze pragnienia były teraz znacznie sobie bliższe niż w czasach, kiedy tylko się spotykaliśmy.

W lutym, trzy miesiące po wyborach, kupiliśmy dom na północnych przedmieściach Milwaukee — w Maronee — i wprowadziliśmy się do niego 31 marca 1979 roku. Byłam w dziewiątym miesiącu ciąży, o której dowiedziałam się w gabinecie lekarza dzień przed potwierdzeniem przez nas oferty kupna domu. A kiedy już w nim zamieszkaliśmy, Charlie z rzadka pozwalał mi rozpakować choćby jakiś karton. Oboje byliśmy zachwyceni. Przestaliśmy używać jakichkolwiek zabezpieczeń kilka tygodni po ślubie i zważywszy na to, że od tego czasu upłynęło siedemnaście miesięcy, a ja miałam prawie trzydzieści trzy lata, regularne pojawianie się mojego okresu coraz bardziej nas zniechęcało; wreszcie coraz częściej rozmawialiśmy o możliwości adoptowania dziecka.

Dom, który kupiliśmy przy Maronee Driver, miał pięć sypialni i kosztował 163 tysiące dolarów. Gdyby Nadine była naszą agentką, zarobiłaby prawie 5 tysięcy dolarów, ale skorzystaliśmy z usług niejakiego Stueya Pa—tricksona, który grywał w squasha z kuzynem Charliego, Jackiem. Jedną sypialnię przeznacziliśmy dla siebie, drugą na pokój dziecięcy, następną na gabinet Charliego, kolejną na pokój gościnny, wreszcie ostatnią na minisalkę gimnastyczną, gdzie Charlie mógł ćwiczyć ze sztangami; na jednej ze ścian powiesiliśmy nawet wielkie lustro, jednak Charlie znacznie częściej ćwiczył w Maronee Country Club, którego pole golfowe rozciągało się po drugiej stronie ulicy. (W tamtych czasach sala gimnastyczna była skromnym przedsięwzięciem, ale kiedy zaczęło się ogólnonarodowe szaleństwo na punkcie ćwiczenia, stawała się coraz bardziej wyszukana). Nigdy z Charliem nie rozmawialiśmy — ani mnie, ani jemu coś takiego nie przyszło nawet do głowy — o gabinecie w domu również dla mnie. Hol na pierwszym piętrze był duży i przestronny, i tam w jednym końcu pod oknem ustawiliśmy biurko, gdzie mając za towarzysza Drzewko darów, płaciłam rachunki i pisałam liściki z podziękowaniami. Stałam się w tym profesjonalistką; po ślubie dostaliśmy dziesiątki prezentów od przyjaciół rodziny Blackwellów, których nie zaprosiliśmy na wesele. Latami w ten sposób kojarzyłam sobie ludzi z Milwaukee: LeGrandowie, od których dostaliśmy toster, Wendorfowie, którzy dali nam półmisek z białej porcelany...

Charlie i ja bez trudu dostosowaliśmy się do naszego nowego życia; upojenie z czasów narzeczeństwa przeminęło, ale odebrałam to jako część naturalnego procesu, niewartego rozpamiętywania i lamentu. Rytuały prowadzenia domu

bardzo mi odpowiadały. Wcześniej zastanawiałam się, czy nie będę się nudzić, ale po przeprowadzce miałam ręce pełne roboty, musiałam pilnować malarzy i budowlańców (odnawialiśmy sypialnię), poza tym musiałam się zajmować ogrodem. Każdego ranka po wyjściu Charliego — jeździł do Blackwell Meats cztery, czasem nawet pięć razy w tygodniu — czytałam przez godzinkę. Wcześniej pracowałam wystarczająco długo, żeby teraz w pełni docenić ten luksus. Przyznaję, że na samym początku dochodziłam do końca rozdziału, podnosiłam wzrok i ze zdumieniem rozglądałam się wokół. Pograżona w fikcyjnym świecie zapomniałam, kim się stałam, uciekało mi z głowy, że jestem mężatką, mam dom, mieszkam z mężem na przedmieściach Milwaukee. W takich chwilach, ale też w innych, myślałam o swoim mieszkanku przy Sproule Street, dawnych uczniach i kolegach z pracy, przyjaźni z Deną i Ritą (odchodząc z pracy, podarowałam Ricie broszkę mojej mamy — co prawda była prześliczna, ale tyle nieprzyjemnych rzeczy mi się z nią kojarzyło, że nigdy bym jej nie założyła). W sumie nie żałowałam zmian, jakie zaszły w moim życiu, ale czasem zdarzało mi się odrobinę tęsknić za tym wszystkim, co już nie było moje.

Byliśmy świeżo upieczonymi małżonkami, ale bardzo szybko staliśmy się kolejnym małżeństwem, spotykaliśmy się z jego braćmi i innymi małżeństwami należącymi do naszego klubu i naszego kościoła. Charlie zazwyczaj po pracy grał w squasha lub tenisa, raz w tygodniu przynosił mi kwiaty. W niedzielę, jeżeli Harold i Priscilla byli akurat w mieście, szliśmy do nich na kolację — nauczyłam się zwracać do nich po imieniu, już nie proszę pani i proszę pana — i podróżowaliśmy, czasem wraz z Jadey i Arthurem. W ciągu pierwszych pięciu lat naszego małżeństwa byliśmy w Kolorado, Kalifornii, Karolinie Północnej, Nowym Jorku i New Jersey, i byłam tylko lekko zawiedziona, kiedy Charlie zdecydował, że nie pojedziemy w odwiedziny do jego rodziców na Hawaje. W owym czasie nasza córka, Ella, miała dwa latka i w samolocie trudno było nad nią zapanować.

W pierwszych latach naszego małżeństwa byliśmy bardzo szczęśliwi

— przeważnie w czasie jego trwania byliśmy szczęśliwi, chociaż jak wszystkie związki, przeżywaliśmy też gorsze chwile. Ludzie niechętnie słuchają, że tych dobrych było zdecydowanie więcej, niż tych złych, ale taka jest prawda. Im dłużej byliśmy razem, tym bardziej naciągane wydawało się nasze krótkie narzeczeństwo. Zaręczeni po sześciu tygodniach! Ślub po kolejnych sześciu! Jakie to impulsywne, odważne i głupie. Czy znaliśmy się wystarczająco dobrze? Myślę, że tak. W zasadzie jesteśmy chyba tymi samymi ludźmi, którymi byliśmy wtedy, chociaż warunki, w jakich teraz żyjemy, zmieniły się diametralnie.

Podczas tamtych pierwszych wyborów, a także wszystkich następnych, kiedy eksperci i dziennikarze zbyt nisko oceniali Charliego, nie byłam zdziwiona; wszak kiedy się poznaliśmy, ja też nie oceniałam go zbyt wysoko.

CZEŚĆ III

Maronee Drive 402

402

Ponieważ mieliśmy bilety do teatru na siódmą trzydzieści, Charlie obiecał wrócić do domu najpóźniej piętnaście po szóstej, a ja przygotowałam duszone bitki z kurczaka, które moglibyśmy zjeść z Ellą przed wyjściem. Ale kiedy za piętnaście siódma Charliego wciąż jeszcze nie było, a nasza opiekunka, studentka ostatniego roku o imieniu Shannon, za którą Ella przepadała, już się zjawiała, zadzwoniłam do biura Charliego, gdzie włączyła się automatyczna sekretarka i głosem jego prawdziwej sekretarki wyjaśniła mi, że w tej chwili jest nieobecny albo na spotkaniu. Czyżby zapomniał o *Mewie* Czechowa i pojechał do klubu pograć w squasha albo poćwiczyć hantlami? A może pojechał na mecz baseballowy? Był majowy wtorek i chociaż mieliśmy karnety do Marcus Center, zwykle chodziliśmy na przedstawienia w piątkowe lub sobotnie wieczory.

Sprawdziłam w gazecie i rzeczywiście, Brewersi grali u siebie przeciwko Detroit Tigers. To był najbardziej prawdopodobny powód nieobecności Charliego, ale na wszelki wypadek zadzwoniłam do klubu, a telefonistka połączyła mnie z salą gimnastyczną, gdzie Tony, siedemdziesięciolatek obsługujący bar w wyłożonym dębową boazerią holu pomiędzy szatnią męską a damską, powiedział mi, że nie widział mojego męża. To i tak mgło oznaczać, że Charlie wszedł na korty do squasha albo do siłowni przez boczne drzwi, ale równie dobrze, że wybrał się do domu rodziców, gdzie razem z Arthurem lubił w ciszy i spokoju oglądać mecze baseballowe. Harold i Priscilla przenieśli się do Waszyngtonu w 1986 roku, kiedy to Harold został wybrany na przewodniczącego Narodowego Komitetu Republikanów, ale dom w Milwaukee wciąż był w pełni umeblowany.

Zadzwoniłam do Jadey — ona i Arthur również mieszkali przy Maronee Driver, jakieś półtora kilometra na zachód od nas. Odebrał ich piętnastoletni syn, Drew.

— Mama wyszła z Lucky — poinformował mnie.

— A tata jest w domu? — zapytałam.

— Pracuje do późna.

Kiedy się rozłączyłam, było już za dziesięć siódma, a żeby dojechać do centrum, potrzebowałam co najmniej dwudziestu pięciu minut. Shannon i Ella siedziały przy kuchennym stole. Ella kończyła kolację. Podeszłam do niej i pocałowałam ją w czółko.

— Na górę o ósmej trzydzieści, światło wyłączamy za piętnaście dziewięta i żadnej telewizji.

— Mamusiu, twoje kolczyki wyglądają jak pinezki — powiedziała Ella.

Roześmiałam się. Kolczyki były ze złota i rzeczywiście wyglądały trochę

jak pinezki. Poza tym miałam na sobie jasnoróżowy kostium — spódnicę i żakiet — i różowe szpilki od Ferragamo.

— Pamiętaj, żeby posprzątać po podwieczorku Barbie — powiedziałam do Elli, potem spojrzałam na Shannon. — W lodówce są steki. Gdybyś chciała, możesz sobie odgrzać. Powinniśmy wrócić do domu o wpół do jedenastej. Wstąpię do państwa Blackwellów, bo myślę, że Charlie tam jest, gdyby jednak zjawił się tutaj, powiedz mu, żeby spotkał się ze mną w mieście.

Nie było go u rodziców. W pierwszej chwili, kiedy podjechałam pod ich przypominający zamek dom, zauważyłam światło w kuchni i pomyślałam, że go znalazłam, ale gdy podeszłam do drzwi, przez okno dostrzegłam pannę Ruby; zapinała właśnie pasek brązowego prochowca.

Otworzyła drzwi.

— Charliego tu nie ma, prawda? — zapytałam.

— Może niech pani sprawdzi w klubie?

— Tam go chyba też nie ma. — Zerknęłam na zegarek. — Mieliśmy iść na przedstawienie, które zaczyna się o pół do ósmej.

Panna Ruby patrzyła na mnie obojętnie. Przez lata obserwowałam, jak Blackwellowie rywalizują ze sobą o potępienie z jej strony — jeżeli zezłościła się na Arthura za to, że powiedzmy, postawił szklanekę na stole w salonie bez podstawki, traktował to jak małe zwycięstwo — nie była to jednak konkurencja, w której zamierzałam brać udział. Nawet jeżeli panna Ruby była zręczliwa, niezaprzeczalnie też harowała jak wół. Nieraz w jakieś święto wchodziłam do kuchni o jedenastej wieczorem i zastawałam ją tam szorującą garnki, a kiedy następnego ranka zjawiałam się w domu, ona już o ósmej rano nakrywała do śniadania. Kilka lat temu dowiedziałam się, że koło kuchni miała swój pokój wraz z przylegającą łazienką, ale dla mnie spanie w domu Blackwellów zamiast powrotu do własnego było raczej wadą niż dodatkową korzyścią, jaką jej ta praca dawała.

Była już dokładnie siódma, co oznaczało, że najprawdopodobniej i tak nie zdążę na początek sztuki, po cóż więc miałam się przejmować? Skinieniem głowy wskazałam na tylne drzwi.

— Jak rozumiem, właśnie wychodziłaś?

— Sprawdzałam tylko, czy dom jest gotowy na przyjazd państwa.

Zapomniałam, że Harold i Priscilla przyjeżdżają do miasta w najbliższy

weekend, wobec czego będziemy musieli zjawić się u nich w sobotę na kolacji. Zanotowałam w pamięci, żeby zapytać Priscillę, co mam przynieść.

Gestem poprosiłam, żeby panna Ruby poszła przede mną, na co ona niemal niezauważalnie pokręciła przecząco głową; ruszyłam więc pierwsza, ona za mną. Temperatura wynosiła jakieś 15 stopni, majowe niebo stopniowo ciemniało, trawnik Blackwellów ocieniały drzewa o soczystych, świeżych liściach. Kiedy szliśmy zwirowym podjazdem, zorientowałam się, że stoi na nim tylko mój samochód.

— Mogę cię podwieźć? — obróciłam się do panny Ruby;

— Nie, proszę pani, pojedę autobusem.

— W takim razie pozwól przynajmniej, że podrzucę cię na przystanek. Jest przy Whitting, prawda?

Kilka razy, przejeżdżając późnym popołudniem czy wczesnym wieczorem, widziałam ją, jak czeka tam na autobus.

— Nie musi pani — powiedziała.

— Nie, nalegam. — Zaśmiałam się krótko. — Chciałabym dzisiaj wieczorem zrobić coś pozytywnego.

Kiedy wsiadała do samochodu, miałam wrażenie, że ustępuje mi wbrew sobie.

Jechałyśmy w milczeniu — gdy przekręciłam kluczyk, radio włączyło się automatycznie, ustawione na stację, której słuchałam, Narodowe Radio Publiczne, ale wyłączyłam je z obawy, że panna Ruby nie lubi tej stacji (Charlie nazywał ją Narodowym Radiem Pornograficznym).

— Może ty wybrałabyś się ze mną do teatru? — zapytałam, kiedy zbliżyłyśmy się do rogu Montrose Lane i Whitting Avenue. — Mam bilety na *Mewę* i byłoby szkoda, gdyby się zmarnowały. Ale proszę, nie czuj się w obowiązku, musiałybyśmy się pospieszyć, żeby zdążyć.

Nie odpowiedziała od razu, a ja zastanawiałam się, czy mam jej coś powiedzieć o sztuce albo autorze, a może nie powinnam z góry zakładać, że panna Ruby nigdy wcześniej nie słyszała o Czechowie.

— Nie wiem, czy jestem odpowiednio ubrana — powiedziała w końcu. Popatrzyłam na nią przestraszona, że ma na sobie swoją roboczą czarną sukienkę — nie zdziwiłabym się, gdyby nie chciała iść do teatru w stroju pokojówki — zobaczyłam jednak, że pod płaszczem ma czerwone spodnie i czarny sweter.

— Nie, wyglądasz świetnie — stwierdziłam. — Prawdę powiedziawszy, ja wystroiłam się chyba za bardzo. Byłaś już kiedyś w Marcus Center?

— Jessica była ze szkołą na koncercie kolęd.

Jessica była wnuczką panny Ruby, córką Yvonne. Wiedziałam, że obie mieszkają z panną Ruby; o ojcu Jessiki nigdy nie słyszałam. Yvonne pomagała przy kilku przyjęciach, które wydawaliśmy z Charliem na początku naszego małżeństwa. Wtedy chodziła do szkoły pielęgniarskiej, teraz pracowała w izbie przyjęć w szpitalu St. Marys. Yvonne była bardziej pogodną kobietą od matki i zawsze ją lubiłam, a Ella wprost przepadała za Jessicą, kilka lat starszą od niej. W dni, kiedy panna Ruby przyprowadzała wnuczkę do domu Blackwellów — gdy Jessica nie szła do szkoły, a Yvonne musiała pracować — dwie małe dziewczynki całymi godzinami bawiły się lalkami Barbie w kuchni Priscilli. Nagle uderzyło mnie, że już od jakiegoś czasu nie widziałam ani Jessiki, ani Yvonne, przynajmniej odkąd Harold i Priscilla przenieśli się do Waszyngtonu.

— Czy Jessica wciąż chodzi do podstawówki Harrisona? — zapytałam.

— Tak, proszę pani, chodzi. — Nieco niepewnie panna Ruby dodała: — Chyba mogłabym się wybrać na tę sztukę.

Byłam zaszokowana i zachwycona, ale celowo zachowałam spokój.

— To wspaniałe — powiedziałam i nacisnęłam pedał gazu. — Jessica była zawsze taka mądra. Czy słusznie wydaje mi się, że powinna kończyć piątą klasę?

— Jest w szóstej, u pana Armstronga — rzekła panna Ruby. — Same szóstki na świadectwie, wiceprzewodnicząca rady uczniów i liderka grupy młodzieży w kościele baptystów.

— Niesamowite — powiedziałam. — Do którego gimnazjum się wybiera?

— Do Stevens.

Świadomie powstrzymałam się przed negatywną reakcją. Stevens było bez wątpienia najgorszym gimnazjum w Milwaukee. My mieszkaliśmy na przedmieściach, Ella chodziła do prywatnej szkoły, Biddle Academy, ale nie trzeba było regularnie czytywać „The Milwaukee Sentinel”, żeby wiedzieć, w jak tragicznej sytuacji znajdują się publiczne szkoły, a Stevens chyba w najtragiczniejszej. Rok wcześniej wypaliła broń, którą siódmoklasista wniósł do szkoły, nie wiadomo jak, a dwóch uczniów dziewiątej klasy wydalono za sprzedaż kraku. (Dziewiąta klasa! I na miłość boską, k r a k. Przypomniałam sobie, dlaczego zawsze uczyłam tylko młodsze dzieci, chociaż jakoś nie wyobrażałam sobie, żeby mogło dojść do podobnych ekscesów w latach siedemdziesiątych).

— Które przedmioty Jessica lubi najbardziej? — zapytałam.

— Chyba angielski, ale dobra jest ze wszystkiego. — Panna Ruby wskazała przed siebie. — Jeżeli chce pani zaoszczędzić trochę czasu, lepiej skręcić w Holland Boulevard.

— Cieszę się, że tak wspaniale sobie radzi — powiedziałam. — A co u Yvonne?

— Niezbyt się wysypia, odkąd dziecko przyszło na świat. Mały bardzo lubi, żeby go nosić.

— O mój Boże. Nic nie wiedziałam, że Yvonne urodziła dziecko. Kiedy to się stało?

— Ma na imię Antoine Michael — powiedziała panna Ruby. — Pierwszego czerwca skończy dwa miesiące.

— Panno Ruby, to takie niesamowite. Bardzo chciałabym go zobaczyć. — Jeszcze jakiś czas temu myślałam, że pozbędę się swojego uwielbienia dla małych dzieci po urodzeniu własnego, ale myliłam się. Wciąż fascynowały mnie ich małe paluszki, noski i uszka, idealna miękkość skóry — niemowlęta były dla mnie istotami magicznymi, jak z innej planety. Kiedy Ella rosła, uwielbiałam każdy nowy etap, zawsze była zabawna, czarująca i oczywiście irytująca, ale przyznaję, że czasem tęskniłam za okresem, kiedy była noworodkiem. — Może wpadłybyśmy z Ellą któregoś popołudnia — zapytałam, a kiedy panna Ruby nie odpowiadała, dodałam: — Albo lepiej spotkajmy się u nas w domu. Co powiecie na lunch w niedzielę za tydzień? Albo — nie wiedziałam, o której Suttonowie wychodzą z kościoła, może więc niedziela nie była najlepszym dniem — w poniedziałek? W przyszły poniedziałek wypada Memoriał Day, prawda?³

— Chyba moglibyśmy przyjść. .

— Och, Ella będzie zachwycona. — A Yvonne... Czy ojciec dziecka...?

— Clyde, mieszka z nami. Pobrali się z Yvonne latem ubiegłego roku.

— Panno Ruby, nie miałam pojęcia, że tyle rzeczy wydarzyło się w twoim życiu! Jak Yvonne i Clyde się poznali?

— On też pracuje w szpitalu, tyle że w stołówce. — Panna Ruby zachichotała. — Sprzedał Yvonne placek i kawę, to jest w tym najlepsze.

— I dobrze się stało.

³ Dzień Pamięci, przypadający w ostatni poniedziałek maja (przyp. tłum.).

Po dojechaniu do Marcus Center zaparkowałyśmy przy *Water Street* i pośpieszyłyśmy do środka. Odźwierni zamykali już drzwi do teatru, ale udało nam się wślizgnąć w ostatnim momencie i zająć miejsca w chwili, gdy gasły światła. Nigdy wcześniej nie widziałam *Mewy* i teraz naprawdę mi się podobała — aktorka grająca rolę madame Arkadiny była wyśmienita. Dopiero w trakcie drugiego aktu ogarnął mnie niepokój. Gdzie się podział Charlie? Czy mogłam bezpiecznie zakładać, że poszedł na mecz baseballowy, a może był zupełnie gdzie indziej?

W czasie antraktu znalazłam płatny telefon, ale w jego biurze nadal nikt nie odbierał, a w domu Shannon powiedziała, że nie miała od niego żadnej wiadomości. Miotalam się między złością a niepokojem. Prawdę mówiąc, bardziej skłaniałam się ku temu, że zwyczajnie zapomniał o sztuce, albo wręcz celowo nie chciał na nią iść, niż ku obawom, że stało się coś złego. W ciągu ostatnich kilku miesięcy Charlie z coraz większą niechęcią chodził ze mną do teatru, czasem wręcz oboje rezygnowaliśmy z jakiejś imprezy, kiedy nie zależało mi na obejrzeniu przedstawienia na tyle, żeby go namawiać. Prawdę powiedziawszy, nasze życie wyglądało mniej więcej tak samo od jakichś dwóch lat. Charlie był w złym nastroju, prawie zawsze niespokojny i skory do kłótni.

W *pewnym sensie* Charlie był niespokojny od samego początku, od dnia, w którym się poznaliśmy — bębnił palcami w stół, kiedy uważał, że zbyt długo siedzimy na *proszonej* kolacji, w czasie mszy w kościele mrucał do mnie: „Dam sobie głowę uciąć, że Pan Bóg już zasnął” — ale ten niepokój był fizyczny, sytuacyjny, nigdy egzystencjalny. Jego zły nastrój był innej natury. Nieskierowany ku mnie, ale utrzymywał się w zasadzie bez przerwy i chwili, kiedy Charlie nie znajdował się pod jego wpływem, stały się rzadkością.

Próbowałam uzmysłwić sobie, kiedy to się zaczęło, i doszłam do wniosku, że mniej więcej w czasie gdy skończył czterdziestkę, w maju 1986 roku.

Ku memu zdumieniu nie chciał przyjęcia urodzinowego — on, Ella i ja świętowaliśmy przy hamburgerach i cieście marchewkowym w domu — a całymi miesiącami przed i po urodzinach w kółko mówił o swojej spuściźnie.

— Muszę się zastanowić, jaki ślad zostawię po sobie. Kiedy dziadek Blackwell był w moim wieku, miał już firmę i zatrudniał czterdziestu pracowników, a kiedy tato skończył czterdzieści lat, z prokuratora stanowego stał się gubernatorem.

Gdybym miała być całkiem szczerą, przyznałabym rzecz następującą: ludzi niejedno irytowało w Charliem — jego grubiaństwo, wybujałe ego, ogólna gwałtowność — mnie to natomiast nie przeszkadzało. Ale jego fiksacja na punkcie spuścizny (zaczęłam wręcz nienawidzić tego słowa) dla mnie była nie do znie-

sienia. Uważałam ją za coś tak głupiego, tak s a m c z e g o ; nigdy, przenigdy nie słyszałam, żeby kobieta zastanawiała się nad spuścizną, a tym bardziej żeby z jej powodu wpadała w panikę. Raz w możliwie jak najdelikatniejszy sposób przedstawiłam Charliemu te spostrzeżenia na temat płci, co on skwitował: „To dlatego, że wy rodzicie dzieci”. Nie mogę powiedzieć, aby ta odpowiedź mnie satysfakcjonowała.

Bez względu na źródło niezadowolenia Charliego, pod koniec 1986 i w pierwszej połowie 1987 roku dodatkowo wzmógł je znaczny spadek zysków w Blackwell Meats, co z kolei zaowocowało wieloma ciągnącymi się całymi miesiącami debatami na temat wypuszczenia akcji firmy na rynek, za czym Charlie bardzo optował, a czemu jego brat John, wciąż pełniący obowiązki dyrektora, zdecydowanie się sprzeciwiał. Pozostałymi pięcioma członkami rady dyrektorów byli Arthur, Harold, brat Harolda, syn brata oraz mąż siostry Harolda, którzy równo między siebie podzielili głosy. Harold opowiedział się po stronie Johna. To oznaczało, że decyzja zależała od Arthura, który po długim wazeniu wszystkich za i przeciw ostatecznie zagłosował za Johnem, czyli przeciw Charliemu. Charlie oszczędził ojca i Arthura, za to cały swój gniew skierował na Johna i ostatnie Święto Dziękczynienia przebiegło w dość napiętej atmosferze, a do kolacji Priscilla usadziła Charliego i Johna możliwie jak najdalej od siebie. Można by sądzić, że chłód nieco zmalął w ciągu kolejnych sześciu miesięcy — w końcu Charlie i John widywali się w pracy regularnie przez cały tydzień — Charlie wciąż w samotności zżymał się na, jak to nazywał, ignorancję Johna (szczególnie drażniło go, że John nigdy nie skończył żadnej szkoły biznesu), a jego żal stanowił dowód, że było nie do przyjęcia, aby ktoś obcy krytykował Blackwella, ale Blackwell krytykujący innego Blackwella mógł sobie folgować do woli. Tymczasem ja starałam się, aby ten konflikt nie popsuł moich stosunków z żoną Johna, Nan

— częściej niż zwykle zapraszałam ją na lunch i proponowałam wspólne wyjazdy na spotkania Ligi Juniorów — Ella, nieświadoma sporu między ojcem a stryjem, uwielbiała swoje kuzynki: Lizę, tę samą, która nauczyła mnie nowych sznurkowych figur w czasie mojej pierwszej wizyty w Halcyon, teraz dwudziestoletnią studentkę kończącą pierwszy rok w Princeton, i Margaret, siedemnastolatkę, która jesienią również wybierała się do Princeton.

Charlie jednak coraz mnie) chętnie uczestniczył w rodzinnych spotkaniach — a już na pewno nie był ich inicjatorem — i na brunchach czy kolacjach Blackwellów pojawiał się wyłącznie wtedy, gdy było wiadomo, że jego rodzice są w mieście, co zdarzało się nie częściej niż raz na sześć tygodni. Miesiąc temu, w kwietniu, John i Nan wykupili stolik na osiem osób na benefi— sie muzeum sztuki i zaprosili między innymi *nas*. Charlie odmówił pójścia w ostatniej chwili: była sobota wieczorem, on siedział w swoim gabinecie, gdzie pijąc na umór,

oglądał mecz w telewizji. W pewnej chwili przyszedł na górę i zobaczył, że przygotowałam dla niego smoking, wieszając go na drzwiach do sypialni.

— Nie ma szans, żebym założył ten małpi *strój* — oznajmił.

— Charlie, wymagane są stroje wieczorowe — odrzekłam.

— A to niefart — on na to. — Albo idę w tym, co mam na sobie, albo możesz iść beze mnie.

W pierwszej chwili myślałam, że żartuje, on jednak uparcie odmawiał zmiany ubrania, a tym samym wyjścia. Kiedy zapytałam, co mam powiedzieć Johnowi i Nan — wiedziałam, że zapłacili po sto dolarów za miejsce — tylko wzruszył ramionami.

— Powiedz im prawdę.

Ja jednak wytłumaczyłam go, mówiąc, że złapała go grypa żołądkowa. Kiedy wieczorem wróciłam do domu, on w dalszym ciągu oglądał telewizję

— jakiś kryminał — i uśmiechnął się głupkowato.

— Wybaczyłeś swojemu mężowi draniowi?

Ponieważ nie warto było nie wybaczyć, zrobiłam to, ale w poniedziałek zamówiłam ulotki z dwóch ośrodków leczenia alkoholików, jednego miejscowego, drugiego w Chicago.

— Dlatego że nie chciałem się wtedy przebrać? — spytał rozzłoszczony, kiedy *mu je* pokazałam. — Kpisz sobie ze mnie? Lindy, kurwa, stuknij się w czoło.

Kiedy nastala wiosna, choroba Charliego zaczęła się pogłębiać. Teraz już nie dotyczyła tylko jego braci, ale również zbliżającego się zjazdu absolwentów Princeton z okazji dwudziestolecia ukończenia studiów, który miał się odbyć na początku czerwca. Nieco wcześniej dostał oprawioną w skórę książkę z zamieszczonymi przez absolwentów najnowszymi informacjami na temat ich życia zawodowego i osobistego. Czytał ją na głos w łóżku przed snem, tonem pełnym złości i niedowierzania.

— „Radość z zostania partnerem w firmie Ellis, Hoblitz i Carson przewyższyła jedynie przyjemność oglądania wschodu słońca nad kraterem Haleakala na Maui, kiedy wraz z Cynthią świętowaliśmy naszą piętnastą rocznicę ślubu...”. Mówię ci, w college'u ten facet nie odróżniał własnej dupy od łokcia. *O, to jest* niezłe: „Z pokorą myślę, że moje badania onkologiczne dosłownie ratują czyjeś życie...”. Wszyscy wiedzą, że O'Brien był pedziem.

Te czytane przez Charliego fragmenty ani jego uwagi wcale mnie nie bawiły, głównie dlatego, że sama starałam się czytać książkę, a on mi w tym przeszkadzał. Od razu zauważyłam, że wcale nie *musimy* jechać na zjazd, co natychmiast spotkało się z oburzeniem.

— Oczywiście, że musimy! Jaki frajer odpuści sobie Zjazd?

(Absolwenci Princeton tak właśnie mówili o wydarzeniu — to nie był jakiś tam zjazd, to był zjazd przez duże Z). Było jasne, że książka go dotknęła. Praca w rodzinnej firmie mięsnej wystarczała w Maronee, przynajmniej w lepsze dni, ale w kontekście ogólnokrajowym Charlie wątpił, by była dość prestiżowa. Co prawda starałam się ze zrozumieniem podchodzić do jego braku pewności siebie, ale nie mogłam pozbyć się wrażenia, że w sumie oby zawsze miał tylko takie problemy.

W ostatnich tygodniach coraz później i później wracał z pracy i rzadko dzwonił, by mnie poinformować, gdzie się podziewa. Czasem okazywało się, że był w klubie, kiedy indziej zachodził do baru na drinka (to niepokoiło mnie najbardziej, ponieważ było podejrzone — w Riley mężowie i ojcowie często zaglądali do baru, ale w Maronee to się nie zdarzało), w inne dni prosto z pracy jechał na mecz Brewersów. Blackwellowie mieli cztery karnety, dawniej należące do Harolda, którymi Charlie i bracia się dzielili, ale często pozostawały ^{one} niewykorzystane. Niekiedy pytałam go, z kim poszedł — raz był to Cliff (on i jego żona Kathleen, nasi przyjaciele, u których na przyjęciu w ogrodzie Poznaliśmy się z Charliem, trzy lata po nas przeprowadzili się z Madison do Milwaukee; zrobili to, gdy Cliff został wiceprezesem finansowej firmy doradczej), raz poszedł z jakimś młodszym kolegą z pracy, kilkakrotnie jednak wybrał się chyba sam. Wracał do domu, kiedy ja kładłam się do łóżka, i byłam zbyt zła, przygnębiona i zmęczona na kłótnię. Odkładałam rozmowę na następny dzień, ale rano nie miałam serca jeszcze bardziej pogarszać sytuacji. Poza tym chociaż nigdy o tym nie mówił, był tak skacowany, że i tak ledwo miał siłę zwlec się z łóżka i pójść pod prysznic.

Przyszło mi do głowy, że może mieć romans, ale nie wydawało mi się to prawdopodobne. Wciąż regularnie uprawialiśmy seks, choć może nie tak często jak na początku, a Charlie był, choć w mniejszym stopniu, równie czuły jak zawsze. W środku nocy brał mnie za rękę i trzymał za nią przez sen; w zeszłym tygodniu obudziłam się koło trzeciej i poczułam, jak pociera swoimi stopami moje.

— Czy w nocy bawiłeś się ze mną w stopki? — zapytałam, kiedy wstaliśmy rano.

— Lindy, nie udawaj, że to nie jest twoja ulubiona zabawa — odparł.

Trwający zły nastrój nie stłumił jego osobowości; raczej jej towarzyszył,

jak przyczepka motocykla. Jeżeli chodzi o romans, to według mnie bardziej był na czymś skupiony niż tajemniczy.

Pod koniec antraktu dołączyłam do panny Ruby.

— Co sądzisz o sztuce? — zapytałam.

— Jest interesująca — odparła z rezerwą.

Kiedy przedstawienie dobiegło końca i rozbłyły światła, podeszło do

mnie kilka osób, które Charlie i ja znaleźliśmy, a ja przedstawiłam im pannę Ruby (nazwanie jej panną Ruby brzmiałoby dziwnie w tej sytuacji, powiedziałam więc, że to Rubby Stutton), widziałam, jak niektórzy z nich zastanawiają się, kim jest. Rozpoznała ją starsza pani, Tottie Gagneaux — popatrzyła na nią, mrużąc oczy.

— Czy nie jest pani pomocą domową Priscilli?

— Wiecie, że Blackwellowie będą w ten weekend w mieście? — powiedziałam szybko. — O ile się nie mylę, przyjeżdżają z Arizony, chociaż doprawdy trudno za nimi nadążyć, tyle ostatnio podróżują...

Kiedy wyszliśmy z teatru, padał lekki deszczyk. Panna Ruby wskazała mi drogę do swojego domu. Mieszkała w Harambee, w skromnym jednopiętrowym krytym gontem domku na wzgórzu, do którego wiodły strome betonowe schodki. Kiedy wysiadała, w frontowym oknie przez szczelinę w zasłonach dostrzegłam migotliwą błękitną poświatę telewizora. Jakaś postać z dzieckiem na ręku — zapewne Yvonne — uniosła z jednej strony firankę i zerknęła na mój samochód.

— Bardzo dziękuję, że dotrzymałaś mi dzisiaj towarzystwa — powiedziałam.

— Tak, proszę pani — odparła Ruby. — Dobranoc, Alice — dodała, zanim zatrzasnęła drzwi.

Byłam niemal pewna, że odkąd poznałyśmy się jedenaście lat temu, nigdy nie zwróciła się do mnie po imieniu. Tak więc dzisiaj zrobiła to po raz pierwszy

W drodze do domu czułam się dziwnie lekka i szczęśliwa. Wieczór przebiegł inaczej, niż się spodziewałam, ale chyba nieźle — Charlie nudziłby się na *Me-wie*, wyczuwałam natomiast, że pannie Ruby się podobało. Jednak kiedy podjechałam pod dom, ogarnęły mnie wątpliwości. Samochodu Shannon nie było, a gdy otworzyłam pilotem drzwi do garażu, zobaczyłam w nim jeepa cherokee Charliego. Czyżby z powodu deszczu odwołali mecz baseballowy?

Otworzyłam frontowe drzwi i jak tylko przekroczyłam próg, usłyszałam zbliżające się ciężkie kroki. Charlie zjawił się w holu.

— Mam nadzieję, że to było cholernie dobre przedstawienie.

— Co z Ellą?

— Nic jej nie jest. O dziewiątej odesłałem Shannon do domu i od tamtej pory czekam na ciebie.

— Dzwoniłam tutaj i rozmawiałam z Shannon w czasie antraktu, czyli musiałeś przyjść zaraz potem.

— W czasie antraktu, co? — skrzyżował ramiona.

Codziennie rano, zanim — wyszedł do pracy, i wieczorem, kiedy wracał do domu, obejmowaliśmy się i całowali, czasem kilkakrotnie. Jak dotąd nie dobiliśmy ani jednego, ani drugiego.

— Dostałaś swoją codzienną dawkę sztuk pięknych? — zapytał z sarkazmem.

Milczałam.

— Może choć przez chwilę zastanowiłaś się, gdzie jestem? — dodał. — Przez minutkę, może dwie, kiedy patrzyłaś, jak aktorzy recytują swoje kwestie?

— Założyłam, że poszedłeś na mecz. Charlie, dzwoniłam do klubu, do Arthura i Jadey, pojechałam nawet do twoich rodziców i wybaczone, ale nie pierwszy raz nie miałam pojęcia, gdzie się podziewasz.

— I nawet przez ułamek sekundy nie pomyślałaś, że stało się coś złego?

— Stało się coś złego?

— Nie wiem. A ty jak myślisz?

Nawaliłaś, mówiła jego mina, a ja mogę czekać w nieskończoność, aż to do ciebie dotrze.

W jednej chwili poczułam autentyczny strach, przesywający do szpiku kości niepokój i jednocześnie niechęć. Jeżeli coś się stało, dlaczego tak ze mną pogrywa? A jeżeli nic się nie stało, pytanie pozostawało to samo.

— Nie rób tego — powiedziałam.

Patrzyliśmy na siebie przez kilka sekund, a ja nie uśmiechnęłam się czule, w ogóle się nie uśmiechnęłam. Byłam gotowa czule Charliego hołubić, kiedy uważałam, że wszyscy inni spiskują przeciwko niemu, ale na pewno nie będę tego robić w momencie, gdy uważa, że i ja przeszłam na stronę jego wrogów.

— Firma ma gigantycznie przechlapane — odezwał się w końcu zaskakująco swobodnym tonem.

Obrócił się, minął salon i skierował do tylnego gabinetu. Ja podążyłam za nim. (Naprawdę nie byłam aż taka surowa — podążę za każdym, będę hołubić, ale w zamian za odrobinę szacunku, czasem nawet za mniej niż szacunek, za zwykłą neutralność. Gdyby ktoś patrzył z zewnątrz, zapewne uznałyby, że mam naturę podnóżka, ale ja byłam zwolenniczką wybierania bitew, które gotowa byłam stoczyć, przede wszystkim zaś głównie zależało mi na unikaniu kłótni).

W telewizji leciał mecz, na który jednak najwyraźniej nie poszedł, na stole przed telewizorem leżało otwarte opakowanie fritos i do połowy opróżniona butelka whiskey, a także wysoka szklanka z kilkoma centymetrami bursztynowego płynu. Charlie usiadł na środku kanapy, szeroko rozwalony, w sposób dający mi wyraźnie do zrozumienia, że nie ma tam dla mnie miejsca. Usiadłam więc w jednym z dwóch masywnych foteli stojących po obu stronach kanapy.

— Zauważyłeś, że jest potrawka z kurczaka? — spytałam, wskazując na fritos.

— Zjadłem stek.

Złapał poduszkę w poszewce z ciemnobrązowego sztruksu i przytulił ją po dziecinnemu, co mogłoby być słodkie i rozczulające, gdyby jednocześnie nie gotował się z wściekłości.

— W poniedziałek wieczorem jedenaście osób w Indianapolis zwymiotowało po sportowym bankiecie w liceum, i jak myślisz, co podali na przystawkę? — Mówiąc to, nie spuszczał wzroku z ekranu telewizora. — Jeżeli twoja odpowiedź brzmi chilli z mielonej wołowiny Blackwell to bim, bam, bom, wygrałaś pierwszą nagrodę! Teraz sprawą zainteresował się Departament Rolnictwa. John zdecydował się na wycofanie towaru — mówimy, w najlepszym razie, o setkach tysięcy kilogramów rozbratla, może nawet milionach, w co najmniej pięciu stanach. A chcesz wiedzieć, co jest w tym wszystkim najlepsze? Stawiam wszystkie pieniądze, że to nie nasza wina. O ile wiemy, jakieś gnoje w Indianie kupiły przedatowane mięso, ale hej, skoro można obwinie wielką korporację z Milwaukee, czemu sobie żałować?

— Charlie, tak mi przykro.

Podniósł głowę.

— To tak jak mnie. Dzisiaj wieczorem przez godzinę musiałem rozmawiać z jakimś dupkiem z „Sentinela”, kiedy tak naprawdę gównie mnie to wszystko obchodzi. Będę mięso grillował i będę je jadł, koniec pieśni. Mam dość udawania,

że obchodzi mnie, z czego robimy kielbaski — nie po to kończyłem szkołę biznesu, żeby teraz bawić się w kontrolera jakości.

— Co na to John i Arthur?

— Arthur i John mogą się iść walić.

Kiedy to mówił, jeden z graczy Brewersów wybił na aut, kończąc rundę, więc cisnął poduszką w ekran. Potem nachylił się do przodu i rękami złapał za głowę. Wstałam i przesiadłam się obok niego. W milczeniu gładziłam go przez białą koszulkę polo.

— Dość mam tego całego gówna — odezwał się, z głową wciąż schowaną w dłoniach.

— Wiem. — Dalej masowałam go po plecach. — Wiem, że masz.

— Jestem już bliski odejścia. Mam dość.

— Nic się nie stanie, jeżeli odejdziesz — powiedziałam. — Ale jestem pewna, że zechcesz to załatwić możliwie najbardziej dyplomatycznie.

Stosunkowo wcześniej, zaraz na samym początku naszego małżeństwa zrozumiałam, że zarobki Charliego nie mają specjalnego wpływu na naszą kondycję finansową. Okazało się, że po skończeniu dwudziestu pięciu lat odziedziczył fundusz powierniczy w kwocie siedmiuset tysięcy dolarów,¹ chociaż wydał dwadzieścia siedem tysięcy na swoją kampanię w 1978 roku,^a Potem sto sześćdziesiąt trzy tysiące, kiedy kupowaliśmy dom, poza tym prawie w ogóle nie ruszał kapitału, samemu zarabiając całkiem nieźle. Z wyjątkiem gwałtownego spadku na giełdzie w październiku 1987, nasze inwestycje miały się dobrze i w tej chwili mieliśmy na różnych rachunkach dobrze ponad milion dolarów. Mimo to nadal uważałam, że Charlie powinien mieć pracę — było to ważne ze względu na niego, zwłaszcza kiedy ludzie go pytali, co robi, poza tym wiedziałam, że gdybyśmy oboje spędzali razem cały dzień w domu, oznaczałoby to katastrofę dla naszego małżeństwa. Dla mnie jednak nie miało znaczenia, czym by się zajmował, i przyznawałam mu rację, że mógłby sobie znaleźć coś bardziej zajmującego niż przemysł mięsny.

Ponieważ sama zrezygnowałam z pracy zaledwie kilka miesięcy po ślubie i mój wkład w utrzymanie rodziny był praktycznie żaden, nigdy nie mogłam do końca zapomnieć, że nasze pieniądze nie były tak naprawdę n a s z e ; jednakże to ja wypisywałam чеки na opłacenie naszych rachunków, również ja pilnowałam wyciągów z banku. Czasem przypominał mi się tamten czek na dwadzieścia tysięcy, który zobaczyłam podczas jednej z wizyt w mieszkaniu Charliego, i swoje zaskoczenie wysokością sumy. Teraz wiedziałam, że pewne rzeczy wymagają

czeków z wieloma zerami: malowanie elewacji naszego domu, coroczna pokaźna darowizna na fundusz Biddle Academy, kupno mojego volvo za gotówkę — miesięczne raty były zjawiskiem słabo znanym Charliemu.

Myślę, że ponieważ podatki od dywidend, jakie płaciliśmy co roku w kwietniu, były wyższe, nawet biorąc pod uwagę inflację, od moich zarobków jako nauczycielki, uważałam za stosowne po cichu, bez informowania Charliego, wpłacać od czasu do czasu większe sumy na organizacje charytatywne, które i tak dla niego byłyby mniej szokujące niż dla mnie. Datki wynosiły dwieście, trzysta, ale najczęściej pięćset dolarów: w gazecie przeczytałam o działającej w mieście organizacji zbierającej jedzenie dla biednych, programie dla analfabetów czy ośrodkiem dla młodzieży szkolnej, któremu groziło zamknięcie, i siedząc w gabinecie lub kuchni naszego domu z pięcioma sypialniami przy Maronee Drive, czułam narastające we mnie poczucie dyskomfortu, które już nauczyłam się rozpoznawać. Wypisywałam czek, wysyłałam go i dyskomfort zniknął, przynajmniej na jakiś czas. Chociaż Charlie sprawdzał nasze finanse tylko raz w roku, gdy trzeba było płacić podatki, nie włączałam tych datków do listy odliczeń, które przedstawiałam księgowemu. Oczywiście robiąc jakąś darowiznę automatycznie po wieczne czasy trafia się na listę adresową obdarowanych organizacji i pewnego razu Charlie, przeglądając pocztę, znalazł kopertę jednej z nich.

— Do cholery, zauważyłaś, że co miesiąc coś od nich dostajemy? — zapytał, gdy znajdowaliśmy się w jego gabinecie.

Gdy się wyprostował, skorzystałam z okazji, żeby go przytulić i pocałować w policzek. Obrócił twarz i odwzajemnił się, całując mnie w usta. Kiedy objęliśmy się, siedząc obok siebie, złość po odkryciu w holu wyparowała.

— Gdybyś odszedł z firmy, jak myślisz, co chciałbyś robić? — zapytałam.

— Grać na pierwszej bazie w Brewsterach. — Uśmiechnął się.

— Wiem, że już ci to mówiłam, ale zawsze uważałam, że byłbyś wspaniałym trenerem licealnej drużyny baseballowej. Świetnie się na tym znasz i założę się, że błyskawicznie zaraziłbyś swoim entuzjazmem wszystkie dzieciaki.

Jego uśmiech przyblakł.

— Poważnie — rzekłam. — Trudno o posadę w liceum, ale gdybyś zaczął od gimnazjum — moglibyśmy sprawdzić, czy są jakieś wakaty w Biddle — mógłbyś awansować i za kilka lat...

— Alice, Jezu Chryste! Naprawdę uważasz, że tylko tyle jestem wart?

Spuściłam wzrok, a on powiedział:

— Nie chcę cię urazić, ale dlaczego ranisz moje uczucia? Boże wszechmogący, trener w liceum...

— Cóż, mnie praca w szkole dawała wiele satysfakcji — zauważyłam.

— Alice, ja studiowałem w Princeton. Studiowałem w Wharton. Startowałem do Kongresu.

Nie odezwałam się.

— Nie chodzi o to, że nie mam żadnych opcji. To żaden problem — powiedział. — Tato byłby szczęśliwy, gdybym pracował z nim w Narodowym Komitecie Republikanów, Ed bardzo chętnie widziałby mnie w swojej radzie w roli politycznego doradcy, tutaj albo w Waszyngtonie. Pytanie tylko, co byłoby dla mnie ważne? Co dawałoby mi najwięcej satysfakcji? — Błagam, nie mów tego, pomyślałam. — Jaka praca pozwoliłaby mi zostawić po sobie spuściznę, z której byłbym dumny?

— Nie mam nic przeciwko temu, żebyś pracował w okręgowym biurze Eda, ale wiesz, co myślę o przeprowadzce do Waszyngtonu.

— Chcesz powiedzieć, że się nie przeprowadzisz?

Westchnęłam.

— Na pewno nie byłabym z tego powodu szczęśliwa. Waszyngton jest daleko od Riley i zwyczajnie uważam, że w obecnej chwili i w tym wieku Ella^{111 a} szczęście, że jej prababcia wciąż żyje i uczestniczy w jej życiu.

— Ale cały czas byłaby z Maj i tatą. Sześć do jednego, czyż nie?

Co prawda nie tak na to patrzyłam, ale odparłam jedynie:

— Twój rodzice mogą bez problemu podróżować, w przeciwieństwie do mojej babci.

Babcia nie opuszczała już domu przy Amity Lane. Mama zamontowała jej windę na schodach, żeby nie musiała się sama wdrapywać na piętro. Obicie krzesła było ze sztucznej beżowej skóry i czasem jadąc na nim, babcia machała majestatycznie, jakby była królową angielską. Chciałam nazwać Ellę po babci, ale Charlie wolał, aby odziedziczyła imię po jego matce; poszliśmy na kompromis, łącząc oba imiona w jedno, tym samym, nie po raz pierwszy zresztą, pomijając moją mamę.

Charlie napił się whiskey.

— Wiesz, myślałem, że teraz będę już wiedział, jaką drogę wybrać. Poznam swoje przeznaczenie. — Och, jakże nienawidziłam, kiedy zaczynał o tym mówić.

Kto poza uczniami ostatniej klasy liceum bez ironii zastanawia się nad swoim przeznaczeniem?

— Kochanie, nie wiem, czy istnieje coś takiego jak przeznaczenie, ale jeżeli istnieje, na pewno nie znajdziesz go tutaj. — Wskazałam na butelkę whiskey.

Charlie się uśmiechnął.

— Skąd mogę wiedzieć, póki nie zobaczę dna?

Nie ciągnęłam tego tematu.

— Jeśli zechcesz zostać w firmie, wymyślimy coś, żeby nie było tak źle, a jeżeli zechcesz robić coś innego, wiem, że znajdziesz coś, co ci się spodoba. Masz udane życie, razem mamy udane życie. Mamy siebie i Ellę. Spróbujesz o tym pamiętać?

Wciąż się uśmiechał.

— Zostanę trenerem w liceum, ale tylko pod warunkiem, że zostaniesz główną cheerleaderką i pokażesz mi swoje pompony.

Pochyliłam się i pocałowałam go w policzek.

— Nie liczyłabym na to.

Siedziałam w samochodzie, stojąc w kolejce mam przed szkołą, żeby odebrać Ellę po lekcjach, kiedy nagle jakaś kobieta zapukała w półotwarte okno mojego volvo od strony pasażera. Przykucnęła i spostrzegłam, że to nauczycielka Elli z trzeciej klasy, Ida Turnau.

— Alice, możemy chwilę porozmawiać? — zapytała.

Pani Turnau była drobniutką kobietą mniej więcej w moim wieku, o różowej skórze i bardzo dobrotliwej twarzy. (Rozmawiając z nią, zwracałam się do niej po imieniu, ale zawsze myślałam o niej wyłącznie jako o pani Turnau, tak zresztą wszyscy mówiliśmy o niej w domu). Poznałam ją, ponieważ kilka razy pojechałam w roli dodatkowej opiekunki na klasowe wycieczki: w pizzerii w Menomonee Falls dzieciom pozwolono wejść do kuchni i przygotować własne pizze; w Dawnym Świecie Wisconsin brały udział w udawanym wiecu trzeźwości i mogły obejrzeć pokaz przetwarzania lnu. Obawiam się jednak, że obie te imprezy były dla mnie chyba bardziej interesujące niż dla Elli i jej kolegów z klasy.

— Czuję się trochę niezręcznie — powiedziała pani Turnau. — Ale wczoraj wieczorem oglądałam w wiadomościach o wycofywaniu wołowiny i pomyślałam sobie, że może byłoby lepiej, gdybyśmy nie podawali hamburgerów Blackwell na imprezie z okazji zakończenia roku. Robię to naprawdę niechętnie i jestem

przekonana, że do tego czasu wszystko się wyjaśni, ale wiem też, że rodzice będą się dopytywać.

Impreza dla trzeciej klasy miała się odbyć u nas w domu za dwa tygodnie.

— Och, oczywiście — powiedziałam. Kusiło mnie, żeby przytoczyć słowa Charliego, iż wątpliwe było, aby do zakażenia mięsa doszło z winy Blackwell Meat, ale prawdopodobnie nie miałyby to większego sensu. — Jak najbardziej.

— Chodzi tylko o to, żeby uspokoić rodziców — rzekła pani Turnau. Sznur samochodów przesunął się o jakiś metr. — Nie będę cię dłużej zatrzymywać — dodała. — Miło było cię spotkać, Alice.

Kiedy sobie poszła, zauważyłam, że przede mną stoi volvo Beverly Heit, której syn był o rok wyżej od Elli. (Słyszałam, że nauczyciele z Biddle nazywali rodziców Mafią Volvo, przezwiskiem, do powstania którego ja również się przyczyniałam. Nieraz jednak miałam ochotę krzyknąć: „Jestem jedną z was! Może wyglądam jak oni, ale naprawdę jestem jedną z was!"). Zatrąbiłam lekko i kiedy zobaczyłam, że Beverly patrzy na mnie we wstecznym lusterku, pomachałam. Ona także pomachała, a potem uniosła rękę i postukała^w swój zegarek: „To trwa wieki!”. Kiwnęłam głową: „Wiem!”.

Jako produkt publicznej szkoły i dawna pracownica dwóch z nich, z początku czułam lekki opór przed zapisywaniem Elli do Biddle. Co prawda nie dyskutowałam o tym z Charliem. Biddle, którą zaczynało się od żłobka Montessori i która miała wszystkie poziomy szkół, aż do dwunastej klasy, była placówką, do której albo aktualnie, albo dawniej uczęszczali wszyscy kuzynowie Elli, w której brat Charliego, John, był prezesem rady powierniczej, do której Charlie chodził od drugiej do ósmej klasy i którą Jadey ukończyła w 1967 roku. (Do 1975 roku chłopcy i dziewczęta uczyli się oddzielnie, zajmując dwie przeciwległe strony kampusu, teraz ten podział dotyczył klas młodszych i starszych). Chociaż szkoły publiczne w Maronee były wspaniale dofinansowane i zdecydowanie odstawały od podobnych w centrum Milwaukee, wiadomo było z góry, że Ella pójdzie do Biddle. Mimo to zastanawiałam się, czy uczniowie są snobami, a nauczyciele nadmiernie z siebie zadowoleni. Okazało się jednak, że pokochałam budynek z białego drewna z kolumnadą od frontu, w którym mieściły się niższe klasy, razem ze wszystkimi tradycjami szkoły — w trzeciej klasie każdy uczeń korespondował z jakimś dzieckiem z Japonii (koleżanka Elli nazywała się Kioko Akatsu), a w czwartej wszyscy bez wyjątku, także chłopcy, haftowali krzyżykami zakładkę do książki — i lekko hippy— sowskimi skłonnościami: wśród piosenek, których Ella uczyła się na lekcjach muzyki i które śpiewała, wracając do domu, było *If I Had a Hammer*, *One Tin Soldier* i *Imagine*. Widziałam, jak brak konieczności trzymania się programu nauczania narzuconego przez państwo pozwalał nauczycielom na większą kreatywność i wprost nie mogłam się doczekać, kiedy Ella

będzie w czwartej klasie i w ramach zajęć o kolonialnej Ameryce wszystkie dzieci będą się przebierać, chłopcy w trójgraniaste kapelusze, żaboty i pumpy, dziewczynki w sukienki z fartuszkami i czepki, by następnie przygotować ucztę złożoną z gotowanej kukurydzy, cydru i dziczyzny upolowanej przez jednego z ojców.

Minęło kolejnych pięć minut, zanim mój samochód dotarł do wyjścia ze szkoły i w tej samej sekundzie Ella wfrnęła na przednie siedzenie, z fioletowym plecakiem przewieszonym przez jedno ramię i luźnym plikiem papierów w ręce — rzuciła nimi we mnie, po czym zatrzasnęła drzwi.

— Musisz podpisać pozwolenie na korzystanie ze ślizgawki Slip'n Slide, mimo że impreza ma być u nas w domu — powiedziała.

— Muszę? — powtórzyłam.

Obróciła się ku mnie i uśmiechnęła — bez wątpienia Ella miała najpiękniejszy uśmiech ze wszystkich znanych mi ludzi, pełen życia, szelmostwa i czułości.

— To znaczy, czy mogłabyś, bardzo proszę, pięknie proszę, moja piękna matko? — poprawiła się. — Przywiozłaś mi grahamowe krakersy? — zapytała.

I tak sama już znalazła opakowanie między przednimi siedzeniami, otworzyła je i zaczęła chrupać, rozsiewając okruszki po swojej bluzce. „Matka” było dla Elli nowym, ironicznym określeniem, choć jako dziewięciolatka nie miała najmniejszego pojęcia, na czym polega ironia. Zwyczaj zwracania się do mnie „Matko”, zamiast jak dotąd „Mamusiu” przejęła od swojej koleżanki Christie, która miała światowe i zuchwałe starsze siostry. Chociaż nie miałam na tym punkcie bzika, wolałam, kiedy Ella zwracała się do mnie i Charliego po imieniu, jak to robiła w wieku czterech lat, i naśladowała sposób, w jaki my mówiliśmy do siebie nawzajem.

— Mogę zmienić stację? — spytała i nie czekając na moją odpowiedź, nachyliła się i przestawiła radio ze stacji NPR na 101.8 FM. W tej samej chwili wewnątrz auta wypełnił utwór Bon Jovi *You Give Love a Bad Name*. Ella śpiewała na cały głos z chórkim: *Shot through the heart/And you're to blame...*

Och, moja córeczka, moje hałaśliwe, szczęśliwe, uparte, niepohamowane jedyne dziecko — uwielbiałam ją. Nie spodziewałam się, że macierzyństwo okaże się aż tak przyjemne i zajmujące. Pracując jako szkolna bibliotekarka, przekonałam się, że dzieci są zabawne, czasem wręcz do przesady, ale jest zdecydowanie inaczej, o wiele bardziej zabawnie, kiedy takie zabawne dziecko jest moją córką, z którą mogę regularnie spędzać wiele godzin dziennie, znać każdą jej minę i tembr głosu, każdą zachciankę, zmartwienie, każdą radość. W tej chwili Ella

miała obsesję na punkcie nalepek, gry w klasy i lakieru do paznokci (ciocia Jadey miała ich znacznie więcej ode mnie), ciasteczek Nutter Butter, gry w karty Uno, najbardziej na świecie pragnęła mieć pekińczyka, co było wykluczone, ponieważ miała alergię na psy, i ponad wszystko chciała zobaczyć film *Dirty Dancing*, ale powiedziałam, że zgodzę się na to dopiero, kiedy pójdzie do siódmej klasy, jako że film został uznany za nadający się dla widzów powyżej 17 lat.

Nierzadko zaskakiwało mnie, jak bystra jest Ella, o ile lepiej zorientowana w popkulturze ode mnie, kiedy byłam w jej wieku: na Boże Narodzenie zażądała kasety z ćwiczeniami Jane Fondy (nie dostała jej, ponieważ nie chciałam, żeby zbyt skupiała się na swojej wadze — poza tym i tak trenowała już piłkę nożną, squash i softball); namówiła mnie, żebym „pogofrowała” sobie włosy, bo w ten sposób „podrasuję” swój wygląd; a w zeszłym tygodniu przy kolacji zapytała, czy można zarazić się AIDS, siadając na desce klozetowej.

— Nie, pod warunkiem że nie korzystasz z toalety w domu Billyego Torksa — odparł Charlie.

Chodziło mu o dekoratora wnętrz i przyjaciela Jadey, którego Charlie spotkał zaledwie kilka razy.

— Nie można — zwróciłam się do Elli, jednocześnie rzucając Charliemu wymowne spojrzenie. — Ale i tak powinnaś osłaniać deskę klozetową papierem toaletowym, żeby nie złapać innych zarazków.

W samochodzie Ella i Bon Jovi śpiewali dalej pełnymi głosami. 3

— Żuczku, ścisz to trochę — poprosiłam.

Pochyliła się, a jej długie brązowe włosy opadły w przód. Oczywiście moja córka miała długie włosy, sięgające połowy pleców — myliłam się, wierząc, że w tej kwestii zdołam narzucić jej rodzicielską wolę — jeszcze jako mała dziewczynka protestowała gwałtownie, kiedy obcinałam je więcej niż o kilka centymetrów. Nie chcę nawet pamiętać, ile godzin spędziłam na rozplątywaniu kołtunów (raz nawet musiałam usunąć gumę do żucia o smaku winogron). Wiedziałam, że jest śliczna: miała moje niebieskie oczy i lekko zadarty nos pokryty złocistymi piegami. Cieszyło mnie, że przynajmniej na razie nie jest świadoma swojej urody. Protestując przeciwko ścinaniu włosów, bardziej demonstrowała swoją wolną wolę, niż kierowała się próżnością.

Wiedziałam, że Ella jest trochę rozpuszczona, może nawet bardziej niż trochę. Myślę, że nie potrafiłam się jej sprzeciwić, po części dlatego, że po swoim ojcu odziedziczyła przypochlebną naturę, ale też dlatego, że nie mieliśmy więcej dzieci; po niej już nigdy nie udało mi się zająć w ciąży. Zastanawialiśmy się nad lekarami wspomagającymi płodność czy zapłodnieniem in vitro — to były

dopiero początki tej metody — ale ja byłam nieufna. Doszłam do wniosku, że być może nie bez powodu moje ciało broniło się przed ciążą, wobec czego nie powinnam działać na siłę. Powiedziałam o tym Charliemu, chociaż nie zdradziłam się ze swoim wewnętrznym przekonaniem, że chciwością byłoby uparte staranie się o drugie dziecko, domaganiem się czegoś, na co już nie zasługiwałam. Dostrzegałam swoistą słodko— gorzką symetrię w tym, że miałam jedną aborcję i urodziłam jedno dziecko; staranie się za wszelką cenę o następne byłoby może kuszeniem losu. Jestem pewna, że Charlie czuł się zawiedziony — dla niego jedno dziecko w rodzinie było odchyleniem — ale poza kilkoma rozmowami nie naciskał, a Ellę uwielbiał równie mocno jak ja.

Skręciłam w lewo, żeby wyjechać z parkingu, wciąż podążając za Bever— ly Heit; Heitowie mieszkali jakieś trzy kilometry za nami i prawdopodobnie będą jechała za nią do samego domu.

— Żuczku, jak było w szkole? — zapytałam.

— Pani Turnau odesłała Megan do dyrektorki, bo Megan wciąż wszystkich pytała, czy nie chcą kanapki z kupą.

— Czego?

— Kanapki z kupą. Och, uwielbiam tę piosenkę!

W radiu puścili właśnie *So Emotional* — kilka miesięcy wcześniej Ella kupiła nową kasetę Whitney Houston, pierwszą muzykę, za którą zapłaciła własnymi pieniędzmi — i nachyliła się, żeby zrobić głośniej. Wyciągnęłam rękę i w ogóle wyłączyłam radio.

— Mamusiu!

— Ello, musisz uszanować, kiedy ktoś do ciebie mówi. — Zerknęłam na nią. — Na litość boską, co to jest kanapka z kupą?

Ella wzruszyła ramionami. Megan Thayer była córką Joego i Carolyn, kolejnej rodziny z Halcyon. Dowiedziałam się od Jadey, że Carolyn niedawno wystąpiła o rozwód; plotka głosiła, że odziedziczyła jakieś rodzinne pieniądze i uznała się za na tyle wolną, by skończyć swoje małżeństwo. Razem z Charliem nie przyjaźniliśmy się jakoś szczególnie z Carolyn czy Joem, ale spotykaliśmy w Milwaukee wiele ludzi z Halcyon, ponieważ tak jak my należeli do Maronee Country Club, ja wraz z żonami działałam w Klubie Ogrodniczym i Lidze Juniorów, a nasze dzieci chodziły do tej samej szkoły. Dzięki temu wraz z Charliem regularnie dzieliliśmy jeden koc z Carolyn i Joem na meczach piłki nożnej Elli i Megan, a także gawędziliśmy z nimi na różnych imprezach. Odniosłam wrażenie, że na wieść o ich rozwodzie większość ludzi była zaszokowana, ja przeciwnie. Joe

był łagodnym, odrobinę nudnym mężczyzną, chociaż niejedna pani w Maronee uważała go za całkiem przystojnego w klasycznym znaczeniu tego słowa: był wysoki i szczupły, z długim dystygowanym nosem i gęstą czupryną siwych włosów układających się nad czołem w fale. Tymczasem Carolyn była skomplikowaną, wyglądającą na niezbyt szczęśliwą, kobietą. Krążyła o niej znana anegdota, jak to kiedyś podczas wydawanej przez nią kolacji wniosła główne danie, *cassoulet* z kaczki, i jeden z gości zauważył żartobliwie: „No nie, znowu to samo”, a ona cisnęła naczynie na podłogę i pędem wybiegła z domu.

— Mogę z powrotem włączyć muzykę? — zapytała Ella. i ,

— Jeszcze nie. Czy inne dzieci dokuczają Megan?

— Jeżeli chcesz to wiedzieć, poznasz odpowiedź dopiero, kiedy włączę radio.

— Bądź dla niej miła — powiedziałam. — Kiedy na przerwie bawisz się z Christine, sprawdźcie, czy nie chce się do was przyłączyć.

Choć Ella i Megan znały się dobrze — w trzeciej klasie było tylko czterdzieścioro czworo dzieci, poza tym obie dziewczynki spędzały większość lata w sąsiadujących ze sobą domach — nigdy tak naprawdę się nie zaprzyjaźniły. Megan, wysoka, ciemnowłosa dziewczynka o szerokich ramionach, wytrawna sportsmenka, miała w sobie jakąś dziwną czujność, niecierpliwość odpychającą zarówno dla dorosłych, jak i dzieci. Latem ubiegłego roku w Halcyon zapytała mnie, czy Ella będzie za rok latem urządzić przyjęcie urodzinowe, a jeśli tak, to czy ona również będzie na nie zaproszona.

— Ale jeżeli Margaret zaproponuje ci kanapkę z kupą, odmów jej — powiedziałam do Elli.

— Matko, już to zrobiłam — odpowiedziała Ella z przesadnym znużeniem.

— Och — rzekłam. — To dobrze. Ale i tak bądź dla niej miła. Masz takie dobre serduszko, żuczku.

— Czy mogę włączyć radio?

Od domu dzieliły nas już trzy kilometry.

— Byle nie za głośno.

Mimo trwającego dochodzenia prowadzonego przez Departament Rolnictwa wciąż nie było wiadomo, w jaki sposób w Indianapolis znalazło się zakażone mięso. Tego wieczoru Charlie wrócił do domu o rozsądnej porze i rozpalił grill, nie wiem, czy z przyzwyczajenia czy też w akcie sprzeciwu. (Nadal upierał się przy grillu na węgiel drzewny, twierdząc, że mięso ma lepszy aromat). Ja miałam

w planie szybki spacer z Jadey, zadzwoniłam więc do niej i umówiliśmy się w połowie drogi między naszymi domami. Skrzyliśmy na teren pola golfowego, na ścieżkę dla wózków. W weekendy była to ryzykowna trasa — jakieś pięć miesięcy temu przy siódmym dołku piłeczka uderzyła Lily Jones w ramię — ale ja uwielbiałam zieloną trawę, sosnowe zagajniki, wiosenne niebo o zmierzchu. Jeżeli nie brać pod uwagę piłeczek golfowych, wszystko to działało niesamowicie kojąco.

Jadey miała na sobie białe spodnie od dresu, czerwony podkoszulek i białą opaskę podtrzymującą jej blond włosy, obie nosiliśmy teraz krótsze fryzury, sięgające mniej więcej do brody, ale jej włosy były mocniej wycieniowane od moich.

— No, więc wymyśliłam, jak odkuję się na Arthurze — powiedziała Jadey, kiedy przechodziłyśmy obok stawu z kaczkami. — Najpierw schudnę, potem fundnę sobie romans. Przejdiesz ze mną na dietę?

— Mam nadzieję, że żartujesz.

Uniosła lewe ramię i uszczypnęła się w fałd skóry pod bicipsem.

— Arthur ma rację. To znaczy kto by chciał cudzołożyć z czymś t a k i m ?

Kilka tygodni wcześniej Arthur podobno, według słów Jadey, oznajmił

jej, że powinna schudnąć; ona w odwecie nie uprawiała z nim od tego czasu seksu. Co prawda trzymałam jej stronę, ale miałam przeczucie, że jej opowieść nie jest kompletna. Arthur potrafił być niezbyt delikatny, ale nie był okrutny. Jakos nie mogłam sobie wyobrazić, żeby powiedział to tak bezpośrednio, jak twierdziła Jadey; zastanawiałam się nawet, czy przypadkiem nie odpowiadał na zadane przez nią pytanie. Prawdą jest, że Jadey przytyła jakieś piętnaście kilogramów od czasu, kiedy ją poznałam, ale wciąż była śliczna. Jej kształty nabrały miękkości, stała się mniej dziewczęca, ale przecież n i e była już dziewczyną, miała trzydzieści osiem lat, a cóż złego w tym, że wygląda się na swój wiek? Ja przez ostatnią dekadę przytyłam jakieś pięć kilogramów i głównie była to waga, której nie zdołałam zrzucić po urodzeniu Elli, czego nie uważałam jednak za zbyt wysoką cenę.

— Czy pozwolisz, że zapytam, z kim to planujesz mieć romans? — odezwałam się.

— Powiedzmy, że wszystkie podania zostaną wnikliwie rozpatrzone.

— To okropny pomysł, Jadey.

— Och, dajże spokój. Nie baw się w policję moralności.

— Cóż, moralnie to okropny pomysł, ale ja myślałam logistycznie. Wyobrażasz sobie rozwód, podział opieki nad dziećmi, przez co nie będziesz mogła z nimi być przez cały czas? — Żaden z braci Charliego nie posłał swoich dzieci do szkoły z internatem, co mnie niezmiernie cieszyło; walczyłabym jak lwica, gdyby ktoś wpadł na pomysł posłania do takiej szkoły Elli. — Albo wyobraź sobie coś takiego — dodałam. — Arthur żeni się ponownie.

Jadey potrząsnęła głową.

— Myślę, że prędzej poderżnęłabym mu gardło. Chociaż z drugiej strony fajnie byłoby się dowiedzieć, kogo by wybrał. Zawsze uważałam, że ma słabość do Marilyn Granville. ,

— Jest mężatką.

— Ja też.

— Jesteś znacznie ładniejsza od Marilyn — powiedziałam.

— Jestem, prawda? — Jadey uśmiechnęła się do mnie z udawaną zalotnością, zaraz jednak zmarszczyła brwi. — Gorzej, że Arthur tak nie uważa.

— Wie, jaką ci zrobił przykrość?

— Prawie od miesiąca nie odwiedził gościnnego pokładu na S.S. „Jadey”, więc chyba już się domyślił.

— Proponował seks, a ty odmówiłaś?

— Czy proponował? — powiedziała Jadey. — A czy papież jest katolikiem?

— I powiedziałaś: nie?

— Szesnastoletnie dziewczęta mówią nie. Ja odnoszę się niechętnie.

— Jadey, martwię się. Seks jest ważny w małżeństwie.

— Nawet mi go nie brakuje. Stał się tak przewidywalny, że jeszcze dobrze nie zaczęliśmy, a mnie się wydawało, że już to zrobiliśmy, musiałam się szczyścić, żeby nie usnąć. Niedawno uświadomiłam sobie, że przez niemal połowę swojego życia jestem żoną Arthura. Nie do wiary. Dlaczego nikt mi nie powiedział, że dwadzieścia jeden lat to za wcześnie, żeby poświęcić się jednemu człowiekowi?

— Mój doktor mówi, że powinno się uprawiać seks dwa razy w tygodniu.

— I ty go słuchasz?

— Cóż... — Ogólnie rzecz biorąc, nie umiałam rozmawiać na te tematy w tak bezpośredni sposób jak Jadey; dla mnie były one zbyt osobiste. Nikomu nie zwierzałam się bardziej, ale wiedziałam też, że jedr>" z największych zalet, ale też największych wad Jadey było jej gadulstwo. Wiele lat temu na Boże Narodzenie Charlie podarował jej poduszkę, którą osobiście wyszukał i z czego był bardzo dumny. Podobno była wzorowana na poduszce należącej do Alice Roosevelt Longworth. Na białym tle widniał zielony napis: JEŻELI NIE MASZ NIC MIŁEGO DO POWIEDZENIA, USIĄDŹ PRZY MNIE.

Jednak nasza rozmowa z Jadey zaszła już tak daleko, że uznałam, iż byłoby nie fair, gdybym nagle zaczęła udawać wstydliwą.

— Próbuję robić to raz w tygodniu — powiedziałam.

— I sprawia ci przyjemność?

— Czasami przed nie czuję się w nastroju, ale po wszystkim jestem zadowolona. Uważam, że to nas do siebie zbliża.

— I zawsze, no wiesz, sięgasz po najwyższą nagrodę?

— Przeważnie — odparłam. — Ale zdarza się, że jestem zbyt zmęczona.

— Ja tylko wtedy, kiedy dzieci nie ma w domu.

— Nic dziwnego, że to dla ciebie żadna przyjemność. Może powinnaś kupić sobie jakieś książki albo filmy, czy coś w tym stylu.

— Chodzi ci o pornografię? Czyżby Alice Blackwell polecała mi pornografię? — Przybrała oburzony ton. — Jak długo żyję...

— Jadey, daj spokój. — Szturchnęłam ją.

Jakieś dwadzieścia metrów od nas znajdował się wózek golfowy z dwoma panami, zmierzający w naszym kierunku. Szanse, że ich znamy, wynosiły 90 procent — w końcu to był Maronee Country Club.

— Ty z niej nie korzystasz, prawda? — Przynajmniej trochę ściszyła głos.

— Charlie od czasu do czasu przegląda takie czasopisma.

— Przeszkadza ci to?

Wzruszyłam ramionami.

— Mężczyźni bardziej od kobiet są wzrokowcami.

— A bierze sprawy w swoje ręce, nazwijmy to tak?

— Tak sędzę.

— Tak sądzisz? No dobrze, a gdzie jest on, kiedy to ogląda, a gdzie ty?

— Czasem, kiedy nie może spać, wychodzi do łazienki.

Natychmiast poczułam, że wkroczyliśmy na terytorium, które Jadey w ogóle nie powinno interesować, ponadto nie widziałam nic złego w byciu żoną człowieka, który od czasu do czasu ogląda sobie pornografię czy się masturbuje. I owszem, Charlie na pewno się masturbował, oglądając „Pent— house” — nie prenumerował go, ale kupował mniej więcej co pięć miesięcy i chociaż nigdy tak naprawdę o tym nie rozmawialiśmy, Charlie też nie starał się ukrywać przede mną czasopisma. Byłabym przerażona, gdyby zostawiał je w salonie albo gdyby Ella znalazła któryś numer, ale ponieważ zachowywał dyskrecję — trzymał je w zamykanej dolnej szufladzie w swoim stoliku nocnym — nie przeszkadzało mi to.

Ponieważ zawsze dużo czytałam, odnosiłam wrażenie, że dzięki temu wiele spraw nie szokowało mnie tak bardzo jak innych. Wiedziałam znacznie więcej

— o seksie, owszem, ale także o tajfunach, ludowych tańcach czy zoroastrani—zmie. Czytałam jedną książkę na tydzień czy dwa, poza tym prenumerowałam „Time”, „The Economist”, „The New Yorker” i „House and Garden” i kiedy jakiś artykuł zainteresował mnie szczególnie, starałam się znaleźć więcej informacji na poruszany w nim temat w bibliotece publicznej Maronee.

— Nie czujesz, że jego oglądanie się za innymi kobietami obraża cię? — mówiła dalej Jadey.

— Po prostu wychodzę z założenia, że większość mężczyzn zwraca uwagę na kobiety, tak jak większość kobiet zwraca uwagę na mężczyzn. T y na pewno.

Roześmiała się.

— I w tym właśnie problem: nie umiem sobie wyobrazić, że mogłabym z którymś z nich mieć romans.

W tym momencie obok nas przejechał wózek golfowy.

— Ahoj, panie Blackwell! — zawołał do nas jeden z jadących nim mężczyzn.

Rozpoznałam w nim Sterlinga Walsh, właściciela agencji sprzedaży nieruchomości, a w jego towarzyszcu Boba Perkinsa, dobrego kolegę brata Charliego, Eda.

Jadey obróciła się ku mnie i skinęła znacząco w stronę oddalającego się wózka.

— Zdecydowanie nie — powiedziałam — Arthur jest znacznie przystojniejszy od obydwu.

— Czy przynajmniej wesprzesz mnie w odchudzaniu? Sama nigdy nie daję rady wytrwać przy jakiejś diecie.

— Niepotrzebna ci żadna dieta. Po prostu jedz rozsądnie, poza tym będziemy częściej chodzić na spacer. W Halcyon też powinniśmy.

Obie nasze rodziny wybierały się do Halcyon na cały lipiec i część sierpnia; Charlie i Arthur mieli co jakiś czas wracać do Milwaukee.

— Słyszałaś o tej diecie, w której do każdego posiłku trzeba zjeść pół grapefruta?

— Och, Jadey, dziewczyny z mojego stowarzyszenia próbowały ją stosować, ale w trzecim dniu na widok grapefruta robiło im się niedobrze.

W tym momencie poczułam, jak bardzo lubię Jadey. Co prawda dorastała w warunkach takich samych jak Arthur i Charlie — jej ojciec zarobił fortunę na dostawach cementu, a ona wychowywała się w domu tak ogromnym jak dom Harolda i Priscilli — ale i tak czułam, że jako synowe Blackwellów byliśmy niczym ekspatriantki, które spotkały się w obcym kraju.

— Chcę cię o coś zapytać — odezwałam się. — Nie przyszło ci nigdy do głowy, że Charlie za dużo pije?

Jadey zmarszczyła brwi.

— Chłopcy Blackwellów bez wątpienia potrafią się zabawić. Ed nie, ale my i chłopcy na pewno. Ale nie. Czy jest coś, co Chas zrobiłby po pijanemu, a na trzeźwo nigdy? To samo dotyczy Arthura.

— Nie, to prawda. — Z ulgą przyjąłem jej słowa. Były niemal identyczne z tymi, których sama używałam, kiedy spierałam się sama ze sobą. — Ile Arthur pije w normalny wieczór? Na przykład przy kolacji?

— Kilka piw. Do licha, ja też wypijam kilka piw. Cholera, nawet Drew pije piwo. Jestem okropną matką, prawda? — Rozes' miała się. — Nic dziwnego, że wszyscy mają ludzi z Wisconsin za moczymordy.

— To znaczy, Arthur wypija ile? Trzy piwa? Więcej?

— Alice, przestańmy się zwodzić. He Charlie pije?

— Cóż, ostatnio głównie whiskey — zaczęłam ostrożnie. — Według mnie jedną trzecią butelki, może trochę mniej. Trudno powiedzieć, bo kupuje skrzynki hurtowo.

— Jedną trzecią butelki co wieczór?

— Chyba tak.

— I zachowuje się jak pijany?

— W zeszłym tygodniu walnął głową w futrynę, kiedy wchodził do kuchni, jakby źle ocenił szerokość drzwi. Bardziej mnie jednak martwi jego zły nastrój. Nie zachowuje się podle, jest po prostu zniechęcony. Tylko proszę cię, nie powtarzaj tego Arthurowi.

— Na przykład wtedy, jak oddajemy się słodkiej miłości?

— Charlie przestał grywać rano w squasha, nigdy nie odwozi Elli do szkoły — powiedziałam. — Nie wiem, czy dlatego, że ma kaca, czy też... Sama już nie wiem.

— Pytałaś go o to?

— Mówię mu, żeby się tak nie przejmował, ale on nie słucha. •

— Cóż, przyjrzę mu się, kiedy w weekend będziemy u Maj i Pif— paf. — Jadey się skrzywiła. — Chociaż to nie są normalne okoliczności, zważywszy na tę aferę w Indianapolis. Jeśli to ci w czymś pomoże, wczoraj wieczorem Arthur wrócił do domu w wyjątkowo podłym humorze.

— W tej chwili właśnie Charlie smaży steki na kolację — powiedziałam. — Jadłabyś teraz mięso Blackwellów?

Kiwnęła głową.

— To nie może być wina Blackwellów. Mnóstwo ludzi już by się pochorowało, a uwierz mi, ludzie z firmy kontaktują się z każdą izbą przyjęć w regionie. A ci biedacy ze sportowego bankietu? — Obie umilkłyśmy, otoczone gładkimi trawnikami pola golfowego, czując, jak wieczorna bryza niesie ze sobą zapach świeżej ziemi. — Na tym właśnie polega problem, kiedy wżeniło się w tę rodzinę — powiedziała Jadey. — Musimy wiedzieć, jak robi się kielbaski.

Przy kolacji zdołałam zjeść stek, chociaż nie mogę powiedzieć, żeby mi smakował. Nie pytając Charliego o zdanie, Elli zrobiłam kanapkę z masłem orzechowym — lękałabym się o wiele bardziej, gdyby i ona jadła mięso Blackwellów— a Charlie albo nie zauważył, albo postanowił nic nie powiedzieć. Po kolacji Ella wykąpała się, a ja umyłam jej włosy, o co z pewnością niedługo przestanie mnie prosić, a co z kolei mnie smuciło. Potem obie położyłyśmy się u niej w łóżku i przeczytałam jej na głos fragment z *Łabędziej trąbki*—, dla mnie były to najmiłsze chwile w ciągu dnia. Zanim zgasłam światło, Ella zawołała Charliego.

— Tatusiu! Tatusiu, pora *mnie utulić do snu!* — wrzasnęła.

Charlie zawsze natychmiast przychodził i przez pół godziny raczej ją rozbudzał, niż usypiał, łaskocząc ją, tańcząc, wydając tak niesamowite odgłosy i robiąc najcudaczniejsze miny, że krzyczała i skakała po łóżku, dzisiaj jednak był tak przygaszony, że po jego wyjściu szepnęła do mnie:

— Czy tatuś jest na mnie zły?

Przesunęłam dłonią po jej jedwabistych włosach rozrzuconych po poduszce. Ella miała idiotycznie dziewczynski pokój, cały w różu i bieli (pozwoliliśmy, aby urządziła go wedle własnego uznania), z podwójnym łóżkiem, które w przypadku trzecioklasistki mogło wydawać się przesadą, ale było to łóżko, w którym spałam, zanim poślubiłam Charliego.

— Tatuś nie jest zły — powiedziałam.

Wtedy zadzwonił telefon i usłyszałam, że Charlie odebrał.

— Mogę w ten weekend wypożyczyć *Dirty Dancing*. — poprosiła Ella.

— Możesz dopiero, kiedy będziesz w siódmej klasie.

; — Mamusiu, ten film wcale nie jest taki, jak myślisz, chociaż ma taki tytuł.

Pochyliłam się i pocałowałam ją w czoło.

— Pora spać, kochanie.

Weszłam do gabinetu i zdumiałam się na widok Hanka Uckera siedzącego w fotelu i wraz z Charliem oglądającego mecz w telewizji. Nie wstając, Hank ukłonił mi się.

— Emanuje z ciebie blask macierzyństwa, Alice — powiedział. — Twój widok przywołuje na myśl renesansową Madonnę.

— Według mnie wygląda raczej jak ta dziwkowata piosenkarka Madonna — powiedział Charlie i się uśmiechnął. — Chodź tutaj, kochanie.

Kiedy stanęłam obok niego, czule poklepał mnie po pośladkach.

— Hank, nie miałem pojęcia, że zrobisz nam dzisiaj taką przyjemność i wpadniesz — odezwałam się. — Mogę zaproponować ci coś do picia?

Dochodziła prawie dziewiąta i zastanawiałam się, jak długo zamierza zostać. O ile mi było wiadomo, Hank mieszkał w Madison. Chociaż nie widziałam go od kilku lat, słyszałam, że porzucił stanowisko szefa personelu przywódcy mniej-

szości w senacie stanu Wisconsin, by pomóc republikaninowi z Pond du Lac w kampanii o miejsce w amerykańskim Senacie, człowiekowi, który początkowo zdawał się nie mieć szans, ostatnio jednak wyszedł na prowadzenie w kilku sondażach.

— Chętnie napiję się wody z lodem — powiedział Hank.

Charlie, który popijał whiskey, zachichotał.

— Wciąż żyjesz na wysokich obrotach — stwierdził.

— Jak zwykle — odparł Hank i uśmiechnął się swoim zwykłym leniwym, niebudzącym zaufania uśmiechem.

Wyszłam do kuchni, nalałam do szklanki wody, a kiedy wróciłam do gabinetu, obaj panowie rozmawiali o Sharon Olson, rywalce kandydata Hanka.

— Szkoda, że wyszło na jaw jej upodobanie do mężczyzn o murzyńskich skłonnościach — mówił Charlie z uśmiechem.

Wzrost notowań kandydata Hanka bez wątpienia wiązał się z najnowszą rewelacją — dla mnie nie było w tym żadnej rewelacji, ale tego właśnie słowa używali dziennikarze — że Olson, biała demokratka, pod koniec lat sześćdziesiątych przez krótki czas pozostawała w bezdzietnym małżeństwie z czarnoskórym mężczyzną. Teraz była żoną białego prawnika, z którym miała dwóch nastoletnich synów i córkę, i nie potrafiła pojąć, jak jej wcześniejsze małżeństwo mogło mieć wpływ na cokolwiek (jej pierwszy mąż dawno temu przeprowadził się do Seattle, gdzie również pracował jako prawnik). Pojawiło się jednak kilka spotów, w których pokazywano ją trzymającą się za ręce z panem młodym w czasie ich ślubu, czemu towarzyszyła złowroga muzyka, a na końcu na czarnym tle ukazywały się krwistoczerwone litery układające się w napis: JEŻELI SHARON OLSON KŁAMAŁA W TEJ SPRAWIE... TO W CZYM JESZCZE NAS OKŁAMUJE?

— Rzeczywiście przykre — uśmiechnął się złośliwie Hank. — Biedactwo.

Podałam mu szklankę z wodą.

— Wybaczcie mi, ale chciałam trochę poczytać — powiedziałam. — Miło cię widzieć, Hank.

Jakąś godzinę później usłyszałam odgłos otwieranych i po chwili zamykanych drzwi, po czym rozległ się warkot silnika. Wstałam i zeszłam na dół.

— Myślisz o ubieganiu się o urząd?

— Rany Julek, kobieto, uspokój się.

Charliemu odrobinę plątał się język i zauważyłam, że butelka whiskey jest pusta, chociaż nie pamiętałam, na ile była pełna, kiedy wychodziłam.

— Zważywszy na to, że jest już prawie czerwiec, w jakim wyścigu możesz realnie startować?

— Poważnie — rzekł Charlie. — Uspokój się.

— Wiesz, że nigdy nie ufałam Hankowi.

— A każdy, kto ubiega się o jakiś urząd, to nadęty'krętacz, prawda, kochanie?

— Wkładasz mi w usta nie moje słowa, a ' Łypnął na mnie pożądliwie.

— Chętnie włożyłbym w nie zupełnie coś innego.

— Nie możesz mi uczciwie powiedzieć, po co Hank tu dzisiaj przyszedł?

Patrzyliśmy na siebie, on siedząc na kanapie, ja stojąc kilka kroków od niego.

— Zanim Hank przyszedł, zadzwonił Arthur — powiedział Charlie. — Jak się okazuje, miałem rację, że nie my odpowiadamy za zatrucie. Problemem okazał się nie sklep, w którym organizatorzy bankietu kupili mięso, tylko lodówka w piwnicy, w której mamusia jednego ze sportowców je przechowywała. Zdaje się szczur przegryzł kabel. — Charlie podniósł swoją szklankę. — Smacznego.

— Biedna kobieta — rzekłam. — Okropnie musi się czuć.

— Po prostu cieszę się, że wycofaliśmy sześćset tysięcy kilogramów mięsa. Dobrą stroną jest to, że środkowozachodniemu regionowi nie grozi dzisiaj dopust boży w postaci mięsa Blackwellów.

— Zrobiliście, co trzeba.

Machnął ręką w stronę telewizora.

— Przegapiłaś Johna w wiadomościach na Kanale Dwunastym. Powiedział: „Nasze mięso nie jest oszustwem”. — Odchylił się, chichocząc z własnego dowcipu.

— Cieszę się, że wszystko się wyjaśniło. — Usiadłam i ze stolika wzięłam najnowsze wydanie „The New Yorkera”. — Wiedziałaś, że Yvonne Sutton urodziła dziecko?

— Kto to jest Yvonne Sutton?

— Córka panny Ruby.

Charlie zdziwiony pokręcił głową.

— Nie można powiedzieć, żeby ci ludzie cierpieli na bezpłodność.

— Charlie, Yvonne ma dwójkę dzieci. Raczej nie przyczynia się do przeludnienia.

— Zakładam, że ojcem nie jest tatuś Jessiki?

— To jej mąż, który też pracuje w St. Marys. — Zamknęłam czasopismo; zresztą i tak go nie czytałam. — Zaprosiłam ich na lunch w Memorial Day.

— Czy to egalitaryzm z twojej strony? Może pokażą naszej córce, jak się robi dredy.

Jakiś czas temu, na swoje piąte urodziny Ella zażądała lalki Barbie. Kupiliśmy jej Wymarzoną Barbie, która miała własnego miniaturowego misia w kolorze brzoskwiowym, kiedy jednak Ella rozwinęła prezent, wybuchła płaczem. Chciała inną Barbie, „jak Jessiki”, powtarzała w kółko, aż wreszcie okazało się, że chodzi o czarną Barbie. W końcu wymieniłam Wymarzoną Barbie na Barbie Day— to— Night, z różowym kostiumem i różową sukienką o błyszczącej górze i przezroczystej spódniczce, która miała ciemnobrązową skórę i czarne włosy. Byłam niemal dumna z Elli i myślę, że Charlie był rozbawiony, choć jego komentarz brzmiał:

— Pokaż to Maj, a obie zostaniecie ekskomunikowane.

Ironia polegała na tym, że chociaż Charlie nieustannie wytykał matce jej rasizm, sam o wiele częściej od niej wygłaszał obraźliwe uwagi. Zapewne sądził, że robiąc to z przymrużeniem oka, staje się mniej winny, i chociaż nie zgadzałam się z nim, a zwłaszcza nie lubiłam, kiedy robił tak w obecności Elli, już dawno zrezygnowałam z prób nawrócenia go.

— W przyszłym roku Jessica idzie do gimnazjum do Stevens — powiedziałam. — Bardzo mnie to martwi.

— Na pewno sobie poradzi.

— Wydaje się, że jest świetną uczennicą i bierze udział w wielu pozalekcyjnych zajęciach.

— Spotkałaś ją niedawno?

— Wczoraj widziałam się z panną Ruby. Kiedy cię szukałam, poszłam do domu twoich rodziców. — Nie uważałam za konieczne mówić mu, że panna Ruby poszła ze mną do teatru. — Założę się, że Jessica rozkwitłaby w takiej szkole jak Biddle.

— Wygląda na to, że już rozkwita.

— Wiesz w ogóle, co to za szkoła, Stevens?

Charlie się uśmiechnął.

— A jak myślisz, gdzie chodzę, żeby uzupełnić swoje zapasy kraku? — Po chwili dodał: — Nie ubiegam się o żaden urząd, okay? Hank przyszedł, żebyśmy mogli porozmawiać o opcjach na przyszłość, ale masz rację, w tym roku jest już za późno, żeby startować w jakichś wyborach.

— To dobrze — powiedziałam.

Wyciągnął jedną nogę, by móc oprzeć swoją stopę w skarpetce na moim kolanie.

— Naprawdę cię kocham, Lindy, chociaż jesteś ograniczoną liberałką, która ma mnie za przebiegłego republikanina.

Położyłam dłoń na jego stopie.

— Kochanie, gdybym była ograniczona, na pewno nie odwzajemniałabym twojej miłości.

Kiedy w piątek po południu zadzwonił telefon, była pierwsza, a ja szorowałam kafelki w naszej przylegającej do sypialni łazience (nigdy nie zatrudniłam sprzątaczkę, co jak wiem, dziwiło Priscillę i moje szwagierki, ale mnie sprzątanie uspokajało). Idąc do sypialni, zdjęłam jedną gumową żółtą rękawiczkę. Kiedy podniosłam słuchawkę, usłyszałam głos Larsa Enderstraisse.

— Alice, najmocniej przepraszam, że to właśnie ja do ciebie dzwonię...

W tej samej chwili serce we mnie zamarło i nieruchome tkwiło w mojej piersi. Po chwili udało mi się wydobyć z siebie przyduszony skrzek.

— Mama? — wykrztusiłam.

— Nie, nie, nie Dorothy — odpowiedział Lars. — Chodzi o Emilie. Obawiam się, że upadła i doszło do wewnętrznego krwotoku mózgu, więc jesteśmy w Lutheran Hospital.

Był to ten sam szpital, w którym przyszłam na świat i dokąd tamtej koszmarnej nocy, we wrześniu 1963 roku, przewieziono zarówno mnie, jak i Andrew.

— Ale ona nie... — przerwałam. — Ona żyje?

— Jest nieprzytomna, ale wiem, że lekarze bardzo się starają. Twoja mama właśnie z jednym rozmawia. Jesteśmy przed OIOM— em i mamy nadzieję, że pozwolą nam ją zobaczyć...

— Babcia jest na OIOM— ie?

— Zważywszy na jej wiek, wolimy dmuchać na zimne.

— Przyjadę najszybciej, jak się da.

To się stało późnym rankiem, z przyczyn nie do końca wyjaśnionych — babcia szła z jadalni do salonu i nie wiadomo jak, wylądowała na podłodze, nieprzytomna. Teraz lekarze starali się ustalić, czy krwotok w mózgu mojej babci został spowodowany upadkiem, czy też upadek spowodował krwotok. Mama usłyszała głucho pacnięcie, nawet niezbyt głośne, „jak odgłos spadającej poczty”, powiedziała, szybko pobiegła i znalazła babcię leżącą na podłodze. Bezskutecznie próbowała ją ocucić, w końcu wezwała pogotowie.

W szpitalu mama bez przerwy przepraszała, jakby to była jej wina.

— Tak mi przykro, że musiałaś przyjeżdżać w takim pośpiechu — mówiła.

— Mamo, przecież to oczywiste, że przyjechałam.

Po południu Lars poszedł do sklepu po drugiej stronie ulicy i kupił opakowanie jakichś ciastek, których ani mama, ani ja nawet nie tknęłyśmy; on jednak częstował nimi innych ludzi w poczekalni. W kącie stał telewizor, w którym leciały mydlane opery i talk— show, i chociaż nikt go chyba nie oglądał, nikt też nie miał odwagi go wyłączyć. Reklamy, z niezmiernie skocznym wprowadzeniem i wesołymi melodyjkami, były niczym jawna obraza.

Z płatnego telefonu w poczekalni zadzwoniłam do Charliego, potem do Jadey z prośbą, czy nie mogłaby odebrać Elli ze szkoły. Kilka godzin później zadzwoniłam do domu Jadey, żeby porozmawiać z Ellą, wyjaśnić jej, co się stało. Miałam nadzieję, że słysząc mój głos, uspokoi się, zrozumie, że ani mnie, ani jej nic nie grozi, jednak to jej głos wprawił w smutek m n i e; tak bardzo chciałam być z Ellą, przytulę ją, ale musiałam pohamować łzy.

— Czy babunia umrze? — zapytała swoim poważnym, dziewczęcym głosem.

Ella mówiła do mojej babci „babuniu”, tak samo jak ja; moją mamę nazywała babcią, a Larsa (on i mama wzięli cichy ślub w 1981 roku) — papą Larsem.

— Mam nadzieję, że nie, zuczku — odparłam.

Około piątej znowu zadzwoniłam do Charliego, do jego biura.

— Wciąż jeszcze tu jestem i w zasadzie dalej nic nie wiadomo — powiedziałam. — Mógłbyś pojechać po Ellę?

— Myślisz, że jadey mogłaby się nią jeszcze trochę zająć? O wpół do szóstej umówiłem się na mecz squasha ze Stueyem Patricksonem.

Z kąta, w którym znajdował się telefon, obrzuciłam wzrokiem poczekalnię: młody mąż, przysyłający dłońią oczy, na przemian siedział spokojnie albo płakał; małe dziecko bawiące się ciężarówką na dywanie; moja matka czytająca numer „McCalls” sprzed miesiąca, obok niej Lars Enderstrasse jedzący kolejne ciasteczko. (Nigdy nie myślałam o nim „mój ojczym”. Nie dlatego, że go nie lubiłam, prawdę mówiąc, zapalałam do niego szczerą sympatią, podobnie — ku memu zaskoczeniu — moja babcia. Nauczyła go grać w scrabble i okazało się, że ma wyjątkowy talent do trudnych, krótkich słów, co czyniło z niego znacznie bardziej interesującego przeciwnika od mamy. Mimo to nigdy nie myślałam o Larsie jako o moim drugim ojcu; był po prostu mężem mamy, jej towarzyszem).

— Alice? — odezwał się Charlie.

— Wolałabym, żebyś odebrał Ellę już teraz — rzekłam. — Nie chcę, żeby czuła się niepewnie.

— Martwi się?

— Cóż, ja prawdopodobnie zostanę na noc u mamy. Jeszcze nie pozwolili nam zobaczyć babci i nie chciałabym wracać do Milwaukee, kiedy tutaj wszystko wisi na włosku.

— Przecież nie masz szczoteczki do zębów.

— Mogę sobie kupić.

— Gdybyś wróciła do domu, możesz w każdej chwili wskoczyć do samochodu i wrócić do Riley. Ile to zajmuje, trzydzieści pięć minut?

Być może, pod warunkiem że prowadzi Charlie, ale nie ja. Poza tym wiedziałam, że Charlie tak nalega na mój powrót do Milwaukee nie z tęsknoty za mną — choć tak właśnie twierdził — ale przede wszystkim z powodu jego lęku przed ciemnością; mój mąż bał się zostać w domu sam, beze mnie. Zależnie od okoliczności albo mnie to rozczulało, albo irytowało.

— A może zróbmy tak — zaproponowałam. — Zadzwoń do Jadey i poproszę, żebyście mogli z Ellą zostać u niej.

— Pamiętasz tego ich cholernego psa, jak ślinił się i szczekał mi prosto w twarz, kiedy ostatnio u nich byliśmy?

— Charlie, moja babcia jest na intensywnej terapii. Ty możesz zostać w domu, iść na noc do Arthura i Jadey albo przyjechać tutaj. Może zadzwonię za kilka minut, a ty się tymczasem zastanowisz?

Milczał chwilę, potem powiedział:

— Nie, masz rację, masz całkowitą rację. Pojadę teraz po Ellę, a ty zadzwoń, proszę cię, do Jadey. Odwołam mecz ze Stueyem. Jak trzymają się mama i Lars?

— W porządku.

— A ty?

— Ja też — odpowiedziałam, chociaż w tej samej chwili poczułam, jak zalewa mnie fala smutku.

— Wiem, że według ciebie nie chcę być sam w domu — powiedział Charlie.
— To prawda, ale przede wszystkim tęsknię za tobą, Lindy.

— Chcesz przyjechać tu z Ellą?

Wiedziałam, że to nie wchodzi w grę. Podczas pierwszej wizyty w Riley Charlie zdołał ukryć swoje zaskoczenie skromnością domu. W następnych latach nie bawił się już w dyplomację.

— Dzielenie łazienki z Larsem to okrutna kara — mówił na przykład.

Nawet jeżeli spędzaliśmy tam jakieś święta, prawie nigdy nie zostawaliśmy na noc, a Charlie regularnie namawiał moja mamę, babcię i Larsa, by na Boże Narodzenie czy Wielkanoc przyjechali do jego rodziców. Na początku naszego małżeństwa kilka razy ulegli, ale myślę, że nikt nie czuł się dobrze. Jestem niemal pewna, że ani Harold, ani Priscilla nie mieli pojęcia, że Lars pracował na poczcie — w 1980 roku przeszedł na emeryturę — i chociaż nigdy nie starałam się tego ukryć, nie widziałam też sensu, aby mówić im o tym wprost. Jak na ironię małżeństwo z Larsem dało mojej mamie finansowe zabezpieczenie. Od epizodu z Petem Imhofem nigdy nie rozmawiała ze mną o pieniądzach, ale razem z Larsem wybrali się kilka razy w podróż, na przykład do Myrtle Beach czy Albuquerque.

— Szczerze mówiąc, myślę, że będzie lepiej, jeśli pójdziemy do Arthura i Jadey — powiedział Charlie. — Ella i ja tylko przeszkadzalibyśmy twojej mamie. Zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała, i na pewno zadzwoń, zanim pójdziesz spać.

— Jutro Ella ma iść do Christine, więc dopilnuj, żeby była gotowa na dziesiątą. I nie zapomnij, żeby wzięła witaminy po śniadaniu.

— Ale chyba zdążysz wrócić na kolację u Maj i taty, prawda?

Zawahałam się.

— Zobaczymy, jak już będzie tak daleko.

Wyczuwałam, że Charlie powstrzymuje się, żeby nie powiedzieć, jak ważna jest moja obecność, co w zasadzie nie było prawdą. Właściwie chodziło tylko o to, że dla Blackwellów liczyło się, aby do kolacji zasiadali wszyscy w komplecie.

— Charlie, jestem pewna, że twoja rodzina zrozumie — odparłam. — O szóstej wieczorem, pod koniec odwiedzin na oddziale intensywnej terapii, mamę i mnie wpuszczono wreszcie przez podwójne drzwi do sali, gdzie leżała babcia. Ponieważ naraz mogły wejść tylko dwie osoby, Lars został w poczekalni.

Babcia nadal była nieprzytomna. Leżała w białej szpitalnej koszuli w zielonkawę i granatowe śnieżynki przykryta prześcieradłem, podłączona do kilku monitorów, z których jeden popiskiwał. W zgięciu łokcia miała jedną rurkę, dwie kolejne wychodziły jej z nosa.

— Jest taka malutka — szepnęła mama.

Ja pomyślałam dokładnie to samo. Na tle wielkiego łóżka babcia rzeczywiście wydawała się rozpaczliwie stara i krucha.

Podeszłam do niej.

— Cześć, babuniu — odezwałam się wesołym tonem. — Tu Alice i mam...

— Dorothy — weszła mi w słowo mama. — Babuniu, rany boskie, co za radość cię widzieć. Napędziłaś nam dzisiaj porządnego strachu.

— Pewnie chcesz odpoczywać, więc nie zostaniemy długo — powiedziałam. — Ale lekarz mówi, że twój stan jest stabilny, a to wspaniała wiadomość. — Nie dało się powiedzieć, czy babcia nas słyszy; raczej nie. — Nie wiem, czy pamiętasz, ale dzisiaj rano upadłaś, więc jesteś w szpitalu. Ale teraz już wracasz do zdrowia — to były moje pobożne życzenia, nie diagnoza lekarza; najbardziej optymistyczne użyte przez niego słowo brzmiało: „stabilny” — a doktorzy i pielęgniarki zajmują się tobą najlepiej, jak potrafią. — To także była opinia nieco na wyrost, ponieważ nie miałam pojęcia, co tak naprawdę dzieje się za podwójnymi drzwiami. Kilka minut wcześniej lekarz opiekujący się babcią, doktor Furnish, wyjaśnił Larsowi, mamie i mnie, że u babci doszło do śródczaszkowego krwawienia z płata mózgu, wobec czego wymagała kilku transfuzji krwi, ale biorąc pod uwagę wiek i ogólną kruchość, operacja mogłaby być niebezpieczna; ostrzegł nas też przed możliwością uszkodzenia mózgu. Doktor Furnish może nie był specjalnie sympatyczny, ale wydawał się kompetentny. Kiedy mówił, ja notowałam wszystko na odwrocie jakiegoś przepisu, który znalazłam w torebce.

— Babuniu, obawiam się, że poczekalnia niezbyt przypadłaby ci do gustu — powiedziała mama. — Krzesła obite są jakąś pomarańczową tkaniną, którą na pewno uznałabyś za tandetną.

— A Lars kupił jakieś podejrzenie wyglądające ciastka, ale byłyśmy z mamą zbyt mądre, żeby je tknąć, poza tym jednak wszyscy się nimi zażerali. — Próbowałam grać zawadiacką i dowcipną.

— Emilie, musisz wyzdrowieć i wrócić do domu na finał sezonu *Napisala: Morderstwo* — powiedziała mama.

— Ale jeżeli dzięki tobie nie pójde jutro na kolację do Priscilli i Harolda Blackwellów, będziesz miała u mnie dług wdzięczności — dodałam.

— Alice! — obruszyła się mama.

— Żartuję — powiedziałam. — Babcia o tym wie.

Plotłyśmy dalej w tym stylu, po części rozmawiając z babcią, po części ze sobą przez dozwolony czas trzydziestu minut, za jedyną odpowiedź mając popiskiwanie monitora. Jak tylko wyszłyśmy przez podwójne drzwi prowadzące do poczekalni, mama wyjęła z torebki chusteczkę i otarła sobie nią oczy.

— Wiem, że babunia ma za sobą długie życie i nie mnie kwestionować Boże zamiary — stwierdziła — ale nie jestem jeszcze na to gotowa, Alice.

A potem stał się cud i babcia się obudziła. Zadzwoiłam do szpitala około siódmej rano następnego dnia, jak tylko wyszłam spod prysznic, a oni powiedzieli, że w nocy babcia odzyskała przytomność. Pielęgniarka poinformowała mnie, że w tej chwili znówu drzemie, ale na pewno będzie mogła z nami porozmawiać, kiedy przyjedziemy o dziewiątej.

Mama wstąpiła do sklepiku w hplu, żeby kupić balony — na OIOM nie wolno było wnosić kwiatów — wobec czego do pokoju babci weszłam sama. Oczy miała zamknięte, ale kiedy powiedziałam: „Puk, puk”, otworzyła je natychmiast.

— Babuniu, witaj z powrotem! — zawołałam. — Tęskniliśmy za tobą!

Usiadłam obok łóżka, pochyliłam się i pocałowałam ją w policzek.

Kilka razy zamrugła powiekami.

— Karmię mnie tu okropnie pikantnym kurczakiem i kompletnie zaschło mi w gardle — odezwała się.

Czy wiedziała, kim jestem?

— Dać ci wody? — zapytałam.

Na stoliku obok łóżka stał biały plastikowy dzbanek i zielony plastikowy kubek ze słomką. Podsunęłam babci słomkę do ust, a kiedy z niej ssała, z kącika ust

pociekła jej mała przezroczysta kropelka. Podawali jej płyny przez kroplówkę, więc byłam pewna, że babcia niczego nie jadła, żadnego kurczaka, w ogóle nic od chwili przyjazdu do szpitala.

— Wiesz co, tam na dachu uprawiają hazard — powiedziała, kiedy skończyła pić, i położyła głowę na poduszce.

— Kto? — spytałam z wahaniem.

— O n i. — Gwałtownie skinęła głową.

Przyłożyłam dłoń do piersi.

— Babuniu, jestem Alice. Ty jesteś w szpitalu, **wracasz do zdrowia**, a ja przyszedłam cię odwiedzić.

Zrobiła przestraszoną minę.

— Myślisz, że nie wiem, kim jesteś? Jeszcze nie zdziecinniałam. — Skierowała na mnie palec. — Czemu masz na sobie bluzkę Dorothy? Wyglądasz w niej niegustownie.

Uśmiechnęłam się.

— Niespodziewanie musiałam zostać na noc w Riley, więc mama mi pożyczyła.

— Powinnaś nosić ubrania odpowiednie dla twojego wieku.

— Babuniu, jak się czujesz? Tylko proszę, powiedz mi, jak będziesz chciała odpocząć.

Nie odpowiedziała od razu, tylko rozejrzała się po pokoju.

— Myślałam o twoim ojcu — powiedziała.

Zaniepokoiłam się. Nie wiem co prawda, czy wierzyłam w niebo, ale nietrudno mi było wyobrazić sobie, że mówiąc „myślałam”, rozumiała „komunikowałam się”, albo nawet „zostałam przyzwana.” Ale moją jedyną reakcją było:

— Tak?

— Był bardzo oddany Dorothy — powiedziała babcia. — Przez wiele lat miałam sposobność przyglądać się z bliska małżeństwu twoich rodziców i widziałam, jaką darzyli się nawzajem czułością. — Zerknęła na mnie. — A twój mąż, jak on się nazywa?

Przełknęłam.

— Charlie. Charlie Blackwell.

— No właśnie, syn gubernatora. Wy też jesteście sobie bardzo oddani. Spróbowałam się uśmiechnąć.

— Cóż, przynajmniej taką mam nadzieję.

Spojrzała na mnie przenikliwie.

— To nie zabrzmiało zbyt przekonująco.

— Nie, nie chodziło mi... Ja po prostu... Cóż, ostatnio pije więcej, niż według mnie powinien — udało mi się w końcu wydusić.

Machnęła lekceważąco ręką, a przynajmniej próbowała, bo przez rurkę kroplówki w zgięciu łokcia nie miała pełnej swobody ruchu.

— Moja droga, nie trzymaj go na zbyt krótkiej smyczy. To się zawsze mści — stwierdziła.

— Och, ja nigdy. Jeśli już, to wręcz przeciwnie.

— Nie jesteś dla niego zbyt surowa?

Potrząsnęłam przecząco głową.

— Może w tym właśnie tkwi problem, może wolałby, żebyś była surowsza.

Zawahałam się — czy był to odpowiedni czas i miejsce na roztrząsanie moich problemów? Ale babcia zawsze lubiła rozmawiać o innych i teraz też wydawała się prawdziwie zainteresowana.

— Może dla ciebie to zabrzmiało idiotycznie, ale myślę, że może on przechodzi jakiś kryzys wieku średniego. Za dwa tygodnie jest zjazd z okazji dwudziestolecia ukończenia studiów i Charlie ewidentnie martwi się, że nie dorównuje swoim kolegom.

— Studiował na Harvardzie — powiedziała babcia, ale jakimś dziwnym tonem, jakby chwaliła się przede mną kimś innym niż moim mężem.

— Masz rację, że kończył studia na Wschodnim Wybrzeżu, ale to było Princeton. W każdym razie doszedł do wniosku, że mógł do tej pory osiągnąć więcej. Wywodzi się z rodziny, w której mężczyźni odnosili sukcesy, jego dziadek i ojciec, i na pewno pamiętasz, że jego brat, Ed jest kongresmem. — Nie wiedziałam, czy rzeczywiście pamięta, ale kiedy mówiłam, skinęła głową. — Według mnie Charliemu nie jest pisana kariera tytana biznesu czy polityki. Nie dlatego, że tego nie chcę, wychodząc za niego, nawet o tym nie myślałam. Jest taki

pełen życia i zabawny, ma mnóstwo przyjaciół, jest wspaniałym ojcem i ja po prostu... Ja nie rozumiem, dlaczego to mu nie wystarcza, dlaczego nasze życie mu nie wystarcza. Mnie wystarcza i dlatego nie rozumiem, czemu jemu nie.

— Jego ambicje przewyższają zdolności.

; Spróbowałam nie poczuć się urażona.

— Nie wiem, czy posunęłabym się tak daleko. Jest bardzo bystry. I może to przeze mnie, może ja go nudzę...

W zasadzie bolesne było dla mnie wspomnienie tamtego popołudnia, kiedy po raz pierwszy wyznaliśmy sobie z Charliem miłość. Tego samego dnia poznałam moją mamę, babcię i Larsa — wspomnienie, jak owo wyznanie poprzedził słowami, że zawsze uważał mnie za interesującą. Bolesne dlatego, że coraz częściej zastanawiałam się, czy wciąż była to prawda. Jakiż to był cudowny komplement, jakże nieoczekiwany, jaka *d o c e n i o n a* się poczułam. Nie byłam dla niego jedynie ładniutką brunetką; on rozumiał, że byłam osobą myślącą, która czytała i posiadała własne zdanie, nawet jeżeli zatrzymywała je dla siebie, i wszystkie te cechy sprawiały, że byłam dla niego coś warta. Ale czy niekiedy z perspektywy czasu nie żałował, że nie ożenił się z kimś bardziej ekscytującym, dla kogo miły sobotni wieczór nie oznaczał kolacji w towarzystwie naszej dziewięcioletniej córki i przeczytania czterdziestu stron Eudory Welty przed snem? Może czuł się rozczarowany brakiem zajadłości w naszym małżeństwie — brakiem okazji do kłótni, wrzasków, trzaskania drzwiami, cudownej brzydoty gniewu i pełnego napięcia odnajdywania zgody w łóżku.

— Każdy bywa nudny od czasu do czasu — powiedziała babcia. — Najbardziej fascynującą osobą, jaką znałam w życiu, była kobieta o imieniu Gladys Wycomb. Przedstawiłam cię kiedyś mojej przyjaciółce Gladys?

Skinęłam głową.

— Była ósmą kobietą w stanie Wisconsin, która otrzymała dyplom lekarza, naprawdę mądrą, inteligentną dziewczyną. Jeździłam do niej w odwiedziny i już po kilku dniach przy kolacji czytałyśmy książki, każda swoją. Ani trochę mi to nie przeszkadzało. Czy może być coś piękniejszego od możliwości wspólnego nudzenia się?

— Ja się z tobą zgadzam, wątpię jednak, by Charlie również przyznał ci rację.

— Czy wie, że masz co do niego pewne wątpliwości?

— Nie mam wątpliwości co do niego, tylko co do jego pracy i drogi, którą obrał w życiu, która... — przerwałam.

Czy jednak nie kłamałam, choćby nawet nieumyślnie? Ja wątpiłam w niego. Popatrzyłam na podłogę wyłożoną płytkami z białego linoleum.

— Wiem, że kiedy poznałaś Charliego, zrobił na tobie wrażenie — powiedziałam, kiedy podniosłam wzrok. — Czy dalej tak jest?

Co ja robiłam, wypytując o to moją nafaszerowaną lekami babcie, jakby była źródłem małżeńskiej mądrości? A może miałam odwagę ją pytać właśnie dlatego, że była pod wpływem leków? Na taką szczerość nie zdobywałam się nawet wobec Jadey.

— Zrobił na mnie wrażenie, bo widziałam, że cię uwielbia, a ty zasługujesz na uwielbienie — powiedziała babcia. — Jeśli mam być szczerą, to wszystko, co mi tu opowiadasz, wygląda mi na wiele hałasu o nic. Wracaj do domu, załóż ładną sukienkę, szpilki, pomaluj się, poflirtuj z nim, poschlebiaj mu i ani na chwilę nie zapominaj, jak niepewni siebie są mężczyźni. Wszystko przez to, że traktują siebie zbyt poważnie.

W tej chwili jej rada była dla mnie kołem ratunkowym — jakie to proste i łatwe do zrobienia. Cóż za ulga, że ktoś w końcu mówi mi, co mam robić!

— Daj mi trochę wody, dobrze? — odezwała się babcia. — Karmią mnie tu okropnie pikantnym kurczakiem. W ogóle mi nie smakuje.

— Proszę, tu masz kubek. — Znowu pomogłam jej się napić, a kiedy skończyła, pokazałam książkę, którą wyjęłam z torebki. — Przyniosłam twój *^Annę Kareninę*. Chcesz, żebym ci poczytała?

— Byłoby cudownie.

— Od miejsca, w którym ona i Wroński się spotykają, czy od początku?

— W którym się spotykają.

— Mam nadzieję, że nie masz przeze mnie złego zdania o Charliem — powiedziałam, otwierając książkę. — Na pewno masz rację, że przesadzam.

Babcia zamknęła już oczy i teraz tylko potrząsnęła głową.

— Rozdział osiemnasty — zaczęłam i odchrząknęłam. — „Wroński wszedł za konduktorem do wagonu i przy wejściu do przedziału zatrzymał się, aby przepuścić wychodzącą damę..”⁴

Kiedy kilka chwil później zjawiała się mama z balonami, babcia zdążyła już zasnąć.

Wracając do Milwaukee, zatrzymałam się na stacji benzynowej. Zapłaciłam już wcześniej i odwieszałam pistolet na uchwyt przy dystrybutorze, kiedy usłyszałam zwracający się do mnie męski głos.

— Alice, co za zbieg okoliczności.

Spojrzałam w stronę, skąd dobiega; parę metrów ode mnie, przy samochodzie po drugiej stronie wysepki stał Joe Thayer z ręką uniesioną w powitalnym geście. Miał na sobie żółtą koszulkę polo wsuniętą w kraciaste szorty i jak zwykle wyglądał przystojnie, ale też jak ktoś, kto niedawno schudł, chociaż nie musiał: Jego kości policzkowe były bardziej wystające i choć mierzył ponad metr osiemdziesiąt, ramiona miał jakieś takie wychudłe. Co prawda ja sama też nie prezentowałam się rewelacyjnie — jak zauważyła moja babcia, miałam na sobie jedną z „niegustownych” bluzek mojej mamy. Poza tym nie wzięłam ze sobą pianki do włosów, które w związku z tym nie układały się jak należy. Od Maronee dzielił mnie jeszcze kwadrans drogi i nie spodziewałam się, że spotkam kogoś znajomego.

— Joe, jak się masz? — popatrzyłam na jego samochód i sądząc, że dostrzegam w nim jego syna, dodałam. — A to Ben w... O mój Boże, przecież to Naleśnik!

Naleśnik był czarnym labradorem słynnym w Halcyon z tego, że potrafił stać na tylnych łapach i tańczyć w parze z siedemdziesięciodwuletnim Waltem Thayerem, ojcem Joego. Nigdy nie uważałam, aby odbywało się to za obopólną zgodą, z trudem więc przychodziło mi okazywanie entuzjazmu wraz ze wszystkimi innymi.

— Na pewno szykujesz się już na Princeton — powiedziałam. — Przyznaj się, jakież to absurdalne strój będziesz musiał założyć?

Joe skończył Princeton w sześćdziesiątym trzecim, pięć lat przed Charliem, co oznaczało, że ich złoty odbywały się zawsze w tym samym czasie.

Joe potrząsnął głową.

— Tym razem sobie odpuszczam. Niezbyt odpowiednia pora, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

— Na pewno będzie im ciebie brakowało — zauważyłam.

— Coś ci powiem, Alice, nigdy nie sądziłem, że będę się rozwodził.

— Och... — Nie bardzo wiedziałam, jak odpowiedzieć. — Cóż, zdarza się — dodałam, niezbyt udanie.

— Mogę być szczery? — zapytał.

— Oczywiście.

— Jestem ciekawy, co mówi się o naszych rodzinnych kłopotach. Nie chciałbym, żeby ludzie myśleli... W podobnych sytuacjach to na ogół mąż zostawia żonę, ale tym razem tak nie było. Nie twierdzą, że nie mieliśmy z Carolyn problemów, ale naprawdę byłem ślepy.

Udałam niewiedzę.

— Joe, tak mi przykro. To jest bardzo trudne.

Popatrzyliśmy na siebie, a mnie przemknęło przez myśl, że Joe się rozpłacze. Nie miał co prawda łez w oczach, ale wydawało się, że powstrzymuje drżenie brody, być może nawet zaciska zęby. Nigdy wcześniej nie zdarzyło nam się rozmawiać tak osobiście. Mieszkając w Milwaukee i bywając w Halcyon znalazłam się w jego towarzystwie może ze sto razy — po naszym ślubie Priscilla i Harold wyprawili wielkie przyjęcie koktajlowe w country klubie dla wszystkich przyjaciół rodziny niezaproszonych na wesele i jestem pewna, że Joe nawet tam był — ale przez jedenaście lat nie rozmawialiśmy o niczym bardziej ekscytującym od nowego ronda przy Solveson Avenue czy temperaturze jeziora Michigan.

— Joe, na pewno zdajesz sobie sprawę, że w każdej rodzinie są problemy, nawet w Maronee — powiedziałam. — Nie jesteście jedyni. I myślę, że każdy ma świadomość, na ile da się kontrolować życie.

Wydaje mi się, że nie tyle moje słowa, ile sam fakt podtrzymywania przeze mnie rozmowy pozwolił Joemu powstrzymać łzy; już wyglądał na znacznie mniej roztrzęsionego.

— Jestem ci wdzięczny. — Jego dystrybutor kliknął, więc wyjął pistolet z wlewu baku. — Jadę do Madison, żeby spędzić dzień z Marthą — dodał, pokazując na samochód. Była to jego młodsza siostra, którą również znałam z Halcyon. — Dawniej wciąż marzyłem o wolnej chwili — ciągnął — ale teraz mam ich zdecydowanie za dużo. Weekendy stały się koszmarem. Chyba trzeba uważać na to, czego się pragnie.

— Cóż, u nas w domu zawsze będziesz mile widziany. Gdybyś chciał wpaść i obejrzeć z Charliem jakiś mecz, będzie nam bardzo przyjemnie. — Nie było to chyba zbyt mądre z mojej strony (czy niespodziewana wizyta Joego nie rozdrażni Charliego jeszcze bardziej?), on jednak wydawał się tak bardzo przygnębiony, że nie wiedziałam, co powiedzieć. Poza tym prawdą jest, że on i Charlie znali się przez całe życie; byli bardziej jak kuzyni niż przyjaciele.

Joe skinął w stronę budynku stacji.

— Chyba muszę zapłacić — stwierdził. — Cieszę się, że się spotkaliśmy, Alice. Dziękuję, że wysłuchałaś starego smutasa.

— Wiesz co, może jednak powinieneś pojechać na Zjazd — powiedziałam. — Zmiana otoczenia dobrze by ci zrobiła.

— Pomyślę o tym — odparł. — Pozdrów Chasa ode mnie.

Kiedy Charlie, Ella i ja zjawiliśmy się u Priscilli i Harolda na kolacji, cały dom tętnił energią Blackwellów. Nasi bratankowie, Geoff i Drew, rzucali ringiem na trawniku przed domem, i Charlie nie mógł się oprzeć, by się nie przyłączyć, wobec tego Ella i ja weszliśmy do środka bez niego. Trudno było uwierzyć, że Ella była ostatnim dzieckiem tego pokolenia Blackwellów; teraz na świat zacznie przychodzić potomstwo jej kuzynów. Harry, najstarszy syn Eda i Ginger, miał już dwadzieścia jeden lat i ukończy Princeton kilka dni po Zjeździe Charliego; Liza, najstarsza córka Johna i Nan, kończyła pierwszy rok w Princeton i lato spędzi na stażu w redakcji czasopisma o modzie na Manhattanie; wreszcie Tommy, środkowy syn Eda i Ginger, kończył drugi rok, z tym że nie w Princeton, a Dartmouth, z czego brały się nieustanne kpiny z niższości Dartmouth i braku jakichkolwiek rozrywek w Kacu w New Hampshire.

W głównym holu Ella uściskała dziadków, po czym natychmiast znikła z kuzynką Winnie, zapewne w piwnicy, gdzie wciąż jeszcze mieszkający z rodzinami kuzynowie zbierali się wokół stołu do bilarda. Starsi opowiadali legendy — po jednej z kolacji Ella na jakiś czas znikowała na punkcie ludzkiego samozapłonu — i uczyli młodszych brzydkich wyrazów. Kiedy w Święto Dziękczynienia wracaliśmy do domu, Ella oznajmiła z dumą: „Wiem, co to są penisowe jaja”.

W pobliżu schodów, u stóp których braliśmy z Charliem ślub, ucałowałam w policzki mojego teścia.

— Alice, tak mi przykro z powodu twojej babci — powiedział.

— Cieszę się, mogąc powiedzieć, że dzisiaj ma się o wiele lepiej — odparłam.

Nachyliłam się, by się przywitać z Priscillą. Ona nawet nie udawała, że całuje mnie w powietrzu — natychmiast unosiła brodę i przekrzywiła na bok, nie wysuwając ust. Nie mogłam jednak brać tego do siebie, ponieważ traktowała w ten sposób każdego. Tym razem jednak złapała mnie za nadgarstek i przytrzymała.

— Chciałabym zamienić z tobą słówko — szepnęła mi do ucha.

Harold poszedł przygotować drinki i w tym samym czasie z jadalni wyłoniła się Jadey, niosąc marmurową tacę z jedzeniem.

— Maj, gdybym była nożem do serów, gdzie można by mnie znaleźć? — zapytała. — Ooch, Alice, co za prześliczna apaszka. Jak czuje się twoja babcia?

Jadey wybrała tę apaszkę — turkusową w złoty wzorek — podczas wspólnej eskapady do sklepów kilka tygodni wcześniej; kupiłyśmy ją w Marshall Fields.

— Jadey, chyba nie chcesz podać tych wszystkich serów naraz — spytała Priscilla. — Wszyscy się najedzą i stracą apetyt.

— Och, schowamy to, co zostanie, a polędwica wygląda tak smakowicie, że bez obawy, zniknie w ułamku sekundy — odparła beztróska Jadey.

Jadey mogła służyć za wzór, jak radzić sobie z Priscillą — nigdy nie tracić humoru, o ile się da, odpowiadać wymijająco, nigdy nie prowokować ani się nie sprzeciwiać.

— Babcia wyszła z tego naprawdę obronną ręką — powiedziałam. — Już prawie całkiem doszła do siebie.

— Och, dzięki Bogu — ucieszyła się Jadey. — Oczywiście Chas i Ella zawsze są u nas mile widziani. Przysięgam, przy innych ludziach zachowujemy się odrobinę lepiej, ale całe szczęście, że z babcią już wszystko dobrze. Maj, co do tych noży do serów...

— Druga szuflada po prawej od piekarnika — powiedziała Priscilla, a ja zdumiałam się, że tak szybko ustąpiła. — Jadey, wydawało mi się, że starasz się schudnąć — dodała z uśmiechem. — Ale takim przystawkom na pewno trudno się oprzeć.

W tym momencie z salonu weszły Nan i Ginger, przynajmniej częściowo odwracając uwagę od złośliwości Priscilli.

— Och, Alice, modlimy się za twoją babcią — wykrzyknęła Nan.

— Już z nią lepiej — powiedziała Jadey.

— Prześliczna apaszka, Alice — zauważyła Ginger. — Maj, powiedz, proszę, w czyni możemy pomóc.

— Możecie coś zrobić, żeby ci barbarzyńcy, wasi synowie, przestali demolować mi trawnik. — Priscilla zaśmiała się gardłowo. — Albo moje napastrnice i irysy nie doczekają czerwca.

Zapadła chwila ciszy, którą przerwała Ginger:

— Jestem pewna, że chłopcy i tak są już gotowi przyjść do domu — stwierdziła.

Wybiegła frontowymi drzwiami, Jadey wzniosła oczy do nieba i wróciła do kuchni.

— Porwę na chwilkę Alice, jeśli pozwolisz — zwróciła się Priscilla do Nan.

Poszłam za swoją teściową do niewielkiej sypialni przylegającej do łazienki pod głównymi schodami. Kiedy stałam w holu, kątem oka dostrzegłam braci Charliego zgromadzonych w salonie i pomyślałam, że niech licho porwie wszystkie scysje, może wieczór rodzinnego zamieszania jest właśnie tym, czego Charlie teraz potrzebuje.

— Nie miałaś prawa zabierać Ruby do Marcus Center — powiedziała Priscilla, kiedy znalazłyśmy się w sypialni.

Wytrzeszczyłam oczy. A ja się zastanawiałam, o czym Priscilla chce ze mną rozmawiać! Na przykład o napięciu między jej synami? Czy może o czymś jeszcze bardziej banalnym: że prosi, abym sypała ziarno do karmników dla ptaków, kiedy ona i Harold bawią w Waszyngtonie?

— To było wysoce niestosowne — mówiła spokojnie, nie podnosząc głosu; po prostu lodowato. — Ja troszczę się o domowe posługaczki.

— Ja nie... — zawahałam się. — Nie sądziłam, że to cię obrazi. I z całą pewnością nie było to moim zamiarem. — Nie dodałam, że jest mi przykro, ale też nie było mi w najmniejszym stopniu. Panna Ruby była dorosła, ja też. Obie miałyśmy prawo iść do teatru, z kim nam się żywnie podoba.

— Na pewno sobie wyobrażasz, że oświecasz ją kulturalnie, prawda?

— Priscillo, zaprosiłam ją pod wpływem impulsu. Nie miałam żadnych ukrytych motywów.

— Ruby pracuje u nas od ponad czterdziestu pięciu lat i przez cały ten czas troszczyliśmy się o nią bez zarzutu. Czy sądzisz, że zostawałaby z nami rok po roku, gdyby było inaczej? Jest kilka rzeczy, o których z całą pewnością nie wiesz, jak na przykład ta, że wraz z Haroldem pomogliśmy się jej uwolnić od jej pozbawionego skrupułów męża. Miałaś tego świadomość? — Priscilla miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, ale kiedy mówiła, nachyliła się tak nisko, że nasze twarze znajdowały się zaledwie kilka centymetrów od siebie. Widziałam drobniutkie zmarszczki wokół jej ust, jej liliową szminkę, zęby, które oglądane z tak bliska były drobniejsze i bardziej brązowe, niż pamiętałam; poza tym zauważyłam, że ma sterczący lewy górny kiel.

Otworzyłam usta, by coś powiedzieć, tylko nie bardzo wiedziałam co.

— Byłabym wdzięczna, gdybyś w przyszłości się nie wtrącała — powiedziała Priscilla. — Czy wyraziłam się jasno?

— Mam nadzieję, że nie będziesz zła na pannę Ruby — odrzekłam. — Nasze wspólne wyjście było wyłącznie moim pomysłem, nie jej. — Po czym nie mogąc się powstrzymać, dodałam: — Ale z całym szacunkiem, w zasadzie nie rozumiem, o co masz pretensje.

— Och, Alice. — Priscilla cofnęła się o krok i krótko zaśmiała. — Wstyd mi za ciebie, że w ogóle pytasz.

Przed obiadem wypiliśmy kieliszek wina, a podczas posiłku udało mi się siedzieć między Haroldem, łagodnym jak zawsze, i Johnem, który mimo różnicy między nim a Charliem, nigdy nie rzekł mi złego słowa. Priscilla jak zwykle przydzielała wszystkim miejsca, ale po naszej rozmowie w sypialni pod schodami ignorowała mnie. Przy deserze nieco zelżało moje zaskoczenie naszym starciem i rozluźniłam się nieco podczas kolacyjnych kpin i docinków. Na samym początku Priscilla nałożyła moratorium na wszelkie dyskusje o Blackwell Meat, co było mądrym posunięciem z jej strony. Kiedy skończyliśmy maślane ciasteczka z lodami waniliowymi, Arthur, który jak wszyscy obecni, całkiem sporo wypił, dawał wyraz swojemu żalowi z powodu współpracy Eda przy ostatniej ustawie kongresu z Judith Pigliozzi, reprezentantką demokratów z północnej Kalifornii, znaną głównie za jej poparcie dla ustawy o użyciu marihuany do celów medycznych, która nie przeszła.

— Ani się obejrzymy, jak Eddie i Judith będą popalać maryskę na Kapitolu — tokował Arthur.

— A słyszeliście — dodała Ginger, żona Eda — że niektóre badania pokazują, że marihuana może bardzo pomóc chorującym na migrenę?

Powiedziała to potulna, pozbawiona humoru Ginger, sama cierpiąca na migrenę, i było to tak niespotykane, że wszyscy wybuchli śmiechem.

— A więc to dla tego wytrzymujesz jako żona Eda — powiedział Charlie. — Zawsze nas to zastanawiało. †

— Cóż może być lepszego od dobrego sztachu Mary Jane po południu, no nie, Ging? — odezwał się jednocześnie John.

Ginger zaczęła protestować.

— Nie mówiłam, że ja sama próbowałam, ja tylko o tym czytałam ~ usprawiedliwiała się, a Charlie i Arthur udawali, że zaciągają się skrętami.

— Słowo daję, nigdy w życiu nie paliłam marihuany — powiedziała Ginger, wyraźnie bardzo zdenerwowana. — To był artykuł w gazecie.

— Alice, a ty kiedyś paliłaś? — zwrócił się do mnie Arthur.

— Nie czepiaj się jej — ofuknęła go Jadey.

— Dobra, idźmy po kolei — ustąpił Arthur.

Harold ze znużonym uśmiechem potrząsnął przecząco głową. Na szczęście dzieci odeszły już od stołu, chroniąc się na powrót w piwnicy, i dziękowałam w duchu, że Ella nie musi być świadkiem tej dyskusji; nie chciało mi się jej wyjaśniać przedmiotu rozmowy.

— Już słyszeliśmy, jak Ginger ogłasza swoją niewinność — powiedział Arthur. — Ja, do cholery, mówię, że tak. Nan?

Nan zmarszczyła nos.

— Nie wiem, czy podoba mi się ta zabawa — odparła.

— Biorę to za odpowiedź twierdzącą — skwitował Arthur. — Ed?

— Byłem za stary — odpowiedział Ed. — Musicie pamiętać, że kiedy nastąpiło lato miłości, ja już pracowałem w Holubasch i Whistler.

Arthur pytał następnych siedzących przy stole.

— Maj, myślę, że nie, ale ty jesteś szczwana, pytam więc, potwierdzasz czy zaprzeczasz?

— Absolutnie zaprzeczam — powiedziała Priscilla. Arthur wskazał na Charliego.

— Chas, w twoim przypadku nie wiadomo tylko, czy więcej sprzedawałeś, czy raczej kupowałeś.

Charlie się uśmiechnął.

— Hej, każdy musi być w czymś dobry.

— Chyba nie handlowałeś narkotykami, co? — zapytałam.

— Alice, nie zadawaj pytań, na które nie chcesz usłyszeć odpowiedzi

— wtrącił John lekkim tonem.

— Jadey, wiem, że ty tak, bo sam przy tym byłem — powiedział Arthur. • — Byłam nastolatką! — oburzyła się Jadey. — To się nie liczy!

— Skoro wtedy byłaś nastolatką, to teraz musisz mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat — Arthur uśmiechnął się złośliwie do żony.

(Czy to możliwe, żeby rzeczywiście nie uprawiali seksu? Tak ze sobą żartowali; a może było w tym więcej złości, niż dostrzegałam?)

— John? — zapytał Arthur.

— Próbowałem, jasne, ale jakoś nigdy nie robiło to na mnie wrażenia.

— I wracamy do naszej uczciwej Alice. — Arthur siedział po drugiej stronie stołu, naprzeciwko mnie, między Ginger i Nan. — Jesteś tu swojego rodzaju czarnym koniem. Chas, chcesz postawić na swoją lepszą połowę?

Charlie zmrużył oczy, przyjrzał mi się badawczo, po czym rzekł:

— Obstawiam na tak. Lindy lubi poeksperymentować, choć może na taką nie wygląda.

Zarumieniłam się — uwaga zdawała się mieć podtekst seksualny.

— Chwila prawdy, Alice — powiedział Arthur.

— Tylko raz — rzekłam. — Chyba należę do tej samej kategorii co John, bo na mnie też nie zrobiło to większego wrażenia.

Przypomniałam sobie, jak latem 1968 roku siedziałyśmy w pokoju mojej babci. Babcia, Dena Janaszewski i ja, a potem pomyślałam o babci leżącej w szpitalu i skrzyżowałam palce, żeby jej stan nadal się poprawiał.

— Alice, słowo daję, trzeba było dać sobie szansę — powiedział Arthur. — Gdzie twój upór? — Uśmiechał się tym typowym dla Blackwellów uśmiechem. — Czemu twoja żona tak łatwo rezygnuje? — zwrócił się do Charliego—

— Czy to źle, że przez tę rozmowę z a c h c i a ł o mi się skreć? — zapytała Jadey. — A przysięgam, że ostatni raz przydarzyło mi się to ze dwadzieścia lat temu.

Arthur z uniesionymi brwiami spojrzał na Charliego.

— Chas, myślisz o tym samym, co ja? Ale czy znamy kogoś, kto...?

Charlie przekrzywił głowę w prawo, w stronę wahadłowych drzwi prowadzących do kuchni.

— Może Leroy? — powiedział.

Zmroziło mnie. Leroy był synem panny Ruby, starszym od Yvonne. Nigdy go nie poznałam, ale wiedziałam, że kilka razy miał do czynienia z prawem.

— Świetnie! — Arthur sięgnął po mały porcelanowy dzwoneczek, którego używała Priscilla, ilekroć chciała wezwać pannę Ruby. Teraz błyskawicznie mu go wyrwała z ręki, a ja odetchnęłam z ulgą.

— Nie będziecie wciągali panny Ruby w swoje wygłupy — stwierdziła.

— Nie próbuj mi wmawiać, że Wielki Leroy Sutton nie wie, gdzie w tym mieście można znaleźć dobre ziolo — powiedział Arthur.

— Och, myślę, że on jest ponad to — zauważył John. — Dla takiego faceta jak on trawka to dziecinada.

(Nie przyszło im do głowy, że panna Ruby może słyszeć każde słowo? Najwyraźniej nie).

— Myślę, że nadeszła pora, abyśmy z Ginger ulotnili się z wdziękiem

— powiedział Ed, ale wstając, uśmiechał się. — Maj, tato, dziękujemy za jak zwykle wspaniałą kolację.

— Cieniarze, cieniarze! — wydarł się Arthur.

— Och, byłoby w y s o c e naganne, gdyby przedstawiciel dziewiątego okręgu został przyłapany na paleniu trawki zaledwie pięć miesięcy przed wyborami — powiedział Charlie. — Na dodatek w domu byłego gubernatora. Niech ktoś zadzwoni do „Washington Post”!

— Chodź, kochanie — Ed zwrócił się kwaśno do Ginger. — Trzeba zawołać Geoffa.

— Ja też chętnie poszłabym już do domu — odezwała się Nan, kiedy Ginger wstawała od stołu.

Zobaczyłam, jak Nan patrzy na Johna znacząco; oboje wstali, udając się w ślad za Ginger i Edem.

Po wyjściu ich czworga Harold chrząknął i wszyscy zwróciliśmy się ku niemu.

— Pozwólcie, że nieproszony udzielę wam rady — powiedział. — Pomijając nostalgię, pomysł jest okropny. — Wstał. — Czy ktoś uda się ze mną na kawę do salonu?

Zaczęliśmy podnosić się z miejsc, a pomysł kupienia marihuany czy to za pośrednictwem Leroya Suttona, czy też z jakiegoś innego źródła, stracił impet, za co dziękowałam Bogu. Panowie podążyli za Haroldem do salonu, panie zajęły się zbieraniem nakryć.

— Teraz Maj pomyśli, że jestem nie tylko świnią, ale na dodatek ć p u n k ą

— szepnęła do mnie Jadey, choć nie wydawała się tym szczególnie przejęta.

Kiedy wszyscy wstaliśmy, panna Ruby zjawiała się w cudowny sposób, razem z niejakim Bruce'em, który pomagał podawać do stołu, a w czasie wielkich przyjęć wydawanych przez Blackwellów pełnił funkcję barmana. Chociaż przez cały wieczór kilka razy widziałam pannę Ruby, zdołałam przywitać się z nią tylko przelotnie; zajęta była przygotowaniem kolacji, a poza tym ciągle ktoś kręcił się w pobliżu. Dopiero kiedy podano kawę i Priscilla była w salonie, nadarzyła się okazja, bym porozmawiała z nią sam na sam. Wkładała do zmywarki sztuce.

— Czy pani Blackwell rozmawiała z tobą o sztuce? — zapytałam.

Panna Ruby nawet na mnie nie spojrzała.

— Nic się nie stało — powiedziała.

— Chciałam przeprosić, jeżeli miałaś przeze mnie kłopoty.

Umilkłyśmy obie, a lejąca się z kranu woda parowała.

— Naturalnie nie zrobiłaś nic złego — dodałam. — I mam nadzieję, że mimo wszystko przyjdziecie do nas w następny poniedziałek. Bardzo chcemy zobaczyć dzidziusia Yvonne.

Panna Ruby uniosła brwi.

— Pani Blackwell o tym wie?

— Nie mówiłam jej, ale zrozumieć, jeżeli nie zechcesz przyjść. Mam jednak nadzieję, że wiesz, jak bardzo ucieszyłaby nas wasza wizyta. Będziemy tylko Charlie, Ella i ja. — Przerwałam. — Zakładam, że przyjdziecie, ale gdyby coś się zmieniło, zadzwoń do mnie.

Czy nie wywoływałam wielkiego zamieszania, czy panna Ruby nie straci przeze mnie pracy? Ale daleko większą obrazą byłoby dla mnie, gdybym uległa kaprysom Priscilli, niż się im sprzeciwiła, a zresztą ona i Harold za kilka dni wracali do Waszyngtonu. I tak przesadnie kontrolowała nasze zachowanie, będąc na miejscu, a robienie tego na odległość zakrawało na absurd.

— Dziękuję za kolację. Wszystko było wyśmienite — powiedziałam, zanim wyszłam z kuchni.

Kiedy wracaliśmy samochodem do domu — wyszliśmy po dziesiątej i ja prowadziłam — Charlie się odezwał.

— Krążą plotki, że zabawiałaś się towarzysko z Murzynką — powiedział.

— Charlie, wiesz, że nie lubię sprawiać kłopotów, ale żeby twoja matka wiedziała coś złego w tym...

— Do mnie nie miej pretensji. — Był rozbawiony. — Jeśli o mnie chodzi, ty i panna Ruby możecie zawrzeć braterstwo krwi. Mam tylko nadzieję, że zdobędę bilety na walkę Lindy— Maj. — Przybrał ton komentatora sportowego. — W narożniku ważąca sześćdziesiąt kilogramów, ubrana w różową spódniczkę do tenisa... — Zauważył, że się nie śmieję. — Daj spokój, przecież to świetny numer. Pojechałaś aż do centrum, co? Odważna z ciebie panienka.

„Centrum” było obraźliwą nazwą śródmieścia Milwaukee, której ja nie używałam. Zignorowałam Charliego, gdy tymczasem z tylnego siedzenia odezwała się Ella.

— Mamusiu — zapytała. — Ile dni zostało do naszego wyjazdu do Princeton?

Ella bardzo cieszyła się na Zjazd ze względu na występy — Charlie uczył ją różnych wzywających do boju piosenek i okrzyków, a ja najlepiej jak umiałam opisywałam jej pomarańczowo— czarne stroje, wieczorne występy zespołów w namiotach, urodę kampusu (Ella była z nami na zjeździe z okazji piętnastolecia w 1983 roku, ale była wtedy zbyt mała, by cokolwiek pamiętać) — a także dlatego, że wyjazd dawał jej możliwość spotkania się z kuzynostwem, Harrym i Lizą.

— Jeżeli dzisiaj jest dwudziesty pierwszy maja, a my wyjeżdżamy trzeciego czerwca, ile zostało dni? — podpowiedziałam jej. — Pamiętasz, ile dni jest w maju?

— Trzydzieści dni przypada na wrzesień... — Ella zaczęła liczyć na palcach. — Czternaście?

— Blisko — powiedziałam. — Dokładnie trzynaście.

— To znaczy, że moja klasowa impreza będzie za dwanaście?

— Tak jest.

— Tatusiu? — odezwała się Ella.

Charlie obrócił się do niej.

— Widać ci skórę — powiedziała.

— Doprawdy? — odparł Charlie. — A na Uranie istnieje życie.

Ella zachichotała.

— Cóż, chłopcy jeżdżą na Jowisza, żeby bardziej zgłupieć.

— Bardzo dobrze wspominał pobyt na Jowiszu — powiedział Charlie. — Twoja mama od początku uważała mnie za głupka, ale kiedy wróciłem, zapomniałem nawet, jak się dłubie w nosie. — Po chwili dodał: — Wszyscy błagają, aby światowej sławy śpiewaczka operowa Ella Blackwell zgodziła się wystąpić. Fani szaleją. Zawiedzie nas czy też spełni ich prośbę? Trzy, dwa, jeden i do dzieła, Ello! — Po czym zaczął śpiewać: — „Ooch, Princeton, było Princeton, kiedy Eli była mała.

Ella podchwyciła swoim wysokim, słodkim głosem.

— „I Princeton, będzie Princeton, kiedy Eli dni swych dożyje...”

Wspólnie o wiele głośniej odśpiewali ostatnie dwie linijki, które według mnie nie były do końca odpowiednie dla dziewięciolatki:

— „I żaden sukinsyn z Yale nie ma dość odwagi / Żeby wydać swe różane usteczka i ucałować Tygrysy po dupeczkach!”.

Była to tylko drobna część reklamy Princeton przekazywana przez mojego męża naszej córce. Był również strój na Zjazd, odpowiednio wcześniej przysłany, w jakim wszyscy koledzy z jego rocznika wystąpią na paradzie w kampusie i który Ella, w przeciwieństwie do Charliego, zdążyła już przymierzyć: pomarańczowy dres z czarnym paskiem wzdłuż nogawek i zamka błyskawicznego bluzy oraz biały miękki kapelusz z liczbą 68 w czarno— po— marańczowym kółku nad otokiem. (Tematycznie miał on nawiązywać do tenisa lub „Miłości po czterdziestce”). Był też ulubiony okrzyk Elli, znany jako lokomotywa. W dowolnym momencie — przy kolacji, albo kiedy Ella miała kłaść się do łóżka — Charlie potrafił wrzasnąć: „Lokomotywa sześćdziesiąt osiem!”, po czym oboje zaczęli skandować: „Hip! Hip! Rah! Rah! Rah! Tygrysy! Tygrysy! Tygrysy! Sss! Sss! Sss! Bum! Bum! Bum! Bam! Sześć— dzie— — siąt— osiem! Sześć— dzie— siąt— osiem! Potem krzyczeli, klaskali, nawet tańczyli; czasem wydawało mi się to urocze, kiedy indziej denerwujące. Zjazd absolwentów Princeton przypominał akademicką, zinstytucjonalizowaną wersję imprez rodzinnych Blackwellów, jednocześnie robiącą wrażenie i skupioną wyłącznie na sobie, przytłaczającą i oszałamiającą, cudowną i odrażającą. Teraz dodatkowo martwiłam się, ile Charlie będzie pił; na piętnastolecie po raz pierwszy widziałam, jak wypił tyle piwa, że aż wymiotował, a było to w czasach, kiedy pił o wiele, wiele mniej niż obecnie.

Charlie przeszedł do innej piosenki: „Niech każde serce i głos śpiewa / Zostawmy wszystkie troski...”. Lubiłam ją, choć na jej zakończenie robiło się gest

niepokojąco przypominający nazistowskie pozdrowienie. Ale byliśmy w samochodzie, tylko nasza mała rodzinka, więc i ja przyłączyłam się do chóru: „Jej synowie ulegną, a my żyć będziemy / Trzykrotne hurra dla Starego Nassau”. A potem, ponieważ byliśmy rodziną, a wszystkie rodziny lubią w kółko powtarzać te same rzeczy, zaśpiewaliśmy jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze, aż przy wtórze piątego dojechaliśmy do domu.

W niedzielę Brewersi grali z Toronto J31ue Jays. Mecz rozpoczął się kwadrans po pierwszej. Początkowo Arthur ze swoim synem Drew i Charlie z Ellą mieli iść wszyscy razem, ale Arthur zadzwonił z rana, mówiąc, że tak krótko po skandalu z mięsem Blackwellów on i Charlie nie powinni pojawić się w telewizji, zabawiając się na trybunach (Blackwellowie mieli miejsca w ósmym rzędzie, tuż nad wejściem Brewersów, między trzecią a domową bazą).

— Zostaliśmy oczyszczeni z zarzutów! — zaprotestował Charlie, ale wyglądało na to, że Arthur nie da się przekonać. — Czuję tu rękę Johna — dodał, kiedy odłożył słuchawkę.

Miałam zamiar poświęcić popołudnie na przygotowanie się na nadchodzący tydzień — następnego dnia wybierałam się do Riley pomóc mamie w przewiezieniu babci ze szpitala, we wtorek czekał mnie lunch Klubu Ogrodniczego w domu Sally Gilman i mnie przypadł obowiązek przygotowania sałatki jarzynowej dla trzydziestu osób — szybko jednak przyznałam Arthurowi rację. Zadzwoniliśmy do Harolda z pytaniem, czy nie zechciałby wybrać się z nami, ale ich samolot odlatywał do Waszyngtonu o czwartej.

Nie miałam nic przeciwko zmianie planów; jeszcze przed urodzeniem Elli wspólne wyjścia na mecze baseballowe należały do najbardziej udanych chwil, jakie spędzaliśmy razem. Lubiłam być częścią tłumu, ale tłumu zorganizowanego — były siedzenia, rzędy i sektory, nawet więc przy dziesiątkach tysięcy ludzi nie panował chaos, a jeżeli jakiś kibic upił się i wszczynał awantury, zwykle szybko był wyprowadzany. Lubiłam miejsce, w którym było się razem z innymi, ale bez konieczności prowadzenia rozmów, lubiłam obserwować ludzi (kibiców takich jak my, rodziny z dziećmi, pary nastolatków albo ludzi w średnim wieku na randkach, grupy dwudziesto—, trzydziestoparolet— nich przyjaciół, mężczyzn, którzy przyszli sami, w których coś mnie zawsze wzruszało, a przynajmniej było tak, zanim Charlie stał się jednym z nich, według mnie kosztem Elli i moim). Ale lubiłam gremialne okrzyki, ckliwe tradycje, znajome piosenki oraz smak hot dogów i piwa konsumowanych w słoneczne popołudnie lub wieczorem. Jedyne, czego nie lubiłam, to gdy wybita piłka szybowała na trybuny, a ludzie rzucali się, by ją złapać — kiedy dostawała się tylko jednemu, choć tak wielu jej pragnęło. Ogólnie jednak mecze baseballowe były dla Charliego wystarczająco ciekawe i

ekscytujące, jednocześnie dla mnie w miarę spokojne. Ella natomiast lubiła mecze z własnych powodów — japońska koleżanka, z którą korespondowała, okazała się wielką fanką baseballu, co zwiększało i jej zainteresowanie, poza tym uwielbiała mrożony budyń podawany w małych plastikowych kubkach w kształcie czapki Brewstersów, które można było zabrać ze sobą. Jednak najważniejsze było to, że po prostu je lubiła, że lubiliśmy je wszyscy.

Do czwartej rundy wynik wynosił 4:1 dla Brewstersów i Charlie zdawał się zapomnieć, że niedawno poróżnił się ze swoimi braćmi. Nagle pojawił się przy nas Zeke Langenbacher. Ten jakieś dwadzieścia lat starszy od Charliego mężczyzna, jak wieść niosła, był najbogatszym człowiekiem w Milwaukee, jeśli nie w Wisconsin — rzucił szkołę w liceum, zaczął pracować jako dostawca mleka i już w wieku dwudziestu pięciu lat został właścicielem mleczarni, z czasem poszerzając działalność o ubezpieczenia samochodowe, rozgłośnie radiowe i motele. Spotkałam go kilka razy i zawsze byłam przekonana, że nie pamięta mojego imienia, po czym mile zaskoczona odkrywałam, że jednak pamięta. On i Charlie grywali czasem w tenisa — na korcie Zeke słynął z umiejętności i agresywnej gry — i myślę, że te mecze, nawet jeżeli przegrywał, stały się dla Charliego źródłem dumy.

— Zeke to cholernie ważny gość — powiedział mi kiedyś. — To prawdziwy kapitan biznesu.

Zeke przywitał się ze mną, przedstawił Elli i gestem wskazał wolne miejsce obok Charliego.

— Ktoś tu siedzi?

Charlie poklepał krzeselko.

— Trzymamy je dla ciebie.

Zeke miał swoje własne karnety na miejsca kilka rzędów przed nami — Country Stadium nigdy nie dysponował łozami, co dodatkowo dodawało mu uroku — i wcześniej zauważyłam go tam w towarzystwie dwóch innych mężczyzn.

Ella siedziała między mną i Charliem, Zeke zajął miejsce po drugiej stronie Charliego, dlatego nie słyszałam, o czym rozmawiają. Zdziwiło mnie, że został aż do siódmej rundy, kiedy to Brewersi zdobyli kolejne trzy bazy. Poszłam z Ellą do toalety, potem stałyśmy w kolejce po frytki i właśnie wracałyśmy do naszego sektora, kiedy jakiś chłopiec w wieku Elli na nią wpadł. Prawie połowa frytek Elli wysypała się na podłogę.

— Tylko zobacz, co narobiłeś! — ofuknęła go Ella ze złością.

Chłopiec był wyraźnie przestraszony.

— Ello, kochanie, przecież to był wypadek — odezwałam się. — Oboje ponosicie winę.

Chłopcu towarzyszył mężczyzny i kiedy na niego spojrzałam, spodziewając się wymiany przepaszających uśmiechów, ujrzałam, że jest nim Simon Tornkvist. Jestem pewna, że oboje zastanawialiśmy się, czy nie udać, że się nie poznajemy — nosił inne okulary, o większych szklach i nie miał już brody, ale jego miękkie blond włosy wyglądały identycznie, nie zmieniło się też jego opadające lewe oko.

— Mój Boże — zawołałam. — Ależ ten świat mały, prawda? — Położyłam rękę na ramieniu Elli. — To moja córka, Ella.

— Mój syn, Kyle.

— Piękny dzień na mecz — stwierdziłam.

— Obecnie mieszkamy w Oshkosh, ale przyjechaliśmy w odwiedziny do znajomych. — Ton Simona był o wiele bardziej przyjazny, niż mogłam się spodziewać.

— Pochodzisz z Oshkosh, prawda? — zagadnęłam.

— Masz świetną pamięć — odparł.

Świetną pamięć? pomyślałam. Przecież spotykaliśmy się przez rok.

— Na pewno cię zaskoczy, że ja też zostałem nauczycielem — powiedział. — Uczę historii w liceum.

— To wspaniale — odrzekłam.

Wydawało mi się, że czeka, abym powiedziała coś o sobie — „W dalszym ciągu pałam się po bibliotece” — ale poczułam, że nie mam ochoty spowiadać się Simonowi, że przestałam pracować. Dotarło do mnie, że zastanawiam się, czy wie, czyją jestem żoną, albo czy przynajmniej wie, że jednego z synów byłego gubernatora, i ucieszyłam się, widząc, że nie ma najmniejszego pojęcia. Ależ by mną pogardzał Simon Törnkvist, jakże żałośnie burżuazyjne wydałoby mu się moje aktualne życie.

— Nie będziemy was dłużej zatrzymywać — stwierdziłam. — Miło było was widzieć.

— Może spotkamy się rodzinnie, kiedy przyjedziemy tu następnym razem — rzekł.

A ja uśmiechnęłam się, licząc na to, że nigdy w życiu nie zdoła mnie namierzyć.

— Jak najbardziej.

Kiedy wróciłyśmy na nasze miejsca, Zeke Langenbacher już sobie poszedł.

— Nie uwierzysz, kogo spotkałyśmy z Ellą. Simona Tórnkvista.

— Chodzi ci o Pietruszkę, Szałwię, Rozmaryn i Tymianek?

Taki przydomek nadał Charlie Simonowi przed wielu laty, opierając się na moim opisie. Obaj mężczyźni nigdy się nie spotkali, ale Charlie jakoś doszedł do wniosku, że Simon jest długowłosym, pobrzękującym na gitarze przeciwnikiem wojny, co znacznie więcej mówiło o tym, co Charlie wie o mnie, niż o Simonie.

— Był ze swoim synem — powiedziałam.

— Przez niego wysypałam wszystkie frytki! — dodała oburzona Ella.

— Widzę, że chyba jednak nie wszystkie — zauważył Charlie i wziął sobie kilka. Ella z oburzeniem pacnęła go w ramię.

— Wydawało mi się, że Pietruszka nie chciał mieć dzieci — powiedział Charlie. — Czy nie dlatego zerwaliście?

Teraz ja się mile zdziwiłam, że ktoś tak dobrze pamięta moją przeszłość.

— Wygląda na to, że ludzie się zmieniają — rzekłam.

Zdawałam sobie sprawę, że samo istnienie Kyle'a powinno być dla mnie obrazą, a poza tym kto wie, może Simon ma więcej dzieci? Prawdopodobnie tak. Jednak prawdę mówiąc, byłam wdzięczna, że poślubiłam Charliego a nie Simona. Jakże sztywny i nieczuły był w okresie naszej znajomości, jakże nużący, co jednak zrozumiałam dopiero po fakcie. Charlie, mimo swoich wielu niedoskonałości, był zdecydowanie lepszy. Wyciągnęłam rękę i poprzez Ellę pomasaowałam mu kark.

— Co mówił Zeke Langenbacher?

— Tak sobie pogadaliśmy — odparł Charlie, wzruszając ramionami.

Brewersi wygrali 7:1. Zadowoleni i zmęczeni słońcem, wracaliśmy do domu. Kiedy wjechaliśmy na podjazd, obejrzałam się na tylne siedzenie.

— Żuczku, chciałabym, żebyś przed kolacją posprzątała zabawki.

— Gdybyś nie wiedziała, gdzie podziewa się Barbie, leży nagusieńka i rozkraczona na podłodze w gabinecie — powiedział Charlie. — Wygląda, jakby miała za sobą ciężką noc.

— Charlie — upomniałam go, marszcząc czoło. ;

— Co to znaczy „rozkraczona”? — zaciekała się Ella.

— Zwyczajnie mówię prawdę — bronił się Charlie.

— To znaczy, że ma szeroko rozłożone nogi — wyjaśniłam Elli. — Czemu jej nie ubierzesz, żeby nie zmarzła?

Kiedy wchodziliśmy do domu, dzwonił telefon. W pierwszej chwili chciałam, żeby ktoś się nagrał na automatyczną sekretarkę, ale ostatecznie postanowiłam podnieść słuchawkę, myśląc, że to Jadey z propozycją spaceru.

— Halo? — powiedziałam.

W pierwszej chwili nikt nie odpowiedział, a potem usłyszałam, jak ktoś po- ciąga nosem w znajomy sposób.

— Alice — odezwała się moja mama. — Bardzo mi przykro, ale twoja babcia odeszła.

Nigdy wcześniej nie kupowałam Elli czarnych ubrań. W zasadzie powiedzia- łam jej nawet, że małe dziewczynki nie powinny się ubierać na czarno, co teraz wypominała mi z wyrzutem, kiedy siedziałam na ławce w przebieralni w Miss n' Master, zdecydowanie za droгим butiku z ubraniami dla dzieci w Maronee. Krę- ciła się przede mną w sukience z czarnego szyfonu z rękawami z falbankami i szarfą w pasie. Zerknęła na siebie w lustrze i powiedziała z niespodziewanym zadowoleniem:

— Wyglądam jak dziewczynka z *Rodziny Addamsów*. Zapleciesz mi war- kocze na pogrzeb babci?

— Przymierz tę. — Zdjęłam z wieszaka ciemnogranatową sukienkę z białym kołnierzykiem.

Kiedy Ella ją założyła, z krzywą miną patrzyła na siebie w lustrze.

— Jest prześliczna. Czemu ci się nie podoba? — spytałam.

— Wolę tamtą.

Była czwarta po południu w czwartek, minęły cztery dni od wiadomości o śmierci babci. Pogrzeb miał się odbyć o jedenastej rano nazajutrz. Westchnęłam.

— Dobrze, kupimy czarną.

— Mogę ją założyć na Boże Narodzenie?

— Kochanie, Boże Narodzenie będzie za siedem miesięcy.

— Mogę ją założyć do Princeton?

— Potem o tym porozmawiamy. Obróć się, rozepnę ci zamek.

Przy kasie Ella zwróciła się do kobiety w średnim wieku, której miałyśmy zapłacić.

— To na pogrzeb mojej prababci, która umarła na krew w mózgu.

— Bardzo mi przykro — powiedziała kobieta, wyraźnie zaskoczona.

Dziwnie było znaleźć się w Riley bez mojej babci. W przeszłości bywałam tutaj, podczas gdy on bawiła w Chicago u Gladys Wycomb, albo przyjeżdżałam z wizytą w chwili, gdy babcia drzemała, ale zawsze, nawet pod jej nieobecność wyczuwało się jej siłę, a teraz nie było jej w ogóle. Chociaż skądże mogłam to wiedzieć, cóż tak naprawdę wiedziałam o tajemnicy życia po życiu. Może babcia była tuż obok mnie, przyglądała się, jak się obracam, by powitać ludzi siedzących w ławkach za mną w kościele Calvary Lutheran. Nie opuszczało mnie uczucie przejmującego smutku, uciskającego niczym zbyt ciasny pasek, lecz jednocześnie czułam, jak ciągnie mnie do towarzyskich przyjemności, co niezmiennie zaskakiwało mnie na pogrzebach — chwile żałobnego skupienia, momenty, w których rzeczywiście myślało się o zmarłej osobie, były czymś wyjątkowym, natomiast miało się mglistą świadomość, że się jest w kościele, częścią tłumu, recytuje modlitwy lub rozmawia z innymi żałobnikami. Na mszy zjawilo się około sześćdziesięciu osób, głównie nasi sąsiedzi, jak również Ernie LeClef, obecny dyrektor filii Wisconsin State Bank & Trust w Riley. Nie spodziewałam się aż tylu uczestników, tym bardziej że babcia miała niewielu bliskich przyjaciół, przeżyła większość swoich rówieśników, a także tych z młodszego pokolenia, w tym własnego syna.

Pastor, słabo mi znany Gordon Kluting, rozpoczął posługę słowami:

— Błogosławiony niech będzie Bóg i Ojciec naszego Pana, Jezusa Chrystusa, źródło wszelkiego miłosierdzia i Bóg wszelkiej pociechy.

Po powitaniu odśpiewaliśmy *Jezu, prowadź nas*, była litania i Psalm XXIII, potem moja mama czytała fragment Apokalipsy Świętego Jana (ledwo słyszalnie), wreszcie nadeszła moja kolej. Czytałam o ośmiu błogosławieństwach z Ewangelii Świętego Mateusza: „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie. Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni”⁵. Cieszyłam się, że ja, a nie mama czytam ten fragment, ponieważ stanowił raczej wyraz współczucia niż wiary; a po tych wszystkich latach moja wiara pozostawała zdecydowanie chwiejna. Nie zaprzeczyłabym, że świat

⁵ Mt 5,3—4, Biblia Tysiąclecia, wyd. IV 1997 (przyp. tłum.).

jest cudowny, często w niemożliwy do wyjaśnienia sposób. Ale tego, że owe cuda mają coś wspólnego z budynkami nazywanymi kościołem, sekwencjami słów wypowiedzianymi w modlitwie, nie byłam już taka pewna. Głównie odnajdywałam siebie pośród wierzących, czy to w kościele Calvary Lutheran, czy to w episkopalnym kościele Chrystusa Odkupiciela, do którego uczęszczaliśmy w Milwaukee, w pojedynczych wersetach z Biblii, czasem wyjętych z kontekstu. Na przykład z Listu świętego Pawła do Filipian: „• ja bowiem nauczyłem się wystarczać sobie w warunkach, w jakich jestem. Umieć cierpieć biedę, umieć i obfitować. Do wszystkich w ogóle warunków jestem zaprawiony: i być sytym, i głód cierpieć, obfitować i doznawać niedostatku”⁶. W prostych założeniach czy pięknym języku czułam brzmienie, którego brak mi było podczas przyjmowania komunii czy odmawiania modlitwy. (Agresywna, niepozostawiająca wątpliwości pewność Składu Apostolskiego sprawiała, że czułam się nieswojo, i ilekroć sądziłam, że nie zostanę przyłapana, nie odmawiałam go w ogóle; niestety jednak, kiedy na przykład w Wigilię siedziałam w kościele obok Priscilli Blackwell, było to ryzyko niewarte podejmowania). Uważałam, że ważne jest, aby Ella dorastała w kościele, ale wynikało to głównie z mojej troski na przyszłość, że gdyby chciała kiedyś szukać pocieszenia w religii, nie będzie musiała czynić tego z pozycji osoby postronnej. W tej sytuacji na ironię zakrawało, że to ja pilnowałam, abyśmy w weekendy chodzili do świątyni Chrystusa Odkupiciela. Świeżo po przeprowadzce do Milwaukee Charlie traktował to z entuzjazmem, myślę jednak, że bardziej czynił to ze względu na umocnienie naszej pozycji jako małżeństwa, niż z potrzeby wiary, przed którą raczej się uchylał. W jego mniemaniu istniał oczywiście Bóg; należało się do Niego modlić, zwłaszcza w Boże Narodzenie i Wielkanoc, a także w ciężkich chwilach, i nie, nie było nic złego w obarczaniu Go najmniejszymi nawet troskami (Bóg odgrywał tu rolę podobną do tej, jaką pełnił konsjerż w eleganckim hotelu). W ostatnich latach Charlie coraz mniej gorliwie chodził do kościoła i zdarzało się, że wraz z Ellą szliśmy na mszę same; Ella uczęszczała do szkoły niedzielnej, którą uwielbiała z powodu dziewiętnastoletniej nauczycielki o imieniu Bonnie, posiadaczki sztucznego oka. Gdy dzieci były grzeczne, wyjmowała je dla nich. Jak z powagą poinformowała mnie Ella, Bonnie straciła oko w wieku trzech lat, kiedy to jej starszy brat strzelił w nie gumką, Bonnie jednak już dawno mu przebaczyła, ponieważ, jak przypomniała mi Ella, cytując Jezusa: „Jeśli bowiem przebaczycie ludziom ich przewinienia, i wam przebaczy Ojciec wasz niebieski”⁷.

Kończyłam swoje czytanie, gdy podniosłam oczy i mój wzrok padł na Harolda Blackwella siedzącego w przedostatniej zajętej ławce. Wtedy po raz pierwszy

⁶Flp 4,11— 12, Biblia Tysiąclecia, wyd. IV 1997 (przyp. tłum.).

⁷Mt 6,14, Biblia Tysiąclecia, wyd. IV 1997 (przyp. tłum.).

poczułam łzy napływające mi do oczu. Nawet Jadey nie przyjechała — powiedziała jej, że nie ma takiej potrzeby, co jak wyczułam, przyjęła z ulgą. Zrozumiałam, że Harold musiał specjalnie przyjechać do Wisconsin. I choć babcia osobiście nie pochwałała jego politycznych przekonań, poczułam się silnie wzruszona. Kiedy wróciłam na swoje miejsce w pierwszej ławce, wślizgując się obok Larsa i mamy pomiędzy Ellę i Charliego, Charlie ścisnął mnie za rękę.

— Świetnie sobie poradziłaś — szepnął.

Po homilii pastor Kluting wygłosił mowę pochwalną, która nie oddawała tego, kim była moja babcia — między innymi nazwał ją filarem społeczności Riley — i po Składzie Apostolskim, Ojciec nasz i modlitwie za zmarłych, odśpiewaliśmy na koniec *Unieśmy krzyż*. Znowu ścisnęło mnie w gardle. Nie dlatego, że pieśń odnosiła się do mojej babci, ale dlatego, że tę pieśń słyszałam i śpiewałam, odkąd byłam dzieckiem, więc gdy zagrały organy i w kościele rozbrzmiały głosy przybyłych — przynajmniej części z nich — którzy znali moją rodzinę, ogarnął mnie wielki smutek. Och, jakże inne byłoby moje życie, gdybym dorastała bez babci, jakże uboższe i nudniejsze! Dzięki niej stałam się zapaloną czytelniczką, co z kolei mnie ukształtowało, i jestem tym, kim jestem; zaszczepiła we mnie ciekawość i współczucie, świadomość świata jako dziwnego, żywiołowego i pełnego przeciwieństw miejsca, i pozwoliła mi wyzbyć się lęku przed dziwnością, żywiołowością, i przeciwnościami. Czy wyszłabym za Charliego, gdyby nie moja babcia? Z całą pewnością nie. Nie wyszłam za niego dlatego, że tak dobrze się o nim wyrażała na początku, lecz z powodu cech, które były im wspólne, tego, co ceniłam w nim, ponieważ najpierw ceniłam to w niej: łobuzerstwa, poczucia humoru, lekceważenia, inteligencji. Teraz Charlie stał obok mnie, kątem oka widziałam jego szary garnitur i pomyślałam, czy moja babcia nie miała przypadkiem racji także we wszystkich innych sprawach? Począwszy od mody poprzez edukację, przerwanie ciąży, w którą zaszłam w wyniku pomyłki. Gdyby mi się nie przyglądała, czy odgadłaby błędnie? I w związku z tym czy możliwe, że mogłaby się pomylić co do niego?

Jej trumna znajdowała się na specjalnym wózku. Rolę grabarzy pełnili mężczyźni z biura dyrektora zakładu pogrzebowego. W takt ostatniego wersu pieśni ruszyli nawą, za nimi pastor i członkowie rodziny. Zauważyłam, że mama posyła zebranych uśmiechy wzorowej gospodyni, jednocześnie płacząc. W samochodzie w drodze na cmentarz — nie wynajęliśmy limuzyny, nawet wtedy w Riley tak się nie robiło — Charlie prowadził, ja siedziałam obok, Ella z tyłu. W pewnym momencie moja córka nachyliła się i poklepała mnie w ramię. Kiedy się odwróciłam, była skupiona, jakby poważnie zastanawiała się nad *czymś*.

— Myślę, że babuni podobałaby się moja sukienka — stwierdziła.

Na stypie, która odbyła się w naszym domu przy Amity Lane, w chwili gdy stawiałam na stole miskę z sałatką za moimi plecami pojawił się Charlie.

— Będiesz chciała zostać tu nieco dłużej czy też już pojedziemy? — zapytał.

Przeżuwał ostatni kęs czegoś' — chyba chrupki ziemniaczanej z dipem be—konowo— serowym podawanym na zimno, które to danie widywałam wyłącznie na pogrzebach — przełknął i wytarł ręce w koktajlową serwetkę.

— Śpieszysz się?

— Nie chciałbym cię naciskać, i jeżeli musisz tu wszystkiego dopilnować, może Ella i ja zabralibyśmy się z tatą. Tak sobie tylko pomyślałem.

Prawie wszyscy obecni na pogrzebie rozproszyli się teraz po naszym salonie i jadalni. Ceremonia pochówku trwała krótko i przed piętnastoma minutami przyjechaliśmy do domu. Wtedy podszedł do nas Harold, stanął pomiędzy Charliem a mną i każdemu z nas położył rękę na plecach. (Od przyjazdu do domu wyczuwałam, że pozostali goście są świadomi obecności Harolda, trącają się nawzajem i szepczą: „To chyba gubernator Blackwell”. Harold jednak albo tego nie zauważał, albo tak do tego przywykł, że nie zwracał uwagi).

— Alice, w imieniu całej naszej rozległej rodziny pragnę cię zapewnić, że nasze serca są dzisiaj z tobą i z twoją babcią — powiedział.

— Bardzo miło z twojej strony, że przyjechałeś — odparłam.

— A gdzie indziej mógłbym być? Przecież to w tej chwili najważniejsze. Przykro mi jedynie, że muszę się już zbierać, ponieważ wieczorem wygłaszam przemówienie w San Diego. Zapewne potrafisz sobie wyobrazić, jak Priscilla żalowała, że nie może tu być.

— Oczywiście — skinęłam głową.

— Nawet nie wiesz, jak bardzo cię wszyscy kochamy — powiedział, a kiedy objęliśmy się w uścisku, pomyślałam, że nic tak mnie nie ujmuje, jak sentymentalizm Harolda Blackwella. To wystarczyło, bym zaczęła się zastanawiać, czy równie źle jak jego oceniałam też innych polityków wybieranych na oficjalne urzędy. Czy byli inni mężczyźni (głównie oni), którzy nie stwarzali fałszywych pozorów prawości i uczciwości, ale wręcz przeciwnie: jawili się fałszywie okrutni, fałszywie szorstcy? Mężczyźni o zniekształconym przez media wizerunku lub poniekąd zmuszeni do określonych zachowań, którzy sublimowali, przynajmniej na użytek publiczny, własną przyzwoitość i dobroć?

Uściskawszy mnie, Harold poklepał Charliego w ramię.

— Uważaj na nią, synu — powiedział.

— Myślisz, że w twoim Batmobilu znajdzie się miejsce dla dodatkowych dwóch osób? — brzmiała odpowiedź Charliego.

— Kochanie, możesz przecież zostać — powiedziałam. — Nie będziesz nikomu przeszkadzać.

Charlie wyraźnie starał się unikać mojego wzroku.

— Tak, tylko widzisz, wyskoczyło mi coś pilnego. I to bardzo, bo inaczej, przecież wiesz, spróbowałbym to przełożyć.

— Twoi bracia na pewno zrozumieją, że dzisiaj jesteś potrzebny Alice — powiedział Harold.

— O co chodzi? — zapytałam.

Charlie się zawahał.

— Wolałbym nie wchodzić w szczegóły. Słowo honoru, powiem wam obojgu natychmiast, jak tylko będę mógł. Lindy, jak myślisz, uda ci się wrócić do domu przed wpół do szóstej?

— Na pewno nie możesz powiedzieć, o co chodzi?

Jego wargi rozciągnęły się w przepaszającym uśmiechu.

— Daj mi kilka dni, dobrze? To wyskoczyło zupełnie nagle i wolałbym o niczym nie mówić, dopóki nie będzie mniej więcej pewne. — Tu zwrócił się do ojca. — Pójdę po Ellę i spotkamy się przed domem? — Pochylił się i pocałował mnie. — Do zobaczenia przy kolacji?

Kiedy Charlie odszedł, czułam, że oboje z Haroldem jesteśmy jednakowo załopotani — w końcu on był ojcem, ja żoną Charliego.

— Spodziewam się, że wyciągniesz z niego wszystko, zanim dojedziecie do domu, i oczekuję pełnego raportu — powiedziałam z udawaną swobodą. Tak naprawdę na nic podobnego nie liczyłam.

— Zupełnie jak z filmu z gatunku płaszczka i szpady, nie sądzisz? — Harold pokręcił głową. — Daj znać, gdybyś czegoś potrzebowała.

Jako jedna z ostatnich wychodziła ze stypy Lillian Janaszewski, mama Deny. Wynosiłam już talerze i szklanki do kuchni, kiedy mnie zaczepiła.

— Alice, nie usiadłaś ani na chwilę — powiedziała. — Jesteś zupełnie jak Dorothy.

— Dziękuję, że pani przysłała — odparłam. — Cieszę się, że panią widzę.

Powtarzałam te słowa lub podobne tyle razy w ciągu całego dnia, że wyowiadałam je już jak automat, podobnie jak mikrosprawozdania na temat mojego życia czy przelotne wspomnienia o mojej babci: „Tak, Charlie i ja wciąż mieszkamy w Milwaukee. Ella ma już dziewięć lat, kończy trzecią klasę. Jest tam, tak, to ona, z tymi długimi włosami”. Albo: „Właśnie wyszła — wiem, przykro mi, że minęliście się z nią. Charlie i ja mamy prawdziwe szczęście”. Lub: „Wiem, moja babcia była cudowna, prawda?”. Ta część pogrzebu także miała niewiele wspólnego z moją babcią jako osobą, lecz wynikała raczej z poczucia przyzwoitości. Kiedy słuchałam siebie, czułam, że postępuję nielojalnie. Czy miałam jednak alternatywę? Jak miałam podzielić się z innymi swoimi żywymi i prawdziwymi wspomnieniami o niej? „Uważała, że Riley jest raczej nudne. Wspaniale grała w brydża. Nigdy nie kiwnęła palcem, żeby coś ugotować czy posprzątać, nawet kiedy była młodsza i sprawniejsza i bez trudu mogła to robić, poza tym nieustannie paliła, nawet w obecności swojej wnuczki. Lubiła *Annę Kareninę*, bo podobały się jej postaci, natomiast *Wojnę i pokój* uważała za nużąco polityczną, do końca swoich dni była na bieżąco z modą, rozpaczając nad trendem noszenia dresów przez cały dzień; twierdziła też, że sukienki Laury Ashley wyglądają, jakby były przeznaczone dla chłopek. Pozostawała w długoletnim związku z inną kobietą, o czym nigdy tak naprawdę nie rozmawialiśmy, a kiedy się rozstali, w zasadzie również o tym nie mówiła”. Pewne aspekty prawdziwego ja mojej babci nie powinny być interesować zgromadzonych gości, podobnie jak prawdziwe ja każdego z nas może być sprawą tylko niewielkiego kręgu najbliższej rodziny czy przyjaciół. Tak czy owak, powtarzałam sobie, powierzchowne uwagi nie są w stanie przyćmić czy obrazić zmarłych, tak samo jak tęsknota za nimi nie może ich nam przywrócić.

Pani Janaszewski ujęła moją rękę, a jej skóra była zaskakująco chłodna jak na takie ciepłe majowe popołudnie.

- Serce mi się kraje, kiedy pomyślę o tobie i Denie — powiedziała.
- Wiesz, że znowu tu mieszka?
- Już nie zajmuje się swoim sklepem?
- Ubrania to trudny biznes, Alice — rzekła pani Janaszewski z żalem.
- Klienci są kapryśni, a w Madison można polegać tylko na studentach.

Zdziwiłam się, ponieważ w sklepie Deny, ilekroć do niego zajrzałam, zawsze roilo się od klientów. Potem sobie uświadomiłam, że ostatni raz byłam w nim ponad dziesięć lat temu; chociaż od czasu do czasu jeździłam do Madison — na lunch z Ritą Alvin, dawną przyjaciółką z Liess, lub obejrzeć wystawę w Elvehjem Museum — unikałam State Street, bo robiło mi się smutno.

— Dena pracuje teraz w restauracji ze stekami w nowym centrum handlowym, ale najważniejszą nowiną jest, że ma narzeczonego na stałe — powiedziała pani Janaszewski. — Powinnaś go znać — to Pete Imhof.

Podejrzewam, że na mojej twarzy odmalowało się przerażenie, ponieważ pani Janaszewski uniosła dłoń do ust.

— Och, Alice, przecież to brat... Och, zupełnie zapomniałam o... Wybacz mi.

— Nie, nie, to było już tak dawno temu — odparłam, czując się tak samo niełojalnie wobec Andrew, jak przed chwilą wobec babci.

Jestem gotowa umniejszyć swój smutek ze względów towarzyskich — ta rozmowa o niczym nie jest ważniejsza od naszej historii, wspomnienia o tobie — z tym że nowina przekazana przez panią Janaszewski naprawdę mnie zaniepokoiła. Dena spotyka się z Petem? Przecież Pete był koszmarny! Dena była wesoła, śliczna, ciężko pracowała, a Pete był nieuczciwym kłamcą; był kretynek. Ciekawe, czy Dena go utrzymuje. Jak się zeszli? Czy to w ogóle możliwe — ze względu na nią miałam taką nadzieję — że się zmienił od czasów, gdy oszukał moją matkę? A potem pomyślałam sobie, że skoro Dena i Pete są razem, ona na pewno opowiedziała mu o mojej aborcji. O mój Boże — po tylu latach miał się dowiedzieć o mojej ciąży — czy jest na mnie wściekły? Czuje niesmak, zawód, a może ulgę, że sama wszystkim się zajęłam?

— Od jak dawna są ze sobą? — zapytałam panią Janaszewski.

— Och, już prawie rok. Dena powtarza: „Mamcia, przestań się wypytywać, kiedy weźmiemy ślub. Jak będę miała ci coś do powiedzenia, na pewno to zrobię”.

Gyby więc Pete chciał mnie odnaleźć, doprowadzić do konfrontacji, czy nie zrobiłby tego już dawno? Jeżeli Dena mu nie powiedziała, czy możliwe jest, że zapomniała? Wydawało się to mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. Choć minęło już tyle lat, Charlie i Dena byli jedynymi ludźmi, którym powiedziałam; zwierzenie się Jadey wydawało mi się zbyt ryzykowne.

— Na pewno cieszy się pani, że Dena mieszka tak blisko? — powiedziałam.

— Mieszka przy Colway Avenue — odparła pani Janaszewski. — Cóż, nie wiem tak do końca, co między wami zaszło, ale o ile znam Denę, wiem, że ucieszyłaby się, gdybyś się do niej odezwała. Dam ci jej numer, idzie do pracy dopiero o piątej — załóż się, że jest teraz w domu.

— Niestety, niedługo muszę wracać do Milwaukee. — Skrzywiłam się, jakbym nie tęskniła za powrotem do własnego życia, własnego domu, łóżka, kuchni

i przyzwyczajęń. — Ella i Charlie już pojechali. Ale cieszę się, że u Deny wszystko w porządku.

— Obie wiemy, że potrafi być uparta, ale byłyście sobie takie bliskie. Dawniej myślałam, że Alice to czwarta siostra, szkoda tylko, że moje własne córki nigdy nie były takie grzeczne.

Zaskoczyło mnie, że Dena nie powiedziała matce, dlaczego skończyła się nasza przyjaźń. Gdyby jednak to zrobiła, czy pani Janaszewski odnosiłaby się do mnie tak serdecznie? Nigdy nie czułam się aż tak winna, jak uważała Dena, ale też nigdy nie sądziłam, że nie ponoszę żadnej odpowiedzialności; możliwie jak najrzadziej starałam się pamiętać, że mój związek z Charliem mógł rozkwitnąć kosztem przyjaźni z Deną. Teraz, wiedząc już, że spotyka się z Pete'em Imhofem, starałam się nie zastanawiać, czy poza aborcją dzielili się innymi spostrzeżeniami na mój temat.

— Może kiedy przyjadę następnym razem — odparłam pani Janaszewski, siłując się, aby zabrzmiało to, jakbym żałowała.

Kiedy wszyscy już sobie poszli, Lars, mama i ja usiedliśmy w salonie, mama bokiem na kanapie, z wyciągniętymi przed siebie nogami w czarnych spodniach, opierając stopy w czarnych pończochach o kolana Larsa, który masował je, myślami błądząc gdzie indziej. Czułam się odrobinę niezręcznie, patrząc na ich bliskość, ale też uważałam, że to urocze. Nigdy wcześniej nie cieszyła mnie tak obecność Larsa, jak właśnie dzisiaj: wiedziałam, że kiedy wyruszę w drogę powrotną do Milwaukee, on tu zostanie.

— Nie chcę być niemila, ale czy widziałaś tę zapiekankę nacho, którą przyniosła Helen Martin? — spytała mama. — W życiu o czymś takim nie słyszałam!

Mama była w zadziwiająco dobrym nastroju; podejrzewam, że odetchnęła z ulgą, kiedy wszyscy goście sobie poszli.

— Nie, była całkiem smaczna — zauważył Lars. — Trochę ostra, ale nie za bardzo.

— Ale nazywa się tak śmiesznie. — Mama spojrzała w stronę, gdzie siedziałam na fotelu, jednym z nielicznych sprzętów, jakie zjawiły się w domu wraz z Larsem. — Próbowowałaś jej, kochanie? — zapytała.

Pokręciłam głową.

— Za to zjadłam aż nadto czekoladowych ciasteczek pani Noffke. — Zadzwoił telefon (mama wreszcie zamieniła stary, czarny z tarczą na kremowy z

przyciskami do wybierania) i idąc do kuchni, by go odebrać, mówiłam dalej. — Myślicie, że dodała do nich orzechów? Halo?

— Wciąż tam jesteś? — zapytał Charlie.

Spojrzałam na zegarek.

— Jeszcze nie ma nawet wpół do szóstej.

— Wyjeżdżasz już czy jeszcze jakiś czas zostaniesz?

— Charlie, mówiłam ci, że wrócę na kolację.

— Masz może numer do Shannon? Chcę do niej zadzwonić i spytać, czy nie zostałaby z Ellą.

— Wątpię, by dała radę tak bez uprzedzenia.

W drzwiach do kuchni stanęła moja mama i pytająco zmarszczyła brwi. Zasłoniłam ręką słuchawkę.

— Nic się nie stało. To tylko Charlie.

— Tylko Charlie, tak? — burknął Charlie, kiedy mama wróciła do pokoju.

— Wiesz, co chciałam powiedzieć. — Nastąpiła chwila milczenia. — Naprawdę chciałabym wiedzieć, co to za tajemniczą sprawę masz do załatwienia — odezwałam się w końcu.

Westchnął.

— Pamiętasz, jak w niedzielę na meczu rozmawiałem z Zekiem Langenbacherem? Cóż, otóż zaprosił mnie na drinka. To może być wielka okazja. W tej chwili nic więcej nie mogę powiedzieć, ale uwierz mi, to naprawdę coś.

— Będziesz dla niego pracował?

— Nie do końca. Słuchaj, masz ten numer do Shannon? Obiecuję, że wszystko ci wyjaśnię.

— Sprawdź na lodówce. Albo nie. Wiesz co, nie dzwoń do niej. Ja zaraz wsiadam do samochodu. O której umówiłeś się z Zekiem? — Zerknęłam na zegarek; było dwadzieścia po piątej, a dojazd do Maronee zajmie mi jakieś pięćdziesiąt minut.

— O szóstej trzydzieści — odparł Charlie.

— W takim razie dobrze.

— Ale nie w klubie, tylko w biurze Langenbachera w mieście.

— Tylko proszę cię, nie zostawiaj Elli samej w domu. Gdybyś musiał już wychodzić, a mnie jeszcze nie będzie, zawieź ją do Arthura i Jadey.

— Jestem ci wdzięczny — powiedział Charlie. — Hej, a co tam u was sły-
chać?

— Wszystko w porządku.

— Jesteś zła?

— Muszę kończyć.

— Pospiesz się, okay? — powiedział. — Nie chcę wyjść na totalnego dupka, ale to jest naprawdę ważne.

— Postaram się przyjechać najszybciej, jak potrafię. — Słyszałam napięcie, niemal sarkazm we własnym głosie, tym razem jednak Charlie nie skomentował tego.

Znalazłam torebkę tam, gdzie ją zostawiłam, na krześle w kuchni, i wzięłam ze sobą do salonu.

— Chyba będę się już zbierać — oznajmiłam.

— Na domowym froncie wszystko w porządku? — zapytał Lars.

— Charlie pytał, czy nie mogłabym przemyścić trochę zapiekanki nacho do Milwaukee — odrzekłam. — Twierdzi, że nawet byście się nie zorientowali. — Lars co prawda się roześmiał, ale mama była dziwnie poważna; nastrój w pokoju zdecydowanie uległ zmianie po moim wyjściu do kuchni. — Mamo, dobrze się czujesz?

Mama przechyliła głowę na bok.

— Wciąż mi się wydaje, że poszła do siebie na górę, żeby poczytać. ,

Doskonale ją rozumiałam; teraz, kiedy skończyło się całe zamieszanie

związane z planowaniem i przygotowaniami do pogrzebu, została nam już tylko długa przyszłość bez babci. Czy Lars mimo wszystko zdoła wypełnić pustkę w domu, dotrzymać mojej mamie towarzystwa?

— Może rzeczywiście poszła — powiedziałam ze znacznie większym przekonaniem i optymizmem, niż odczuwałam.

Nasz dom w Maronee był wybudowany w 1922 roku, w georgiańskim stylu kolonialnym, z zewnątrz pomalowany na bladożółty kolor — zanim go kupiliśmy, był biały, ale przemalowaliśmy go jakieś pięć lat temu i uważałam, że żół-

ty jest łagodniejszy — miał dwie niezwykle wysokie jońskie kolumny po obu stronach frontowych drzwi, które podtrzymywały trójkątne zwieńczenie, pełniące czysto dekoracyjną funkcję. Przeważnie, kiedy skręcałam na podjazd, nasz dom jawił mi się jako zwyczajny, po prostu nasz dom; czasami jednak, gdy wracałam z jakiegoś wyjazdu, albo tak jak dzisiaj — z Riley, docierało do mnie, jaki jest ogromny, zwłaszcza dla trzech osób. Stał na działce mającej cztery tysiące metrów kwadratowych, porośniętej miękką trawą (raz na tydzień strzyżoną przez ogrodników z firmy ogrodniczej Glienke & Sons), na której w nieregularnych odstępach rosły wysokie dęby, wiązy i topole, dające cień i oddzielające nas od drogi. Podjazd pokrywał gładki asfalt, garaż na trzy samochody był wolno stojący i również żółty; co prawda mieliśmy tylko dwa samochody, ale pozostałą wolną przestrzeń udało nam się skutecznie zapełnić rowerami, stojakami, drabiną i wszelakim asortymentem domowych gratów. Tego wieczoru, kiedy wjeżdżałam na naszą posesję, zobaczyłam Elle i Charliego grających we frisbee na trawniku przed domem. Ella była boso, ale wciąż w sukience z pogrzebu. Kiedy zatrzymałam się na podjeździe, Charlie uniósł lewe ramię w geście będącym w połowie machnięciem, w połowie znakiem sygnalizującym koniec, a Ella rozpoczęła taniec, o ile wiem, wymyślony przez nią: położyła obie ręce na głowie, unosząc palce wskazujące niczym antenki i posuwała się w bok małymi susami. Wieczorne słońce złotymi plamami przeświecało przez liście i chociaż byłam poważnie zirytowana na Charliego, pomyślałam sobie, jakimi jesteśmy szczęściarzami; naprawdę nie byłam pewna, czy to w porządku.

Wcisnęłam hamulec i opuściłam szybę w oknie.

— Tatuś posłał mi niedźwiedzi pazur, a ja złapałam! — krzyknęła do mnie Ella.

— Żuczku, sukienka wytrzyma o wiele dłużej, jeżeli nie będziesz w niej tak szaleć — stwierdziłam. — Pójdziemy do domu i się przebierzesz.

— Dzięki, że wróciłaś — odezwał się Charlie. — Ratujesz mi życie, Lindy.

— Jesteś jak czekolada, Lindy — powiedziała Ella, a Charlie roześmiał się i musnął dłonią czubek jej głowy.

— Mogę wziąć twój samochód? — zwrócił się do mnie. Otworzył drzwi od strony kierowcy i wykonał zamaszysty gest ręką. — Madame. — Chciałam wyłączyć silnik. — Zostaw kluczyki w stacyjce — powiedział.

Kiedy wysiadałam, pocałował mnie w pośpiechu w usta i wślizgnął się na moje miejsce.

— *Adios, amigo* — zawołał do Elli. — Powinienem wrócić o dziesiątej — dodał, tym razem do mnie.

— Moja torebka! — zawołałam, kiedy zaczynał już wycofywać.

Sięgnął i rzucił mi torebkę przez otwarte okno, a ja jakimś cudem ją złapałam.

— Świetna robota, łapaczu — krzyknął.

Wyjechał tyłem z podjazdu i w jednej chwili zniknął.

— Nigdy tego nie rób — powiedziałam do Elli.

— Mam szybko nie jeździć?

— To też, ale przede wszystkim nigdy nie rzucaj torebką mamy.

Weszliśmy do domu, gdzie Ella przebrała się w szorty, po czym wróciłyśmy na zewnątrz, bo chciała jeszcze pograć we frisbee. Porzuciłyśmy kilka razy, po czym Ella stwierdziła obojętnie:

— Nie jesteś taka dobra jak tato.

— Brakuje mi praktyki — odparłam.

Kiedy wystarczająco się zmęczyła, wróciłyśmy do domu, gdzie puściłam jej wodę do wanny na kąpiel, a gdy przyszła pora mycia włosów, zawołała mnie. Chociaż dawniej sądziłam, że nie będę chciała, aby moja córka miała długie włosy, teraz ich mycie było jednym z moich najbardziej ulubionych rytuałów. W dalszym ciągu używałam do nich szamponu dla dzieci Johnsona, z różową kroplą na etykietce i napisem NO MORE TEARS — koniec z łzami. Podejrzewałam, że niedługo zauważy tę etykietkę i zdenerwuje się, że to szampon dla dzieci, ale jak dotąd jeszcze nie protestowała. Siedziała naga, ze skrzyżowanymi nogami, plecami oparta o wannę, a ja masowałam jej głowę. Panowało przyjazne milczenie, Ella od czasu do czasu burzyła powierzchnię wody, poruszając kciukiem i palcem środkowym. Spłukałam szampon prysznicem, a kiedy wyszła z wanny, czekałam na nią, siedząc na zamkniętym klozecie z ręcznikiem w pogotowiu. Owinęłam ją i mocno przytuliłam.

— Mamusiu — zaczęła.

— Słucham?

— Umiem podnieść ołówki palcami u stóp.

Nie przestawałam jej tulić.

— Od kiedy?

— Christine mnie nauczyła. Chcesz zobaczyć? <

— Pokażesz mi, ale najpierw włóż piżamę.

Tego wieczoru czytałam jej, nie po raz pierwszy, *Drzewko darów*. Dotarłyśmy do miejsca, w którym chłopiec zrywa jabłka, żeby je sprzedać, kiedy wy-
czułam, że Ella już usnęła — obie leżałyśmy wsparte o wezgłowie łóżka. Prze-
czytawszy jeszcze kilka stron, zmieniłam pozycję, żeby móc na nią spojrzeć.
Rzeczywiście, oczy miała zamknięte. Powinnam była wtedy odłożyć książkę i
zgasić światło, ja jednak czytałam dalej, aż doszłam do ostatniej strony.

Jak zobaczyłam na cyfrowym zegarku przy łóżku, minęła już pierwsza w no-
cy, kiedy Charlie położył się obok mnie.

— Złapałeś gumę? — mruknęłam zaspanym głosem.

— Cii — szepnął. — Spij dalej.

Kiedy tak leżałam w ciemności, zamiast znów się pogrążyć we śnie, nagle
poczułam się rozbudzona. Mój umysł oprzytomniał i pomyślałam sobie: „Gdzie
u licha podziewał się Charlie?”. Bez wątplenia był to najdłuższy dzień w moim
życiu.

Kiedy się odezwałam, mój głos brzmiał już zupełnie normalnie.

— Musisz mi powiedzieć wszystko, i to teraz.

Natychmiast przewrócił się na bok i objął mnie, a kiedy mówił, ciepłym od-
dechem owiewał mi policzek. Wyczuwałam, że jest podekscytowany.

— Nie, nie, wszystko jest w porządku. Wszystko jest w s p a n i a l e .

— Jego radosny, szczęśliwy nastrój wypełnił naszą pogrążoną w ciemności
sypialnię. — Kupuję Brewersów — dodał.

W sobotę miało być otwarcie basenu w Maronee Country Club — zaczynał
się właśnie weekend Memorial Day — i Ella uparła się, żebyśmy zjawiły się
punktualnie o dziewiątej. Najpierw jednak pojechałyśmy po Jadey i Winnie. Kie-
dy wyłoniły się z domu, monstrualnej budowli w stylu Tudorów, zauważyłam, że
Winnie ma na sobie czerwone bikini, z miseczkami stanika płasko przylegający-
mi do jej piersi dwunastolatki.

— Mówiłaś, że póki nie ma się szesnastu lat, bikini nie jest odpowiednie!

— odezwała się Ella z tylnego siedzenia.

— Każda rodzina ma swoje własne zasady.

— Przecież Winnie należy do n a s z e j rodziny!

— Porozmawiamy o tym później — powiedziałam szybko, ponieważ Jadey i Winnie już prawie wsiadały do naszego samochodu. Jadey wbrew temu, co opowiadała, że rzekomo musi schudnąć, również włożyła bikini (Brawo, Jadey! — pomyślałam), co dostrzegłam przez prześwitującą lnianą tunikę. Na głowie miała okulary słoneczne przytrzymujące jej włosy, na ramieniu niosła wielką płócienną torbę z granatowymi paskami i granatowym monogramem. Kiedy wsiadały do samochodu, zauważyłam, że obie mają paznokcie pomalowane na identyczny czerwony kolor.

Na tylnym siedzeniu dziewczynki natychmiast wdały się w ożywioną dyskusję (Winnie była niezwykle miła dla Elli, bardzo opiekuńcza, co potwierdzało moje przekonanie, że Jadey i Arthur są dobrymi rodzicami).

— Jak udał się pogrzeb? — zapytała Jadey, siadając obok mnie. — Jeśli w ogóle można w ten sposób pytać o pogrzeby.

— Nie najgorzej.

— Wydaje mi się, że twoja babcia była świetną starszą panią. — Jadey wyjęła z torby puszkę dietetycznej coli i otworzyła ją. — Szkoda, że nie poznałam jej lepiej. — Kiedy wyjeżdżałam sprzed ich domu w Maronee Driver, Jadey otworzyła okno od swojej strony, po czym odwróciła się do tyłu. — Ello, słyszałam, że w tym roku będziesz należała do drużyny pływackiej. Z a k o c h a s z się w pani trenerce Missy. Zobaczycie, dziewczyny, to będzie najlepsze lato pod słońcem.

Chociaż spędzaliśmy lipiec i częściowo sierpień w Halcyon, opuszczenie połowy sezonu pływackiego nie budziło protestów, ponieważ większość rodzin należących do klubu również wyjeżdżała do swoich wakacyjnych domów.

Nie my jedne zjawiłyśmy się punktualnie na otwarcie basenu i na parkingu panował istny chaos wywoływany przez dzieci, mamy, kilku ojców i nastolatki. Maronee Country Club był niczym jedno z tych absurdalnie małych księstw, dajmy na to Liechtenstein. Znajdował się na obszarze dwudziestu czterech hektarów, z czego większość zajmowało osiemnastodołkowe pole golfowe. Sam klub mieścił się w niezwykle długim prostokątnym budynku pokrytego białym stukiem — zawsze przywodził mi na myśl tort weselny — z mnóstwem ogromnych foteli na biegunach na frontowej werandzie i amerykańską flagą powiewającą na kopule. Samochody odstawiał parkingowy, co uważałam za głupotę, bo równie dobrze mogłam to zrobić sama. Główna jadalnia mieściła się na pierwszym piętrze. W niej odbywały się przyjęcia weselne i bale debutantek, i stąd jesienią i

zimną w co drugi piątek usuwano wszystkie stoły i krzesła na lekcje tańca, w których uczestniczyli uczniowie szóstych i siódmych klas. Na niższym poziomie znajdowała się skromniejsza jadalnia, znana jako pokój sportowy, gdzie zanim moi teściowie przeprowadzili się na wschód, Harold, Ella i ja spotykaliśmy się czasem na sobotnim lunchu i jedliśmy kanapki Monte Christo lub z bekonem, sałata i pomidorami. W drugim budynku, przylegającym do budynku klubu, mieściły się siłownia, boiska do squasha, szatnie i hol, gdzie prawie na pewno można było spotkać siedzące czwórkami siedemdziesięcioletnie matrony grające w brydża, a w barze studentów college'u w białych strojach, spoconych po grze w squasha (w państwie Maronee Country Club picie alkoholu dozwolone było w każdym wieku). Korty tenisowe rozciągały się pomiędzy budynkiem klubowym a drogą. Było ich co najmniej dwanaście, na środku znajdował się sklep tenisowy, gdzie gracze mogli napić się wody, naprawić naciąg w rakiecie, kupić firmowe stroje lub spierać się, czy Björn Borg jest największym tenisistą wszech czasów (golfiści mieli podobne pomieszczenie i specjalny parking, gdzie stały wózki golfowe). Korty tenisowe stanowiły barierę pomiędzy klubem a drogą, od której odgradzała je wysoka na osiem metrów siatka. Każdy, kto się do niej zbliżał, słyszał tępy odgłos odbijanych piłeczek.

Oczywiście główną atrakcją dzisiejszego poranka stanowił ogromny, majestatyczny, połyskujący błękitem basen, który począwszy od weekendu Memoriał Day i na weekendzie Dnia Pracy skończywszy, w magiczny sposób przyciągał zarówno dzieci, jak i dorosłych. Rozciągał się na tyłach budynku klubu i kiedy sześć lat wcześniej, w czasie przyjęcia weselnego Polly Blackwell (kuzynki Charliego w pierwszej linii), o zmroku w czerwcowy wieczór wyjrzałam przez okno w jadalni, miałam wrażenie, że spoglądam na jezioro z bajki. Miał olimpijskie rozmiary, granatowe liny wyznaczające tory i głęboką wodę na południowo— wschodnim krańcu (płytko nie była taka sama jak w baseniku dla dzieci, który stanowił odrębną całość; jak można się domyślić, to, że woda była względnie ciepła, stało się źródłem niekończących się żartów), przy którym znajdowała się prowadząca na teren basenu pomalowana na czarno żelazna furtka; od północnej strony rozciągał się trawnik, gdzie podczas mityngów zbierały się drużyny pływackie, a przez pozostałą część czasu opalały młode dziewczyny; od południa mieścił się basen dla dzieci, stanowisko rejestracji, gdzie również otrzymywało się ręczniki (nikt nie przynosił własnych), betonowe stopnie wiodące do damskiej i męskiej szatni (co roku latem jakieś zagubione dziecko trafiało do niewłaściwej) oraz bar z przekąskami. (Żadne zapachy i dźwięki nie działają na mnie silniej od połączenia woni smażonego jedzenia spożywanego w południowym słońcu i rozbrzmiewających w tle plusków wody oraz krzyków dzieci. Kiedy teraz o tym myślę — o normalnym życiu — ogarnia mnie nostalgia). W żadnym z barów, jadalni klubowej, pokoju sportowym czy sklepikach tenisowym i golfowym, ani w ogóle nigdzie na ęałym terenie klubu nie płaciło się gotówką.

Dostawało się natomiast krótki zielony ołówek bez gumki z napisem **MARONEE COUNTRY CLUB**, którym podpisywało się rachunki z podpiętą od spodu kalką; ja pisałam pani Charles V. Blackwell. Pod koniec miesiąca dostawaliśmy do domu podliczony kompletny rachunek z wyszczególnionymi wszystkimi pozycjami.

Najlepsze, ale i najgorsze — w zależności od nastawienia towarzyskiego, jakie akurat miałam — było to, że znaleźmy prawie wszystkich należących do klubu. Wyjście na kolację przypominało wyjście do restauracji, w której wszystkie twarze były znajome. Przeważnie było to miłe, dawało silniejsze poczucie przynależności, niż kiedykolwiek zdarzało mi się w Riley. Czasem jednak, zwłaszcza kiedy mi się spieszyło — gdy na przykład Ella brała udział w urodzinowym przyjęciu nad basenem, a ja musiałam szybko ją odebrać — niechętnie witałam się z siedmioma osobami, pytałam Joannie Sachs: „Czy we Francji było wspaniale?“, albo oznajmiałam Sandrze Mahlberg: „Twoja szwagierka przygotowała ostatnio wyśmienitego pstrąga w chrzanie!“. W rzadkich chwilach ta zaściankowość stawała się wręcz nie do zniesienia — wstydziłam się za siebie i za wszystkich pozostałych, krępowało mnie nasze bogactwo, bezmyślne przekonanie o należnym uprzywilejowaniu. Latem ubiegłego roku któregoś dnia wzięłam ze sobą aktualny numer „Sentinela“. Siedziałyśmy z Jadey na wyłożonym kamiennymi płytami tarasie za trampolinami, kiedy przeczytałam artykuł o człowieku mieszkającym w okolicach Walnut Hill, cierpiącym na zapalenie wątroby typu C i marskość wątroby, którego nie było stać na leczenie. Podniosłam wzrok i zobaczyłam piętnastoletnią Melissę Pagenkopf smarującą sobie olejkiem brzuch, dobiegł mnie też głos jakiejś kobiety mówiącej: „Nigdy nie latamy liniami United, jeżeli to tylko możliwe“ i ogarnęło mnie okropne poczucie winy. Tym razem nie mogłam zwyczajnie wypisać czeku — w artykule nie wymieniono żadnej organizacji, to był pojedynczy człowiek potrzebujący wieloletniego leczenia. Wysłanie mu dwustu dolarów byłoby kroplą w morzu jego potrzeb. Nie byłam też dość odważna, żeby go odszukać (nazywał się Otis Donovan) bez pośrednictwa jakiejś organizacji dobroczynnej; nie chciałam wypisać mu czeku, na którym znalazłoby się moje nazwisko i adres; nie chciałam dawać mu sposobności, by mnie odnalazł.

W takich chwilach czułam, że byliśmy jak ludzie z Kalifornii, mieszkający w wielkich domach na zboczach klifów, że nasze życie było piękne, ale i niebezpieczne, a jego fundamenty chwiejne. A potem zaczęłam się zastanawiać, czy przejmowanie się innymi lub płkanie podczas czytania gazety albo oglądania wiadomości nie jest przypadkiem szczeniackie? Wielu ludzi miało tak ciężkie życie, tyle przeciwności sprzysięgało się przeciwko nim. Inni znani mi dorośli nie zdawali się zbyt przejmować tą nierównością, a już na pewno ich ona nie dziwiła, podczas gdy ja czułam się wiecznie nią zaskoczona i zawsze jednakowo zaniepokojona.

Zwróciłam się do Jadey i gestem ręki wskazałam na wszystko wokół nas.

— Nie czujesz się czasem winna z tego powodu?

— Z jakiego powodu? — zapytała.

— Czytam artykuł o człowieku z Walnut Hill, chorym na zapalenie wątroby, a potem myślę, że moim największym zmartwieniem jest to, że Ella za nic nie chce jeść warzyw. Czy nie przyszło ci kiedyś do głowy, że powinnaś prowadzić zupełnie inne życie?

— Och, wiem. — Jadey pokiwała głową ze współczuciem. — Dawniej chciałam wstąpić do Korpusu Pokoju. Możesz mnie sobie wyobrazić, dajmy na to, w Zambii? Jak wytrzymałabym tam dziesięć minut bez mojej suszarki do włosów?

Chociaż mówiła serdecznie, zrozumiałam, że nie powinnam ciągnąć tego tematu — potraktowała mnie wymijająco, tak jak wymijająco traktowała kąśliwe uwagi czy zarzuty naszej teściowej — i zmartwiłam się, czy przypadkiem nie naruszyłam jakichś norm, przyjmując pozę napuszonej troskliwości, przekonania o własnej racji. Nie przystoi rozwodzić się nad czyjąś biedą czy niedolą, opalając się nad basenem; albo trzeba jakoś temu zaradzić, albo podejść do opalania się w odpowiednim do tego nastroju. W Klubie Ogrodniczym była pewna starsza pani, Mary Schmidbauer, z którą trzy czy cztery lata wcześniej miałam poprowadzić spotkanie. Kiedy zaproponowałam, aby się odbyło, jak to było w zwyczaju, w sportowym pokoju klubu, Mary odparła:

— Nie zrozum mnie źle, Alice, kochanie, ale od śmierci mojego męża nie jestem już członkiem klubu. Niezbyt lubią, kiedy należą do niego samotne kobiety, tak samo jak nie dopuszczają tu Żydów czy Murzynów. Kiedy Kenneth zmarł, zrozumiałam, że mam dość.

Poczułam się skarcona i skończyło się na tym, że wraz z Mary zorganizowałyśmy spotkanie w moim salonie.

W tę sobotę weekendu Memoriał Day Jadey, Winnie, Ella i ja zarejestrowałyśmy się — musiałyśmy stać w kolejce, co w zwykły dzień nigdy się nie zdarza — ustawiłyśmy leżaki po południowo— wschodniej stronie basenu, kawałeczek za miejscem dla ratownika, a Winnie i Ella posłusznie pozwoliły nam posmarować sobie plecy kremem do opalania. Ledwo skończyłyśmy, Ella natychmiast w ślad za swoją kuzynką pognęła do wody i obie skoczyły do niej na główkę; zrobiły to czysto i poprawnie, jak wszystkie dzieci, które korzystają z lekcji pływania. Jadey ustawiła sobie leżak, opuszczając nieco jego oparcie, usadowiła się na nim i popatrzyła na rozciągający się przed nią widok.

— Czy ten dzień jest taki piękny, czy co?

Dzień rzeczywiście był bezdyskusyjnie piękny, słoneczny i bezwietrzny, o temperaturze około dwudziestu paru stopni. Z torby stojącej między naszymi leżakami na kamiennych płytach tarasu Jadey wyjęła dwa czasopisma i podniosła, bym mogła zobaczyć: jeden egzemplarz „People”, i jeden „Architectural Digest”.

— Którą wolisz?

Wskazałam na „Architectural Digest”.

— Miałam nadzieję, że tak powiesz, bo muszę się dowiedzieć, co księżna Di kombinuje w tym tygodniu.

Kiedy tak siedziałyśmy, obie przerzucając strony czasopism, od czasu do czasu czytając sobie nawzajem jakiś fragment lub pokazując jakieś zdjęcie — ja pokazywałam jej eleganckie poduszki lub antyczne biureczka, ona mnie Cher w dziwnym kostiumie lub Bruce'a Willisa i Demi Moore trzymających się za ręce — kusilo mnie niezmiernie, żeby powiedzieć jej o planach Charliego kupna drużyny baseballowej. Jednak nie mogłam tego zrobić, tym bardziej że wyraźnie mnie o to prosił i trudno było mi mieć o to do niego pretensje. Wszystko co powiem Jadey, ona na pewno powtórzy Arthurowi, który z kolei powie Johnowi i rodzicom i bardzo szybko całe Wisconsin i pół Waszyngtonu wiedziałoby o wszystkim.

— Nie mówisz poważnie — odezwałam się, kiedy dzień wcześniej Charlie podzielił się ze mną nowiną.

„; — Mówię, ale porozmawiamy o tym rano — odparł.

— Nie mamy dość pieniędzy — powiedziałam.

Nie miałam pojęcia, ile może kosztować drużyna baseballowa, ale na pewno miliony dolarów.

— Dobry Boże, przecież nie tylko ja ją kupię — rzekł Charlie. — Powstaje grupa inwestycyjna, a ja będę partnerem zarządzającym. Ładnie brzmi, no nie, partner zarządzający? Będę musiał wyłożyć jakieś sześćset, siedemset kawałków, resztę dołożą pozostali, mianowicie Zeke Langenbacher i nasz własny Cliff Hicken. To życiowa okazja, Lindy; to, do czego zostałem stworzony. Moich braci aż skręci ze złości.

Tylko sześćset, siedemset kawałków? Milczałam jednak — mimo zaskakującego charakteru rewelacji, którą właśnie podzielił się ze mną, teraz kiedy wiedziałam już, że jego tajemnica nie jest niczym niepokojącym, znowu poczułam, jak ogarnia mnie senność.

— Pomyśl tylko o tych wszystkich meczach, na które będę chodził, a to będzie w ramach mojej pracy — powiedział z zachwytem.

Ogarniająca mnie senność zwyciężała. Słyszałam go, ale nie miałam siły zareagować.

— Może uda ci się dowiedzieć, co stało się z Berniem Brewerem — mruknęłam.

Bernie, wąsata, ubrana w skórzane spodenki maskotka, kilka lat wcześniej przeszła na emeryturę. Przedtem jednak, ilekroć był home run, wlaził do wielkiego kufła na piwo, co wprawiało Ellę w zachwyt.

Charlie zachichotał, a ja zasnęłam.

Rano obudziłam się wkrótce po szóstej, a Charlie leżał na boku, miał zamknięte oczy i regularny, spokojny oddech.

— Spisz jeszcze? — zapytałam, stosując podłgą sztuczkę, do której czasem się uciekałam.

Kiedy nie odpowiadał, zapytałam raz jeszcze, a on nie otwierając oczu, potrząsnął głową.

— Śniło mi się, czy rzeczywiście ty i Zeke Langenbacher kupujecie Brewersów?

Do prawdziwej rozmowy doszło jednak dopiero po kilku godzinach, przy śniadaniu. Ella również była w kuchni, rozmawiała przez telefon ze swoją przyjaciółką Christine (fakt, że niedługo spotka się z nią przy basenie, zdawał się czynić tę rozmowę tym bardziej pilną). Charlie wyjaśniał mi sytuację. Ponieważ w poniedziałek wypadał Memoriał Day, złożą ofertę w wysokości czterdziestu ośmiu milionów dolarów dopiero we wtorek; aktualni właściciele Brewersów, rodzina Reismanów, wiedziała o niej i była gotowa ją przyjąć.

Charlie jadł tost, ja stałam plecami do zlewu.

— Cóż, moje gratulacje.

— Zabrzmiało to mało entuzjastycznie.

— Ależ tak. Naprawdę bardzo się cieszę, nie rozumiem tylko jednego: skoro wasza grupa inwestycyjna proponuje czterdzieści osiem milionów dolarów, ile należy do niej osób? Broń Boże nie sugeruję, żebyś zapłacił więcej, ale jak sześćset czy siedemset tysięcy może wystarczyć, jeżeli nie ma dziesiątek innych inwestorów?

Poza tym wydanie takiej kwoty nie wydawało mi się bez znaczenia. Ale tak naprawdę te pieniądze nie były moje, nigdy nie były, a nawet gdybyśmy je stracili, wciąż jeszcze bylibyśmy zabezpieczeni. Nigdy nie obciążyliśmy hipoteki i nie wzięliśmy kredytu na samochód, a były lata, kiedy naszym największym wydatkiem było chesne za szkołę Elli.

— Och, nie zwrócili się do mnie ze względu na moje przepastne kieszenie

— powiedział Charlie. — W porównaniu z niektórymi z tych gości równie dobrze plasujemy się jako biedota. Nie, Langenbacher chce mnie mieć w swojej radzie dla jej uwiarygodnienia, dla nazwiska Blackwell, co szczerze mówiąc, nie przeszkadza mi — robię to z pełną świadomością. Będzie to swego rodzaju sytuacja synergiczna, z korzyścią dla drużyny, dla mnie, dla naszej rodziny. Wiedzą, że chodziłem do szkoły biznesowej, i wiedzą, co mam do zaoferowania.

— W takim razie na czym będzie polegać twoja rola jako partnera zarządzającego?

— Będę zagrzewał do boju Robina Younga — uśmiechnął się Charlie.

— I buczał, jak White Sox przyjadą do miasta. W końcu nauczę się na pamięć hymnu narodowego. Nie, w grupie inwestycyjnej Langenbachera jest sześciu facetów — większość z nich znasz z nazwiska — i wszyscy są ludźmi sukcesu, żaden jednak nie bryluje w kwestii charyzmy, jeśli kapujesz, co mam na myśli. Potrzebna im publiczna twarz reprezentująca właścicieli czy to w sprawach marketingu, czy jako sojusznik w kontaktach z innymi liderami. To jeszcze ściśle tajne, ale jednym z naszych głównych celów jest budowa nowego stadionu jak najszybciej, a jak zapewne się domyślasz, będzie to wymagało wielu delikatnych negocjacji.

— Jesteście pewni, że Reismanowie chcą sprzedać drużynę?

— Och. Lloyd Reisman nie posiada się z radości, że miejscowi chcą mu zapłacić. Morale miasta ległoby w gruzach, gdyby Brewersi znowu zmienili przynależność. Nie martwisz się o pieniądze, prawda, kochanie? Uwierz mi, czterdzieści osiem milionów to prawdziwa okazja. Nie ma możliwości, żebyśmy na tym sporo nie zarobili.

— Nigdy nie sądziłam, że coś takiego chodzi ci po głowie — powiedziałam. — Oczywiście zawsze wiedziałam, że jesteś zagorzałym kibicem, ale żeby angażować się zawodowo... Jestem zaskoczona, nic ponad to.

— Teraz już wiesz, o czym tak zawzięcie dyskutowaliśmy z Langenbacherem na boisku w niedzielę. Jesteś gotowa na czterdzieści osiem meczów rocznie? Nawet więcej, bo czasem będę musiał wyjeżdżać z drużyną.

Uśmiechnęłam się.

— Jasne.

Czy to właśnie to, czy dzięki temu Charlie odzyska spokój? Zostanie partnerem zarządzającym drużyny baseballowej — takiej, bez względu na lojalność Charliego, która nie jest specjalnie znana czy skuteczna — ale nie wydawało mi się to spuścizną, o jakiej marzył. Zważywszy jednak na to, że przede wszystkim nie do końca rozumiałam, dlaczego ta spuścizna miała aż takie znaczenie, może również nie byłam w stanie pojąć, w jaki sposób się ją tworzy. Jeżeli Charliemu to wystarczało, tym bardziej, i to aż nadto, wystarczało mnie. Charlie siedział przy kuchennym stole i kiedy do niego podeszłam, objął mnie w pasie ramionami i przytulił. Milczeliśmy, a Ella, wciąż rozmawiająca przez telefon w kącie, zawołała podekscytowanym tonem:

— Ale Bridget oszukuje w Marco Polo!

— Jak myślisz, co wolałaby większość ludzi? — zapytał Charlie. — Trenować szkolną drużynę baseballową czy też raczej zostać właścicielem prawdziwej?

— Nie robisz tego, żeby wyrzucić wrażenie na kolegach z Princeton, co?

Z twarzą wtuloną w mój brzuch Charlie się roześmiał.

— Mogłabyś mi zaufać trochę bardziej.

W południe poszłam na drugą stronę basenu do baru z przekąskami, żeby zamówić dla nas lunch: kanapki z tuńczykiem i dietetyczną colę dla Jadey i mnie oraz grillowany ser i lemoniadę dla Elli i Winnie. Bar był w zasadzie zwykłą szopą z mieszczącą się na tyłach kuchnią i ladą od frontu, przy której składało się zamówienie. Kiedy zrywał się niespodziewany deszcz, większość ludzi wsiadała do samochodów i uciekała do domów, optymiści natomiast cisnęli się pod zadaniem baru w nadziei, że wkrótce przestanie padać.

Kiedy niosąc tacę z jedzeniem, wróciłam do naszych leżaków, Ella i Winnie siedziały skulone na moim, obie ociekające wodą.

— Szybciej, ciociu Alice, szybciej — zawołała Winnie, widząc, że się zbliżam. — Umieramy z głodu!

Rozdzieliłam jedzenie, a tymczasem Winnie zapytała:

— Mamusiu, kiedy zjem, dostanę lodowego batona?

— Pod warunkiem że dla mnie też przyniesiesz jednego — odparła Jadey.

Kazałyśmy dziewczynkom odczekać godzinę, zanim mogły wrócić do wody, odeszły więc na trawiasty pas, a kiedy nie mogły nas już usłyszeć, Jadey szepnęła do mnie:

— Kiedy byłam w ich wieku, n i g d y nie czekałam.

Kiedy Jadey dorastała, podobnie jak Charlie i Arthur, należała do klubu i pływała w tym samym basenie. Opowiadała mi o swoim balu debiutantek, który odbył się tu w czerwcu 1968 roku, a jego tematem przewodnim było „Hawajskie luau” — hawajska uczta. Jadey założyła sukienkę bez ramiączek w hawajski wzór i naszyjnik z orchidei, goście pili koktajle owocowe, jedli kebaby z ananase i krewetkami oraz prosie z rozna (upieczone duzo wczesniej) , i chociaż w jadalni czas umilal tradycyjny dwunastoosobowy zespól, na zewnatrz, siedzac na trampolinie, jakis czlowiek przygrywal na ukulele.

— Kiedy poszlaś po jedzenie, pojawil się Joe Thayer — powiedziala Jadey.
— Pomyślalam sobie, że moglabym miec romans wlasnie z nim.

— Jadey, on się wlasnie rozwodzi.

— Och, uwielbiam zranionych mezczyzn. Czesto zaluje, że Arthur nie jest bardziej sponiewierany przez zycie. Najbardziej jednak mnie dziwi, że córka Jogo jest taka odrazajaca, az czlowieka ciarki przechodza. Po kimś to musi miec, nie uwazasz?

— Megan wcale nie jest odrazajaca — powiedzialam. — Ma dopiero dziewiec lat.

— Nie znoszę tej dziewczuchy.

— Jadey!

— Klne się na Boga, w zeszlym roku w Halcyon szlam na pomost z wielka taca pelna jedzenia i picia i upuscilam ja — wszystko pospadało i rozsypalo się dookoła — ja klne i zbieram to z powrotem, potem podnoszę wzrok i widzę, że ona przyglada mi się przez cały ten czas, bez jednego sloweczka. Nawet się nie śmiała, tylko gapila się na mnie.

— To jeszcze dziecko — zaprotestowalam.

— To socjopatka. Poza tym Winnie mówila mi, że Megan raz proponowala jej kanapkę z kupą.

Powstrzymalam się, by nie przytoczyć podobnej historii opowiedzianej mi przez Elle. Biedna Megan miała już i tak dość kłopotów i nie widzialam potrzeby, żeby ją obgadywać.

— Uważam, że powinnaś porozmawiać z Arthurem. On na pewno wie, że jesteś na niego wściekła, ale chyba nie chce o tym mówić.

Jadey opuściła oparcie leżaka całkowicie na płask, jęknęła niczym męczennica i przekręciła się na brzuch. Leżała z twarzą zwróconą ku mnie, jednym policzkiem przywierając do winylowych pasków.

— Myślałaś kiedyś, że małżeństwo to taka ciężka praca? — powiedziała. — Boże wszechmogący.

Zanim się położyła, zdjęła okulary słoneczne i teraz powieki jej opadły.

— Wciąż jeszcze się martwisz, że Charlie pije za dużo whiskey? — zapytała sennym głosem.

— Może byłam za bardzo przewrażliwiona.

— Zapomniałam mu się przyjrzeć, kiedy byliśmy u Maj i Pif— paf, może dlatego, że sama wlewałam w siebie za dużo wina. Próbowałaś tego merlota?

— Wypiłam kieliszek chardonnay.

Otworzyła oczy i wsparła się na łokciu.

— Kieliszek? — powtórzyła. — Słownie jeden kieliszek?

Przytaknęłam.

— Słonko, może sęk w tym, że to nie Charlie powinien pić mniej, tylko ty więcej.

Kiedy w poniedziałek rano przypomniałam Charliemu, że Suttonowie przychodzą na lunch — panna Ruby zadzwoniła wieczorem, aby to potwierdzić, a gdy zaproponowałam, że po nich przyjadę, odparła, że Yvonne będzie kierowcą — Charlie golił się właśnie nad umywalką w łazience.

— Nie da rady — powiedział. — O jedenastej jestem umówiony z Zekiem i Cliffem.

— Charlie, mówiłam ci o tym ponad tydzień temu.

— Lindy, jutro składamy ofertę Reismanom. Kiedy w grę wchodzi czterdzieści osiem milionów dolców, nie uważasz, że powinniśmy dopilnować wszystkich kropek nad I i kreseczek w T?

— I będziecie to robić na polu golfowym? — Skrzyżowałam ramiona na pierśsiach. — Nie każ mi być jędzą.

Zaśmiał się krótko.

— To już zależy od ciebie, ale ja mam umówione spotkanie o jedenastej i nie idąc na nie, zachowałbym się nieprofesjonalnie.

Patrzyłam, jak sunie maszynką w dół po prawym policzku, wykrzywając usta w lewo, i poczułam ogarniającą mnie złość. Czy na tym właśnie polega małżeństwo, na powolnym poznawaniu współmałżonka, i to znacznie lepiej, niż można by sobie tego życzyć? Czasem gesty i słowa Charliego wydawały się tak bezli- tośnie znajome, że miałam wrażenie, jakby był przedłużeniem mnie samej, czę- ścią mojej własnej osobowości, której nie byłam w stanie w pełni kontrolować.

— jeżeli nie chcesz uczestniczyć w życiu towarzyskim, proszę bardzo, ale to krępujące dla mnie i niegrzeczne wobec innych, kiedy najpierw mówisz, że bę- dziesz, a potem wycofujesz się w ostatniej chwili.

Kiedy na mnie zerknął, zorientowałam się, że moje słowa nie zrobiły na nim najmniejszego wrażenia, spłynęły po nim jak woda po kacze.

— Ale nie chcesz być jędzą, czy tak? — zapytał tylko.

— Sądziłam, że zechcesz okazać szacunek pannie Ruby.

Przez chwilę płukał maszynkę pod bieżącą wodą, potem uniósł ją z powrotem do twarzy.

— A kto dał jej do zrozumienia, że tu będę? Na pewno nie ja, kochanie. Jeżeli to dla ciebie takie ważne, przełóż spotkanie na inny dzień, na przykład w przy- szły weekend. Teraz interesuje mnie wyłącznie kupno drużyny.

— W przyszły weekend jedziemy do Princeton.

Cofnęłam się do sypialni. Zejdę na dół, przygotuję lunch i powitam

w naszym domu Suttonów. Zrobię to, nawet jeżeli Charlie nie zaszczyci nas swoją obecnością, a jego matka tego nie pochwali.

— Tylko nie zostaw swoich włosów w umywalce — powiedziałam głosem tak ostrym, że sama go nie poznałam.

Jessica Sutton musiała urosnąć co najmniej o trzydzieści centymetrów, odkąd widziałam ją po raz ostatni, i jak tylko powitałam Suttonów w drzwiach, od razu zauważyłam, że chociaż nie była jeszcze dorosła, przestała też być już dzieckiem. Niektórzy szóstoklasiści — przeważnie chłopcy, dziewczynki rzadziej — wciąż jeszcze są dziećmi, podczas gdy u innych dostrzega się tę nową, niewykształconą jeszcze świadomość samych siebie i otaczającego ich świata. Zapytani, jak się mają, odwzajemniają pytania — dokładnie to zrobiła Jessica.

— Dziękujemy, że zechciała nas pani zaprosić — powiedziała.

Poczułam lekkie ukłucie współczucia dla Elli, która z całą pewnością

wciąż jeszcze była dzieckiem, i podejrzewałam, że może mieć problemy z dorównaniem opanowanej, dojrzałej młodej kobiecie, jaką stała się Jessica. Zdałam sobie sprawę, że obraz Jessiki, jaki nosiłam w głowie, pochodził sprzed czterech lat, kiedy to w posiadłości Harolda i Priscilli urządzono w Wielkanoc poszukiwanie jajek. (Wbrew temu co twierdziła Priscilla, Blackwello— wie czasami spoufalali się z pracującymi dla nich ludźmi, ale zawsze miało to miejsce na gruncie Blackwellów, w okolicznościach podkreślających ich hojność i wspaniałość, niesugerujących jednocześnie, że spędzają czas z tymi ludźmi, ponieważ sprawia im to przyjemność). W tamtą Wielkanoc Jessica miała na sobie czerwoną spódniczkę w fioletowe gwiazdki i fioletową bluzkę w czerwone gwiazdki, do tego pasujące kolorystycznie spinki do włosów. Włosy na całej głowie miała podzielone na małe kwadraciki, wyrastający z każdego kwadracika kosmyk spięty, spleciony w warkoczyk i przymocowany czerwoną lub fioletową spinką. Kiedy biegała w poszukiwaniu ukrytych jajek, spinki klekotały, obijając się o siebie. Teraz Jessica była wysoka i poważna, a także bardzo ładna — miała na sobie różową koszulkę bez rękawów i koszulową sukienkę w biało— różowe paski, niezapiętą na guziki, do tego białe spodnie. Na pewno nie wyglądała już na małą dziewczynkę.

Jak tylko usiadłyśmy — Jessica, panna Ruby, Yvonne z małym Antoine, Ella i ja — przy stole na tarasie, Ella natychmiast zapytała:

— Czy mogę pokazać Jessice moją butelkę pop?

— Kochanie, przecież nasi goście dopiero co przyjechali — odparłam.

— Nie, bardzo chętnie zobaczę — rzekła Jessica.

Butelka pop była nagrodą, którą Ella wygrała w Biddle Academy podczas dożynkowej uczty jesienią ubiegłego roku. Była to szklana butelka po pepsi, której szyjkę powykręcano i rozciągnięto pod wpływem temperatury, po czym wypełniono płynem w toksycznie wyglądającym niebieskim kolorze. Chociaż Ella zdobyła tę nagrodę ponad pół roku temu, wciąż bardzo się nią szczyciła i kiedy chciała zrobić na kimś wrażenie, uważała ją za najpotężniejszą broń w swoim arsenale.

— Wróćcie za dziesięć minut, bo będziemy jeść — zawołałam, kiedy weszły do domu.

— Aż trudno uwierzyć, jak bardzo Jessica urosła — dodałam, kiedy dziewczynki znikły. — A Antoine — nachyliłam się ku niemu, zrobiłam wielkie oczy i otworzyłam usta — jest chyba najśłodszym dzieckiem pod słońcem.

Antoine, ubrany w bladoniebieskie śpioszki, miał wielkie brązowe oczy, kręcone brązowe włoski i doskonale gładką skórę.

— Alice, jeśli chcesz, możesz go potrzymać — powiedziała Yvonne, wyraźnie rozbawiona.

— Proszę uważać na główkę — powiedziała panna Ruby szorstko, kiedy Yvonne podawała mi synka.

Antoine w moich ramionach wydawał się śmiesznie leciutki — w wieku dwóch miesięcy mógł ważyć około pięciu, sześciu kilogramów. Zaczęłam wydawać z siebie wszystkie te na wpół świadome gaworzące dźwięki, cmokania, robić śmieszne miny; żadne poświęcenie własnej godności nie wydawało się zbyt wielkie, jeżeli nagrodą miał być jego maleńki uśmieszek.

— Może powinnaś sobie sprawić jeszcze jedno, myśleliście o tym? — zapytała Yvonne.

Roześmiałam się.

— Jestem już za stara.

Yvonne przybrała sceptyczną minę.

— Och, założę się, że ty i Charlie B. wciąż jeszcze macie w sobie dość ikry.

— Yvonne Patrice, licz się ze słowami — upomniała ją panna Ruby, co wraz z Yvonne skwitowałyśmy śmiechem. Panna Ruby ubrana była w turkusowe lniane spodnie, turkusowy sweterek z krótkimi rękawkami w półokrągłe ząbki i płaskie sandałki z turkusowymi paskami, Yvonne miała na sobie kwiecisty T— shirt i długą dzinsową spódnicę. Panna Ruby była szczupła, Yvonne natomiast miała szerokie biodra i potężne ramiona, duże zęby i usta, krótkie nastroszone włosy i nabrzmiałe piersi karmiącej matki.

— Wybaczcie, że Charliego nie ma tu dzisiaj z nami — powiedziałam. — Nie dogadaliśmy się do końca i okazało się, że umówił się na spotkanie w interesach.

Yvonne machnęła ręką.

— Clyde pracuje w szpitalu, więc dobrze wiem, jak to jest. Doktorzy i pielęgniarki w Memoriał Day też muszą sobie pojeść.

— Pobraliście się z Clyde'em latem ubiegłego roku? — zapytałam.

— To naprawdę porządny facet. — Yvonne nachyliła się ku swojemu synkowi, którego trzymałam na kolanach. — Prawda, Mały A? — odezwała się gaworzącym tonem. — Tatusz to dobry człowiek. Antoine wygląda zupełnie jak on, bez cienia wątpliwości — dodała, zwracając się do mnie.

— Jak to zwykle bywa w tym wieku — odezwała się panna Ruby.

Kilka minut później, kiedy Jessica i Ella wróciły, wniosłam sałatkę własnej roboty, z makaronem, szparagami i kurczakiem.

— Chcecie posłuchać, czego nauczyła mnie Jessica? — zapytała Ella z pełną buzią.

— Najpierw przełknij, kochanie — zwróciłam jej uwagę.

Ella siedziała na krzeselku z kutego żelaza, z jedną nogą podwiniętą pod siebie, ale teraz wstała i nie wypuszczając widelca z ręki, wyrzuciła ramiona w powietrze i zaczęła kręcić biodrami.

W koszykówkę gramy,

Dla was tu machamy;

Machaj wysoko, i nisko machaj,

I do kosza celnie trafiaj.

— Wspaniale. — Zaklaskałam kilka razy w ręce, Yvonne i Jessica poszły w ślad za mną, a panna Ruby nie.

— Jesteś cheerleaderką? — zawróciłam się do Jessiki.

— Nie, tylko to znam. Może zostanę cheerleaderką, ale dopiero w gimnazjum.

— Twoja babcia mi mówiła, że świetnie sobie radzisz z angielskim. Jakie książki czytałaś w tym roku?

Jessica pokręciła głową z uśmiechem.

— Babcia po prostu lubi się mną chwalić. Niech no pomyślę... Ale nie, nie przeczytaliśmy zbyt wiele. W zasadzie tylko jedną prawdziwą książkę, *Zew krwi*. Zna ją pani?

— Oczywiście. — Skinęłam głową. — Kiedy Buck wędruje na Jukon.

— Zwróciłam się do Elli: — To o psie, który pomaga ciągnąć sanie ludziom poszukującym złota.

Nagle, po raz pierwszy od początku wizyty, Antoine rozplakał się i Yvonne zaczęła mu nucić.

— Ciebie nie pošlemy na Jukon. Nie, nie pošlemy. Więc dlaczego płaczes, Mały A?

— Daj go mnie — powiedziała panna Ruby.

Yvonne przewróciła oczami, ale posłuchała matki. Panna Ruby zaczęła spacerować z małym wzdłuż krawędzi tarasu, klepiąc go po plecach. Po chwili dziecko ucichło.

— Większości tego, co czytam, nie zadają nam w szkole — mówiła dalej Jessica. — W tej chwili wzięłam się za Agathę Christie. Zna ją pani?

— Och, jasne. Panna Murple i Herkules Poirot. Dawno już tego nie czytałam, ale uwielbiałam wszystkie jej, książki, kiedy byłam troszeczkę starsza od ciebie.

— Właśnie skończyłam *Morderstwo w Orient Expressie* — powiedziała Jessica. — Ooch, a to po prostu uwielbiam. Słyszała pani o V.C. Andrews?

— Och, Jessico! — Nie udało mi się powstrzymać dezaprobaty w głosie.

— V.C. Andrews jest taka przerażająca.

— To prawda, ale zwyczajnie nie można się oderwać — powiedziała Jessica. — Babciu, pamiętasz, jak kiedyś przyszedł do mnie o trzeciej w nocy, ja byłam w łóżku, ale po prostu nie mogłam przestać czytać? Najnormalniej n i e mogłam. Okay, założę się, że tego pani także nie znosi, ale zna pani romanse Harlequina? Niektóre z nich są naprawdę dobre. Na przykład *Burza nad chmurami*. To chyba moja ulubiona, bo ta pani jedzie do Rzymu, do Włoch.

— Jessico, nie miałam zamiaru czepiać się ciebie — powiedziałam. — To naprawdę wspaniale, że tak dużo czytasz.

— Tata i ja właśnie skończyliśmy *The BFG* — oznajmiła Ella.

— Co to za skrót? — zapytała skwapliwie Yvonne.

— Je tylko kichogórki, ale ich nie lubi — powiedziała Ella.

— Ello, może ty powinnaś spróbować jeść to, czego nie lubisz — zauważyłam. — BFG znaczy Big Friendly Giant, *Wielkomilud* — zwróciłam się z wyjaśnieniem do Yvonne. — Autorem jest Roald Dahl.

— Mamusiu, czy Jessica może pójść z nami na basen? — zapytała Ella.

— Och, woda u nich jest zdecydowanie za zimna — odparła Jessica. — Raz zanurzyłam mały palec i myślałam, że mi odpadnie.

— Może? — Ella nie dawała za wygraną, a ja, ogromnie skrepowana, miałam nadzieję, iż poza mną nikt nie ma pojęcia, że Jessica mówi o basenie Harolda i Priscilli — teraz, kiedy moi teściowie przebywali w Waszyngtonie, basen był zakryty przez cały rok na okrągło — Ella natomiast miała na myśli basen w Maronee Country Club. Co prawda ludzie o odmiennym kolorze skóry nie mieli oficjalnie zakazu wstępu, przynajmniej o ile było mi wiadomo, ale nawet w 1988 roku nie było ani jednego czarnoskórego członka; zarząd klubu powiedziałaby zapewne, że to dlatego, iż nikt taki się nie zgłosił, ponieważ w Maronee i tak mieszkało bardzo niewielu Murzynów. Nawet obsługa, kelnerzy, kelnerki, barmani, ratownicy i trenerzy w siłowni, wszyscy byli biali, z wyjątkiem sprzątaczk, która wyglądała na Latynoskę. Ze dwa razy w roku spotykało się przy basenie czarnoskórego gościa — zazwyczaj przy okazji klasowego przyjęcia urodzinowego jakiegoś dziecka — ale zawsze wtedy pośród pływaków i opalających się dawało się wyczuć pewne napięcie; u jednych, ponieważ wstydzili się ekskluzywności swojego klubu, u innych wywołane oburzeniem, że świętość tego miejsca została skalana.

— I mają tam też mleczne shaki — mówiła Ella.

— Babciu, dla Elli robisz mleczne shaki, a dla mnie nie? — zdziwiła się Jessica.

— Nie, w klubie — powiedziała Ella, a ja postanowiłam ją zagłuszyć.

— Nie sędzę, żeby dzisiaj ktokolwiek pływał — mówiłam. Kiedy siadałyśmy na tarasie, świeciło słońce, ale teraz niebo się zachmurzyło i przybrało barwę rozmytej szarości. — Może wejdziemy do środka? Mamy placek z rabarbarem.

Przyniosły go panie Sutton. Nie szczędziłam okrzyków zachwyty, kiedy Jessica mi go wręczała, po czym pobiegłam schować ciasteczka, które rano przygotowałyśmy z Ellą. Zjadłyśmy deser w jadalni, a potem Ella rozdała prezenty, które wspólnie wybrałyśmy dzień wcześniej: dla Antoine'a od Miss n' Master żółte śpioszki i prześmieszne buciki, czerwone, skórzane botki z piłką basebalową na czubku — niepraktyczny prezent, ale Ella uparła się, aby go kupić. Dla Jessiki (prezent niby z okazji ukończenia szóstej klasy, ale przede wszystkim nie chciałam, żeby czuła się pominięta) w Mayfair Mail w Marshall Fields wybrałyśmy zegarek z przezroczystym różowym paskiem i różowym kwiatkiem na tarczy. Jessica zapięła go na przegubie i wystawiła rękę, abyśmy wszystkie mogły go podziwiać, gdy nagle z holu dobiegł mnie głos Charliego.

— No, no, no — powiedział, a my wszystkie obróciłyśmy się ku niemu.

— Czy zostanę dopuszczony do babskiego lunchu?

— Patrzcie państwo, kogo to przywiało — powiedziała Yvonne. — Myślałam, że pracujesz.

— Jakże mógłbym sobie odpuścić podobną okazję? — odparł.

Miał na sobie jasnoniebieskie szorty — w kolorze nad wyraz zbliżonym do śpioszków Antoine'a — białą koszulkę i białe skarpetki; buty do golfa z kolcami zostawił w holu. Jeśli ktokolwiek mógłby mieć wątpliwości, gdzie się podziewał, wciąż miał ze sobą kije golfowe i właśnie je odstawiał, opierając torbę o ścianę w salonie. Włosy i koszulkę miał wilgotne. Kiedy wyjrzałam przez okno, zauważyłam, że zaczęło padać.

— A to zapewne jest nasz gość honorowy — ciągnął Charlie. Podszedł do samochodowego fotelika stojącego na podłodze, gdzie Antoine smacznie spał.

— Przesłodki maluch. Dobrze się spisałaś, Yvonne. Przybij piątkę. — Podniósł rękę, żeby przybiła z nim piątkę, ale zanim zdążyła to zrobić, wzrok Charliego padł na placek. — Przegrycha! — wykrzyknął.

W tym momencie zorientowałam się, że pił. Odkroił sobie wielki kawał placzka i zaczął go jeść palcami. Bez słowa wstałam i podałam mu swój talerz¹ widlec, przyjął je bez dyskusji, ale nie skorzystał.

— Charlie Blackwellu, masz maniery gorsze niż zwierzęta w oborze — odezwała się panna Ruby, co słysząc, Ella i Jessica zachichotały.

— Yvonne, moja własna matka nigdy nie była tak złotousta — powiedział Charlie, również uśmiechnięty. — Już dawno powinienem był ukraść ci twoją.

— Otarł usta cudzą serwetką, po czym położył dłoń na ramieniu panny Ruby.

— Jessico, twoja babcia to narodowy skarb — stwierdził, a ja zastanawiałam się, czy panna Ruby wyczuwa w jego oddechu zapach alkoholu.

— Tatusiu, posłuchaj tego.

Ella, która podczas otwierania prezentów stała możliwie najbliżej Jessiki w narzuconej przez samą siebie roli nadzorcy, teraz cofnęła się od stołu, kiedy jednak wszyscy spojrzeliśmy na nią, gwałtownie zmieniła postawę. Przekrzywiła głowę na bok i zerknęła na nas spod opuszczonych rzęs.

— Zresztą nieważne — odezwała się cichutko.

Była to nowa poza w jej repertuarze. Do klasy z nią chodziła niejaka Mindy Keppen, która wywołana przez nauczyciela, dosłownie zamierała. Kiedy korzystając z okazji, wytłumaczyłam Elli, na czym polega nieśmiałość, jej wyobraźnia

natychmiast zadziałała. (Och, mój pijany mąż i moja ukochana, nieszczerza córeczka).

— Chcesz mu pokazać skandowanie, prawda? — zapytała Jessica. — Może zrobimy to razem?

Ella podniosła wzrok i z szerokim uśmiechem pokiwała z zapalem głową. Jessica wstała i obie mniej więcej równo uniosły ramiona i zakołysały biodrami.

W koszykówkę gramy,

Dla was tu machamy; Machaj wysoko, i nisko machaj, I do kosza celnie trafaj.

Przy „machaj wysoko” potrzęsęły nad głowami wyimaginowanymi pompkami, przy „nisko machaj” opuściły je do kolan.

— Niesamowite — powiedział Charlie, kiedy skończyły. — Fantastycznie! Serce we mnie zamarło, kiedy obszedł stół i zajął miejsce obok dziewczynek.

— To jak to było, „W koszykówkę gramy...” — powiedział. Dziewczynki chichocząc, nauczyły go pozostałych słów. Ella nie posiadała się wprost ze szczęścia. Zapewne nie mogła sobie wyobrazić lepszego scenariusza:

stoi obok fajnej, starszej dziewczynki i uczy ojca skandowania, mając na dodatek publiczność. Jessica natomiast, niewątpliwie życzliwy uczestnik, na pewno też się zastanawiała, o co chodzi Charliemu. Znała go przez całe swoje życie i jak podejrzewam, nigdy dotąd nie zamieniła z nim tak naprawdę słowa.

Kiedy Charlie nauczył się słów, cała trójka wyrecytowała wierszyk razem, a na koniec Charlie krzyknął:

— Naprzód, Brewersi!

Ella parsknęła śmiechem i złapała Charliego za pasek.

— Tatusiu, to nie baseball, tylko k o s z y k ó w k a .

On ją podniósł, czego ja już od jakiegoś czasu nie dawałam rady zrobić, i oboje uśmiechali się uszczęśliwieni. Bez wątplenia był to punkt kulminacyjny popołudnia, co panie Sutton wyczuły bezbłędnie; wstały i zaczęły się zbierać do wyjścia, pakując torbę z pieluchami Antoine'a, prezenty i talerz po placku. Ja założyłam płaszcz przeciwdeszczowy i wyszłam odprowadzić je do samochodu.

— Masz jakieś plany na lato? — zapytałam Jessiki, kiedy stałyśmy już na podjeździe.

Niosła Antoine'a i skinięciem głowy wskazała na niego.

— Oto moje plany — Mały A. i V.C. Andrews. Nie, jeśli chodzi o V.C. Andrews, to żartuję, proszę pani.

— Cóż, było mi bardzo miło, że przyszłyście — powiedziałam. Pomyślałam o mających się wkrótce rozpocząć zajęciach Elli: lekcjach pływania, obozie artystycznym w ostatnim tygodniu czerwca, późniejszym wyjeździe do Halcyon.

Kiedy wróciłam do domu i zamknęłam za sobą drzwi, Charliego nie zastałam już w jadalni. Zniosłam brudne naczynia do kuchni i chodząc tam i z powrotem przez wahadłowe drzwi, słyszałam dobiegający z gabinetu dźwięk telewizora. Załadowałam zmywarę i zorientowałam się, że boli mnie głowa. Dom nagle wydał mi się ogromny i bardzo pusty.

Po raz ostatni wycisnęłam gąbkę i odłożyłam na miejsce obok mydeł — niczki, kiedy wszedł Charlie i wyjął sobie piwo z lodówki.

— Bardzo śliczne małe Murzyniátko.

Uśmiechnął się, a ja nie umiałam powiedzieć, czy chce mnie sprowokować, czy po prostu jest sobą.

Staliśmy tak, zwrócenii do siebie twarzami, w odległości półtora metra. Pomyślałam, czy go nie zrugać, ale mi się nie chciało. Na kłótnię miałam dość siły najwyżej raz na kilka miesięcy, nigdy dwukrotnie w ciągu jednego dnia.

— Jesteś bardzo cicha — stwierdził.

— Głowa mnie boli. Pójdę na górę i trochę poczytam.

— Nie chcesz wiedzieć, jak mi się udał golf z Cliffem i Larigenbacherem?

— Sądziłam, że musieliście przestać z powodu deszczu.

Słyszałam cichy, ale jednostajny szum padającego deszczu.

— Nie uwierzyłabyś, jak bardzo Langenbacherowi zależy, żeby mieć mnie w zarządzie. Cliff zaproponował moją kandydaturę, co oznacza, że mam u niego dług wdzięczności po wsze czasy. Ale Langenbacherowi nie mógł się trafić nikt lepszy — po pierwsze, jestem zagorzałym kibicem, więc nie muszę niczego udawać, poza tym mam doświadczenie biznesowe. — Charlie miał wypieki na policzkach, albo z radości, albo z powodu wypitego alkoholu. — Nie gniewasz się, że nie byłem na lunchu, prawda? — spytał. — W końcu bym im powiedział, że ich pieniądze są tyle samo warte, co osobisty urok starego Chasa Blackwella. Jak sobie teraz o tym myślę, wydaje mi się, że byłaś dzisiaj w zмовie z meteorologami.

— Prawdę mówiąc, twoje przyjście było odrobinę niezręczne, ponieważ powiedziałam im, że masz spotkanie.

— Bo miałem.

— Prawdziwe spotkanie.

— Było prawdziwe. Jezu, Lindy!

— W takim razie dziwię się, że Zeke Langenbacher zgadza się, żeby jego ludzie tyle pili w pracy.

Charlie się rozszłościł.

— O co ci chodzi? — zapytał. — Moje zawodowe plany zaczynają się ziszczać. Nie rozumiem, czemu musisz psuć mi całą przyjemność.

— Oczywiście, bardzo się cieszę. — Jak gdyby chcąc zrównoważyć natężenie i siłę jego głosu, sama mówiłam ciszej niż zwykle. — Ale mówiłam ci już, że boli mnie głowa i nie jestem w nastroju do świętowania. Moja babcia dopiero co umarła.

Niemal czułam, że nie powinnam o tym wspominać, że choć to prawda, zagranie było nieczyste i Charlie mógł poczuć się skruszony, ale i upokorzony. Niepotrzebnie się martwiłam. Mogę uczciwie powiedzieć, że w tej chwili patrzył na mnie z wściekłością.

— Na miłość boską, Lindy, ona miała dziewięćdziesiąt lat. Czego się spodziewałaś?

Zgodnie z planem tego dnia przed kolacją poszłam do domu Jadey i Arthura.

— Dzisiaj rano Arthur próbował mnie wybadać, ale go zignorowałam — oświadczyła Jadey, jak tylko znalazłyśmy się w bezpiecznej odległości na terenie pola golfowego.

— Jadey, może powinnaś mu odpuścić.

— Po czyjej jesteś stronie?

— Was obojga — odparłam, ale zastanawiałam się, czy mam ochotę na tę rozmowę, czy nie powinnam była jednak odwołać spaceru. Odkąd panie Sutton z dziećmi wyszły od nas kilka godzin wcześniej, miotałam się między dwiema możliwościami: atakiem gwałtownego płaczu lub — tę uznałam za gorszą — całkowitym wyłączeniem się. Po raz pierwszy od ponad dwudziestu lat, poza tamtymi chwilami po śmierci Andrew Imhofa, czułam, jak przyciąga mnie nic, ale wiedziałam już, jaki to niebezpieczny impuls; teraz ciążyła na mnie odpowiedzialność osoby dorosłej, poza tym musiałam dbać o Ellę. Jakąż jednak ulgą byłoby się poddać, błędzić jak we śnie — przestać wystawiać Charliego na próbę lub przynajmniej przestać oczekiwać, że wyjdzie mi wreszcie naprzeciw.

— Możesz się ze mną nie zgodzić — powiedziała Jadey — ale myślę, że mój mąż musi postarać się bardziej, żeby odzyskać moje uczucia.

Przez jakiś czas milczałyśmy obie — deszczowe chmury rozproszyły się i słońce świeciło poprzez korony drzew, cykady grały jak szalone.

— Naprawdę bawią cię te gierki, jakie z nim prowadzisz? — spytałam.

— Słuchaj, nie każde małżeństwo może być doskonałe.

— Czyżbym wyczuła sarkazm?

Nigdy wcześniej nie doszło między Jadey a mną do tak ostrej wymiany zdań i chyba obie byłyśmy zdumione, że wciąż jeszcze przybierała na sile. Muszę przyznać, że sytuację załagodziła Jadey.

— Nie chciałam wkraczać na niepewny grunt — odezwała się ostrożnie.

— Chciałam tylko powiedzieć, że jest ci łatwiej niż niektórym z nas.

I wtedy się stało; wybuchłam płaczem.

— Wielki Boże, co ja takiego powiedziałam? — wykrzyknęła Jadey.

— O, słodki Jezu.

Zatrzymałam się i zasłoniłam twarz dłońmi, a ona pogładziła mnie po plecach.

— Alice, wiesz, że kocham cię bezgranicznie. Chodzi o twoją biedną babcię czy o co?

— Myślisz, że mnie jest ł a t w o ? — Otarłam oczy.

— Twój mąż wielbi ziemię, po której stąpasz. Tak, Chas może i pije za dużo, ale człowiek sam sobie wybiera swoją truciznę. Przynajmniej wciąż jesteście beznadziejnie zakochani.

— Jadey, ja... ja się zastanawiam, czy od niego nie odejść. Nasze małżeństwo jest dalekie od ideału.

— Odejść, to znaczy rozwieść się z nim?

— Nie wiem. Nawet nie wiem, jak to się robi. Czy ja miałabym wyprowadzić się z domu czy on?

Kiedy wypowiadałam te słowa na głos do Jadey, tym samym oznaczyłam moment, w którym tak naprawdę po raz pierwszy pomyślałam o zakończeniu naszego małżeństwa. Od wielu miesięcy słyszałam szept — separacja, rozwód —

i chociaż zdawało się, że niesione są powiewem wiatru, rodziły się w mojej głowie. Mimo to były jedynie abstrakcyjnymi pojęciami, środkami ostatecznymi.

— Albo pomyśl, że miałabym stanąć przed Maj — dodałam.

(Chociaż nigdy nie zwracałam się w ten sposób bezpośrednio do Maj, bo

zwyczajnie nie potrafiłam, bez najmniejszych problemów posługiwałam się tym przezwiskiem, rozmawiając o niej z innymi. Inaczej zachowywałam się zbyt oficjalnie, przyciągając uwagę).

— Ona nie ma nad nami władzy — powiedziała Jadey. — Tak, doskonale wiem, o co ci chodzi, ale jak się nad tym zastanowić, najwyżej może cię wykluczyć ze swojego testamentu.

Priscilla umieściła mnie w swoim testamencie? Wątpiłam w to. Jednak słowa Jadey kazały mi się zastanowić nad moją sytuacją finansową. Czy dostałabym alimenty? Czy byłoby mnie stać na dom w tej okolicy, nawet najskromniejszy, a poza tym ile skromnych domów znajduje się w Maronee? Czy ktoś tutaj w ogóle wynajmuje? Podjęłabym pracę, to oczywiste, co w pewnym sensie byłoby nawet dobre, ale utrzymanie Elli i siebie (nawet sobie nie wyobrażałam, że nie dostałabym pełnej opieki nad Ellą), podczas gdy obie przywykłyśmy do życia na raczej wysokiej stopie, mogłoby się okazać o wiele trudniejsze od utrzymania siebie jako samotnej kobiety w Madison.

— No dobrze, a jeżeli Chas zdecyduje się na leczenie? — zapytała Jadey. — Jak się nazywa to miejsce w Minnesocie? Mógłby tam pojechać.

— Nie zrobi tego.

Czy znoszenie humorów Charliego do końca życia nie byłoby gorsze od rozwodu? Rozwód — kiedy o nim myślałam, brzmiał okropnie — był do przeprowadzenia, choć koszmarny.

— W piątek jedziemy do Princeton — powiedziałam. — Może wyjazd na kilka dni dobrze nam zrobi.

— Och, rany boskie, macie Zjazd? — Jadey była przerażona. — Alice, tam wszyscy wyłącznie piją. Dobrze o tym wiesz. Nie podejmuj żadnych decyzji, kiedy tam będziecie.

Skinęłam zapraszająco ręką.

— Pójdziemy dalej?

Ruszyliśmy wyasfaltowaną ścieżką.

— Czekaj, to już dwadzieścia lat, prawda? — odezwała się Jadey. — Wielki Boże, mały braciszek Arthura skończył studia już dwadzieścia lat temu. Kiedy myśmy się tak postarzeliz? — W jej głosie słychać było normalną dla Jadey przesadę, ale tak naprawdę mówiła zupełnie szczerze. — Alice, nie możecie się rozwieść, zwyczajnie nie możecie. — Kiedy nie odpowiadałam, dodała: — Bo myślę, że bez ciebie nie dam rady być Blackwellem.

We wtorek byliśmy z Ellą w kuchni, kiedy Charlie wrócił do domu z pracy. Jak tylko usłyszałam, że zamyka za sobą drzwi, szturchnęłam ją.

— Idź, uściskaj tatę.

W ciągu dwudziestu czterech godzin, jakie upłynęły od wizyty Suttonów, nasze kontakty były wstrzemięźliwe, choć wolne od jawnej złości. W ciągu dnia nie rozmawialiśmy przez telefon, co nie zdarzało się często, ale nie było niespotykane. Charlie na ogół dzwonił w połowie dnia, ale mógł przecież być zajęty finalizowaniem transakcji kupna Brewersów. Przez chwilę myślałam, żeby zrobić mu jakąś niespodziankę z tej okazji, na przykład upiec ciasto w kształcie piłki baseballowej, ale czułam się zbyt dotknięta tym, co zaszło dzień wcześniej, żeby zadawać sobie trud.

Ella pomknęła galopem.

— Och, najdroższy ojczcie, przywitaj się ze swoją cudowną i przepiękną córką — wrzeszczała po drodze.

Na to właśnie liczyłam — że jej wylewność zrekompensuje całkowity brak czułości z mojej strony. Kiedy jednak Charlie wszedł do kuchni, jeszcze zanim się odezwał, wiedziałam, że transakcja nie doszła do skutku.

— Lloyd Reisman to pieprzona łasica — oświadczył.

Poluzował sobie krawat i usiadł, a Ella natychmiast wskoczyła mu na kolana i zaczęła ciągnąć go za uszy. Nie zwracała uwagi na jego przekleństwa — straciły swoją atrakcyjność wiele lat temu.

Charlie odtrącił dłonie Elli.

— Nie dotrzymuje umowy, którą wcześniej zawarł z Langenbacherem. Pieprzy te jakieś bzdury, że musimy z góry więcej zapłacić. — Potrząsnął głową. — Muszę się napić.

— I co będzie dalej?

— Już mu chciałem powiedzieć, że może się wypchać. Jeśli sobie wyobraża, że dostanie inną tak samo dobrą ofertę, to się grubo myli.

— Czy Zeke i Cliff się zgodzili?

Charlie prychnął.

— Cliff jest gotowy się złamać i przystać na wszystkie żądania Reisma— na. Langenbacher mówi, że powinniśmy poczekać kilka dni, przetrzymać go trochę, ale ja nie chcę tego tak zostawiać. Albo nam sprzedaje, albo nie, ale bez takiego trzymania w zawieszeniu.

— Ale nie tylko Reisman robi trudności, prawda? Skoro mówi, że chce więcej pieniędzy przy podpisywaniu, a Zeke Langenbacher odmawia...

Charlie machnął ręką w geście mającym oznaczać: „Ta rozmowa jest skończona”.

— Zjesz burgery na kolację?

— Jasne. Mam rozpalić grill?

Ella odezwała się głosem robota.

— Ja nie będę jadła burgery, bardzo dziękuję. — Wciąż siedziała Charliemu na kolanach i teraz trącała go w czubek nosa. Czy nie widziała, w jakim podłym nastroju jest jej tato, czy może nastroje jej ojca były bez znaczenia, mniej ważne od jej własnych? W takich chwilach szczerze jej zazdrościłam.

— Przestań — powiedział Charlie.

— Nie przestać — odpowiedziała Ella głosem robota. — Nie wiedzieć, co znaczy „przestać...” Nasza planeta jest zrobiona z waty cukrowej i nosimy buty na uszach.

Charlie spojrzał na mnie.

— Możesz mi jakoś pomóc?

— Ello, chodź ze mną.

Wyciągnęłam rękę, a ona ześlizgnęła się z kolan Charliego i podała mi swoją. Nawet stojąc tak blisko, nie pocałowałam go ani nie objęłam, on także mnie nie pocałował ani nie objął, a ja poczułam, że cień naszej wczorajszej rozmowy przesuwa się nad nami tak jak cień przelatującego samolotu w słoneczny dzień.

— Nakryjesz do stołu? — zwróciłam się do Elli.

Rano następnego dnia zawiozłam Ellę do szkoły i w zasadzie mogłam zaparkować i udać się do Nancy Dwyer — biuro przyjęć i wsparcia finansowego znajdowało się na tym samym piętrze, co klasa Elli — ale nie chciałam tego robić

bez uprzedzenia. Kiedy wróciłam do domu, Charlie wyszedł już do pracy (nie chciał mówić Arthurowi, Johnowi i reszcie rodziny o swoich planach związanych z Brewersami, zanim umowa nie dojdzie do skutku — teraz ta decyzja wydawała się słuszna). Poszłam na górę i usiadłam przy swoim biurku. Kiedy wybierałam numer Nancy, wiatr poruszył długimi gałęziami rosnącej pod oknem wierzby i powiększył odbicie Drzewka darów na blacie.

— Mówi Alice Blackwell — przedstawiłam się, kiedy Nancy odebrała. — Czy dzwonię nie w porę?

Następnego dnia kończył się rok szkolny. Jednak wiedziałam, że pracowników administracyjnych nie obowiązywał ten sam harmonogram, co nauczycieli i uczniów.

— Absolutnie nie — odparła Nancy. — Czym mogę służyć?

— Mam nadzieję, że to nie zabrzmie zbyt dziwnie, ale ja, my mamy pewną zaprzyjaźnioną rodzinę i jest w niej dziewczynka, która właśnie kończy szóstą klasę. Jej babcia jest bardzo blisko związana z rodziną Charliego. Dziewczynka jest bardzo bystra, najwyraźniej świetnie się uczy i zastanawiałam się, czy nie udało by się jej jakoś wcisnąć do siódmej klasy już od jesieni.

— To znaczy za trzy miesiące?

Nancy roześmiała się, ale niezłośliwie. Nie znałyśmy się zbyt dobrze. Spotkałyśmy się, kiedy Ella starała się o przyjęcie do Biddle, mając zaledwie trzy latka, co było odrobinę idiotyczne, ponieważ chodziło głównie o potwierdzenie, że potrafi załatwiać się do nocnika i nie gryzie innych dzieci, poza tym przewodniczącym zarządu szkoły był John. Charlie żartował, że Ella musiałaby zrobić kupkę na dywan w biurze Nancy, żeby jej nie **przyjęli**, chociaż zapewne nawet to nie stanowiłoby przeszkody.

— Zdaję sobie sprawę, że to trudna sprawa — powiedziałam.

— Ale niekoniecznie niemożliwa — odparła Nancy.

— To nie wszystko — rzekłam. — Podejrzewam, że byłoby potrzebne finansowe wsparcie, najlepiej pełne.

— Ojej, Alice.

— To Afroamerykanka — dodałam. — Może to by pomogło? Ale naprawdę jest niezwykle inteligentna i miła, przewodnicząca swojej grupy kościelnej, działa w radzie uczniowskiej i jest zapaloną czytelniczką. Kończy właśnie Harrison Elementary i wybiera się do Stevens, i tak między nami mówiąc, Nancy, kiedy pomyślę o tej jakże obiecującej dziewczynce...

— Tak, wiem — powiedziała Nancy. — Aż serce się kroi. — Westchnęła głęboko. — Pozwól, że to przemyślę i oddzwonię do ciebie. Jediną przeszkodą, jaką widzę, jest to finansowe wsparcie. Co prawda nowa siódma klasa będzie liczna, ale zawsze da się znaleźć jakieś miejsce. Jednak pomoc finansowa została rozdzielona już dawno temu i wykorzystana do ostateczności.

ile było mi wiadomo, fundusz na dofinansowanie wynosił w Biddle pięć milionów dolarów, i choć ze zrozumiałych względów nie należało go nadużywać, jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, w jaki sposób pięć i pół tysiąca dolarów — tyle wynosiło chesne w siódmej klasie — mogłoby mu zagrozić.

— Może wpisać ją na listę priorytetowych kandydatów na jesień osiemdziesiątego dziewiątego — mówiła Nancy. — Ale przy tak napiętych finansach, jakie mamy w tym roku, zastanawiam się, czy w ogóle jest sens rozpocząć proces aplikacyjny. Byłoby przykre zapraszać ją do kampusu, by później ją odrzucić.

— Nie, to zrozumiałe — odparłam. — Dziękuję, że w ogóle rozważałaś taką możliwość.

— Podaj mi jej nazwisko.

Słyszałam, jak Nancy szeleści jakimiś papierami.

— Jessica Sutton — powiedziałam odpowiednio wolno, by dać Nancy czas na zapisanie.

— Alice, posłuchaj, nie chcę być nachalna, ale najlepiej by było, gdybyś porozmawiała ze swoim szwagrem, Johnem. Zrobiłaś to?

— Najpierw chciałam porozmawiać z tobą.

— Będę szczerą. Z jednej strony nie miałabym zbyt wielkiej nadziei, biorąc pod uwagę czas, z drugiej jednak — Nancy się roześmiała — my tu, w Biddle, uwielbiamy rodzinę Blackwellów.

Ostatni dzień szkoły w Biddle oficjalnie kończył się w południe, kiedy to wszystkie dzieci wsiadały do autobusów rozwożących je na imprezy z okazji końca roku. Dla zbierających się u nas w domu trzecioklasistów przygotowałam mięso na hamburgery — nie z zakładów Blackwellów — i tort z napisem „WSPANIAŁYCH WAKACJI!” wykonanym nienaturalnie wyglądającym czerwonym lukrem, poza tym kilka opakowań lodów i balony w kolorach zielonkawym i niebieskim, będących barwami Biddle. Kiedy poszłam po nie do sklepu, sprzedawca powiedział mi, że jestem drugą osobą proszącą o ten zestaw kolo-

rystyczny. Po powrocie do domu zadzwoniłam do Jadey, która organizowała przyjęcie dla siódmoklasistów z klasy Winnie.

— Ty także kupowałaś zielonkawe i niebieskie balony na przyjęcie? — pytałam.

Roześmiała się.

— Kiedy składałam zamówienie, myślałam nawet, czy nie zamówić podwójnej ilości i połowy zostawić dla ciebie.

Dwie inne matki, Joyce Sutter i Susan Levin, które przyszły mi pomóc, przyniosły chipsy i przyprawy, a także dwa litry napojów gazowanych. Wspólnie rozwinęłyśmy wodną ślizgawkę w ogrodzie na tyłach domu. Joyce rozwinęła wąż ogrodowy, Susan tymczasem robiła z mięsa kotlety. Trochę mnie zdziwiło, że żadna z nich nie potrafi rozpalić grilla, sama więc polałam węgiel drzewny płynem zapalającym i wrzuciłam zapałkę.

Na dźwięk nadjeżdżającego autobusu pobiegłyśmy przed dom i dosłownie wszędzie ujrzałyśmy trzecioklasistów, rozbrykanych i hałaśliwych. Jeden z chłopców zdarł z siebie koszulkę, krzyząc: „Pierwszy na ślizgawce!”. Wiele dzieci już miało na sobie kostiumy kąpielowe i ręczniki przewieszane przez szyję, torby i plecaki porzucali byle gdzie na trawniku.

— Bardzo proszę, żeby wszyscy przeszli na tył — powtarzałam głośno swoim najbardziej autorytatywnym tonem. — Przyjęcie odbywa się z tyłu domu.

Ella podbiegła do mnie.

— Gdzie jest mój ręcznik w rozgwiezdy?

— W kuchni. Ello, pamiętaj...

— Mamo, wiem — przerwała mi. — Będę niezwykle czarującą gospodynią.

Kiedy znikła, Susan Levin odezwała się do mnie półgłosem:

— Rośnie z niej prawdziwa piękność. Alice, to chodząca replika ciebie i Charliego.

W ogrodzie ustawiłam grill odpowiednio daleko od tarasu, ale w miejscu, z którego mogłam doglądać dzieci na ślizgawce: rozpęd biegiem i rzut brzuchem na mokry żółty plastik — Joyce Sutter stała obok, bez przerwy polewając gumę wodą, żeby zapewnić maksymalny poślizg — po czym długi ślizg naprzód, z wyciągniętymi przed siebie ramionami. Modliłam się w duchu, żeby nikt nie wybił sobie zębów o wystający korzeń czy kamień.

Ella jadła hamburgera, stojąc obok mnie i dygocząc w mokrym kostiumie kąpielowym.

— Weź ręcznik, zuczku — powiedziałam, ale tylko potrząsnęła przecząco głową.

— Zaraz idę jeszcze raz.

— Żeby tylko brzuch cię nie rozboleł. — Rozejrzałam się po ogrodzie. — Kochanie, gdzie jest Megan Thayer?

Ella wzruszyła ramionami.

— Była dzisiaj w szkole?

Ella zastanowiła się przez chwilę, po czym skinęła głową.

— Wsiadła do autobusu?

Ella znowu wzruszyła ramionami.

— Czy później mogę założyć sukienkę z rodziny Addamsów?

— Nie, dopóki masz gości. — Skinęłam głową w stronę tarasu, gdzie samotnie siedziała dziewczynka o imieniu Stephenie Woo. — Dlaczego nie spytasz, czy Stephenie nie zagrałaby w państwa— miasta?

— Wracam na ślizgawkę.

— Tylko raz — powiedziałam. Ella już chciała zaprotestować, kiedy dodałam: — Wydawało mi się, że chcesz założyć sukienkę.

Przykryłam grill, zamknęłam dyszę i podeszłam do Joyce, która stała przy stole z napojami; Susan przejęła obowiązki przy wężu z wodą.

— Mogłabyś przypilnować grilla? Ja tylko na chwilę zajrzę do domu.

W domu szybko przeszukałam dół. Był pusty z wyjątkiem salonu, w którym dwaj chłopcy — Ryan Wichinski i Jason Goodwin — wygłupiali się przy pianinie. Ich widok sprawił mi przyjemność: Ella tak nienawidziła lekcji, na które ją zapisałam, że po roku pozwoliłam jej zrezygnować, a ani Charlie, ani ja w ogóle nie potrafiliśmy grać.

— Prawdziwie utalentowani muzycy — odezwałam się do nich i wróciłam do holu.

Na górze wszystkie drzwi były pootwierane i Megan znalazłam w naszej sypialni, jak siedząc spokojnie na podłodze, przegląda egzemplarz „Penthouse'u”. Kilka innych leżało rozrzuconych wokół niej i jeszcze zanim zbliżyłam się na ty-

le, żeby zobaczyć — och, czemuż nie oglądała „The New Yorkera” albo nie szukała wskazówek dekoracyjnych w „House and Garden”! — już wiedziałam.

Chyba nie znalazła czasopism od razu. Najpierw przymierzyła kilka par moich butów, potem kilka butów Charliego (leżały porozrzucane na dywanie), spryskała się moimi perfumami o zapachu fiołków — na mojej toalecie stała otwarta buteleczka, a w powietrzu unosił się znajomy aromat — ze słoiczka, który Charlie trzymał na parapecie okna, wysypała drobne na nasze łóżko i oddzieliła wszystkie ćwierćdolarówki.

Popatrzyła na mnie i dałabym sobie głowę uciąć, że było to świadome, niemal dorosłe spojrzenie, chociaż szukałabym w ten sposób rozgrzeszenia. Nie była świadoma i nie była dorosła. Miała dziewięć lat i oglądała zdjęcia kobiet rozkładających nogi i bezwstydnie prezentujących obfite piersi.

Podeszłam i zdjęłam czasopismo z jej kolan — nie protestowała.

— Megan, to nie jest dla ciebie odpowiednie — oznajmiłam.

Patrzyła na mnie bez słowa, z opadającymi ciemnymi włosami i zwieszonymi szerokimi ramionami.

— Grzebałaś tam? — wskazałam na najniższą szufladę w stoliku nocnym Charliego, którą musiał zapomnieć zamknąć, chociaż miała zamek. — Takie czasopisma są dla dorosłych, nie dla dzieci. Może ci być trudno zrozumieć zdjęcia, które tu są.

(Po przyjęciu zaczęłam przeglądać czasopisma, uznałam bowiem, że odpowiedzialność nakazuje mi sprawdzić, co dokładnie Megan widziała. Doszłam do rozkładówki, na której widziała kobieta, zapewne mająca być „z klasą”. Na pierwszym zdjęciu wysiadała z limuzyny, ubrana w futro, szpilki i nic poza tym; na następnym stała w jakiejś sali balowej, zwrócona do aparatu tyłem, prezentując pośladki w pełnej krasie, zerkając przez ramię i w jednej ręce trzymała kieliszek szampana. Tego było już dla mnie za dużo — nie mogłam dłużej na to patrzeć i zamknęłam pismo. To było takie głupie, modelka tak wymalowana i sztuczna, udawanie elegancji tak n i e e l e g a n c k i e, ale też przedziwne, naruszające prywatność tej kobiety, ukazujące, jak wygląda bez ubrania. Nie wyobrażałam sobie, po co ktoś w ten sposób się obnaża, chyba że zmuszała go do tego rozpaczliwa sytuacja finansowa).

Megan wskazała na leżące na podłodze pismo.

— Tu jest goła pani, która gra w kręgle.

Co u licha miałam na to odpowiedzieć? Kiedy przyjdzie po Megan jej matka, będę musiała wyjaśnić, co się stało, i sama myśl, że będę zmuszona opowiedzieć

Carolyn Thayer, że jej córka natknęła się na świerszczyki mojego męża, przyprowadziła mnie o mdłości.

— Gdybyś miała jakieś pytania, powinnaś zapytać swoją mamę. Żałuję, że grzebałaś w naszych szufladach, ponieważ to są nasze prywatne sprawy i tobie nic do tego. Ale też jest mi przykro, że to widziałaś. To nie dla dzie— więciolatek. — Zawahałam się. — I nie wszyscy dorośli oglądają takie pisma. Osobiście mnie one w ogóle nie interesują.

— Dlaczego w takim razie macie ich tak dużo?

Sama się prosiłam, czyż nie? Z ociąganiem zebrałam wszystkie pisma na kupkę i włożyłam z powrotem do szuflady; rzecz jasna nie miałam pojęcia, gdzie jest klucz. Z zewnątrz dobiegały głosy krzyczących, rozbawionych dzieci. Kiedy się obróciłam, Megan wciąż siedziała tam, gdzie ją znalazłam.

— Mam nadzieję, że nie będziesz rozmawiała o tym z Ellą ani z innymi dziećmi, bo mogłyby poczuć się niezręcznie. Dobrze?

Popatrzyłam na nią — zawsze wierzyłam w moc kontaktu wzrokowego, i to nie tylko z dziećmi.

— To głupie przyjęcie — stwierdziła. — Nawet nie macie basenu.

Zmusiłam się do uśmiechu.

— Na szczęście wy macie, prawda?

— Tylko w domu u mamy.

— Może pójdziesz ze mną na dół? — poprosiłam. — Zaraz będę kroić tort i mogłabyś mi pomóc.

Wstała i poprawiła szorty. Nie była więc aż tak nieskora do współpracy, jak sądziłam.

— Założę się, że pan Blackwell lubi te pisma, bo panie, które tam pokazują, są ładniejsze od pani — powiedziała.

Nie była socjopatką, jak twierdziła Jadey, ale z całą pewnością była dziewczynką, której wręcz nie dawało się lubić, na myśl o czym poczułam raczej współczucie niż irytację. Istniało prawdopodobieństwo, że sobie poradzi, że doros'nie i będzie wies'ć normalne życie jak wszyscy, ale kiedy tak stała na środku naszej sypialni, zrozumiałam, że nie będzie jej łatwo do samego końca szkoły.

— Megan, nasze rodziny się przyjaźnią — rzekłam. — Stąd wiem, że to nie był dla ciebie łatwy rok. Ale jesteś dobrą, wyjątkową dziewczynką i mam na-

dzieję, że w czwartej klasie ułoży ci się lepiej. Wiem, że Ella gra właśnie z dziewczynkami w państwa— miasta, co chyba jest fajniejsze od krojenia ciasta.

Wyszliśmy z sypialni.

— Rzuciłam do kosza za trzy punkty — oznajmiła, kiedy dotarliśmy do szczytu schodów.

— To wspaniale.

— Na naszym podjeździe. I mój brat mi nie wierzy, ale naprawdę tak było.

Poklepałam ją w ramię.

— Ja ci wierzę.

— Wkładaj buty do tańca — powiedział Charlie przez telefon. — Rozmawiasz z nowym partnerem zarządzającym Brewsterami z Milwaukee.

— Moje gratulacje. To wspaniale, kochanie.

— Myślałem o kolacji w klubie. Możesz zrobić rezerwację?

— Charlie, to naprawdę wspaniale, ale czy moglibyśmy zjeść w domu? Muszę się spakować do Princeton, po południu było przyjęcie klasowe Elli...

— Kiedy po raz ostatni proponowałem jakieś wieczorne wyjście? — zapytał Charlie.

To prawda. Poza wyjściami na mecze baseballowe, musiały minąć całe miesiące.

— Pora świętować, kobieto — dodał. — Jutro będzie o tym we wszystkich gazetach, ale ty dowiadujesz się pierwsza.

— Zakładam, że poinformowałaś już rodzinę?

— Właśnie skończyłem rozmawiać z tatą, za chwilę zadzwonię do Ar— ty'ego i Johna. Rany, braciszków aż" skręci z zazdrości. Może być o siódmej trzydzieści?

— Kochanie, naprawdę cieszę się ogromnie, ale czy mogę cię jakoś przekonać, żebyśmy zjedli tutaj? Wciąż jeszcze sprzątam po przyjęciu i... Cóż, jest coś, o czym chciałabym z tobą porozmawiać.

— O co chodzi?

— Wolalabym zaczekać, aż wrócisz do domu.

Okazało się, że Carolyn Thayer nie przyjechała po Megan. Odwiozła ją Joyce Sutter, co z kolei oznaczało, że muszę do Carolyn zadzwonić. Rozmowa przebiegła najgorzej, jak to tylko możliwe.

— Jestem zdumiona, że właśnie ty dopuściłaś do czegoś podobnego — powiedziała. — Mam nadzieję, że wiesz o tym, ale noga Megan więcej w twoim domu nie postanie.

To ma być groźba? pomyślałam, ale wobec niej byłam uprzedzająco grzeczna i przeproszałam do obrzydzenia. Kiedy z nią rozmawiałam, nagle zdałam sobie sprawę, że plotka rozejdzie się wśród naszych znajomych w Maronee lotem błyskawicy. Być może udało mi się (ale równie dobrze nie) przekonać Megan, żeby nie opowiedziała kolegom o tym, co widziała (wzdrygnęłam się na myśl o kpinach innych dzieci wobec Elli na lekcjach pływania), ale czy naiwnością będzie wiara w dyskrecję Carolyn? Być może, aby chronić Megan, nie będzie o tym opowiadać, wiedziałam jednak, że bardzo trudno jest oprzeć się pokusie plotkowania. Kiedy po skończonej rozmowie z Carolyn odłożyłam słuchawkę, poczułam, jak Maronee przytłacza mnie klaustrofobicznie.

— Czy to coś poważnego? — dopytywał się Charlie.

— Na pewno porozmawiamy o tym wieczorem.

— Daj mi jakąś wskazówkę. Na ile sylab? Rymuje się z...

— Na przyjęciu Megan Thayer poszła na górę i znalazła twoje „Penthousey”.

Przyznaję, nie byłam całkowicie zaskoczona, kiedy Charlie ryknął śmiechem. Czyż nie chciałam zapewnień, że nic się nie stało, że jestem głupia, poczuwając się do winy?

— Uważasz, że to babochłop? — zapytał. — Ona jest zbudowana jak wspomagający.

— Powinieneś wiedzieć, że odbyłam nadzwyczaj niemiłą rozmowę z Carolyn Thayer, i mam nadzieję, że nie rozejdą się plotki, że...

Wszedł mi w słowo.

— A jaka rozmowa z Carolyn Thayer nie jest niemiła? Poza tym, kochanie, jeżeli rozniesie się, że oglądam „Penthouse”, nie będzie to żadna plotka. Wiesz co? Gównu mnie to obchodzi. Uwierz mi, co najmniej połowa facetów w Maronee wali konia nad świerszczykami.

— Więc gdyby dowiedziała się Jadey czy Nan...

Znowu się roześmiał.

— To ich mężowie nauczyli mnie, czym jest pornografia. Uspokój się, dobrze? I zadzwoń do klubu, żeby im powiedzieć, że chcemy stolik na siódmą trzydzieści.

Odczekałam chwilę, zanim odezwała się znowu.

— Nie. Przykro mi, ale nie — czeka nas ciężki weekend i nie mam zamiaru rano śpieszyć się na samolot. Potrzebny mi cichy wieczór w domu, żebym mogła sobie wszystko poukładać.

— Lindy, kurwa, kupiłem dzisiaj drużynę baseballową!

— Nie przeklinaj, Charlie.

— W takim razie nie bądź taką suką.

Odsunęłam słuchawkę od ucha, jakby poraziła mnie prądem. Jakim cudem doszliśmy do tego? Nie zdziwiło mnie, że Charlie jest grubiański, lecz że zachowuje się grubiańsko wobec mnie — dawniej tak nie było. Kiedyś wierzyłam, że mnie traktuje delikatniej i czulej niż innych, przez co jego wulgarność niemal mi schlebiała. Teraz jednak znalazłam się na równi ze wszystkimi, powinnam żłopać piwsko i rechotać z wątpliwych dowcipów, znosząc zbyt mocne poklepywanie po plecach.

Sądziłam, że podobnie jak ja przejmie się wypowiedzianymi właśnie przez siebie słowami, ale kiedy się odezwał, w jego głosie nie usłyszałam ani krzty skruchy, lecz zdenerwowanie — on zdenerwował się na m n i e .

— W takim razie siedź sobie w domu, okay? — zakończył. — A ja zobaczę, czy znajdę jakieś towarzystwo w lepszym nastroju do zabawy. ,

Kiedy telefon zadzwonił ponownie, byłam pewna, że to Charlie, który zdążył już ochłonąć, w słuchawce jednak rozległ się głos Joego Thayera.

— Carolyn mi powiedziała, co wydarzyło się na dzisiejszym przyjęciu... — zaczął.

— joe, jestem zdruzgotana. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi przykro. Mam nadzieję, że ty i Carolyn wiecie...

Najpierw ja mu przerwałam, teraz on mnie wszedł w słowo.

— Wiedziałem, że będziesz się obwiniać, i jak znam Carolyn, nagadała ci do słuchu, ale Alice, bardzo cię proszę, nie przejmuj się. Uwierz mi, Caro jest ostatnio przepelniona gniewem. Oczywiście wszyscy wolelibyśmy, żeby do tego nie doszło, ty i my jednakowo, ale jeśli to ma być najgorsze, na co Megan zostanie

kiedykolwiek narażona, to będzie prawdziwą szczęściarą. W osłupienie mnie wprawia, co teraz pokazują w telewizji. Widziałaś ten program *Poślubieni dziećmi*?

— Tylko o nim słyszałam. Joe, dziękuję ci za zrozumienie, ale mam nadzieję, że wiesz, jak bardzo mi przykro.

— Przecież te czasopisma nie są t w o j e, Alice. — W głosie Joego słyszałam rozbawienie, które jak zdałam sobie sprawę, było tam przez cały czas.

— No, nie — powiedziałam. — Nie, takich rzeczy raczej nie czytuję.

— Nie zapominaj, od jak dawna znam twojego męża — powiedział Joe. — Pamiętam, kiedy jako dziecko robił w Halcyon tę starą sztuczkę z Indianką na opakowaniu Land O'Lakes.

Nie umiałam powiedzieć, czy to urocze czy też raczej smutne, że zaledwie kilka miesięcy wcześniej Charlie pokazał Elli tę samą sztuczkę — wyciął kolana Indianki i umieścił je na jej piersi, tak że kiedy podnosiło się klapkę, wyglądało to, jakby wypychała swój własny obfity biust. Najwyraźniej, chociaż minęło trzydzieści lat, pewne rzeczy się nie zestarzały.

— Muszę przyznać — powiedział Joe — że kiedy Carolyn mi o tym powiedziała, pierwsze, co przyszło mi do głowy, to że gdybym ja miał taką żonę jak Alice, nie musiałbym sięgać po takie szmatławce. Charlie nie wie, co ma, i powiedz mu o tym, jak skończymy rozmawiać.

Joe mówił wesołym tonem i spróbowałam mu dorównać.

— Jesteś bardzo miły.

— Co jednak ważniejsze — ciągnął — to, że po naszym spotkaniu na stacji benzynowej zarezerwowałam bilet do Princeton na Zjazd. Z początku nie wyobrażałam sobie, że mógłbym pojechać sam, ale potem pomyślałam, że to głupie. Zabawa w towarzystwie przyjaciół to dokładnie to, co doktor mi przepisał.

— Joe, to cudownie. Brawo. Będziesz musiał założyć jakiś zwariowany pomarańczowo— czarny kostium?

— Zbyt długo zwlekałem z rejestracją, dlatego odbiorę strój dopiero w kampusie i wolę nie myśleć, co to będzie. Musimy znaleźć się na paradzie, dobrze? Obawiam się, że będziesz tam jedyną normalną osobą.

— Och, naprawdę przeceniasz moją normalność. Ostatnio cały czas ćwiczyłam lokomotywę.

— A wiesz, że nigdy nie udało mi się namówić Carolyn, żeby się jej nauczyła? — rzekł Joe. — Myślisz, że to mógł być znak?

Ledwo odłożyłam słuchawkę, kiedy telefon znowu zadzwonił.

— Czy Chas kupił Brewersów? — zapytała Jadey, jak tylko podniosłam słuchawkę.

Zawahałam się.

— W pewnym sensie.

— Kiedy chciałaś mi o tym powiedzieć?

— To się stało dopiero dzisiaj, i ja sama dowiedziałam się dopiero przed chwilą. Wiesz przecież, że to nie tylko sam Charlie, prawda? Jest cała grupa inwestorów, a wkład Charliego... Cóż, jest na pewno mniejszy, niż sądzisz.

Zabawne było to, że dzięki pieniądзом, które Jadey odziedziczyła, ona i Arthur mogliby prawdopodobnie zainwestować znacznie pokaźniejszą sumę. Czy tylko przypadek sprawił, że Arthur odmawiając pójścia na mecz, tym samym wykluczył się z transakcji?

— Załatwisz nam miejsca w najlepszej łoży? — zapytała Jadey.

Roześmiałam się.

— Te, które mamy, też nie są takie złe.

— Zadzwonź do mnie, jak tylko wrócicie z Princeton, okay? Na dwudziestolecie Arthura było chyba ze sto stopni w cieniu, ale i tak bawiliśmy się świetnie. I pamiętaj, Chas prawdopodobnie będzie pił na umór, ale odpuść mu, bo nie on jeden.

Pragnęłam jej powiedzieć o zajściu z Megan Thayer, może też o tym, że Charlie nazwał mnie suką, ale wtedy wisiałybyśmy na telefonie przez czterdzieści pięć minut, a ja miałam zbyt dużo do zrobienia. Poza tym nie chciałam, żeby Ella coś usłyszała.

— Zadzwonię w poniedziałek — odparłam.

Na kolację przygotowałam Elli tost z roztopioną mozarellą — nazywałyśmy to pizzowym tostem, chociaż nie było sosu pomidorowego, a podobieństwo do pizzy dość marne — sobie odgrzałam hamburgera z resztek pozostałych po klasowej imprezie i posmarowałam go musztardą. Jeżeli Charlie będzie głodny po powrocie do domu, też będzie mógł zjeść burgera. Ponieważ następnego dnia nie było szkoły, pozwoliłam Elli oglądać *The Cosby Show* — uwielbiała postać Ru-

dy, drugim ulubieńcem był Theo — położyła się więc na naszym łóżku w swojej idiotycznej czarnej sukience, a ja się pakowałam, wędrując pomiędzy jej pokojem a naszym.

— Na pewno chcesz wziąć ze sobą Misia— Misia — zawołałam do niej.

— Jeszcze go nie pakuj! — odkrzyknęła. — Dziś go potrzebuję!

Misio— Misio nie był zwykłym pluszowym misiem, lecz raczej lalką szmacianką w czerwonym patchworkowym obszyciu. Zrobiła go moja mama, kiedy Ella przyszła na świat, i był jedyną zabawką, z którą Ella sypiała.

Po *The Cosby Show* był *Inny świat*, potem *Zdrówko*, którego nigdy nie pozwalałam Elli oglądać, a Charlie ciągle jeszcze nie wrócił. Ile kolejnych wieczorów upłynie w ten sposób, na ile *jeszcze* się zgodzę? Kiedy zadzwonił telefon, po raz kolejny założyłam, że to Charlie i po raz kolejny spotkała mnie niespodzianka.

— Pani Blackwell? — rozległ się damski głos, który znałam, nie umiałam go tylko dopasować do osoby. Głos był nie tylko kobiecy, ale młody i niepewny. — Mówi Shannon.

— Oczywiście. Jak się masz? — przywitałam naszą opiekunkę.

— Hm, przepraszam, że zawracam pani głowę, ale...

— Czy coś się stało? — zapytałam, a Ella popatrzyła na mnie z łóżka.

Ponieważ telefon był bezprzewodowy, wyszłam z nim do holu.

— Dzwonię, bo, hm, widziałam właśnie pana Blackwella. — Poczułam, jak niepokój zaczyna we mnie narastać; miałam wrażenie, że w moim wnętrzu znalazł się ciepły, cienki kawałek drutu. Byłam przekonana, że następne słowa Shannon będą brzmiały: „w samochodzie rozbitym o słup telefoniczny”, na szczęście jednak wieści nie były aż tak przerażające. — Hm, byliśmy u Hermana — powiedziała.

— To znaczy gdzie?

— W barze.

— I tam spotkałaś pana Blackwella?

— Nie, ja, hm, poszłam tam razem z nim. Zadzwonił jakieś dwie godziny temu i spytał, czy mam czas i czy może po mnie przyjechać, bo chce ze mną porozmawiać. Pomyślałam, sama nie wiem, hm, pomyślałam, że może chodzi o Elę. A kiedy wsiadłam do samochodu, zapytał, hm, czy nie mam ochoty na drinka.

— Gdzie jest ten bar?

— W Wells, niedaleko kampusu. Dzwonię, bo, hm, pan Blackwell wypił kilka drinków, wie pani, o czym mówię?

Spirala z drutu w moim wnętrzu wybuchła; jej kawałeczki popłynęły moimi żyłami. Nadal więc istniała możliwość, że walnie w jakiś słup, a jego randka z opiekunką może być dodatkiem do wypadku, nie czymś w zamian. A kampus — Shannon mówiła o Marquette, gdzie studiowała na drugim roku - był oddalony o jakieś sześć i pół kilometra od nas. Spróbowałam zachować spokój.

— To znaczy, ile wypił? — zapytałam.

— Hm... — zastanowiła się. — Czy ja wiem, pięć? Albo sześć? Byliśmy tam tylko z godzinę. Przepraszam, proszę pani, ale pomyślałam, że powinna pani wiedzieć.

— Nie, jestem ci wdzięczna, że zadzwoniłaś. Kiedy wychodził z baru, czy mówił, że jedzie do domu?

— Nie wiem, przykro mi. Powiedział, że kupił Brewersów, to chyba fajnie. — Zaśmiała się krótko, wyraźnie skrepowana.

— Czy on... — Słowa nie chciały mi przejść przez gardło, ale nie mogłam wymagać, aby to ona powiedziała. — Czy ci się narzucał? — zapytałam zduszonym głosem.

— Nie, nie, po prostu rozmawiał ze mną — odparła pośpiesznie. — Mówił coś o baseballu. Był w bardzo dobrym humorze, a potem podwiózł mnie tutaj.

Wypił pięć, może sześć drinków, potem siadł za kierownicą i odwiózł do domu opiekunkę Elli?

— Shannon, naprawdę bardzo mi przykro. Pan Blackwell postąpił bardzo niewłaściwie, ty natomiast postąpiłaś nad wyraz słusznie.

— No, wie pani, nie bałam się. Przecież znam pana Blackwella. Mam tylko nadzieję, że bezpiecznie wróci do domu.

Kiedy to mówiła, usłyszałam, jak Charlie zajeżdża przed dom. Najpierw dobiegł mnie odgłos silnika, potem sześć, siedem razy pod rząd rozległ się klakson. Charlie czasem tak robił, w ten sposób obwieszczając swój powrót.

— Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy — powiedziałam.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, serce waliło mi jak oszałałe.

— Kto to był? — zapytała Ella.

— Koleżanka mamusi, której nie znasz.

Na ekranie telewizora pojawiła się reklama proszku do prania, Charlie otworzył na dole drzwi, po czym zaczął wspinać się po schodach, śpiewając Piosenkę: *Kiedy Johnny maszerując, wraca do domu.*

Kiedy Johnny maszerując, wraca do domu

Hurra! Hurra!

Powitajmy go serdecznie

Hurra! Hurra!

Mężczyźni wiwatują, chłopcy pokrzykują

Panie się radują

I wszyscy świętują, kiedy Johnny maszerując, wraca do domu.

Znał tylko pierwszą zwrotkę, więc wchodząc do sypialni, zaczął od początku. Nachylił się, by mnie pocałować — najwyraźniej moja wredność została mi wybaczona — a Ella zerwała się z łóżka i skoczyła na niego. Podniósł ją, obrócił do góry nogami, a kiedy sukienka jej opadła, zaczął łaskotać ją po brzuchu. Piszczła i wyrywała się, chwytając się go, sama także próbując śpiewać głosem zduszonym przez materiał sukienki: „Panie się radują.

Charlie doszedł do ostatniej linijki, przeciągnął ją, po czym rzucił Ellę na łóżko, a ona zaczęła się gramolić, póki nie doprowadziła sukienki do porządku, i natychmiast spróbowała skoczyć na niego znowu.

— Podnieś mnie — zażądała.

— Kręgosłup mi pięknie, Ellarino — powiedział. — Ile ty już ważysz? Tęnę?
— Popchnął ją z powrotem na łóżko i łaskotał. — Ktoś tu zjada za dużo biszkoptów! Ktoś tu obżera się megapizzami!

Ella śmiała się tak bardzo, że z oczu popłynęły jej łzy. Brakowało jej tchu, krztusiła się, miała czerwoną buzię, w ataku śmiechu, jakiego ja nie przeżyłam nawet jako dziecko. Chociaż byłam zła na Charliego, byłam też pod wrażeniem — co prawda z dystansem, jaki wiele razy wcześniej odczuwałam — talentu, z jakim w momencie pojawienia się wprowadzał ruch i hałas do domu, który jeszcze przed chwilą wydawał się pusty i uśpiony. Tacy byli szczęśliwi, moja córka i mój mąż, że po prostu nie mogłam zwrócić mu uwagi; stałam z boku i przyglądałam się ich wspólnym wygłupom.

— Hej, Ello, chcesz wiedzieć, co dzisiaj kupiłem? — zapytał.

— Prawdziwy balon?

— Jeszcze lepiej. — Uśmiechnął się szeroko. Nie wyglądał na zbyt pijanego; owszem, był rozradowany, ale całkiem przytomny. — Kupiłem drużynę baseballową Brewers — odparł. — Jesteś gotowa na całe mnóstwo, ale to mnóstwo meczów?

— Jej! — krzyknęła Ella.

Charlie spojrzał na mnie.

— Przynajmniej ktos' się cieszy.

— Czy Kioko Akatsu też może pójść z nami? — spytała Ella.

— Kochanie, Kioko musiałaby lecieć dwanaście godzin samolotem, żeby do nas przyjechać — odparłam.

Ella zaczęła klaskać, potem chwyciła dłonie Charliego w swoje, próbując zachęcić go, żeby też klaskał. Udając głos dorosłego mężczyzny, zaczęła śpiewać:

— Jestem najlepszym baseballistą, jaki kiedykolwiek żył. A wy jesteście najgłupszy na świecie.

Charlie uwolnił ręce i chwycił ją za głowę.

— Jestem czempionem Milwaukee w stanie Wisconsin — powiedział. — A wy jesteście frajerami, którzy pracują od dziewiątej do piątej.

Kiedy kładłam się do łóżka, była za kwadrans dwunasta, i Charlie leżał na wznak z zamkniętymi oczami. Czułam jednak, że nie śpi.

— Według mnie powinniśmy zapłacić, żeby Jessica Sutton mogła pójść do Biddle — zaczęłam.

Otworzył oczy, potem zerknął na mnie z ukosa.

— O czym ty do cholery mówisz? — zapytał. Nie zabrzmiało to jak wstęp do kłótni, raczej chyba faktycznie nie wiedział, o czym mówię.

— Nie mogę się pogodzić z myślą, że miałyby pójść do Stevens. Dzwoniłam do Nancy Dwyer z biura rekrutacyjnego, żeby sprawdzić, czy jest już za późno, aby Jessica zaczęła od jesieni, i chyba mogliby ją zapisać do siódmej klasy, ale niestety rozdzielili już wsparcie finansowe.

— A właśnie, przypomniało mi się. — Obrócił się na bok. — Zgadnij, kogo spotkałem wieczorem.

— Jeżeli pozwolisz, wolałabym nie odbiegać od tematu.

— Zgadnij. — Uśmiechał się.

— Wiem, z kim się widziałeś, i wcale nie uważam tego za zabawne — odparłam zimno.

— Nie masz zielonego pojęcia! — Wciąż zachowywał się jowialnie, wielce z siebie zadowolony.

— Charlie, Shannon zadzwoniła do mnie po tym, jak tylko ją odwiozłeś, i była bardzo poruszona, co mnie nie dziwi. Masz pojęcie, jak to musiało wyglądać? Jesteś dwa razy straszny od niej, jesteś jej pracodawcą. Nie wyobrażam sobie, żebyśmy mogli ją jeszcze kiedyś poprosić o zajęcie się Ellą, a nawet jeśli, to wątpię, czy się zgodzi. Ja na jej miejscu na pewno bym odmówiła.

— Odbiło ci? Świetnie się bawiła. To poważna dziewczyna, bardzo zrównoważona. Wiedziałaś, że jej ojciec jest hydraulikiem?

Usiadłam i oparłam się o wezglowie łóżka, krzyżując ramiona przed sobą. Nie wiedziałam, co powiedzieć, jak wytłumaczyć rzecz oczywistą. Wzięłam głęboki oddech.

— Ona jest opiekunką naszej córki — powiedziałam. — Ty masz czterydzieci dwa lata i zaprosiłeś ją do baru.

— Ale ty możesz zabierać pannę Ruby do teatru? — Uśmiechnął się złośliwie i wtedy zrozumiałam: on to zrobił specjalnie. Całe to dzisiejsze zamieszanie służyło wyłącznie temu, aby zadać mi to pytanie. Dlatego właśnie ze wszystkich możliwych ludzi wybrał Shannon — nie dlatego, że lubił jej towarzystwo, ale żeby dać mi nauczkę. Odkąd Shannon zadzwoniła, mój niepokój nie wynikał z zazdrości o męża, ze strachu przed jego zdradą. Charlie nie był kobieciarzem. Owszem, lubił poflirtować, z mężczyznami i kobietami jednakowo, ale nie wyobrażałam go sobie zaangażowanego w prawdziwy romans, z wszystkimi podstępami i logistycznymi komplikacjami. Owszem, był zdolny do ośmieszenia czy upokorzenia mnie, ale nigdy nie posunąłby się do niewierności.

— Dobrze wiesz, na czym polega różnica — powiedziałam.

Wzruszył ramionami.

— Gospośia, opiekunka do dziecka — dla mnie nie ma specjalnej różnicy.

Nasze spojrzenia się spotkały i naszała mnie ochota, żeby go społiczko—

wać albo przynajmniej uderzyć w klatkę piersiową. Ale zamiast tego odrzuciłam nakrycie i wstałam.

— Co się z tobą dzieje? Nie widzisz, że to nie żart? A Shannon powiedziała mi, ile wypiełeś. A gdyby cię zatrzymali? Albo gdybyś miał wypadek, zginął albo kogoś zabił?

Położywszy się z powrotem na plecach, tym razem wsparł się na łokciach.

— Alice, nie wydaje mi się, żebyś akurat ty mogła pouczać mnie w kwestii prowadzenia samochodu — powiedział powoli i bardzo spokojnie.

Niesamowite — w ciągu ostatnich tygodni ilekroć sądziłam, że Charlie powiedział najgorszą z możliwych rzeczy, mijało kilka dni, a on przechodził samego siebie. Wściekła obeszłam łóżko i kiedy doszłam do jego stolika nocnego, szarpnięciem otworzyłam najniższą szufladę, wyciągnęłam „Penthouse'y” i rzucałam nimi w niego, jeden po drugim.

— Jesteś okropny! — wrzasnęłam, tylko na wpół świadoma, że krzyczę, a tuż obok śpi Ella, ale nie byłam zdolna się opanować. — Jesteś rozpuszczonym smarkaczem, nie obchodzi cię nikt poza tobą samym! Myślisz, że życie jest takie zabawne, takie łatwe, ale tylko dlatego, że chroni cię twoje bogactwo. Zawsze ktoś odwaliał za ciebie brudną robotę, posyłał cię do szkół, dawał pracę w rodzinnej firmie, proponował ci drużynę baseballową, na miłość boską, a teraz masz mnie, żebym mogła tuszować twoje dziwaczne, chamskie zachowanie. Ale mam już tego dość, Charlie, rozumiesz? Przejadło mi się. To, że nigdy nie wpakowałeś się w żadne kłopoty, nie oznacza, że nigdy nie zrobiłeś niczego złe.

Czasopisma się skończyły, a Charlie zasłaniał twarz rękami w geście samoobrony, ale przez palce widziałam, że jest zdziwiony i nie do końca poważny. Chyba wciąż miał nadzieję, że żartuję. Obróciłam się na pięcie i ruszyłam w stronę drzwi.

— Lindy — powiedział. — Jezu, może byś się uspokoiła...

Poszłam do pokoju gościnnego i zamknęłam za sobą drzwi, dygocząc na całym ciele. Niepodobna, żebyśmy dalej byli małżeństwem. Nagle usłyszałam kroki w holu i ucieszyłam się, że przyszedł klócić się dalej, w pewnym sensie świadczyło to o jego dojrzałości. I wtedy doszedł do mnie słabiutki głosik:

— Mamusiu?

Kiedy otworzyłam drzwi, Ella zaczęła płakać.

W samolocie do Newark głównie milczeliśmy, tak samo jak rankiem w domu i podczas jazdy na lotnisko. Cisza trwała, kiedy odbieraliśmy wynajęty samochód

i wyjechaliśmy na autostradę 1— 95 South. Charlie zdawał się czekać na jakiś sygnał z mojej strony, ale nic nie zrobiłam; prawie na niego nie patrzyłam. Ella również była wyjątkowo skupiona, niepewna. Charlie pokazał jej artykuł w „Sentinelu” o zakupie Brewersów przez Grupę Kapitałową i chociaż zrobił to bez ostentacji, czułam, że robi to również na mój użytek. Ja artykułu nie przeczytałam.

Kiedy czekaliśmy na samolot, byłam ciekawa, czy trafimy na Joego Thayera, ale musiał wybrać inny lot. Spotkaliśmy natomiast Norma i Patty Set— terlee — Norm ukończył Princeton w 1948 roku.

— Obiecuj mi, że White Sox już nigdy więcej nie wygrają — zażartował, lekko trącając Charliego w ramię.

W samolocie Ella siedziała między nami.

— Trochę o tym myślałem i nie zdziwiłbym się, gdyby Jessica Sutton kwalifikowała się do stypendium — powiedział Charlie.

Ella podniosła wzrok znad *Bunnicali* — książki, którą czytała, i odezwała się:

— Co to znaczy „kwalifikuje się”? — Kiedy żadne z nas nie odpowiedziało, pociągnęła mnie za rękaw. — Dlaczego Jessica się kwalifikuje?

— To znaczy, że się nadaje — odparłam. — To właśnie próbowałam ci wyjaśnić — dodałam, zwracając się do Charliego. — Zapewne się kwalifikuje, ale już rozdzielili stypendia na ten rok. — Staralam się mówić rzeczowo, spokojnie i uprzejmie, bez nerwów jak ubiegłej nocy. Jeżeli naprawdę zamierzałam od niego odejść, nie było powodów, by nie zachowywać się życzliwie.

— To naprawdę godne podziwu, ale dla nas to nie najlepsza chwila — powiedział Charlie. — Muszę wyłożyć sporą część naszych środków, żeby kupić drużynę, i chciałbym oszczędzać, gdzie to tylko możliwe.

Odezwałam się — grzecznie, mam nadzieję.

— Czy wiesz, ile wynosi chesne za siódmą klasę w Biddle?

— Pięć kawałków? Sześć?

Mój plan nie wypalił.

— Pięć i pół tysiąca — powiedziałam. — Ale — zachowaj spokój, bądź rzeczowa — to zaledwie ułamek tego, co wydasz na Brewersów. Prawie niezauważalny, prawda?

Po co w ogóle się o to spieram? Nawet gdyby udało mi się go teraz przekonać, jeżeli powiem mu, że od niego odchodzę, i tak nic z tego nie wyjdzie.

— Niestety, nie mówimy tu o jednym roku — rzekł Charlie i odniosłam wrażenie, że on również stara się zachować ugodową postawę. — Załóżmy, że pójdzie do szkoły jesienią, my wyłożymy pięć i pół tysiąca, a potem Nancy Dwyer powie: „Ojej, biurowa pomyłka, okazuje się, że w budżecie na przyszły rok również nie mamy pieniędzy”. I co wtedy? Każemy Jessice zmienić szkołę? Jeżeli się zgodzimy, musimy założyć, że będziemy płacić przez kolejnych sześć lat.

Nie mylił się, ale mimo to stać go było na zapłacenie czterdziestu tysięcy dolarów. Nie było to nic, ale nas — jego — stać było na to. Poza tym czyż nie zdecydował się na kupno Brewersów między innymi dlatego, że istniało prawdopodobieństwo sporych zysków? Moje zniecierpliwienie rosło, tak naprawdę cała ta rozmowa miała mi tylko udowodnić, jaki jest troskliwy. Ostatecznie i tak się wycofa, ale zawsze będzie mógł powiedzieć, że rozważył wszystkie za i przeciw.

— Zapewne masz rację — rzekłam i wróciłam do czytania „New Yorkera”.

W wynajętym samochodzie prawie nie rozmawialiśmy niemal do samego kampusu.

— Jestem głodna — odezwała się w pewnej chwili z tylnego siedzenia Ella. Obróciłam się ku niej.

— W namiocie będzie mnóstwo jedzenia, a na razie zjedz to. — Wyjęłam z torebki plastikowe opakowanie precli.

— Nie lubię precli.

— Od kiedy?

— Od zawsze.

— Pierwsze słyszę.

— W takim razie nie obrazisz się, jeśli zjem kilka — odezwał się Charlie, który prowadził.

Sięgnął do leżącego na moich kolanach opakowania, wsadził do niego rękę i naraz wyjął prawie wszystkie precle, po czym wepchnął je sobie do ust. Policzki mu się nadęły, okruszki posypały na koszulę i wciąż mając pełne usta, zaczął wydawać dźwięki jak Ciasteczkowy Potwór.

— Nom, nom, nom.

Ella zachichotała, a on uśmiechnął się do niej we wstecznym lusterku. Potem przełknął i zerknął na mnie.

— Mam nadzieję, że nie chciałaś ich zachować na później, bo jeśli tak, mogę je zwrócić.

Szarpnął się do przodu, udając, że wymiotuje.

— Błeeeeee.

— To obrzydliwe! — krzyknęła Ella. Przedstawienie najwyraźniej bardzo jej się spodobało.

— Możesz patrzeć na drogę? — zapytałam.

Zaparkowaliśmy za New New Quad i poszliśmy do namiotu, gdzie odbywało się dwudziestolecie. W 1978 roku towarzyszyłam Charliemu na zjeździe z okazji dziesięciolecia, kiedy byliśmy rok po ślubie, i potem na piętnastolecie, w 1983, kiedy Ella miała cztery latka, i za każdym razem moja reakcja na kampus była taka sama: w swojej doskonałości wyglądał raczej jak plan filmowy, nie prawdziwy kampus; w pierwszej chwili człowiek próbował oprzeć się jego urokowi, tak samo jak na przyjęciu opiera się awansom przystojnego, charyzmatycznego mężczyzny, wiedząc, że on i tak flirtuje ze wszystkimi wokół.

Budynki w stylu Tudorów lub wiktoriańskiego gotyku, z cegły, marmuru i ciosanego kamienia, miały okna w stylu palladiańskim, z żabkami i kwia—tonami, porośnięte bluszczem (aż do mojej wizyty w 1978 nie zdawałam sobie sprawy, że bluszcz w nazwie Liga Bluszczowa jest rozumiany dosłownie). Były wieże i wieżyczki, łuki, pod którymi się przechodziło, pogrążone w czarownym cieniu, pachnące nauką i obietnicą. Były porośnięte trawą kwadratowe place ukośnie poprzecinane ścieżkami, a na przodzie kampusu znajdował się Nassau Hall, pierwsza budowla, jaką napotykało się, wchodząc Bramą FitzRandolpha — z piaskowca, majestatyczna, wyniosła i rozległa; po obu stronach frontowych schodów trzymały straż tygrysy z brązu, ze starości pokryte srebrzystozieloną śniedzią. I byli studenci, starsi absolwenci oraz studenci pierwszego i drugiego roku, którzy pracowali przy zjeździe — między nimi nasz bratanek Harry i bratanica Liza — mądrzy, wysportowani i uprzywilejowani. Pobyt w Princeton wydawał się nie w porządku, tak samo jak nasze życie w Milwaukee wydawało się czasem nie w porządku, nie w porządku z korzyścią dla nas. Widziałam, jak Ella przygląda się tym dziewiętnasto— i dwudziestolatkom, i wiedziałam, że tworzy sobie wyobrażenie o tym, jak to jest być studentem college'u, podczas gdy tak naprawdę student uniwersytetu Princeton był przedstawicielem znacznie lepszego gatunku, podobnie jak koń pełnej krwi czy skrzypce Stradivariusza.

Namiot zjazdu z okazji dwudziestolecia znajdował się na Holder Cour—tyard. Podobnie jak inne namioty zlokalizowane w różnych miejscach kampusu, był ogromny — białe płótno o wymiarach dziesięć na dwanaście metrów wsparte na trzech słupach. Przy wejściu do niego stały drewniane czarne znaki z rocznikiem w pomarańczowym kolorze, a powyżej pomarańczowe żarówki układały się w liczby: na samej górze 1968, poniżej 1966, 1967, 1969 i 1970. W środku był

drewniany podest do tańczenia, podwyższona scena dla zespołów mających grać tego wieczoru, a obok długi drewniany bufet przykryty pomarańczowym papierowym obrusem (zauważyłam niezbyt apetycznie wyglądające kanapki z indykiem, jak również ciasteczka, nieco bardziej kuszące) i wiele okrągłych stolików z rozkładanymi krzeselkami, na których już siedzieli mężczyźni w pomarańczowych dresach i miękkich białych kapeluszach, raczący się piwem i śmiejący na cały głos. Oprócz głównego namiotu znajdowały się też mniejsze, w których za darmo lano piwo Bud i Bud Lite oraz wodę, wszystko serwowane przez studentów — w tej chwili przez opalonego, pogodnego chłopaka w pomarańczowej bandanie. Charlie ukończył Princeton, zanim uczelnia stała się koedukacyjna, i wokół panowała swoiście męska atmosfera, pomimo obecności żon w czarno—pomarańczowych apaszkach, czarnych lub pomarańczowych bluzkach i wiązanych spódnicach, żon z torebkami zrobionymi z pomarańczowych plecionych wstążek, jedna miała nawet drewnianą w kształcie miniaturowego piknikowego koszyka, z wymalowanym na jednym boku Nassau Hall; dostrzegłam też dwie broszki w kształcie złotego tygrysa z oczami ze szmaragdów. Dzieci nosiły uczelniane symbole, a w jednym kącie namiotu znajdowało się stanowisko, gdzie mogły pomalować sobie buzie w czarno—pomarańczowe paski lub wąsy.

Udaliśmy się do punktu rejestracji, gdzie bardzo ładna dziewczyna z długim blond kucykiem, w pomarańczowym T—shircie, przydzieliła nam pokój w akademiku o nazwie Campbell (wcześniej wysłałam formularz rezerwacji — uznałam, że nocleg w akademiku bardziej spodoba się Elli od pobytu w Nassau Inn). Następnie skierowała nas do miejsca odbioru pościeli, nadzorowanego przez kolejną dziewczynę, również bardzo ładną, która wręczyła nam prześcieradła i ręczniki.

Charlie zdążył już przywitać się z co najmniej dwudziestoma kolegami, z których paru znałam wcześniej. Część z nich była sama, innym towarzyszyły żony. Wszystko odbywało się przy akompaniamencie życzliwych okrzyków, niedźwiedzich uścisków, poklepywania po plecach i łagodnych sprośności:

— Ja pieprzę, stary — powiedział niejaki Dennis Goshen, łapiąc Charliego za kurtkę. — Ty się jeszcze w to mieścisz?

Od wyjazdu z Milwaukee Charlie miał na sobie tak zwaną piwną kurtkę z roku, w którym ukończył studia: bawełnianą, z tygrysem leżącym bez świadomości z rozrzuconymi łapami na klepsydrze; jego ogon układał się w cyfrę 6, a klepsydra była ósemką z przednich łap zwierzęciu wyslizgiwał się kufel z piwem.

Witając się ze mną, koledzy Charliego z roku nachylali się i całowali mnie w policzek, a do Elli wygłaszali niby to pełne oburzenia uwagi o Charliem.

— Wiosną sześćdziesiątego ósmego za jeden sześciopak piwa ten facet zmusił mnie, żebym przepisał mu na maszynie jego pracę magisterską — powiedział Toby Mekce, palcem wskazującym stukając Charliego w ramię. — Całe sto dwadzieścia stron, i jakby tego mało, poprawiałem jeszcze jego koszmarne błędy!

— Nie każ mi nawet mówić, jak twój stary namówił mnie, żebyśmy ukradli serce z dzwonu na wieży Nassau Hall! — uraczył nas z kolei Kip Spencer.

Dopytywali się o nasze życie w Milwaukee i w końcu się zorientowałam, że Charlie sam to prowokuje, pytając się kolegów, czy w dalszym ciągu praktykują medycynę w Stamford lub czy nadal pracują w tej agencji w Nowym Jorku.

— Prawdę mówiąc, mam nowe zajęcie — odpowiadał, kiedy odwzajemniał jego ciekawość. — Właśnie z kilkoma gośćmi kupiliśmy Milwaukee Brewers.

— Drużynę baseballową? — odpowiadał kolega. — Nieźle!

Albo:

— Ja cię smolę!

— Kurwa, zazdroszczę ci, chłopie! — skomentował nowinę facet o nazwisku Richard Gibbons, po czym zerknął na Elle i mnie i bezgłośnie powiedział: — Przepraszam.

Im bardziej entuzjastycznie reagowano na rewelację Charliego, tym skromniejszą pozę przyjmował.

— Miałem fart, że się znalazłem w odpowiednim miejscu i czasie — odpowiadał.

Lub:

— Jak spojrzeć na wzloty i upadki ostatniego sezonu, czeka mnie niezła praca.

Tylko jeden człowiek wytknął mu fałszywą skromność.

— Daj se siana, Blackwell — powiedział Theo Sheldon. — Cieszysz się jak świnia w błocie! Kiedy się zabawiasz z Paulem Molitorem, pewnie śmiejesz się z takich frajerów jak ja, co to muszą wypełniać papierki, i założę się, że od razu ci lepiej.

Znowu naszła mnie myśl, że Charlie specjalnie doprowadził do kupna drużyny, żeby móc się tym teraz chełpić, ale jakoś trudno mi było uwierzyć, że ma aż takie możliwości; naprawdę wszystko wskazywało na to, że w życiu Charliego rzeczy dzieją się nieoczekiwanie.

Poszliśmy zanieść walizki do naszego pokoju, który w rzeczywistości okazał się apartamentem, i to całkiem wygodnym, z tym że łazienka znajdowała się piętro niżej. Nie było nas zaledwie kilka minut, ale po powrocie odniosłam wrażenie, że jest dwukrotnie więcej ludzi. Pomogłam Elli wziąć sobie coś do jedzenia. Kip Spencer i jego żona, Abigaile, mieli córkę w wieku Elli, Becky, i dziewczynki bardzo szybko nawiązały nić porozumienia. Znikały i pojawiały się, najpierw z pomalowanymi buziami, po chwili z farbą rozmazaną, a kiedy dzieci było już dziesięcioro, może nawet więcej, Ella zdawała się bawić w najlepsze.

Ze zdumieniem stwierdziłam, że udało mi się rozluźnić. Wszędzie wokół mnie mężczyźni w idiotycznych pomarańczowo— czarnych ubrankach stawali się coraz bardziej pijani i weseli. Charlie był w nastroju wręcz znakomitym i wraz z innymi żonami wymieniałyśmy porozumiewawcze, pobłażliwe uśmiechy. O czwartej po południu moje postanowienie o zakończeniu naszego małżeństwa wydawało się bardziej snem niż konkretnym planem. Napięcie między Charliem a mną zelżało i chociaż rozmowom raczej się przysłuchiwałam, niż w nich uczestniczyłam, nie przeszkadzało mi to, jak zresztą nigdy. Zawsze lubiłam przebywać w towarzystwie głośnych, roześmianych, przyjaźnie nastawionych ludzi. Kiedy mężczyźni zaczęli skandować lokomotywę albo mówili o Princeton jako o „najlepszym cholernym miejscu pod słońcem”, co było fragmentem uczelnianej piosenki, naprawdę ujmowali mnie za serce. A Charlie był troskliwy, jak już dawno mu się nie zdarzyło. Za każdym razem kiedy szedł po piwo, pytał mnie, czy ja też mam ochotę. (Wszyscy pili z plastikowych kubków ozdobionych różnymi tygrysami, w zależności od namiotu, w którym akurat się było).

Kolację podano w bufecie. Był kurczak, ziemniaki zapiekane w sosie, sałatka i ciasteczka, później zaczął grać zespół z Motown — naprawdę wyśmienicie: siedmiu czarnoskórych mężczyzn w jasnoniebieskich garniturach i jedna czarna kobieta w białej sukience bez rękawów śpiewali *I Heard It Through the Grapevine*, (*Love Is Like a Heat Wave* i *Ain't Too Proud to Beg*).

Dzieci pierwsze zaczęły tańczyć. Ella, Becky i inni, przeważnie nie do rytmu, ale radośnie wymachiwali ramionami, podskakiwali. Wkrótce dołączyli do nich dorośli. Charlie był wspaniałym tancerzem, co odkryłam dopiero kilka miesięcy po ślubie, kiedy to byliśmy w klubie na urodzinowej gali z okazji trzydziestych piątych urodzin jego brata, Johna. Może nie był najlepszy, ale bez wątpienia dobry. Lubiałam go obserwować i z nim tań—^{czyć}, ponieważ nie miał żadnych zahamowań, widać było, że sprawia mu to niekłamaną przyjemność, był bardzo pewny siebie i jednocześnie uwielbiał się wygłupiać. Stojąc jakiś metr ode mnie, zakołysał kilka razy ramionami w rytm *Ain't No Mountain High Enough* jak w shimmy, potem odwrócił się do mnie tyłem, wypiął siedzenie i uśmiechając się do mnie przez ramię, skakał do tyłu — po jednym skoku na każdy wers piosenki: *Ain't no mountain high enough /Ain't no valley low enough /Ain't no river wide*

enough. Szybko zaczął się obficie pocić, a potem tańczył z Pam Sheldon, żoną kolegi z roku, Theo, a ja partnerowałam Theo, potem Charlie tańczył z Theo, a my z Pam stałyśmy i śmiałyśmy się. Charlie wyróżniał się wśród swoich rówieśników — wciąż miał kondycję i zachował młody wygląd — większość jego kolegów łysiała, przytyła lub mimo wesołości zdradzała oznaki zmęczenia, a on wciąż był tak samo przystojny jak w dniu naszego ślubu. Słowo daję, z wyglądu nie zmienił się prawie w ogóle.

Około wpół do dziesiątej ku zachwytowi Elli zjawili się Harry i Liza, Harry w swojej piwnej kurtce tegorocznego absolwenta, oboje rozbawieni i — jak podejrzewałam — podchmieleni, Harry bardziej od Lizy. Liza i Charlie tańczyli razem, Harry tańczył z Ellą, potem ze mną — podobnie jak stryj, Harry był utalentowanym tancerzem (będę musiała powiedzieć Edowi i Ginger, że opłaciło się zmuszanie go do lekcji tańca) i był niezobowiązująco kokieteryjny, w ten ujmujący sposób typowy dla bogatych, przystojnych, pewnych siebie dwudziestodwuletnich mężczyzn. Lato miał spędzić na Alasce, głównie pracując w stacji wylęgowej (kolejna rzecz, której nie znałam przed poślubieniem Charliego, a mianowicie skłonność do podróżowania w odległe miejsca i inwestowania mnóstwa pieniędzy, by oddawać się możliwie najcięższym pracom, a później z zapalem o tym opowiadać. Tommy, brat Harry'ego, w liceum jedne wakacje spędził na budowie dróg w Grecji; Liza pracowała jako wolontariuszka w sierocińcu w Hondurasie, kilkoro innych brało udział w wyprawach Outward Bound lub NOLS). Po ukończeniu pracy w wylęgarni Harry miał wraz z braćmi i Edem udać się na dwutygodniową wyprawę rybacką w północnej Alasce; po powrocie zaczynał pracę jako re— searcher w Merrill Lynch na Manhattanie. Nic dziwnego więc, że postrzegał świat jako radosne i przyjazne miejsce, nic dziwnego, że był pijany i szczęśliwy w wigilię ukończenia studiów w Princeton.

Kiedy Liza i Harry sobie poszli, ze zdziwieniem stwierdziłam, że jest już po jedenastej. Rozejrzałam się po namiocie w poszukiwaniu Elli — razem z jakimś małym chłopcem tańczyli własną wersję tanga — po czym powiedziałam Charlieemu, że idę ją położyć spać do akademika. Czułam się odrobinę winna, że jest już tak późno, ale próbowałam sama siebie rozgrzeszyć, przypominając sobie, że w Wisconsin byłoby o godzinę wcześniej.

— Jak ją położysz, wróc tutaj. — Charlie musiał prawie krzyczeć, żebym go usłyszała przez muzykę. — Wiesz, że tu jest całkowicie bezpiecznie, prawda?

Potrząsnęłam głową.

— Wolałabym nie zostawiać jej samej, ale ty baw się, jak długo chcesz.

Byłam pewna, że nie potrzebuje mojej zachęty, ale chciałam dla odmiany być miła, dając mu swoje błogosławieństwo. Słyszałam, jak niektórzy mężczyźni

rozmawiają o wyjściu do klubów — Charlie należał do klubu o nazwie Cottage — i cieszyłam się, że oszczędzę sobie tej części wieczoru. Kluby były dla mnie zwykłymi pretensjonalnymi bractwami (studenci pierwszych lat spożywali tam posiłki i urządzali imprezy; mieściły się w szeregu domów przy Prospect Avenue. Aby zostać członkiem, student musiał przejść proces inicjacyjny o nazwie *becker*, różniący się nieznacznie od zwykłych otrzęsin), ale wywoływały tak silne emocje, że coś musiało umykać mojej uwadze. Na początku studiów Charlie przewodniczył procesowi naboru do Cottage i przez cały czas jedyną opłatą, którą naprawdę się interesował — zawsze pytał, czyjej dokonałam — była klubowa roczna składka, wówczas osiemdziesiąt pięć dolarów. W 1986 roku Cottage zaczął przyjmować również kobiety, po procesie sądowym wytoczonym mu przez jedną ze studentek, i chociaż Charlie zżymał się na „rozjuszony feminizm” tej dziewczyny, w gruncie rzeczy nie miał chyba nic przeciwko temu, że jego klub stał się koedukacyjny.

Staliśmy w namiocie, a zespół grał *Dancing in the Street*.

— Na pewno nie chcesz wrócić? — zapytał mnie Charlie. — Bez ciebie nie będzie tak zabawnie.

Było to tak miłe i ujmujące z jego strony, że aż mi dech zaparło. Dawno przestałam uważać się za zabawną, a już z pewnością nie z punktu widzenia Charliego. Zbliżyłam się i pocałowałam go w usta.

— Naprawdę chciałabym. Nie folguj sobie z nadto. Jutro czeka nas kolejny długi dzień.

Zasalutował.

— Przyrowadź Elle, żebym mógł powiedzieć jej dobranoc.

Kiedy wreszcie udało mi się ją oderwać od nowych przyjaciół i kiedy ucałowała Charliego, poszliśmy do akademika.

— Uwielbiam Princeton — powiedziała sennie, gdy zeszliśmy po schodach i przechodziłyśmy pod łukiem.

Parada — serce i dusza Zjazdów — zaczęła się około drugiej w sobotę. Tysiące uczestników zebrało się rocznikami na Cannon Green. Wszyscy w oczekiwaniu na swoją kolej wydzielali się i nie oszczędzali się w picciu piwa (poza ludźmi z Princeton i mieszkańcami Wisconsin nie znam nikogo, kto potrafi pić jak oni, nie tracąc przy tym dobrego humoru i utrzymując się w pionie), bez przerw wpadali na innych kolegów z roku i witali się radośnie. Dzień był słoneczny i ciepły — pogoda zawsze była przedmiotem wcześniejszych spekulacji, czy nastanie nieznośny upał, czy też oberwanie chmury — i kiedy wreszcie rozpoczęła

się parada, tłum rozpierała niepohamowana wręcz energia. Na czele szedł rocznik '63, obchodzący swoje dwudziestopięciolecie — rocznica stanowiąca swoisty punkt kulminacyjny, choć przecież ci mężczyźni mieli zaledwie po czterdzieści siedem lat! Rozglądałam się za Joem Thayerem, ale w tłumie, hałasie i blasku słońca nigdzie go nie dostrzegłam. Następnie pojawił się najstarszy absolwent — niejaki pan Edwin Parrish, rocznik 1910, który dostąpił zaszczytu dzierżenia specjalnej srebrnej laski; jechał w golfowym wózku prowadzonym przez aktualnego studenta, a ludzie, których mijał, okrzykami dawali wyraz swojemu uznaniu. Po nim podążały kolejne roczniki, poczynając od najstarszych, a na czele każdego niesiono transparent z wypisanym rocznikiem, czarny z pomarańczową obwódką i pomarańczowym napisem. Transparenty starszych roczników, zwanych Starą Gwardią, nieśli studenci studiów licencjackich; transparenty kolejnych roczników

— sami absolwenci. Wielu ze Starej Gwardii jechało w golfowych wózkach, niekiedy były wdowy po zmarłych absolwentach, widok wzruszający nie tylko dla mnie; zauważyłam, jak poruszeni byli stojący obok mnie ludzie. Kiedy pojawił się członek starszego rocznika — zaskakująco żywotny pan z 1916, dobrze po dziewięćdziesiątce, który niemal stepował — wiwatowanie tłumu stało się niemal ogłuszające. Gdziekolwiek się spojrzęło, dostrzegano pomarańczowe dresy, pomarańczowo— czarne bluzy, spodnie i T— shirty, baseballowe czapki, słomkowe kapelusze ozdobione pomarańczowymi i czarnymi wstążkami, dzieci i dorosłych z doczepionymi tygrysimi ogonami. Niektórzy absolwenci jechali w zabytkowych samochodach i trąbili radośnie, a główne roczniki zjazdu na cześć samych siebie zorganizowały występy artystów

— orkiestr dętych z miejscowych liceów, tancerek prezentujących taniec brzucha, a nawet połykacza ognia — którzy szli na przedzie. Charlie nachylił się ku mnie z uśmiechem.

— Bogaci są dziwni, co? — powiedział.

Była to rzecz jasna moja uwaga wygłoszona po pijanemu w Halcyon. Charlie ścisnął mnie za rękę, a kiedy ją puścił, żeby pomachać rocznikowi '43, pomyślałam, że przynajmniej w jednym się nie pomyliłam, kiedy zgodziłam się za niego wyjść. Dzięki niemu moje życie nabrało kolorów.

Czekaliśmy i czekaliśmy, i czekaliśmy, w końcu przeszedł rocznik '65, po nim '66, następnie '67 — stali na lewo od nas — i wreszcie nastąpiła nasza kolej. Ruszyliśmy, a Ella namówiła Charliego, żeby zaczął skandować lokomotywę rocznika '68: „Hip! Hip! Ra! Ra! Ra!...”. Roczniki młodsze wiwatowały, kiedy przechodziliśmy, a my machaliśmy do nich niczym jacyś dostojnicy. Parada kończyła się na boisku baseballowym, gdzie zostaliśmy — Ella uparła się, że musi

zobaczyć Harryego — aż studenci kończący studia, ostatni rocznik wbiegli i prezydent uniwersytetu oficjalnie ogłosił ich absolwentami Princeton.

— Jak pójdę do Princeton, chcę mieszkać nad Blair Arch — oznajmiła Ella.

— W takim razie jak najlepiej wykorzystuj czas — odparł Charlie.

— I bardziej przykładaj się do nauki — dodałam.

Ponieważ zawsze starałam się być osobą zorganizowaną, podziwiałam tych wszystkich, którym się to udawało, i muszę przyznać jedno: zjazdy absolwentów Princeton dopracowywano w najmniejszych szczegółach: wszystkie te namioty, tymczasowe ogrodzenia, składane krzesła i stoły, beczki z piwem, jednakowe stroje, akademickie dyskusje, śpiewające a cappella zespoły na terenie całego kampusu w idealnie zsynchronizowanych odstępach czasu! Na samą myśl o zaplanowaniu takiego weekendu kręciło się w głowie, a mimo to wszystko przebiegało sprawnie i gładko. Wieczorem w McGosh 10 wyświetlano filmy dla dzieci, *Powrót do przeszłości* i *Plusk*, a w tym czasie dla dorosłych w naszym namiocie grał zespół naśladujący Beatlesów. Podczas kolacji — dzisiaj podano wieprzowinę z grilla, sałatkę ziemniaczaną, kolby kukurydzy i chleb kukurydziany — Charlie nie potrafił usiedzieć na miejscu i zachowywał się niezwykle serdecznie. Wdałam się; w długą rozmowę z Mimi Bryce, którą poznałam na dziesięcioleciu i która uczyła w czwartej klasie w prywatnej szkole dla dziewcząt na obrzeżach Bostonu. Rozmawiałyśmy chyba ze czterdzieści minut, a w tym czasie Charlie trzykrotnie do mnie podchodził.

— Lindy, chodź, poskaczemy trochę — mówił. Albo:

— Charlie Blackwell na nikogo nie czeka i na ciebie też nie będzie.

W końcu po prostu chwycił mnie za rękę, musiałam więc przeprosić Mimi i pozwolić mu zaciągnąć się na parkiet.

— Bardzo miło mi się z nią rozmawiało — powiedziałam.

— Grają *Cant Buy Me Love*, a ty wolisz dyskutować o programie nauczania w czwartej klasie?

Zespół skończył grać utwór, po czym przeszedł do *Twist and Shout*. Charlie znał słowa na pamięć i udawał, że śpiewa, wskazując na mnie palcem i strojąc miny: *You know you twist so fine (twist so fine) / Come on and twist a little closer, now (twist a little closer)*... Skinął na mnie palcem, a kiedy się zbliżyłam, okręcił mnie. Przy końcowych słowach „*shake it up*” uniósł ramiona nad głowę i naprawdę nimi potrząsnął — miał na sobie pomarańczowe spodnie od dresu i

białą koszulkę z wielkimi plamami potu pod pachami. Pod koniec utworu przy-
ciągnął mnie do siebie i łapiąc za pośladki, pocałował mocno w usta.

— Może szybkie pieprzonko w akademiku, zanim Ella wróci? — zapytał.

— Charlie.

Uśmiechnął się.

— Czemu nie? Obiecuję, załatwimy to szybko. — Sięgnął i ścisnął mnie za
lewą pierś. — Będzie fajnie.

Cofnęłam się o krok. Na parkiecie panował tłok, w całym namiocie panował
tłok i chyba nikt nie zwrócił na nas uwagi, ale i tak osłupiałam.

— Charlie, nie jesteśmy zwierzętami — rzekłam. — Nie robimy tego pu-
blicznie.

— Może ty nie jesteś zwierzęciem, ale ja jestem tygrysem, mała. — Był
czerwony na twarzy.

— Mam nadzieję, że nie będziesz już pił.

Uśmiechnął się złośliwie.

— Może porozmawiasz jeszcze z Mimi. Słyszałam, że ma niezwykle ciekawe
spostrzeżenia na temat doktora Seussa⁸.

Wzięłam głęboki oddech.

— Postaram się nie zepsuć ci wieczoru, pod warunkiem że ty nie zepsujesz
mojego.

W dalszym ciągu uśmiechał się wrednie.

— Lindy, niczego mi nie możesz zepsuć, nawet gdybyś chciała.

W tej chwili pojawił się jego kolega z roku, Wilbur Morgan, i dźgnął go kciu-
kiem — chyba nie zauważył, że się kłócimy.

— Wieść gminna niesie, że ten tu oto gość kupił pierwszoligową drużynę ba-
seballową — powiedział do mnie. — Czy to prawda, panie Ważny? — zwrócił
się do Charliego.

— Morgy, mam nadzieję, że zagrasz dla mnie — powiedział Charlie, klepiąc
Wilbura po brzuchu. — Stary, musisz zacząć trenować.

⁸ Theodor Seuss Geisel, znany jako Dr. Seuss, to amerykański autor książek dla dzieci, które weszły do kanonu literatury tego gatunku (przyp. tłum.).

— To nie fair! — Wilbur pokręcił głową, uśmiechając się od ucha do ucha.
— To n i e f a i r, że trafiła ci się najlepsza z możliwych fucha pod słońcem. Odałbym za nią lewe jajo.

— Zabawne, ale nigdy nie przypuszczałem, że masz lewe jajo — powiedział Charlie.

— Ten gość nie zmienił się nawet o jotę — rzekł Wilbur do mnie.

Uśmiechnęłam się blado.

— Wybaczcie mi, proszę.

Poszłam do namiotu, gdzie podawano wodę, i odwracając się z plastikowym kubkiem w ręce, zobaczyłam, że obok mnie stoi Holly Goshen, żona Dennisa Goshena.

— W taką noc trzeba się stale nawadniać, prawda? — zagadnęła.

Dennis i Holly mieszkali w Nowym Jorku, gdzie Dennis pracował na

Wall Street, a Holly jako instruktorka aerobiku. Na początku lat osiemdziesiątych byliśmy na ich weselu, które zorganizowano w Rainbow Room. Holly, jak można się spodziewać po instruktorce aerobiku, była szczupła i atrakcyjna, z falującymi blond włosami. Stałyśmy, popijając wodę i obserwując, co dzieje się dookoła.

— Zapewne rano wracacie do Nowego Jorku? — zagałam rozmowę.

Skinęła głową.

— To okropne, Alice, ale cieszę się, że nie tylko mój mąż wciąga. Jesteś taką miłą, normalną osobą, że twój widok naprawdę dodaje otuchy.

— Której mąż co robi? — powtórzyłam.

— Nie chciałam, żeby... — Zaśmiała się nerwowo i widziałam w jej wyrazie twarzy obawę, że mnie obraziła. — Chłopcy zawsze pozostaną chłopcami, tylko to chciałam powiedzieć. Niektórzy koledzy z biura Dennisa zażywają kokę codziennie przez cały tydzień, ale on już nie może sobie na to pozwolić, dzięki Bogu. Ma czterdzieści dwa lata!

— Chcesz mi powiedzieć, że Dennis i Charlie zażywali dzisiaj kokainę?

— Myślałam... — Była wyraźnie zaniepokojona. — Widziałam, jak przed kolacją wychodzą razem, zakładałam więc... Coś mi się zdaje, że dałam plamę, prawdę? Możemy to puścić w niepamięć?

Miałam wielką ochotę powiedzieć: „Charlie nigdy nie zażyłby kokainy”, ale ledwo mi to przyszło do głowy, od razu też pomyślałam o jego dziwnym zachowaniu, całkowitym braku zahamowań.

Poza tym Holly nie była niczemu winna, nie miała z tym nic wspólnego, ale byłam wyzuta z jakiegokolwiek energii, by spróbować załagodzić sytuację. Odstawiłam swój kubek.

— Muszę iść.

Chociaż nieomal zderzyłam się z Joem Thayerem, poznałam go dopiero, kiedy się odezwał.

— Właśnie cię szukałem. Zauważyłem cię na paradzie, ale tłum mnie porwał i nie... Dobrze się czujesz? Alice, mój Boże, co się stało?

Ze wszystkich sił starałam się nie rozplakać, ale nie udało mi się. Chyba sprawił to współczujący wyraz twarzy Joego, łagodność jego rysów. Ludzie nieustannie wchodzili i wychodzili z namiotu i prawdopodobnie wielu z nich znałam. Chociaż popłynęło mi kilka łez, zacisnęłam usta i potrząsnęłam głową.

— Przynajmniej pozwól mi się łudzić, że mogę ci jakoś pomóc? — odezwał się Joe. — Może przejdziemy się kawałek?

Skinęłam głową, wciąż niezdolna wydusić choć słowo, a on ujął mnie lekko pod łokieć i poprowadził w dół schodami, później pod łukiem wiodącym do naszego akademika, z tym że przed Campbell skęciliśmy w lewo, w stronę Nassau Hall. W kampusie panowała ciemność, nocne powietrze było ciepłe i przesiąknięte zapachem niosącym obietnicę lata. Musiało minąć co najmniej dziesięć minut, zanim odezwaliśmy się do siebie. Z początku wydawało mi się, że powinnam wziąć się w garść i coś powiedzieć, ale w pewnej chwili dotarło do mnie, że Joe nie czeka na żadne wyjaśnienia — po prostu ofiarował mi swoją obecność i towarzystwo. Przestałam płakać na długo, zanim doszliśmy do Firestone Library.

— Zażywałaś kiedyś kokainę? — zapytałam.

— Słucham?

— Wiem, że w pewnych kręgach to modne, ale jakoś... Nigdy nie myślałam...

Kiedy miałyśmy po dwadzieścia parę lat, Dena powiedziała mi, że jako stewardesa zażyła kilka razy, ale ona i prawdopodobnie jej siostra Marjorie były jedynymi znanymi mi osobami, które to robiły.

— Czy będę wścibski, jeśli zapytam, skąd ci to przyszło do głowy? — rzekł Joe.

Znajdowaliśmy się między biblioteką a kościołem, imponującą gotycką katedrą, w ciemnościach wyglądającą, jakby była nawiedzona.

— Może usiądziemy? — zaproponowałam, wskazując na schody.

Usiedliśmy obok siebie. Na niebie świecił półksiężyc i niewielkie, odległe gwiazdy.

— Myślę, że właśnie w tej chwili Charlie jest na haju, że być może... Mówi się „wciągał”, czy tak?

— To zależy od rodzaju kokainy, ale ogólnie tak. — Jeżeli Joe był zaskoczony moimi słowami, niczego nie dał po sobie poznać.

— Czy jego zdrowiu nic nie zagraża? — niepokoiliam się. — Nie dostanie ataku serca? Może powinnam wezwać lekarza?

— Przyznaję, że też się na tym nie znam. — Joe założył nogę na nogę. — O ile mi jednak wiadomo, groźne jest przedawkowanie, ale jeżeli potrafił ustać na nogach i rozmawiać.

— Przez niego czuję się tak głupio — powiedziałam.

Joe zwlekał z odpowiedzią.

— Wątpię, by troska o kogoś była głupotą — rzekł po chwili. — Czy on to robi regularnie?

— Chciałabym wiedzieć. Dowiedziałam się dopiero dzisiaj, dosłownie przed chwilą, i to nie od niego. Nie wiem — wybaczone, że mówię to akurat tobie — ale nie sądzę, bym mogła z nim zostać. Codziennie, co kilka godzin zmieniam zdanie, jak gdyby to, co do mnie mówi i co robi, raz przemawiało za tym, żebym została, kiedy indziej utwierdza mnie w przekonaniu, że powinnam odejść. Zaczynam się zastanawiać, czy wciąż jestem przy zdrowych zmysłach. *

Znowu milczał przez jakąś chwilę.

— Nigdy nie wiadomo tak naprawdę, jak małżeństwa ze sobą żyją, prawda? Ja zawsze miałem was za cudownie dobraną parę. Ale powiem ci też coś innego: w ten weekend, kiedy ty i Charlie się zaręczyliście, byliśmy zaskoczeni. To znaczy cała moja wielka rodzina. Kiedy się o tym dowiedzieliśmy, dopiero zaczęliśmy cię poznawać, ale od razu pomyśleliśmy: ta urocza, przemiła dziewczyna wychodzi za Charliego?

Poczułam, jak wykrzywiają mi się usta, a oczy napełniają łzami. Wierchem dłoni otarłam nos.

— Nie zaręczyliśmy się w Halcyon — powiedziałam. — Zrobiliśmy to wcześniej, ale zaczekaliśmy z ogłoszeniem tego.

— Spotkaliśmy się na ich pomoście, pamiętasz? — powiedział Joe. — Wróciłem z wędkowania z Edem i Johnem, cumowaliśmy, a ty tam stałaś w żółtej sukience (miał rację, tej żółtej robionej na drutach sukience z kołnierzykiem

— całkiem o niej zapomniałam) i pomyślałem sobie — chyba mogę się do tego przyznać, bo to było tak dawno temu i wlałem w siebie sporą ilość piwka

— ale pomyślałem: kim jest ta cudowna dziewczyna? Jakby piorun we mnie strzelił. A potem Charlie wziął cię za rękę.

Tak naprawdę nie pamiętałam Joego. Pamiętałam, jak tamtego dnia poznałam rodziców Charliego, później Jadey, kiedy jak głupia upiłam się przy kolacji, pamiętałam też, że jakiś czas potem poznałam Joego, rozmawiałam z nim uprzejmie i wydał mi się przystojny, nieco zamknięty w sobie i może odrobinę nudny, ale nigdy nawet nie przyszło mi do głowy, że mógłby mnie postrzegać inaczej niż cudzą żonę. A czy ja zwracałam na niego większą uwagę niż inne żony?

— To była ciężka wizyta — powiedziałam. — Niech Bóg ma w opiece Blackwellów, ale na pewno rozumiesz. Dlatego tak dobrze mi się z tobą rozmawia, bo nie muszę ci niczego tłumaczyć.

Joe potrząsnął głową.

— Spójrz na nas — powiedział. — Nie sądzisz, że powinniśmy poszukać jakichś studentów i ostrzec ich, żeby uważali, z kim decydują się spędzić resztę życia?

— Gdyby tylko chcieli słuchać.

Siedzieliśmy na stopniach w przyjaznym milczeniu; z oddali dobiegały nas piosenki grane równocześnie w różnych namiotach.

— Zawsze trochę podkochiwałem się w tobie — rzekł Joe. — Ale zważywszy na okoliczności, trzymałem się z daleka. Niedosłownie, po prostu pilnowałem się, żeby zbytnio się nie zaangażować. Mam nadzieję, że nie czujesz się skrępowana — dodał, kiedy nic nie odpowiedziałam.

— Joe, czuję się zaszczycona. — Poklepałam go w kolano, jak mi się wydawało, po przyjacielsku, ale ledwie to zrobiłam, zrozumiałam, że mogło to oglądać jak zachęta, i może rzeczywiście tak było. W pewnym momencie zaczęłam się gubić, teraz już kompletnie zgłupiałam.

— Nie będę się wypowiadał w kwestii Charliego — powiedział Joe. — To nie moja sprawa. Ale gdyby istniał choć cień szansy, co prawda w przypadku na-

szych rodzin w Halcyon byłoby to jak otwarcie puszkii Pandory, ale czy kiedykolwiek myślałaś, że my dwoje...

Przerwałam mu, całując go. Gwałtownie się nachyliłam — podejrzewam, że wyjątkowo niezdarnie — i przycisnęłam swoje usta do jego ust i zaczęliśmy się zachłannie całować. W pierwszej chwili całkowicie się w tym zatraciłam, było to zakazane, złe i podniecające, ale już po krótkiej chwili dostrzegłam niezbyt pochlebną dla Joeego różnicę, z jaką on i Charlie całowali. Minęło sporo czasu, odkąd całowałam się z kimś innym niż z własnym mężem, i zdążyłam zapomnieć, że każdy robi to inaczej, jedni lepiej od innych, Joe jednak — byłam okrutna, zauważając to — odrobinę się ślinił, zbyt dużo śliny gromadziło się na jego języku i w ustach. Odsunęłam się i szybko wstałam. Przyłożyłam dłoń do piersi.

— Joe, ja... ja nie... muszę poszukać Elli.

Wpatrywał się we mnie z nieskrywaną namiętnością.

Nie bardzo wiedząc, co jeszcze mogłabym powiedzieć, wykonałam gest podejrzanie zbliżony do ukłonu.

— Wybacz — rzekłam i oddaliłam się w pośpiechu.

Nawet nie mogłam tłumaczyć swojego zachowania nadmiernym spożyciem alkoholu; Joe, jak sam przyznał, lekko się wstawił, ale ja byłam całkowicie trzeźwa.

Po powrocie do akademika, kiedy Ella już usnęła, zaczęłam się pakować — nasz samolot odlatywał z Newark w niedzielę o pierwszej. Pytania, jakie kołatały się w mojej głowie, może i były banalne i wyświechtane, jakby zadawała je jakaś naiwna żona w filmie albo ktoś w telewizyjnym programie o narkomanii: Ile razy wcześniej, jak często i dlaczego? Może gdybym zapytała Charliego dlaczego, głos by mi zadrżał, zdradzając, jak bardzo czułam się oszukana.

Ale nie — nie chciałam być taką żoną, nie chciałam zaczynać tej rozmowy — To byłoby poniżej mojej godności; znaczyłoby, że przywiązuję wagę do J^ego najgorszych zachowań, które na nią nie zasługiwały.

Wrócił do akademika wcześniej, niż się spodziewałam, przed północą.

— Nie mam pojęcia, gdzie zniknęłaś — powiedział, bardziej obojętnie, niż ze złością, a ja uniosłam palec do ust, wskazując na śpiącą Ellę. Zniżył głos.

— Beznadziejny zespół, jeśli chcesz wiedzieć. Już sam pomysł z naśladowcami jest żaloszny, takie żerowanie na sławie innych.

Czy miał pojęcie? Nie miał. Jakiż inny wniosek mogłam wyciągnąć? Złożyłam jego spodnie i włożyłam do walizki.

Podszedł do mnie.

— Nie jesteś na mnie wkurzona za tamto? — szepnął mi do ucha. Więc jednak coś podejrzewał, choć mgliście — w zasadzie o niczym nie miał pojęcia.

— Wiesz, że w towarzystwie tych świrów kompletnie mi odbija. — Nachylił się, żeby mnie pocałować. — Budzi się we mnie osiemnastoletni gówniarz.

Uśmiechnął się, a mnie zdziwiło, jak odmiennie postrzegamy nasz związek i związane z nim doświadczenia; odetchnęłam też z ulgą, że zdecydowałam się nie doprowadzać do konfrontacji. Mądry wybór.

Całował mnie dalej, w policzki i szyję, położył mi dłonie na biodrach i pojęłam, że chce się kochać. Pokazałam na ścianę.

— Ella jest tuż obok — powiedziałam.

— Możemy to zrobić po cichu. Cóż, chociaż może ty będziesz miała z tym problem.

Wyjął mi ze spodni bluzkę w kolorze brzoskwiniowym (ukłon w stronę pomarańcza, chociaż nieostentacyjny) i wsunął pod nią rękę. Sięgnął do tyłu i rozpiął mi stanik.

Uległam. Było to łatwiejsze od rozmowy, poza tym mogło podziałać kojąco na niesnaski minionego tygodnia. Materac skrzypiał, co mnie rozpraszało, ale i tak byłam już rozproszona.

— Jesteś piękna, Lindy — powiedział Charlie, leżąc na mnie i poruszając się rytmicznie.

Pachniał piwem i potem, i tym charakterystycznym swoim zapachem, do którego tak przywykłam.

Ze wstydem pomyślałam o całowaniu się z Joem. Już zaczynałam wierzyć, że zrobiłam to bardziej z litości niż dlatego, że mi się podobał — chciałam, żeby ten pocałunek przyniósł mu ukojenie, w pewnym sensie zrekompensował skrępowanie, jakie musiał odczuwać, wyznawszy mi swoje nieodwzajemnione uczucia. Chciałam mu dać w ten sposób do zrozumienia, że być może byłoby coś z tego w innych okolicznościach. I nawet jeżeli to było kłamstwo, świadczyło o moim poczuciu przyzwoitości — osoby skrajnie grzecznej i uprzejmej. Ale może było mi wygodniej tak myśleć. Może całowałam się z nim z bardziej samolubnych pobudek — może zwyczajnie chciałam tego — a kiedy okazało się, że nie jest to takie miłe, jak się spodziewałam, zmieniłam zdanie?

Charlie oddychał coraz szybciej i głębiej, usta miał przy moim uchu, nie widziałam więc jego twarzy, i nagle jego ruchy spowolniały, a on jęknął cicho. Opadł na mnie, a ja go objęłam.

— Czy chcesz, żebym...? — wymamrotał (często to proponował, kiedy nie osiągnęłam orgazmu, i wtedy ręcznie doprowadzał sprawę do końca), ale w milczeniu pokręciłam przecząco głową. Poczułam się, jakbym chroniła go przed katastrofą, jednocześnie sama zbierając na nią siły. Katastrofą, której miałam być sprawczynią, czego on jeszcze nie wiedział.

Postanowiłam się wybrać do Riley i zabrać ze sobą Ellę, ale przed wyjazdem z Milwaukee musiałam jeszcze załatwić jedną sprawę, co oznaczało zatrzymanie się w mojej najukochańszej księgarni pod słońcem o nazwie U Thei. Jej właścicielka, Thea Dengler, była mniej więcej moją rówieśnicą, grubo— kościstą kobietą, która luźne czarne spodnie i swetry łączyła ze zwiewnymi szalami i wielkimi naszyjnikami z turkusów. Jej sklep mieścił się w Mequon. Na dwóch poziomach znajdowały się tak wysokie półki, że choć samo pomieszczenie nie było zbyt wielkie, odnosiło się wrażenie, że można w spokoju przeglądać księgozbiór. Poza tym wybór był doprawdy wyśmienity, Thea bez przerwy czytała (rzadko zdarzało się, by nie znała szukanej przeze mnie pozycji), a jeżeli akurat czegoś nie miała, chętnie zamawiała, równie ciekawa nowości jak ja. Sprzedawała też periodyki, ale nie oferowała innych towarów, tak obecnie powszechnych w księgarniach: kubków, ramek, okolicznościowych kartek, magnesów, kalendarzy czy czekoladek.

Miałam zamiar kupić trzy książki dla Jessiki Sutton, ale kiedy stałam w dziale dla młodzieży, podtrzymując wybrane pozycje w zgięciu łokcia, doszłam do wniosku, że pięć będzie wyglądało lepiej, i wkrótce trzymałam ich chyba z dwanaście, pomagając sobie brodą. Ustawiłam je po kolei na półce, okładkami w moją stronę, żebym mogła łatwiej się zdecydować: *Zabić drozda* (tu nie miałam wątpliwości), *Deenie* (Jessica miała dwanaście lat, nie mogłam J^eJ nie dać książki autorstwa Judy Blume, a ta nie była tak kontrowersyjna jak pozostałe), *Roli ofThunder*, *Hear Me Cry*, *A Wrinkle in Time*, *Anastasia Krupnik* lub może *Jesienna ulica* Lois Lowry, według mnie również cudowna, *The Westing Game* (powinno się Jessice spodobać, tym bardziej że lubiła Agathę Christie), *The Outsider*, *I Know Why the Caged Bird Sings*, *Powrót do domu*, potem jeszcze chwyciłam dwie kolejne z serii Tillermana: *Pieśń Di— cey* i *A Solitary Blue*, następnie *Pamiętnik Anny Frank* i wreszcie *Zamknięci w czasie* (pracując jako bibliotekarka, czytałam inne powieści Lois Duncan, ale ta najnowsza wyglądała ciekawie). Poza tym, że w sumie było o dziewięć książek więcej, niż na początku planowałam kupić, była jeszcze jedna: *Re— becca* Daphne du Maurier. Zastanawiałam się też nad *Dumą i uprzedzeniem*. Próbowałam się zdecydować i ostatecznie od-

łożyłam książki Cyntii Voigt. Na razie zrezygnowałam też z *Dumy i uprzedzenia* i *Jesiennej ulicy* (może dam je Jessice na Boże Narodzenie?). A może Jessica była już za duża na *Roli of Thunder, Hear Me Cry*? Ale to taka dobra książka! Potem się zorientowałam, że zapomniałam wziąć z półki *A Tree Grows in Brooklyn*, co po prostu musiała dostać. W końcu dotarłam do kasy z dwunastoma książkami.

— Szykuje się ambitne czytelnicze lato dla Elli — zauważyła Thea.

— Nie, nie, to dla przyjaciółki rodziny, która idzie właśnie do siódmej klasy.

— Chcesz, żebym je zapakowała?

Odmówiłam, włożyła więc książki do szarej papierowej torby. Po wyjściu ze sklepu, na parkingu poddrywałam wszystkie ceny, co w zasadzie było bez znaczenia, bo na każdej książce cena była wydrukowana, ale tak nakazywała przyzwyczajenie. Pojechałam do domu Suttonów. Drzwi otworzyła mi Jessica, trzymając na rękach Antoine'a. Odsunęła się, by wpuścić mnie do środka.

— Nie, dziękuję, chciałam tylko coś podrzucić. Jessico, jako dawna bibliotekarka czuję się uprawniona do zapoznania cię z innymi autorami poza V.C. Andrews. To są książki dla ciebie, ale obiecuję, że nie musisz pisać żadnych recenzji.

Podaliśmy jej torbę, rozchylając ją, by mogła zajrzeć do środka. Ponieważ trzymała w ramionach Antoine'a, postawiłam torbę na dywaniku pod drzwiami.

— Kto przyszedł, Jessie? — dobiegł mnie głos Yvonne.

— Mama Elli — odkrzyknęła Jessica. — To wszystko dla mnie? — zwróciła się do mnie.

— Jesteśmy bardzo dumni, że tak świetnie radzisz sobie w szkole. Chciałabym później porozmawiać z tobą o tych książkach, ale powtarzam, nie musisz ich czytać, jeżeli nie chcesz. Myślę jednak, że ci się spodobają.

— Bardzo mi miło. — Jessica była zdezorientowana, ale też zaciekawiona. — Chce pani wejść?

— Mam jeszcze sprawy do załatwienia. — Wyciągnęłam rękę i pogłaskałam Antoine'a po gołej nóżce; ubrany był w żółte frotowe śpioszki. — Pozdrów ode mnie mamę i babcię.

Kiedy schodziłam po betonowych schodach, na ganku domu po przeciwnej stronie ulicy zobaczyłam dwóch młodych mężczyzn, wiekiem bardziej zbliżonych do Jessiki niż do mnie. Jeden z nich nosił czarny podkoszulek bez rękawów, drugi był nagi od pasa w górę. Patrzyli na mnie, a ja bez słowa skinęłam im

głową, idąc do samochodu, swojego lśniącego białego volvo. Kiedy ruszałam, zamki w drzwiach zamknęły się automatycznie, a ja odetchnęłam z ulgą.

Wieczorem czekałam w gabinecie, aż Charlie utuli Ellę do snu. Na kolanach trzymałam „The Economist”, choć byłam zbyt zdenerwowana, by móc czytać.

— Mamy jakieś lody? — zapytał, wchodząc do pokoju. — Zachciało mi się czegoś słodkiego.

— Zostało trochę karmelowych — odparłam. — Zaczekaj — dodałam, kiedy odwrócił się, by pójść do kuchni. — Usiądź, proszę.

Mój głos brzmiał poważniej, niż zamierzałam, ale to było poważne — za chwilę miałam przeprowadzić najważniejszą rozmowę z Charliem od początku naszej znajomości. Przysiadł na oparciu kanapy i patrzył na mnie wyczekująco.

Serce waliło mi jak młotem. Kiedy po raz ostatni byłam tak zdenerwowana w jego obecności? Denerwowałam się nie tym, co zrobi, że narozrabia wobec innych i ja znowu będę musiała po nim sprzątać, lecz tym razem bałam się jego reakcji.

— Chcę, żebyśmy się rozstali — powiedziałam.

— Słucham?

Nie dosłyszał czy nie zrozumiał?

— Na próbę — rzekłam. — Nie prawnie, przynajmniej na razie.

— Chcesz rozwodu? Co ty, kurwa, żartujesz sobie ze mnie? — Na jego twarzy malowało się niedowierzanie, ale na tym właśnie polegał z nim problem ~ jednocześnie zawsze sprawiał wrażenie, jakby był odrobinę, tylko troszeczkę, ale jednak rozbawiony. Tym razem chyba tak nie było, ale miał tak łobuzerską minę i taką skłonność do obracania wszystkiego w żart, nawet jeżeli nie wypadało, że doprawdy trudno było mieć pewność.

— Nie to powiedziałam. Chcę, żebyśmy na jakiś czas się rozstali. Kocham cię, Charlie, i mam nadzieję, że zawsze będziesz o tym wiedział, ale dłużej nie mogę tak żyć.

Czułam narastający ucisk w piersi i drzenie ogarniające całe moje ciało.

— Wydawało mi się, że mieliśmy wyjątkowo udany wieczór.

— Nie chodzi... To prawda, dzisiaj było dobrze. — Naszła mnie dziwna ochota, by wstać, podejść do niego i pocieszyć go. Ale to chyba nie byłoby zbyt mądre. — Wiem, że w Princeton zażywałaś kokainę z Dennisem Goshem — po-

wiedziałam. — Wiem od Holly. Albo to wyjście do baru z Shannon w zeszłym tygodniu... Ja po prostu... Podejmujesz decyzje, z którymi ja nie potrafię żyć. Nie mogę być za ciebie odpowiedzialna, ale jako twoja żona czuję się odpowiedzialna. Przeraza mnie, że możesz skrzywdzić kogoś albo siebie i że to zniszczy nam życie. Wiem, jak to jest, to prawdziwy koszmar, a najgorsze w tym wszystkim jest to, że popełniasz błąd, któremu można zapobiec. Robi mi się słabo, kiedy myślę, że wypijeś ileś tam whiskey, po czym siadasz za kierownicą. Normalnie zbiera mi się na mdłości, Charlie. Nie chcę przy tym być i chcę tego oszczędzić Elli.

— To znaczy, że nie tylko ode mnie odchodzisz, ale jeszcze zabierasz ze sobą naszą córkę?

— Myślałam, że na początek... Będziemy się o to kłócić? Jutro jadę do swojej mamy — powiedziała. — Uznałam, że wezmę Ellę ze sobą, co przy twojej pracy wydaje się rozsądne.

— Teraz będę miał bardziej elastyczne godziny pracy.

Przełknęłam.

— Jeżeli zabiorę Ellę do mamy, uzna to za wycieczkę, wakacje. Nie będziemy musieli jej niczego mówić. Nie chcę bez potrzeby wprowadzać w jej życie zamęt, pokazywać, że coś jest nie w porządku. Ale ty i ja musimy jakiś czas pobyć osobno. Nie widzisz tego tak jak ja?

Charlie odezwał się dopiero po chwili.

— Słyszałaś kiedyś o ostrzeżeniach? — Zapytał. Czułam narastający w nim gniew. — Tak to się odbywa w szkole, prawda? Najpierw nauczyciel umieszcza twoje nazwisko na tablicy, potem stawia przy nim znaczek, dopiero na końcu wyrzuca cię z klasy. Nie lądujesz w gabinecie dyrektora za pierwszy wyskok.

— Ale Charlie... — Do oczu napłynęły mi łzy, jednak nie z żalu, lecz ze zdenerwowania. Zamrugalam, żeby je powstrzymać. — O to właśnie chodzi - powiedziała. — Ja nie jestem twoją nauczycielką. I już ci mówiłam, że nie lubię, kiedy mówisz, że przyjdiesz, po czym się nie zjawiasz, nie lubię, kiedy tyle pijesz, kiedy mnie obrażasz. Gdybyś mnie słuchał, nie byłbyś teraz taki zdziwiony.

— Kłócimy się, jasne, ale nigdy nie mówiłaś o separacji.

— Mówię teraz.

— Poza tym wyskokiem w Princeton, od lat nie zażywałem koki — powiedział Charlie. — Goshen mnie poczęstował i wciągnąłem tylko kilka kresek.

Słowo daję, Lindy, gdybyś nie była taka cholernie sztywna, wiedziałabyś, że to nic nie znaczy. Nic mi się nie stało, nikomu nie zrobiłem krzywdy i w najbliższym czasie nie mam zamiaru tego powtarzać.

— Nie chodzi tylko o kokainę. Chodzi o wszystko. Kiedy Megan Thayer znalazła te czasopisma, miałam wrażenie, że w ogóle cię to nie obeszło.

— A więc to moja wina, że nie przejmuję się tak jak ty, co myślą inni?

— To nie tajemnica, że mamy różne usposobienia, Charlie. — Nie krzyczałam. Co prawda kusiło mnie, żeby doprowadzić do awantury, ale nic dobrego by z tego nie wyszło. — Na początku nawet mi się to podobało. Masz mnóstwo wspaniałych cech, i gdybym myślała inaczej, w życiu bym za ciebie nie wyszła. Ale cały ten draniowaty, niegrzeczny Charlie już mi się przejadł. Nie ma w tym nic uroczonego. Mam czterdzieści dwa lata i nie chcę cię błagać, żebyś założył krawat.

— Uważasz, że cię nie szanuję, tak?

Wzruszyłam ramionami.

— Nikogo nigdy nie szanowałem tak jak ciebie — powiedział. — Kocham cię, Lindy — dodał po chwili załamującym się głosem.

Znowu z trudem powstrzymałam się, by nie podejść i nie pocieszyć go.

— Wiem, że wystawiałem twoją cierpliwość na próbę, ale na miłość boską, jesteśmy rodziną. Myślisz, że Elli wyjdzie na dobre, jeśli rozbijemy jej dom...

Przerwałam mu.

— Separacja na próbę, Charlie, o nic więcej nie proszę. Chcę się przekonać, jak to jest nie...

— Komu o tym mówiłaś? Jadey?

Zawahałam się.

— W zasadzie nie.

— Jeśli chcesz, możemy iść na terapię. Pójdę do specjalisty.

— Jestem wdzięczna za propozycję i możemy to w przyszłości rozważyć — odparłam — na razie jednak chcę trochę przestrzeni.

— W jakiej mnie to stawia sytuacji?

— Nie wiem — odparłam. — Ale ostatnio jestem bardzo nieszczęśliwa. — Rozplakałam się. Czy mam się wstydzić, że aż tak poruszyła mnie prosta prawda tego stwierdzenia? Szlochałam gwałtownie i rozpaczliwie.

Upłynęła minuta, a kiedy spojrzałam na niego, patrzył na mnie z miną tak dziwną, że w pierwszej chwili nie wiedziałam, co oznacza. Po chwili zrozumiałam: on się bał.

— Dobrze, zabierz Ellę, ale musisz mi obiecać, że wrócicie — powiedział. — Naprawię całe zło, Lindy. Wiem, że w tej chwili mi nie wierzysz, ale zrobię to.

Otarłam oczy, w milczeniu kiwając głową. Tu się nie mylił — nie wierzyłam mu.

W drugi dzień naszego pobytu w Riley Lars zabrał Ellę i mnie do mleczarni Fassbindera, gdzie jakieś dziesięć, dwanaście lat temu dom założyciela fabryki został zmieniony w muzeum sera. Dom stał po drugiej stronie parkingu, naprzeciwko właściwej fabryki, i odwiedzający muzeum mogli przez wielkie okna przyglądać się, jak pracownicy krzątają się koło kadzi z mlekiem lub twarogiem. Można było też dostać próbkę twarogu, wciąż jeszcze ciepłego, a w sklepie z pamiątkami sprzedawali różne rodzaje serów, także galaretki, kiełbaski, krakersy i małe porcelanowe naparstki z logo mleczarni. Właśnie oglądałam jeden z takich naparstków, kiedy Ella mnie trąciła.

— To jest nudne — szepnęła. Zmierzyłam ją spojrzeniem.

— Dorothy na pewno będzie to smakowało z porannym tostem — powiedział Lars, biorąc do ręki słóiczek dżemu agrestowego.

— Powiedziałaś, że będę mogła popływać — jęczała u mego boku Ella. Rzeczywiście dzień wcześniej, kiedy wjeżdżałyśmy do miasta, obiecałam jej to, ale gdy przy śniadaniu Lars zaproponował wycieczkę do muzeum, nie miałam serca mu odmówić.

Zadzwoiłam do mamy we wtorek, jeszcze przed rozmową z Charliem, i pytaniem, czy możemy z Ellą przyjechać do niej na parę tygodni, nie podając jednak prawdziwej przyczyny.

— Charlie ma mnóstwo pracy z drużyną baseballową, a ja uznałam, że Ella jest już wystarczająco duża, by docenić uroki Riley.

W środę wyruszyłyśmy około południa. Kilka godzin wcześniej oznajmiłam Elli o planowanym wyjeździe, na tyle wcześnie, by mogła się spakować i bym ja zdążyła ją następnie przepakować, już bardziej realistycznie — zamiast czterech kostiumów kąpielowych dwa, zamiast jednej pary skarpetek siedem, żadnej czarnej sukienki. W zasadzie nie wydawała się specjalnie zaskoczona naszym wyjazdem, a nawet chyba była zadowolona z pomysłu.

— Czy papa Lars robi mi jajko w kapeluszu? — zapytała.

Lars wycinał szklanką idealne kółko z kromki chleba, następnie opiekał kromkę i kółko, przygotowywał jajko sadzone, na nie kładł kromkę chleba, tak że żółtko wystawało przez wycięty wcześniej otwór, i przykrywał je opieczonym kółkiem jak kapeluszem.

— Jeżeli go ładnie poprosisz, na pewno ci zrobi.

Na powitanie mama przygotowała krówki z masła orzechowego. My zajałyśmy się nimi wraz z Ellą, a Lars tymczasem wnosił nasze bagaże. Dopiero kiedy weszłam na piętro, zobaczyłam, że Lars umieścił Ellę w moim starym pokoju, a mnie ulokował w pokoju babci. Serce mi się ścisnęło — była to jedna z tych chwil, kiedy człowiek ma wrażenie, że czas jest jak dywanik gwałtownie wyrywany mu spod nóg; wszystko wokół zmienia się stopniowo i dopiero gdy przyjrzymy się dokładnie, dociera do nas, jak inne stało się nasze życie. W pokoju stało łóżko mojej babci, chociaż przykryte inną narzutą — w paski. Mama usunęła wszystko z biurka i nocnego stolika: kosmetyki babci, flakoniki perfum, popielniczki i opakowania chusteczek higienicznych. Kiedy otworzyłam szuflady biurka, okazało się, że i one zostały opróżnione. Ale popiersie Neferetiti wciąż tam stało, pod kątem, półki z książkami również były pełne. Przesunęłam palcem po grzbietach książek — nie były ustawione w porządku alfabetycznym, jak u mnie, ani w ogóle w żadnym innym porządku. *Portret Dorianą Grayą, Grupa, Przeminało z wiatrem, Frankenstein i Uznany za niewinnego. Hrabia Monte Christo, Złoty notes, Z zimną krwią, Kochanek lady Chatterley, Wielki Santoni, Sokół maltański, Syn narodu* — wszystkie te światy, wszystkie te wersje mnie, którymi byłam, czytając te książki, wszystkie wersje babci, którymi była... Sięgnęłam po *Wspaniałych Ambersonów* Bootha Tarkingtona (nazwisko autora i tytuł wytłoczono złotymi literami na poza tym zupełnie gładkiej granatowej skórze), otworzyłam na chybił trafił na stronie 172 i wtuliłam w nią nos, ale pachniała tylko starym papierem, niczym stary dom, ani śladu zapachu mojej babci.

— Słyszałaś, jak ser skrzypi? — zapytał Lars Ellę w mleczarni Fassbindera.

— I co z tego? — burknęła Ella.

— Ello, to było niegrzeczne — ofuknęłam ją.

— Ktoś jest chyba gotowy na popołudniową drzemkę — dobrodusznie powiedział do mnie Lars ponad głową Elli, która tuliła się do mojego boku i szarpała mnie za bluzkę.

— Ja już nie drzemię — oburzyła się Ella, co nie było tak do końca prawdą.

— Myślisz, że babci będzie smakował dżem, który kupił jej papa Lars? — zapytałam ją.

Nie odpowiedziała, posłałam więc Larsowi przepraszające spojrzenie.

— Spotkamy się w samochodzie — dodałam.

Charlie zadzwonił wieczorem, koło jedenastej, kiedy tylko ja jeszcze nie spałam. Leżałam w łóżku i czytałam *Stary las* Petera Taylora, i jak tylko usłyszałam telefon — jeden aparat był na dole w kuchni, drugi w sypialni mamy i Larsa — wiedziałam, że to on, ale nic nie mogłam poradzić. Nie chciałam wpaść do pokoju mamy i Larsa, nie było też szansy, bym dobiegła do kuchni na czas. Wówczas do moich drzwi zapukała mama. Ubrana w beżowy szlafrok z wykończonym w muszelkę dekoltem i rękawami, które kończyły się tuż poniżej łokci, miała włosy w nieładzie.

— Kochanie, to Charlie...

Wstałam.

— Przepraszam cię, mamó. Odbiorę na dole.

Odezwałam się dopiero, kiedy usłyszałam kliknięcie odkładanej na górze słuchawki.

— Charlie, czy wiesz, która jest godzina? — zapytałam.

— Wróc do domu. Proszę. Błagam cię.

— Nie możesz w ten sposób wydzwaniać — powiedziałam.

— Kompletnie mi odbija. Wiesz, że nie mogę być sam w tym domu. Chcesz wiedzieć, gdzie spędziłem ubiegłą noc? W Wauwatosia Ramada.

W pieprzonej Ramadzie, rozumiesz? Miałaś rację co do mnie. Jestem bezna—
dzijnym mężem. Ale potrzebuję cię, Lindy.

Takie słowa mają potężną moc. Westchnęłam.

— Charlie, nawet jeżeli wrócę, nie sądzę, aby coś się zmieniło.

— Przestanę być takim niedojrzałym kutasem, to się zmieni. Tak, wiem już, o czym mówiłaś, ostatnio bywałem samolubny, ale teraz wszystko się zmieniło, ta zabawa z baseballlem to naprawdę fajna rzecz i zaczynam nowe życie.

— Dalej będziesz pił?

Po głosie poznałam, że pił w ciągu ostatnich godzin. Nie bełkotał, ale mówiąc, przeciągał głoski w ten charakterystyczny, dobrze znany mi już sposób.

— O to w tym wszystkim chodzi?

— Nie wiem. Czasem mam n a d z i e j ę, że to wszystko z powodu alkoholu, ale nie jestem do końca pewna.

— Kiedy zwróciłaś się przeciwko mnie? — zapytał po chwili milczenia.

— To nie fair.

— W maju? styczniu? Dwa lata temu?

— Wiem, że trudno było ci się pogodzić z wiekiem — powiedziałam. — Najpierw skończyłeś czterdzieści lat, potem było dwudziestolecie, ale wołałabym, żebyś... Cóż, jest coś takiego jak cierpienie w milczeniu.

Roześmiał się, zarechotał ponuro.

— Tak, ty jesteś ekspertem w tej dziedzinie. ,. '

— Idę spać — odparłam. — Tutaj wszyscy już śpią i nie chcę im przeszkadzać. Jeżeli będziesz miał ochotę, porozmawiamy jutro.

— Posłuchaj sama siebie. Jesteś pieprzoną lodową królową. » v >

— Nie obrażaj mnie, proszę.

— Czego chcesz? Co mam

— Już ci mówiłam, potrzebuję przestrzeni.

— Alice, przecież w i e s z, że nie mogę być sam w tym domu. Wróc, o nic więcej nie proszę, wszystko załatwimy. Nie będę cię nachodził w nocy — do licha, będę spał w innym pokoju. Ale ten pieprzony dom mnie przeraża.

— Wydawało mi się, że nocujesz w Ramada Inn.

— Tam też się bałem. Musiałem się wymeldować.

— To znaczy, że teraz jesteś w domu?

~ A gdzież by indziej?

— Nasz dom nie jest przerażający, Charlie, i mieszkamy w bardzo bezpiecznej okolicy. Zamknąłeś jadalnię i zaciągnąłeś zasłony w salonie?

— A może przyjadę do was?

Siedziałam przy stole w kuchni i zamknęłam oczy.

— Może zadzwoń do Jadey i Arthura? Tylko musisz się pośpieszyć, bo na pewno niedługo się położą, jeżeli już tego nie zrobili.

— Jasne, a Lucky będzie mnie posuwał przez całą noc.

— To zadzwoń do Johna i Nan albo Ginger... ,

— Nie chcę mieszkać u żadnego z moich braci! Co ich obchodzą moje j! osobiste sprawy? Chcę spać we własnym domu, z żoną przy boku i córką fj w pokoju obok. I wiesz co? Mało kto by powiedział, że stawiam jakieś wygórowane żądania.

Milczałam i przez dłuższą chwilę on również.

— Czy Ella pytała o mnie? — zapytał w końcu, już nie tak wojowniczym tonem.

— Tęskni za tobą. Jeżeli zadzwonisz w ciągu dnia, na pewno z radością z tobą porozmawia.

— Tak dla twojej wiadomości — odezwał się po chwili. — Otworzyłaś mi klatkę piersiową i żywcem wyrwałaś z niej serce, a teraz ściskasz je bezlitośnie gołymi rękami, mam więc nadzieję, że ten małżeński trening czy co tam, kurwa, sobie wymyśliłaś, jest tego wart.

— Idę do łóżka, Charlie. I mam szczerą nadzieję, że znajdziesz sobie nocleg, który cię w pełni zadowoli.

— Nie rozłączaj się.

— Nie rozłączam się. Mówię ci dobranoc. Dobranoc, okay? Dobranoc. Odpowiesz mi?

— Czy nasze małżeństwo nic dla ciebie nie znaczy?

— Charlie, nie chcę odłożyć słuchawki, ale jeżeli nie powiesz mi dobranoc, zrobię to. Po raz ostatni więc, d o b r a n o c .

— Pieprzę cię — powiedział i to on odłożył słuchawkę.

Byłyśmy nad Pine Lake, kiedy usłyszałam płacz dziecka — chyba dziewczynki — dochodzący gdzieś zza moich pleców. Słyszałam go od jakiejś minuty, kiedy z przerażeniem uświadomiłam sobie, że to może być Ella. Siedziałam na rozłożonym na piasku ręczniku, mama obok mnie na rozkładanym krzeselku, ale nie w kostiumie kąpielowym, tylko w spodniach i bluzce z krótkim rękawem; jako jedyne ustępstwo na rzecz okoliczności zdjęła buty i siedziała boso. Opowiadała mi o sporze na temat lokalizacji pomnika weteranów wojny w Korei — miasto nie mogło dojść do porozumienia, czy powinien stanąć nad brzegiem rzeki Riley czy też raczej w centrum, przy Commerce Street. Odwróciłam się i zerwałam na równe nogi.

— Mamo, poczekaj — powiedziałam. — Zaraz wracam.

Plaża nad Pine Lake nie była zbyt duża, miała może ze sto metrów szerokości, i inaczej niż za czasów mojej młodości, teraz był tu ratownik i liny wyznaczające miejsce do pływania. Należała do Pine Park i na trawiastym kawałku ziemi nieopodal piasku znajdowały się piknikowe stoły i grille. W rogu żwirowanego parkingu lodziarz sprzedawał lody ze swojego wozu z rozsuwanym oknem po jednej stronie. Tuż koło niego moja córka, w klapkach i kostiumie kąpielowym, ze splątanymi mokrymi włosami, wykrzywioną, zaczerwienioną buzią, zanosila się histerycznym szlochem.

Widząc, że się zbliżam, rzuciła się ku mnie. .

— Mamusiu! — zawyła, a mnie mało serce nie pękło.

Nie mogła jednak podbiec, ponieważ powstrzymywał ją kilkunastoletni chłopiec w białym fartuchu, z całej siły ściskając za nadgarstek. Kilkoro ludzi jedzących lody czy hamburgery przystanęło i przyglądało się zajściu.

— To mnie boli! — wrzasnęła Ella.

— Jestem jej matką— Co tu się dzieje?

— Ukradła loda! — oznajmił ze wzburzeniem chłopak. Miał nieco ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, był blady, z jasnymi włosami i cienkim wąsikiem.

Złapałam Ellę za nadgarstek i zdecydowanie, choć bez agresji, odepchnęłam chłopaka.

— Proszę ją puścić — zażądałam i odetchnęłam z ulgą, kiedy mnie posłuchał.

Ella natychmiast wtuliła we mnie buzię.

— Proszę mi powiedzieć, co się stało, wtedy może jakoś uda nam się to rozwiązać — powiedziałam.

— Ukradła! — powtórzył chłopiec i wskazał na żwir, gdzie leżał rożek z na wpół roztopionymi lodami waniliowymi. — Chciała sobie wziąć bez płacenia.

Ella mruczała coś do mojego brzucha, wyraźnie protestując.

— Co, kochanie?

Odchyliła głowę, ale buzię wciąż miała czerwoną i mokrą od łez.

— Nie pozwolił mi się podpisać! — Znowu schowała buzię.

— To nieporozumienie — zwróciłam się do chłopca. — Nie jesteśmy z Riley, a tam gdzie mieszkamy, płacimy... — Niepotrzebnie się wysilałam. Wyjaśniając zasady działania klubu, tylko bym się bardziej pograżyła. — Jeżeli zgodzisz się

zaczekać, pójdę po portfel — powiedziałam. — Czy wzięła coś jeszcze oprócz lodów?

Ella podniosła głowę.

— Nawet nie dostałam tego loda. Odebrał mi go! i — Ale polizalaś — odpalił chłopak.

— Ile kosztuje? — zapytałam.

— Dolar siedemdziesiąt pięć.

— Portfel mam w samochodzie, który stoi tam. — Wskazałam palcem.

— Niebieskie terenowe volvo, widzisz? Możesz patrzeć, jak do niego idę, i zaraz tu wrócę. Ello, pójdziesz ze mną?

Uśmiechnęłam się do chłopca i pozostałych przyglądających się nam ludzi, po czym oderwałam Ellę od siebie i wzięłam ją za rękę.

— Tu jest okropnie — powiedziała cicho, kiedy szliśmy w stronę samochodu, ona z włosami wciąż zasłaniającymi jej twarz.

Po powrocie do domu dowiedziałam się, że trzykrotnie dzwoniła Jadey; Lars skrupulatnie zanotował każdą godzinę, co do minuty, w notesie przy kuchennym telefonie.

Poszłam na górę, by do niej oddzwonić; w zasadzie nie chciałam z nią i rozmawiać, bo nie wiedziałam, co jej mam powiedzieć. Z drugiej jednak strony, gdybym nie oddzwoniła, ona próbowałaby dalej, co tylko mogłoby wzbudzić w mamie większe podejrzenia. A mama i tak już coś podejrzewała — tylko dzięki wrodzonej rezerwie mieszkańców Środkowego Zachodu nie zapytała wprost, dlaczego tak nagle zjawiłam się w jej domu.

— Więc jednak to zrobiłaś — powiedziała Jadey. W tle słyszałam szczekanie Luckyego. — Wypuść go do ogrodu — zwróciła się Jadey do kogoś. Rozległy się protesty Winnie. — Nie proszę twojego brata, tylko ciebie — rzekła Jadey. — Wczoraj prawie o północy zjawił się tu Chas — kontynuowała, tym razem już do mnie.

— Jak wyglądał?

— Widziałam go może przez minutę, a dzisiaj rano wyszedł wcześniej, ale powiedział Arthurowi, że jesteś na niego wściekła. Ale nie wystąpiłaś o rozwód, prawda?

— Nie — odparłam szybko. — Nie, my tylko... Chcemy z Ellą spędzić tu trochę czasu.

— Alice, rozmawiasz ze mną. Nikomu niczego nie powtórzę, a zwłaszcza Chasowi, jeżeli o to się martwisz.

Bardziej martwiłam się, że powtórzy BillyemuTorksowi albo którejś ze swoich przyjaciółek.

— Czy zjazd była aż tak tragiczny? — zapytała. — Pamiętasz, co ci mówiłam — wystarczy, że postawią stopę na terenie kampusu i dostają świra. Muszą się dostosować do wymogów chwili.

— Nie o to chodzi — odparłam. — Przynajmniej nie do końca. Jadey, dziękuję ci za troskę. Naprawdę, ale teraz potrzebuję spokoju.

— Jasne, rób, co uważasz za konieczne. — Zniżyła głos, może do pokoju wróciła Winnie. — Jak dojrzejesz do powrotu, będziemy na ciebie czekać.

Tego wieczoru Ella i Lars położyli się spać mniej więcej o tej samej porze, a mama i ja oglądałyśmy serial *Knots Landing*. Sądziłam, że porozmawiamy w czasie emisji odcinka, lecz ku memu zdumieniu mowa jej ciała zdradzała, że ogląda z wielkim zaangażowaniem, milczałam więc, z wyjątkiem przerw na reklamę. Kiedy program się skończył, uśmiechnęła się do mnie z lekkim zawstyżeniem.

— Chyba jest trochę papkowate — powiedziała.

— Papkowatość też ma swoje uroki.

— Przykro mi z powodu dzisiejszego zajścia na plaży. Obawiam się, że narzyczał na nią Tim Ziemiak. Kiedy odjeżdżałyśmy, zajrzałam do ciężarówki.

— Syn Roya i Patty?

Roy był moim kolegą szkolnym przez cały czas trwania mojej edukacji, ^u jego ojca leczyłam sobie zęby; Patty również chodziła do Benton County Central High, ale ukończyła ją kilka lat po nas.

— Przypuszczam, że nie miał nic złego na myśli — powiedziała mama. ~ Może mieć najwyżej czternaście, piętnaście lat i na pewno zbyt poważnie ^{tr}aktuje swoje obowiązki.

— Elli nic nie będzie — odparłam.

— Kiedy jest tu z nami, wciąż przypomina mi ciebie, jak byłeś w jej wieku.

— Och, Ella jest znacznie bardziej żywa, niż ja byłam. To istny wulkan.

— Cóż... — mama przerwała na chwilę, a w jej głosie pobrzmiewała refleksja i smutek, ponieważ przeszłość jest smutna. — Z tego co pamiętam — powiedziała — zawsze byłaś taką kochaną małą dziewczynką.

W tej chwili zalała mnie fala czułości do niej; naprawdę poszczęściło mi się, że wychowywała mnie, kochała, taka spokojna, nieskomplikowana matka. Nie zawsze wzbudzała mój podziw, tym bardziej że przyszło jej żyć w cieniu mojej znacznie bardziej pretensjonalnej i rozrywkowej babci. Ale im byłam starsza, tym więcej widziałam okrucieństw, z jakim traktowali się nawzajem członkowie jednej rodziny, czy to z powodu zazdrości, ignorancji, rozpacz, czy czasem zwyczajnie dla zabawy — ludzie potrafią być prawdziwymi dzikusami w najbardziej banalnych, codziennych okolicznościach. Tego właśnie chciałam Elli oszczędzić: z powodu zwykłego zbiegu okoliczności, dlatego że przyszła na świat w takiej rodzinie, nie widziałam powodu, by miała cierpieć przez niedojrzałość i egoizm Charliego. Przebywanie w obecności dorosłego, który postępuje bezmyślnie i impulsywnie, po czym wszystko to uchodzi mu bezkarnie i nie ponosi żadnych konsekwencji... czułam, że to może dać dziecku fałszywe pojęcie o świecie, zaburzyć jego zdolność dostrzegania długofalowych wzorców. Nie obchodziło mnie, czy Ella pójdzie do Princeton, wyjdzie bogato za męża, czy w ogóle wyjdzie za męża — wiele było możliwości, lecz czułam, że im podołam, obojętnie, czy zostanie hippiską, gospodynią domową czy kobietą sukcesu. Zależało mi natomiast, gorączkowo pragnęłam, by zrozumiała, że ciężka praca popłaca, że przyzwoitość inspiruje przyzwoitość, że pokora nie jest płaszczem, który zakłada się od czasu do czasu, kiedy sądzimy, że okoliczności tego wymagają, lecz raczej normą egzystencji na tym świecie, wynikającą ze świadomości, że nieszczęścia jednakowo dotyczą wszystkich i nikt z nas tak do końca nie może odpowiadać za własne porażki czy sukcesy. Przede wszystkim jednak chciałam, aby moja córka nauczyła się, że są ludzie kierujący się goryczą i że takich ludzi najlepiej unikać — ze względu na nastroje i zachowania przypominają gniazdo szerszeni, najlepiej ich omijać i nie niepokoić. I kochałam Ellę, kochałam przeogromnie, ale zastanawiałam się, czy już nie nasiąkała tym, co w Charliem było najgorsze, i tym, że pobłażałam wszystkim jego wadom i niedoskonałościom.

Będzie nas naśladować — bez wątplenia, wszystkie dzieci tak robiły — ale czy skupi się na jego niczym nieuzasadnionych fochach czy też na moim biernym umartwianiu się? Nie chciałam, by dorastała w przekonaniu, że najpierw popierałam jego wybory, a potem nie umiałam wyrazić swojej dezaprobaty inaczej, niż odchodząc od niego.

— Czy Charlie będzie znowu dzwonił dzisiaj wieczorem? — zapytała mama, siedząc obok mnie na kanapie. — Bo jeśli tak, wyłączę telefon w naszej sypialni.

— Przepraszam cię za tę niedogodność — powiedziałam, ale ona już wstała.

— To mi zajmie tylko chwilę.

Pod jej nieobecność rozejrzałam się po salonie, w którym wciąż stała szeroka kwadratowa kanapa i krzesła, kupione przez moich rodziców jeszcze w latach pięćdziesiątych, *Encyklopedia Britannica* w oprawach z zielonymi grzbietami, fotel Larsa i obraz nad kominkiem — kopia *Le Guitariste* Picassa, którą podarowała mi babcia i która chyba nigdy specjalnie im się nie podobała.

— Mam nadzieję, że wczoraj szybko udało ci się zasnąć? — zapytałam, kiedy wróciła.

— Nie przejmuj się tym. Czy przyjedzie tutaj do ciebie? Z radością go powitamy, nawet gdyby zechciał przyjechać tylko na obiad. Lars marzy, by podsunąć mu kilka pomysłów związanych z drużyną baseballową.

— Słyszałam. — Wymieniłyśmy uśmiechy. — Jest wiele spraw, które zatrzymują Charliego w Milwaukee, więc nie wiem, czy uda mu się wyrwać, ale to bardzo miłe z waszej strony. — Po chwili dodałam z lekkim wahaniem: — Ty i tata w zasadzie nigdy się nie kłóciliście, prawda? Byliście idealnie dobraną parą.

— Och, wielkie nieba, wszystkie pary się kłócą. — Mama usiadła z powrotem i kiedy mówiła, sięgnęła po robótkę, którą wczoraj wieczorem odłożyła na półeczkę pod stolikiem do kawy. Tym razem haftowała różę na po— włoczce na poduszkę.

— Ale ty i tata nigdy tak naprawdę nie pokłóciliście się. Myśleliście kiedyś, żeby się rozwieść?

— W tamtych czasach to się w zasadzie nie zdarzało. — Mama nawlekała igłę? i mówiła spokojnym tonem, nie patrząc na mnie. Mimo to jestem przekonana, że doskonale rozumiała, o czym tak naprawdę rozmawiamy. — Dzi—^{Sła:}j rozwody stały się bardziej powszechne, ale wtedy nie znałam nikogo, kto by to zrobił. Chyba pierwszym takim małżeństwem byli Connorsowie. Pamiętasz Hazel i Williama? Ludzie powiadali, że on był hazardzistą. Ale ona była bardzo miłą panią. — Mama odwróciła kanwę i przyglądała się jakiemuś ściegowi. — Zdarzało się, że twój ojciec doprowadzał mnie do szału, ale nigdy nie przyszło mi nawet do głowy, żeby od niego odejść. Podejrzewam, że podjęłam decyzję... — Umilkła na moment. — Kiedy dorastałam, w mojej rodzinie było dość konfliktów, co nie należało do przyjemności. Skutek jest i tak zawsze taki sam — ludzie się wykańczają i w zasadzie nie ma znaczenia, czego spór dotyczy, prawda? Kiedy wyszłam za męża, postanowiłam, że ilekroć dojdzie do sprzeczki między twoim ojcem a mną, odpłacę mu dobrocią. Postanowiłam, że nie będę próbowała go przekonywać, że nie ma racji, czy też że ją ma. Przypomnę mu, że mi na nim zależy, w nadziei że wtedy on przypomni sobie, że i jemu zależy na mnie. Miałam szczęście, bo twój ojciec był wyjątkowo dobrym człowiekiem. — Spoj-

rzała na mnie z żałośnie bladym uśmiechem. — Nie o wszystkich mężczyznach można to powiedzieć.

Czy w ten sposób mówiła mi, że nie zachęca mnie do rozwodu z Char—liem, ale zrozumie, jeżeli się na to zdecyduję?

Znowu odwróciła robótkę i spokojnie haftowała, a ja nachyliłam się, by przyjrzeć się dokładnie.

— To będzie bardzo piękna poduszka — powiedziałam.

Przebrałam się w piżamę i wymyłam zęby, po czym wróciłam do kuchni ze *Starym lasem*, czekając, aż zadzwoni telefon. Była dziesiąta trzydzieści, potem pięć po jedenastej, jedenasta dwadzieścia, jedenasta trzydzieści, a moja irytacja rosła. Cóż za brak taktu z jego strony, by dzwonić tak późno. Za dwadzieścia pierwsza wiedziałam już, że nie zadzwoni. W domu matki było bardzo cicho, po Amity Lane nie jeździły żadne samochody i nagle moja złość zmieniła się w przepełnione poczuciem samotności rozczarowanie.

Kiedy rano zadzwonił telefon, jedliśmy właśnie śniadanie i Ella odebrała.

— Jadę z mamą na łyżwy — powiedziała po kilku sekundach. — I umiem już jeździć do tyłu. — Dzwonił Charlie? — W centrum handlowym — powiedziała Ella. — W centrum handlowym! — dodała po chwili, niemal krzyżąc. — Tak, jest tutaj. — Ella podała mi słuchawkę. — To babcia Maj.

— Na litość boską, Alice — zaczęła Priscilla bez zbędnych wstępów. — Wsiadaj w samochód i wracaj do Milwaukee. Z Chasem nie jest dobrze.

I tak mogło mi odebrać mowę, ale w towarzystwie Elli, mamy i Larsa siedzących przy stole nie umiałam znaleźć żadnej odpowiedzi.

— Gdybyś mogła chwilę zaczekać, Priscillo, pójde do drugiego telefonu — odparłam.

Na górze telefon wciąż był odłączony i przyklekłam, by włożyć wtyczkę do gniazdka, po czym podniosłam słuchawkę i usiadłam na łóżku. Usłyszałam dźwięk odkładanej słuchawki na dole.

— Halo? — powiedziałam.

— To istna bzdura — rzekła Priscilla. — Wychodząc za niego, wiedziałas, że lubi zaglądać do kieliszka. Więc naciągaj kieckę i wracaj zrobić porządek z tym bałaganem.

— Priscillo, nie uważam pijaństwa Charliego za jakąś wadę charakteru. Może z perspektywy Waszyngtonu tak to wygląda, ale ja z nim mieszkam i on jest... — zawahałam się, ale zebrałam się w sobie i powiedziałam to. — Jest pijany niemal codziennie, jak tydzień długi. Charlie jest alkoholikiem.

Priscilla nie zareagowała, jakby usłyszała jakąś rewelację.

— A według ciebie czyja to wina? — zapytała.

— Jeżeli sugerujesz, że ja ponoszę odpowiedzialność za jego picie, to muszę zaprotestować. Jest dorosłym...

— Pozwól, że cię zapytam, na czym polega twoja praca.

— Nie rozumiem.

— Faktycznie. Moja droga, jesteś panią domu. Twoim obowiązkiem jest dopilnowanie, by dom funkcjonował bez zakłóceń. Jak myślisz, dzięki czyim dochodom stać cię na luksus siedzenia w domu?

— Priscillo, ja nie siedzę w domu, żeby objadać się czekoladkami i oglądać opery mydlane. Skoro jednak cię zawiodłam, przykro mi.

— Och, czemuż nie jestem zaskoczona — rzekła Priscilla. — Wielkie nieba, od dziesięciu lat czekałam na ten dzień. Wszyscy wiedzą, że popełniłaś mezalians.

Nie potrafiłam oprzeć się ponurej pokusie, by wyprowadzić ją z błędu.

— Chcesz powiedzieć, że Charlie popełnił mezalians.

— Och, ależ skąd, wręcz przeciwnie. Charlie ożenił się z kimś lepszym °d siebie. Cóż, Alice, był trzydziestojednoletnim utracjuszem, niedorzecznie ubiegającym się o miejsce w Kongresie i umawiającym się z kelnerkami. Na prawdę nie pojmowaliśmy, co ty w nim widzisz! — Zaśmiała się krótko, a ja, siedząc na łóżku mojej matki, nie posiadałam się ze zdumienia.

— Ale... Czy nie uważałaś, że w pewien sposób wmanewrowałam go w to małżeństwo? Tak przynajmniej dałaś do zrozumienia, kiedy ogłosiliśmy nasze zaręczyny.

— Niczego takiego nie powiedziałam.

— Podeszłaś do mnie i powiedziałaś, że mądra ze mnie dziewczynka.

— Byłaś taka wstydliva. — W głosie Priscilli, choć to dziwne, słychać było niemal podziw. — Siedzisz w Halcyon przez cały weekend, niczym nie zdra-

dzając, że jesteście z Charliem zaręczeni, po czym nagle wypuszczasz królika z kapelusza. Bezkonkurencyjne przedstawienie.

— Myślałam... — Czyżbym przez te wszystkie lata źle ją oceniała? Czy też teraz kłamała? A może ani jedno, ani drugie, może rzecz nie w tym, że miała złą opinię o mnie, lecz miała, być może wciąż ma, niezbyt wysokie mniemanie o Charliem. — Myślałam, że ty myślałaś... — zaczęłam, ale znowu się zaplątałam.

— Zaskakuje mnie tylko pora, którą sobie wybrałaś — zagłuszyła mnie Priscilla. — Postanowiłaś pokazać rogi akurat teraz, kiedy Chas zrobił najlepszy ruch w swoim życiu. Brewersi są dla niego wprost wymarzeni, a Pan Bóg jeden wie, że nigdy specjalnie do niczego się nie nadawał. Od lat doprowadzał firmę do ruiny i tylko interwencja Harolda powstrzymywała jego braci przed zwolnieniem go, a teraz, kiedy Zeke Langenbacher zrobił nam wszystkim największą przysługę pod słońcem, jedyne, co z Chasem musicie, to siedzieć na tyłkach i oklaskiwać zawodników. Na t y l e chyba cię stać?

W głowie mi wirowało. Czy wszyscy Blackwellowie mieli Charliego za niekompetentnego głupka? Czy inni też? (Thayerowie na pewno, o czym niedawno dowiedziałam się od Joego). Ja z kolei też byłam głupia i niekompetentna, bo za niego wyszłam? W tej chwili czułam się w obowiązku bronić Charliego — nawet jeżeli miał skłonności do buty i sprośności, Arthur również je miał. Charlie nie był czarną owcą rodziny; nie był idiotą.

— To jeszcze nie powód, żeby zostawić rodzinę — mówiła dalej Priscilla. — Mogę sobie wyobrazić dziesiątki powodów, ale szczerze mówiąc, żaden mnie nie interesuje. Nikt ani przez chwilę nie zaprzeczy, że jesteś mądrzejsza i bardziej wyrafinowana od Charliego, ale było tak już w dniu, kiedy się poznaliście. I dlatego to twój problem. Nie jego, a już na pewno nie mój. Jesteście jednak rodziną, i co ważniejsze, macie córkę. Jeżeli nie potraficie dać jej rodzeństwa, przynajmniej zapewnijcie jej oboje rodziców.

Nie umiałam się zdecydować, czy była to najbardziej pouczająca czy też najbardziej dla mnie obraźliwa rozmowa w życiu, jedno i drugie albo ani to, ani to. Wzięłam głęboki oddech — chciałam zachować się dyplomatycznie głównie dlatego, że choć czasem można żałować swojej dyplomacji, znacznie częściej jednak żałuje się opryskliwości.

— Cóż, Priscillo — rzekłam do mojej teściowej. — Muszę sobie wiele rzeczy przemyśleć.

Zdecydowałyśmy się pójść na łyżwy w drodze eliminacji: Ella odmówiła pójścia nad Pine Lake, a w fabryce Fassbindera już byliśmy. Poza tym jeszcze w domu chciała spróbować jazdy na łyżwach w Mayfair Mail, dokąd nigdy jej nie

zabrałam; tutaj nie było specjalnego wyboru. Ponieważ lato dopiero się zaczęło, nie przyszły jeszcze prawdziwe upały. Lodowisko było w zasadzie puste, a muzyka rycząca z wielkich głośników tuż pod dachem ogłuszająca. Ostatnim razem jeździłam w Halcyon, jeszcze zanim Ella przyszła na świat, i nigdy nie wykazałam się wielkim talentem. Ślizgałyśmy się tam i tu, a ja patrzyłam, jak ona przygląda się dwóm innym dziewczynkom, chyba siostram, kilka lat starszym od niej, które jeździły naprawdę nieźle i co chwilę wołały do siebie, śmiejąc się i spierając.

— Chcesz się z nimi pobawić? — zapytałam.

Ella gwałtownie pokręciła głową, a mnie ogarnęło poczucie winy. Gdy zwróciłyśmy łyżwy, w części restauracyjnej centrum zjadłyśmy smażone kawałki kurczaka, a później w sklepie z tanią biżuterią kupiłam jej bransoletkę z delfinkiem.

Idąc szerokim, wyłożonym różowym marmurem korytarzem (dlaczego w centrum handlowym w Riley, w stanie Wisconsin, podłogi musiały być z marmuru?), zastanawiałam się, co ja nam najlepszego robię? Jak długo Ella i ja wytrzymamy w tym mieście? Ponieważ z Milwaukee do Riley można bez trudu dojechać i wrócić tego samego dnia, był to mój najdłuższy pobyt od lat. I chociaż wyobrażałam go sobie jako wytchnienie, Ella powiedziała prawdę w mleczarni Fassbindera: tu było nudno. Wywodziłam się stąd, i całe szczęście, ale tutaj każdy dzień wydawał się trzy razy dłuższy niż w Milwaukee. Z drugiej strony, jeśli wrócimy do domu, czy nie będzie dokładnie tak samo jak wcześniej? Przez kilka tygodni, najwyżej miesięcy Charlie może będzie zachowywał się bez zarzutu, ale nawet to wydawało się tylko pobożnym życzeniem — równie dobrze mógł być nadęty i obrażony.

Po południu zadzwoniłam do Jadey. (Spoglądając wstecz, głównie to pamiętam z tego dziwnego czasu spędzonego w Riley — wciąż rozmawiałam przez telefon. Jeżeli mama i Lars uważaliby, że wydzwaniam lub czekam na czyjś telefon równie często jak rozdrażniona, rozkapryszona nastolatka, nie miałabym do nich o to pretensji).

— Błagam, powiedz mi, że wracasz do domu — powiedziała Jadey, jak tylko usłyszała mój głos. — I jeśli chesz wiedzieć, czy wybiorę się z tobą na spacer, to odpowiedź brzmi: tak. Już z samej tęsknoty za tobą przytyłam dwa i kilogamy, poza tym nie ćwiczę i codziennie zjadam talerz krówek.

— Czy wszyscy w rodzinie uważają Charliego za półgłówka?

— O czym ty mówisz?

— Dzisiaj zadzwoniła Maj. Jak zapewne się domyślasz, nie jest ze mnie zbyt zadowolona. I dała mi do zrozumienia... To naprawdę bardzo dziwne. Czy Arthur i John chcieli Charliego zwolnić?

Jadey nie odpowiedziała od razu, co już samo w sobie było odpowiedzią, ale nie taką, na jaką liczyłam.

— Potrafi grać w tenisa w środku dnia — odezwała się po chwili. — Myślę, że to głównie dlatego. Przez większość czasu nie mają pojęcia, gdzie się podzie-
wa, a jeżeli jeszcze na dodatek zjawi się dystrybutor, z którym Charlie się umó-
wił...

— Dlaczego mi nic nie mówiłaś?

— Nie możemy ich niańczyć, prawda? Nie złość się. Jesteś zła? Alice, on zawsze taki był. Nikt nie uważa, że jest głupi. Jest po prostu... Nie należy do naj-
bardziej pracowitych ludzi pod słońcem, ujmijmy to może tak. Ale znasz naj-
większego pracusia? Ed, a kto by chciał za niego wyjść?

Zupełnie jakbym patrzyła na optyczną iluzję czarownicy i eleganckiej młodej kobiety — z jednej strony wiodłam uprzywilejowane i efektowne życie, niepo-
zbawione trosk, niewspółmiernych jednak do jego zalet, z drugiej zaś moje mał-
żeństwo było oszustwem, a mój mąż pośmiewiskiem. Dawno już wiedziałam, jak
cienka jest granica między szczęściem i tragedią, spokojem i chaosem, ale wiele
lat upłynęło, odkąd po raz ostatni ją przekroczyłam.

— Jak zobaczysz się z nim dzisiaj, powiesz, żeby do mnie zadzwonił? — za-
pytałam.

— Och, Chas już u nas nie mieszka — odparła. — Spędził tu tylko jedną noc.

— Gdzie jest teraz?

— Chyba postanowił zostać dużym chłopcem i wrócił do domu.

W niedzielę razem z mamą, Larsem i Ellą poszliśmy do kościoła, Ella przez
całą mszę wierciła się niecierpliwie, zapewne tęsknie wspominając Bonnie,
wyjmując sztuczne oko nauczycielkę szkółki niedzielnej przy kościele Chry-
stusa Zbawiciela w Milwaukee. W domu po lunchu zaczęłam z Larsem układać
puzzle przedstawiające pociąg w szwajcarskich Alpach — Lars specjalnie w tym
celu rozstawił stolik — a w ogródku przed domem mama naląła wody do prze-
zroczystej miski na sałatkę, zabarwiając ją na niebiesko kilkoma kroplami Win-
dexu, żeby w ten sposób zrobić basen dla Barbie; jeżeli mama albo Lars zdumie-
ni byli kolorem skóry Barbie, żadne z nich nie dało nic po sobie poznać. Po
chwili mama wróciła do domu.

— Pięć minut zajmie mi zrobienie ręcznika dla Barbie — powiedziała.

Podniosłam wzrok znad puzzli.

— Może dla odmiany odpoczęłabyś trochę — rzekłam.

Ona jednak miała już tę skupioną, zaaferowaną minę: projekt. Znikła na górze, gdzie w moim starym pokoju trzymała maszynę do szycia.

Przez okno słyszałam Ellę prowadzącą dialog z Barbie.

— Teraz pora popływać na grzbiecie... — i cisza.

Kiedy wyszłam, by sprawdzić, czy wszystko w porządku, Ella kucała przy misce wypełnionej błękitnym płynem.

— Żuczku, jak się... — zaczęłam, a kiedy podniosła głowę, by na mnie spojrzeć, zobaczyłam, że ma na sobie błyszczącą fioletową tiarę i do kompletu fioletowe wiszące klipsy. — Ojej — powiedziałam. — Skąd to masz?

— Od pani. — Wskazała na stojący dokładnie naprzeciwko nas dom państwa Janaszewskich.

— Dała ci to? — zapytałam.

Ella skinęła głową.

— Pomogła ci założyć?

Ella znowu skinęła głową. Plastikową tiarę miała zatkniętą za uszy, jarmarczne zakrętasy biegnące z obu końców spotykały się na środku, spięte ogromnym sztucznym ametystem, na którym lśniła gwiazda. Klipsy były w kształcie ametystowych kropli wielkości dziesięciocentówki, inkrustowanych sztucznymi diamentami. Od razu domyśliłam się, komu podobałyby się takie świecidełka, ale ^{rzecz} jasna pewności mieć nie mogłam, a nawet gdyby, jeszcze trudniej było mi P^ojąć przyczynę takiego podarunku. Czy była to zwykła, niezamierzona chęć sprawienia przyjemności małej dziewczynce, czy też wręcz przeciwnie, podszyta ^kPiną krytyka z podtekstem: „Twoja córka jest księżniczką”.

— Czy ta pani powiedziała, jak się nazywa? — zapytałam.

Ella wzruszyła ramionami.

— Babcia robi ręcznik dla Barbie.

— Wiem, i bardzo proszę, podziękuj jej. Ello, ta pani, która dała ci biżuterię, czy ona wiedziała, jak masz na imię?

Ella zmarszczyła czoło, próbując sobie przypomnieć.

— Chyba tak.

— A jak wyglądała?

Ella obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem.

— Była stara, ale tak jak ty.

Znowu popatrzyłam na werandę domu Janaszewskich. Czy miało to być zaproszenie, wyzwanie, czy jedno i drugie? A może była to tylko zabawka, którą mamy Deny zobaczyła w sklepie i uznała, że może spodobać się Elli.

Usiadłam na stołku, czekając, że może ktoś wyjdzie z domu, ale niedługo zjawiała się moja mama — na miniaturowym ręczniku, najwyraźniej wyciętym z jakiegoś starego, już nieużywanego, wyhaftowała czerwone B. Nie zapytała, skąd wzięła się tiara i klipsy, zapewne uznała, że należą do Elli. Kiedy godzinę później wszystkie wróciłyśmy do domu, z domu Janaszewskich w dalszym ciągu nikt nie wyszedł.

Kilka razy próbowałam dodzwonić się do naszego domu w Maronee, o różnych porach dnia, także wieczorami, ale Charlie nigdy nie oddzwonił. Dopiero kiedy w końcu zostawiłam wiadomość, odezwał się w ciągu kilku godzin. Ustaliliśmy, że następnego dnia cała nasza trójka spotka się na pikniku w parku niedaleko autostrady 1— 94, pomiędzy Riley i Milwaukee. Piknik był moim pomysłem, wydawało mi się to lepsze od wyjścia do restauracji, na wypadek gdyby Charlie się rozzłościł i zaczął krzyczeć, poza tym w ten sposób Ella będzie mogła sobie swobodnie pobiegać. Nasza rozmowa przez telefon była krótka i niezbyt wroga — żadna ze stron nie dała się ponieść emocjom — ale wyczuwało się w niej napięcie.

Przygotowałyśmy z Ellą kanapki z sałatką z kurczaka, a mama uparła się, żeby upiec ciasteczka. Już miałyśmy z Ellą wychodzić, kiedy zadzwonił Arthur.

— Nikt nie jest ranny, Chasowi nic się nie stało — powiedział. — Ale wczoraj złapali go na jeździe po pijanemu i prosił, żebym cię zawiadomił, że nie da rady spotkać się z wami. Wie, że będziesz wściekła, Alice, ale właśnie się z nim widziałem i uwierz mi, w tej chwili nie możesz mu powiedzieć nic, czego sam by nie wiedział. Kilka godzin w pudle daje człowiekowi czas na przemyślenia, wiesz?

— Czy on... — Znowu byłam w kuchni, co oznaczało, że nie mogę mówić otwarcie. — Czy wciąż jest zatrzymany i dlatego nie mógł sam zadzwonić?

— Nie, już go wypuścili. Jest w kancelarii naszego prawnika. Denerwuje się, żeby nic nie wyszło na jaw, żeby nie wypadł źle w oczach Zeke'a Lan— genba-

chera, więc tato i Ed dzwonią tu i tam. Chas zapytał, czy możecie się spotkać na lunchu jutro, ale może sama zadzwonisz do niego później? Co nie oznacza, że nie odpowiada mi rola jego sekretarki.

— Kiedy... — Jednak nie było pytania, które mogłabym zadać bez używania słów mogących zaalarmować Ellę czy mamę: „obrażenia”, „wypadek”, „prawnik” lub „więzienie”. Po czym (poczułam się dziwnie wolna) pomyślałam sobie: „Niech sam po sobie posprząta”. Ja nie muszę interweniować. Jeżeli skasował samochód albo gazety coś zwęszyły, jeżeli chciał ryzykować nową pracę, zanim tak na dobre ją zaczął, to jego problem. Arthur powiedział, że nikomu nic się nie stało, a tylko to mnie obchodziło.

— Dziękuję, że zadzwoniłaś, co do jutra, odpowiedź brzmi: nie.

— Alice, jemu jest naprawdę przykro...

— Odpowiedź brzmi: nie — powiedziałam. — Tylko tyle mu powiedz.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, obróciłam się do Elli.

— Okazuje się, że tatuś ma dzisiaj spotkanie w sprawie drużyny — powiedziałam wesoło. — I nie może się wyrwać. Ale jest mu tak przykro z tego powodu, że wpadł na pewien pomysł, a ja się zgadzam, ale tylko dlatego, że jesteś taka grzeczna. Tatuś chce, żebym ci kupiła kasetę z *Dirty Dancing*.

Ella przyglądała mi się podejrzliwie — nie śmiałam nawet spojrzeć na mamę — ale jak tylko wypowiedziałam *Dirty Dancing*, zapiszczała z radości i wyrzuciła ramiona w powietrze.

— Teraz? — zapytała. Oczywiście miała szeroko otwarte.

— Może zrobimy sobie piknik w ogrodzie? — zaproponowałam. — Mamo, ciebie też zapraszamy, w końcu mamy dodatkową kanapkę. — Dopiero wtedy na nią spojrzałam, a ona przybrała wyraz optymistycznej rezerwy. Równie mocno nie chciała znać prawdy, jak ja nie chciałam jej powiedzieć. — A po lunchu, zuczku, pojedziemy do centrum handlowego — dodałam do Elli.

— Alice, ale my przecież nie mamy... — powiedziała mama. — Jakżeż to się nazywa?

— Nie, Charlie o tym też pomyślał. — Uśmiechałam się jak wariatka.

— Jest taki wdzięczny za waszą gościnność, że poprosił, abym kupiła tobie i Larsowi odtwarzacz wideo.

Choć nie prosiłam się o to, w ciągu kolejnych dwóch tygodni znałam na pamięć każde słowo z *Dirty Dancing*. Film różnił się od moich wyobrażeń o nim —

był znacznie głębszy i nie tak pikantny, jak się obawiałam, chociaż była w nim jedna scena, jak nagi Patrick Swayze wychodzi z łóżka, w którym prawdopodobnie wcześniej uprawiał seks. Ku memu zaskoczeniu był też wątek o aborcji, ale Ella nie zwróciła na niego uwagi; skupiła się bez reszty na tańcu, rzeczywiście fenomenalnym. Akcja filmu rozgrywa się w 1963 roku i główna bohaterka była tylko o rok starsza ode mnie w tamtym czasie, przez co większość piosenek i scen przywoływała wspomnienia. Niekoniecznie zdecydowałamby się na oglądanie tego filmu kilkanaście razy, i w końcu na szczęście zaczęliśmy też oglądać inne, ale przyznaję, ku swemu zaskoczeniu, *Dirty Dancing* naprawdę mi się podobał.

W tamtych dniach, siedząc przed telewizorem, miałam uczucie, że na coś czekam, ale nie wiedziałam na co. Nie zadzwoniłam do Charliego, on do mnie też nie. Zbliżał się obóz artystyczny Elli i kiedy w końcu ten dzień nadszedł, rano zadzwoniłam, by zawiadomić kierowniczkę, że Ella nie pojedzie. Były decyzje, które musiałam podjąć, plany, które musiałam wprowadzić w życie (jakże żałowałam, że nie ma już przy mnie babci, by mogła mi doradzić), a ja wciąż zwlekałam.

— Nie wiem, czy powinnam ci to mówić — powiedziała do mnie Jadey przez telefon, co było wstępem, po którym mówiący i tak zawsze dzielił się nowiną.

— Chas zaprzyjaźnił się z jakimś pastorem, niejakim wielebnym Randy — ciągnęła. — Nikt nie wie, jak się poznali, ponieważ Chas odmawia wszelkich odpowiedzi. Nan powiedziała mi, że ona i John widzieli ich wczoraj w sportowym pokoju na kolacji, wydaje mi się, że byli razem z Chasem na meczu baseballowym.

— Kto to jest?

— W tym rzecz — nikt nie wie. Nikt nigdy o nim nie słyszał, chociaż zdaje się, ma jakiś kościół w Cudacy. Mała różyczka? Niebiański kwiat? Prawdopodobnie nie jest to tak groźne, jak brzmi.

— Jak Charlie wygląda?

— Cóż, zaprosiliśmy go ma obiad, ale chyba się boi, że jak przyjdzie, pożrę go żywcem.

— Jadey, proszę, nie rób tego.

— Uwierz mi, Arthur już mi nakładł do głowy, jak to twoje odejście i jazda po pijanemu jest dla niego wystarczającą karą, ple, ple, ple.

Nie o to mi do końca chodziło. Nie tyle martwiłam się o Charliego, ile wiedziałam, że kazanie Jadey nie odniesie najmniejszego skutku, a tylko pogorszy między nimi stosunki. Jednocześnie wraz z upływem dni czułam, jak mój gniew maleje. Tęskniłam za Charliem — brakowało mi rozmowy z nim, siedzenia przy nim, tęskniłam za chwilami, kiedy wieczorem w kuchni wkładam naczynia do zmywarki i wiem, że on w gabinecie ogląda w telewizji mecz, za żartami w łóżku, zanim gasimy światło i usypiamy. Brakowało mi jego pikantnych albo kąśliwych uwag o znajomych, kiedy wiedziałam, że ja już nie muszę ich wygłaszać; ja miałam być tą dobrą i stawać w ich obronie.

— W dalszym ciągu nie mam pojęcia, kim może być ten wielebny Randy — powiedziałam do Jadey.

— To jest nas dwie — odparła.

I wreszcie zadzwonił; następnego dnia wieczorem, kiedy od naszego przyjazdu do Riley upłynęło trzy i pół tygodnia. Była dziewiąta, a ja i Lars zaczęliśmy układać puzzle z obrazkiem opery w Sydney.

— Wszystko załatwione — powiedział Charlie. — Jessica od tego roku idzie do Biddle, z pełnym stypendium. My pokrywamy koszty, ale Suttonowie o niczym nie wiedzą, bo uznałem, że tak będzie lepiej. Co u Elli?

— Załatwiłeś, żeby Jessica Sutton uczyła się w Biddle?

— Nancy Dwyer zadzwoniła do nich, zaprosiła na zwiedzanie kampusu, powiedziała, że szkoła dowiedziała się o Jessice od nas. Uznałem, że panna Ruby i Yvonne musiałyby być kretynkami, żeby się nie domyślić naszego udziału, czemu więc nie powiedzieć prawdy przynajmniej częściowo? Jessica dzisiaj zdała wszystkie testy. Wszystko jest załatwione. Będę wystawiał czeki^{Za} nią razem z chesnym Elli.

— Charlie, to cudownie. Nie wiem, co powiedzieć. Dziękuję ci.

— Miałaś rację. — Jego głos po raz pierwszy od dawna brzmiał znacznie lepiej, więcej było w nim energii i entuzjazmu. Wydawało mi się też, że nie pił, a jeśli, to niewiele. — Nadarzyła się okazja, by zrobić coś dobrego, a kto jak nie panna Ruby bardziej zasługuje, żeby sięgnąć dla niej do kieszeni? Cieszę się, że mnie namówiłaś. W Riley wszystko w porządku?

Zabrzmiało to, jakbyśmy wybrały się z Ellą na wakacje bez niego, jakbyśmy byli z Charliem małżeństwem, które pod koniec spędzonego osobno dnia dzieli się wszystkim.

— Jak najbardziej. — Zniżyłam głos. Byłam w kuchni, a mama z Larsem w salonie. — Szczerze mówiąc, odnoszę wrażenie, że Ella trochę się nudzi.

Charlie się zaśmiał.

— Może wyjdzie jej to na dobre.

— Chyba świetnie się czujesz — powiedziałam. — Naprawdę jesteś w doskonałej formie.

— Zacząłem biegać. Wiesz, jak się nabijałem z tych pedalskich ubranek ze spandeksu Johna, ale kobieto, endorfiny to coś niesamowitego. Nie ma porównania z żadnym innym sportem.

— Od jak dawna...

— Będzie już z dziesięć dni, ale czuję się nowym człowiekiem. Wstaję o szóstej, jadę na bieżnię do Cudacy, w liceum. Trochę daleko, ale stawia na nogi.

Charlie wstawał o szóstej, żeby pojechać taki kawał drogi i biegać po bieżni w publicznym liceum?

— Słuchaj — powiedział. — Nie chcę cię zatrzymywać. Teraz się rozłączę, ale jutro zadzwonię do Elli z pracy.

— A teraz gdzie jesteś? — zapytałam.

— Oglądam mecz w telewizji. Brewersi grają dzisiaj w Anaheim. Hej, mój nowy gabinet na stadionie jest świetny. Musisz przyjść i sama zobaczyć. — Mówił przyjaznym, niezobowiązującym tonem, jakby rozmawiał z ulubioną sąsiadką. — Spij dobrze, Lindy. Całuję cię i Ellę.

Już chciałam ponownie zapytać, gdzie mieszka — wydawało się, że w domu, tylko jakoś nie mogłam w to uwierzyć — i kim jest wielebny Randy, ale rozmowa przebiegała tak niespodziewanie dobrze, że poddałam się jej rytmowi i nieuniknionej konkluzji.

— My cię też całujemy — odparłam.

Wieczorem następnego dnia przed snem czytałyśmy z Ellą rozdział z *Fantastycznego pana Lisa*.

— Mamusiu — zapytała, kiedy wstałam, żeby wyłączyć światło. Kto to jest Andrew Christopher Imhof?

Zamarłam.

— Czy ktoś ci o nim mówił? — zapytałam, starając się zapanować nad głosem.

Czy mogła to zrobić Dena, kiedy dawała Elli tiarę? Na Commerce Street spotkałyśmy też moją dawną koleżankę z klasy, Mary Hafliger, ale ona przecież nawet słowem nie wspomniałaby o Andrew. A nawet jeśli, gdyby w ogóle ktoś to zrobił, usłyszałabym to.

Ella wzięła z nocnego stolika wielką księgę w granatowej twardej oprawie. Album mojego rocznika z liceum, co szybko sobie uświadomiłam na widok srebrnego pochylego napisu na okładce: *The Zenith 1964*.

— On tutaj jest — powiedziała Ella i otworzyła album, przerzucając kartki.

Po chwili pokazała mi stronę, całą poświęconą pamięci Andrew, z jego pełnym imieniem i nazwiskiem, czarno— białym zdjęciem, wyraźnie pokazującym jego jasne włosy, długie rzęsy i urzekająco piękny uśmiech. Pod zdjęciem widniały daty jego narodzin i śmierci: 1946— 1963. Obie wydawały się tak strasznie odległe. Lata czterdzieste, dekada II wojny światowej, Sugar Raya Robinsona i Rity Hayworth, ale również lata sześćdziesiąte, zwłaszcza ich początek, wydają się bardzo odległe; były to czasy, gdy Jackie Kennedy nosiła toczek, a szympansy poleciały w kosmos.

Ella wskazała na daty.

— Czy to znaczy, że on nie żyje?

Podeszłam do łóżka.

— Andrew był chłopcem z mojej szkoły i umarł, kiedy byliśmy w ostatniej klasie liceum. To było bardzo, bardzo smutne.

— Jak umarł?

Serce podeszło mi do gardła, utrudniając mówienie i oddychanie. Czy Ella była dość duża? Chodziła do przedszkola, kiedy zapytała, skąd biorą się dzieci, a ja odpowiedziałam jej prosto, krótko i jasno; użyłam słów „pochwa” i „penis”, w co Jadey nie mogła uwierzyć, kiedy później o wszystkim jej opowiadałam — Andrew miał wtedy dwanaście lat i u nich w domu mówiło się o tym „pupcia” i „siusiaczek”. Ja jednak uważałam, że unikanie dziecięcych pytań nie wychodzi na dobre ani im, ani nam.

Wzięłam głęboki oddech.

— Zginął w wypadku samochodowym — powiedziałam.

— Jechał przypięty pasem?

— Większość samochodów wtedy ich nie miała — odparłam. — Nie były tak bezpieczne.

— Płakałaś, kiedy umarł?

— Tak — powiedziałam. — Bardzo płakałam. — Po czym dodałam (nie wiem, czy nie popełniłam błędu, ale myślę, że przemilczenie prawdy również byłoby niedobre): — Ja też brałam udział w tym wypadku. Ja prowadziłam jeden samochód, on drugi i mój samochód uderzył w jego.

Oczy Elli zrobiły się wielkie jak spodki.

— Pojechałaś do szpitala?

— Tak, ale nie byłam poważnie ranna. Miałam szczęście, Andrew nie. Był cudownym chłopcem i bardzo go lubiłam. Znałam go od dziecka, kiedy byliśmy jeszcze młodszy, niż ty teraz. Kiedy umarł, była to najsmutniejsza rzecz pod słońcem.

— Smutniejsza, niż kiedy umarł twój tato i kiedy umarła babunia?

— To było coś innego. Kiedy umiera ktoś młody — to nie zdarza się często i ciebie na pewno nie spotka, chociaż dlatego właśnie każemy ci zapinać pasy i dlatego musisz popatrzeć w obie strony, zanim przejdziesz przez ulicę, bo trzeba uważać — ale kiedy umiera młody człowiek, jest inaczej, niż kiedy umiera ktoś stary. Ludzie powinni dorosnąć, pobrać się i mieć dzieci, a kiedy dzieje się inaczej, czujemy, że stało się coś złego.

— Jak z Panem Jezusem? — Chyba nigdy nie widziałam Elli równie poważnej, całkowicie skupionej, wsłuchującej się uważnie w każde moje słowo.

— Cóż, Jezus był dorosły, kiedy umarł. Ale masz rację, nie ożenił się i nie miał dzieci, a jego śmierć była również smutna.

Ella namyślała się w milczeniu.

— Myślisz, że Andrew Christopher Imhof i babunia są teraz razem?

Uśmiechnęłam się.

— On nazywał się po prostu Andrew Imhof. Nie musisz za każdym razem wymieniać jego drugiego imienia. Wiesz co, on i babunia znali się troszeczkę — jak zapewne zauważyłaś, Riley jest takie małe, że wszyscy tutaj znają wszystkich. Kiedy Andrew i ja byliśmy o rok młodszy, niż ty jesteś teraz, babunia i ja spotkałyśmy Andrew i jego mamę w sklepie. Babunia myślała, że Andrew to dziewczynka. Wtedy włosy miał nieco dłuższe i kręcone.

— Myślała, że jest dziewczynką? — Ella była zdziwiona i zaciekawiona.

— Chyba nie poczuł się obrażony. — Pod kołdrą Ella zgięła nogi w kolanach i oparła otwarty album o uda. Przyjrzała się zdjęciu.

— Kochałaś Andrew?

— Tak — odparłam. — Kochałam.

W pewnym sensie miło było móc porozmawiać o nim — takich pytań nikt mi nigdy nie zadał, bo nikt poza dzieckiem nawet by się nie odważył — ale też ze zdumieniem stwierdziłam, stojąc w swoim dawnym pokoju, jak odległe stało się to już dla mnie. Wciąż regularnie śniłam o Andrew, ale w moich snach pewne zagmatwanie, elastyczność faktów sprawiały, że wciąż byliśmy kolegami. W snach mogłam nie zwracać uwagi na rzeczy uderzająco oczywiste: miałam dwadzieścia pięć lat więcej, niż on w chwili swojej śmierci; żyłam dłużej, i to znacznie, niż on, zanim zginął. W tym momencie Ella była mu znacznie bliższa wiekowo. Czy było czymś odrażającym, niespotykanym, że czterdziestodwuletnia kobieta tak wyraźnie pamięta, jak wyczekiwała na jego pierwszy pocałunek, jaki opalony i przystojny był w swoim stroju futbolisty, jak ciepła była jego skóra w dotyku? A teraz farbowałam sobie włosy, by ukryć siwiznę, miałam zmarszczki wokół oczu i ust, twarz posuniętą w wieku — nie jakoś straszliwie, nie należałam do ludzi cierpiących z powodu swojego wieku, ale nikt nie wzięłby mnie za młodszą, niż w rzeczywistości byłam. Tyle czasu minęło od śmierci Andrew. Trudno doprawdy uwierzyć, że to było tak dawno, a mimo to ja wciąż nie potrafiłam zrozumieć wypadku. Umiałam znaleźć słowa, które go opisywały jako straszliwy, ale jednocześnie odległy, tragiczny, lecz należący do przeszłości i tak naprawdę kiedy o nim myślałam, z trudem przychodziło mi pojąć, że wydarzyło się to w 1963 roku. Jak mogłam wjechać w samochód Andrew i jak to możliwe, że z tego powodu zginął?

— Kochałaś go bardziej niż tatusia? — zapytała Ella.

Zamrugałam oczami.

— Och, kochanie, to nie jest tak. Andrew nie jest... Nie był moim chłopakiem. Przyjaźniliśmy się i na pewno przez te wszystkie lata wiele o sobie wiedzieliśmy, ale nigdy się nie spotykaliśmy. Ponieważ pochodziliśmy z jednego miasta i chodziliśmy do tej samej klasy, można powiedzieć, że znaliśmy się dobrze, ale to nie to samo, co znać kogoś, z kim się żyje. Przecież my wie—^my o tacie prawie wszystko, prawda? Wiemy, jak chrapie, którą koszulę lubi najbardziej i z iloma kostkami lodu pije wodę do kolacji.

Ella się roześmiała — chrapanie Charliego było dla niej źródłem nieustającego rozbawienia.

— Tak jak ja wiem prawie wszystko o tobie — powiedziałam. — Dlatego, że jestem twoją mamą, kocham cię i jesteś moją najukochańszą dziewczynką na całym świecie. — Pochyliłam się i pocałowałam ją w czubek głowy, a robiąc to, przypomniałam sobie, jak wczesnym rankiem po naszej nocy poślubnej, kiedy obudziłam się ze swojego snu o Andrew, Charlie powiedział do mnie: „To ja mam być miłością twojego życia”. I postawił na swoim, czyż nie? Nawet kiedy byliśmy z dala od siebie, mój nastrój wciąż zależał od niego, nawiedzających mnie ostatnio myśli o naszej wspólnej przyszłości. Kiedy całowałam się z Joem Thayerem, choć krótko i niezdarnie, zrozumiałam coś, co wciąż do mnie powracało — że nigdy w życiu nie mogłabym pokochać innego mężczyzny. Nie tyle z poczucia lojalności wobec Charliego, lecz z powodu pewnego znużenia, braku chęci, żeby zaczynać od nowa. Kochałam mojego męża, po części z potrzeby, po części z przyzwyczajenia, kochałam go sercem żony, ale moim sekretnym sercem, sercem marzeń kochałam Andrew Imhofa. Nie miałam więcej miłości na zbyciu, przynajmniej nie tej romantycznej. Gdybym zdecydowała się na rozwód z Charliem, na pewno nie wyszłabym ponownie za mąż; zwyczajnie nie umiałam sobie tego wyobrazić i coraz częściej dochodziłam do wniosku, że życie bez niego, znowu w pojedynkę, może się okazać trudniejsze od znoszenia go nadal. A to znoszenie go może być łatwiejsze od zaprzestania borykania się z nim — bycia znękaną żoną pracą naprzód, której życiu kłopotliwy mąż nadaje sens. Podczas gdy będąc samotną, musiałbym stawić czoła trudnościom finansowym, ostrożnie lawirować pomiędzy Blackwellami a samym Charliem, mieć do czynienia z uszczypliwością bardziej jawną, niż jak teraz, ukrytą.

Chciałabym wiedzieć (co było bezużyteczne i szczeniackie), czy gdybym wyszła z domu odrobinę wcześniej lub później tamtego wieczora we wrześniu 1963 roku albo gdyby odwołano imprezę u Freda Zurbrugga, albo gdybym nie pokłóciła się z Deną i nie jechała sama, czy też gdyby nasza kłótnia podziałała na mnie tak przygnębiająco, że postanowiłabym zrezygnować z pójścia na imprezę, i do wypadku by nie doszło, to czy zostalibyśmy z Andrew parą, a w końcu małżeństwem? Choć była to długa historia, bajka, którą sama sobie opowiadałam, jednak brzmiała prawdziwie — to była prawda, której nie trzeba bronić mimo wszelkich argumentów przeciw. Teraz jednak naszły mnie wątpliwości. Nie minął jeszcze miesiąc, a miałam dość Riley; chciałam wracać do domu, bo nie tutaj był mój dom. Gdybym wyszła za Andrew, czy wystarczyłoby mi skromniejsze życie tutaj? Czyżby zakosztowanie świata zaostrzyło mój apetyt na to, co ma do zaoferowania? A może gdybym tu została, jako żona farmera czułabym, że się duszę, bez względu na wszystko inne?

— W tej chwili modlę się za Andrew Imhofa — powiedziała Ella.

— To bardzo miłe z twojej strony, zuczku.

Cmentarze w Riley, zarówno protestancki, jak i katolicki, leżały tuż obok siebie, jakieś półtora kilometra na południowy zachód od rzeki. Rano pojechałam najpierw na cmentarz katolicki Najświętszej Marii Panny. W kwiaciarni Buhlera kupiłam dwa bukiety białych tulipanów. Jeden położyłam na grobie Andrew Imhofa, szarej granitowej płycie okolonej trawą. Był piękny, późny czerwcowy poranek. Temperatura wynosiła około dwudziestu pięciu stopni i wiał lekki wiaterek. Na cmentarzu nie było nikogo, w oddali jakiś mężczyzna kosił trawę. Szukając grobu Andrew, mijałam nagrobki z uschniętymi bukietami kwiatów lub wiatraczkami, choć większość, jak grób Andrew, była pusta. Stałam, wpatrując się w jego imię i daty. Nie byłam na jego pogrzebie, ani razu też nie przyszedłam na jego grób — zapewne tym razem też by tak się stało, gdyby nie moja rozmowa z Ellą — i teraz doznałam wstrząsu. To było jak dowód czegoś, czego przecież nie trzeba udowadniać.

W tej chwili żałowałam, że moja wiara nie jest większa, że nie mogę odmówić modlitwy, która brzmiałaby szczerze. Kucnęłam i dotknęłam chłodnego kamienia, jak nigdy nie dotknęłam Andrew, i pomyślałam: „Mam nadzieję, że znalazłeś spokój. Wybacz”. Jedyłą odpowiedzią było buczenie kosiarki, lecz na nic innego nie liczyłam.

Wróciłam do samochodu i pojechałam na protestancki Grace Cemetery. Wejścia na oba znajdowały się w odległości niecałego kilometra od siebie i równie dobrze mogłam przejść się pieszo, ale tutaj nie było chodników i wędrówka pomiędzy dwoma cmentarzami wydawała mi się zbyt makabryczna. Tym razem wiedziałam, gdzie leżą pochowani babcia i ojciec: ich groby wyznaczały stojące pionowo płyty, nie leżące płasko jak w przypadku Andrew — ojca z szarego kamienia, lekko zaokrąglona u góry, jak zagłówek łóżka, babci prostsza w formie, ale za to z lśniącego nakrapianego szaro— różowego granitu, **PHILLIP WARREN LINDGREN, 1925— 1976, UKOCHANY SYN, MAŻ I OJCIEC**. Napis na nagrobku babci brzmiał: **EMILIE WARREN LINDGREN, 1896— 1976**. Dla babci moja mama wybrała tło przypominające otwartą książkę z pustymi kartkami — jak przypuszczam, miała przywodzić na myśl Biblię, ale mama powiedziała mi: „Przecież babcia tak lubiła czytać”, i wiedziałam, że nie chodzi o żaden religijny podtekst. Ziemia na grobie babci wciąż była ciemna i wilgotna — pogrzeb odbył się zaledwie przed miesiącem — i wciąż nie przestawałam myśleć, że lada chwila ją zobaczę. Położyłam kwiaty pomiędzy dwoma grobami. Chociaż nie wierzyłam w życie po śmierci, świadomość, że mają siebie za towarzystwo, przynosiła mi ulgę. Moja babcia przeżyła swojego syna, jej jedyne dziecko, o dwanaście lat. Wyobraziłam sobie, że mnie spotyka to samo; myśl, że mogłabym żyć dłużej od Elli, była nie do zniesienia.

Nawet gdyby żył, nie zapytałabym ojca, co powinnam zrobić ze swoim małżeństwem; tego rodzaju osobiste pytanie nie przypadłoby mu do gustu. Ale mo-

głam się domyślić, jakiej udzieliłby mi rady. Co do babci, nawet nie musiałam się domyślać — powiedziałyby mi prosto z mostu. I tutaj na cmentarzu poczułam wstyd, że w ogóle mogłam rozważać coś innego, zachowywać się, jakbym miała wybór. Być może życie pośród bogatych ludzi — być może fakt, że sama stałam się bogata — sprawiło, że zapomniałam, jaką samo w sobie jest ciężką pracą. Może też winna temu była dekada, kultura; nie miało to znaczenia. Liczyło się, że zapomniałam. Ale prawie jedenaście lat temu złożyłam przysięgę, publicznie wygłoszoną obietnicę. Przypomniało mi się motto ojca: „Cokolwiek robisz, bądź dobra”. I chociaż kiedyś moją tożsamość określał fakt, że jestem córką Phillipa i Dorothy Lindgrenów, wnuczką Emilie Lindgren, teraz byłam żoną Charliego Blackwella, matką Elli Blackwell. Każdy z tych ludzi, choć w inny sposób, czułby się głęboko zawiedziony, gdybym pozwoliła, by moje małżeństwo się rozpadło. Nie pozostawało mi więc nic innego, tylko wrócić i spróbować postępować tak, jak kiedyś moja matka z moim ojcem — odplacać mojemu mężowi dobrocią.

Kiedy wróciłam na Amity Lane, mama podała mi karteczkę napisaną przez Larsa: „Zadzwoń do Yvonne Sutton możliwie jak najszybciej”, i siedmiocyfrowy numer. Gdy zadzwoniłam, w tle usłyszałam płacz Antoine'a.

— Alice, jesteśmy tacy szczęśliwi, że Jessica idzie do szkoły Elli — powiedziała Yvonne. — Nie wiem, jak udało się wam załatwić dla niej stypendium, ale niech Bóg was błogosławi.

— Nie mów, że Biddle to szkoła Elli, teraz jest także Jessiki, a poza tym, Yvonne, to jej zasługa. My też bardzo się cieszymy. Gdybyś chciała o coś zapytać, dzwoń bez zastanowienia.

— Jesteście tacy dobrzy, och, i byłabym zapomniała, ale dzięki też za książki. Wątpię, czy Jessica choć na chwilę zdołała się od nich oderwać. — Zaczęłam coś mówić, ale Yvonne ciągnęła dalej, teraz już innym tonem. — Niestety, nie dlatego dzwoniłam. Alice, mama ci tego nie powie, więc ja muszę. Ona nie może już dłużej sypiać w Maronee. Bóg jeden wie, że nie chcę wtykać nosa w wasze sprawy, ale to nie w porządku, żeby sześćdziesięcioletnia kobieta niańczyła dorosłego mężczyznę.

— Chcesz powiedzieć, że panna Ruby... — zawahałam się. — Wstyd się przyznać, ale naprawdę nie mam pojęcia, co się dzieje. Czy Charlie poprosił, że panna Ruby zamieszkała z nim w naszym domu?

— Nie w waszym. U państwa Blackwellów. Alice, mama robi dla Charliego wszystko, owinał ją sobie wokół palca, ale ona jest już na to za stara. Powinna spać w swoim własnym łóżku.

Oczywiście — przecież to jasne, że Charlie nie mieszkał przy Maronee Driver. Mieszkał w domu rodziców, a panna Ruby razem z nim, w swoim małym pokoiku obok kuchni. Prawdopodobnie szykowała mu też śniadania i kolacje.

— Masz absolutną rację — powiedziałam. — Bardzo cię przepraszam, i cieszę się, że zadzwoniłaś. Jestem pewna, że twoja mama nie wspomniała o niczym Charliemu nawet słowem. Może to zabrzmiało głupio, ale on boi się ciemności.

— Och, wiem o tym — roześmiała się Yvonne. — Wierz mi, wszyscy wiemy o potworach mieszkających pod łóżkiem Charliego.

— Nie zaprzeczę, że jest czasem dziwny — rzekłam.

— Nie mnie to osądzać. — Ton głosu Yvonne sugerował, że to jej się nie udało, przynajmniej w tym wypadku. — Martwię się tylko o mamę. Kiedy rozmawiałam z Jadey, powiedziała mi, że nie wie, kiedy wracasz do domu, ale nie ma nic przeciwko temu, żeby Charlie zamieszkał u nich, może więc ty do niego zadzwoń albo ja to zrobię, wszystko jedno. Prawdopodobnie ciebie posłucha prędzej, ale gdybyś...

— Obiecuję, że się tym zajmę — powiedziałam. — Dzisiaj wszyscy będą spać we własnych łóżkach.

Po powrocie do Maronee podrzuciłam Ellę do Jadey — na mój widok Jadey^{az} zapiszczała z radości i zgodziła się pójść z dziewczynkami na basen, jeśli obiecuję jej wieczorny spacer — po czym pojechałam do naszego domu przejrzeć pocztę i odsłuchać wiadomości, wyrzucić z lodówki zepsute jedzenie, opróżnić kosze na śmieci i zmienić pościel w naszym łóżku po tej jednej nocy, jaką Charlie w nim spędził lub próbował spędzić. Potem pojechałam do domu teściów, gdzie panna Ruby oglądała *The Peoples Court* na małym telewizorku w kuchni. Powiedziałam jej, żeby wracała do domu i wzięła sobie wolny cały przyszły tydzień — sama załatwię to z Priscillą — i pozbierałam rzeczy Charliego. Nie spałam w sypialni na górze, lecz na kanapie w gabinecie ojca, położonym bliżej pokoju panny Ruby, która z całą pewnością po nim sprzątała. Ze stolika nocnego wzięłam budzik, zwinęłam śpiwór, który był nasz, z umywalki w łazience pod schodami zabrałam szczoteczkę i pastę do zębów. Sprawdziłam na piętrze, ale Charlie najwyraźniej kąpał się gdzie indziej — może w klubie, może w naszym domu...

Było już po czwartej, pojechałam więc na stadion County. Znalezienie niezamkniętego wejścia, które nie było wejściem dla widzów, zajęło mi trochę czasu, w końcu jednak dostrzegłam konserwatora wychodzącego przez nierzucające się w oczy metalowe drzwi. Wprowadził mnie do środka, gdzie spotkałam kolejnego człowieka, starszego mężczyznę, być może trenera trzeciej bazy, który skierował

mnie do trzeciego mężczyzny, ubranego w koszulę z krótkim rękawem i szare spodnie. Każdemu z osobna tłumaczyłam, kim jestem, i pytałam, gdzie mogę znaleźć męża, aż wreszcie dotarłam do gabinetu Charliego. Był mniejszy, niż sobie wyobrażałam, z oknami wychodzącymi nie na zewnątrz, lecz na korytarz — mniej więcej takich samych rozmiarów, jak pomieszczenie, z którego wchodziło się do gabinetu dyrektora Biddle i w którym urzędowała sekretarka. Charlie niczym nie przyozdobił ścian, a jego biurko było niemal puste, z wyjątkiem kilku stosów papierów. On sam siedział ze skrzyżowanymi w kostkach nogami, opartymi o blat biurka — nosił czarne sznurowane trzewiki — i czytał coś z otwartej teczki na dokumenty.

Drzwi były otwarte, ale ja i tak zapukałam w metalową framugę.

— Przeszkadzam?

Kiedy podniósł wzrok, na jego twarzy odmalował się wyraz miłego zaskoczenia, lecz jednocześnie też jakby znużenia. Nie wstał, tylko zdjął nogi z biurka i spuścił je na podłogę.

— A to niespodzianka.

Ponieważ pamiętałam, jak swobodnie rozmawiał ze mną przez telefon, przeknęło mi przez myśl, że być może zmienił zdanie i już nie chce, abyśmy wróciły — abym ja wróciła.

— Jak się miewasz? — spytałam. Zanim zdążył odpowiedzieć, dodałam: — Uważam, że nadszedł czas, abyśmy z Ełłą wróciły do domu. Zgadzasz się?

Pochylił głowę. Czyżby się zastanawiał nad odpowiedzią? Poczułam, jak narasta we mnie zdenerwowanie. Minęła prawie minuta.

— Charlie? — nie wytrzymałam.

W końcu podniósł głowę i odniosłam wrażenie, że ma ściśnięte gardło.

— Zaskoczyłaś mnie, to wszystko — powiedział. — Oczywiście, że powiniście wrócić do domu, jak najbardziej, Lindy. Jestem ci winien wielkie przeprosiny. Jako mąż zachowałem się karygodnie.

— Co? Ja... Nie, Charlie, nie to chciałam powiedzieć. Oczywiście oboje wiemy, że wiele trzeba naprawić, ale... — umilkłam, a on potrząsał głową.

— Kierował tobą Duch Święty, Lindy. Pan sprawił, że odeszłaś, abym mógł dostrzec swoje grzechy i żałować za nie, bo nie ma wątpliwości, zgrzeszyłam. Ale jestem nowym człowiekiem. Narodziłem się na nowo i jeśli Bóg może mi wybaczyć, mam nadzieję, że ty również. Chcę, żebyś wiedziała, że od ośmiu dni nie wypilem ani kropli.

W zasadzie spodziewałam się, że uśmiechnie się szelmowsko, parsknie śmiechem, mówiąc: „Żartowałam — a ty mi, kurwa, uwierzyłaś! Przyznaj się, uwierzyłaś mi!”. Jednak nie powiedział tego i nie żartował.

— Czy to... — przerwałam. — Jadey mówiła mi, że spędzasz czas z niejakim wielbnym Randym?

— To niezwykły człowiek, Lindy. Kiedy go poznasz, będziesz pod prawdziwym wrażeniem. Długo i poważnie zastanawiał się nad tymi sprawami i wie, czym jest walka, rozumie, jak trudno jest n i e grzeszyć, ale jak rany, to takie budujące, kiedy słucha się, jak mówi, ile korzyści daje przyjęcie Jezusa jako swego Zbawiciela.

— Jak go poznałeś?

— Zabawne, ale przedstawiła nas sobie panna Ruby.

— Och, czy on jest... czy jest czarny?

Charlie się uśmiechnął.

— Szkoda, że nie widzisz swojej miny. Nie, panno rasowo oświecona, nie jest czarny.

— Nie mówiłam, że to źle, gdyby był, po prostu byłam ciekawa. Z tego co mówisz, domyślam się, że jest nawróconym chrześcijaninem?

Charlie był rozbawiony.

— Nie ma nic złego w gloryfikowaniu Boga, kochanie. Kiedy przebywasz w towarzystwie wielbego Randy ego, naprawdę czujesz obecność Chrystusa.

Charlie mógł różnie zareagować na moje pojawienie się na stadionie, mogłam go zastać w dowolnym nastroju — ugodowym lub złym, przyjaznym lub zblazowanym — ale nic, absolutnie nic przez te wszystkie lata naszej znajomości nie przygotowało mnie na to. Charlie, mój Charlie odnalazł Boga? Wiedziałam, że takie rzeczy się zdarzają, ale on był ostatnim człowiekiem, którego bym o to podejrzewała. Jeżeli jednak dzięki temu miał nie pić, jeśli to zachęcało go do wzięcia odpowiedzialności za swoje zachowanie... Nie zaprzeczę, że tego popołudnia byłam nastawiona mocno sceptycznie, ale zdusiłam w sobie to uczucie, przypisując je raczej własnemu snobizmowi. Wielu moich znajomych chodziło do kościoła, jednak nikt z nich nie odrodził się w tym czasie. Czyż jednak nie przekonywałam się raz za razem, że świat jest znacznie większy i bardziej skomplikowany, niż kiedyś sobie wyobrażałam, i czyż nie była to lekcja jak najbardziej pozytywna?

— Nie będzie chyba grzechem, jeżeli żona pocałuje męża, prawda? — odezwałam się.

Jeszcze nie skończyłam mówić, kiedy Charlie wstał i mnie objął. Cóż za ulga mieć go znowu w ramionach, to znajome ciało, wzrost, zapach, skóra, włosy, ubrania. Jakże proste wydało mi się moje życie, po raz pierwszy nie od tygodni nawet, lecz lat.

— Nie masz pojęcia, jak bardzo za tobą tęskniłem — szepnął mi Charlie do ucha.

Odchyliłam głowę do tyłu, byśmy mogli na siebie spojrzeć.

— Ella pływa w klubie z Winnie i Jadey — powiedziałam. — Zapewne nie możesz wyrwać się wcześniej?

Charlie się uśmiechnął.

— Muszę spytać partnera zarządzającego. — Nastawił jedno ucho, udając, że słucha — wokół panowała cisza, jedynie z jakiegoś odległego wielkiego wentylatora dochodził szum — i po chwili skinął głową. — Powiedział, że byłoby zbrodnią odmówić tak pięknej kobiecie jak ty.

Charlie zebrał z biurka jakieś papiery i wepchnął je do teczki. Przed wyjściem ujął mnie za rękę.

Czterdzieści minut później leżeliśmy nadzy w naszym łóżku, ja na plecach, on na mnie, i kiedy już miał wejść we mnie, znieruchomiał — w tej chwili byłam bardziej niż gotowa na przyjęcie go.

— Od tej chwili będę mężczyzną, na jakiego zasługujesz — powiedział.

Skinęłam głową, bez tchu i rozpalona.

— Pośpiesz się.

Po tych wszystkich latach wszyscy utrzymują, że powiedziałam mu: „Albo Jack Daniels, albo ja”. Lub też coś zbliżonego, na przykład: „Albo Jim Beam, albo ja”. Jak podejrzewam, tego rodzaju ultimatum jest chwytliwe, ale niczego podobnego nie zrobiłam. Nawet nie zagroziłam w mniej dosadny sposób, że odejdę od niego, jeśli nie przestanie pić. Odeszłam od niego na krótko, a on przestał pić i oba te zdarzenia zbiegły się w czasie, ale nie w tak bezpośredni i oczywisty sposób, jak może się wydawać ludziom z zewnątrz.

Jego krytykom bardziej niż zwolennikom podoba się ta anegdota. I jak podejrzewam, dowodzi, że za wszystko ja ponoszę winę — jego elekcja to moja wina, jego prezydentura to moja wina, jego wojna również. Dlaczego nie pozwo-

liłam, żeby nadal był alkoholikiem? Przecież mnóstwo żon żyje z tym na co dzień!

Jednak te oskarżenia z góry zakładają zgodę co do tego, jakim Charlie był prezydentem — a mianowicie okropnym. Tak przynajmniej wierzą krytycy. Czyja również uważam, że był okropnym prezydentem? Według mnie historia jest jak zwykle znacznie bardziej skomplikowana, niż ludziom się wydaje.

Oskarżenia zakładają również, że wiedziałam, podobnie jak wielu innych. Ale w 1988 roku nie mogłam sobie nawet wyobrazić, jak diametralnie zmieni się nasze życie, i gdyby ktoś mi powiedział, uznałabym tę przepowiednię za równie prawdopodobną jak ostrzeżenia człowieka stojącego na rogu ulic z transparentem głoszącym rychłą apokalipsę: „Twój mąż zostanie prezydentem; koniec jest bliiski”. Uśmiechnęłabym się chłodno i poszła dalej.

W weekend po moim powrocie do Maronee nasi przyjaciele Laufowie wydawali rocznicowe przyjęcie, na którym obecny był również Joe Thayer. Podszedł do mnie, gdy szłam do bufetu z kolajką. Jeszcze zanim się odezwał, z jego postawy domyśliłam się, że jest pobudzony, może nawet rozgorączkowany.

— Nie mam zamiaru cię naciskać, Alice — powiedział. — Ale czy myślałaś⁰ tym, co ci powiedziałem w Princeton?

Nie myślałam, że wtedy sugerował, iż powinno nas coś łączyć, przecież miał nieźle w czubie. Ale najwyraźniej właśnie to myślał. Wpatrywał się we mnie z taką żarliwością, że roześmiałabym się, gdybym nie wyczuła utajonej groźby, zazwyczaj temu towarzyszącej.

— Joe, nie odchodzę od męża — powiedziałam, jak miałam nadzieję, zdecydowanie, lecz bez wrogości.

— Ale w Princeton...

Potrząsnęłam głową.

— Powinnam była zachować większą dyskrecję.

— Alice, pocałowałaś mnie. Nie sądzę, abyś c a ł o w a ł a się z kim i gdzie popadnie! A może się mylę? — Nigdy nie widziałam go równie pobudzonego. Może sądził, że jeśli nie uda mu się mnie przekonać pochlebstwem i wytrwałością, to przynajmniej szkalującym oskarżeniem. Przemknęło mi przez myśl, że wszyscy jesteśmy na swój sposób żałośni i cała sztuka polega na tym, by poślubić człowieka, którego żałosność będziemy w stanie znieść; ja jego nie zniosłabym nigdy. Zrozumiałam, że być może zachowanie Carolyn i Thayer nie było tak do końca godne krytyki.

— Nic podobnego — powiedziałam, i mając na względzie jego ego, wysiliłam się na nutkę żalu. Być może jest ironią, że to właśnie Charlie nieświadomie przyszedł mi z pomocą. Zjawił się u mego boku i położył mi dłoń na plecach.

— Joeyu T., kiedy wreszcie wybierzesz się z nami na mecz? — zagaił. — Tylko powiedz, kiedy, a będzie na ciebie czekał imienny bilet.

Joe z trudem łapał powietrze.

— Cóż za hojność — powiedział z wyrzutem.

— Do licha, możemy zrobić sobie męski wieczór. — Charlie skinął w moim kierunku. — Ta tutaj ma przed sobą więcej meczów, niż kiedykolwiek jej się śniło w najdzikszych snach, ale przynajmniej raz możemy jej odpuścić. Drynd— nij do brata, dowiedz się, kiedy kto może, i jakoś się ustawimy. — Charlie nachylił się i mówił ciszej. — Nie wiem, czy zacząłeś na nowo bawić się w randki, ale u Zeke'a Langenbachera pracuje niezwykle atrakcyjna młoda dama; to jego asystentka, świetna dziewczyna, na dodatek z bardzo porządnej rodziny z Louisville, i chętnie bym was spiknęła. Alice, zatkaj uszy. — Nie zatkałam, doskonale wiedział, że tego nie zrobię, a on dodał: — No i niezła z niej dupa.

— Charlie! — pacnęłam go. Bardzo w tej chwili kochałam swojego męża.

Przypomniało mi się, bez względu na sarkazm Joego, że Charlie potrafi być naprawdę hojny i dobry. Joe był wściekły — założę się, że nienawidził Charliego równie mocno, jak ja go uwielbiałam — i od tamtej chwili, do końca naszego pobytu w Maronee, mnie unikał. Robił to tak, abym zauważyła, łapiąc moje spojrzenie, ilekroć znaleźliśmy się w tym samym miejscu, po czym gwałtownie odwracał wzrok, nie zamieniając ze mną ani słowa. O ile wiem, on i Charlie nigdy nie poszli razem na mecz.

Dopiero po moim powrocie do Milwaukee Jadey powiedziała mi, jak bardzo mój wyjazd do Riley wstrząsnął Arthurem. Następnego dnia po nieudanej nocy spędzonej przez Charliego u nich w domu Arthur zjawił się w domu w środku dnia i szlochając, oświadczył jej, że jeśli kiedykolwiek go zostawi, on sobie nie poradzi i wolałby raczej umrzeć. Następnie kochali się jak szaleni — seks był wspaniały — i odtąd Arthur był pełen czułości i uwagi, i nawet dwa razy bez żadnej okazji przyniósł jej kwiaty. („W jednym bukietcie były goździki", powiedziała, „ale przynajmniej się stara"). Nie zdradziła mu, jak bardzo ją dotknął, mówiąc o jej wadze, nie przyznała się też, że z entuzjazmem rozważała możliwość romansu. Jak mi się zwierzyła, wołała nie wywoływać wilka z lasu.

— Może powinnaś częściej uciekać z miasta — dodała na koniec. — To działa na Arthura jak potężny afrodyzjak.

— Cieszę się, że mogłam pomóc — odparłam.

Następne pięć czy sześć lat to najszcześniejszy okres w życiu Charliego, Elli i moim jako rodziny. Zgodnie z powszechnym oczekiwaniem Charlie nadawał się idealnie do pracy w klubie Brewersów. Był obecny na prawie wszystkich meczach rozgrywanych na miejscu, podobnie jak na niektórych wyjazdowych. Ella i ja towarzyszyłyśmy mu bardzo często, chociaż w miarę jak Ella dorastała, coraz mniejszą miała ochotę na spędzanie z nami czasu i oglądanie meczów baseballowych. Jednak z prawdziwą nostalgią wspominam wszystkie te wieczory w dni powszednie i w soboty, jak również niedzielne Popołudnia, kiedy było wietrznie i słonecznie, potwornie gorąco i wracaliśmy do domu spaleni słońcem lub kiedy siedzieliśmy skuleni pod płaszczami przeciwdeszczowymi, czekając, aż sędzia odgwiżdże mecz. Jedliśmy hot dogi i frytki, gawędziliśmy z siedzącymi obok ludźmi, czasem nawet zajmowaliśmy pośledniejsze miejsca, aby Charlie bratał się z kibicami i rozdawał autografy, co wprost uwielbiał, ze szczególną przyjemnością podpisując piłki baseballowe (wtedy zakładałam, że oglądanie meczu z wyższych rzędów było pomysłem Zeke'a Langenbachera, jednak później dowiedziałam się, że wymyślił to Hank Ucker). Nawet ja w pełni przeżywałam wszystkie porażki i sukcesy naszej drużyny. Nowy stadion zbudowano w 1992 roku, na tym samym terenie, co stary, który został zburzony. Miał między innymi luksusowe łóżka i otwierany dach. Nie wiem, czy byłam zdumiona faktem, że oba powstały w okręgu wyborczym Eda Blackwella. Ponieważ nowy był finansowany ze środków publicznych, jego budowie towarzyszyły pewne kontrowersje i szczerze wierzę, że Charlie stawiał czoło wyzwaniom rozsądnie i z opóźnieniem. Nigdy w swoim życiu nie pracował ciężiej niż w tych latach i na otwarciu nowego stadionu byłam z niego prawdziwie dumna.

Był rok 1993, kiedy Charlie podjął decyzję o ubieganiu się o urząd gubernatora — nie muszę dodawać, że za namową Hanka Uckera. Został wybrany w 1994 roku. To również stanowiło ogromną zmianę w naszym życiu, choć jej znaczenie zbladło w obliczu tego, co nastąpiło w roku 2000.

Nie dało się przewidzieć, jak wielkim atutem okaże się religijność Charliego. Najważniejsza jednak była jego szczerść. Podejrzewam, że głównie tym ujął większość swoich wyborców — nawet jeśli był rozdrażniony czy zadufany w sobie, zawsze był szczerzy. Jeśli na przykład musiał zachowywać się dostojnie, szczerze pokazywał, że to tylko gra: puszczał oczko, stroił miny lub przynajmniej dawał do zrozumienia, że chętnie by tak zrobił. Często podczas pierwszej kampanii prezydenckiej, chcąc pokazać, czym się różni od urzędującego prezydenta, powszechnie uważanego za zręcznego konformistę, mawiał: „Dostajecie to, co widzicie”. Uśmiechał się głupkowato. Czasem chciałabym teraz przypo-

mnieć o tym wyborcom; nigdy ani przed nimi, ani przede mną Charlie nie ukrywał, jaki jest.

Zanim został gubernatorem, zanim nasze i tak nie do końca przeciętne życie stało się równie nierealne jak bajka, rodzina uważała jego odrodzenie za śmiechu warte. Kiedy, dajmy na to, podczas kolacji Arthur określił grę Pac— kersów jako „cholernie nieudaną”, Charlie odpowiadał z jowialną surowością: „Wiesz, że ja się w ten sposób nie wyrażam”, na co Arthur ripostował: „Jezu Chryste, Chas, skończ z tym zadęciem”. Albo: „Jasna cholera, kompletnie straciłeś poczucie humoru!”. (Prawdę mówiąc, Charlie wciąż lubił używać sprośnych słów i przeklinać — drażnili go tylko ludzie nadużywający imienia Bożego). Przestał też kupować pornografię, co mnie cieszyło, ponieważ jednak podejrzewałam, że mu tego brakuje, sprezentowałam mu album z artystycznymi czarno— białymi kobiecymi aktami. Jak podejrzewam, był to niezbyt zadowalający substytut.

Raz w tygodniu Charlie brał udział w spotkaniach męskiej grupy modlitewnej, które czasem odbywały się w naszym salonie. Wielebny Randy - obecnie jako przewodniczący Rady Wielowyznaniowej występuje publicznie pod nazwiskiem Randall Kniss — zagościł w naszym życiu na stałe. Nigdy nie opuściliśmy niedzielnej mszy w Niebiańskiej Róży, przed posiłkami odmawialiśmy modlitwę dziękczynną (Charlie odmawiał ją nawet w restauracji czy podczas proszonych kolacji, co dla mnie było nieco zbyt ostentacyjne, ale gryzłam się w język), a Charlie codziennie przed snem czytał Biblię.

Tego lata, w 1988 roku, w Halcyon nie spędziliśmy zbyt wiele czasu, wybierając się tam tylko na kilka weekendów, ponieważ po pierwsze, Charlie miał dużo pracy w drużynie, poza tym bał się, że przebywając w towarzystwie braci, zwłaszcza Arthura, będzie miał trudności z powstrzymaniem się od picia. Pewnego razu, jakiś miesiąc po moim powrocie z Riley, obudziłam się dobrze po północy i stwierdziłam, że Charliego nie ma w łóżku, choć dwie godziny wcześniej kładliśmy się do niego oboje. Wydawało mi się, że słyszę dochodzące z dołu głosy, podeszłam do szczytu schodów; z całą pewnością ktoś rozmawiał — czy raczej coś recytował — w gabinecie. Dopiero kiedy zeszłam, usłyszałam dokładnie, co mówią i kto, nie wchodząc jednak do pokoju. Przez drzwi dostrzegłam mojego męża i muskularnego, rumianego wielebnego Randy'ego. Obaj klęczeli obok siebie, trzymali się za ręce i mieli zamknięte oczy, a Charlie szlochał; w kółko, raz za razem odmawiali modlitwę grzesznika. Wycofałam się.

Następnego ranka Charlie wyznał mi, że tak bardzo pragnął napić się whiskey, iż nie był w stanie zasnąć. Zadzwoił do wielebnego Randy'ego, ponieważ Randy rozumiał te żądze; pomodlili się wspólnie i nieprzeparta ochota minęła. Nie była to jedyna tego rodzaju nocna wizyta wielebnego, ja jednak więcej już ani razu nie wstałam z łóżka. Nie jestem dumna, że to, czego byłam tamtej nocy

świadkiem, wywołało we mnie niepokój. Nie chodziło mi personalnie o wielbego Randy'ego, lecz o modlitwę jako przeżycie, żarliwość, której nigdy nie będzie dane nam dzielić. Charlie dotarł w miejsce, do którego nie mogłam za nim podążać.

Muszę jednak zauważyć, wbrew moim oporom wobec zorganizowanej ^{re}l'gii, że nie wierzyłam, aby Charlie zdołał przestać pić bez tego wsparcia.

Dawało mu ono podstawy, na których mógł budować swoje postępowanie, jednocześnie stanowiąc jego uzasadnienie dla niego samego, zarówno wówczas, jak i teraz. Być może ja podobnie podchodziłam do literatury — czymże jest narracja, jeśli nie próbą uporządkowania zdarzeń? — i być może w moim zapalczywym czytelnictwie odnajdywałam swoją własną wiarę.

Dopiero wiele lat później, w zasadzie całkiem niedawno dowiedziałam się dokładnie, jak pannie Ruby udało się przedstawić Charliego wielbnemu Randy'emu. Znalazła wielbego w książce telefonicznej, pod hasłem kościoła. Jako wierna parafianka kościoła baptystów w Harambee, panna Ruby miała przeczuć, że Charliemu przyda się duchowe wsparcie, i gdy zadzwoniła do wielbego, poprosiła go, aby z kolei on wykonał telefon. Powiedziała mi o tym Jessica Sutton.

— Ale dlaczego panna Ruby nie poprosiła, żeby jej ksiądz porozmawiał z Charliem?

Jessica ma w tej chwili trzydzieści jeden lat, jest wysoką, opanowaną kobietą o ciętym języku, absolwentką Yale i Kennedy School na Harvardzie. Jest obecnie szefową mojego personelu, a podczas pierwszej kadencji Charliego w Białym Domu pełniła funkcję zastępcy. Na początku drugiej kadencji, gdy jej poprzedniczka zrezygnowała, awansowałam ją. Jestem niemal pewna, że Jessica jest także demokratką, aczkolwiek są pewne tematy, których nie poruszamy. Roześmiała się na moje pytanie, i chociaż jej słowa były potępiające, wypowiedziała je pogodnym tonem, jakby sobie stroiła lekkie kpiny.

— Babcia uznała, że nigdy nie posłuchałby czarnego — odparła.

CZEŚĆ IV

Pennsylvania Avenue 1600

1600

Dzisiaj, jak każdego ranka odkąd jesteśmy w Waszyngtonie, telefon na nocnym stoliku Charliego dzwoni za kwadrans szósta. Charlie odbiera, wstaje i idzie do łazienki (rejestruję to na wpół świadomie przez mgłę własnego snu), a potem otwiera drzwi na korytarz, gdzie czeka lokaj, by podać mu gazetę. Zupełnie jak w hotelu, z tą różnicą że oprócz gazet dostaje się też żywego człowieka; Boże broń, by prezydent Stanów Zjednoczonych miał się schylać i sięgać samemu.

Charlie przynosi gazety od mojej strony łóżka: „The New York Times”, „The Washington Post”, „The Wall Street Journal”. Pogwizduje, zbliżając się do mnie, i kiedy unoszę się na łokciach, widzę, że trzyma gazety poza moim zasięgiem.

— Pozwolę ci je przeczytać, ale tylko pod warunkiem, że nie będziesz mi truć o panu Współczującym — mówi.

Pan Współczujący to przezwisko nadane przez Charliego pułkownikowi armii USA w stanie spoczynku, ojcu żołnierza, który przed dwoma laty zginął podczas wybuchu przydrożnej bomby. Do dzisiejszego poranka pułkownik Franklin spędził jedną noc w namiocie rozstawionym na Ellipse w Parku Prezydenckim, mieszczącym się na południe od Białego Domu i na północ od Washington Monument, i cztery kolejne w tym samym namiocie, lecz już na trawniku przy Fourth Street SE, tuż za Kapitołem, jakieś pięć kilometrów od Białego Domu. Spędzał tam też wszystkie dni w nadziei, że uda mu się Porozmawiać z Charliem. Był pierwszy tydzień czerwca, wczoraj temperatura sięgaj trzydziestu pięciu stopni, a powietrze było gęste od typowej waszyngtońskiej wilgoci. Założę się, że na zewnątrz nawet o tak wczesnej porze było już dobrze powyżej dwudziestu stopni.

Wyciągnęłam obie ręce po gazety.

— Nie słyszałem, żebyś mi coś obiecała — mówi Charlie, potrząsając głową.

— Wydarzyło się coś nowego?

Charlie krzywi się z obrzydzeniem.

— Facet to marionetka demokratów. Założę się, że jest na liście płac jakiegoś lewicowego kretyna.

— Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek mu płacił — zauważam.

— Daj mi słowo — żadnego lobbowania.

— Daję słowo — odpowiadam, a Charlie rzuca gazety na kołdrę; lądują z głuchym pacnięciem.

— Zerknij do sekcji biznesowej — rzuca Charlie przez ramię, wracając do łazienki. — Słyszałem plotki, że doszło do fuzji General Electric i Alitalia.

— Bardzo śmieszne.

Jest to tak stary kawał, że wszyscy znają pointę — „I teraz nazywają się Genitalia!” — więc nawet nie trzeba jej dodawać. Drugi kawał, który Charlie uwielbia opowiadać przy okazji wręczania mi gazet, wiąże się z giełdą i polega na grze słówek.

Zazwyczaj na początek rzucam okiem na pierwszą stronę, później na stronę ze wstępniakami. Zaczynam od „Timesa” i jeśli nie ma żadnych alarmujących wieści na pierwszej stronie, przechodzę do sekcji kulturalnej, którą czytam od deski do deski. Na okładce dzisiejszego „Timesa” nagłówki krzyczą o wczorajszym wypadku helikoptera, w którym zginęło sześciu marines, o poprzedzających przesłuchanie akceptacyjne wizytach u różnych senatorów nominowanej przez Charliego do Sądu Najwyższego Ingrid Sanchez, o głosowaniu Kongresu w sprawie nowej ustawy energetycznej, o szkodach poczynionych przez powódź w Dakocie Południowej, o Edwardzie Franklinie i w końcu na samym dole strony o coraz bardziej popularnym zabiegu kosmetyki chirurgicznej, znanym jako odmładzanie pochwy. Po przeczytaniu artykułu o Edwardzie Franklinie przechodzę do części kulturalnej: czytam profil dziewiętnastoletniej artystki hip—hopowej, Shaneece, nazwiska brak; recenzję biografii Mary Cassatt; recenzję opery w San Francisco oraz na temat wystawy ceramicznej w Santa Fe. Następnie wracam do najważniejszych wiadomości dnia, które również czytam skrupulatnie, przynajmniej w „Timesie”. W „Post” czytam tylko artykuły dotyczące administracji Charliego i część poświęconą modzie, w tym również, przyznaję, „Dobrze poinformowane źródło”.

Charlie i ja śpimy w pokoju, który technicznie rzecz biorąc, jest sypialnią prezydencką. Wiele pierwszych par sypiało w oddzielnych pokojach. Przylegający do sypialni prezydenckiej apartament pierwszej damy jest większy od prezydenckiego, ma bowiem własny salon i łazienkę, z których korzystam. (W salonie trzymam swoje Drzewko darów i popiersie Neferetiti odziedziczone po babci, które według Charliego jest zbyt przerażające, by mogło stać w sypialni). Kiedy ja czytam, Charlie bierze prysznic, goli się i myje zęby, jednocześnie słuchając Mozarta z umieszczonego we wgłębieniu w ścianie łazienki odtwarzacza. Charlie co prawda nadal nie odróżnia baroku od romantyzmu i nie interesuje go, który kompozytor co napisał, ale jako gubernator polubił muzykę klasyczną, kiedy chodziliśmy na koncerty do Madisons Oscar Mayer Theatre. Mam mieszane uczucia co do tych jego dość późno ukształtowanych muzycznych upodobań — z jednej strony cieszę się, że polubił muzykę, z drugiej zaś jakoś nie mogę oprzeć się podejrzeniom, że przyczynia się do tego jego chaotyczne życie, ze wszystki-

mi wymaganiami, jakie przed nim stawia. Charlie lubi muzykę klasyczną głównie za to, czego w niej nie ma, a mianowicie żądań i krytyki. Chodzi o melodię i nastrój, który póki nie jest zbyt poważny, przynosi mu ulgę.

Kiedy Edgar Franklin po raz pierwszy rozstawił swój namiot na Ellipse, „Times” zakamuflował artykuły o nim — umieścił je gdzieś na stronach A16 czy A19 — a te najwcześniejsze nie zajmowały więcej niż jedną szóstą strony. Dzisiejszy artykuł, po wczorajszym wstępniaku na dwie szpalty, jest jak dotąd najbardziej znaczący. Pułkownik nie ma zamiaru się przenieść, poza tym ma zwolenników w liczbie kilkuset, którzy nocują u znajomych bądź obcych w domkach szeregowych i mieszkaniach na terenie całego miasta, w hotelach i motelach lub namiotach na własnych terenach kempingowych, w tak odległych rejonach, jak Millersville, Maryland czy Lake Fairfax Park w Wirginii, a następnie rano wracają na Wzgórze Kapitołańskie. Pułkownik Franklin otrzymał też dziesiątki bukietów kwiatów, setki kilogramów żywności i tysiące dolarów w darowiznach, poza tym dołączył do niego publicysta z Manhattanu, który wziął sobie urlop i pracuje za darmo. W odpowiedzi na to wszystko „Times” zamieścił wypowiedź rzeczniczki Białego Domu, Margaret Carpeni (Margaret ma trzydzieści jeden lat, jest wysportowaną młodą kobietą, która uczestniczyła w dwóch maratonach i właśnie rozstała się ze swoim chłopakiem, lekarzem stażystą, ale nikt z nas nie zna powodu ich zerwania).

— Prezydent nieustannie modli się za naszych poległych żołnierzy i tych wszystkich, których osierocili, doceniając ostateczne poświęcenie, jakie ponieśli w obronie wolności i swobód w Stanach Zjednoczonych i na całym świecie — oświadczyła Margaret w niedzielę.

Edgar Franklin jest zadbanym pięćdziesięciosześcioletnim Afroamerykaninem, który w ciągu ostatnich pięciu dni nie zakładał swojego wojskowego munduru — gdyby tak zrobił, skłaniałabym się bardziej ku stanowisku Charliego, nie ufałabym bowiem zbyt teatralności gestu — lecz spodnie khaki i błękitne lub białe koszule z krótkim rękawem, z widocznym pod spodem podkoszulkiem bez rękawów. Jak na kogoś, kto spędza w namiocie całe noce, wygląda wyjątkowo schludnie, podejrzewam jednak, że co rano kąpie się w domu małżeństwa, które pozwoliło mu spać na ich trawniku. Pomimo podstaw do aresztowania, ukarano go jedynie grzywną (powiedział dziennikarzom, że ją zapłaci), do czego doszło, kiedy sympatyzująca z nim para mieszkająca na Wzgórzu Kapitołańskim pozwoliła mu zamieszkać na trawniku przed ich domem. Tym razem rada mieszkańców musi zdecydować, czy pułkownik Franklin winien jest zakłócenia porządku publicznego, najwyraźniej jednak nie jest tym zainteresowana.

Edgar Franklin domaga się spotkania z moim mężem w celu przedstawienia mu swojej opinii na temat daremności prowadzenia wojny i powodów, dla któ-

rych wojska amerykańskie powinny zostać odwołane i powrócić do kraju. Wiosną 2005 jedyny syn Edgara Franklina, Nathaniel „Nate” Franklin, zginął od wybuchu przydrożnej bomby w jednej z północnych prowincji. Edgar był już wtedy wdowcem, jego żona, Wanda, zmarła na raka okrężnicy w 1996 roku. Sam Edgar był w Wietnamie — został powołany jako dziewiętnastolatek — i służył w armii trzydzieści lat. W tym czasie walczył w sześciu rejonach i awansował do stopnia oficera. W wywiadach prasowych i telewizyjnych, których liczba z dnia na dzień rośnie, nie obraża bezmyślnie mojego męża. Nie jest nadmiernie wygadany, nie używa niechlujnego języka.

— Sumienie mówiło mi, że nie mogę milczeć — mówi.

Rzecz zrozumiała, potępiło go kilku dawnych kolegów oficerów.

Jego melancholijność, zadbany wygląd, staranny ubiór i zwięzłe komentarze nie dają mi spokoju. Poprosiłam jednego ze swoich pracowników, aby się dowiedział, czy Franklin jest, podobnie jak był jego syn, jedynym dzieckiem swoich rodziców, i z ulgą przyjął wiadomość, że nie. Wychowany w Yaldoscie, w Georgii, pułkownik jest drugim z piątki rodzeństwa i jedynym chłopcem. Deborah, obecnie pięćdziesięcioośmioletnia, nadal mieszka w Valdoscie i prowadzi w swoim domu przedszkole; Pamela, która miałaby dzisiaj pięćdziesiąt trzy lata, już nie żyje (chorowała na cukrzycę); Cyntia, lat pięćdziesiąt, jest gospodynią domową w Dallas; i wreszcie czterdziestosiedmioletnia Cheryl pracuje w kancelarii prawniczej w Atlancie. Cyntia również jest matką żołnierza — jej syn służy w siłach specjalnych i przebywa za granicą — w czwartkowym wydaniu „The Dallas Morning News” odcięła się od wszelkich poczynań swojego brata, następnie odmówiła jakichkolwiek publicznych wypowiedzi; według artykułu z dzisiejszego „Timesa” Cheryl wczoraj dołączyła do pułkownika Franklina w Waszyngtonie.

Kiedy sprawa wypłynęła w czwartek, Charlie oświadczył mi:

— Nie można pozwolić, by opozycja dyktowała warunki rozmowy.

Później tego samego dnia minęłam się w korytarzu koło Sali Map z Hankiem Uckerem — Hank jest obecnie szefem personelu Charliego.

— Wiem od prezydenta, że ten cały Franklin znalazł ci za skórę — powiedział do mnie Hank. — Uwierz mi jednak, Alice, kapitulacja wobec jego żądań byłaby niebezpiecznym precedensem. Nie można pozwolić, żeby opozycja dyktowała warunki rozmowy.

Nie mam nawet cienia wątpliwości, który zapożyczył to zdanie od którego; wszyscy znaleźliśmy się zbyt długo i zbyt dobrze.

Charlie wyłania się z łazienki owinięty w pasie ręcznikiem, z nagim torsem. Chociaż postarzał się w czasie prezydentury, jak wszyscy, którzy przed nim dzierżyli ten urząd — jest bardziej siwy i ma na twarzy więcej zmarszczek — wciąż jest szczupły i przystojny. Podchodzi do mnie i całuje mnie w nos.

— Jak mogę dzisiaj zaszkodzić światu?

— Na Broadwayu wystawiają *Szklaną menażerię* i recenzje są naprawdę świetne — odpowiadam.

— A co mówią o Ingrid?

— Głównie interesuje ich jej stanowisko wobec aborcji — odpowiadam, starając się mówić jak najbardziej neutralnym tonem.

Ingrid Sanchez, nominowana przez Charliego do Sądu Najwyższego, była prokuratorem generalnym Stanów Zjednoczonych w Michigan, następnie sędzią Sądu Apelacyjnego w szóstym obwodzie. Jest praktykującą katoliczką i świeckim duchownym w swoim kościele i chociaż nie zajęła oficjalnego stanowiska w kwestii aborcji, zakłada się powszechnie, że jest zwolenniczką ruchu Pro— life. Wydaje się też mieć nienaganną przeszłość, a fakt, że jest kobietą, dodatkowo utrudnia ugrupowaniom feministycznym protesty przeciwko jej nominacji, co nie oznacza, że siedzą cicho. Ostatnio nominowany przez Charliego nowy prezes sądu, zatwierdzony we wrześniu 2006 roku, również jest konserwatystą, chociaż jego poglądy na temat aborcji, nawet po pierwszej kadencji, pozostają niesprecyzowane. Jeżeli Ingrid Sanchez zostanie zatwierdzona, możliwe jest, że Sąd Najwyższy ponownie rozpatrzy sprawę *Roe v. Wade*⁹. Choć mnie stawia to w niewygodnej sytuacji, nic nie mogę w tej kwestii zrobić, aczkolwiek zarówno Charlie, jak i cały kraj doskonale znają moje stanowisko. Tuż przed pierwszą inauguracją Charliego, prowadzący poranny program w ogólnokrajowej telewizji zapytał mnie, czy uważam, że aborcja powinna być prawnie dopuszczalna, a ja odpowiedziałam: „Tak”. Ten sam dziennikarz w 2004 roku zapytał, czy zmieniłam zdanie, a ja odpowiedziałam: „Nie”. Ani razu nie podjęłam tematu, chociaż w obu przypadkach z góry zgodziłam się na te pytania odpowiedzieć.

— Typowe dla „Timesa” — powiedział Charlie, a nozdrza zadrżały mu z irytacji. — Ingrid ma za sobą trzydziestoletnie doświadczenie prawnicze i sądowe, a oni sprowadzają wszystko do tej jednej kwestii.

— Kochanie, myślę, że należało się tego spodziewać. Republikanie są tego równie ciekawi, jak demokraci.

⁹ To rozstrzygnięcie dopuściło możliwość dokonania aborcji w Stanach Zjednoczonych przez cały okres ciąży (przyp. tłum.).

Co prawda Charlie nie czytuje regularnie żadnej gazety, polegając jedynie na sprawozdaniach swoich pracowników, jednak jego pogarda dla „The New York Timesa” jest wyjątkowo ugruntowana. Zakrawa to na ironię, tym bardziej że w latach osiemdziesiątych, kiedy spędzaliśmy lato w Halcyon, on i Arthur potrafili jechać godzinę i dwadzieścia pięć minut do Green Bay, żeby kupić niedzielne wydanie „Timesa”; zawczasu dzwonili do sklepu, żeby odłożyli im jeden egzemplarz.

Odsuwam kołdrę i wstaję, obejmuję Charliego i wdycham zapach jego skóry i ramion.

— Pachniesz taką czystością — mówię.

Sięgam po cienką skórzaną teczkę na dokumenty, leżącą na jego nocnym stoliku, i otwieram ją. Teczki te — taka sama leży na moim stoliku — zawierają nasze harmonogramy na dany dzień. Wieczorem, zanim położymy się do łóżka, dostajemy harmonogramy, Charlie swój i mój, ja swój i również jego.

Plan Charliego na dzisiaj: odprawa z wywiadem i FBI, późnym rankiem przemówienie dla liderów małego biznesu na konferencji w Columbus, Ohio, oficjalny lunch połączony ze zbiórką pieniędzy w Buffalo, następnie spotkanie z doradcami ekonomicznymi w Gabinetcie Ovalnym. W przerwach będzie dzwonił w sprawie Ingrid Sanchez. Wieczorem o ósmej odbywa się się w Białym Domu gala zatytułowana *Studenci i nauczyciele składają hołd Alice Blackwell*, co jest dla mnie mocno krępujące. Jak przypomniał mi Hank, w kwietniu wymuszając na mnie wyrażenie na nią zgody, notowania Charliego spadły do 32 procent, podczas gdy moje wciąż utrzymują się na poziomie 83 procent. Podobno jestem drugą najbardziej podziwianą kobietą w Stanach Zjednoczonych; wyprzedza mnie jedynie Oprah Winfrey. (Choć może zabrzmie to idiotycznie, notowania są najmniej idiotycznym aspektem mojego życia).

— Przypominając Amerykanom, jak bardzo cię kochają, przypominamy im, jak bardzo kochają prezydenta — powiedział mi Hank. — Poświęcisz się dla całej drużyny, a jedyne co musisz robić, to pokazać się i udawać, że masz takie samo ego jak my wszyscy.

Charlie zerka do swojego harmonogramu, po czym spod spodu wyciąga mój.

— Dzisiaj nigdzie nie wyjeżdżasz, tak?

Potrząsam głową.

— Mam tylko spotkanie komitetu walki z rakiem piersi w Darlington.

— Cyckowy szczyt, co? — Charlie się uśmiecha. — Potrzebujesz pomocy przy samobadaniu?

— Ubieraj się.

Odpycham go i zaczynam ścielić łóżko. To zwyczaj, który podobno pokojówki uważają za przezabawny, ale któremu nie mogę się oprzeć. Przed naszym przybyciem tu sześć lat temu, pościel w rezydencji zmieniana była codziennie, by jednak oszczędzać wodę, zażyczyłam sobie, aby robiono to nie częściej niż raz na tydzień, przynajmniej w naszej sypialni.

Kilka minut później Charlie zjawia się ponownie, tym razem już w białej koszuli, ciemnopopielatym garniturze i czerwonym krawacie w drobne żółte ciapki.

— Ładnie wyglądasz — mówię.

— Cieszysz się, że dzisiaj wieczorem zostaniesz królową balu?

— Wręcz wychodzę ze skóry — odpowiadam sucho.

— Chyba się nie boisz, co? Lindy, zasługujesz na uznanie. Nawet nie masz pojęcia, ile zrobiłaś nie tylko dla administracji, ale dla całego kraju.

Nie dbam o podobne wypowiedzi, słowa mówione w nadziei, że ktoś kiedyś wypowie je, mówiąc o nas. Choć publicznie łaskawie przyjmuję zarówno wszelkie pochwały, jak i każdą krytykę, prywatnie jednak unikam przypisywania sobie zasług za jakieś bliżej nieokreślone osiągnięcia związane z moją pozycją — że niby jestem głównym wzorcem, idealną przywódczynią — jednocześnie nie obwiniając się za ogólne niepowodzenia, za które moi krytycy czynią mnie odpowiedzialną. Dla innych jestem symbolem, dla siebie wyłącznie sobą.

Kładę ręce na ramionach Charliego, nachylamy się ku sobie i obdarowujemy się smakującym pastą do zębów pocałunkiem.

— Ella przyjeżdża koło czwartej, a ja później muszę oprowadzić chór trzecioklasistek, poza tym jednak mam nadzieję, że uda mi się odrobinę odpocząć — mówię. (Uważam, że główną korzyścią płynącą z dzisiejszej gali jest przyjazd naszej córki; choć staram się jej nie osaczać, wprost przepadam za jej wizytami). — Jeżeli chcesz, żebyśmy przyszły się przywitać w jakiejś wolnej chwili, niech Michael da nam znać.

— Wyatt nie przyjeżdża razem z nią?

Wyatt to chłopak Elli od mniej więcej półtora roku. Oboje pracują jako analitycy inwestycyjni w Goldman Sachs na Manhattanie. Charlie uwielbia grać z Wyattem w tenisa. Chłopak jest na tyle dobrym graczem, by stanowić dla mojego męża wyzwanie, nie na tyle jednak, by odebrać mu przyjemność pokonania przeciwnika o połowę młodszego od siebie.

— Cóż, Ella jutro znowu wyjeżdża, więc to będzie raczej krótka vpzyta

— odpowiadam. — Postarasz się dzisiaj być grzeczny i uważać? — Powtarzam to Charliemu każdego ranka.

Można by pomyśleć — przynajmniej ja na pewno bym tak sądziła — że para prezydencka używa zgoła odmiennego języka, w którym pobrzmiwałyby echa wszelkich możliwych krajowych lub międzynarodowych katastrof, który oddawałby ciężar spoczywającego na nas obowiązku za kraj. Oczywiście posługujemy się żargonem Białego Domu — FLOTUS (Pierwsza Dama Stanów Zjednoczonych), pool spray (błyskawiczna sesja zdjęciowa w Gabinetie Ovalnym), czy „the football” (czarna walizka) — ale głównie porozumiewamy się tymi samymi słowami, których używaliśmy od początku.

— Kocham cię, Lindy — mówi Charlie.

Jest szósta dwadzieścia i teraz Charlie pójdzie na śniadanie do Rodzinnej Jadalni, gdzie będą czekać na niego Hank i Debbie Bell, starszy doradca; spotykają się codziennie i nazywają siebie Płatkożercami. Z jadalni Charlie uda się do Gabinetu Ovalnego na odprawę, później wprost na Południowy Trawnik, skąd Marinę One przewiezie go do bazy lotniczej w Andrews, by stamtąd mógł się wybrać w dłuższy lot do Columbus. (Z punktualności Charliego zawsze byłam najbardziej dumna w czasie obu kadencji).

też wczesnoporannej porze Charlie zawsze przypomina mi wychodzącego na scenę aktora, agenta ubezpieczeniowego lub może właściciela sklepu z artykułami żelaznymi, który dostał główną rolę w *The Music Man*, wystawianym przez prowincjonalny teatr amatorski. Mój Boże, ta cudaczność naszego obecnego życia, już tak znana i rutynowa, mimo to wciąż jest dziwaczna.

— Ja też cię kocham — odpowiadam.

Tę część wszyscy już znają: że w roku 2000 Charlie wygrał wybory prezydenckie najmniejszą przewagą głosów w całej historii Ameryki, że tak naprawdę jego przeciwnik zebrał większą ilość głosów, podczas gdy Charlie otrzymał większość głosów elektorских; że ostateczną decyzję podjął Sąd Najwyższy, który głosował 5:4 na korzyść Charliego; że na swojej inauguracji w styczniu 2001 roku Charlie zobowiązał się do pracy globalnej i dwupartyjnej, było to zobowiązanie, którego jestem pewna, chciał dotrzymać; że osiem miesięcy później terroryści zaatakowali Nowy Jork i Waszyngton, zabijając niemal trzy tysiące Amerykanów; że najpierw w październiku 2001, a po raz drugi w marcu 2003 Kongres Stanów Zjednoczonych wyraził zgodę na użycie siły wobec krajów uznanych za dające schronienie przywódcom terrorystów i posiadające broń masowej zagłady; że doradcy Charliego, ale on sam również powiedzieli Ameryka-

nom, iż wojna będzie szybka, a zaledwie sześć tygodni po inwazji w marcu 2003 zostanie zakończona, co Charlie oznajmił w swoim słynnym przemówieniu wygłoszonym na pokładzie lotniskowca, lecz obec—^{nie}, cztery lata później działania zbrojne są bardziej krwawe i chaotyczne niż kiedykolwiek. Ponad trzy tysiące amerykańskich żołnierzy straciło życie, blisko dwadzieścia pięć tysięcy zostało rannych. Co do obcej ludności cywilnej szacuje się, że poległo jej od siedemdziesięciu tysięcy do nawet dziesięciu razy^{wielokrotniej}. Codziennie wybuchają samochody pułapki i dochodzi do ataków zamachowców samobójców, oficerowie policji giną od kul, zdarzają się ataki na domy i szkoły, snajperzy czają się w okolicach meczetów, na punktach kontrolnych obcina się ludziom głowy. W tych dniach Charlie i jego zwolennicy mówią o wolności, o przekształceniu regionu i zmianie ideologii, o zakończeniu tego, co zaczęli, zamiast o przerwaniu w połowie i odwrocie; jego krytycy krzyczą o grzęzawisku i wojnie domowej. Niektórzy z jego dawnych zwolenników teraz stali się jego zagorzałymi krytykami.

Kiedy kładliśmy się spać o czwartej rano 8 listopada 2000 roku, nie sądziłam, by Charlie wygrał wybory, i z jednej strony było mi go żal, z drugiej odczuwałam ulgę, przez wzgląd na nas, na naszą rodzinę. Nie chciałam, by ubiegał się o urząd gubernatora Wisconsin w 1994 roku, i tak samo nie chciałam, żeby startował w wyborach prezydenckich. Straciliśmy prawie zupełnie możliwość robienia zakupów w lokalnym sklepiku, zjedzenia cichej kolacji w restauracji, nie mogliśmy pójść na spacer, czy to sami, czy z przyjaciółmi, czy choćby spędzić soboty na czytaniu i sprzątaniu domu, bez zobowiązań. Wiedziałam, że stracimy to wszystko bezpowrotnie z chwilą, gdy Charlie zostanie prezydentem. Nie chciałam wystawienia na widok publiczny, utraty prywatności i resztek normalnego życia.

Kiedy wynik wyborów nie był znany przez cały miesiąc, zaszyliśmy się w pałacu gubernatorskim w Madison. Ja czytałam, chodziłam na lunche do przyjaciółek i uczestniczyłam w kilku spotkaniach grup, w działalność których zaangażowałam się jako pierwsza dama Wisconsin. W tym czasie Charlie i Hank Ucker, wraz z przeróżnymi doradcami, prawnikami i krewnymi odbywali pilne, tajne spotkania i unikali mediów. Kiedy 12 grudnia, po ponownym przeliczeniu głosów i posiedzeniach sądu Charlie został ogłoszony prezydentem, pomyślałam: przetrwamy i to. Będzie niebezpiecznie, ale przetrwamy prezydenturę podobnie jak tornado. Spuścimy głowy, osłonimy je skrzyżowanymi ramionami. Nie dosłownie, rzecz jasna — natomiast dosłownie będę wypełniać wszystkie obowiązki publiczne, pokazywać się, gdy będą tego wymagały okoliczności — ale właśnie w ten sposób będę o tym myśleć. Przez co najmniej cztery lata, być może nawet osiem, będę wstrzymywać oddech, czekając, aż to minie, i w końcu tak się stanie. Tornado jest niszczycielskie, ale nie trwa wiecznie.

Nie wzięłam jednak pod uwagę — wszak nie było to możliwe — okoliczności, w których Charlie i ja się zaręczaliśmy. W samym środku burzy Charlie wyszedł ze swojego mieszkania, wsiadł do samochodu, przedarł się przez błyskawice i grad, zbiegł po schodach do piwnicy domu, w którym mieszkałam, i poprosił mnie o rękę. I sami zobaczcie — udało się. Dalej byliśmy szczęśliwym małżeństwem, choć upłynęło już tyle lat.

Na początku jego prezydentury demonstrowałam Charliemu swoje pragnienie, by nie robić zamieszania, nie przykuwać niepotrzebnej uwagi, nie zaznaczać swojego autorytetu, podczas gdy Charlie wręcz uwielbiał podkreślać swój autorytet. Wiem, że są ludzie sugerujący, że on lub jakaś szara eminencja z jego administracji zaplanowali ataki terrorystyczne, co uważam za żaloszny, niewart dyskusji pomysł. Nie ulega jednak kwestii, że Charlie zareagował; podjął rzucone mu wyzwanie. Czy łączył ataki terrorystyczne z oddzielnymi i mniej niebezpiecznymi groźbami płynącymi z kraju, który zaatakowaliśmy w marcu 2003, podczas gdy nie miały one ze sobą nic wspólnego, i czy zachęcił opinię publiczną, by ona również je powiązała? Czy powód inwazji stanowiła wyłącznie ropa, a przysięga Charliego, że dąży do rozwoju demokracji, była zwykłą cczą gadaniną? Czy łatwiej było mu zaangażować się w wojnę dlatego, że sam nie miał doświadczenia wojskowego, dlatego że pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych pracował jako instruktor narciarski? Takie oskarżenia padają z ust jego oponentów. I chociaż są to pytania jak najbardziej uzasadnione, nie znoszę jednak w politycznych dysputach udawania, że odpowiedź istnieje sama w sobie, nie kryje się za nią nic mglistego czy subiektywnego. W dniach poprzedzających inwazję w marcu 2003 roku nie wiedziałam, czy uważam ją za słuszną czy też wręcz przeciwnie; nie wiedziałam, czy opowiadam się po stronie jastrzębi czy też raczej przeciwników czuwających przy zapalonych świecach. Podobnie jak na studiach, kiedy ani nie popierałam, ani nie potępiałam wojny w Wietnamie, moja bierność wynikała z niepewności, nie obojętności. Lecz nie wiedząc, co myśleć, nie starałam się wpływać na mojego męża. Doradzało mu mnóstwo ludzi, mężczyzn i kobiet (choć głównie mężczyzn), którzy od dziesięcioleci byli ekspertami politycznymi, a dawniej podróżowali do tego właśnie kraju i spotykali się z tym właśnie dyktatorem.

Teraz od inwazji upłynęły cztery lata. Fakt, że wojna, którą na początku popierało 70 procent Amerykanów, obecnie dzieli społeczeństwo i stała się niepopularna, sprawił, że Charlie zrobił się bardziej stanowczy; jak to zwykle bywa w takich przypadkach, jest najbardziej stanowczy ze wszystkich. Charlie podkreśla, że przeciętny Amerykanin nie ma takiego dostępu do danych ^wywiadu jak on; przeciętny Amerykanin jest słaby i ma skłonność do zapominania, nie jest przyzwyczajony do rozlewu krwi i poświęcenia. Weźmy na przykład wojnę o niepod-

ległość, mawia Charlie, wojnę domową, czy II wojnę światową. To jest cena, którą płacimy za demokrację, i tak było od zawsze.

Dziewięć miesięcy temu, we wrześniu 2006 roku, odbyła się jedna z konferencji prasowych.

— Wycofanie się na tym etapie oznaczałoby poddanie się — powiedział na niej Charlie. — A ja nie poddam się, nawet gdyby popierali mnie już tylko Alice i Snowflake.

(Snowflake był rzecz jasna naszym kotem; był też moim „współautorem” książki: *Pierwszy ulubieniec: co widzę z Pennsylvania Avenue nr 1600*. Upokorzenie było tym większe, lub może mniejsze — nigdy nie umiałam się zdecydować — że choć dzielimy z kotem uznanie, a wszystkie zyski poszły na program walki z analfabetyzmem, mój udział w pisaniu książki był dokładnie taki sam, jak jego).

Od zaprzysiężenia Charliego prowadzę nieustannie obliczenia: dziesięć procent jego urzędowania mamy już za sobą. Zostały nam jeszcze 394 tygodnie. Przed nami dwa i pół roku. Od samego początku zakładałam jego re—elekcję, nie dlatego, że jej chciałam, lecz wręcz przeciwnie. Boimy się liczyć na to, czego pragniemy najbardziej; zawsze łatwiej wierzyć, że stanie się to, czego najbardziej chcielibyśmy uniknąć.

Wszystkie wygłaszane przez Charliego przemówienia, jak również moje własne, imprezy połączone ze zbiórką pieniędzy, pogrzeby, oficjalne wizyty, bale, przecinanie wstęg, kolejki gości, których trzeba powitać, setki listów, które piszę i otrzymuję co tydzień — zawsze odhaczam je z wielkiej listy, zawsze odliczam do końca. Rzecz nie w tym, że nie lubię obowiązków związanych z wypełnianiem funkcji pierwszej damy, lubię je i jestem za nie wdzięczna. Poznałam największe legendy sztuki i literatury, królów i królowe, wodzów, nawet jednego cesarza, odwiedziłam sześćdziesiąt cztery kraje, jadłam bliny z kawiozem na statku na rzece Newie, jeździłam na wielbłądzie pod piramidami w Gizie, brodziłam w wodzie Pangkor Laut (nie pływałam, ponieważ nie chciałam wystąpić w kostiumie kąpielowym przed kamerami). Na lotnisku Asmara w Erytrei, dokąd poleciałam bez Charliego, miejscowe kobiety obrzuciły mnie na powitanie popcornem; w sierocińcu w Bangalore ofiarowałam sari i czytałam dzieciom *Drzewko darów*, a towarzyszył mi tłumacz języka kannada; w Helsinkach, po cudownej pogawędce i prawdziwej uczcie z langusty, mięsa renifera i ciasta z moroszką, popełniłam *faux pas*, które mogłam przypisać jedynie efektowi *jet lag*, mówiąc podczas toastu do prezydenta Finlandii, że nigdy nie zapomnę gościnności szwedzkiego narodu. Doświadczyłam surrealistycznego przeżycia, trzymając Biblię, na którą mój mąż był zaprzysiężony na prezydenta (byłam ogromnie poruszona, choć jednocześnie bardzo niewłaściwie w kółko brzęczał mi w głowie ten

sam fragment starej ludowej piosenki *Żaba poszła w zaloty*, której Ella nauczyła się jako dziecko: „Bez zgody wuja Szczura, nie poślubię prezydenta...”, podobnie surrealistycznym przeżyciem był powrót do szkoły podstawowej Theodo— ry Liess w Madison, w której niegdyś pracowałam, na uroczystość nadania jej nowego imienia — Alice Blackwell. (Miałam nadzieję, że Theodora, córka dziewiętnastowiecznego dyrektora kolei Missisipi i Milwaukee i niestrudzona orędowniczka edukacji dziewcząt z plemienia Odżibwejów mi wybaczy; byłoby z mojej strony nietaktem, gdybym odmówiła zaszczytu).

Często odczuwałam żal, że nie mogę dzielić się najbarwniejszymi przeżyciami z babcią; ileż rozrywki dostarczyłoby jej moje życie, jakże rozkoszowałyby się plotkarskimi szczegółami. Razem z Charliem staraliśmy się dzielić przyjemnościami nieoczekiwanych okoliczności z krewnymi i długoletnimi przyjaciółmi. Z okazji osiemdziesiątych urodzin mojej dawnej przyjaciółki Rity Alvin sprowadziłam ją do Waszyngtonu i pozwoliłam jej nocować w Sypialni Lincolna (na drogę powrotną przypięła broszkę mojej mamy, co bardzo mnie ujęło). W Boże Narodzenie spędziliśmy z Charliem, Ellą, moją mamą, Jadey, Arthurem i dwójką ich dorosłych dzieci cudowne i hałaśliwe popołudnie na kręgielni w Białym Domu (w święta nie wyjeżdżamy do Wisconsin, nie chcemy bowiem, aby nasi agenci służb specjalnych musieli przebywać z dala od swoich rodzin). Charlie nominował Cliffa Hickena — niestrudzonego zbieracza funduszy — ambasadorem we Francji, dzięki czemu mogłam odwiedzać Kathleen w Paryżu, gdzie obie wałęsałyśmy się po restauracjach, muzeach i modnych butikach.

Nawet jeżeli nasze życie z Charliem jest z góry zaplanowane i wymagające, jest również fascynujące i pełne przywilejów. Staliśmy się, i to już na zawsze, członkami niewielkiego klubu. I tak naprawdę moje poparcie dla naszej pozycji czy też awersja do niej nie mają żadnego znaczenia; tak jest i niczego nie da się zmienić. Jesteśmy sławni,' a kiedy Charlie złoży urząd, staniemy się sławnymi emerytami.

Dzisiejszy dzień będzie bez wątpienia pełen napięcia i obowiązków, ale będzie to taki sam dzień jak każdy inny; obecnie wszystkie nasze dni są pełne napięcia i obowiązków. Pięć kilometrów dalej Edgar Franklin czeka — obawiam się, że na próżno — by porozmawiać z Charliem; również niezbyt daleko Ingrid Sanchez przygotowuje się na odwiedziny u senatorów; na pokładzie Air Force One zmierzającym do Columbus Charlie być może wetuje jakąś ustawę, podejmuje decyzję o podwyżce lub obniżeniu wydatków czy podatków o miliardy dolarów albo rozmawia przez telefon z premierem Wielkiej Brytanii. Nieco później, na spotkaniu rady do spraw walki z rakiem piersi, wystąpię w czerwonym lnianym kostiumie i będę namawiała kobiety, by rzuciły palenie, regularnie ćwiczyły i po ukończeniu czterdziestego roku życia jak najszybciej poddały się badaniu mammograficznemu. Po południu zobaczę się z córką i oprowadzę po Białym

Domu grupę czterdziestu trzecioklasistów, którzy wieczorem na gali ku mojej czci odśpiewają *Boże, błogosław Amerykę*. Nie urodziłam się, by występować przed tłumami, doradzać lub ganić, i po wielu godzinach treningu mogę powiedzieć, że jako publiczny mówca radzę sobie tylko odrobinę lepiej, niżby wypadało. Niemniej jednak staram się sprostac sytuacji — jestem żoną prezydenta Stanów Zjednoczonych i staram się być jak najlepsza.

Charlie ma przed sobą jeszcze dziewiętnaście miesięcy urzędowania.

Zebranie komitetu zbliża się ku końcowi. Nadeszła pora, aby jego członkinie i panie z widowni miały okazję zrobić sobie zdjęcie ze mną — witam się z każdą oddzielnie, ustawiamy się na tle flagi, błysk flesza i kolej na następną osobę. Wszystko trwa dosłownie kilka sekund — gdy nagle dostrzegam Hankę Uckera opartego o ścianę w pobliżu estrady. Czuję, jak towarzyszący mi nieustannie niepokój rośnie. Tylko raz, we wrześniu 2001 roku ten strach okazał się w pełni uzasadniony, i nawet teraz dociera do mnie, że cokolwiek się stało, bez względu na powód, z jakiego Hank się tu pojawił, życie Charliego nie jest zagrożone. W przeciwnym bowiem razie zostałabym natychmiast wyprowadzona, wepchnięta do bunkra, wciśnięta w kamizelkę kuloodporną (nieraz musiałam je nosić i przede wszystkim mogę powiedzieć, że są bardzo ciężkie).

Rzucam okiem na kolejkę ludzi, starając się obliczyć, ile ich jeszcze zostało — ponad czterdzieści osób — i daję znak Ashley Obernauer, mojej osobistej asystentce. (Ashley ma dwadzieścia pięć lat i jest wręcz oszałamiająco kompetentna).

— Zapytaj Hankę, co tutaj robi — mówię jej, gdy nachyla się ku mnie.

Szybko wraca z odpowiedzią.

— Mówi, że chce z tobą pogadać — cytuję — w drodze powrotnej. Nie powiedział, o co chodzi.

— Pani mąż tak świetnie sobie radzi — mówi do mnie niska kobieta w białych spodniach z poliestru, z siwymi falującymi włosami. — Co wieczór modlimy się za was oboje.

— Dziękuję.

Obracam się do obiektywu, jednocześnie trącając ją delikatnie, by również spojrzała przed siebie.

— To prawdziwy zaszczyt... — zaczyna, ale następną osobą w kolejce nie daje jej dokończyć.

— Dziękuję, że pani przyszła — wołam za nią.

Następna pani również jest starsza (może przywieźli autokarem pensjo— nariuszki jakiegoś domu opieki?).

— Proszę powiedzieć prezydentowi Blackwellowi, że pani Mabel Fulford nie pozwala mu ani na cal odpuścić terrorystom.

— Zrobię to na pewno — mówię, a flesz błyska i już podchodzi do mnie' następna kobieta, tym razem bardziej zbliżona do mnie wiekiem.

— Uciekłam z pracy, żeby tu dzisiaj przyjść.

— Na pewno pani nie wydam — zapewniam ją.

Jest coś dziwnego w tym wszystkim, w kontraście pomiędzy entuzjazmem i życzliwością ludzi, z którymi się spotykamy, i nadzwyczaj negatywnymi komentarzami mediów dotyczącymi wszystkiego, co w najmniejszym choćby stopniu wiąże się z administracją Charliego. Wielu wyborców również jest negatywnie nastawionych, ale oni raczej nie zjawiają się na tego rodzaju spotkaniach, chyba że z zamiarem protestowania, ale środki przewidziane, by utrzymać ich możliwie jak najdalej, dopracowuje się bardzo dokładnie. Ze względów bezpieczeństwa weszłam do tego hotelu służbowymi drzwiami na tyłach, ale kiedy tu jechaliśmy, dostrzegłam stojących po drugiej stronie ulicy skandujących ludzi z plakatami. Zwykle wykrzykują antywojenne slogany, ale dzisiaj chyba też zauważyłam plakaty sprzeciwiające się nominacji Ingrid Sanchez.

— Kiedy Ella wyjdzie w końcu za tego swojego chłopaka? — pyta mnie następna kobieta.

Śmieję się.

— Niezwłocznie panią o tym zawiadomię.

Błysk flesza, błysk flesza, błysk flesza i w końcu nikt już nie czeka w kolejce. Organizatorzy spotkania dziękują mi wylewnie, wręczając torbę z podarunkiem, którą Ashely przyjmuje, po czym wszyscy kierujemy się do tylnego wyjścia, gdzie czeka kawalkada samochodów — Ashley; zastępca sekretarza prasowego, Sandy; Bill Rowson, jeden z oficjalnych fotografów Białego Domu; kobieta o imieniu Zinia, która jest ekspertem do spraw polityki zdrowotnej; i sześciu agentów służb specjalnych (więcej agentów czeka na zewnątrz).

— Alice? — zwraca się do mnie Ashley, kiedy idziemy.

Wyciągam do niej dłonie, ona spryskuje je specjalnym żelem, który ja wcie-ram.

Hank materializuje się obok mnie.

— Ameryka naprawdę kocha swoją pierwszą damę.

Doskonale znana jest moja awersja do terminu „pierwsza dama” (choć czasem z braku alternatywy używam go sama, uważam, że jest przestarzały i na wyrost), wobec czego wszyscy w Białym Domu zwracają się do mnie po prostu Alice lub pani Blackwell. Posyłam Hankowi cierpki uśmiech. Na zewnątrz dopada nas czerwcowy upał, chociaż od samochodów dzieli nas zaledwie trzy metry. Tajny agent Cal otwiera dla mnie tylne drzwi w trzecim SUV—ie. (Jak ognia staram się unikać kawalkad, zdecydowanie wolę podróżować kilkoma samochodami Town Cars, ale szczyt dotyczący walki z rakiem piersi był mocno nagłośniony. Przed wrześniem 2001 roku przy okazji publicznych wystąpień korzystałam z trzech samochodów i towarzyszyło mi sześciu agentów; obecnie oprócz policyjnej eskorty jedzie wraz ze mną pięć samochodów i dziewięciu agentów — to ekstrawagancja, która już dawno przestała mnie dziwić. Również po wrześniu 2001 przydzielono mi „kontrolę skrzyżowań” w Waszyngtonie, co oznaczało, że nie musimy się zatrzymywać na światłach). Hank wsiada za mną i Ashley już się przymierza, by pójść w jego ślady.

— Możesz pojechać za nami, Ashley? — odzywa się Hank. — Spotkamy się w Zachodnim Skrzydle.

Ashley zerka na mnie i już mam zaprotestować, kiedy coś w tonie Hanka każe mi się powstrzymać.

— Hank, wydawało mi się, że pojechałeś do Ohio — mówię, zapinając pas. ¹

— Zmiana planów.

— Zakładam, że z Charliem wszystko w porządku?

— Prezydent ma się świetnie.

Widzę, że Hank dotyka koniuszkiem języka zęba trzonowego; zawsze i za wszelką cenę stara się wyglądać na nieporuszonego, tak więc jego wystudiowana obojętność w tej chwili oznacza, że coś musiało się stać.

— Dzisiaj rano odebrałem telefon. Czy nazwisko Norene Davis coś ci mówi?

Szukam w pamięci, ale problem polega na tym, że obecnie nie znam wszystkich, których znam. Często odnoszę wrażenie, że poza poznawaniem ludzi nie robię nic innego; bardzo możliwe, że rozmawiałam z kimś przez piętnaście minut, może nawet siedziałam obok niego podczas jakiegoś posiłku i odbyliśmy miłą pogawędkę, a ja kompletnie tego nie pamiętam. Zdarza się, że ktoś mówi do mnie: „Bardzo cenię sobie nasze wspólne zdjęcie, zrobione na corocznym bankiecie ubiegłej wiosny” lub: „Oboje z żoną często rozmawiamy o tym, jak spotkaliście panią na konwencji republikanów w dziewięćdziesiątym szóstym”, a ja

tylko kiwam przyjaźnie głową. Czasem te wskazówki budzą jakieś wspomnienia — rzeczywiście poznałam tego kogoś wcześniej — ale nigdy sama z siebie bym na to nie wpadła i raczej kwitowałabym, niż mogła sobie przypomnieć jego czy jej nazwisko.

— Nie pamiętam żadnej Norene Davis, ale to możliwe — mówię.

Hank chrząka.

— Zarzuca ci, że poddałaś się aborcji w październiku sześćdziesiątego trzeciego.

Zatyka mnie; słyszę odgłos wciąganego powietrza, jeszcze zanim dociera do mnie, że to ja. „Spodziewaj się niespodziewanego”, to banał, który towarzyszy życiu w Białym Domu, tego jednak się nie spodziewałam. Kiedyś owszem, gdy Charlie najpierw kandydował na gubernatora, i potem znowu, gdy ubiegał się o urząd prezydenta. Bardziej obawiałam się szkód, jakie mogłyby z tego wyniknąć dla jego kandydatury, niż pogwałcenia mojej prywatności; ale w żadnym przypadku nie byłabym zachwycona, gdyby coś takiego wyszło na jaw. Jednak nie stało się to, co mogło się stać, i wszystko wskazywało na to, że rewelacja z czasem traciła na sile. Gdybym miała zostać wydana — gdyby Dena Janaszewski, czy jakie tam teraz nazwisko nosi, miała mnie sprzedać — już by do tego doszło. Dlatego też to zmartwienie odłożyłam na bok; do wyboru miałam całą kolekcję innych.

— Czy znasz jakiś powód, dla którego pani Davis mogłaby coś takiego twierdzić? — pyta Hank, a w tonie jego głosu celowo brak napięcia.

Nikt inny w samochodzie nie reaguje. Ani Cal, który siedzi na przednim siedzeniu pasażera, ani drugi agent służb specjalnych, Walter, który prowadzi. (Cal, który aktualnie jest moich głównym agentem, grał w football na uniwersytecie w Arizonie; Walter jest ojcem bliźniaków. Ponieważ oni wszyscy wiedzą o nas o wiele za dużo, oboje z Charliem staramy się poznać ich, a Charlie osobiście pokazywał Gabinet Ovalny wielu członkom ich rodzin). Widzę tylko tył głowy Waltera i kawałek profilu Cala, ale mam absolutną pewność, że obaj słuchają i że żaden nie odezwie się słowem podczas jazdy ani po naszym powrocie do Białego Domu. W zasadzie nigdy nie odzywają się pierwsi, chyba że w kwestii dotyczącej bezpieczeństwa. W tłumie czasem słyszę tuż za sobą pomruk, docierający do mnie na granicy podświadomości: „Odrobinę w lewo” lub: „Proszę zwolnić”. Jak na mężczyzn ważących przeciętnie po sto dwadzieścia kilogramów, poruszają się nadzwyczaj zgrabnie.

— Jesteś pewny, że ta kobieta nazywa się Norene Davis? — zwracam się do Hanka.

Hank wyjmując z kieszeni swój BlackBerry i czyta z ekranu:

— Lat trzydzieści sześć, aktualny adres Manchester Street 5147 w Cicero, Illinois, chociaż mamy powody wierzyć, że już tam nie mieszka. Rozwiedziona, bezdzietna, zatrudniona jako domowa opiekunka zdrowotna przez jakąś podejrzanie brzmiącą organizację o nazwie Glenview Health Service.

— Czy możliwe, żeby posługiwała się innym nazwiskiem?

— Wszystko jest możliwe. Odnoszę wrażenie, że występuje w czyimś imieniu, pytanie tylko w czyim. W czasie kiedy nasi niestrudzeni śledczy to ustalają, chciałem zapytać ciebie. A teraz, jak to wygląda: dziewczyna nie jest zainteresowana szantażem, przynajmniej nie w normalnym znaczeniu tego słowa, grozi natomiast, że nagłośni sprawę, chyba że oficjalnie sprzeciwisz się nominacji Ingrid Sanchez do Sądu Najwyższego.

— Chyba że... — powtarzam oszołomiona.

Lecz prawda dociera do mnie, jeszcze zanim kończę zdanie. Odpowiedzi, których udzieliłam, zajmując stanowisko wobec aborcji w porannych programach telewizyjnych w 2000 i 2004 roku, nie uspokoiły aktywistów występujących w obronie praw kobiet do decydowania; wszystko wskazuje na to, że prawdopodobnie bardziej odpowiada im pierwsza dama opowiadająca się po stronie Pro-life — zdeklarowana przeciwniczka — od takiej, która po cichu wierzy w wolność reprodukcji. Jak już wspominałam, pytania w wywiadzie były wcześniej ustalane, za każdym razem Charlie dawał mi swoje błogosławieństwo, **co znaczyło**, że dał mi je Hank, co z kolei znaczyło, że służy to interesom **administracji**, a to dlatego, że wielu republikanów opowiadało się po stronie prawa do wyboru. Prowadzący program z góry zgodził się nie zadawać kolejnych **dotyczących tej** kwestii pytań, i za pierwszym razem gładko zmienił temat.

— Przejdźmy teraz do lżejszych tematów — powiedział. — Jest jeden członek **rodziny** Blackwellów znany z tego, że unika prasy jeszcze bardziej niż pani. Czy może pani co nieco opowiedzieć naszym widzom o Snowflake'u?

Po emisji programu dostałam list od Jeanette Werben z Madison, tej samej, która wiele lat temu tak bardzo zdenerwowała mnie na przyjęciu, gdzie poznaliśmy się z Charliem. Jeanette wtedy z zapalem szczebiotała o swoim małżeństwie i dzieciach, będąc w ciąży z trzecim dzieckiem. W swoim liście wyznawała mi, że mając dwadzieścia osiem lat, przerwała ciążę — zaledwie pół roku wcześniej wydała na świat ich córeczkę, Katie — zmagając się z tym, co dzisiaj nazywa się depresją poporodową. Gdy Jeanette napisała, jak bardzo cieszy ją moja wypowiedź, bardzo chciałam do niej zadzwonić i dopowiedzieć resztę. Jednak nie zrobiłam tego; nie mogłam.

W czasie pierwszej kampanii gubernatorskiej Charliego jeden ze sługusów Hanka przesłuchiwał mnie długo i wytrwale; przeprowadził mnie przez wszystkie etapy mojego życia, doszukując się jakichś tajemnic lub kontrowersji. Ze szczegółami rozmawialiśmy o Andrew Imhofie — kilka lat później, w 2000 roku jakiś brukowiec pierwszy wyciągnął tę historię, a moja rzeczniczka najszybciej, jak to możliwe, potwierdziła jej prawdziwość — ja odpowiadałam na każde zadane przez sługusa pytanie. Sama jednak nie podawałam żadnych dodatkowych informacji. Dzień wcześniej rozmawialiśmy o tym z Charliem, który powiedział, że nie ma nic przeciwko temu, abym nie wspominała o aborcji. Prawda o niej może nigdy nie wyjść na jaw, a jeżeli wyjdzie, wtedy się tym zajmiemy. Lecz przedwczesne ujawnianie jej — pytania sługusa miały właśnie odkryć podobne rewelacje — było według mnie najkrótszą drogą, by na zasadzie „jedna pani drugiej pani” wszystko przedostało się do wiadomości publicznej.

Jednak w tej chwili w SUV— ie owo „wtedy” ze zdania „wtedy się tym zajmiemy” właśnie nadeszło — „wtedy” jest teraz, jest dzisiaj.

— Czy tego rodzaju groźby są legalne? — pytam Hankę.

Hank się uśmiecha.

— Bez problemu namierzemy Norene Davis, nie martw się, interesuje mnie natomiast, dlaczego według ciebie faktycznie mogłaby wysunąć takie oskarżenie.

Hank nie mówi — nie może, ponieważ jestem pierwszą damą — że bądź podejrzewa, bądź wie, że zarzut jest prawdziwy. (Czasami etykieta, której musi przestrzegać, bawi mnie — fakt, że do Charliego musi zwracać się „panie prezydencie” lub wstawać, kiedy ja wchodzę do pokoju. Ty nas stworzyłeś, myślę sobie, i teraz musisz się przed nami płaszczyć). Gdyby według Hanki oskarżenie nie było uzasadnione, nie zjawiłby się tutaj. W końcu Biały Dom codziennie otrzymuje dziesiątki listów, maili i telefonów od ludzi nie przy zdrowych zmysłach: „Powiedzcie Alice Blackwell, żeby przestała wysyłać przez telewizję wiadomości mojemu psu!”. Lub: „Jestem nieznanym bratem przyrodnym prezydenta, spłodzonym przez jego ojca w wyniku romansu w 1950 roku, ale za dwa miliony dolarów obiecuję nikomu tego nie wyjawić”. Tego rodzaju oskarżenia, podobnie jak groźenie nam, zdarzają się bez przerwy, jednak do nas docierają szczegóły bardzo niewielu z nich.

— Czy Charlie wie, co się dzieje? — pytam.

Hank przytakuje.

— Powiedział, żebym zwrócił się bezpośrednio do ciebie.

Czy Charlie powiedział Hankowi, że oskarżenie jest prawdziwe? Wątpię, by zrobił to wprost, ale na pewno dał mu coś do zrozumienia.

Wyglądam przez okno; jedziemy na wschód Darlington Boulevard. Wszystkie inne samochody zmierzające do Waszyngtonu zjeżdżają nam z drogi.

— Słuchaj — mówi Hank. — To jest problem do rozwiązania. Jeżeli Norene Davis działa sama, przeliczyła się. Bardzo możliwe, że wystarczy ją trochę postraszyć, i sama się wycofa. Załóżmy jednak, że jest zdeterminowana i zdecydowana pójść do więzienia, zamiast siedzieć cicho, i kontaktuje się z jakimś dziennikarzem. Albo postanawia trzymać gębę na kłódkę, ale, oje— jej, jedną chwilczkę, zdążyła już opowiedzieć wszystko siostrze, chłopakowi czy komu tam jeszcze — tak czy owak podejrzenie się pojawia. W tej sytuacji widzę tylko Larryego Kinga. Może nie od razu, zaczekamy do kolejnej okazji — analfabetyzm, rak piersi, sama możesz sobie wybrać temat — i pozwolimy mu zadać pytanie bez ogródek. Ty kategorycznie zaprzeczasz.

Scenariusz zawiera znak zapytania, a ja pozwalałam, by zawisł w powietrzu.

— A kiedy prasa zapyta o to Maggie i Douga? — pytam.

— Normalnie nie zniżamy się do przyjmowania równie oburzających i fałszywych oskarżeń, szacunek, z jakim odnosi się pan Blackwell do tej drażliwej i budzącej kontrowersje kwestii, ple, ple, ple... A potem, no wiesz, namydlić, wypłukać, powtórzyć

— Tylko nie mówcie „świętość życia”.

— To nie pora na wymachiwanie chorągiewką za prawem wyboru, Alice.

— Sam mi mówiłeś, że opinia publiczna akceptuje...

Normalnie Hank nigdy mi nie przerywa; teraz obraca się, byśmy mogli siedzieć twarzą w twarz.

— Opinia publiczna akceptuje pierwszą damę, która popiera prawo wyboru. Ale nie oszukuj się, że to to samo, co akceptowanie pierwszej damy, która miała aborcję.

A więc wierzy w domniemanie, od początku wiedziałam, że tak jest, ale zmuszenie go, by powiedział to na głos, dało mi gorzką satysfakcję. Na przednich siedzeniach Walter i Cal są równie czujni i niewzruszeni jak sfinksy.

Patrzę Hankowi w oczy.

— Nie jestem pewna, kim jest Norene Davis, ale stoi za nią moja dawna przyjaciółka, niejaka Dena Janaszewski. Nie rozmawiałam z nią od trzydziestu lat, od

co najmniej piętnastu nie mam o niej żadnych wieści, ale ona — być może także jej przyjaciel — to jedyni ludzie poza Charliem, którzy w ogóle wiedzieli o mojej aborcji.

— Możesz przeliterować jej nazwisko? — Hank znowu sięga po swój Black— Berry i nawet jeżeli jest wstrząśnięty moim wyznaniem, nie daje tego po sobie poznać, pozostali również milczą.

— Nie jestem pewna, jakim obecnie posługuje się nazwiskiem — mówię. — Ale jest znacznie starsza, nie ma trzydziestu sześciu lat, ale tyle co ja. Była zamężna i nazywała się Cimino, potem się rozwiodła, być może... — przerywam. — W latach osiemdziesiątych spotykała się z niejakim Petem Imhofem, ale może już ze sobą zerwali lub wciąż są razem, nie wiem. On jest bratem Andrew, chłopca, który...

— Tak, wiem. — Hank kiwa głową.

— Poza tym to właśnie przez niego, Pete'a, zaszłam w ciążę, ale on o tym nie wiedział.

— Dena powiedziałaaby mu. — Hank nie pyta, lecz stwierdza.

W SUV— ie panuje cisza, słychać jedynie wycie syren eskortujących nas policyjnych motocykli, choć nawet* one brzmią odlegle przez efekt Dopplera.

— Proszę, żeby śledczy, którzy będą rozmawiać z Deną, byli ostrożni — mówię do Hanka. — Żałuję, że to zrobiła, ale nie chcę niszczyć jej życia¹ nie chcę, żeby trafiła do więzienia.

— Cięża była przed czy po śmierci Andrew? — Widzę, że kombinuje, jak by to rozegrać, zastanawia się, czy śmierć mogłaby jakoś wyeliminować aborcję. Mogę mu zaoszczędzić kłopotu i od razu powiedzieć, że nie.

— Po — odpowiadam.

Hank przez chwilę milczy, przetrawiając informację.

— No cóż, przynajmniej wiemy, co robić.

(Po namyśle dochodzę do wniosku, że może jednak wcale nie płaszczy się przed nami. Nie da się zaprzeczyć, że rozkoszuje się powagą sytuacji)

— Hank niczego tak nie uwielbia jak kryzys, ale jeszcze bardziej uwielbia fakt, że w obliczu jakiegoś jest wręcz niezbędny mojemu mężowi; nie bez powodu Charlie przeżywa Hanka Gównianą Burzą).

— Śledczy nie mają prawa grozić Denie fizycznie — mówię. — Słyszysz, Hank? Mają traktować ją z szacunkiem.

— Alice, ona próbuje zablokować nominację do Sądu Najwyższego i prowadzi kampanię oszczerstw wobec prezydenta i pierwszej damy Stanów Zjednoczonych.

Spoglądam na niego, marszcząc brwi.

— Nie melodramatyzuj — mówię. — Kiedyś była moją bliską przyjaciółką — dodaję, odwracając się do okna.

Gdy ktoś staje się sławny, ludzie zaczynają widzieć jego nazwisko w new-sach, czy to w telewizji, w gazecie czy jakimś czasopiśmie. Coś się właśnie wydarzyło (czyjś mąż wraz z siedmioma innymi osobami kupił właśnie drużynę baseballową) albo coś ma się wydarzyć (czyjś mąż lada chwila ogłosi, że startuje w wyborach na urząd gubernatora Wisconsin lub prawie na pewno zostanie wybrany) i naraz osoby, które się zna, choć niekoniecznie blisko, zaczynają się odzywać. Znajomi z klubu, u których w domu nigdy się nie było i którzy nigdy nie byli u nas, dzwonią i zostawiają krótkie, żartobliwe wiadomości, na przykład: „Nie zapominajcie o nas, maluczkich”, lub: „Widziałam cię na Kanale Czwartym i musimy się spotkać, póki wciąż jeszcze pamiętasz, kim jestem”. Bez względu na to, co się stało albo co ma się stać, jest to bardzo czasochłonne, życie nabiera tempa jak nigdy, mnóstwo ludzi, więcej niż kiedykolwiek dotąd, zaczyna się z nami kontaktować w **zasadzie** w bezsensownych sprawach, a mimo to człowiek czuje się zobowiązany, by odpowiedzieć, inaczej w świat pójdzie fama, że przewróciło się nam w głowie. Nagle odzywa się nasz dentysta, nauczycielka matematyki naszej córki i liceum, ludzie z przeszłości: przyjaciele z dzieciństwa, starzy koledzy z klasy, dawni współpracownicy. Posiadają zaskakującą umiejętność namierzenia nas. Czasem chcą się tylko przypomnieć, na ogół jednak proszą o jakąś przysługę, a potem tego samego zaczynają się też domagać ludzie obcy. Proszą o wystąpienia przy różnych okazjach, zapraszają do członkostwa w radach nadzorczych, licytowania wieczoru w naszym towarzystwie; proszą o bilety na mecze baseballowe, bilety na World Series, pozwolenie na zawarcie związku małżeńskiego na boisku baseballowym, bilety na zwiedzanie rezydencji gubernatora; wreszcie proszą o pomoc w wejściu do miejsc, z którymi nic nas nie łączy, na przykład do modnej restauracji w Nowym Jorku, na pole golfowe w Karolinie Północnej; chcą, żeby pomóc ich siostrzeńcowi w załatwieniu letniego stażu w agencji talentów w Los Angeles. Jeszcze zanim człowiek stanie się sławny poza granicami stanu, oni już wiedzą, że tak się stanie. Nie da się spełnić tych wszystkich próśb, ale z drugiej strony odmowy mogą sprawić, że zaczną nas uważać za gburów; chyba nikt zwracający się z jakąś prośbą nie zdaje sobie sprawy z istnienia innych osób, robiących dokładnie to samo. Zaczynamy odczuwać to, że każdy proszący o coś do czegoś nas zobowiązuje. Pisze do nas list lub e— mail, zostawia wiadomość telefoniczną — i choć niespełnienie życzenia jest wystarczająco złe, całkowite zignorowanie wręcz niewybaczalne.

Z czasem sława staje się czymś zwyczajnym, jak nowy płaszcz czy nowy samochód, do którego przywykamy, wciąż jednak wywołuje dziwaczne i krępujące zachowania u innych. W sytuacjach oficjalnych ludzie, których n i — gdy nie znaliśmy, przyjaciele przyjaciół przyjaciół, ciotka naszego chłopaka z college'u, sąsiad naszego hydraulika — oni także domagają się od nas uwagi, wyznając, jak bliscy sobie jesteśmy. Przy różnych innych okazjach, prywatnych, niezwiązanych z przyczyną naszej sławy, na przykład na ślubach, koktajlach czy szkolnych imprezach połączonych ze zbieraniem funduszy, w których bierzemy udział, starając się przekonać samych siebie, że nadal jesteśmy zwykłymi ludźmi, inni nieustannie ryt nas zerkają. Staramy się zachowywać skromnie, nie zakładając, że wszyscy nas rozpoznają i na nas patrzą; poznając kogoś, przedstawiamy się, wymieniamy uwagi na temat kwiatów, pogody czy jedzenia. Ale tak naprawdę wszyscy chcą rozmawiać o nas: co ich z nami łączy (im bardziej luźny związek, tym bardziej zależy im, żeby go potwierdzić) lub gdzie byli, gdy właśnie przeczytali artykuł czy program telewizyjny na nasz temat, bądź też co podsłuchali o nas wśród ludzi na ulicy. Nie chcą z nami rozmawiać o tym, jak dziwnie jest być sławnym; nie rozumieją, że nawet w tej chwili sami przyczyniają się do tej dziwności.

Wreszcie stajemy się naprawdę sławni — nie lokalnie czy regionalnie, lecz po prostu sławni — i sytuacja zmienia się na lepsze. Stopniowo rozrasta się nasza świat, stając się na tyle liczna i profesjonalna, by odgrywać rolę bufora pomiędzy nami a resztą świata. Publicznie towarzyszy nam armia asystentów, jawnie bądź po cichu nie odstępuje nas ochrona. Nie można ot tak do nas podejść, a w sytuacjach gdy to możliwe, wszystko odbywa się systematycznie i pod ścisłą kontrolą. Dlatego o wiele trudniej jest być przeciętnie sławnym niż sławnym naprawdę. Jako osoby umiarkowanie sławne nadal chodzimy do sklepów, robimy te same rzeczy, co dawniej, w związku z czym w każdej chwili możemy być zauważeni i zaczepieni. Kiedy jest się bardzo sławnym, nie chodzi się do sklepu, chyba że na użytek sesji zdjęciowej, wiadomo też, że z miejsca zostanie się rozpoznany. Każde miejsce, w którym się pojawiajemy, ulega zmianie, nasza obecność oznacza, że wszyscy mówią wyłącznie o nas, robią nam zdjęcia telefonami komórkowymi. Dlatego w czasie prezydentury Charliego w zasadzie nie jadaliśmy w restauracjach w Waszyngtonie, chyba że z okazji jakiejś imprezy zorganizowanej przez wzgląd na nas; krytykowano nas za wyniosłość, choć tak naprawdę uważałam, że jest to nie w porządku wobec innych gości. Wybrali się do restauracji, by świętować urodziny albo awans w pracy, smarują właśnie chleb masłem, kiedy pojawiają się my, wprowadzając zamieszanie na sali. Dotąd było to miejsce, w którym świętowano jakąś uroczystą okazję, teraz stało się miejscem, w którym zjawili się prezydent z małżonką. Uważam, że to samolubne. Zużywamy znacznie więcej tlenu, niż się nam należy.

Na początku, w chwilach, w których czułam się przytłoczona swoją nową rolą pierwszej damy, tłumaczyłam sobie, że jestem najbardziej znaną osobą w kraju, może na świecie, która o tę sławę nie zabiegała. To było kłamstwo. Należałoby powiedzieć, która nie chciała tej sławy. Zabiegałam o popularność z ciężkim sercem i ogromną rezerwą, a mimo to udzielałam wywiadów, pozowałam do zdjęć, podróżowałam z Charliem samolotami i autobusami, wygłaszałam własne mowy i oklaskiwałam go, odwiedzałam kościoły, szpitale i lokalne pikniki. Jak każda sławna osoba ponosiłam częściową odpowiedzialność za swoją sławę. Owszem, parę razy w roku kilkoro zwykłych obywateli również zdobywa sławę — ofiara jakiejś wyjątkowo ponurej zbrodni, dziecko, które wstaje i łapie piłkę w rozgrywce play—off — ale ta sława przemija — O tę prawdziwą, która ma trwać dłużej, trzeba zabiegać, trzeba ją pielęgnować i umacniać. Nigdy nie przychodzi sama z siebie.

Może zaczęło się to w 1977 roku, kiedy Charlie po raz pierwszy startował do Kongresu, a może dużo wcześniej, kiedy w 1954 roku Harold Blackwell ubiegał się o urząd prokuratora generalnego Wisconsin. Rzucaliśmy się na pastwę ludzi — można to ująć nieco delikatniej, ale tak naprawdę to właśnie robimy. Uganiaemy się za nimi, roznosimy ulotki pod drzwi ich domów, zostawiamy je pod wycieraczkami samochodów, zwracamy się do nich za pośrednictwem telewizyjnych spotów, chodzimy do ich szkół, ratuszów, na targi rolnicze. Błagamy, by nas słuchali, bombardujemy ich obietnicami i planami, ale jednocześnie też sprzedajemy siebie.

Zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy, by jak najwięcej ludzi zwróciło na nas uwagę, a kiedy się udało, zaczynamy się skarżyć. „Zostawcie nas”, mówimy, „Mamy prawo do prywatności, tak samo jak wy”.

Przed wygłoszeniem przemówienia w Columbus Charlie dzwoni do mnie i mówi, że według niego Dena jest pozbawionym wiarygodności śmieciem.

— Spokojnie — mityguję go. Ze wszystkich sił staram się zdusić w sobie panikę. To dopiero początek skandalu, jeżeli w ogóle okaże się skandalem; najpierw muszę dokładnie poznać jego naturę, a dopiero potem poświęcić mu odpowiednią ilość energii.

Wraz z moją osobistą asystentką Ashley idziemy z Południowego Trawnika do Sali Przyjęć Dyplomatycznych, kiedy podchodzi do nas inna asystentka, Nicole Hethcote.

— Proszę pani, dzwoni państwa córka. Co mam powiedzieć?

— Odbiorę przy swoim biurku — odpowiadam.

Jak tylko rozlega się dzwonek telefonu w moim gabinecie we Wschód¹ nim Skrzydle, natychmiast podnoszę słuchawkę.

— Czy możesz poprosić, żeby tato choć przez pięć minut porozmawiał z tym Franklinem? — mówi Ella. — Pięć minut, nic więcej.

— Kochanie, nie możemy pozwolić, żeby opozycja dyktowała nam warunki rozmowy.

— Mówisz jak wujek Hank.

Ach, ta moja Ella. Ma teraz dwadzieścia osiem lat i w Goldman Sachs Pracuje ciężiej od Charliego, regularnie po dziewięćdziesiąt godzin tygodniowo. W magazynach pojawiają się czasem jej zdjęcia z Wyattem, jak razem wchodzą czy wychodzą z jakiejś eleganckiej restauracji (ich główne zajęcie poza pracą, której oboje oddają się z zapałem), i choć niezbyt lubię to, że jest na celowniku, i wstrząsa mną świadomość, że wydaje więcej w jeden wieczór na butelkę wina, niż ja płaciłam za miesięczny czynsz jako dwudziestolatka, nigdy się nie obawiam, że zachowa się niewłaściwie. Jest naszym cudem, inteligentna i zrównoważona, radosna, o usposobieniu będącym mieszaniną mojego spokoju i łobuzerstwa Charliego. Być może najbardziej zadziwia mnie jej całkowity brak niechęci do nas obojga. Zawsze dochodziło między nami do obowiązkowych sprzeczek i nieporozumień, jak w każdej rodzinie, ale nawet one, swoje apogeum osiągając, kiedy była w liceum (poza niezwykle, dotyczącymi jej bezpieczeństwa i ochrony sprawami, były też te bardziej zwykłe, jak długość spódniczki, godziny powrotu do domu, absolutnie niezbędnej konieczności posiadania dwóch dziurek, zamiast jednej w lewym uchu), teraz jakby zniknęły. Co prawda wątpię, czy świadomie wybrałaby dla naszej rodziny tę właśnie drogę — była w ósmej klasie, kiedy Charlie postanowił ubiegać się o urząd gubernatora Wisconsin, co sprawiło, że oskarżyła ojca o próbę zrujnowania jej życia — ale chyba nam już wybaczyła.

W czerwcu 2001 roku skończyła Princeton, przy której to okazji wizyta Charliego w kampusie wywołała lekkie zamieszanie. Wiedzieliśmy, że przez nasze pojawienie się wszyscy inni rodzice zostaną zmuszeni do poddania się szczegółowej kontroli, przechodzenia przez detektory metalu, i zastanawialiśmy się nawet, czy nie zrezygnować z udziału w uroczystości, ale żadne z nas nie zniosłoby tego. (Kiedy siedziałam w pierwszym rzędzie, na wprost Nassau Hall, ze skrzępowaniem myślałam o Joem Thayerze, który przed laty ożenił się z młodszą, sprawiającą wrażenie łagodnej nauczycielką muzyki z Biddle Academy, z którą ma dwójkę dzieci. Szczęśliwie jego dawniej niezbyt zrównoważona córka Megan również wyszła za mąż i mieszka w Maronee z dwójką dzieci). Ella dalej też poszła w ślady Charliego i uczęszczała do Wharton, chociaż — jak zażartował

Charlie, gdy przed dwoma laty wygłaszał tam mowę do absolwentów — poziom szkoły podniósł się tak znacząco, że on na pewno by się już do niej nie dostał.

Jak na razie Ella ani nie uległa urokowi polityki, ani nią nie pogardza. Kiedy była młodsza, chroniliśmy ją, nigdy nie zezwalając na udzielanie wywiadów, i chociaż uczestniczyła w obu inauguracjach Charliego, pierwszy raz aktywnie wzięła udział w kampanii w styczniu 2004 roku, kiedy to trzymała tabliczkę z nazwami ulic **BLACKWELL/PROUHET**, stojąc na skrzyżowaniu w Manchesterze, w stanie New Hampshire. W dalszym ciągu nie udzieliła wywiadu i bez wątpienia woli spędzać więcej czasu z przyjaciółmi i chłopakiem w świecie Manhattanu. Zawsze przyjeżdża do domu na święta, a w zeszłym roku zrobiła mi niespodziankę na moje sześćdziesiąte urodziny. Nie wyobrażam sobie, by kiedykolwiek ubiegała się o jakiś urząd, ale tak samo kiedyś nie wyobrażałam sobie, że zostanę żoną prezydenta kraju.

— Poważnie — mówi Ella. — Ten facet musi tam smażyć się żywcem.

— Wiem, zuczku, ale sytuacja nie jest taka prosta, jak mogłoby się wydawać.

— Mamo, uwierz mi, nie chodzi o to, że zgadzam się z nim w sprawie wycofania wojsk. — W Princeton Ella pisała pracę z publicznych i międzynarodowych stosunków i od początku głośno popierała wojnę. „Do zmiany reżimu może dojść wyłącznie poprzez wyeliminowanie islamskich dżihady— stów”, powiedziała, a mnie poraziła jej inteligencja i pewność siebie. Co mój własny ojciec powiedziałby o takiej wykształconej młodej kobiecie, posiadającej jasno sprecyzowane poglądy? Żeby tak się wymądrzać na temat Środkowego Wschodu? Też coś! (Z drugiej strony, jak przyjąłby prezydenturę Charliego? Był człowiekiem całkowicie pozbawionym cynizmu, staromodnie patriotycznym i lubię sobie wyobrażać, że szanowałby Charliego, a co za tym idzie, byłby dumny ze mnie. Może jednak lepiej, że mój ojciec tego nie dożył. Mogę sobie tylko wyobrazić, na podstawie nieustannie przytaczanych przez ojca słów o twarzach i nazwiskach głupców, jak zareagowałby na artykuł w „Esquire” — czasopiśmie, które subskrybował — który wywołał poruszenie w zeszłym miesiącu: „Dziesięć powodów, dla których Charlie Blackwell jest gównianym draniem”. Mój ojciec, który o kolejnych prezydentach nie wyrażał się inaczej jak pan Truman czy pan Eisenhower; nawet o woźnym w banku mawiał wyłącznie jako o panu White).

— W ten sposób tatuś wychodzi na pozbawionego serca — mówi Ella. — Nienawidzę, jak jego krytykom przybywa amunicji. Jak by to wyglądało, gdyby ten starzec dostał tam ataku serca?

— Kochanie, Edgar Franklin jest młodszy od taty i ode mnie.

— Wiesz, o co mi chodzi. Tak czy owak wy nie musicie siedzieć tam w skwarze. Hej, dzisiaj wieczorem zakładasz seksowne szpilki, prawda?

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych Ella zdołała mnie przekonać, że przynajmniej przy okazji oficjalnych występów zamiast „klockowatych obcasów” powinienam nosić „seksowne szpilki”. Jak sama powiedziała, wyszczuplają, a ponieważ na dodatek, dzięki pomocy dwóch profesjonalnych trenerów, w tej chwili ważę mniej, niż ważyłam jako trzydziestolatka, i nie jest mitem, że kamera dodaje dziesięć kilogramów, przyjmuję każdą ofiarowaną pomoc.

— Wszystko wskazuje na to, że tak — odpowiadam.

W tej samej chwili przez otwarte drzwi zauważam Hankę Uckera, jak rozmawia z Jessicą Sutton, szefową mojego personelu. Jak zareaguje Ella, jeżeli dowie się o mojej aborcji, a raczej kiedy się o niej dowie? Z jednej strony chcę wierzyć, że jest z zasady osobą wyrozumiałą, podobnie jak zapewne aktywną seksualnie. Z drugiej jednak strony, stała się, podobnie jak Charlie, odrodzoną chrześcijanką i jeszcze jako nastolatka miała na lustrze toaletki nalepkę z hasłem: **TO NIE WYBÓR, TO DZIECKO**. Dostała ją od liderki młodzieżowej grupy, do której należała.

— Nie sądzę, by jakaś kobieta chciała celowo poddać się aborcji — powiedziałam, kiedy tylko zauważyłam nalepkę. — Niektóre jednak są przekonane, że w ten sposób postępują bardziej odpowiedzialnie, niż gdyby wydały na świat dziecko, którym nie mogłyby się zająć.

— Po to właśnie są adopcje — odparła Ella, patrząc na mnie z przerażeniem.

Później ani razu nie skomentowała mojego stanowiska wobec aborcji, któremu dwukrotnie dałam wyraz w porannych programach telewizyjnych, chociaż na pewno o nich wiedziała.

Jessica puka delikatnie w moje otwarte drzwi.

— Hank ma najnowsze informacje — mówi, kiedy nasze spojrzenia się spotykają. Zbliży się do mnie o krok i zniża głos. — Dobrze się pani czuje?

— pyta niemal szeptem.

Zadzwoiłam do Jessiki z samochodu, by o wszystkim ją poinformować, prosząc jednocześnie, żeby nikomu o niczym nie wspominała. Mój personel jest naprawdę wyśmienity, jednak Jessice ufam bez zastrzeżeń — może dlatego, że znam ją niemal całe jej życie.

— Muszę kończyć, kochanie — mówię do słuchawki. — Zadzwoisz do mnie z lotniska? Wprowadź go, ale sama też zostań — zwracam się do Jessiki.

Kiedy wchodzi ponownie do mojego gabinetu, Hank zamyka za sobą drzwi, co oznacza, że agenci służb specjalnych zostają na zewnątrz.

— Jak dotąd ślad nie doprowadził nas do twojej przyjaciółki, Deny — mówi.
— Czy pamiętasz natomiast doktor Gladys Wycomb?

Wpatruję się w niego. Gladys Wycomb? Doktor Wycomb, ukochana mojej babci?

— Ależ ona miałaby teraz... — Staram się zebrać rozproszone myśli. — Ona musi mieć ze sto lat.

— Dokładnie sto cztery, nadal mieszka w Chicago, a opiekuje się nią niejaka Norene Davis. — Hank przewraca oczami. — Nawet nie starały się specjalnie zatrzeć śladów, chyba raczej liczyły, że ktoś zwróci na nie uwagę. Właśnie rozmawiałem z Gladys przez telefon i przysięgam, że nie będzie arogancją stwierdzenie, że telefon od wcielonego zła był najbardziej ekscytującą rzeczą, jaka kiedykolwiek spotkała starą wiedźmę.

— Rozmawiałeś bezpośrednio z nią?

Hank kiwa głową.

— Jest bardzo zadziorna jak na stulatkę, to muszę jej przyznać. Mówi, że poddała się zabiegowi jako Alice Warren.

— Czy nie jest to naruszenie tajemnicy lekarskiej albo przysięgi Hipokratesa?

— Zabawne, że o to pytasz. — Gładki ton Hanka zdradza mi, że to, co za chwilę powie, wcale nie będzie zabawne. — W zasadzie aborcja jest pogwałceniem przysięgi Hipokratesa. Oczywiście tu również obowiązuje tajemnica lekarska, ale wiesz, co ci powiem? Ktoś, kto ma sto cztery lata, może sobie robić, co mu się żywnie podoba.

Przypominają mi się białe kocie okulary Gladys Wycomb, jej masywna budowa ciała, jej szofer, eleganckie mieszkanie i tapeta w lilie w holu na zewnątrz, gdzie prawie cztery dekady temu zwymiotowałam do wazy z bożonarodzeniowym bukietem.

— A ode mnie się domaga, abym publicznie oszkalowała Ingrid Sanchez?

— Tak, nic wielkiego. Tylko tyle. A skoro już przy tym jesteśmy, możesz przypomnieć Amerykanom, jak entuzjastycznie popierasz prawo kobiet do wyboru.

— Czy doktor Wycomb wie, że powiedziałam, że popieram to prawo?

— To było dawno temu i najwyraźniej w tych obu razach nie podkreśliłaś

tego wystarczająco mocno. Odnoszę wrażenie, że panienka zdaje sobie sprawę, że lada dzień kopnie w kalendarz, że trochę za dużo ogląda C—SPAN10. Twierdzi, że to kwestia sumienia.

— Szantaż?

— Podkreślam jeszcze raz: ma sto cztery lata i zapewne odwali kite, zanim dotkną ją jakiegokolwiek prawne reperkusje. Ja cię nie osądzam, Alice, ale Amerykanie to zrobią. Jeżeli Norene Davis beknie za to, odsiedzi kilka lat, a ty wyobraź sobie oszalałe media, umowy na napisanie książki. Zostanie okrzyknięta mistrzynią walki o prawa kobiet i konserwatyści będą całe to gówno sprzątać jeszcze przez wiele lat.

— Co mam więc zrobić? Zaprzeczyć oskarżeniu i zarzucić doktor Wycomb kłamstwo?

— Nie musisz robić tego osobiście. — Zwraca się do Jessiki. — Możesz mi pomóc?

— Jakie są inne opcje? — pyta Jessica. Jest wysoka i smukła, ma na sobie czarne spodnie i jedwabną żółtą bluzkę bez rękawów. Wiele cech podziwiam w mojej szefowej personelu, ale przede wszystkim połączenie niewzruszonego spokoju i ciepła; często profesjonalizm i spokój idą w parze z emocjonalną rezerwą, lecz w przypadku Jessiki tak się nie dzieje.

— Niezbyt podoba mi się ten pomysł — mówi Hank. — Prezydentowi zapewne też nie przypadnie do gustu, ale możemy umówić wywiad, w którym możliwie w jak najbardziej zawołowany sposób skrytykujesz Ingrid Sanchez. Zrobimy to tak, żeby wyglądało na kompletnie niespodziewane, trudne pytanie, najlepiej nadaje się do tego rozmowa kobiety z kobietą — na przykład pokazujesz Dianę Sawyer, jak piękny jest o tej porze roku Ogród Różany, ona zaskakuje cię pytaniem, co sądzisz o nominacji do Sądu Najwyższego, a tobie wyrywa się, że chciałabyś, żeby Ingrid Sanchez jaśniej dała do zrozumienia, że popiera prawo kobiet do...

Jessica kręci głową.

— A jeśli to nie wystarczy Gladys Wycomb? To najgorszy z możliwych scenariuszy: my kapitulujemy, a ona gada dalej.

— Chcę się z nią zobaczyć. — Wstaję. Pomysł wpadł mi do głowy nagle, ale nie mam wątpliwości. — Jeżeli wyjadę natychmiast, zdążę wrócić, żeby oprowa-

dziecięcy chór. Chciałabym porozmawiać z doktor Wycomb osobiście. Ona była... — urywam. — Była drogą przyjaciółką mojej babci.

— Jej lojalność wobec twojej rodziny jest doprawdy ujmująca. — Hank patrzy na swój zegarek. — Jeżeli masz coś do załatwienia przed wyjazdem, samolot będzie czekał.

— Już wszystko zaplanowałeś?

Hank się uśmiecha. Uwielbia wiedzieć, czego ktoś będzie chciał, choć sam jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy.

— Z oczywistych powodów, musi to być podróż w czapce baseballowej, tutaj natomiast rozpuścimy pogłoskę, że pojechałaś zobaczyć się ze swoją mamą.

„Podróż w czapce baseballowej” to nazwa podróży poza protokołem, w którą zaangażowanych jest możliwie jak najmniej osób. Pochodzi z czasów, gdy Charlie dwukrotnie jeździł do strefy wojennej za granicą: raz pod osłoną nocy opuścił Biały Dom, drugi raz Camp David, skąd udał się do bazy lotniczej w Andrews bez asysty kawalkady, lecz w pojedynczym SUV— ie z przyciemnionymi szybami. Siedział z tyłu, w nasuniętej na oczy czapce baseballowej, towarzyszył mu sekretarz stanu i tylko dwóch agentów służb specjalnych; nawet niewielka grupa dziennikarzy, która dołączyła do niego na pokładzie Air Force One, o celu podróży dowiedziała się dopiero, kiedy byli już w powietrzu.

— Jessico, uważam, że tylko ty powinnaś jej towarzyszyć, plus ci, którzy według Cala są niezbędni ze względów bezpieczeństwa — mówi Hank, po czym zwraca się ponownie do mnie: — jeżeli ktoś może odwieść tę panią od jej zamiarów, to tylko ty. Pojedziesz do Chicago, podeprzesz się waszą osobistą znajomością, schlebiaj jej i wręcz emanuj szczerością. Co prawda wszystko może zadziałać na naszą niekorzyść. Gdyby dajmy na to, nie udało ci się jej omamić słodkimi słówkami, wtedy twoja wizyta tylko uwiarygodni jej rewelacje, ale jakoś sobie z tym poradzimy. Powiemy na przykład, że to bredzenie chorej na alzheimera starszki. Spotkałyście się, to prawda, ale całą tę aborcję sobie wymyśliła.

— Hank. — Zaczekałam, aż spojrzy wprost na mnie. — Ja nie emanuję szczerością. Ja jestem szczerą.

Na twarz Hanka wypływa powoli uśmiezek.

— I to jest twoją piętą achillesową — powiada.

Nikt, kto nie zaznał sławy, nie rozumie, czym jest krytyka. Oczywiście, to obzucanie błotem i tak dalej. Wiele osób zapewne marzyło, by choć raz spotkać^{Się} z czyjąś absolutną szczerością. Jak naprawdę wyglądam w tej sukience czy fry-

zurze? Co naprawdę myślisz o mojej żonie, o moim synu, o domu, który zbudowałem, piśmie, które napisałem, cieście, które upiekłem?

Ale tak w głębi ducha ludzie nie chcą tego wiedzieć. Pragną, aby prawiono im komplementy, ale jednocześnie, aby te komplementy były szczere; chcą być podziwiani we wszystkim, lecz żeby to był prawdziwy, szczery podziw. A przecież nie na tym polega wyrażanie prawdziwych opinii. Takie nieubarwione sądy mogą być niszczycielskie, przynajmniej na początku. Jak napisała jedna z moich poprzedniczek, Eleanor Roosevelt: „Każda kobieta prowadząca publiczne życie musi mieć skórę grubą jak nosorożec”.

Krytykowanym można być na dwa sposoby: neutralny i celowy. Krytyka neutralna pojawia się na przykład w ostentacyjnie obiektywnym artykule, niby to wtrącona: „Pani Blackwell, który nigdy nie słynęła z wyczulenia na modę... Zapytana o ranking uznania dla swojego męża pani Blackwell sztywnieje i przyjmuje postawę obronną... Choć bliscy współpracownicy twierdzą, że ma poczucie humoru, Alice Blackwell rzadko demonstruje je publicznie... W przeciwieństwie do innych pierwszych par przed nimi, gościnnych i ciepłych...”. Można spędzić godzinę w towarzystwie dziennikarza, pilnować się, szczególnie na początku, ale poradzić sobie, nawet pośmiać się wspólnie kilka razy (właśnie, pośmiać się, chociaż ma się opinię ponuraka), żywić przekonanie, że wywiad się udał, a potem... coś takiego? Krytyka neutralna bardziej boli, ponieważ jest pozornie niezamierzona; niekoniecznie musi być to prawda, ale tak to wygląda, ponieważ dziennikarz nie p r ó b u j e krytykować, po prostu stwierdza fakty.

Bezpośrednie ataki pojawiają się najczęściej w telewizji kablowej lub na blogach; w przypadku blogów są one bardziej zaciekle — ich autor może toczyć pianę, czerwienić się z emocji i z wściekłością walić w klawiaturę: „Cóż za zdrada wobec feminizmu... Jak myślicie, ile valium musi zażyć, żeby zapomnieć, że poślubiła Antychrysta?... O MÓJ BOŻE to TAKA ŻONA ZE STEPFORD!!!!”. Raz, dwa razy w roku wpisuję moje imię i nazwisko w wyszukiwarke — nie chcę być całkowicie chroniona przed światem zewnętrznym — i kiedy przeglądam wyniki, mam wrażenie, że ktoś w moim brzuchu przekręca śrubę. Za każdym razem myślę, że to pomyłka, a potem upływa tyle czasu, że o wszystkim zapominam. Bycie obiektem pogardy obcych ludzi jest nie tylko bolesne, ale też tak odmienne od powszechnie przyjętych norm, że wręcz zaskakujące. Ludzie, którzy nie zaznali sławy, sądzą, że ci sławni są nieustannie z siebie zadowoleni, lubią wystawiać się na widok publiczny Zapewne tacy też się zdarzają, ale nie są to wszyscy. Te ataki przez **Internet** są podobnie jak prawda niekontrolowane i nieprzefiltrowane przez główne media, tyle że na swój sposób również zwodnicze. Co prawda moi krytycy są w mniejszości, ale jak mogę słuchać pochwał, gdy doszukujący się wad bywają tak agresywni, tak niezadowoleni, tak pewni swoich racji?

Poza tym jesteśmy dosłownie zalewani skrzywionymi lub z gruntu błędnymi informacjami, motywami i uczuciami, nieprawidłowo interpretowanymi: na temat śmierci Andrew Imhofa (Czy to nie szczęśliwy zbieg okoliczności, że Alice Blackwell była biała, bogata i nie musiała pójść do więzienia za zabicie swojego chłopaka?), o mojej domniemanej chrześcijańskiej ewangelizacji (w wielu gazetach pojawiła się historia obrazkowa, w której czytam Biblię muzułmańskim dzieciom i mówię: „A teraz, dziewczynki i chłopcy, wystarczy, żebyście pomodlili się do Jezusa Chrystusa i wszystko będzie dobrze”), o mojej intelektualnej wyższości nad Charliem (kolejna historyjka: Charlie i ja leżymy w łóżku wieczorem, ja pogrążona w lekturze *Wojny i pokoju*, Charlie kartkujący *Kota Prota*). Któregoś roku dostałam od Jadey kartkę urodzinową — zdaje się bardzo popularną — z moim zdjęciem, na którym widnieją uśmiechnięta, w granatowym kostiumie i z broszką w kształcie orła. (Nigdy jej specjalnie nie lubiłam, ale dostałam ją od żony sekretarza obrony w rządzie Charliego i czułam się zobowiązana kilka razy ją założyć). Na pierwszej stronie kartki widnieje napis: „Są rzeczy gorsze od urodzin...”, a wewnątrz jego ciąg dalszy: „Mogłabyś być żoną JEGO”. Pod spodem Jadey dopisała: „Nie obraż się!”.

Niektóre z tych informacji o nas, o mnie, dotyczą faktów i są raczej nieistotne — na przykład ile mieliśmy z Charliem lat, kiedy braliśmy ślub, błąd w nazwisku mojej sąsiadki z dzieciństwa, pani Falkę — lecz bez względu na wymowę czy rodzaj błędu rzadko uważałam, by warto było prosić rzecznika o sprostowanie. Muszę się też pogodzić z faktem, że niektóre z tych błędów rozpowszechniają ludzie najbliżsi Charliemu, głównie Hank: że jestem jakoby córką listonosza, co rozniosło się w czasie pierwszej kampanii. (Doprawdy na ironię zakrawa, że moje średnie pochodzenie okazało się z politycznego punktu widzenia moim najmocniejszym atutem. Aura Wschodniego Wybrzeża, Ligi Bluszczowej i dynastycznego uprzywilejowania, która przyłgnęła do Charliego, została zrównoważona moją skromną autentycznością rodem z Wisconsin).

Moje notowania wciąż utrzymują się na wysokim poziomie, ale publiczny wizerunek ma niewiele wspólnego z prawdziwą mną, z tym, co myślę czy choćby jak spędzam czas. Hank raz przeprowadził badanie opinii społecznej, które dowiodło, że większość Amerykanów żywi przekonanie, iż jestem gorliwą chrześcijanką, która nigdy w życiu nie skalała się pracą. Być może właśnie dlatego moje notowania wciąż są takie wysokie.

Nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek pozostał obojętny wobec swojego wypaczonego wizerunku, i nie będę twierdzić, że mnie to nie dotyka, ale w czasie pierwszej kampanii gubernatorskiej Charliego przyrzekłam sobie nie tracić energii na prostowanie błędnych informacji. Rzeczniczka prasowa zorganizowała spotkanie z dziennikarzem „Sentinela” u nas w domu (nienawidzę przyjmować dziennikarzy w domu, wiem bowiem, że oceniają nasze rodzinne zdjęcia, czaso-

pisma, bibeloty, magnesy na lodówce, które nie są przeznaczone dla ich oczu, my po prostu gromadzimy je przez całe nasze życie — stało się to mniej uciążliwe, gdy przeprowadziliśmy się do rezydencji gubernatora, a potem do Białego Domu, ponieważ wtedy zarówno reporterzy, jak i my byliśmy intruzami). W czasie wywiadu dziennikarz wypytywał mnie o uprawę ogrodu, pieczenie i książki dla dzieci; dałam mu wskazówki, jak należy uprawiać ostróżki, podałam przepis na ciasteczka z melasy i listę ulubionych tytułów, poczynając od *Drzewka darów*.

„Mimo że przez swoje małżeństwo weszła do takiej rodziny, Alice Blackwell jest niezachwianie apolityczna”, zaczynał się artykuł. „Opieka społeczna i zdrowotna” — nie, wielkie dzięki, woli raczej opowiadać, jakim cudem jej ciasteczka z melasy są takie mięciutkie...

Byłam przerażona; Charlie uważał, że to komiczne, a Hank był artykułem zachwycony, głównie dlatego, że demokratyczny przeciwnik Charliego, zasiedziały na urzędzie dotychczasowy gubernator, właśnie rozwiódł się z żoną po trzydziestu trzech latach małżeństwa, by ożenić się z podejrzanie atrakcyjną i znacznie młodszą lobbystką, co w żaden sposób nie mogło konkurować z naszą przesłodzoną rodzinną atmosferką. Przez dwadzieścia cztery godziny od ukazania się artykułu byłam zdenerwowana i spięta i nieustannie układałam sobie w głowie listy do wydawcy. Poszłam sama na spacer — nie należeliśmy już do Maronee Country Club, Charlie musiał zrezygnować z członkostwa ze względu na niezręczną sytuację wynikającą z faktu, że klub nie posiadał żadnych czarnoskórych członków. Od tego czasu, nie przebywając w towarzystwie Jadey, musiałam spacerować po ulicach — i naraz zrodziło się w mojej głowie przekonanie, które w ciągu lat nieustannie powracało, że mimo że Charlie ubiega się o urząd, ja nie. Mój portret przedstawiony w artykule nie był ani prawdziwy, ani nieprawdziwy; to, jak żyłam, nie pokazywało mnie w całości, ale było jedyną rzeczywistością, którą mogłam kontrolować. Postanowiłam, że nie będę się zmieniać ani uginać pod presją, by zadowolić media. Będę odpowiadać sama przed sobą i zawsze będę wiedzieć, czy sprostałam własnym oczekiwaniom. Ileż dzięki temu uniknę stresów, o ileż będę spokojniejsza. Od tamtego popołudnia zawsze starałam się być uprzejma wobec przedstawicieli mediów, chociaż zdaję sobie sprawę, że nie zawsze wychodziłam im naprzeciw tak, jak by sobie tego życzyli. Starałam się wyrażać możliwie jak najprościej, odpowiadałam na ich pytania, zamiast promować własne interesy, nie zdradzałam osobistych szczegółów czy słabych punktów. Mówiłam, że zakochałam się w Charliem, ponieważ wydał mi się zabawny; kiedy zginął Andrew Imhof, byłam niewyobrażalnie smutna; a kiedy myślałam o naszych żołnierzach, martwię się o nich i podziwiam ich odwagę oraz poświęcenie. Nie próbuję przekonać dziennikarzy, że mówię to z głębi serca (w końcu nie im to oceniać), nie wygłaszam też inteligentnych uwag; nie dyskredytuję oponentów Charliego, Uważam za skromne zwycięstwo, że niewiele z tego,

co mówię, godne jest późniejszego cytowania i że często wypadam raczej nudnawo.

Kiedy Ella studiowała, jedyne, co wiedziała o niej opinia publiczna, to: że uczyła się w Princeton i należała do ekskluzywnego klubu (nie do tego samego co Charlie, lecz do Ivy), którego członkowie pili często i dużo. Tak się złożyło, że jako wolontariuszka udzielała się w działającej na terenie kampusu chrześcijańskiej organizacji, która co weekend organizowała turnieje piłki nożnej i koszykówki dla dzieci z biednej dzielnicy Trenton, i rzecznik prasowy Białego Domu, w owym czasie niejaki Travis Styles, starał się mnie przekonać, bym wyraziła zgodę na artykuł ukazujący działalność Elli w organizacji. Odmówiłam. Wiem, że są ludzie, według których to, co nieudokumentowane, nie istnieje, ale ja się z tym nie zgadzam. To nie kamera czy dziennikarz sprawiają, że coś jest rzeczywiste i prawdziwe, a raczej można powiedzieć, że zarówno kamera, jak i dziennikarz powodują coś wręcz przeciwnego.

Nie jest tajemnicą, że w przypadku niektórych ludzi skupiona na nich uwaga wzmaga ich apetyt i pragną jej więcej. Z tego powodu uważam, że mam szczęście, nigdy nie odczuwając podobnego głodu. Jeżeli ktoś nie pragnie skupiać na sobie uwagi, a i tak musi to znosić, stanowi to tylko niedogodność. Ale jeżeli pragnie się tego, nigdy nie jest się zaspokojonym. Wielokrotnie byłam tego świadkiem zarówno w Wisconsin, jak i w Waszyngtonie. Czasami chciałabym porozmawiać o tym otwarciu z Oprah, jedyną kobietą w kraju bardziej widoczną ode mnie, stanowiącą wręcz kanwę, na której wielu Amerykanów snuje swoje marzenia, pragnienia i lęki; słowo daję, bycie Oprah to z pewnością wielki ciężar, ona jednak zdaje się to wytrzymywać z wdziękiem. Co prawda wystąpiłam w jej programie dwukrotnie, obawiam się jednak, że tete— a— tete jest niemożliwe, jako że ona jest demokratką i nie pochwała mojego męża.

W każdym razie wszelkie tego rodzaju ostrzeżenia dotyczące tej gorszej strony sławy są na ogół ignorowane, lekceważone jako uskarżanie się lub fałszywa skromność. Gdyby ludzie ich słuchali, zamiast ignorować, już więcej nikt nigdy nie uganiałby się za popularnością. Ludzie jednak robią to nieustannie, starają się i wysilają w nadziei, że któregoś dnia i im będzie dane rozpaczać nad swoim wizerunkiem. „W końcu będę zadowolony”, myślą sobie i dopiero kiedy zdobędą tę sławę, o którą tak zabiegają, rozumieją, jak bardzo się mylili.

Może jednak jestem w błędzie. Może większość byłaby jak Charlie — rozkoszowałaby się korzyściami płynącymi ze sławy, jednocześnie tak naprawdę nie czując ciężaru kosztów i odpowiedzialności, jakie się z nią wiążą.

Gladys Wycomb mieszka w innym mieszkaniu i innym budynku, oddalonym o kilka przecznic od tego, w którym mieszkałam na przełomie 1962 i 1963 roku;

tamten był równie elegancki, choć znacznie mniejszy. Kiedy weszłam do jej salonu, wprowadzona przez Norene Davis (wyglądającą raczej na zwykłą pracownicę niż współkonspiratorkę), od razu przypomniałam sobie niektóre z obrazów pani doktor sprzed tych wszystkich lat, aczkolwiek dopiero teraz potrafiłam określić ich pochodzenie. Były autorstwa artystów szkoły nowojorskiej i jestem niemal pewna, że jeden z nich to de Kooning. Zdążyłam już odwiedzić wiele bogato wyposażonych domów i hoteli, wreszcie sama przecież mieszkam w muzeum, teraz jednak uderza mnie fakt, że znalazłam się w pierwszym naprawdę eleganckim domu, który ma to coś, czego nigdy nie da się kupić za żadne pieniądze — styl. Nic dziwnego, że moja babcia była tak do niej przywiązana.

Sama doktor Wycomb siedzi w fotelu obitym oliwkowym aksamitem i chociaż w mieszkaniu jest ciepło, dolną część jej ciała otula pled. Nosi niemodne wielkie okulary (już nie w kształcie kocich oczu), jedwabną luźną sukienkę, chociaż nie jest już tą samą dużą kobietą, teraz musi ważyć o połowę mniej, niż kiedy widziałam ją po raz ostatni. Twarz ma niesamowicie pomarszczoną, włosy krótkie i siwe, a widoczne zza okularów oczy uważne i pełne życia. Obok niej, pomiędzy fotelem i obrotową biblioteczką z drzewa orzechowego, stoi chodzik, a na marmurowym stoliku ustawionym jakiś metr od niej dostrzegam trzynastocalowy czarno—biały odbiornik telewizyjny (nie widziałam czarno—białego telewizora od lat). Gdy wchodzę, doktor Wycomb nachyla się, by ściszyć głos — telewizor zgodnie z przewidywaniami Hanka ustawiony jest na C—SPAN.

Nie wstaje, kiedy Norene Davis oznajmia moje przybycie — mam wrażenie, że kosztowałoby ją to zbyt wiele wysiłku, ale być może też chce dać mi coś do zrozumienia — podchodzę więc do niej i nachylam się.

— Pani doktor, dawno się nie widziałyśmy — mówię przesadnie głośno i wesoło. Wyciągam dłoń, a kiedy ona nie podaje mi swojej, klepię ją po ręce.

— Ma pani przepiękne mieszkanie.

Na jej ustach pojawia się cień uśmiechu.

— Alice — odzywa się powoli i cicho, ale głosem doskonale słyszalnym.

— Nie wszyscy starzy ludzie muszą być od razu głusi.

Z miejsca odczuwam ulgę. Kiedy spotykamy ludzi, którzy znali nas, zanim staliśmy się sławni, w ciągu kilku pierwszych sekund możemy się domyślić, jak nas teraz postrzegają — czy rozumieją, że nadal jesteśmy sobą i że tak właśnie mogą nas traktować, czy też zmieniliśmy się w ich oczach, trzeba nam schlebiać i traktować z poważaniem. Chyba nic w tym dziwnego, zwłaszcza że tak wielu z nas ulega wpływom innych i zachowuje się tak, jak inni tego od nich oczekują. Kiedy starzy przyjaciele i znajomi traktują mnie z wielkim szacunkiem, wycofuję

się (czuję się skrępowana, choć na pewno odbierane to jest jak wyniosłość), co tylko zdaje się utwierdzać ich w przekonaniu, że nie mogą czuć się w moim towarzystwie tak swobodnie jak niegdyś; kiedy jednak od początku zachowują się normalnie, ja również. Nie ma wątpliwości, że dla Gladys Wycomb jestem przede wszystkim wnuczką Emilie Lindgren, a nie pierwszą damą Stanów Zjednoczonych.

— Mogę usiąść? — pytam, wskazując na pozłacany fotel.

— Cieszę się, że w końcu udało mi się do ciebie dotrzeć — mówi doktor Wycomb. — Norene nieustannie próbowała porozumieć się z kimś z twojego biura, ale za każdym razem odsyłano ją z kwitkiem. Dlatego pomyślałam o panu Uckerze.

— Och, naprawdę mi przykro. — Z iloma osobami rozmawiała Norene? Ciekawe. I co jej powiedzieli.

Znowu ten słaby uśmiech.

— Pan Ucker był bardzo zainteresowany, jak tylko jego ludzie sprawdzili że nie jesteśmy stuknięte. — Przerywa na chwilę. — Razem z Norene uważamy, że pan Ucker wygląda jak troll.

Hank jest najbardziej widocznym członkiem administracji poza Charliem i wiceprezydentem, dlatego też ma zarówno tabun wielbicieli, jak i legiony przeciwników. Opinia publiczna postrzega go jako Svengalego i uważa, że wybór oraz reelekcja Charliego, jak również wiele konserwatywnych posunięć mojego męża są głównie jego zasługą. Kiedy ktoś zna Hanka równie dobrze jak ja, nie widzi w nim aż tak intrygującej i tajemniczej osoby, ale nie zaprzeczę, że Charlie prawdopodobnie nie zostałby prezydentem, gdyby Hank nie namówił go do ubiegania się o urząd gubernatora i nie zorganizował następnych kampanii. (Hank nie posiadał się z radości, kiedy Charlie został partnerem zarządzającym Brewersów, ponieważ dzięki temu zyskał w końcu własną tożsamość, niekojarzoną z jego rodziną, coś, do czego mógł się odwołać, gdy wyborcy Wisconsin zapytali go, co zrobił dla ich stanu. Różnica pomiędzy Hankiem i Charliem polega na tym, że Hank postrzegał tę pracę jako idealny stopień do dalszej kariery, dla Charliego natomiast była pracą wymarzoną; bez nacisków ze strony Hanka, podbechtywania ego Charliego, mój mąż chyba nie miałby nic przeciwko temu, aby w dalszym ciągu się tym zajmować).

— Gdzie podziali się twoi siepacze? — pyta doktor Wycomb. — Może chcieliby się czegoś napić?

— Nic im nie będzie — odpowiadam.

Cal, mój agent, nalegał, aby polecieć do Chicago we trzech, a na miejscu dołączyło do nas trzech kolejnych miejscowych agentów. Gdy przybyliśmy do budynku, w którym mieszka doktor Wycomb, Walter i trzeci agent z Waszyngtonu, Jose, najpierw sprawdzili wszystko i dopiero potem ja mogłam wejść. Teraz Cal i Jose czekali w holu, Walter wrócił do samochodu stojącego przed wejściem do budynku (w którym czeka Jessica), a trzech miejscowi agenci patrolują budynek na zewnątrz.

— Pani doktor, kiedy moja babcia i ja przyjechałyśmy do pani, nigdy wcześniej nie byłam w wielkim mieście i od tamtej chwili żywię do Chicago prawdziwy sentyment.

Gdy to mówię, dociera do mnie niepokojąca myśl, że mam w tej chwili tyle lat, ile miała doktor Wycomb podczas naszej wizyty u niej.

— Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłabym zamieszkać gdzie indziej — mówi ona.

Waham się przez chwilę.

— Oczywiście obie wiemy, co mnie tu sprowadza — odzywam się. — Rozumiem pani troskę, naprawdę, i chcę jasno podkreślić, że szanuję pani opinię. Lecz pani rozmowa z mediami na temat medycznego zabiegu byłaby poważnym błędem. Nie będę udawać, że nie zaszkodziłoby mi to, podejrzewam jednak, że byłoby również poważną szkodą dla pani.

— Jeżeli tylko o to się martwisz, Alice, to rozejrzyj się, proszę. — Ton doktor Wycomb brzmi teraz całkowicie odmiennie od tego, w którym na początku wymieniała ze mną uprzejmości. — Twój mąż i wiceprezydent powinni stanąć przed sądem jako zbrodniarze wojenni. — Otwieram usta, by zareagować, ona jednak mówi dalej. — Jak sądzę, prezydent może się tłumaczyć, że urodził się głupcem, jednak od sześciu lat zastanawiam się, co ty mogłabyś powiedzieć na swoją obronę. Nie wiem, jak udaje ci się spać w nocy.

Oczywiście wiem, że wielu ludzi żywi podobne przekonania, nigdy jednak nikt mi ich nie przedstawił równie bezpośrednio. Poza tym nie padają z ust ludzi, których znam, czy też osób tak starych.

— Czyż to nie szczęście, że żyjemy w kraju, w którym dopuszczalna jest taka forma krytyki? — mówię. — Pani doktor, ma pani pełne prawo nie zgadzać się z wyborami prezydenta, proszę jednak nie zapominać, że jego administracja nie ma nic wspólnego ze mną osobiście.

— Bardzo wygodne podejście. — Spogląda prosto przed siebie. — Ale osobiste znaczy polityczne, a może nie zauważyłaś ruchów feministycznych? — Ob-

raca głowę i nasze spojrzenia się spotykają. — Wiele razy chciałam napisać do ciebie list, ale tłumaczyłam sobie, Gladys, on do niej nie dotrze, ^gdy go nawet nie zobaczy. Wciąż jednak miałam nadzieję, że jakoś zareagujesz. Czekałam na jakiś dowód, że starasz się go powstrzymać, przemówić mu do rozsądku.

— Nie każda rozmowa jest upubliczniona, pani doktor.

— Chcesz mi powiedzieć, że sprzeciwiałaś się mężowi?

— Odpowiadam przed własnym sumieniem. Tylko tyle mogę powiedzieć.

— A ja odpowiadam przed swoim — powiada doktor Wycomb. — I nie chciałabym, żebyś myślała, że boję się zdradzić twój sekret. Nie, jedyne, czego żałuję, to że milczałam tak długo.

Obie nic nie mówimy, a ja słyszę dźwięk innego telewizora — chyba jakaś opera mydlana — dochodzący gdzieś z głębi mieszkania. Norene Davis, co zauważyłam, kiedy mnie wprowadzała, nosi czarne włosy spięte w kucyk i fartuch w misie.

— Jak sądzisz, kto najbardziej ucierpi na odrzuceniu ustawy Roe? — pyta doktor Wycomb. — Nie kobiety, które znamy. One pójdą do swoich lekarzy, tak jak ty przysłaś do mnie, wszystko odbędzie się po cichutku, w czystości, bardzo profesjonalnie. A dokąd pójdą te biedne? Każdy lekarz wie, że zakaz aborcji nie zmniejsza ich liczby, lecz sprawia tylko, że stają się mniej bezpieczne. Przed siedemdziesiątym trzecim miałam pacjentki, które trafiały do mnie po źle przeprowadzonych zabiegach. Przychodziły z sepsą i bakteremią, na widok których śniłyby ci się później koszmary, i te miały szczęście — inne umierały, zanim otrzymały pomoc. Miałam stać z boku i siedzieć cicho, widząc, jak kraj do tego wraca? — Dygocze, jej całym ciałem wstrząsają delikatne dreszcze. — Nie mogę już dłużej tolerować postawy tej administracji, przekonania, że jeżeli coś nie dotyczy was osobiście, to się nie liczy. J a nigdy nie potrzebowałam aborcji, prawda? Teraz jestem już na tyle stara, że nie dożyję tego, co się stanie. Nie oznacza to jednak, że mogę powiedzieć: „Do diabła z wami wszystkimi, żegnajcie”.

— Pani doktor, proszę nie zapominać, że to amerykański naród wybrał prezydenta Blackwella. Nawet jeżeli pani się z nim nie zgadza, wielu obywateli wręcz przeciwnie. Nie da się zadowolić wszystkich.

— Wynik wyborów był sfingowany. — Ściągnęła wąskie usta; jest na mnie wściekła, naprawdę wściekła.

— Rozumiem pani niezadowolenie, ale...

— Jesteś zwykłą marionetką. Nawet słowa, których używasz, brzmią, jakby ktoś ci je napisał i kazał wygłosić.

Nie tak odzywają się ludzie do pierwszej damy — nikt tak nie robi, a jeżeli trafi się jakiś protestujący podczas wystąpienia, szybko zostaje pacyfikowany. Uwagi doktor Wycomb są obraźliwe i irytujące, pełne pogardy, lecz jednocześnie w jej gniewie jest coś czystego i prawdziwego, niczym zimowy wiatr. Dzięki tej bezpośredniej konfrontacji czuję się świeższa, jakby rozluźniona.

— Zapewne pani wiadomo, że w dwóch niezależnych wywiadach powiedziała, iż jestem za prawem wyboru? — zapytałam, chociaż z góry znałam odpowiedź.

— Mówisz o tych dwóch razach, gdy udzieliłaś odpowiedzi składających się z jednego słowa?

— Chciałabym, żeby udało nam się znaleźć rozwiązanie zadowalające obie strony — mówię. — Sądzi pani, że to możliwe?

— Trzymajcie Sanchez z dala od Sądu Najwyższego.

— W tej kwestii nie mam absolutnie nic do powiedzenia.

— Na miłość boską, w końcu jesteś żoną prezydenta Stanów Zjednoczonych! Kogo posłucha, jeżeli nie ciebie?

Czy mogłabym przekonać Charliego, żeby wycofał nominację Ingrid Sanchez — lub raczej zgodnie z protokołem, przekonać Charliego, żeby przekonał Ingrid Sanchez do wycofania swojej kandydatury? Nawet gdyby było to możliwe, wyglądałoby to podejrzanie, jakby w ten sposób bardziej usiłowano oszczędzić mi publicznego upokorzenia, niż dać wyraz politycznemu stanowisku. Zdecydowanie życzyłabym sobie, aby aborcja pozostała legalna, choć wiedziałam, że wraz z zatwierdzeniem sędzi Sanchez może stać się inaczej. Zdaję też sobie sprawę, że wychodzę tu na hipokrytkę, choć wątpię, bym zgodziła się z taką charakterystyką; przecież nie powiedziałam jednego, a zrobiłam coś zgoła innego. Naprawdę szczerze jestem przekonana, że nie na mnie spoczywa odpowiedzialność, że nie mam prawa podejmować prób wpływania na ustawodawstwo. Nie ma znaczenia, ile razy to powtarzałam, ludzie nie chcą przyjąć do wiadomości, że ja nie zostałam wybrana. Czy próbowałam zachęcać Charliego do podjęcia jakichś kroków? Oczywiście. Wyrażałam swoje poparcie dla wczesnej edukacji, zwiększenia funduszy na sztukę, walkę z analfabetyzmem — lecz są to sprawy wywołujące niewielkie kontrowersje, sprawy, w kwestii których Charlie chce znać moje zdanie.

— Pani doktor, przyznaję, że jeszcze nie wiem, czy pani propozycja jest szantażem — mówię. — Ale z całą pewnością tak to wygląda, a Norene Davis ma w tym swój czynny udział. Proszę mi wierzyć, że to nie groźba, ale dobijając targu, zaszkodzimy wszystkim. Nie mogę zablokować nominacji do Sądu Najwyższe-

go, żeby chronić siebie — nie mam takiego zamiaru, a zresztą chyba nawet nie posiadam takiej władzy. W ten sposób decyzja ponownie leży w pani rękach i od pani będzie[^]zależało, jak pani postąpi, lecz według mnie zdradzając dziennikar-
zom, że przeprowadziła pani zabieg, jawnie pogwałciła pani tajemnicę lekarską.

— Mówimy tu o aborcji. — Znowu nie patrzy na mnie. — Wam łamanie prawa nie przeszkadza, jeżeli tylko leży w waszym interesie. Dla was zbrodnia jest tylko wtedy, kiedy popełnia ją ktoś inny.

Dociera do mnie, że ona naprawdę to robi — nie ma w niej cienia lęku. Nie obchodzą jej żadne konsekwencje, nawet wobec Norene. Jej ponadstu— letnie życie sprowadziło się do jednego: nienawidzi Charliego, nienawidzi wszystkiego, co on według niej reprezentuje. I mnie też nienawidzi, ona uważa, że ja jestem gorsza od niego. Podpisuje się pod przekonaniem szeroko rozpowszechnionym wśród demokratów, ale również nieobcym niektórym republikanom, że Charlie jest idiotą, złym idiotą, co w pewnym sensie go usprawiedliwia. Ale ja — ja powinnam być mądrzejsza.

Nagle nachodzi mnie myśl: okay. Okay, rozgłośmy wszem wobec, że miałam aborcję; niech dowie się cały świat; niech usłyszą o tym w Missouri, Utah i Loizjanie, w Irlandii, Egipcie i Salwadorze. Nie będzie to nieprawdą; ja rzeczywiście miałam aborcję. Będę osądzana, będę krytykowana, brana w krzyżowy ogień pytań w różnych talk— show, będą stroić sobie ze mnie żarty w późnowieczornych programach telewizyjnych, będą obdzierać mnie ze skóry lub mnie bronić (choć zapewne głównie to pierwsze) we wstępniakach. W niedzielę po podaniu rewelacji do wiadomości publicznej w *Przeglądzie tygodnia* w „The New York Timesie” trzy różne artykuły na mój temat będą przedstawiać to samo, choć w różnych wersjach. Nawet zwolennicy prawa do wyboru okrzykną mnie oszustką; ugrupowania feministyczne zrobią ze mnie dowód czegoś lub potraktują jako ostrzeżenie przed czymś innym. Już do końca życia w każdym wywiadzie będą mnie prosić, bym wyjaśniła, dlaczego zdecydowałam się na aborcję i dlaczego później tak długo milczałam na ten temat; poproszą o wyjaśnienie rozbieżności pomiędzy moim prywatnym doświadczeniem a polityką i prawodawstwem mojego męża. I cokolwiek odpowiem, będzie sprowadzać się do jednego: „Nie żyję w sprzeczności ze sobą; wiodę życie, w którym istnieją sprzeczności. A wy nie?”

Pete Imhof dowie się, o ile Dena jeszcze mu nie powiedziała. Moja matka się dowie, moja biedna matka, pod warunkiem że w swoim stanie otępienia starczego jest zdolna zrozumieć, o czym mowa. Pocieszeniem może być jedynie fakt, że inne kobiety, które poddały się aborcji, poczują się — jak? — mniej samotne? Mniej winne? Ale tylko przy założeniu, że czują się samotne i winne, w co raczej wątpię. Ja osobiście nigdy nie żałowałam swojej decyzji; żałowałam okoliczno-

ści, które sprawiły, że była ona konieczna, ale nadal uważam, że była konieczna i że był to medyczny zabieg, nawet jeżeli dla doktor Wycomb nazywanie tego w ten sposób dowodzi mojego tchórzostwa. Czy czułabym się gorzej, gdybym zrobiła to w dwunastym czy szesnastym tygodniu zamiast w piątym czy szóstym, jak to miało miejsce? Tak, czułabym się gorzej. Lecz debatowanie, kiedy dokładnie rozpoczyna się życie, wydaje mi się chybione; podjęłam prywatną, osobistą decyzję dotyczącą głównie mojego zdrowia.

Gdy sprawa wyjdzie na jaw, trudno powiedzieć, jak bardzo zaszkodzi Charlie'emu. Jego administracja dowiodła, że jest odporna na przelotne skandale, jednak w tej sytuacji Charlie wychodzi na nieudacznika, któremu przeszkadza większość demokratów w Kongresie i Senacie — w wyborach 2006 roku polityczne czarnoksiężskie talenty Hanka najwyraźniej zawiodły. Poza tym po wszystkich tych latach powróciła obsesja Charliego na punkcie jego spuścizny — temat, który zawsze tak mnie drażnił. Podejrzewam, że w tej chwili ta obsesja jest po części uzasadniona, ale w głębi duszy sprzeciwiam się jej. Nie można traktować spuścizny w kategorii jednego czy dwóch wielkich życiowych czynów, lecz raczej powinno się na nią składać to, jak żyliśmy, dzień po dniu, rok po roku. Charlie osobiście wybaczy mi bez względu na wszystko, jestem tego pewna. Lecz namawianie go do wycofania nominacji Ingrid Sanchez byłoby w jego oczach zdradą; sprowadzenie mnie do roli pierwszej damy, która miała aborcję, czyniłoby ze mnie ofiarę. Aby udobruchać swoje konserwatywne chrześcijańskie zaplecze, będzie zapewne chciał, abym udzieliła wywiadu, w którym potępię swoje zachowanie, oznajmię: „Jestem grzesznicą”, kiedy jednak odmówię, nie będzie naciskał. Zawarliśmy niepisaną umowę, że będziemy siebie nawzajem zachęcać, sugerować jakieś działanie, ale nigdy nie zmuszać, nie stawiać ultimatum; dlatego właśnie nie pałamy do siebie niechęcią.

Może nawet w jakichś zakamarkach sumienia cieszę się, że wreszcie się wydało, tak jak ucieszył mnie gniew doktor Wycomb. Luteranie, wśród których zostałam wychowana, wierzyli nie w mściwego Boga, lecz w Boga, który nas uczy dyscypliny: jeżeli wierzymy w Jezusa, dostąpimy wiecznego zbawienia, na razie jednak, tutaj na ziemi, możemy napotykać przeszkody, możemy być wystawiani na próby, które pomogą nam dorosnąć. Od dawna już nie wierzę w Jezusa, nie da się jednak zaprzeczyć, że szkielet naszego wychowania pozostaje w nas na zawsze, i jestem przekonana, że zostałam ukarana za dawne przewinienia: nie za Andrew (tutaj błąd i kara były jednym i tym samym), ale za życie, jakie wiodłam mimo tego straszliwego, popełnionego tak wcześnie błędu. Przecież mogłam ponieść klęskę, prawda? Zamiast tego miałam szczęście — zaznałam radości małżeństwa i macierzyństwa, wygody, jaką daje bogactwo, i wreszcie niebotycznych przywilejów związanych z polityką najwyższych lotów. Odkąd Charlie piastuje publiczne stanowisko, Wciąż powraca do mnie uczucie, które miałam w Maronee

Country Club, tyle że w zwielokrotniej wersji: strach, że jesteś'my jak Kalifornijczycy mieszkający w przepięknych domach stojących na samym skraju urwiska.

Jestem przekonana, że dobra passa w sposób nieunikniony wiedzie to czegoś zupełnie przeciwnego. Powinnam jednak podkreślić, że nie uważam się za kogoś, kto bardziej od innych zasługuje na szczęście; w świecie niesprawiedliwości nikt nie zasługuje na przywileje, które stały się moim udziałem. Odkąd Charlie został gubernatorem, często dochodzę do wniosku, że nie dziwi mnie ilość ludzi o zachwianej psychice. W miarę jak rośnie ich sława, a oni coraz bardziej do niej przywykają, zaczynają wierzyć, że albo zasługują na to, co ich spotkało, przez co stają się nierozsądni i nie do zniesienia, albo nie zasługują, i wtedy ogarniają ich wątpliwości i poczucie, że są oszustami. Chyba właśnie dlatego zawsze tak bardzo starałam się prowadzić „normalne” życie — ścielić własne łóżko, zatrzymać się u Jadey i Arthura, a nie w hotelu podczas podróży do Wisconsin, czytać gazety, a nie słuchać ich streszczeń, osobiście (choć w towarzystwie agentów) kupować urodzinowe czy rocznicowe kartki (nigdy z naszym wizerunkiem). Skąd bowiem asystentka ma wiedzieć, jaką kartkę kupić mojemu szwagrowi czy przyjaciółce? Jeżeli uda mi się pozostać normalną osobą, mam nadzieję przelać tę normalność na Charliego; zdaję sobie sprawę, że przeważnie wysilam się na darmo, lepsze to jednak niż nic.

— Wygląda na to, że żadna z nas nie zdoła przekonać drugiej? — zwracam się do doktor Wycomb.

— Pomyśl o tych wszystkich kobietach poddających się nielegalnej aborcji. Będziesz mogła z tym żyć? — Wciąż drży.

— Pani doktor, wiem, jak emocjonalnie pani...

— Masz możliwość zmiany historii, ale cię to nie obchodzi. Prawo dotyczące reprodukcji nie jest dość modne? A co powiesz na małżeństwa gejowskie? Znam przynajmniej jeden powód, dla którego powinno to być bliskie twojemu sercu. A co ze środowiskiem, swobodami obywatelskimi, wreszcie co z tą przekletą wojną? Zamierzacie oboje siedzieć za zaciągniętymi zasłonami i czekać, aż jego kadencja się skończy i przyjdzie następcą, który po was posprząta?

— Przedstawiła mi pani swój punkt widzenia. — Wstaję; usłyszałam dość. — Wychodzę, pani doktor, i życzę pani wszystkiego dobrego.

Nie wyobrażam sobie, byśmy mogły dotknąć się na pożegnanie, nie wyobrażam sobie, by tego chciała. Zaczynam iść w stronę holu.

— Twoja babcia byłaby tobą bardzo rozczarowana — mówi, gdy dochodzę do progu. Najbardziej uderza mnie ton jej głosu, już nie rozgniewany, lecz zaskakująco smutny.

Obracam się i chociaż przypominam sobie, że Gladys Wycomb nie różni się niczym od dziennikarza, który pisze o mnie artykuł, że wypowiedziane przez nią słowa nie znaczą, że coś staje się prawdą, nie mogę się powstrzymać od odpowiedzi.

— Nie zgadzam się.

— Emilie może nie interesowała się polityką, ale potrafiła odróżnić dobro od zła.

— Pani ją zawiodła — odpowiadam i w swoim głosie słyszę niezbyt piękną nutę złości. — Sama mi mówiła, że kazała jej pani wybierać między nami a sobą, i ona wybrała nas. To mi wystarczy. Wybrała nas.

— Ty i twoi rodzice praktycznie więziliście ją w tym nędznym domku. A to, jak próbowałaś zabić w niej jej seksualność, sprawia, że nie powinnam się dziwić, jakim stałaś się człowiekiem.

Czy to prawda? Tak czy owak, czy babcia wierzyła, że w ten sposób odpowiedziała doktor Wycomb, czy też doktor Wycomb sama podjęła tę decyzję?

— Kochałam moją babcię, a ona kochała mnie. Nie uda się pani tego zniszczyć — mówię, po czym wychodzę.

W sobotni wieczór w październiku 1994 roku, kiedy wszystko wskazywało na to, że Charlie wygra wybory gubernatorskie, nasz stary przyjaciel z Madison, Howard, przyjechał wraz z żoną, Petal, z wizytą do Maronee. (Howard i Petal znowu się zeszli i pobrali, jakieś dziesięć lat po tym, jak poznałam ją na Mendora Terrace jako śliczną, młodą absolwentkę college u).

Był to ciężki okres dla naszej rodziny — wiele nocy Ella spędziła u Arthura i Jadey, podczas gdy Charlie, ja, Hank i cała reszta sztabu wyborczego podróżowaliśmy po małych miasteczkach na północy stanu: Carnucopii, Moose Junction czy Manitowish. Jeśli nocowaliśmy w Holiday Inn, a nie jakimś bezimiennym hoteliku, uważałam to za luksus. (Na początku kampanii Charlie zaczął podróżować z własną poduszką, którą co rano zginałam w pół i chowałam do swojej torby). Harmonogram mieliśmy tak napięty, że spotkania z przyjaciółmi stały się wręcz niemożliwe i uznałam, że wszystkim nam jest to potrzebne, a zwłaszcza Charliemu. Zauważyłam, że im więcej dni pod rząd poświęca kampanii, tym bardziej staje się zniecierpliwiony i rozdrażniony— tego ranka w elektrowni, kiedy jakaś matka trójki dzieci zapytała go, dlaczego ma mu uwierzyć, że wie cokolwiek o pracujących rodzinach, w odpowiedzi niemal warknął.

— Skoro uważa pani, że jest inaczej, niech pani na mnie nie głośnie — odparł.

W tej sytuacji uznałam, że nawet chwilowy odskok dobrze mu zrobi. W sobotę po południu wróciliśmy ośmioosobowym samolotem do Milwaukee. Początkowo miałam wielkie plany i chciałam przygotować wystawny posiłek, ostatecznie sił starczyło mi tylko na spaghetti, ale wieczór i tak okazał się bardzo udany, wszyscy w piątkę — Howard, Petal, Charlie, Ella i ja — zamiast w salonie, siedzieliśmy w kuchni, rozmawiając i śmiejąc się.

Ella czytała właśnie *Odyseję* po angielsku, i ja też — wzięłam ją ze sobą w podróż, wcześniej kopiując listę lektur mojej córki, żebym mogła co wieczór czytać to samo co ona i omawiać z nią lekturę przez telefon. (*Odyseję* uwielbiałam od zawsze). Okazało się, że kiedy Howard czytał ją w dziewiątej klasie, nauczył się na pamięć pięciu pierwszych linijek po grecku i wciąż je pamiętał: *Andra moi ennepe Mousa /polytropon hoi mala polla...* Następnie oznajmili, że Petal jest w trzynastym tygodniu ciąży — starali się o to od lat — i byliśmy jedynymi, którym powiedzieli, z wyjątkiem oczywiście ich rodzin. Jeszcze nie wiedzieli, czy urodzi się chłopczyk czy dziewczynka, zastanawialiśmy się więc nad imionami dla obojga. Ella zaproponowała Ellę, Charlie Charlesa, a kiedy ja nie zaproponowałam Alice, Howard się zdziwił.

— Skąd ta nieśmiałość, Al? — zapytał. — Trudno ci wytrzymać z tymi ego—maniakami?

Po kolacji poszliśmy do gabinetu, żeby zagrać w karty, Ella wygrała bezapelacyjnie; wieczór przebiegał w atmosferze piżamowej imprezy. Charlie odpadł pierwszy — odkąd zaczął biegać o szóstej rano, kładł się do łóżka najchętniej o dziesiątej — a kiedy usnął, razem z Ellą i Petal poszliśmy na strych poszukać moich starych ciążowych ubrań, które chciałam dać Petal. Większość okazała się beznadziejnie niemodna.

Następnego ranka Howard poszedł biegać z Charliem, później on i Petal wyruszyli do Madison, mniej więcej o tej samej porze, o której my wybieraliśmy się do kościoła. Po mszy w Niebiańskiej Róży, nie po raz pierwszy zresztą, czekała na nas kamera lokalnej telewizji — było to w październiku — i Charlie zatrzymał się, by zamienić kilka słów z dziennikarzem, a Ella i ja czekałyśmy w samochodzie. Wieczorem Charlie wygłaszał przemówienie w Green Bay, a ja zostałam w Milwaukee, ale miałam spotkać się z nim w poniedziałek w Sheboygan, gdzie sześciuset miejscowych republikanów zapłaciło po sto dolarów, by wziąć wraz z nami udział w oficjalnym lunchu. Po lunchu, czyli dobę po tym, jak miało to miejsce, Charlie mi powiedział, że podczas porannego joggingu w niedzielę Howard powiedział, że byłby niezmiernie wdzięczny, gdyby Charlie spotkał się z jego bratem, Dave'em, dyrektorem wielkiej firmy inżynieryjnej, który liczy na wygranie przetargu na stanowy kontrakt. Howard dodał, że według niego firma

Dave'a bardziej na to zasługuje od wszystkich innych aktualnie współpracujących z Departamentem Transportu Wisconsin.

— Myślisz, że dlatego chcieli się z nami spotkać? — zapytał Charlie.

— Na pewno nie — odparłam, chociaż wcale nie byłam tego taka pewna.

Siedzieliśmy z Charliem w pierwszym rzędzie busu zmierzającego do

miasteczka Little Chute, gdzie Charlie miał się spotkać z grupą miejscowych młeczarzy, a ja uspokajałam sama siebie, że nikt nas nie słyszy. Nasz kierowca siedział z przodu, pisząca przemówienia Sean OTallon ze słuchawkami na uszach stukająca coś z tyłu na laptopie, a Hank i Debbie Bell, specjalistka od strategii, zajmujący miejsca w drugim rzędzie, głośno i zażarcie dyskutowali, czy piosenka Gartha Brooksa *Friends in Low Places*, która właśnie pojawiła się na antenie, nadaje się do puszczenia przed wiecami Charliego. Była w niej mowa o „lejącej się strumieniami whiskey i zabijającym wszelkie smutki piwie” i było dla mnie jasne, że pomysł na jej wykorzystanie jest fatalny, za czym opowiadał się Hank — twierdził, że to jawna zachęta dla prasy, by dokopać się do zarzutu jazdy po pijanemu, postawionego Charliemu w 1988 roku, wtedy jeszcze nieujawnionego — podczas gdy Debbie uważała, że to taka cudowna piosenka i tak wspaniale oddająca bezpretensjonalną osobowość Charliego, podobnie jak styl życia mieszkańców Wisconsin, że związek z alkoholem nie ma znaczenia; wielu wyborców lubiło Charliego właśnie za jego słabości.

Charlie, który siedział obok mnie, nie zwracając najmniejszej uwagi na toczącą się za jego plecami dyskusję o Garcie Brooksie, wydawał się raczej zasmucony niż zły.

— Chyba tak to teraz będzie wyglądało, co? — powiedział. — Wszystkich, których znamy, prosimy o pieniądze, i wszyscy których znamy, proszą nas o przysługi. — Zaśmiał się, chociaż nie był to radosny śmiech. — Jestem luksusową dziwką.

— Jeżeli tak siebie postrzegasz, nie wiem, dlaczego startujesz w wyborach — stwierdziłam. — Gubernator może zdziałać bardzo dużo dobrego, a zresztą „luksusowa dziwka” to oksymoron.

— Chwileczkę — Charlie uśmiechnął się, tym razem naprawdę. — Kogo nazywasz oksymoronem?

— Poważnie — odparłam. — Jeżeli zostaniesz wybrany, a wszystko na to wskazuje — nie był to tylko optymizm z mojej strony; wskaźniki poparcia dla Charliego sięgały niemal sześćdziesięciu procent — będziesz miał okazję polepszyć życie wielu ludzi. Czy nie dlatego chcesz być gubernatorem?

Po tych wszystkich latach pytanie, dlaczego Charlie ubiegał się o urząd gubernatora, potem prezydenta, byłoby już dyskusyjne — nasze życie stało się tym, czym jest — ale wtedy było dla mnie ważne. Traktowałam je jak ważną zagadkę, którą można rozwiązać, wystarczy tylko dobrze się zastanowić. Chyba wierzyłam, że jeżeli zrozumiem, co napędza Charliego, być może przyznam, że start w wyborach to dobry pomysł. „Ponieważ czuje powołanie do grania roli przywódcy” — odpowiadał dziennikarzom Hank. Charlie, zawsze niepoważny, mawiał do mnie: „Z tego samego powodu, dla którego pies liże się po jajach — bo mogę”. Dziennikarze spekulowali, że chciał dowieść swoim braciom, iż jest równie mądry i ambitny jak oni, lub może pragnął wziąć odwet za przegraną swego ojca w wyborach prezydenckich w 1968 roku. Żadna z tych możliwości nie stawiała Charliego w zbyt korzystnym świetle, i tak były one bardziej pochlebne od mojej własnej teorii, a mianowicie że bał się ciemności. Jako gubernator, później prezydent, będzie strzeżony, najpierw przez oddziały stanowe, potem przez agentów; ludzie, których zadaniem będzie chronienie go, zawsze będą w pobliżu; ktoś może próbować dokonać na niego zamachu, ale nigdy nie będzie musiał iść sam mrocznym korytarzem. (Rzeczywiście wygląda na to, że ja bardziej boję się zamachu niż on. Zanim po raz pierwszy oficjalnie wystartował w wyścigu prezydenckim, opowiedziałam mu o swoim dziwnym, podszytym winą poczuciu ulgi, którą odczuwałam, kiedy został zastrzelony Kennedy. Czyż nie byłoby czysto symetryczną formą kary za podobne myśli, gdyby teraz mój własny mąż, prezydent, zginął w ten sam sposób? Charlie odparł bez sekundy wahania: „Wiesz, że to bzdury, prawda? To takie głupie, w stylu hokus— pokus łysienie nastolatki”).

Podejrzewam, że prawdziwym powodem, dla którego Charlie postanowił ubiegać się o urząd, było połączenie różnych czynników, w tym jego ego. Miał pewne poczucie obowiązku wobec społeczeństwa, któremu powinien służyć, jak sam to określał; miał poczucie swoistego „a czemu nie?"; chciał pokazać swojej rodzinie, co jest wart, a całemu światu, co warta jest jego rodzina; podobały mu się dodatkowe korzyści płynące z racji pełnionej funkcji. Choć są to mało chwalebne motywy, mnie one nie przeszkadzają; na pewno nie przekonały mnie, że decyzja Charliego o wejściu w świat polityki była mądra, zastanawiam się jednak, ilu zrobiłoby to ze szlachetniejszych pobudek.

W pierwszej kampanii prezydenckiej Charlie przyjął postawę „tolerancyjnego tradycjonalisty”, drobna aliteracja zrodzona w głowie Debbie. Na ironię zakrawa fakt, że deklarowaną przez Charliego sympatię dla ludzi z marginesu i gorzej sytuowanych, jego wiarygodność pośród skłaniających się ku lewicy wyborców, umacniały nie tylko centrowe skłonności, które wykazywał jako gubernator, ale także pochodzące jeszcze sprzed działalności politycznej dowody stałego wspierania różnych organizacji charytatywnych zajmujących się zbieraniem żywności,

prowadzeniem zajęć pozaszkolnych, schronisk dla kobiet i dzieci dotkniętych przemocą domową, oraz klinik leczenia AIDS. Chodzi tu rzecz jasna o te skromne darowizny, których dokonywałam potajemnie. Kiedy po raz pierwszy badano stan naszych finansów i wyszło to na jaw, zarówno Charlie, jak i Hank byli zachwyceni.

— Boże, błogosław twój skryty liberalizm! — wykrzyknął Charlie.

Na ironię zakrawa również, że choć tolerancyjny tradycjonalizm Charliego nie obejmuje odmiennych orientacji seksualnych, nigdy nie miałam wątpliwości, że Debbie Bell jest lesbijką. Nie wiem, czy pozostawała z kimś w związku — nigdy o takim nie wspominała, nigdy też nie wyszła za mąż — ale wobec mężczyzn zachowywała się po przyjacielsku, z kobietami jakby flirtowała. Była wysoka, miała krótkie blond włosy i nawet kiedy nie nosiła spodniomu, zachowywała się tak, jakby miała go na sobie. Całe jej zachowanie, głos, postawa, poglądy nosiły w sobie zdecydowanie sportową pewność siebie, niestety nieczęsto spotykaną u heteroseksualnych kobiet. Rzadko zwracała uwagę, że jakiś mężczyzna jest przystojny, czy też płakała nad swoim statusem kobiety niezamężnej, a jeśli jej się to zdarzało, zawsze wtedy wydawała mi się najbardziej gejowska — uwagi wyglądały na wymuszone i były mało przekonujące. Rozmawiałam o tym z Jadey, a później z Jessicą i obie przyznały mi rację, nigdy jednak nie poruszałam tego tematu z Charliem, sądziłam bowiem, że poczulby się strapiiony, może zacząłby dziwnie się zachowywać w towarzystwie Debbie, kpić z niej w żywe oczy lub stroić sobie żarty za jej plecami. Byłam zdziwiona, że Charlie nie nabrał podejrzeń wobec jej tajemniczej seksualności, sądzę jednak, że był wdzięczny za jej niezachwiane oddanie i nie chciał niczego analizować z obawy, że znalazłby coś psychologicznie podejrzane. Myślę też, że Debbie przelała całe swoje wewnętrzne zasoby miłości, przez większość z nas przeznaczone dla partnerów czy dzieci, na Charliego. (Wiele razy kusiło mnie, by wziąć ją na stronę i szepnąć do niej: „Zasługujesz na coś lepszego niż tylko surogat; ty też masz prawo do czegoś prawdziwego, a nie tylko okruchów po moim mężu”. Nie muszę chyba dodawać, że trzymałam język za zębami i żywiłam nadzieję, że Debbie posiada prywatne życie, o którym nie mamy pojęcia).

Debbie pracowała jako specjalistka od reklamy dla Brewersów — była równie zapalonym kibicem baseballu jak Charlie, jeszcze na studiach grała w softball i również, za namową Charliego, dołączyła do kościoła Niebiańskiej Róży, a w 1990 roku stała się odrodzoną chrześcijanką — a kiedy Charlie odchodził z klubu, ona odeszła wraz z nim. W tych pierwszych dniach politycznej kariery Charliego zdumiewało mnie, jak chętnie, a nawet z żarliwością ludzie za nim podążali. Jak z czasem się zorientowałam, Charlie nie wzbudzał zbytniego zaufania u swoich własnych rodziców, braci, szwagierów — rek, w pewnym sensie był z nich najsłabszy. Lecz inni, zwłaszcza w jego początkowym okresie w Brewersach,

dostrzegali jego wyidealizowaną wersję, jak gdyby Charlie był gwiazdą filmu o swoim własnym życiu: przystojnym, zabawnym, życzliwym facetem, absolwentem prestiżowych uczelni, piastującym prominentne stanowisko, człowiekiem sukcesu. (Czy był uprzywilejowanym dzieckiem? Oczywiście, ale dzięki baseballowi podążył w innym kierunku i od razu dawało się zauważyć, jak bardzo nie jest zmanierowany — wolał knajpy, gdzie serwuje się burgery, od eleganckich restauracji, żartował z dziećmi, był szelmowsko skromny). Cechowała go pewność siebie, był wysportowany i religijny, trwał w związku małżeńskim wolnym od skandali, z jego jedynym dzieckiem łączyła go bliska więź. W tym świetle stawał się mężczyzną, z którym inni mężczyźni pragnęli się kumplować, a którego kobiety chciałyby mieć za męża. Jako żona Charliego, znająca go o wiele lepiej, nie traktowałam go z takim nabożnym zachwytem. Mogę z całą szczerością stwierdzić, że w politycznym życiu najbardziej zdumiewa mnie jedno, a mianowicie łatwowierność Amerykanów. Nawet w naszych cynicznych czasach ogromny procent ludzi wierzy we wszystko, co usłyszy — to zadziwiające. (Jak ktoś, kto widzi polityczny spot w telewizji i przyjmuje za fakt wszystko, co się w nim mówi, może egzystować w tym świecie? Jak to możliwe, że nie pada codziennie ofiarą szarlatanów, którzy pukają do jego drzwi?).

Dawniej zakładałam, że wszyscy, a zwłaszcza ludzie blisko związani z polityką żywią podobny sceptycyzm, zwłaszcza dotyczący rozbieżności między czyimiś słowami a czynami, najwyraźniej jednak myliłam się. Kocham Charliego równie mocno, jak — och, powinnam mieć nadzieję, że nawet mocniej — na przykład Debbie, ale kocham go inaczej, z lepszym zrozumieniem jego wad. Gdybym wierzyła, że ubiegał się o urząd prezydenta, ponieważ w ten sposób mógł opanować swój lęk przed ciemnością, jego motywy, zwłaszcza w dni, gdy jestem lepiej usposobiona, mogłyby wydać mi się urocze. Debbie natomiast jest przekonana, że Charlie startował w kampanii, ponieważ Bóg mu to nakazał, i dlatego Charlie w oczach Debbie jest bohaterem.

Gdy tak siedziałam obok Charliego w busiku zmierzającym do Little Chute, w radiu po *Friends in Low Places* puścili *Archy Breaky Heart*, która w czasie kampanii stała się sama w sobie żartem, ponieważ nikt nie przyznawał się, że ją lubi, za to wszyscy znaliśmy jej słowa. Koniec końców słyszeliśmy ją w radiu dosłownie wszędzie, a zwłaszcza gdy udawaliśmy się na głęboką prowincję. Hank zawołał do prowadzącego busik Kenny'ego, żeby zrobił głośniej, po czym wraz z Debbie przyłączyli się i śpiewali radośnie na całe gardło, na chwilę zapominając o swoim sporze na temat Gartha Brooksa.

— Myślisz, że podołam funkcji gubernatora, co? — Charlie nachylił się ku mnie i zapytał cicho i z przejęciem.

— Uważam, że będziesz wspaniały.

Nie kłamałam. Kiedy Charlie jakiś rok wcześniej postanowił ubiegać się o urząd, jego wiedza na temat stanu była przefiltrowana przez tradycję jego rodziny i własne doświadczenie z kampanii wyborczej w 1978 roku, on jednak pracowicie zaczął zagłębiać się w historię i politykę Wisconsin. Hank załatwił ekspertów od ekonomii, szkolnictwa i opieki zdrowotnej, by przychodzili i zapoznawali go z problemami; najczęściej odbywało się to potajemnie. Później Charlie uczył się na pamięć faktów i liczb. Powtarzał je tak długo, aż mógł wszystko płynnie wyrecytować.

Hank klepnął mnie w ramię.

— Dlaczego nie śpiewacie? *You can tellyour ma I moved to Arkansas / You can tellyour dog to bite my leg...*

Posłałam mu uśmiech.

— Świetnie znasz słowa, Hank. — Kiedy Hank usiadł prosto, zwróciłam się po cichu do Charliego: — Jestem pewna, że czeka cię mnóstwo wyzwania, ale jak się skupisz na tym, co chcesz osiągnąć, będziesz świetny.

— Wiesz, co uświadomiłem sobie dzisiaj? — powiedział Charlie. — Kiedy wymieniałem uściski dłoni z ludźmi na lunchu, pomyślałem, że już nigdy z nikim się nie zaprzyjaźnię. Zakładając, że zostanę wybrany, no wiesz, od tego momentu wszyscy będą chcieli wyłącznie przysług, dostępu do czegoś.

Nie mogłam się z nim nie zgodzić.

— Całe szczęście, że już masz bardzo wielu przyjaciół — powiedziałam. — Obojgu nam się poszczęściło.

— Ale właśnie o to chodzi. — W tej chwili był nastawiony bardzo refleksyjnie, zwłaszcza na tle Hanka i Debbie nucących za naszymi plecami. — Nie mam pretensji do Howarda, że poprosił mnie o pomoc przy tym kontrakcie, ale od teraz muszę być zawsze na coś takiego przygotowany. Nie wolno mi opuszczać gardy i zakładać, że ktoś się ze mną spotyka wyłącznie dla przyjemności, skoro nawet ludzie, których znamy — cholera, Arthur, John czy Ed — wielu z nich będzie czegoś chciało. Kiedy teraz o tym myślę, musiałem zamęczać Eda o stadion.

— Powinieneś z nim o tym porozmawiać albo ze swoim ojcem. Obaj na pewno dużo na ten temat wiedzą.

Ed nadal był kongresmenem i chociaż myślał o starciu do Senatu w wyborach '92, ostatecznie tego nie zrobił, a ja nie jestem pewna dlaczego.

— Wiesz, kto jest jedyną osobą, która nigdy mnie nie wykorzysta? — Charlie wskazał na mnie.

— Kochanie, na pewno nie jestem jedyna. Może niektórzy z naszych przyjaciół owszem, ale mimo wszystko nie oceniałabym ich tak źle.

— A tak swoją drogą to ludzie są śmieszni. Zapomniałem o tym aż do dzisiaj, ale kiedy mój tata był gubernatorem, jeden ze starych przyjaciół rodziny wszedł w jakiś konflikt z prawem, chyba coś zdefraudował, i chciał, żeby tato interweniował. Kiedy tato odmówił, dzieci tego gościa — znałem ich dobrze z klubu — przestały się do mnie odzywać. Facet ostatecznie nie trafił do więzienia, więc nie wiem, czemu jego rodzina wciąż ma nam za złe.

Z tylnego siedzenia Hank znowu nachylił się ku nam — piosenka zbliżała się do końca i chórek kilka razy powtarzał tę samą linijkę — i zawołał:

— Ostatnia szansa, Chuckles. Masz szczęście, że wybrałeś politykę, bo jako wędrowny minstrel nie zarobiłbyś centa. (Chuckles było przezwiskiem, jakie Hank nadał Charliemu w odwecie za Gównianą Burzę. Oczywiście w tej chwili Charlie jest panem prezydentem, a Hank został Gównianą Burzą).

— *Dorit tell my heart. My achy, breaky heart...* — przyłączył się pogodnie Charlie.

Wzięłam go za rękę i splotłam swoje palce z jego palcami. Nachyliłam się.

— Bardzo cię kocham — szepnęłam mu prosto do ucha.

W samochodzie Jessica rozmawia przez telefon z Hankiem.

— Wolałaby nie — mówi spokojnym tonem — ma nienaganne manierey

— słyszę też głos Hanka, przypochlebny, lecz natarczywy; chce rozmawiać bezpośrednio ze mną. — Nie, nie była — mówi Jessica. — Nie wydaje się jej, żeby doktor Wycomb przejmowała się tym. Nie. Nie. Dobrze. Zadzwoń do ciebie z samolotu. — Naciska czerwony przycisk na klawiaturze telefonu, zamyka go, po czym natychmiast sięga po swój BlackBerry i zaczyna coś w nim pisać.

Wraz z Jessicą i Calem jedziemy samochodem prowadzonym przez miejscowego agenta.

— Po drodze do Waszyngtonu chciałabym się zatrzymać w Wisconsin

— mówię, kiedy jesteśmy jakieś trzy kilometry od lotniska Midway.

Jessica unosi brwi.

— U matki?

Mama przeżyła też swojego drugiego męża (Lars, który chyba jako jedyny z naszych rodzin niezmiennie cieszył się z kariery politycznej Charliego, zmarł na ostrą niewydolność nerek w 1996 roku) i teraz przebywa w domu opieki pod Riley, zbudowanym w miejscu, gdzie za czasów mojego dzieciństwa rozciągały się pastwiska. Cierpi rfa alzheimera, szczęśliwie jednak nadal jest łagodna i wygląda na szczęśliwą, za co jestem wdzięczna, zważywszy na to, że tak wiele osób z neurodegeneratywnymi chorobami zapada na depresję lub przejawia agresję. Jednakże, mimo że wybraliśmy się w tę podróż pod pretekstem odwiedzin u mamy, nie z nią chcę się dzisiaj zobaczyć.

Rano, kiedy byłam przekonana, że z biurem Hanka skontaktowała się właśnie Dena Janaszewski, uważałam to w pewnym sensie za uzasadnione — pewne sprawy pomiędzy Deną i mną pozostały niezamknięte, więc byłoby to zrozumiałe. Gdy jednak dowiedziałam się, że Dena nie ma nic wspólnego z szantażem, poczułam się niemal zawiedziona. Nadal pamiętałam tamto popołudnie w Riley, kiedy podarowała Elli swoją tiarę — im więcej czasu upływało, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że zrobiła to Dena, a nie jej matka, i był to gest na zgodę, nie zaś szyderstwo — dlatego żałowałam, że nie zareagowałam. Miało to jednak miejsce w tak burzliwym okresie mojego życia, kiedy wszystkie inne związki poza tym z Charliem wydawały się nieistotne. Po tych wszystkich latach obawiam się, że przegapiłam okazję, i coraz silniej sobie uzmysławiam, że jeżeli tym razem ja nie przejmę inicjatywy, następna może się nie trafić. Jak większość ludzi zaczynających kolejną dekadę życia wmawiam sobie, że wciąż nie jestem stara, że moje wcześniejsze postrzeganie danego wieku, trzydziestki, czterdziestki czy pięćdziesiątki było zniekształcone przez młodość. Nawet po przekroczeniu sześćdziesiątki nadal umiałam w ten sposób siebie przekonać — przecież sześćdziesięciolatki skaczą na bungee i przepływają kanał La Manche — wreszcie jednak osiągnęłam wiek, w którym, jeżeli coś mi się przytrafi, będzie to tylko smutne, ale nie tragiczne. Będę troszkę młoda, ale tylko troszkę. Gdybym więc dowiedziała się o śmierci Deny — trudno sobie wyobrazić, jak ta wiadomość miałaby do mnie dotrzeć, zważywszy na stan mojej matki oraz fakt, że oboje rodzice Deny już nie żyją, ale i tak w ten czy inny sposób dowiedziałabym się — nie byłoby to dla mnie szokiem. Inni moi rówieśnicy już poumierali, Rose Trommler z Madison zmarła na raka piersi w 2003 roku, a w zeszłym roku mąż mojej koleżanki z klasy, Betty Bridges Scannell, na tętniaka mózgu w czasie rejsu po Karaibach. Byłam smutna przez kilka dni po otrzymaniu tych wiadomości, jednak w przypadku Deny zamiast smutku czułabym raczej wyrzuty sumienia. Przez pierwszą połowę mojego życia nie miałam bliższej przyjaciółki od niej. Jasne, miała swoje wady, ale kto ich nie ma? Była pełna życia i zabawna, znacznie

odważniejsza ode mnie i znałyśmy się nawzajem tak dobrze; przyjaźnie trwają, opierając się na znacznie słabszych podstawach.

Choć to może dziwne, w tej chwili moją najbliższą przyjaciółką jest Jessica. Rozmawiam z Jadey raz w tygodniu, ona odwiedza nas w Waszyngtonie kilka razy w roku, czasem z Arthurem, czasem bez. Jej przyjazd do Białego Domu jest zawsze niczym powiew świeżego powietrza.

— Ja będę zwracać się do ciebie per panie prezydencie, ale ty do mnie per jaśnie pani Jadey — mówi do Charliego.

Niezmiennie też uskarża się, że podczas tych wizyt cierpi na zatwardzenie, bo nie potrafi swobodnie załatwić się w tak historycznym otoczeniu, jednak narasta między nami napięcie, o którym głośno nie mówimy. Jadey jest co prawda republikanką, ale źle odebrała, kiedy Charlie poparł poprawkę zabraniającą *małżeństw homoseksualnych*; nadal pozostaje w bliskiej przyjaźni ze swoim przyjacielem, Billym Torksem, dekoratorem wnętrz, którego zawsze bardzo lubiłam, niestety, już od lat nie widziałam. Owo napięcie z pewnością zniknie, jednak obawiam się, że nasz problem z Jadey nie rozwiąże się tak łatwo. Dawniej wiodłyśmy podobne życie, teraz już nie. Ona wciąż uczestniczy w spotkaniach w country klubie, została członkinią rady Muzeum Sztuki w Milwaukee, zbiera fundusze na rzecz Biddle Academy, chociaż zarówno Drew, jak i *Winnie* dawno już skończyli szkołę. Zazdroszczę jej tego wszystkiego, popadam w wielki sentymentalizm, kiedy o tym wspomina. A ona zawsze daje do zrozumienia, że zapewne nudzą mnie prowincjonalne opowieści z Maronee. Wbrew moim usilnym zapewnieniom, że jest wręcz odwrotnie, nie wierzy mi i woli rozmawiać o moim życiu zamiast o swoim.

— Nie, nie, opowiedz mi o królu i królowej Hiszpanii — mówi.

Nie wypada mi się skarżyć rodzinie czy znajomym z Wisconsin, nie robię więc tego. Na początku kariery politycznej wspomniałam kiedyś mojej innej szwagierce, Ginger, że martwię się o kompozycje kwiatowe na balu, który mieliśmy wydać w Madison.

— Trzeba mieć naprawdę tupet, żeby uskarżać się na coś takiego — odparła. — Zwłaszcza że Ed dużo bardziej od Chasa zasłużył sobie, żeby być gubernatorem.

Wręcz zaniemówiłam, słysząc to z jej ust, nie tylko dlatego, że Ginger zawsze uchodziła za potulną, *lecz* głównie dlatego, że zmiana w Ginger zeszła się ze zmianą podejścia Priscilli, którą nasza sława bardzo poruszyła, o co nigdy bym jej nie podejrzewała. Wkrótce po wyborze Charliego wyznała mi, że zawsze byłam jej ulubioną synową; od dawna wierzyła, że jestem równie rozsądna jak ona.

Kiedy Charlie zosta/prezydentem, powtarzała już *nie* tylko mnie, lecz również krewnym i mediom, że jestem jej ulubioną osobą.

Co się zaś tyczy innych moich znajomych kobiet z Maronee i Madison, członkiń Klubu Ogrodniczego czy matek koleżanek Elli z klasy, im moje obecne życie na świeczniku wydaje się tak barwne i przykuwające uwagę, że zdają się zapominać, iż wciąż jestem sobą, a moje troski nadal przyziemne

— skończył się ulubiony szampon, mąż chrapie, nie mam czasu na ćwiczenia

— a te mniej przyziemne, związane z wojną czy terroryzmem, nie mieszczą się w kategoriach, które zdolne są pojąć. Gdyby tylko przestały patrzeć na mnie z takim podziwem, zrozumiałyby to wszystko bez trudu.

Z tych właśnie powodów tak bardzo cenię sobie Jessicę, chociaż zdaję sobie sprawę, że nasza przyjaźń nie może być zwyczajna, skoro ja jestem jej pracodawcą. Na szczęście wszystko ułatwia nam dzieląca nas różnica wieku. Sądzę, że Jessica, w przeciwieństwie do Jadey, nie porównuje siebie ze mną ani mojego męża ze swoim. (W 2002 roku Jessica poślubiła mężczyznę o imieniu Keith, który pracuje w Banku Światowym. Razem z Charliem byliśmy na ich ślubie w Washington Club przy Dupont Circle, a na weselu Charlie tańczył z panną Ruby, już na emeryturze i po osiemdziesiątce, wciąż jednak burkliwą i pełną energii, a ja tańczyłam z młodszym bratem Jessiki, Antoine'em, mierzącym metr osiemdziesiąt studentem pierwszego roku w Biddle Academy). Razem z Jessicą utworzyłyśmy dwuosobowy klub miłośniczek książek, w którym nie obowiązują żadne reguły poza tym, że czytamy wyłącznie beletrystykę. Wymieniamy się tytułami i lubimy przekłady autorów z krajów, w których właśnie byliśmy lub do których się wybieramy. Ogólnie rzecz biorąc, nie muszę zwierzać się Jessice z moich niepokojów pierwszej damy

— zwyczajnie nie muszę. Jessica uczestniczy we wszystkich wydarzeniach, wie dokładnie, jak z góry zaplanowane, odizolowane i luksusowe wiodę życie, o którego najdziwniejszych aspektach opinia publiczna nie ma nawet pojęcia (gdy raz wspólnie z Ellą pojechałyśmy do Peru, spuszczonego wodę z hotelowego basenu i napełniono go ponownie wodą butelkowaną, bym mogła w nim bezpiecznie pływać), że mistrz ceremonii Białego Domu przypomina o koniecznych przygotowaniach do Bożego Narodzenia — przyjęciach, kartkach z życzeniami i dekoracjach — już w kwietniu.

— Odwiedzę matkę przy następnej okazji — mówię do Jessiki. — Tym razem chciałabym zobaczyć się z Deną Janaszewski, jeśli to możliwe.

Nawet jeżeli zaskoczyłam Jessicę, niczego nie daje po sobie poznać, o jej profesjonalizmie niech świadczy fakt, że sprawy o zasadniczym znaczeniu nigdy jej nie zaskakują. Okazuje zdziwienie tylko w drobnych, nieistotnych kwestiach.

Miałam aborcję? Jessica tylko kiwa głową. Ale kiedy założę su— perwysokie obcasy?

— Rany! — wykrzykuje. — Proszę, proszę, pani faszjonistko!

Teraz patrzy na zegarek i odzywa się spokojnym tonem:

— W tej chwili jest pierwsza dwadzieścia czasu centralnego, co oznacza, że w Waszyngtonie jest druga dwadzieścia. Zakładając, że lot zajmie nam godzinę czterdzieści minut, powrót do rezydencji potrwa dwadzieścia minut, co daje nam czwartą dwadzieścia bez zatrzymywania się w Riley, a chór jest umówiony na piątą piętnaście. Czy chcesz, żebym ich przesunęła na później, odwołała czy też znalazła jakieś zastępstwo?

Administracja Charliego słynie z punktualności, jednak nie dlatego, że przestrzegano jej w jego rodzinie, lecz dlatego, że kiedy przestał pić, Charlie starał się również w ten sposób narzucić sobie dyscyplinę. Idąc za jego przykładem, ja również staram się być zawsze i wszędzie na czas; inne zachowanie zakrawałoby na arogancję. Ponadto gdy rzadko odrzucam jakieś zaproszenie czy prośbę, przejmuję się tym, ciąży mi, kiedy zobowiązę się do czegoś, a później nie mogę się z tego wywiązać, zwłaszcza gdy w grę wchodzi dzieci. Mimo to bardzo chcę zobaczyć się dzisiaj z Deną; chcę zobaczyć się z nią, ale również z Pete'em, pod warunkiem że wciąż są razem.

Kiedy historia z aborcją wyjdzie na jaw, Dena i Pete będą jedynymi, którzy mogą potwierdzić jej prawdziwość, jednak nie chodzi mi o to, żeby ich uciszyć. Liczę raczej, że uda mi się po tych wszystkich latach oczyścić wreszcie atmosferę. Teoretycznie mogłabym pojechać do Riley kiedy indziej, w końcu i tak zaglądam tam co sześć tygodni, by sprawdzić, jak miewa się mama, jeżeli jednak teraz będę zwlekać, taka okazja może więcej się nie nadarzyć. Jeśli nie zrobię tego w tej chwili, później może mi zabraknąć odwagi.

— Poszukajmy kogoś w zastępstwie — mówię i w tym momencie oświeca mnie. — Ella! Dzieci wprost uwielbiają Ellę!

— Poczuj się urażona, jeżeli będzie jej towarzyszył kustosz?

— Odetchnie z ulgą. Och, byłoby wspaniale, gdyby się zgodziła. — Nachodzi mnie myśl, że być może to ostatnia przysługa, o którą w najbliższym czasie będę mogła poprosić Ellę. Gdy dowie się o mojej aborcji, bardzo możliwe, że odsunie się ode mnie. Jessica pisze coś w swoim BlackBerry. — Myślę, że biuro Hanka dzisiaj rano zaczęło już namierzać Denę, ale równie dobrze może nosić nazwisko Cimino lub może Imhof, chociaż nie wiem, czy dalej są razem. Jeżeli wyszła za kogoś innego, w takim razie nie mam pojęcia. Ale urodziła się 16 czerwca czterdziestego szóstego roku. — Jak sądzę, jest to typowe w przypadku przyjaciół z

dzieciństwa: daty ich urodzin nigdy nie zapominamy, podczas gdy zupełnie nie pamiętamy o urodzinach ludzi, z którymi zaczęliśmy się przyjaźnić w dorosłym życiu. Bardzo chciałabym wysłać kartki z życzeniami, ale jeżeli nie zapiszę sobie czegoś w moim osobistym kalendarzu, na pewno o tym zapomnę.

— Czy chcesz spotkać się z Deną w samolocie, u niej w domu czy też w jakimś miejscu publicznym? — pyta Jessica.

Lotnisko, na którym lądujemy w Riley, jest małe, używane wyłącznie przez prywatne samoloty i flotę powietrzną wytwórni mleczarskiej White River Dairy.

— Pojadę do jej domu — odpowiadam.

Przez chwilę kusi mnie, by dodać, że nie chcę sprawiać Denie kłopotu, że najpierw powinniśmy sprawdzić, czy ma dzisiaj czas, ale martwienie się o sprawianie ludziom kłopotu nie ma sensu. Z jednej strony od sześciu lat jestem prawie wyłącznie źródłem nieustannych niedogodności — z mojego powodu wstrzymują ruch, zamykają jakieś ulice czy budynki, zabezpieczają włązy — a z drugiej wielu Amerykanów, wielu ludzi na całym świecie z radością przystałoby na każdą niedogodność w zamian za „przywilej” spotkania się ze mną.

— W czasie kiedy będziemy szukać Deny, chcesz sama porozmawiać z Ellą, czy też ja mam to zrobić?

— Porozmawiam z nią.

Jessica sięga po swój drugi telefon komórkowy, otwiera go i wybiera numer.

— Tu Jessica. Masz czas, żeby porozmawiać z mamą? — Milczy przez chwilę, po czym odzywa się znowu. — Za ile? — Znowu przerwa. — Wspaniale. Czekamy. — Rozłącza się i zwraca się do mnie. — Ella oddzwoni za pięć minut.

Och, Boże, dzięki Ci za Ellę Blackwell, jedyną osobę, która ma w zwyczaju zbywać prezydenta i pierwszą damę Stanów Zjednoczonych. Nie mówię tego ze złością, lecz całkiem szczerze, co byśmy bowiem zrobili, gdyby choć ona nie przypominała nam, na czym polega pokora?

Jessica naciska jeden klawisz telefonu, przez który rozmawiała wcześniej, i po kilku sekundach zaczyna mówić:

— Belindo, wysłałam wiadomość tobie i Ashley, ale teraz potrzebny mi adres i telefon domowy jednej osoby w Riley. To najwyższy priorytet. — Przekazuje otrzymane ode mnie informacje na temat Deny, po czym podsuwa Belindzie, by ta porozumiała się z Lori z biura Hanka. Kiedy kończy rozmowę, zwraca się do mnie:

— Gdy nadejdą wieści z Riley, ile czasu zamierzasz poświęcić Denie?

— Pół godziny? Ale nie wylatujemy z Chicago, dopóki nie potwierdzimy, że może dojść do spotkania. Nie wiem, czy jeszcze mieszka w Riley. Równie dobrze mogła się wyprowadzić do Nowego Meksyku.

— Jeżeli nie uda się zorganizować spotkania tak, żebyś zdążyła wrócić na gałą, na pewno zdołamy znaleźć numer telefonu, więc i tak będziesz mogła z nią dzisiaj porozmawiać. Ale z tym zaczekamy, najpierw się przekonajmy, czy jest możliwe spotkanie twarzą w twarz. Chcesz posłuchać radia, kiedy ja będę rozmawiać przez telefon?

Jessica mówi współczującym tonem; nie zdradziłam jej szczegółów rozmowy z Gladys Wycomb, tylko jej końcowy wynik, ale jak sądzę, i tak wyczuwa, że jestem roztrzęsiona.

— Jasne — mówię.

Jak to często bywa, wyjeżdżając w takim pośpiechu, nie wzięłam ze sobą żadnej książki.

— Cał, czy mógłbyś puścić NPR? — zwraca się Jessica do agenta.

Zanim się orientuję w temacie audycji, rozpoznaję, że to *Dzień jak co*

dzień. Po chwili rozumiem, że dzisiejszy wywiad jest z Edgarem Franklinem, mężczyzną, który obozuje na Wzgórzu Kapitolińskim, ojcem zabitego żołnierza. Jessica odkrywa to równocześnie ze mną, chociaż jest już zajęta rozmową przez telefon.

— Chwileczkę — mówi do swojego rozmówcy, przysłania dłonią mikrofon w telefonie i zwraca się do mnie. — Czy życzysz sobie, żeby to zmienić?

Potrząsam głową.

— Słyszałem, że nie wiadomo, jak długo planuje pan tutaj zostać — mówi w radiu dziennikarz. — Czy to prawda?

— Zamierzam być tu, dopóki prezydent nie zgodzi się ze mną spotkać — odpowiada Edgar Franklin.

— A jeżeli się nie spotka?

— Zamierzam tu być, dopóki prezydent się ze mną nie spotka — powtarza Edgar Franklin. Głos ma zdecydowany, lecz nie wojowniczy, mówi ciszej od dziennikarza, z lekkim południowym akcentem.

— Czy wierzy pan, że zdoła przekonać prezydenta, aby zaczął wycofywać wojska, czy też chce pan, aby była to symboliczna rozmowa?

— Zbyt wiele młodych mężczyzn i kobiet straciło życie, a według mnie prezydent nie zdołał uzasadnić naszej interwencji — mówi Edgar Franklin.

— Odnoszę wrażenie, że jego wiedza pochodzi z wrywkowych raportów, przez co trudno jest mu zrozumieć, jakie to ma tragiczne skutki dla pojedynczych ludzi.

— Osobiście nie udało się panu co prawda spotkać z prezydentem, ale Biały Dom podkreśla, jak często w ostatnich dniach odwiedza on rodziny poległych, między innymi dwa tygodnie temu w Kalifornii. Co mógłby pan mu powiedzieć poza tym, co zapewne usłyszał już od innych znajdujących się w równie bolesnym położeniu co pan?

— Kiedy syn ginie w ten sposób, szuka się jakiegoś uzasadnienia jego śmierci. Ma się nadzieję, że poświęcił się za coś, w co wierzył, i dlatego chętnie przyjmuje się — Edgar Franklin waha się przez chwilę — retorykę wojny, chyba tak można to ująć. Gdybym przyjął, że śmierć mojego syna była nadaremna, czy nie okazałbym się nielojalny wobec niego i kraju? Znaczyłoby to, że nie jestem patriotą. Tak z początku myślałem, potem jednak dotarło do mnie, że patriotyzmem jest sprowadzenie naszych żołnierzy do domu. Wiele rodzin przeżywa teraz to, co ja przeżywałem dwa lata temu, dopiero zaczynają swoją żałobę, może więc nie zastanawiają się nad polityczną stroną problemu.

— Od pana przybycia do Waszyngtonu w zeszłą środę zewsząd napływa dla pana poparcie i wsparcie. Co pan o tym sądzi?

— Nastąpiła zmiana nastawienia. Amerykanie zrozumieli, że nadszedł czas na szczerą rozmowę.

— Panie pułkowniku, bardzo dziękuję za rozmowę.

— Ja również panu dziękuję.

— Słuchacie sponsorowanej stacji WBEZ — rozlega się w samochodzie kobiecy głos w chwili, gdy nasz eskortowany przez policję samochód wjeżdża przez bramę wiodącą do prywatnej części lotniska. Wjeżdżamy na pas, gdzie w spiekocie Środkowego Zachodu czeka już na nas połyskujący odrzutowiec gulfstream ze spuszczoneymi schodkami.

Charlie miał w zwyczaju dodawać mi ducha przed każdą kolejną z niekończących się serii kolacji połączonych ze zbieraniem funduszy, wiedząc, że szczerze ich nie znoszę — powtarzalności, wymuszonych powitań, sztywnych rozmów, ciągnących się sesji zdjęciowych, a przede wszystkim tego krępującego uczucia, że ludzie dosłownie nas kupują. Zawsze gorzej czułam się na kolacjach po tysiąc dolarów, niż tych po dwadzieścia pięć tysięcy — jeżeli ktoś płaci Naro-

dowemu Komitetowi Republikanów dwadzieścia pięć tysięcy dolarów (lub, co bardziej prawdopodobne, pięćdziesiąt za parę), by przez godzinę czy dwie poodychać tym samym powietrzem co Charlie, nie mam wątpliwości, że posiada dość pieniędzy na zbyciu. Ale pęka mi serce, gdy po akcencie czy ubiorze widać, że komuś niezbyt się powodzi, a mimo to zdecydował się wziąć udział w imprezie z nami w roli głównej. Nie jesteśmy tego warci! — mam ochotę powiedzieć. Powinniście spłacić zadłużenie na swojej karcie kredytowej, zainwestować w fundusz na studia dla wnuka, pojechać na wakacje w góry Ozark. Zamiast tego po dwóch tygodniach otrzymają pocztą podpisane przez autopióro zdjęcie z jednym z nas lub z obojgiem, które mogą sobie oprawić, abyśmy przez kolejne lata rozjaśniali swoim uśmiechem ich salon.

Jednak jedna impreza poświęcona zbieraniu funduszy — ku memu zdziwieniu — okazała się bardzo przyjemna. Była to kolacja po milion dolarów w jednej z dawnych plantacji w Mobile, w stanie Alabama. Zorganizowano ją w lipcu 2000 roku. Charlie i ja zawsze siedzieliśmy przy oddzielnych stolikach i tego wieczoru miałam siedzieć z żoną przewodniczącego Republikańskiej Partii Alabamy, dwoma dobrze ubranymi małżeństwami w średnim wieku, bardzo przypominającymi mi ludzi, których znaleźmy w Maronee, i duetem ojciec—syn. Przed kolacją asystent wręcza nam kilka zdań na temat każdej mającej przybyć grubej ryby. Tego wieczoru pierwotny plan zakładał, że będę siedzieć pomiędzy jakimś Beau Philipsem, właścicielem miejscowej sieci lokali fast food, i Leonem Tasketem, dyrektorem finansowym największego producenta urządzeń przemysłowych w całej Alabamie. Okazało się jednak, że żona Leona Tasketa zachorowała na gripę i zamiast niej — po wyborze Charliego na prezydenta nie sposób sobie wyobrazić podobnej zamiany w ostatniej chwili — pan Tasket przyprowadził swego dorosłego syna, Dale'a, wysokiego, grubego, upośledzonego umysłowo mężczyznę. Chociaż podejrzewałam, że Dale poziomem umysłowym dorównuje dziewięciolatkowi, nigdy bym się tego nie domyśliła, patrząc na niego — nie miał nieregularnych rysów twarzy, rzyje tylko wyglądał przyjaźniej od reszty gości. Gdy nadeszła pora, byśmy siadali do kolacji, mężczyźni przy stołach stali, czekając, aż panie pozajmują miejsca, i Dale, przedstawiony mi za ledwie kilka minut wcześniej, klapnął na krzesło, przed którym stała karteczka z imieniem i nazwiskiem jego ojca; pani Tasket miała siedzieć jedno miejsce dalej.

— Och, nie, nie rób tego — z miejsca zaprotestował Leon Tasket.

Pan Tasket był niższy i bardziej zyłasty od syna, nosił zadbaną siwą bródkę i wąsy. Miał na sobie trzyczęściowy garnitur.

Uśmiechnęłam się, potrząsając uspokajająco głową.

— Nie przeszkadza mi, że tu siedzi. Jeżeli oczywiście pan nie ma nic przeciwko temu.

— Niezwykle odważna dama, że nie boi się siedzieć tak blisko niedźwiedzia grizzly, prawda, Dale? Uważasz, że możemy jej wierzyć?

Na estradzie, tuż nad naszymi głowami, mężczyzna z krawatem w barwach amerykańskiej flagi postukał w mikrofon.

— Proszę zajmować miejsca...

Przy innym stoliku Charlie siedział między gubernatorem i przewodniczącym stanowej partii.

— Naprawdę — powiedziałam. — Niech tak zostanie.

Kiedy kelnerzy podawali nam sałatki, siedzący po mojej prawej stronie Beau Philips, magnat fast foodów, zwrócił się do mnie:

— Pani mąż zmierza pewną drogą do zwycięstwa.

Jednocześnie odezwał się siedzący po mojej lewej stronie Dale.

— Moją ulubioną aktorką jest Drew Barrymore. Wie pani, kim jest Drew Barrymore?

Obaj panowie mieli uroczy południowy akcent, ale tylko jeden z nich, Dale, mówił z pełnymi ustami, z apetytem pochłaniając swoją sałatkę.

— Dziękuję — powiedziałam do pana Philipsa, następnie zwróciłam się do Dale'a. — W rzeczy samej wiem, kim ona jest.

— Liberalna elita zapomniała, czym są amerykańskie wartości — powiedział pan Philips. — Musimy przeciwstawić się tym wszystkim sędziom aktywistom, którzy upominają się o prawa dla homoseksualistów. Tego rodzaju styl życia może i przejdzie na północy, ale proszę mi wierzyć, tutaj nie ma szans.

— O ile wiem, Charlie lubi skupiać się na tym, co Amerykanów łączy — odparłam łagodnie.

— Widziała pani *Od wesela do wesela* — pytał Dale.

Obróciłam się do niego.

— Nie, ale słyszałam o tym filmie.

— To najpiękniejsza i najbardziej utalentowana aktorka na świecie — powiedział Dale, a jego ojciec, rozmawiający z żoną przewodniczącego siedzącą obok niego, zaśmiał się.

— Gdybym miał się o coś założyć, powiedziałbym, że rozmawiacie o Drew Barrymore — rzekł.

— Widziałam ją jako małą dziewczynkę w *E. T.* — powiedziałam. — Och, a wiesz co, Dale, razem z moją córką oglądałyśmy ostatnio film, w którym grała. Nazywał się *Ten pierwszy raz*. Widziałeś go?

Tym razem odpowiedział pan Tasket.

— Czy widzieliśmy *Ten pierwszy raz*? Najwyżej trzy razy w tygodniu go oglądaliśmy, ale częściej niż wiadomości.

— Pan Coulson myśli, że Josie jest studentką, a kiedy dowiaduje się, że pracuje w gazecie, zakochują się — powiedział Dale.

— Pamiętam ten fragment — rzekłam.

— Drew urodziła się dwudziestego drugiego lutego 1975 roku — dodał Dale. — To znaczy, że ma dwadzieścia pięć lat, siedem miesięcy i trzy dni, i jest Rybą, a ja jestem Bliźniak, ale jestem od niej starszy, bo mam czterdzieści lat.

Ojciec Dale'a znowu pograżył się w rozmowie, odezwał się natomiast pan Philips.

— Ta elekcja będzie prawdziwą nauką dla demokratów. Ale ostrzegam, że za osiem lat gorzko zapłacimy za poniewieranie nimi.

— Charlie i ja jesteśmy tak samo ciekawi jak pan, co się wydarzy — odparłam. — Jeżeli jesteś Bliźniakiem — zwróciłam się do Dale'a — to znaczy, że musiałeś się urodzić w maju lub czerwcu.

— Urodziłem się trzeciego czerwca 1960 roku. Jakie ma pani hobby? — W kąciku ust Dale'a została odrobina sosu do sałatki. — Ja lubię Nintendo, znaczki i zoo.

Nie mogłam się powstrzymać.

— Wygląda na to, że Drew Barrymore również jest twoim hobby — stwierdziłam.

Dale uśmiechnął się chytrze.

— Dziewczyna nie może być hobby! — rzekł. — Kiedy przyjdzie pani do nas, pokażę pani moje znaczki z klasycznymi amerykańskimi samolotami. Mam wszystkie, ale najlepszy jest Northrop YB— 49 Flying Wing.

— Pani Blackwell, czy pani i mąż zabawicie u nas dłużej? — pytanie zadała jedna z żon siedząca naprzeciwko, Dale jednak ubiegł moją odpowiedź.

— Thunderbolt też jest naprawdę super — powiedział.

Zwróciłam się do kobiety (już zdążyłam zapomnieć, jak się nazywa).

— Niestety, odlatujemy dzisiaj, i bardzo mi z tego powodu przykro, bo chętnie pozwiadałabym trochę. Dopiero co czytałam o ogrodach Bellingrath.

— Kiedy będzie tu pani następnym razem, koniecznie musi pani pojechać na wschodni brzeg. Wszyscy mamy tam domy — gestem wskazała na inne pary przy stole. — To wymarzone miejsce na odpoczynek, wyjątkowo spokojne. Kampania wyborcza musi być bardzo męcząca.

Wszyscy byli uprzejmi, ale też wyraźnie poirytowani, że Dale całkowicie skupił na sobie moją uwagę, na co ja i jego ojciec pozwalaliśmy. Bezspornie byłam współwinna — ale czyż można oprzeć się komuś tak pełnemu entuzjazmu, licznych zainteresowań, z których żadne nie ma nic wspólnego z polityką, komuś, kto nie ma pojęcia, kim jestem, i kogo to nie obchodzi, a jedyne, co go we mnie interesuje, to fakt, że wiem, kim jest Drew Barrymore, i chętnie z nim o niej rozmawiam? Nikt przy stole nie mógł konkurować ze swadą Dale'a, jego zapalem w pochłanianiu jedzenia, szczerymi pytaniami i wypowiedziami. Byłam wprost zauroczona. Wkrótce reszta biesiadników przestała się mną zajmować. Gdy tak konspirowałam z Dale'em, zauważyłam, jak jego ojciec zerka na nas z rozbawieniem i zaczęłam się zastanawiać, czy nie przyprowadził syna dla żartu, jako antidotum na sztywną napuszo— ność. Pan Tasket emanował też jakąś dziwną odwagą; jedynie na początku się krygował, teraz jednak wydawał się nie mieć żadnych wyrzutów sumienia, że przyprowadził swojego umysłowo upośledzonego dorosłego syna na tak uroczystą imprezę.

Kiedy podano przystawki, nie byłam specjalnie głodna, i skończyło się na tym, że oddałam swoją poledwicę Dale'owi, co przyjął z nieskrywaną przyjemnością.

— Jest pani pewna? — zapytał tylko.

Zjadł też mój deser, ciasto z truskawkami.

Charlie przemawiał już od jakichś dziesięciu minut, kiedy Dale klepnął mnie w ramię.

— Panienko Alice, lubi pani grać w kółko i krzyżyk?

Mówił normalnym głosem, nie szeptem i ludzie przy naszym stoliku, jak również przy kilku obok spojrzeli na niego. Leon Tasket, niezbyt przejęty, nachylił się ku synowi i coś mu szepnął. Dale zrobił wielkie oczy, wyraźnie zbesztany, i wyprostował się na krześle z rękami złożonymi na swoim okazałym brzuchu.

Sięgnęłam do torebki i znalazłam w niej papierową serwetkę i niebieski długopis. Narysowałam planszę i umieściłam krzyżyk w prawej górnej kratce, po

czym podsunęłam serwetkę Dale'owi. Twarz mu się rozpromieniła, a kiedy już miał coś powiedzieć, przyłożyłam palec do ust. Na podium Charlie mówił: „Gdy podróżuję po waszej wspaniałej krainie, słyszę wciąż jedno i to samo: »Przywróć prawość w Białym Domu«". Jak zwykle walił w mównicę, czemu towarzyszył głośny aplauz. Dale narysował kółko w środkowej kratce. „Przywróć prawość w Białym Domu", powtórzył Charlie. „Wszyscy tutaj wiedzą, co to oznacza, ale chciałbym zilustrować tę zasadę pewną historyjką". Narysowałam krzyżyk w dolnej prawej kratce, a Dale mnie zablokował, rysując kółko pomiędzy moimi dwoma krzyżykami. „Nie tak dawno temu odwiedziłem szkołę w Ocala na Florydzie. Chłopiec z piątej klasy, malec, który nazywał się Timmy Murphy, uniósł rączkę i powiedział do mnie: »Pa— nie gubernatorze, czy prezydent Stanów Zjednoczonych nie powinien być bohaterem? Ale moi rodzice mówią, że ten pan, który obecnie zamieszkuje Biały Dom, nie jest żadnym bohaterem«". Znowu rozległ się ogólny aplauz. Narysowałam krzyżyk pośrodku prawej kolumny i Dale westchnął z rezygnacją; tym razem ja go zablokowałam. Wyjątkowo nie znosiłam tej części przemówienia Charliego, bo po pierwsze była okropnie samochwalcza, a po drugie było mało prawdopodobne, by pięcioklasista używał słów „obecnie" czy „zamieszkiwać". „Cóż, Timmy", powiedział Charlie, a Dale narysował kółko w górnej kratce środkowej kolumny, „nie jestem Supermanem ani Spidermanem, ale jeżeli twoja mama i tato zagłosują na mnie, obiecuję ci, że odwaga i moralność na nowo zaczną królować w Waszyngtonie". Tutaj aplauz był wręcz ogłuszający. Nasza gra skończyła się impasem, podobnie jak trzy następne — wtedy Charlie rozwodził się nad swoim tolerancyjnym tradycjonalizmem — potem Dale mnie pokonał, następnie przyszła kolej na cztery dalsze remisy i wreszcie ja pokonałam jego. Papierowa serwetka była już bardziej niebieska niż biała, a nasze pola coraz mniejsze, byśmy mogli się zmieścić na coraz bardziej ograniczonej przestrzeni. Charlie skończył mówić, przewodniczący miejscowej partii podkreślił znaczenie wspierania republikanów w tegorocznym wyścigu prezydenckim. Mowy zostały nagrodzone owacją na stojąco, a gdy wszyscy umilkli, Dale się odezwał:

— Niech mi pani da swój adres, to do pani napiszę.

— Panna Alice jest bardzo zajęta — zaprotestował Leon Tasket.

— Będę zachwycona, jeżeli do mnie napiszesz — odparłam.

Na odwrocie wizytówki pana Tasketa napisałam drukowanymi literami swoje imię i nazwisko oraz adres rezydencji gubernatora w Madison. Zanim wezwano mnie do pozowania do zdjęć, Dale mnie uściskał.

— Jak pani i pani córka obejrzyście *Od wesela do wesela*, musicie zobaczyć *Trujący bluszcz*. Drew ma tam tylko siedemnaście lat, ale to naprawdę bardzo dobry film. Ma pani piękne niebieskie oczy, panienko Alice — dodał.

— Cóż, bardzo ci dziękuję.

Rzeczywiście po dwóch tygodniach dostałam list od Dale'a, napisany na liniowanej kartce wyrwanej z kołnotatnika, z postrzępionym brzegiem. List pozbawiony był interpunkcji i niektóre słowa nie wiedzieć czemu zaczynały się od wielkiej litery, poza tym jednak był zupełnie zrozumiały: „Film Aniołki Charliego wychodzi dopiero za trzy miesiące czy nie Możesz się Doczekać Bo ja tak powinnaś Wrócić do Alabamy mogłabyś Pojechać na polowanie na Aligatory z tatą i Ze mną...”. Odpowiedź napisałam osobiście następnego dnia, na papierze listowym z moim imieniem i nazwiskiem; wspomniałam, że podróżuję wraz z mężem, że dopiero co odwiedziliśmy Ohio i Pensylwanię, że czytam biografię byłej pierwszej damy, Abigaile Adams, i chociaż nie miałam jeszcze okazji wypożyczyć *Od wesela do wesela*, bardzo chcę ten film zobaczyć. Po powrocie z Mobile pouczyłam mój personel w Madison, by zwracał uwagę na listy od Dale'a i dopilnował, abym otrzymywała je do rąk własnych. Nie chciałam, żeby w odpowiedzi dostał standardowy list z dołączoną czarno—białą fotografią przedstawiającą mnie i Snowflake'a. Ponieważ wyjaśniłam moim pracownikom, kim jest Dale, kiedy nie nadeszły już żadne inne listy, doszłam do wniosku, że nie zaginęły, lecz po prostu on więcej nie napisał. Zasmuciło mnie to, i nieraz się zastanawiałam, co porabia; ilekroć widzę Drew Barrymore w nowym filmie, zawsze o nim myślę.

Tamtego wieczoru w Mobile, w zmierzającym na lotnisko busiku Hank, który na kolacji siedział przy stoliku obok, powiedział:

— Wpadłaś w oko temu niedorozwiniętemu, co, Alice?

— Jakiemu niedorozwiniętemu? — zainteresował się Charlie.

Kilka tygodni później Leon Tasket zrobił darowiznę na rzecz NKR w wysokości ośmiuset tysięcy dolarów, lecz zamiast triumfować, poczułam się lekko zasmucona — wyglądało to tak, jakby mój zachwyt synem pana Tasketa był, jak zwykle w polityce, wyłącznie na pokaz. „Time” opisał, jak to podczas przemówienia swojego męża grałam w kółko i krzyżyk z jednym członkiem publiczności, co podchwyciło kilka innych gazet. Miała to być perełka na mój temat, z braku innych ukazująca coś ważnego w mojej osobowości.

— Wyjaśnij mi w takim razie, po co chcesz się spotkać z tą swoją rąbniętą dawną przyjaciółką, której nie widziałaś na oczy od ponad trzydziestu lat, skoro podobno nie ma nic wspólnego z tym całym gównem — mówi Charlie przez telefon.

Przelatujemy naszym gulfstreamem nad granicą między Illinois i Wisconsin, a Charlie jedzie do odległego parku nad Potomakiem na popołudniową prze-

jażdżkę rowerem; innymi słowy zmierzają tam trzy pojazdy wiozące jego, jego rower górski, agentów ochrony i ich rowery, towarzyszy im nawet lekarz.

— Okazuje się, że Dena nadal spotyka się z Pete'em Imhofem — odpowiadam. — Tak więc w zasadzie spotkam się z obojgiem. Chyba po prostu czuję taką potrzebę.

Belinda z mojego biura potwierdziła Jessice, że Dena i Pete faktycznie mieszkają razem, chociaż Belinda nie była pewna, czy Pete będzie obecny, kiedy przyjadę.

— Wydawało mi się, że planujecie z Ellą dziewczynski wieczór — mówi Charlie.

— Cóż, bardzo się cieszę, że zobaczymy się wieczorem, i mam nadzieję, że nie obrazi się za moją zmianę planów. Wrócę godzinę przed galą. Pytałeś Ellę, czy nie ma ochoty na przejażdżkę z tobą?

— Powiedziała, że jest za gorąco.

Waham się przez chwilę, potem mówię:

— Trochę się boję, jak zareaguje na tę historię z aborcją. Hank wymógł na doktor Wycomb obietnicę, że zaczeka z wyjawieniem wszystkiego do jutra — chyba musiał udawać, że wciąż istnieje szansa, że jednak wypowiem się przeciwko Ingrid Sanchez — zamierzam więc osobiście powiedzieć Elli dzisiaj wieczorem. Mogę cię prosić, żebyś był w tym czasie w pobliżu? Mam przeczucie, że będzie chciała z kimś porozmawiać, ale niekoniecznie ze mną. Na pewno będzie na mnie zła.

— Czy dlatego unikasz powrotu do domu?

— Kochanie, niczego nie unikam. Spotkanie z Deną to szansa na załatwienie dawnych spraw.

— Cóż, Ella to twarda sztuka — mówi Charlie. — Poradzi sobie.

— Ale z religijnego punktu widzenia...

— Według ciebie prawdziwy chrześcijanin, godny tego miana, nie wie, co to znaczy zgrzeszyć? I co z tego, że rozrabiałaś przez czterdzieści lat — przecież to nie znaczy, że nigdy nie znajdziesz drogi do Boga.

Wiedziałam, że to powie, chociaż z pewnością zdaje sobie sprawę, że nie uważam aborcji za grzech (nieszczęście, owszem, ale nic niemoralnego), tak samo jak wie, że nie podzielam jego chrześcijańskich przekonań. Nasza niepisana umowa dotycząca religii podobna jest do tej, która dotyczy polityki: ja nie prote-

stuję, kiedy on mówi o Bogu, on nie nalega, abym ogłosiła się wierzącą. O moim agnostycyzmie wie równie mało osób co o aborcji, rozumiem więc rozpowszechnione wśród znajomych, ale i obcych założenie, że głęboko wierzę.

Co się zaś tyczy chrześcijańskiej prawicy, adwokatów tradycyjnych wartości

— wszystko jedno, jak się ich nazwie — to oni właśnie niezachwianie wierzą, że Charlie jest mesjaszem. Podobna hipoteza jest dla mnie zupełnie nie do obrony i nawet nie mogę o niej myśleć. Charlie natomiast, zachęcany przez doradców, Hanka w szczególności, opowiada się za tym groteskowym pomysłem, co świadczy bądź o cynizmie, bądź o tak bezdennej, nieposkromionej pysze, że aż trudno stwierdzić, co gorsze. Podejrzewam, że Charlie może naprawdę wierzyć, że jest mesjaszem (jakże inaczej wytłumaczyć, że z alkoholika stał się prezydentem?), Hank natomiast kieruje się nieszczerymi pobudkami, chociaż nie wątpię w wiarę Hanka w Charliego. Może tej wiary nie rozumiem, jako że Hank na pewno jest inteligentniejszy i bardziej ambitny z nich dwóch, rozumiem jednak jedno, a mianowicie że Hank wystarczająco wcześniej dostrzegł w Charliem charyzmatyczny substytut siebie. A ja? Czyja nie podporządkowałam swojego życia Charliemu, pozwalając, by to on przewodził i mnie określał? Dlaczego więc nie miałabym zrozumieć tego impulsu u innych?

— Jak już zaczniecie się obrzucać błotem, pamiętaj, że nigdy więcej nie będę się o nic ubiegał, nie musisz więc czuć się winna przez wzgląd na mnie

— mówi Charlie z optymizmem.

Wyglądam przez okno; kapitański fotel, w którym siedzę, stoi prostopadle do kokpitu, widzę więc niebieskie niebo na zewnątrz. Wolę ten odrzutowiec od boeinga 757, z którego muszę korzystać, gdy towarzyszy mi większa liczba ludzi. Może pomieścić szesnaście osób, fotele obite są białą skórą, wykładzina ma kremowy kolor; taki wystrój zawsze przywodził mi na myśl tandetne wyobrażenie nieba.

— Kochanie, doceniam twoje wsparcie, ale zanim zaczniemy nazywać moją aborcję grzechem... Czy nie jest to znak, że żałujesz, że ją miałam? — pytam.

— Nigdy byśmy się nie pobrali, gdybym była matką trzynastolatka, prawda?

— Milczy, mówię więc dalej. — To nie jest skomplikowane. Tylko tyle chcę powiedzieć. I mam nadzieję, że ta historia szybko przycichnie, obawiam się jednak, że dzięki nominacji Ingrid Sanchez długo utrzyma się w wiadomościach.

— Chyba nie sugerujesz, żebym ją wykopał?

— Nie, ale należy pamiętać, że prasa będzie się wprost rozkoszować ironią sytuacji.

— Tak naprawdę wkurza mnie — mówi Charlie — że ta cała lekarka, stara wiedźma, decyduje, że cię wyda, a my wszyscy skaczymy, jak nam zagra. Czy może być lepszy przykład szantażu?

— Charlie, ona ma sto cztery lata.

— Jasne, wszyscy w kółko to powtarzają. Dobra, staroświecka, liberalna wściekłość trzyma ją przy życiu, co? — Śmieje się. — Cóż, jeśli tylko tyle trzeba, może mnie przeżyjesz.

Oboje milkniemy; na zewnątrz kabiny słychać tylko szum silnika. Jessica siedzi tuż obok na swoim obitym białą skórą fotelu i je kanapkę przygotowaną dla niej przez jedną ze stewardes; Cal i Jose rozmawiają z tyłu samolotu, Walter czyta jakiś thriller. Staram się mówić cicho.

— Nie zgadzam się z metodami doktor Wycomb, ale chyba nie zapomniałeś, że ja też jestem za prawem wyboru, prawda?

— Widzisz, właśnie to czyni Amerykę wielką, jest tu miejsce dla wszelkiego rodzaju przeciwstawnych poglądów. — Zgaduję, że Charlie się uśmiecha, po czym dobiega mnie dźwięk niedający się pomylić z żadnym innym, bulgoczący „wystrzał” i domyślam się, że puścił bąka. Mówiłam mu co prawda, że to niegrzeczne, ale przypuszczam, że robi to możliwie jak najczęściej w obecności swoich agentów. Gdy go upominam, odpowiada: „Uważają, że to komiczne, kiedy przywódca wolnego świata normalnie sobie pierdzi”.

— Słyszałam to — mówię.

— Nie mam pojęcia, o co ci chocki. — Zanim się rozłącza, dodaje jeszcze:

— Pozdrów ode mnie rozwódkę.

Gdyby jakiś dziennikarz czy obcy zapytał mnie kiedyś, czego nigdy nie spodziewałam się w moim życiu, odparłabym: „Że będę musiała wygłaszać przemówienia!”. Gdyby o to samo zapytali przyjaciele, moja odpowiedź brzmiałaby: „Ze będę miała kota!”. To była sprawka Hanka — sondaż zlecony na początku lat dziewięćdziesiątych wykazał, że wyborcy w Wisconsin byłiby lepiej nastawieni, gdyby nasza rodzina posiadała jakieś zwierzę, najlepiej psa. Zaprotestowałam, ponieważ Ella była alergiczką, i w ten sposób staliśmy się właścicielami Snowflake'a, podobno niewywołującego alergii kota rosyjskiego niebieskiego.

To dobrze, że nasz kot jest wyniosły. Nie rozpaczałam, kiedy się okazało, że Snowflake nie znosi siedzieć na naszych kolanach czy w ogóle w naszym pobliżu. Charlie czasami go podnosił, wtulał twarz w jego bok i pocierając nosem o futro, mówił: „Tylko ty naprawdę mnie kochasz, prawda, Snowflake? Ty po-

rządny republikański kocie!". Pokojówki karmiły Snowflake'a, czyściły jego kuwety, raz do roku zjawiał się u nas weterynarz, by przeprowadzić kontrolne badania; jeżeli Snowflake polował na myszy czy ptaki na terenie Białego Domu, mnie o tym nic nie wiadomo. Moja niechęć do kotów, która tylko wzrosła, kiedy jako pięciolatka zostałam podrapana przez kota w policzek, nie jest powszechnie znana (Charlie żartował, że przy jakichś siedemdziesięciu milionach posiadaczy kotów w kraju mogłabym samym tym wyznaniem zaprzepaścić szansę w wyborach), jednak dzięki temu, gdy znajomi proszą, bym zdradziła im jakiś sekret z naszego życia prywatnego, zawsze mogę to wykorzystać. Jest to oczywiście fałszywa rewelacja, pseudointymna sztuczka, której nauczyłam się od rzeczników Białego Domu: rozpowiadają o nas rzeczy, które są prawdziwe, lecz zupełnie trywialne, to udawana szczerość — ale jak nam tłumaczą, zbliża nas to do zwykłych ludzi. Charlie Blackwell uwielbia film *Legenda telewizji*. Alice Blackwell podarowała prezydentowi na święta aparat cyfrowy i bluzę na rower. Ulubiona potrawa Elli Blackwell to meksykańskie dani z *fajitas*.

Prawdziwa odpowiedź na pytanie, czego nigdy nie wyobrażałam sobie, że kiedyś zrobię, brzmiałaby: liftingu twarzy. I chociaż media nieustannie spekulowały na ten temat, nigdy nie otrzymają potwierdzenia od nikogo z mojego personelu, po części dlatego, że tylko kilka osób wie na pewno, jak było.

Już w 1997 roku, jeszcze przed reelekcją na gubernatora Charlie zdecydował, że w 2000 roku wystartuje w wyścigu o urząd prezydenta. W 1998 roku, na wydanym przez nas w rezydencji gubernatora przyjęciu z okazji Super Bowl dla personelu i bliskich przyjaciół stałam wraz z Debbie Bell, żoną Hanka, Brendą, i Kathleen Hicken.

— Tak między nami, dziewczynami — powiedziała nagle Debbie, wówczas szefowa do spraw komunikacji. — Czy zastanawialiście się kiedyś nad chirurgią plastyczną? Niedawno byłam u Ann Taylor i te lustra w przebieralniach są bardzo okrutne.

— Debbie, przecież ty ciągle jesteś młoda! — zauważyłam.

Debbie była mniej więcej o dziesięć lat młodsza od Charliego i ale mnie — co znaczyło, że wtedy miała jakieś czterdzieści lat — chciałam więc tak myśleć.

— No tak, ale wciąż słyszę, że w dzisiejszych czasach to takie proste — powiedziała Debbie. — Nie mówię, no wiecie, o implantach czy korekcie nosa, tylko... — Przyłożyła ręce do boków twarzy i pociągnęła w górę. — O wyeliminowaniu kilku zmarszczek — dodała. Zwróciła się do mnie. — Zrobiłabyś to? (Powinnam była się domyślić — och, cóż za kompletny głuptas ze mnie, ale nic nie pojęłam).

— Przecież chyba trzeba miesięcy, żeby dojść do siebie — odezwała się Kathleen.

Debbie pokręciła głową.

— Może kiedyś tak było, ale medycyna poszła niesamowicie naprzód. Alice, gdybym umówiła się na wizytę, pójdziesz ze mną, żeby udzielić mi moralnego wsparcia?

Zdziwiła mnie ta prośba, bo nigdy nie byliśmy sobie z Debbie szczególnie bliskie. Znałyśmy się dobrze, należała do najbliższych współpracowników Charliego, ale nigdy nie spędzałyśmy czasu sam na sam.

— Chyba raczej nie, ale chętnie posłucham, co doktor ci powiedział— odparłam. — Założę się, o co chcesz, że odprawi cię z kwitkiem, bo jesteś zbyt młoda.

Jak się okazało, była to Faza Pierwsza. W Fazie Drugiej zadzwoniła Jadey.

— Miałam ci tego nie mówić, ale Hank chce, żebyś zrobiła sobie lifting twarzy, wobec czego mam ci zaproponować wspólny wyjazd na Florydę, gdzie obie zrobimy sobie zabieg, jakby to był mój pomysł. Potem to przemyślałam i doszłam do wniosku, że to całkiem interesujący pomysł.

— Hank chce, żebym zrobiła sobie lifting?

— Wiem, że to wygląda na manipulację...

— I zadzwonił do ciebie?

— Debbie zadzwoniła.

— Oddzwonię do ciebie za sekundę — odparłam i jak tylko się rozłączyłam, wybrałam bezpośredni numer do gabinetu Charliego. Odebrała jego sekretarka Marsha.

— Ma spotkanie z Izbą Regentów, ale oczywiście przekażę mu...

— Powiedz mu, proszę, że to pilne.

Kiedy Charlie odebrał, z trudem łapał oddech.

— Ella...

— Nie, nie, nic jej nie jest — uspokoiłam go. — Ale zdaje się, że Hank rozpowiada wszystkim wkoło, że potrzebny mi lifting twarzy. ? — Ostrzegałam go, że to ci się nie spodoba.

— Wiedziałaś?

— Chodzi o telewizję, Lindy, nic więcej. Przecież wiesz, że według mnie jesteś piękna, ale Hank uważa, że jak zaczniemy więcej pokazywać się na ogólnonarodową skalę...

— A ty planujesz zrobić sobie lifting?

— Nie muszę ci chyba tłumaczyć, że istnieje coś takiego jak podwójne standardy. Słuchaj, powinni byli to z tobą załatwić bardziej wprost...

— Oni?

— My, my powinniśmy. Hank uważa, że jeśli chcesz to zrobić, teraz jest odpowiednia pora. W trakcie kampanii to będzie niemożliwe.

— Skąd w ogóle ten pomysł? Czy Hank zlecił sondaż na temat mojego wyglądu?

Charlie się zawahał, a ja od razu się domyśliłam.

— Jest tam teraz z tobą?

— Jest z regentami, gdzie i ja powinienem być. Decyzja należy do ciebie, Lindy. Przepraszam, jeżeli poczułaś się obrażona. Wciąż jesteś najpiękniejszą z moich żon.

— To jest niewiarygodnie obraźliwe.

— Kiedy wrócę dzisiaj do domu, udowodnię ci, jaka jesteś atrakcyjna. Muszę skończyć, zanim całkiem mi stanie od samego rozmawiania z tobą.

Czułam się obrażona nie tylko dlatego, że personel Charliego dyskutował o moim wyglądzie — i doszedł do wniosku, że pozostawia coś do życzenia — co już było upokarzające, ale również dlatego, że propozycja wzmogła moje wątpliwości co do siebie. Co prawda nigdy nie cierpiałam z powodu wyglądu, coraz głębsze zmarszczki w kącikach ust i na czole nie uszły mojej uwagi, podobnie jak coraz mniej gładka skóra na szyi. Wszystko to w telewizji jeszcze bardziej niż na żywo rzucało się w oczy. Mimo to nadal nie uważałam, by sytuacja wymagała czegoś więcej niż odpowiedni makijaż.

Dąsałam się przez trzy dni, czwartego poleciłam swojej asystentce Cheryl, by kupiła mi książkę o chirurgii plastycznej, a piątego poszłam do lekarza. Jednak to nie on przeprowadził operację. Miesiąc później wraz z Jadey udałyśmy się do Naples na Florydzie, do chirurga plastycznego cieszącego się opinią najlepszego, a po wszystkim przez dwa tygodnie mieszkaliśmy w odizolowanym domu z oknami wychodzącymi na kanał. Niestety, nie skorzystałyśmy z walorów tego miejsca, ponieważ nie wolno nam było pływać ani wystawiać się na słońce. Towarzyszyła nam trzydziestoletnia Cheryl i w końcu, po wielu namowach, udało

nam się ją przekonać, żeby spędziła na plaży popołudnie; podobno nawet nurkowała z fajką. Tymczasem Jadey i ja wylegiwałyśmy się, czytałyśmy, oglądały telewizję, uskarżając się i nabijając z siebie. Miałyśmy przykazane trzymać głowy wysoko — Jadey miała więcej bandaży ode mnie, ale obie byłyśmy jednocześnie obolałe i odrętwiałe, a moja twarz dość poważnie napuchła — a po sześciu dniach pojechałyśmy na zdjęcie szwów z nacięć tuż pod linią włosów (przed operacją pielęgniarka zachwycała się, jak wspaniale moja fryzura przysłoni wszystkie blizny). Zawarłyśmy z Jadey pakt, że nigdy nikomu nie powiemy — wiedzieli nasi mężowie i Cheryl, ale nie chciałyśmy, żeby dowiedziały się nasze szwagierki, Priscilla czy nawet dzieci. Prawdę mówiąc, właśnie myśl o Elli kazała mi się zastanowić. Gdyby się dowiedziała, dałabym jej negatywny przykład, w jej oczach okazałabym się próżna, buntująca się przeciwko starzeniu. Na szczęście jednak przebywała w Princeton, a wszystkim w Madison i Milwaukee opowiedziałyśmy historyjkę o intensywnym kursie malowania akwareli. („A co zrobimy, jak zechcą obejrzeć nasze prace?”, zapytałam, na co Jadey odparła: „Powiemy, że przyślą nam je później”. Jednak nikt nigdy o nie nie zapytał).

Zwłaszcza przez pierwszych kilka dni po operacji byłyśmy z Jadey tak obolałe, że nieustannie, w regularnych odstępach czasu zastanawiałyśmy się na głos, czy w ogóle było warto, a raz nawet przyszło mi na myśl (choć tego akurat nie powiedziałam głośno), że jesteśmy jak postaci z bajki, dwie narcystyczne stare harpie za wszelką cenę próbujące zatrzymać uciekającą młodość. Koniec końców jednak nie spotkała nas kara za zbyt wygórowane żądania; już tydzień po operacji sińce zbladły, opuchlizna zeszła i dzień przed powrotem do Wisconsin razem z Cheryl zjadłyśmy kolację w cudownej i koszmarnie drogiej meksykańskiej restauracji. Nie powinnyśmy były pić, ale Jadey ukradkiem pociągnęła kilka łyków margarity Cheryl. Po przyjeździe do domu nieustannie dzwoniłyśmy do siebie i chwaliłyśmy się, kto i ile razy powiedział nam komplement, że jesteśmy takie wypoczęte i wyglądamy tak świeżo po pobycie nad morzem. Tak to już jest, że jeżeli operacja plastyczna się powiodła, to efekt jest olśniewający. Każdy, kto zaliczył choćby jedną, zaczyna zdawać sobie sprawę, ile ludzi również się im poddało. Istnieje mnóstwo przykładów nieudolnego działania i wtedy od razu widać ingerencję chirurga plastyka. Ale o operacjach znacznie większej ilości kobiet i mężczyzn, zwłaszcza osób publicznych, nie mamy pojęcia, podziwiając ich młody i zdrowy wygląd.

Z książki dowiedziałam się, że efekt po podniesieniu twarzy lub rhytidektomii, jak się to fachowo nazywa, utrzymuje się od pięciu do dziesięciu lat, i wtedy trzeba zabieg powtórzyć — co oznacza, że nawet licząc optymistycznie, z mojego liftingu już nic nie zostało. Nie planuję kolejnego, jednak nie dlatego, że przestałam być próżna, lecz dlatego, że obecnie wraz z Jadey wolimy poddawać się zabiegom wstrzykiwania botoksu, co w latach dziewięćdziesiątych nie było jesz-

cze znane. Co trzy miesiące Jadey przylatuje do Waszyngtonu i prywatny lekarz Charliego, doktor Subramanium, przeprowadza zabieg w zaciszu gabinetu mojego męża. Wszystko trwa dziesięć minut i nie wymaga anestezji. Chciałabym wierzyć, że nie rezygnuję z zabiegów, ponieważ w ten sposób udaje mi się utrzymać bliski kontakt z Jadey, ale to tylko część prawdy. Robię to też po to, by nie dać bloggersom i prowadzącym nocne talk— show w telewizji tematów do żartów z mojego wyglądu. Fakt, że pozwalałam sobie wstrzykiwać w twarz trującą bakterię, wprawia mnie w osłupienie, jednak nie większe niż to, że jestem żoną prezydenta Stanów Zjednoczonych, mieszkam w Białym Domu i noszę idiotyczny tytuł pierwszej damy. O ile mi wiadomo, Debbie Bell nigdy nie poddała się żadnej operacji plastycznej.

Wtedy, w 1998 roku, kiedy wróciłam z Naples do Madison, kilka tygodni później Ella wróciła do domu na ferie wiosenne i pojechałam po nią na lotnisko; chociaż jako pierwszej damie Wisconsin przysługiwała mi ochrona, czasem prowadziłam samochód sama. Ferie Elli trwały dwa tygodnie, z czego pierwszy spędziła z grupką przyjaciół w Turks i Caicos, w letnim domu koleżanki z roku, Alexandry Cateriny Laroche de Fournier (znanej jako Alex). Ella przyznała, że pod koniec było już trochę nudno; miała wrażenie, że zbyt szybko sobie dogadza, i ten drugi tydzień zamierzała spędzić w kuchni wydającej zupę ubogim, w której w liceum pracowała jako wolontariuszka. Ja w oczekiwaniu na jej przyjazd zrewidowałam swój harmonogram i powiedziałam, że gdyby chciała pooglądać jakieś filmy albo musiała kupić sobie coś nowego do ubrania, zwłaszcza na zbliżającą się letni staż w Microsoftzie, jestem do jej dyspozycji.

— Dobrze, zobaczymy — odparła obojętnym tonem.

Zajechałyśmy przed rezydencją i zaparkowałam samochód.

— Mamo, a tak przy okazji.

Obróciłam się, by na nią spojrzeć.

— Niezły lifting — stwierdziła.

Mieszkają na pierwszym piętrze domu przy Adelphia Street. Z sercem tłukącym mi się w piersi wchodzę po schodach na ganek i pukam do drzwi, choć w zasadzie jest to czcza formalność, ponieważ agenci służb specjalnych zdążyli już sprawdzić ich mieszkanie i mieszkanie nad nimi, do którego wchodziło się drzwiami tuż obok ich drzwi. Ze środka wita mnie napływ schłodzonego klimatyzacją powietrza przesiąkniętego dymem papierosowym i już po chwili za siatkowymi drzwiami pojawia się Dena. Jest szczupłą kobietą o żylastej szyi i cienkich ustach, o twarzy pokrytej zmarszczkami; włosy, które kiedyś były ja— snobrazowe, teraz są szaroblond i suche, wciąż falujące, lecz przycięte tuż pod

uszami. Jest stara, Dena jest s t a r a, ale to bez cienia wątpliwości ona, i zaczynam płakać. Otwiera drzwi, a na jej twarzy maluje się cień rozbawienia.

— Cóż, nie musisz z tego powodu odgrywać bohaterki dramatu — mówi.

Kiedy się obejmujemy, ściskam ją z całej siły.

Wchodzimy do salonu, w którym stoi czarna skórzana kanapa i taki sam fotel oraz niski stolik, wszystko naprzeciw sprzętu elektronicznego — obok ustawionego centralnie wielkiego telewizora z jednej strony dostrzegam wieżę stereo, głośniki i odtwarzacze CD i DVD, a z drugiej kilka rzędów stojących pionowo kolekcjonerskich talerzy przedstawiających konie (galopują na tle krajobrazów z Zachodu, ich sylwetki są zarysowane ostro pod kątem, grzywy i ogony rozwiane w silnym wietrze) lub amerykańskich Indian (wódz z tomahawkiem w dłoni i orłem na ramieniu, kobieta z długimi czarnymi warkoczami, w skórzanej spódnicy z frędzlami, pochylona czule nad nosidełkiem). Zmienił się gust Deny, mój, czy też zmieniły się po prostu czasy? Być może wszystko po trochu. Ściany pokrywa boazeria, dywan jest fioletowy, drzwi prowadzą do pograżonego w mroku wąskiego przedpokoju, na końcu którego znajdują się kolejne, wiodące do jasnego pomieszczenia z podłogą z kafelków w biało— czarną szachownicę — chyba kuchni. Telewizor jest włączony, akurat nadają program *Dr. Phil*.

— Napijesz się czegoś? — pyta Dena. — Zaproponowałabym ci prawdziwego drinka, ale rzuciliśmy alkohol już bardzo dawno temu, więc najatrakcyjniejsze, co mamy, to dietetyczna cola.

— Cola może być.

Wychodzi do przedpokoju, a ja rozglądam się za jakąś chusteczką — na bocznym stoliku stoi pudełko — i wycieram nos. Na stoliku do kawy dostrzegam miskę z różanym potpourri, numer magazynu „People” i paczkę papierosów Merit. Z kuchni dobiega mnie szum puszczanej wody, a potem głos Deny mówiącej do kogoś znajdującego się w którymś z pokoi, jednak telewizor zagłusza słowa. Na pewno rozmawia z Pete'em; od moich agentów wiem, że siedzę w tej chwili w jednym mieszkaniu razem z Pete'em Imhofem. Przez frontowe okno widzę na zewnątrz Josego, jak stoi na ganku i z rękami złożonymi na piersiach obserwuje ulicę.

Dena wnosi dwie szklanki, jedną wypełnioną ciemnym gazowanym płynem, drugą wodą; podaje mi tę z dietetyczną colą, wyłącza telewizor, siada na fotelu i gestem zaprasza mnie, bym usiadła na kanapie.

— Muszę przyznać, że kiedy ta jakaś dziewczyna z twojego biura zadzwoniła i powiedziała, że jedziesz do nas, pomyślałam, że to jakiś żart.

Ton głosu Deny nie jest ani zimny, ani przypochebny, lecz po prostu normalny; już po raz drugi dzisiaj nie jestem Alice Blackwell, lecz Alice Lindgren. A może jedną i drugą... Dena mówi dalej.

— Jak to jest być żoną prezydenta?

— Zależy od dnia — odpowiadam, mam nadzieję, swobodnym tonem.

Dena zakłada nogę na nogę. Nosi dzinsy i czarną koszulę bez rękawów

z wycięciem w serek odsłaniającym dekolt tak imponujący, że siłą rzeczy zastanawiam się, czy nosi stanik push— up, czy też raczej zrobiła sobie implanty. Ma też srebrne wiszące kolczyki, srebrny łańcuszek na szyi i dwa srebrne pierścionki — żadnego z nich na serdecznym palcu lewej ręki. Jeden, z kamieniem księżycowym, jest na środkowym palcu lewej ręki, drugi, obrączka z wygrawerowanymi małutkimi pacyfkami, na prawym kciuku. Pacyfki dodają znaczenia następnym wypowiedzianym przez nią słowom, a może to tylko gra mojej wyobraźni.

— Nigdy nie sądziłam, że jesteś republikanką — mówi.

— Nie jestem.

— Naprawdę? — uśmiecha się. — jak to możliwe?

Milczymy chwilę, wreszcie się odzywam.

— Dużo o tobie myślałam przez te wszystkie lata, Deno. Żałuję... — Żałuję, że nasza przyjaźń tak się skończyła, żałuję, że nie rozmawialiśmy od trzydziestu lat.

— Wiem, ja też żałuję — nie daje mi dokończyć. Śmieje się krótko. — Powiedziałabym, że myślałam o tobie, ale ja raczej cię w i d y w a ł a m. Ten kaszmirowy płaszcz, który nosiłaś na inauguracji Charliego, na drugiej, był absolutnie cudowny, tak sobie pomyślałam. Kiedy ja znałam Alice, żałowała każdego centa na ubrania, ale ten płaszcz musiał kosztować krocie. Ucieszyłam się, widząc, że wreszcie odpuściłaś.

Inauguracja Charliego — tak właśnie się o nim mówi, albo bardziej sarkastycznie: Chuck lub Chuckie B. W Waszyngtonie jestem jedyną osobą, która zwraca się do niego w tak nieformalny sposób i której uchodzi to na sucho.

— Ten kostium też jest bardzo ładny. Jakiego to projektanta? — Dena skinięciem głowy wskazuje na mój niesamowicie pomięty lniany żakiet i spódnicę, które założyłam dzisiaj rano na spotkanie komitetu do spraw walki z rakiem — tak dawno, jakby to było w ubiegłym życiu. Kiedy przebywam w rezydencji,

ubieram się swobodnie, podobnie jak Dena, choć może w nieco skromniejsze bluzki.

— To de la Renta — mówię.

Kiwa głową z aprobatą.

— Tak właśnie myślałam, że to on albo Carolina Herrera. — Wskazuje na agentów za oknem. — Ci goście słuchają nawet, jak sikasz?

Śmieję się.

— Nie, do łazienki ze mną nie chodzą. Czekają na zewnątrz. Jest wśród nich kilka kobiet — dzisiaj żadna z nami nie przyjechała — kiedy więc zdarza się sytuacja, w której obecność mężczyzny byłaby krępująca, wtedy wkracza któraś z nich.

Dena potrząsa głową.

— Lepiej, że trafiło na ciebie, nie na mnie.

— To dziwne życie — przyznaję. Po chwili milczenia odzywam się znowu. — Deno, Pete jest tutaj także, prawda?

— A już się łudziłam, że to ja jestem główną atrakcją.

— Oczywiście, że tak, ale jeśli to możliwe, chciałabym porozmawiać z wami obojgiem jednocześnie.

Odwraca głowę w kierunku przedpokoju i woła:

— Kochanie, z tobą też chce się zobaczyć! — Z powrotem spogląda na mnie. — On uważa, że go nie lubisz. Tłumaczyłam mu, że nie przyjeżdżałabyś tu osobiście tylko po to, żeby zrobić nam awanturę, w końcu pierwsza dama ma ważniejsze sprawy na głowie, ale znasz Pete'a.

Jasne, że nie — w zasadzie już wcale nie znam Pete'a Imhofa, jeżeli w ogóle kiedyś go znałam.

— Kochanie! — krzyczy znowu, tym razem z większym zniecierpliwieniem.

Zjawia się po kolejnej minucie; on także ma na sobie dzinsy, szary T— shirt Badgersów i brązowe skórzane klapki. (Ciemne włosy na jego palcach u stóp! Gwałtownie przypomina mi się, jak miałam siedemnaście lat, kiedy to krótko, ale jakże dokładnie znałam ciało Pete'a Imhofa). Gdy widziałam go po raz ostatni, po tej aferze z piramidą finansową, która tak mnie rozwścieczyła, ważył sporo więcej niż za czasów naszej młodości, a teraz jeszcze przybyło mu kilogramów. Nie jest ogromny, ale na pewno duży, ma posiwiałe włosy i brodę. W zasadzie

jest przystojnym mężczyzną, w pewien prostolinijnie seksualny sposób. Wstaję i wymieniamy niezgrabny uścisk dłoni; nie chcę być okrutna, mówiąc, że to on ponosi winę za ową niezgrabność. Bóg wie, że mam wiele wad, ale nieumiejętność wymieniania z kimś uścisku dłoni na pewno do nich nie należy.

— Porządnie zaskoczyłaś dzisiaj Denę — mówi Pete, cofając się o krok, by stanąć przy jej fotelu. Przysiada na jednym z niezbyt wygodnie wyglądających oparć, podczas gdy ja z powrotem zajmuję miejsce na kanapie.

— Kotku, przynieś sobie z kuchni krzesło — mówi Dena, a on posłusznie wykonuje jej polecenie, po czym stawia swoje krzesło jak najbliżej niej.

— Mam nadzieję, że nie oderwałam was od waszych obowiązków — mówię, gdy Pete już siedzi.

Wiem od Jessiki, która z kolei została poinformowana przez Belinę, że Pete pracuje jako nocny strażnik w „White River Dairy”, a Dena w niepełnym wymiarze godzin jako masażystka w gabinecie kręgarza.

— Jakoś udało nam się wygospodarować chwilkę dla ciebie — mówi Dena cierpko.

— Na pewno oboje zastanawiacie się, dlaczego tak ni stąd, ni zowąd pojawia się u was.

W pierwszej chwili żadne nie odpowiada, potem odzywa się Dena.

— Owszem, można tak powiedzieć — mówi.

— Cóż, po pierwsze chciałam was oboje zobaczyć. Chciałam się przekonać, co u ciebie słychać, Dena. Ale także lada chwila do mediów przedostanie się historia pośrednio związana z tobą, Pete. Nie wiem, czy będzie to program telewizyjny, czy artykuł w jakiejś gazecie, ale jutro, przynajmniej tak sądzę, zostanie podane do publicznej wiadomości, że ja... że w 1963 roku miałam aborcję. A mówię to wam, chociaż media w żaden sposób nie mogą się tego dowiedzieć, ponieważ to z twojego powodu, Pete, zaszłam wtedy w ciążę. Nie wiem, czy Dena kiedykolwiek ci wspominała...

— On wie — mówi Dena obojętnym głosem, a gdy spoglądam na Pete'a, nie zaprzecza, lecz patrzy na mnie bez specjalnych emocji. (Czy Andrew też byłby taki potężny, gdyby dożył tego wieku? Wątpię, miał zupełnie inną budowę).

— Gdyby coś takiego się powtórzyło, postąpiłabym bardziej uczciwie i powiedziałabym ci w odpowiednim czasie — dodaję.

— Kto puszcza farbę? — pyta Dena. — Znasz tę osobę?

— To... — Mogę opisać Gladys Wycomb na kilka sposobów, ale postanawiam nie mieszać w to babci. — To lekarka, która przeprowadziła zabieg — mówię. — Jest już bardzo stara i robi to, żeby zaprotestować... Nie wiem, czy śledziliście nominację do Sądu Najwyższego, otrzymała ją Ingrid Sanchez i właśnie przeciwko temu ta lekarka protestuje. — Patrzę na Pete'a. — Mam nadzieję, że ta wiadomość szybko straci na atrakcyjności, możliwe jednak, że jacyś dziennikarze postanowią dojść do tego, z kim w tamtym czasie się zadawałam, i uważam, że tylko któreś z nas trojga może im w tym pomóc. Chciałam was po prostu ostrzec. Wolałabym, żebyście nie rozmawiali z dziennikarzami, ale decyzja należy do was, i gdybyście chcieli, ktoś z mojego biura może skontaktować was z trenerem medialnym. — Z obawy, że mogło to zabrzmieć protekcjonalnie, dodaję: — Ja odbyłam setki takich treningów, ale wciąż jeszcze nie poznałam wszystkich sztuczek.

Dena i Pete wymieniają spojrzenia.

— Owszem, co chwilę zgłasza się do nas jakiś twój kolega z brukowców. Chociaż nie tylko z brukowców. Kotku, skąd dzwonił ten gość kilka tygodni temu? Z Chorwacji? Mogę ci tylko powiedzieć, że z jakiegoś kraju, którego nie umiałam nawet znaleźć na mapie.

Nie powinno mnie to dziwić — demaskatorskie i zdradzające wszystko publikacje o administracji Charliego, jego rodzinie czy młodzieńczych latach pojawiają się regularnie niemal co tydzień, zarówno artykuły, jak i książki, w brukowcach i poważnej prasie. W czasie kampanii w 2000 roku, kiedy pierwszy dziennikarz wpadł na trop wypadku, w którym zginął Andrew Imhof, od razu trafiło to na czołówki. Odniosłam się do tego, udzielając wywiadu dziennikarzowi „USAToday”. Powiedziałam wtedy: „Było to niezmiernie smutne. Wiem, jak bardzo przeżyła to jego rodzina, koledzy ze szkoły, cała społeczność, mnie nie wyłączając”. Ilekroć od tamtego czasu przyszło mi wypowiadać się ponownie na ten temat, zawsze powtarzałam mniej więcej to samo, nie rozwodząc się. Dlatego też, by czymś wypełnić rozmaite książki i artykuły, ich autorzy musieli znaleźć bardziej gadatliwe źródło informacji, rozmawiali więc z każdym, nawet z przygodnym przechodniem. Znam przynajmniej jedną swoją biografię, w której Dena jest podana jako moja najbliższa przyjaciółka z dzieciństwa, i zapewne dzięki temu dziennikarze ją namierzyli. Źródłem tej informacji dla biografisty była nasza stara szkolna koleżanka, Mary Petschel z domu Hafliger, ta z owłosionymi ramionami, która wyrzuciła mnie ze Spirit Club po śmierci Andrew i na którą wraz z Ellą wpadłyśmy, kiedy w 1988 roku uciekłam do Riley. Od tamtego spotkania ani razu nie widziałam Mary.

I nagle, w tej właśnie chwili zrozumiałam, że ani Dena, ani Pete nigdy nie rozmawiali o mnie z mediami. Od tak dawna wierzyłam, że Dena robi to na

pewno, że w końcu zaczęłam mieć wrażenie, jakby to się już stało. Nawet dzisiaj, jak tylko Hank poinformował mnie, że historia z aborcją lada moment wyjdzie na jaw, Dena była pierwszą osobą, o której pomyślałam, podczas gdy ona nie miała z tym nic wspólnego. Teraz okazuje się, że Dena i Pete zachowali milczenie, chociaż byli ze sobą przez te wszystkie lata, oboje mieli swoje powody, by życzyć mi źle, i mogli nawzajem umocnić siebie w antypatii do mnie i usprawiedliwić swoje prawo do wzięcia na mnie odwetu — a ja nie potrafiłam być wdzięczna, nie doceniłam jak należy tego, czego nie zrobili. Nie myślałam o nich jak o osobach, które odrzuciły nadarzącą się okazję, podczas gdy tak właśnie było, a okazji mieli co niemiara.

— Kiedy więc zgłaszali się do was dziennikarze, wy ich zbywaliście? Czemu to robiliście? — pytam.

— Żartujesz sobie? Uważasz, że moglibyśmy rozmawiać o tobie z jakimiś podstępными dziennikarzami? — Dena oburza się nie na żarty. — Nie tak zostaliśmy wychowani, poza tym, do licha, nawet nie głosowaliśmy na twojego męża! — Nachyla się i wyjmując papierosa z leżącej na stoliku paczki, zapala go i zaciąga się dymem. — Przynajmniej ja na pewno nie. Ten tu Pete nie głosuje z zasady.

Pete się uśmiecha, jak czasem Charlie, gdy zbyt głośno puści bąka; na wpół głupkowato, na wpół bardzo zadowolony z siebie. Przelatuje mi myśl

— naprawdę nie chcę tego — czy Pete nie jest przypadkiem upośledzony umysłowo. Nie przez jakieś tragiczne zdarzenie, ale może nadmiar alkoholu i narkotyków odcisnął swoje piętno.

— Hej, a właściwie to czemu Charlie nie pogada z tym czarnym gościem?

— odzywa się Dena. — Powiedz mu, że według starej Deny powinien.

Z pewnością chodzi jej o Edgara Franklina, choć w przeciwieństwie do Gladys Wycomb Dena nie mówi tego tonem oskarżycielskim; wręcz przeciwnie, zachowuje skromność, jakby w przekonaniu, że jej zdanie tak naprawdę wcale się nie liczy. A może, sama w końcu była kiedyś mężatką, wie, że nie jest łatwo wpłynąć na własnego męża, dlatego też nie obarcza mnie odpowiedzialnością za postęпки Charliego. Bierze szklaną popielniczkę z półki pod stolikiem i strzepuje do niej popiół.

— Mogę zrobić ci zdjęcie, czy też te twoje zbiry dostaną szalu? — pyta mnie.

— Naturalnie — odpowiadam.

— Inaczej moje siostry w życiu nie uwierzą, że tu byłaś — dodaje i wstaje z krzesła.

— No właśnie, a co u twoich sióstr?

— Jakoś sobie radzą. Najstarszy syn Marjorie służy w sto pięćdziesiątym ósmym piechoty, więc nie jest jej łatwo. — Znowu ani śladu pretensji w głosie Deny. Jak to możliwe, że wybaczyła mi wszystko, to co było, i co jest teraz?

— Peggy mieszka w starym domu rodziców, którego utrzymanie kosztuje majątek. Chałupa dosłownie się rozpada, nie wspominając już, że Peggy czeka operacja, nie wiem więc, jak wyobraża sobie wchodzenie na piętro.

— Może powinna zamontować sobie taką windę, jaką miała moja babcia

— mówię, a Dena parska śmiechem, jakbym powiedziała jakiś żart. Jak zimny prysznic działa na mnie wieść, że Peggy Janaszewski grozi operacja, przecież pamiętam doskonale, że jako małe dziewczynki zarówno ona, jak i Marjorie odgrywały rolę naszych uczennic, gdy wraz z Deną bawiłyśmy się w szkołę i udawałyśmy nauczycielkę, którą nazwałyśmy panna Clougherry.

Dena znika w przedpokoju, cfiyba szuka aparatu, a my z Pete'em zostajemy sami. W pokoju panuje cisza, słyhać tylko szum klimatyzatora.

— Dużo wody upłynęło, co? — przerywa milczenie Pete.

— W rzeczy samej. — Oboje zaczynamy mówić w tej samej chwili. — Ty zacznij — mówię więc.

— Kiedy patrzę w przeszłość, nie ze wszystkiego jestem zadowolony — mówi. — To był trudny okres.

Czy chodzi mu o śmierć Andrew czy też o przekręt z piramidą?

— A te gazety nie chcą odpuścić. Jak tylko sprawa przycicha, natychmiast ktoś znowu ją wyciąga, ale nikogo nie obchodzi, jaki on był. Zachowują się, jakby w życiu udało mu się tylko wsiąść do auta i pojechać na to skrzyżowanie.

— Wiesz, nie ma dnia, żebym o nim nie myślała — odzywam się. — Wciąż żałuję, że nie mogę zmienić tego, co się stało.

Pete jednak nie wydaje się zły.

— Zawsze wiedziałem, że jesteś miłą osobą — mówi. — Może tego nie pokazywałem, ale wiedziałem.

Niespodziewanie do oczu napływają mi łzy; chyba cały czas były w pogotowiu, tym bardziej że zaraz po przybyciu płakałam. Przełykam, powstrzymuję je i mówię:

— Wtedy nie miałam pojęcia, jak mam się zachować, ale ty chyba też nie.

— On naprawdę się w tobie kochał — mówi Pete. — Zresztą chyba wiedziałaś. Pamiętam, jak spotkaliśmy cię w mieście i wy we dwojkę flirtowaliście jak wariaci. — (Tamtego popołudnia, tuż przed rozpoczęciem ostatniej klasy liceum, kiedy kupowałam dla mamy mieloną wołowinę, promienie słońca iskrzyły się na rzesach Andrew, a Pete siedział za kierownicą miętowego thunderbirda). — Gdybym się dowiedział, że jesteś w ciąży — mówi tymczasem Pete — mam nadzieję, że zrobiłbym, co trzeba, i ożenił się z tobą, ale chyba jednak lepiej, że nie wiedziałem. Byłem zbyt niedojrzały.

ż e n i ł b y się ze mną? Słowo daję, nigdy coś podobnego nawet przez myśl mi nie przeszło; o wiele bardziej prawdopodobne jest, że oddałabym dziecko do adopcji — nie mogłabym go zatrzymać, byłoby to zbyt wielką hańbą dla mojej rodziny — ale nie wyobrażam sobie okoliczności, które zmusiłyby mnie do wyjścia za mąż za Pete'a.

— A gdyby ojcem był Andrew, nie ja? — pyta Pete. — Chyba raczej tak miało być.

Z tą różnicą, że gdyby to Andrew był ojcem, nie zdecydowałabym się na aborcję, a już na pewno nie wtedy, gdybym o ciąży dowiedziała się po jego śmierci. Poza tym Andrew nie mógłby być ojcem, bo nigdy nie pozwoliłby sobie na taki gwałtowny, impulsywny seks. Pete Imhof próbuje być dla mnie miły, uśmiecham się więc do niego smutno.

Z kieszeni dzinsów Pete wyjmuje własne papierosy, camele. Wyciąga z paczki jednego, ale nie zapala go.

— Nigdy bym się nie otrząsnął z tego gówna, gdyby nie Dena — mówi.

— Wciąż przychodziłem do tej knajpy, w której pracowała, aż w końcu zabrała mnie do siebie do domu i uratowała mnie przed sobą samym, wiesz?

— Nachyla się ku mnie i dodaje: — Nie mów jej, że ci powiedziałem, ale ja głosowałem na twojego męża. Podoba mi się, że jest twardy dla terrorystów.

— Puszczą do mnie oczko. — Dena nie ma o niczym pojęcia. — Zapalając papierosa (już nie wygląda na upośledzonego umysłowo), kontynuuje: — Może coś zjesz? Zaproponowała ci coś?

— Dziękuję, nie jestem głodna — odpowiadam i słyszę, jak Dena nadchodzi.

— Nie chce się włączyć — mówi, a kiedy jest już w salonie, podaje aparat cyfrowy Pete'owi. — Co robię nie tak?

Pete manipuluje chwilę i nagle rozlega się dźwięk wysuwającego się obiektywu.

— Stańcie razem — prosi Pete. Staję więc obok Deny, na tle półki z dekoracyjnymi talerzami.

Oczywiście na zewnątrz światło byłoby lepsze, ale nic nie mówię. Dena obejmuje mnie ramieniem, a ja, poruszona tym gestem, idę w jej ślady.

— Teraz wy — mówi Dena, gdy Pete zrobił nam kilka zdjęć.

Stajemy z Pete'em obok siebie, uśmiechając się, ale nie dotykając. W życiu nie przypuszczałam, że kiedyś będę pozować do takiego ujęcia. Kiedy zdjęcia są już zrobione, oboje zaglądają w mały ekranik.

— Ta dzisiejsza technologia jest zdumiewająca — odzywa się Dena. — Wybaczcie mi pośpiech, ale w Waszyngtonie czekają na mnie obowiązki — mówię. — Naprawdę bardzo się cieszę, że mogłam was oboje zobaczyć. Zostańmy w kontakcie. Zatrzymałaś numer Belindy?

— Tak, mam go w kuchni — odpowiada Dena.

— Dzwon, gdyby coś zaszło, albo gdybyście mieli jakieś pytania. Dena delikatnie popycha mnie w ramię.

— Nie bądź taka ponura, pierwsza damo — mówi. — Wszystko będzie dobrze.

— Trzymaj się, Alice — dodaje Pete. — Mam coś dla ciebie. Wybiega do przedpokoju, a kiedy znika, zwracam się do Deny:

— Co dwa miesiące przyjeżdżam w odwiedziny do mamy, może więc następnym razem zjadłybyśmy razem lunch.

— Byłoby super — odpowiada. — Daj tylko hasło. — Po chwili dodaje: — Wiesz, że to ja podarowałam wtedy Elli tę tiarę, prawda? Myślałam, że wpadniesz się przywitać.

— Żałuję, że tego nie zrobiłam.

Charlie i ja budujemy właśnie dom w Maronee, do którego przeprowadzimy się po opuszczeniu Waszyngtonu. Czy jest możliwe, że kiedy zamieszkałam w miarę blisko Deny, i znowu zostaniemy przyjaciółkami? Czy może nasze życie zbyt różni? Co za ulgę przynosi mi jej widok, jest łącznikiem ze światem prawie zupełnie dla mnie straconym.

Kiedy Pete wraca, podaje mi kopertę.

— Co to jest? — pyta Dena, ale on tylko potrząsa głową. — Mam nadzieję, że nie list miłosny — dodaje niby to żartem, ale nie do końca. Obraca się ku mnie z figlarną miną. — Gdyby ktoś tak obserwował ciebie i mnie, doszedłby do

wniosku, że na całym świecie jest tylko trzech facetów, którymi nieustannie się wymieniamy. — Śmieję się, a Dena ujmuje Pete'a pod ramię. — Ale chyba obie w końcu wylądowałyśmy z tym, który dla nas jest najlepszy.

Pośród ludzi, których wypowiedzi na temat Charliego i mnie choć raz cytowano, bądź to w telewizji, bądź w prasie, co najmniej jedna trzecia to moi koledzy ze szkoły podstawowej, gimnazjum i liceum: Mary Hafliger Petschel; mój partner z balu maturalnego, Larry Nagel; córka dawnego właściciela Tattys (sam lokal już dawno nie istnieje); Marvin Benheimer, z którym spędziłam sylwestra w 1962 roku (kiedy to musiałam wybiec z restauracji z chwilą, gdy podano nam jedzenie, bo zebrało mi się na wymioty, co nie przeszkodziło Marvinowi co jakiś czas występować w CNN, zawsze jako „przyjaciel z dzieciństwa Alice Blackwell"); kilka moich siostr ze stowarzyszenia Kappa Alpha Theta, kilku moich wiekowych już profesorów i wielu kolegów z uczelni, których w życiu nie poznałam; mój promotor z wydziału bibliotekoznawstwa; Lydia Bianchi, dyrektorka szkoły podstawowej Liess, i koleżanka z pracy, Maggie Stenta, nauczycielka pierwszej klasy; Nadine Patora, agentka nieruchomości z Madison, od której nie kupiłam domu w 1977 roku; Ja— hoon Choi, doktorant mieszkający w mieszkaniu pode mną przy Sproule Street; i dwóch mężczyzn, z którymi byłam na randce w ciemno, z jednym w 1969, drugim w 1974 roku, i których naprawdę nie pamiętam, chociaż wierzę, że randki się odbyły. „Była ładna, ale wydawała się pruderyjna", ocenił mnie jeden z nich, drugi natomiast stwierdził: „Nie interesowały jej bieżące sprawy — głównie chciała rozmawiać o swoich uczniach". Te uwagi są przynajmniej prawdziwe z ich punktu widzenia i w niczym nie dają się porównać ze wspomnieniami opublikowanymi przez Simona Tórnkvista: *Kiedy ją znałem. Mój romans z Alice Blackwell, zanim została pierwszą damą*. Przy pomocy nieznanego autora Simon opisał nasz stary związek: moje domniemane pragnienie zamążpójścia i posiadania dzieci i jego poważne zastrzeżenia do mnie, wynikające z moich konserwatywnych skłonności, które jakoby rozpoznał we mnie już wtedy. „Oto ona, mieszkająca w tętniącym życiu, liberalnym studentckim mieście, lecz prowadząca niezwykle monotonne życie w ukryciu", napisał. „Rzuciło się w oczy, że boi się rozmawiać ze mną o moich przeżyciach z Wietnamu, unikała też wszelkich sporów. Od początku wiedziałem, że marzy się jej domek z ogródkiem, dwoje dzieci, a kiedy ze mną jej to nie wyszło, spróbowała z kimś innym. Kiedy dowiedziałem się, że wyszła za jednego z migających się od poboru synów gubernatora Blackwella, wiedziałem, że spełniły się jej najskrytsze marzenia". Równie upokarzający był ten fragment: „Nie była też zbyt pomysłowa, jeśli chodzi o seks. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego wolała to robić po misjonarsku, skoro łatwiej dostawała orgazmu, kiedy była na górze". Przeglądałam książkę od mniej więcej pół godziny, kiedy doszłam do tych słów; zamknęłam ją gwałtownie, dałam mojej osobistej asystentce, Ashley i poleciłam,

by się jej pozbyła, nieważne jak. Czułam się tym bardziej urażona, że po przelotnym spotkaniu z Simonem, które miało miejsce na meczu Brewersów w 1988 roku, w 1995 zwrócił się do mnie pośrednio z prośbą o sześć VIP—owskich biletów na oglądanie bożonarodzeniowej dekoracji rezydencji gubernatora dla niego, jego żony, dwójki dzieci i jego rodziców. Prośbę skierował do mojego biura i chociaż osobiście z nim nie rozmawiałam, to ja podpisałam zgodę na wydanie biletów. Nigdy nie podziękował ani mnie, ani nikomu innemu — miałam wtedy tylko dwie asystentki, które o to zapytałam. Po raz kolejny usłyszałam o nim, kiedy sekretarz prasowy Białego Domu ostrzegł mnie przed jego książką na kilka miesięcy przed jej publikacją.

— Zawsze podejrzewałam, że Pietruszka Szałwia to hippisowska miernota — skomentował całe zdarzenie Charlie.

Ogólnie rzecz biorąc, istnieje odwrotna zależność między tym, jak dobrze ktoś mnie zna, a tym, jak chętnie się na mój temat wypowiada. Istnieje też powiązanie między dyskrecją i klasą, a przynajmniej tak mi się zdawało przed spotkaniem z Deną i Pete'em. Najmniej skorzy do mówienia byli ludzie, których znamy, bądź znaliśmy w Maronee, ludzie z country klubu. Rzucającym się w oczy wyjątkiem stała się Carolyn Thayer (nie wyszła powtórnie za mąż i nadal nosi to samo nazwisko), która na samym początku kariery politycznej Charliego udzieliła wywiadu dla *60 Minutes*, gdy robili program o walce Charliego z alkoholem. „Wszyscy wiedzieliśmy, wszyscy o tym mówili”, powiedziała. „Stało się to powszechnie wiadome, kiedy został zatrzymany za jazdę po pijanemu, a ja, ponad rok wcześniej, na bożonarodzeniowym przyjęciu widziałam, jak przewrócił się na twarz. Zapytałam go, czy potrzebuje pomocy, ale on mnie tylko wyśmiał”. Myślę, że musiało to być na przyjęciu u Hickenów, bo pamiętam jak podszedł do mnie rozradowany z tamponami w obu dziurkach nosa, a kiedy go spytałam, dlaczego je tam wsadził, odparł, że dostał krwotoku. Nie oglądałam *60 Minutes*, gdy program był nadawany, ale później kilkoro przyjaciół wyznało mi, jak bardzo byli oburzeni złamaniem zasad etykiety przez Carolyn, poprosiłam więc asystentkę o nagranie. Ponieważ dziesięć lat wcześniej Carolyn wyprowadziła się do Chicago, nie można jej było wykluczyć z towarzystwa, z czego byłam zadowolona. Wolałabym co prawda, żeby nie wypowiadała się w telewizji, ale z drugiej strony nie powiedziała nic, co nie byłoby prawdą. W każdym razie Carolyn stanowiła wyjątek potwierdzający regułę — jest jedyną osobą z Maronee, która wypowiedziała się oficjalnie i bez naszego błogosławieństwa, a tych, którzy robili to anonimowo, również było bardzo niewiele. Podejrzewam, że najwięcej mieli do powiedzenia ci, których prawie nie znaliśmy.

Simon nie był jedynym, który wydał zdradzające wszystkie wspomnienia — podobnie zrobiła moja kuzynka w pierwszej linii ze strony mamy, Patty Laczek—ko, córka mojego wujka Hermana. Odniosłam wrażenie, że daje do zro-

zumienia, iż wżenianie się w lepszą rodzinę jest u nas dziedziczne, twierdziła bowiem, że po wyjściu za mojego ojca mama odwróciła się od własnego rodzeństwa i rodziców. Książka ukazała się przed dwoma laty, ale ponieważ nie widziałam Patty od dzieciństwa, przyznaję, że darowałam sobie lekturę. Jest zbyt wiele relacji i są zbyt demoralizujące, by je śledzić. Później pojawiło się kilka wypowiedzi ludzi, którzy pracowali dla Charliego i mnie, konsultantów do spraw kampanii, a nawet gościa, który był zastępcą sekretarza prasowego w Białym Domu podczas pierwszej kadencji. Zawsze czujemy się zawiedzeni, gdy zdradzają nas ludzie, którym niegdyś ufaliśmy, ale takie zmiany frontów są w polityce na porządku dziennym, a i tak za rządów Charliego zdarzały się rzadziej niż przedtem.

Charlie stał się odporny; nigdy nie obchodziło go, co mówią o nim jego krytycy, chyba że Hank potrafi to wykorzystać strategicznie. Ja nie jestem aż tak niewrażliwa, ale też prawie nigdy nie próbuję niczego prostować, a jakaś uwaga czy cytat przytoczony w artykule prasowym, z powodu którego dawniej cierpiałabym przez kilka dni, teraz psuje mi humor na kilka minut. Po raz ostatni byłam tak naprawdę poruszona chyba z rok temu, kiedy pewnego majowego poranka we wstępniaku „Timesa” znalazłam wypowiedź Thei Dengler, właścicielki księgarni w Mequon, do której niegdyś uwielbiałam zaglądać. Dla ludzi znających się na rzeczy Thea, której niezależna księgarnia wciąż utrzymywała się na rynku, pomimo silnej konkurencji, stała się osobą wielce poważaną i przez to często cytowaną w artykułach o przemyśle księgarskim. Ale nie o tym wypowiadała się w tym wstępniaku; artykuł dotyczył mnie i nosił tytuł: ZRÓB COŚ, ALICE BLACKWELL. Zaczynał się następująco: „Ci z nas, którzy znali Alice Blackwell z Wisconsin, przez ostatnie pięć lat nieustannie drapią się w głowę ze zdumienia. Jako moja stała klientka w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, pani Blackwell była dociekliwa, światła i pełna zrozumienia. Jak w takim razie — a może to tylko pozory — udaje się jej pozostawać w szczęśliwym związku małżeńskim z człowiekiem, który postawił sobie za cel osłabienie swobód obywatelskich? Chociaż obecnie pani Blackwell czasem wydaje się jedynie Pierwszą Damą, Która Spotyka Się Na Lunchach, dawniej była osobą o liberalnych przekonaniach, rozumiejącą, jak niezmiernie ważne dla demokracji są prywatność i wolność intelektualna”.

Kiedy czytałam to, siedząc w łóżku, poczułam rzadki u mnie przyływ wściekłości. Nie chodziło mi o poglądy wyrażane przez Theę, z nimi spotykałam się wystarczająco często, ale o ich źródło — w przeciwieństwie do Carolyn Thayer, mojej kuzynki Patty czy nawet Simona Tórnkvista, Thea była osobą, z którą niegdyś łączyła mnie wielka zażyłość. Dlaczego w takim razie nie wierzy we mnie, dlaczego nie może założyć, że — biorąc pod uwagę okoliczności — robię, co w mojej mocy? Kim była Thea, by decydować o tym, ile i co mam mó-

wić, i komu, i jak? Przypominam sobie o podjętej przeze mnie przed laty decyzji, kiedy spacerowałam samotnie wzdłuż Maronee Drive po przeczytaniu w „Milwaukee Sentinel” tego idiotycznego artykułu o moich ciasteczkach z melasy, że nie mogą mnie określać inni, a to, że coś zostało opublikowane, nie czyni tego automatycznie prawdą. Mimo wszystko teraz była to Thea i był to „Times”.

Myślą, że zdołają mną zachwiać, dzieje się jednak wręcz odwrotnie — im większą presję wywierają różni ludzie, tym bardziej stają się częścią wzoru, Ludzie, którzy nalegają czy to w sprawie posiadania zwierzęcia w domu — Thea protestowała wyłącznie przeciwko amerykańskiemu Patriot Act¹¹ — czy w sprawach o znaczeniu ogólnonarodowym, tak naprawdę kierują się wyłącznie własnym interesem, który dla nich jest swoiście pojętym altruizmem. To zrobiłam źle, w tym nie stanęłam na wysokości zadania. Krytyka, z jaką się spotykam, może być zniechęcająca, lecz moi krytycy niejednokrotnie nawzajem sobie zaprzeczają. Ilekroć uda mi się coś pozytywnego, nigdy nie jest to wystarczające. Ważne jest to, co przeoczyłam lub zignorowałam. (Powtarzam: cieszę się popularnością, moje notowania są dwukrotnie wyższe od notowań Charliego. Nic dziwnego, że on w ogóle nie zwraca uwagi na krytykę swojej osoby).

Są sprawy tak zwane „moje”: walka z rakiem piersi, dbałość o ochronę sztuki i historycznych budynków, zapobieganie szerzeniu się AIDS w kraju i za granicą, zwłaszcza w Afryce, wreszcie walka z analfabetyzmem. Nawet jeżeli to oczywistości, z całą pewnością są ważne i warte zabiegów. Jednak dla mnie jako pierwszej damy najbardziej bolesny pozostaje fakt, że moje dawne poczucie obowiązku, winy i smutku, które mnie wypełniało na przykład po przeczytaniu takiego artykułu w gazecie z Milwaukee, dramatycznie się skurczyło. Chociaż nie zgadzam się z Gladys Wycomb, Theą Dengler czy wieloma innymi, którzy uważają, że powinnam wpływać na mojego męża, prawdą jest, że dzięki moim działaniom mogę wspomóc konkretne inicjatywy, na przykład jeżeli odwiedzę jakąś organizację (lub zaproszę jej członków do Białego Domu) — klinikę weterynaryjną za darmo sterylizującą zwierzęta należące do ludzi, których na to nie stać, ludzi pracujących nad zmniejszeniem przemocy gangów czy sierocińca dla bezdomnych dzieci w Addis Abebie — ta organizacja natychmiast może liczyć na dotacje i uwagę opinii publicznej. Mogę zmieniać ludzkie życie i wielokrotnie, choć to może tchórzostwo, wołałabym nie mieć takiej możliwości. Presja jest zbyt wielka, lecz najcięższa świadomość, że moje wysiłki są niewystarczające, nawet jeżeli nie w oczach innych, to moich własnych. Wciąż jestem zajęta, podróżuję, staram się dzięki moim wizytom — to znaczy przede wszystkim dzięki moim czynom, nie słowom — wspierać dobrą pracę innych ludzi, nie wątpię jed-

¹¹ Patriot Act — ustawa amerykańska ograniczająca niektóre prawa obywatelskie w celu skutecznej walki z terroryzmem, uchwalona 26 października 2001 w związku z zamachami na WTC (przyp. tłum.).

nak, że czułabym się o wiele bardziej zadowolona z mojego wkładu w sprawę świata, gdybym miała skromniejsze możliwości. Gdybym nadal była samotną kobietą, nauczycielką, sądzę, że w wieku czterdziestu lat mogłabym adoptować dzieci, i to niekoniecznie białe; robiłabym kompot, kupiłabym priusa, choć nie przypuszczam, bym zdecydowała się umieścić na jego zderzaku antywojenną nalepkę. Bez względu na to czym mierzy się podobne uczynki, zapewne dokonałabym mniej, ale nie musiałabym żyć z nieustanną świadomością, że mogłabym zrobić więcej.

Co się tyczy tych wszystkich, którzy nienawidzą mnie, ponieważ nienawidzą Charliego, nienawidzą mnie jako jego przedłużenie, ciekawi mnie jedno: w którym momencie, według nich, miałam coś zrobić, i co to takiego miałyby być. Miałam za niego nie wychodzić? Miałam nie odwozić go od picia? „Jim Beam i ja, możesz mieć nas oboje” — czy tak właśnie miałam powiedzieć? Kiedy oznajmił mi, że zamierza ubiegać się o urząd gubernatora, ja odparłam, że wolałabym, aby tego nie robił (choć głupio sądziłam, że to lepsze od kongresmena czy senatora, bo przynajmniej nie będziemy musieli opuszczać Wisconsin), a kiedy postanowił, że wbrew mojej jasno wyrażonej opinii jednak będzie kandydował, miałam od niego odejść? Czy może miałam z nim zostać, ale nie uczestniczyć w jego kampanii? Miałam publicznie, bez owijania w bawełnę wyjawić, w czym moje poglądy różnią się od jego? Powinnam była od niego odejść, gdy — znowu wbrew mnie — postanowił wziąć udział w wyścigu prezydenckim? Każdy, kto pozostawał w związku małżeńskim, zwłaszcza ci, którym udało się to przez kilka dziesięcioleci, wie, że polega on na serii kompromisów; z daleka łatwo jest osądzać kompromisy, na które ja poszłam.

Jeżeli zachowuję się z rezerwą, wynika to po części z mojej awersji do podejmowania nieprzemyślanych decyzji. W okresie poprzedzającym wojnę naprawdę nie wiedziałam, jaka jest właściwa droga postępowania; czytałam artykuły zarówno opowiadające się za, jak i przeciw, i we wszystkich znajdowałam przekonujące argumenty. Ponieważ stawka była tak wysoka, w pierwszych miesiącach 2003 roku dręczył mnie niepokój i niejedną noc dyskutowaliśmy z Charliem o sytuacji. Głównie były to rozważania bardziej logistyczne, niż dotyczące filozoficznych czy historycznych implikacji. Charlie na przykład dzwonił z Owalnego Gabinetu i mówił: „Muszę iść na spotkanie do pokoju dowodzenia, i czy w związku z tym możemy obejrzeć ten film jutro, zamiast dzisiaj?”. Innym razem wypowiedział się o sekretarzu stanu: „Przygotowujemy Stanleya do jego wystąpienia przed Radą Bezpieczeństwa ONZ w środę i chyba tym razem naprawdę im dołoży”.

Dzisiaj zarówno ludzie należący do obydwu partii, jak i nieopowiadający się po żadnej ze stron twierdzą, że Charlie popełnił błąd, doprowadzając do wojny, i że powinniśmy sprowadzić nasze wojska do domu. Nie ulega kwestii, że admini-

stracja Charliego nie doceniła, w jak tragicznym stanie jest infrastruktura kraju, z jak gwałtownym spotkamy się oporem i jak dużą ilością broni dysponują buntownicy.

Kiedy Ella była w Biddle Academy w Montessori, jedno z klasowych zadań polegało na zabawie klockami, drewnianymi puzzlami, a także ku wielkiemu rozbawieniu Charliego — zlewem wypełnionym plastikowymi naczyniami („Żeby nauczyła się, jak być pomywaczką”, żartował). Główny cel owych zajęć polegał na tym, aby skończyć jedno, zanim zacznie się robić drugie, i przede wszystkim posprzątać po sobie. W samym środku wojny w gorącym, piaszczystym kraju odległym o kilkanaście tysięcy kilometrów, kraju, którego sztuka, kultura, język i nauka sięgają początków rozwoju ludzkiej cywilizacji, wciąż powracam do tamtych zasad: naszym obowiązkiem jest posprzątanie bałaganu, którego jesteśmy sprawcami. Przez ostatnie cztery lata zastanawiałam się, czy wycofując się, nie pogorszymy tylko sytuacji, wciąż też nie mam sprecyzowanego poglądu, czy słusznie postąpiliśmy, podejmując decyzję o inwazji. Czy fakt, że liczba śmiertelnych ofiar okazała się większa, niż Amerykanie przewidywali, oznacza, że inwazja, której dokonaliśmy jako demokracja dążąca do obalenia dyktatora, była błędem? A gdyby inwazja była uzasadniona, lecz przeprowadzona nieporadnie, czy wtedy też byłaby błędem?

Kiedy oglądałam w telewizji speców od polityki lub gdy z dala od Białego Domu spotykałam republikanów, najbardziej uderza mnie ich pewność siebie. Czy przed kamerami przesadzają, a w domowym zaciszu pod koniec dnia pozbywają się tej przesady tak samo, jak zdejmują skarpetki czy pończochy? Czy też zawsze są tacy pewni siebie i napuszeni? Zazdroszczę im, tak samo jak zazdroszczę ludziom głęboko wierzącym, nie wykluczając własnego męża, ale nie czuję się zdolna stanąć z nimi w szeregu. Nigdy nie narzucałam swojego zdania, chyba że było oczywiste i nie musiałam dowodzić swoich racji, tak jak w przypadku raka piersi czy zapobieganiu szerzeniu się AIDS. Analfabetyzm jest zły. Ochrona zabytków pozwoli przyszłym pokoleniom zrozumieć, jakie niegdyś było życie, i dzięki temu wypracować drogę wiodącą Amerykę ku przyszłości. Sprawy i decyzje bardziej złożone zostawiłam innym, tym, którzy są przekonani o własnej racji. Wyobrażałam sobie, że wyrobię sobie zdanie na temat tej wojny, gdy Charlie nie będzie pełnił już swojego urzędu, lecz teraz go nie mam — jest to jak powieść, której nie doczytałam jeszcze do końca.

A przynajmniej tak sobie powtarzam.

Skoro jednak śmierć Andrew Imhofa była jedyną tragedią w moim życiu i w pewnym sensie żyłam, starając się naprawić swój błąd, udowodnić, że moje ocalenie nie było nadaremne — jeżeli więc jego śmierć była najgorszą rzeczą, jaką mogłam sobie wyobrazić, jakimi w takim razie słowami mogłabym wyjaśnić

śmierć tysięcy amerykańskich żołnierzy i zagranicznych cywilów? Jeżeli moi krytycy mają rację, twierdząc, że jestem współodpowiedzialna za politykę administracji Charliego, w tym za decyzję o wypowiedzeniu wojny, to śmierć Andrew Imhofa jest najmniejszą ze spowodowanych przeze mnie tragedii, jest niczym, incydentem bez znaczenia. A gdybym uwierzyła, że ponoszę też winę za konsekwencje tej wojny? Za śmierć dwudziestodzie—więcioletniego byłego szkolnego sportowca w Hot Springs w Arkansas, zabitego z broni palnej podczas przeszukiwania domu na południe od stolicy, śmierć dwudziestopięcioletniego sierżanta z Ogden w Utah, zabitego podczas trzeciej tury służby, zaledwie miesiąc po przyjściu na świat jego córeczki, który nie chciał zaciągać się ponownie, ale potrzebował premii w wysokości dwudziestu czterech tysięcy dolarów na pierwszą ratę za dom, śmierć dziewiętnastolatka z Cape Girardeau w Missouri, który wstąpił do wojska w swoje osiemnaste urodziny i zginął od wybuchu bomby na targowisku, śmierć dziesiątków tysięcy, czy może raczej setek tysięcy cywilów, członka lokalnej rady miejskiej, sklepikarza, jego żony i trzech córek, dziennikarza, kamerzystów, tłumaczy pracujących dla amerykańskiego wojska i mediów, panny młodej, jej teściowej i dwunastu gości weselnych zabitych przez zamachowca samobójcę, który przyszedł na przyjęcie — wszystkich tych, którzy giną, giną i giną. Jeżeli krew tych ludzi jest na moich rękach, a byłoby coś, co mogłabym osobiście zrobić, aby zapobiec tej rzezi, stracie tak wielu dorosłych, nastolatków i dzieci, z których wszyscy zapewne marzyli o tym samym co ja, by wieść zwyczajne życie, a mimo to pozostałabym bierna, czyż mogłabym to znieść?

— Okay, ci trzecioklasiści to istny koszmar — mówi Ella. — Czy możemy ustalić, że do końca życia pozostaniesz moją dłużniczką?

— Od Belindy wiem, że spisałaś się fantastycznie — odpowiadam. — Powiedziała Jessice, że dzieciaki słuchały cię jak zaczarowane.

— Poważnie, jeden chłopiec próbował przeleźć przez sznur w Sali Czerwonej, a jakieś inne dziecko popchnęło dziewczynkę na ścianę w Sali Ver—mel. Można by przypuszczać, że będą miały jakiś szacunek dla tego miejsca, ale oni zachowywali się jak zwierzęta. Już nie mogę się doczekać, co zaprezentują dzisiaj wieczorem na scenie.

Na Wschodnim Wybrzeżu minęła właśnie szósta. Znowu jestem w samolocie lecącym nad powłoką chmur; od Waszyngtonu dzieli nas pół godziny, co oznacza, że po przybyciu do rezydencji zostanie mi godzina na przebranie się na galę.

— Dziękuję, że mnie zastąpiłaś — mówię. — Dzisiaj zaliczyłaś już dobry uczynek. Żuczku, jest coś, o czym chciałabym z tobą wieczorem porozmawiać.

— Masz raka piersi? — pyta natychmiast oskarżycielskim tonem.

— Skąd, u licha... Nie, skarbie, nie mam raka.

— Powiedziałaś to tak strasznie poważnie. Dobra, wybrałam już buty, które założysz wieczorem. Jesteś gotowa?

Jessica podaje mi karteczkę: „Hank na linii, mówi, że to pilne”.

— Mamo? — odzywa się Ella.

— Oddzwonię do ciebie za chwileczkę. — Ledwie naciskam przycisk „koniec” na jednym telefonie, Jessica podaje mi drugi aparat, a ja dłonią przysłaniam mikrofon. — Nie powiedział, o co chodzi?

— Chce rozmawiać bezpośrednio z tobą — odpowiada Jessica.

Podnoszę telefon do ucha.

— Mówi Alice.

— Bim bam bom, stara wiedźma nie żyje. — Głos Hanka jest bezspornie radosny. — Gladys Wycomb strzeliła w kalendarz godzinę temu.

— O czym ty mówisz?

— Co? — pyta Jessica bezgłośnie, poruszając tylko ustami.

Unoszę do góry palec.

— Stara wyzionęła ducha — mówi Hank. — I nie, ja jej tego **nie** załatwiłem, gdybyś żywiła jakieś podejrzenia.

— Naprawdę? — Ogarnia mnie fala przerażenia. Nie wierzę w teorie spiskowe, ale jestem pewna, że każda administracja ma na sumieniu **sprawki**, od których wyborcom włosy stanęłyby dęba na głowie; nigdy nie zastanawiałam się, co to może być w przypadku Charliego, wystarczą mi kontrowersje, które są jawne i legalne.

— Alice, przysięgam, nie miałem z tym nic wspólnego ani nikt inny, poza matką naturą. Sama powiedz, czy to nie najlepsza nowina od czasu, kiedy Van Halen ogłosili, że znowu wyruszą razem w trasę?

— Ale jej pomocnica, Norene...

— Nic z tego. Okazało się, że w połowie lat dziewięćdziesiątych dilaowała ma — ryśką w Cicero w Illinois i ma akta policyjne długie na kilometr. Geriatriczna feministyczna mścicielka nie miała nic do stracenia, za to Norene ma, i to dużo.

— Chcesz mi powiedzieć, że doktor Wycomb zmarła z zupełnie naturalnych przyczyn?

Jessica wciąż stoi przede mną i widzę, jak opada jej szczeka.

— Gładys Wycomb umarła? — szepcze, a ja przytakuję skinieniem głowy.

— Alice, ona miała sto cztery lata — mówi Hank. — Nie trzeba było robić nic niezgodnego z prawem, chyba że ty sama dosypałaś jej arszeniku do popołudniowej herbatki.

— To nie jest śmieszne.

— Teraz już na poważnie. Myślę, że cała ta afera z szantażowaniem ciebie wyczerpała ją fizycznie. Muszę przyznać, że odeszła z tego świata z przytupem, ale dla nas najważniejsze jest, że to koniec, aferę z aborcją mamy z głowy. Jesteś gotowa na powrót do domu i przyjęcie hołdów od nauczycieli i uczniów?

— Skąd wiesz, że nie powiedziała nikomu poza Norene?

— A nawet jeśli, to co? Byłoby to tylko zasłyszane, zwykła bajeczka. Twoja dawna lekarka twierdzi, że to ona przeprowadziła aborcję, prasa zwraca uwagę. Masz przyjaciółkę przyjaciółki asystentki starszej pani, a jeżeli naprawdę boisz się, że to zrobi wrażenie, poczekaj, aż usłyszysz, co mówią o Richardzie Gerze i myszokoczku.

— Zakładam, że już poinformowałaś Charliego? — mówię.

— Kazał ci pogratulować. ⁴

— Co, załatwił ją? — pyta Jessica żartobliwie, kiedy wyłączam telefon.

— Wiem. Może przeczuwała, że koniec jest bliski i dlatego postanowiła działać. Ale i tak mocno mnie to niepokoi. Hank tańczy taniec zwycięstwa, bo sądzi, że mi się upiekło.

— I pewnie tak właśnie jest — mówi Jessica po chwili namysłu.

Kiedy zastanawiam się nad trajektorią prezydentury Charliego, kiedy staram się wychwycić moment, w którym jej ton i kierunek zostały nieodwracalnie wyznaczone, wciąż powracam do wyboru wiceprezydenta. Latem 2000 roku z podjęciem decyzji należało zdążyć przed Narodową Konwencją Republikanów i do wyboru było dwóch kandydatów: Arnold Prouhet i Frank Logan. Frank, dwa lata młodszy od Charliego senator trzeciej kadencji z Kolorado, wywodził się z bogatej rodziny baptystów, miał ósemkę dzieci i głośno opowiadał się przeciwko homoseksualizmowi i aborcji. (Zawsze uważałam za dziwaczne, mówiąc najdelikatniej, kiedy konserwatyści, zwłaszcza mężczyźni o konserwatywnych przeko-

naniach, na tych właśnie kwestiach opierają swoją ideologię; jest dla mnie coś podejrzanego w ludziach, którzy tak wiele czasu i uwagi poświęcają sprawom dla nich obrzydliwym). Byłam przeciwna, by Charlie wybrał Franka na swojego partnera w wyborach, nie uśmiechała mi się też perspektywa spędzania czasu z żoną Franka, Donną Sue, która własnym nakładem wydała kilka książek zawierających porady, jak założyć i wychować tradycyjnie chrześcijańską rodzinę.

Tymczasem Arnold Prouhet w latach siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych był kongresmenem z Nevady, a następnie doradcą do spraw bezpieczeństwa dwóch prezydentów. O ile mi wiadomo, był raczej konserwatystą finansowym niż społecznym, o jedenaście lat starszym od Charliego, i przy tych kilku okazjach, kiedy go spotkałam, wydał mi się poważny i milczący; wyobrażałam sobie, że są to cechy mogące stanowić pozytywną przeciwwagę dla swawoli Charliego. (Co prawda Charlie, szkolony przez Hankę, z zapałem uczył się polityki i rządzenia, ja jednak, podobnie jak chyba wszyscy, wiedziałam, że ciąga go przede wszystkim władza, przygoda, związki z ludźmi, a nie jakieś skrzywione oddanie czy zainteresowanie konkretną kwestią. Problem w tym, że tego oddania czy zainteresowania nie da się udawać. Charlie nie ma tego we krwi, przeciwnie niż Hank — Charlie w życiu nie przeczytałby książki o Pierwszej Poprawce dla przyjemności — dlatego zawsze gdy coś odbiega od scenariusza lub gdy jakaś debata czy konferencja prasowa odbywa się bez scenariusza, gubi się. Dla niego bycie prezydentem to jak dla ucznia dziewiątej klasy pisanie testu z angielskiego na temat *Odysei*, a on jest tym dzieckiem, które najwięcej przeczytało, dzień wcześniej uczyło się przez całą godzinę, ale nie jest tym, komu książka naprawdę się podobała. Poza tym on woli wyskoczyć na lekcji z jakimś głupim żartem, niż powiedzieć coś mądrego i przemyślanego).

Hank sprzeciwiał się wyborowi Arnolda Prouheta, twierdząc, że tam gdzie Frank Logan zdaje się emanować tą samą młodzieńczą energią co Charlie, Arnold wydaje się stary i ponury. Przy Arnoldzie Charlie może sprawiać wrażenie kogoś niezbyt pewnego siebie, kto szuka w nim substytutu ojca. Lecz znajomość polityki zagranicznej Arnolda miała znaczenie, kontrargu — mentowałam pytana o zdanie (czego Hank nigdy nie robił, a Charlie sporadycznie, chociaż zazwyczaj chodziło mu wtedy bardziej o wygadanie się, niż o poznanie jakiejś konstruktywnej opinii). Martwiłam się też, że osobiste ambicje Franka Logana mogą mieć wpływ na jego współpracę z Charliem; gdyby został wiceprezydentem, prawdopodobnie w następnej kolejności ubiegałby się o prezydenturę, podczas gdy po dwóch kadencjach Charliego Arnold Prouhet miałby siedemdziesiąt trzy lata, wysoce więc wątpliwe, by rozważał swoją kandydaturę. Inni doradcy Charliego — wśród nich Debbie Bell, konsultant Bruce Kettman, a także przerażająco błyskotliwy dwudziestosześcioletni protegowany Hankę, Scott Taico, przez Charliego nazywany „Taco” — mieli różne zdania. Byłam niemal pewna, że Charlie

wybierze Franka Logana, jednak tego nie zrobił. Wieczorem przed ogłoszeniem swojej decyzji, w lipcu 2000 roku, rzekł do mnie:

— Chyba masz rację co do Logana. Jest zbyt zajęty zaglądaniem do cudzych sypialni, a za mało w nim wizjonera.

I znowu nachodzą mnie myśli, czy można mnie częściowo winić za to, co nastąpiło później. Czy Frank Logan ostatecznie okazałby się lepszym wiceprezydentem, czy za jego urzędowania nie doszłoby do takiego przelewu krwi? Może byłoby więcej homofobii, zaostrenia przepisów dotyczących rozrodczości, ale nie doszłoby do tak jednostronnego wykorzystania sił militarnych, a samej wojny nie poprzedzałby taki arogancki entuzjazm. Nie da się zaprzeczyć, że Arnold Prouhet miał ogromny wpływ na Charliego, i chyba właśnie z tego powodu Charlie tak nieugięcie twierdzi, że wierzy w wojnę, że za nic się nie wycofa. Jakimże byłoby wstydem polegać tak bez reszty na radach podwładnego, i na dodatek na radach złych — jakimże prostakiem byłby Charlie nie tylko w swoich oczach, ale też w oczach wszystkich pozostałych. Dlatego zamiast rozważyć taką możliwość, Charlie odrzuca ją jako złą i dalej podąża raz obraną ścieżką.

Pod koniec lat siedemdziesiątych, tuż po tym, jak wraz z Charliem przeprowadziliśmy się do Milwaukee i zostaliśmy członkami country klubu, poszliśmy tam któregoś dnia na kolację do głównej jadalni na piętrze i w pewnym momencie musiałam wstać od stołu, by udać się do toalety. Wchodziło się do niej przez coś w rodzaju saloniku, ślicznego pomieszczenia z kanapami, toaletką i szafami, w których można było powiesić płaszcz; czasem, przy okazji wielkich przyjęć panie poprawiały sobie tam makijaż i plotkowały. Nigdy wcześniej nie byłam w tej toalecie i teraz, kiedy weszłam do przedpokoju, ujrzałam dwoje drzwi ze złożonymi klamkami: jedno dokładnie na wprost tych, przez które właśnie weszłam, i drugie, nieco bardziej w lewo. Chciałam znaleźć kabiny i zamiast zapytać któreś z trzech starszych elegancko ubranych dam siedzących na kanapach — mówię starszych, choć bez wątplenia były młodsze, niż ja jestem teraz — postanowiłam sama zgadnąć i skierowałam się do drzwi znajdujących się dalej. Kiedy otworzyłam i wyszłam przez nie, znalazłam się z powrotem w jadalni, w której wraz z Charliem spożywaliśmy kolację. Natychmiast zdałam sobie sprawę, że do damskiej toalety prowadziło dwoje drzwi; stąd jedyny wniosek, że drzwi do właściwych toalet to te, które zignorowałam. Najbardziej logicznym posunięciem w tej sytuacji byłoby, gdybym obróciła się na pięcie i wróciła tam, skąd właśnie wyszłam, ja jednak się krępowałam. Nie przywykłam do country klubów, wyobrażałam sobie, że panie na kanapach wszystkiego się domyślą i uznają mnie za głupią, wobec czego wróciłam do Charliego z pełnym pęcherzem i załatwiłam się dopiero godzinę później, kiedy byliśmy już w domu. Chcę przez to powiedzieć, że częściowo rozumiem postępowanie Charliego. Rozumiem je, ponieważ go kocham, ponieważ posiadam zdolność empatii, jednak wydaje mi

się, że — przeciwnie niż wielu osobom w rządzie i mediach — nie posądzam ludzi o wzniosłe motywy wyłącznie dlatego, że zajmują wysokie pozycje.

Wydaje mi się, że po atakach terrorystycznych w 2001 roku Charlie spanikował. Arnold zaś, zawodowo znający owe kraje, który już od dziesięciu lat ścierał się z dyktatorem jednego z nich, szybko zaczął mu doradzać. Był drapieżny, wierzył, że Ameryka musi bronić swego statusu supermocarstwa i wierzył w zwycięstwo. Przekonał Charliego, lub może Charlie przekonał sam siebie, że ustanowienie demokracji na Środkowym Wschodzie to dopiero będzie spuścizna — i reszta potoczyła się już sama. Kompletnie mnie zaskoczyło jednak to, jak Amerykanie i amerykańskie media judzili przeciwko Charliemu, ile wysiłku włożyli w ukształtowanie wizerunku Charliego jako prezydenta wojennego. „Dzięki atakom terrorystycznym prezydent Blackwell zyskał jak dotąd bezprecedensowo poważny cel...” — zapewniał „Time”. A „The Washington Post” pisał: „Jeżeli w ogóle można mówić o dobrych stronach tych jakże tragicznych wydarzeń, jedną z nich jest bezspornie postawa prezydenta Blackwella jako lidera...”. W „Timesie” tytuł niepodpisanego wstępniaka brzmiał po prostu: *Najlepsza chwila Blackwella*. Czy nikt z tych ludzi nie miał nigdy do czynienia z podstawami psychologii? Czy *szczerze* wierzyli, że Charlie, czy w ogóle ktokolwiek, mógł zmienić się w ciągu kilku dni? Czy sądzili, że ponieważ pośród gruzów na Manhattanie wspiął się na wóz strażacki i przemówił przez megafon słowami pełnymi rozsądku i współczucia, stał się nowym człowiekiem? Charlie *zawsze* potrafił być rozsądny i pełen współczucia, co jednak nie miało nic wspólnego z tym, czy inwazja na obcy kraj jest dobrym czy też raczej złym pomysłem.

Nie chcę umniejszać koszmaru, jakim były ataki terrorystyczne i wszystko, co po nich nastąpiło — trudne i zagmatwane. Oczywiście wszyscy byliśmy przekonani, że czwarty samolot zmierza na Biały Dom, wobec czego w pośpiechu przewieziono mnie i Arnolda Prouheta helikopterami do Camp David. Charlie wygłaszał przemówienie w Ohio na zjeździe stowarzyszenia agentów nieruchomości. Zasłynął z tego, że nie zgodził się go przerwać. Zobaczyłam go dopiero wieczorem. Kiedy się objęliśmy, kiedy poczułam go w swoich ramionach, rozplakałam się po raz pierwszy, odkąd dowiedziałam się o atakach. Nawet już po powrocie do Białego Domu kilkakrotnie w ciągu następnych dni byliśmy ewakuowani, a raz w środku nocy agenci wywlekli nas z sypialni i sprowadzili do Kryzysowego Centrum Operacyjnego w bunkrze mieszczącym się pod Białym Domem. Pocztą rozsyłano zarodniki wąglika, pojawiały się groźby zdetonowania bomb z ospą. Razem z Charliem odwiedziliśmy poparzonych, ofiary z Pentagonu, później spotkaliśmy się z członkami rodzin kobiet i mężczyzn, także małych dzieci zabitych w Nowym Jorku. Każdego ranka czytałam publikowane w „Timesie” *Portrety żałobne* — czytałam je wszystkie i byłam zdruzgotana. Był to dziwny, ciężki czas, a my znajdowaliśmy się w samym centrum wszystkiego. Nie

wątpię, że zarówno Arnold, jak i Charlie musieli w tym okresie zahartować się, uodpornić, że ich zaciętość i nieustępliwość nie były wyłącznie demonstracją męskości, płynęły również z wnętrza.

Niemniej jednak coraz bardziej zaczynam podejrzewać, że Charlie ciągnie tę wojnę w dużej mierze z tych samych powodów, dla których ja nie mogłam się zmusić, by ponownie wejść do damskiej toalety w Maronee Country Club, i nawet mu współczuję — tyle tylko że tamtego wieczoru w klubie, kiedy musiałam się załatwić i nie zrobiłam tego, jedyną cierpiącą byłam ja sama.

Tuż przed lądowaniem naszego samolotu w bazie wojskowej w Andrews zwracam się do Jessiki.

— Muszę jeszcze pojechać w jedno miejsce, zanim wrócimy do domu. Chciałabym porozmawiać z Edgarem Franklinem.

Jessica zrobiła wielkie oczy.

— Teraz?

— Obiecuję, że to już będzie koniec.

— Chodzi tylko o to, że nie wyobrażam sobie, jak długo zamierza pani z nim rozmawiać, ale gala zaczyna się d o k ł a d n i e za półtorej godziny. To znaczy, że będzie pani musiała przebrać się z szybkością światła.

— Próbujesz mi powiedzieć, że spotkanie z nim to zły pomysł?

— Nie... Nie... Ja... — przerywa w pół zdania. Siedzimy obie z zapiętymi pasami, gotowe do lądowania. — Hank na pewno by mnie za to zabił, ale nie uważam tego za zły pomysł. Uważam tylko, że lepiej jutro niż dzisiaj.

— Spędził tam już pięć nocy. To wystarczająco długo, i Jessica przygląda mi się przez kilka sekund.

— Okay — mówi na koniec.

— Poinformuj tylko agentów. Nie chcę prosić o błogosławieństwo ani Charliego, ani Hanka, ponieważ obie wiemy, że będą próbowali mnie od tego odwieść.

I w ten oto sposób mkniemy teraz Suitland Parkway naszą kawalkadą opancerzonych limuzyn. (Od limuzyn wolę co prawda SUV— y, ponieważ są mniej ostentacyjne, niestety Biały Dom przysłał właśnie limuzyny. Wiedziałam, że wyprawa na spotkanie z Edgarem Franklinem w normalnym samochodzie, co odpowiadałoby mi najbardziej, nie wchodziła w grę ze względów bezpieczeństwa). Migające światła i ryk syren wywołują jak zwykle przerażająco teatralny efekt,

ale nie mam wyboru. Nie dostałabym pozwolenia na przyjęcie Edgara Franklina w Białym Domu, a gdybym to zaproponowała, nawet gdyby udało mi się przekonać Charliego, że tak właśnie należy postąpić, cała sprawa wymagałaby szczegółowego scenariusza.

Zbyt łatwo mi się upiekło — takie odnoszę wrażenie. Z ulgą przyjąłam wiadomość, że zagrożenie ze strony Gladys Wycomb okazało się fał— szwym alarmem, ale też czułam się zawiedziona. Nie będę twierdzić, że poczułam się zmuszona do spotkania z Edgarem Franklinem, ponieważ chciałam jedną sensację zastąpić drugą — aby amerykańska opinia publiczna mogła dowiedzieć się dzisiaj jeżeli nie o mojej aborcji, to przynajmniej o moich sympatiach dla antywojennego aktywisty — lecz groźba Gladys Wycomb okazała się mniej przerażająca w rzeczywistości, niż kiedy ją sobie wyobrażałam; stała się przez to niemal kusząca. Odkąd Charlie zaczął sprawować publiczny urząd, miałam silne przekonanie, że moim głównym obowiązkiem jest chronienie go, że muszę być jedyną osobą, którą widuje codziennie i której nie płaci się za zgodzanie czy niezgodzanie się z nim, bo jestem jego prawdziwym przyjacielem. Czy jest wobec tego zaskakujące, że w sumie nie byłam niezadowolona z sytuacji zwracającej uwagę na moje odmienne zdanie w jakiejś szczególnej kwestii, nie będąc jednocześnie bezpośrednią sprawczynią ujawnienia odmienności naszych poglądów? Czyż nie byłoby cudownie, gdybym mogła publicznie, ale i też prywatnie rozpaczać nad niedyskrecją doktor Wycomb, w tym samym czasie odczuwając skrywaną wdzięczność?

Cóż za zawile domniemanie! Gdyby, dajmy na to, zjawiała się u mnie Ella z podobnym tłumaczeniem, powiedziałabym: „Na litość boską, masz prawo do własnych opinii!”. Dodałabym też: „Związek, w którym musisz kontrolować swoje przekonania czy tłumić je w sobie, nie jest żadnym związkiem!”. A także: „Jak najbardziej są przystające kobiecie i niewykluczające szacunku sposoby na wyrażenie siebie bez względu na temat czy kontekst, i chociaż w wielu wypadkach najbardziej elegancko jest ugryźć się w język, kiedy w grę wchodzi nasze sumienie, mówienie głośno jest nie tylko możliwe, a wręcz konieczne” — czy nie tak właśnie myślałabym, gdyby chodziło o kogoś innego, a nie o mnie?

Kawalkada zatrzymuje się, kiedy znajdujemy się dwie przecznice od podwórka przy Fourth Street SE i agenci w naszej limuzynie zaczynają gorączkowo konferować przez swoje słuchawki z agentami w pozostałych pojazdach i policyjną eskortą. Słyszę słowo „Banjo”, kryptonim oznaczający mnie (Charlie to „Brass”, Ella „Braid” — agenci podają nam literę, a my sami wybieramy sobie określenia, chociaż ja swoje pozwoliłam wybrać Elli). Razem z nami z tyłu jadą Cal i Walter, Jose i jeszcze jeden agent siedzą z przodu. Oba telefony Jessiki dzwonią jednocześnie — zdążyła już zawiadomić swoją asystentkę Belinę, by poinformowała, że się spóźnimy, ale jesteśmy w drodze. Dostrzegam, nawet z tej

odległości, wozy transmisyjne stacji telewizyjnych, z antenami sięgającymi wysoko ponad dachy szeregowych domków. Po obu stronach ulicy stoją ciasno zaparkowane samochody, a przed nami widzę zatłoczone chodniki i wiele osób z transparentami.

— Proszę pani, nie możemy jechać dalej — mówi Cal. — Panuje zbyt wielki ścisk. Za pani zgodą chcielibyśmy wrócić do rezydencji.

¹ Spoglądamy z Jessicą na siebie.

— Czy nie ma jakiegoś...? — zaczynam.

— A może zaprosić Edgara Franklina do samochodu? — wchodzi mi w słowo Jessica, zwracając się do Cala.

— Zawracamy na D Street — mówi Cal cicho do swojej klapy.

— Co z pomysłem Jessiki? — pytam.

— Ryzyko ataku tłumu jest zbyt duże — odpowiada.

Jesteśmy już na D Street, syreny policyjne wciąż wyją.

— Nie, Cal, zatrzymajcie się. Nalegam. Możecie zaparkować na następnej przecznicy, zabarykadować ulicę, ale jeżeli zgodzi się przyjąć do samochodu, chciałabym spróbować.

Nie wiem dlaczego, ale nie miałam pojęcia, że zrobi się z tego taki cyrk — w telewizji tłum nie wydawał się aż tak wielki, a może po prostu dzisiaj zjechało więcej zwolenników. Wyobrażałam sobie, że będziemy tylko we dwójkę, Edgar i ja, i będziemy przechadzać się po chodniku, co i tak było mrzonką, ponieważ nie pamiętam już, kiedy mogłam przechadzać się chodnikiem, który wcześniej nie został otoczony kordonem i owczarki niemieckie nie ob— wachały każdego jego centymetra w poszukiwaniu bomb.

Jessica wysiada z limuzyny, by przekazać moje zaproszenie. Agenci z innych samochodów otaczają ją, gdy pokonuje dwie przecznice dzielące nas od podwórka, na którym Edgar Franklin rozbił swój namiot. Dzielna Jessica Sutton, mała dziewczynka, która bawiła się lalkami Barbie na podłodze w kuchni w domu Harolda i Priscilli, która będąc w szóstej klasie, czytała romanse Harlequina, która ukończyła Biddle Academy z drugą oceną na roku, w Yale należała do Phi Beta Kappa, podróżowała wraz ze mną do Izraela i Republiki Południowej Afryki, która jest moją wierną współpracownicą i najprawdziwszą przyjaciółką. Znajduje Edgara Franklina i przyprowadza go do mojej limuzyny, zanim jednak może do niej wsiąść, najpierw musi zostać obszukany przez Waltera.

— Będę tuż obok — mówi do mnie Jessica, gdy pułkownik Franklin wsiada.

Pułkownik siada naprzeciw mnie, z lekko rozchyłonymi kolanami; paruje z niego ciężkie gorąco panujące na zewnątrz. Na samym końcu limuzyny, zwrócony twarzą do nas Cal nie spuszcza z nas oka. Liczyłabym na zbyt wiele, mając nadzieję, że ta rozmowa odbędzie się bez świadków.

— Panie pułkowniku, jestem Alice Blackwell — mówię.

— Edgar Franklin.

Wyciągamy ręce i wymieniamy uścisk.

— Chciałam wyjść i porozmawiać z panem, niestety, okazało się to niemożliwe — mówię.

Z ledwo zauważalnym rozbawieniem rozgląda się po limuzynie.

— Tu nie jest aż tak źle — zauważa. (Znowu pożałowałam, że nie jesteśmy w SUV—ie).

— Napije się pan wody? — Unoszę nieotwartą butelkę z pojemnika koło mnie i pułkownik przyjmuje ją. — Panie pułkowniku, nie jestem upoważniona do mówienia w imieniu administracji prezydenta Blackwella, muszę to wyraźnie podkreślić. Występuję tutaj wyłącznie w imieniu własnym. Chcę jednak, aby pan wiedział, jak bardzo współczuję panu z powodu jego straty. Wiem, że pana syn... Wiem, że Nate był jedynym dzieckiem, i chyba nawet nie jestem w stanie zacząć sobie wyobrażać, jakie to musi być dla pana trudne.

— Nie, proszę pani, chyba rzeczywiście nie jest pani w stanie — odpowiada rzeczowym tonem, bez cienia złości.

— Miał dwadzieścia jeden lat?

Edgar Franklin potwierdza skinieniem głowy.

— Po skończeniu służby planował zostać technikiem farmaceutycznym.

— Mój dziadek pracował w aptece — mówię. — Nigdy go nie poznałam, niestety, ale to było w Milwaukee, w stanie Wisconsin. O ile wiem, pan jest z Georgii?

— Kiedy Nate dorastał, przeprowadzaliśmy się kilka razy, spędziliśmy nawet jakiś czas w Niemczech i Panamie, ale do liceum poszedł w Columbus, w Georgii. Ja w tej chwili jestem w stanie spoczynku i mieszkam w Decatur. — Edgar Franklin odchrząkuje. — Proszę pani, jestem spokojnym człowiekiem. Nigdy nie było moim zamiarem zwracać na siebie uwagę, ale ta wojna to największy błąd, jaki Stany Zjednoczone popełniły za mojego życia.

— Rzeczywiście, wzbudza wiele kontrowersji.

— Dlaczego walczymy, proszę pani? I właściwie o co?

— Powtarzam, nie mogę wypowiadać się w imieniu administracji, ale gdyby zapytał pan mojego męża, odparłby, że za demokrację.

— Pani też by tak powiedziała?

Przełykam.

— Nie jestem analitykiem wojskowym, ale... Tak. Powiedziałabym to samo.

— Oni nie chcą nas w swoim kraju prawie tak samo, jak my nie chcemy tam być. — Mówi spokojnie. — Nie uważają, że dzięki nam są bardziej bezpieczni, nie powiedzą, że dzięki nam ich życie stało się lepsze. Widzą w nas okupantów. Brałem udział w walkach, proszę pani, i wiem, że to jedno wielkie zamieszanie, ale tym razem nie w tym tkwi problem. Nasze oddziały trafiły tam w sam środek sporów międzyplemiennych, do miejsca, w którym walczą nie w swojej sprawie. Prezydent mówi, że dla uczczenia pamięci tych, którzy polegli, musimy doprowadzić misję do końca, ale jeżeli wojna była błędem od samego początku, nie stanie się nagle słuszna tylko dlatego, że będziemy dalej podążali w tym samym kierunku.

Cóż mam mu odpowiedzieć, czy jest w ogóle coś, co mogę powiedzieć? Mogę jedynie utrzymać kontakt wzrokowy, pokazać mu, że go słucham.

— Prezydent Blackwell będzie jeszcze pełnił swój urząd przez dziewiętnaście miesięcy — Wiem, chcę mu powiedzieć. Proszę mi wierzyć, wiem dokładnie. — I ilu jeszcze żołnierzy zginie w tym czasie? Dwa tysiące, trzy tysiące? Uważam, że uczcimy pamięć poległych, zapobiegając kolejnym bezsensownym śmierciom.

— Nasz kraj jest dłużnikiem takich rodzin jak pańska i wiem, że w żaden sposób nie jesteśmy w stanie zrekompensować poświęcenia Nate'a, ale sytuacja jest niezmiernie skomplikowana, i gdyby Stany Zjednoczone miały...

— Pani Blackwell! — Chyba oboje jesteśmy zaskoczeni tym, że mi przerwał. Sprawia wrażenie człowieka bardzo grzecznego, zmagającego się z kaftanem bezpieczeństwa swojej własnej uprzejmości; mówi więcej, niż uważa, że powinien, zbyt ostrym tonem (w końcu jestem pierwszą damą, a on, było nie było, siedzi w mojej opancerzonej limuzynie), lecz mniej, niż chciałby w rzeczywistości (w końcu jestem pierwszą damą, a on, było nie było, siedzi w mojej opancerzonej limuzynie). — Proszę mi wybaczyć — mówi — ale jesteście w stanie zrekompensować mi moje poświęcenie. Nie możecie zwrócić mi Nate'a, to prawda, ale tam wciąż przebywa sto czterdzieści pięć tysięcy amerykańskich żołnierzy i wszyscy oni mają kogoś, kto ich kocha, kto się o nich martwi i kto

każdego dnia modli się o ich bezpieczeństwo. Może pani powiedzieć swojemu mężowi: „Ci ludzie mają rodziny”.

Co powiedziała dzisiaj rano Gladys Wycomb? „**Administracja** mojego męża różni się ode mnie”. A także: „To jego wybrali Amerykanie”.

— Widziałem wywiad z panią kilka miesięcy temu — mówi Edgar Franklin. — Dziennikarka, która z panią rozmawiała, zapytała, jak pani i mąż spędzacie czas w chwilach odpoczynku. A pani odpowiedziała: „Czytamy, gramy w scrabble, prezydent ogląda sport”. Proszę pani, wszyscy chcą tego samego.

— Przykro mi — powiadam. — Naprawdę bardzo mi przykro.

— Matka Nate'a zmarła w 1996 roku — mówi dalej Edgar Franklin. — Była wspaniałą kucharką i nigdy nie korzystała z żadnych przepisów. Klopsy, czarna fasola, makaron z serem, wszystko, co ugotowała, było wyśmienite. Po jej śmierci zostaliśmy z Nate'em sami, a on wciąż jeszcze był młodym chłopcem. Zatrudniłem kobietę, żeby się nami zajęła i żeby gotowała dla nas w ciągu tygodnia, a kiedy nadchodził weekend, jedliśmy spaghetti z sosem, on nazywał to kawalerskim obiadem. Mawialiśmy, że skoro włączamy piekarnik, to tak, jakbyśmy naprawdę gotowali. — Uśmiejemy się do siebie cierpko; Edgar Franklin nie pała do mnie nienawiścią, przynajmniej nie taką, jaką żywiła do mnie Gladys Wycomb. — Kiedy przeszedłem na emeryturę — mówi pułkownik dalej — lata płynęły, a ja myślałem sobie, że czas nauczyć się gotować. Kupiłem książki kucharskie, przeczytałem je i na początku tylko kilka przepisów mogłem wypróbować. Tam były słowa, których wcześniej nawet nie znałem: „podgotować”, „udusić” i takie tam. Ale byłem coraz lepszy. Miałem chwile porażki, o których nikt poza mną nie musi wiedzieć, ale byłem coraz lepszy. Zaplanowałem sobie, że kiedy Nate wróci, przygotuję dla niego pełny posiłek, a on naprawdę by się zdziwił: polędwica wieprzowa z pieczarkami i oliwkami, świeża sałata, chleb domowego wypieku. Zamówiłem przez Internet urządzenie do pieczenia chleba. Chleb własnej roboty robi na wszystkich wielkie wrażenie, a tu wystarczy tylko wsypać składniki i wcisnąć guzik. Próbowałem różnych przepisów, bo Nate nie przepadał za rodzynkami, ale można upiec chleb ziołowy albo z kwaśnej mąki, do wyboru, do koloru. — Wiem, co Edgar Franklin powie następnie, i nie mylę się, chociaż mówi to z większą rezerwą, mniej ckliwie, niżby mógł. — Nigdy nie przygotowałem takiej kolacji mojemu chłopcu.

W limuzynie panuje cisza — na zewnątrz ze wszystkich czterech stron otaczają nas agenci. ^

— Znałam blisko ludzi, którzy umarli młodo — mówię po upływie jakiejś minuty. — I wiem, że to okropne, ponieważ to wbrew naturze. Ma się wrażenie, że to nie do zniesienia, ale jakoś wytrzymujemy, bo nie mamy innego wyjścia. —

Przerywam. — Gdybym mogła w jakikolwiek sposób wrócić panu syna, zmienić to, co się stało, nie wahałabym się ani przez chwilę.

— Wiem, że zawsze byłoby mi ciężko, bez względu na to, jak by odszedł. Ty-le wiem — odzywa się Edgar Franklin. — Ale za to nie warto było ginąć. Za broń masowego rażenia, której nigdy nie znaleźli? Dostęp do złóż ropy? Polityków bawiących się w żołnierzy i Indian? Pewnie są to wystarczające powody, pod warunkiem że stawką nie jest życie własnego syna.

Edgar Franklin nosi spodnie khaki i białą koszulę z krótkim rękawem, spod której prześwituje podkoszulek. Ma też zegarek z czarnym skórzanym paskiem, złotą obrączkę na lewej ręce i brązowe skórzane mokasyny z frędzlami. Na ich widok serce mi pęka.

— Chyba ma pan rację — mówię, spoglądając wprost na niego. — Najwyższa pora zakończyć tę wojnę i sprowadzić naszych żołnierzy do domu.

W dniu wyborów 7 listopada 2000 roku głosowaliśmy zaraz po otwarciu lokali wyborczych w Madison; na tle kabin z zasłonami w szkole podstawowej nieopodal rezydencji gubernatora wzięliśmy się z Charliem za ręce, a wolnymi rękami machaliśmy do zgromadzonych dziennikarzy, fotografów, kamerzystów i życzliwych nam ludzi. Następnie wsiedliśmy do samolotu i odlecieliśmy do Portlandu w Oregonie, gdzie miał się odbyć ostatni wiec tej kampanii — Oregon słynął z tego, że tam szanse były wyrównane — potem do Minne—apolis i wreszcie udaliśmy się do hotelu w Wisconsin, gdzie w apartamencie, w towarzystwie członków sztabu i krewnych, a także Arnolda Prouheta, jego żony i rodziny, oraz wszystkich Blackwellów mieliśmy oglądać wyniki. Nasi bratankowie, Harry i Drew, od samego początku brali udział w kampanii na rzecz Charliego, a Harold i Ed zebrali ogromne fundusze. Tamtego wieczoru oprócz Elli, Harolda i Priscilli byli z nami wszyscy bracia Charliego, wraz z żonami oraz dziećmi, z których wiele miało już własne rodziny. To pełne stawiennictwo bardzo ujęło zarówno Charliego, jak i mnie. Ktoś zamówił kilkadziesiąt pizz i w apartamencie panował istny rozgardiasz, nerwowa atmosfera pełna podekscytowania. Jedyna chwila spokoju, za co byłam wdzięczna, zapanowała, kiedy wielebny Randy odmawiał modlitwę przed jedzeniem. Dla nikogo nie było tajemnicą, że różnica głosów będzie niewielka, ale Hank ani przez chwilę nie wątpił, że Charlie wygra, a Charlie tę pewność podzielał. Nie dlatego, że coś do siebie mówiliśmy, ale raczej z powodu wymienianych spojrzeń i tego, czego n i e mówiliśmy, byłam pewna, że mój teść i ja byliśmy jedynymi nie do końca wierzącymi w zwycięstwo Charliego. Harold był na emeryturze, ale „aktywnej”, jak sam lubił mawiać. Wciąż miał wiele znajomości w Narodowym Komitecie Republikanów. Jego wyraźny sceptycyzm brałam za wynik wiedzy, mój zaś przypisywałam bardziej intuicji. Wtedy

już nie miało znaczenia, czy chcę, żeby Charlie zwyciężył. Oczywiście, że chciałam, i oczywiście, że nie chciałam. Chciałam, żeby wygrał, tak jak chce się, żeby wygrała miejscowa drużyna baseballowa czy szkolna drużyna piłkarska córki. Marzyłam o tym chwilowym triumfie, pragnęłam, aby nasze coraz większe emocje znalazły ujście w świętowaniu, a nie przerodziły się w rozczarowanie, co jednak nie było równoznaczne z długofalowymi konsekwencjami owego triumfu. Chciałam, żeby Charlie wygrał wybory, ale nie chciałam, żeby został prezydentem. Przez półtora roku oboje żyliśmy jak w pułapce, wśród tumultu skandujących tłumów trzymających czerwono—niebieskie transparenty, planujących strategie doradców, sondaży i dziennikarzy, wymachiwania flagami, orkiestr dętych, samolotów, hoteli i lotnisk, szkół i wiejskich targów, domów opieki. Czasami było wesoło, znacznie częściej czuliśmy się wykończeni, i teraz wszystko prawie dobiegało końca. Salę balową hotelu wynajęto na świętowanie zwycięstwa. Jednym z powodów, dla których wiedziałam, że nie nadaję się do polityki, było przypisane każdej zwycięskiej imprezie upokorzenie, ponieważ zawsze istniała spora szansa, że do zwycięstwa nie dojdzie.

Mijały godziny i stało się jasne, że wynik wyborów zależy od Florydy — zupełnie jak w baseballu, kiedy wszystkie dziewięć rund może nagle skurczyć się do jednego końcowego rzutu — a tuż przed siódmą naszego czasu, ósmą na Wschodnim Wybrzeżu, stacje telewizyjne ogłosiły, że dwadzieścia pięć głosów elektorskich z Florydy oddano na przeciwnika Charliego. W apartamencie zapanała cisza, tylko Parker, trzymiesięczny synek Lizy, zawodził żałośnie. Wszyscy patrzyli na Charliego, lub raczej starali się nie patrzeć — siedział na kanapie przed wielkim telewizorem, z Ellą po jednej stronie, Hankiem po drugiej — i nie zdziwiłam się, kiedy po kilku chwilach Ella szepnęła mi do ucha: „Tata chce wyjść”.

Harold, Priscilla, Hank i Debbie Bell towarzyszyli nam w drodze do rezydencji gubernatora, wszyscy inni zostali. Kiedy szliśmy przez hol i wsiadaliśmy do SUV—ów, które miały nas zawieźć do domu, nikt nie odezwał się słowem do hord dziennikarzy nawołujących nas, chociaż ja uśmiechnęłam się do kilku; wtedy już znaliśmy ich dobrze. Nie potrzebowali zachęty: i tak, bez względu na wszystko, pojechali za nami do rezydencji, wiadomo też było, że przed końcem dnia będziemy musieli ich wpuścić i że Charlie będzie musiał z nimi porozmawiać.

W rezydencji zgromadziliśmy się w salonie na pierwszym piętrze. Kusilo mnie, by zaproponować grę w scrabble lub w jukera, wątpię jednak, by cokolwiek zdołało nas zająć. Była to chwila, gdy osobowość każdego z nas została jednocześnie zredukowana i spotęgowana, sprowadzona do jednej zasadniczej cechy: Debbie Bell była zła, Hank się upierał, że Floryda nie mogła się opowiedzieć za przeciwnikiem Charliego i musiała zająć pomyłką, Harold zachowywał

stoicki spokój, Priscilla zionęła nienawiścią do przeciwnika Charliego i wszystkich głupców, którzy na niego głosowali, Ella uroczo starała się chronić ojca, ja milczałam, a Charlie był dotknięty — zupełnie jak jakiś smarkacz. Mówił mniej od innych, za to Priscilla odzywała się najwięcej.

— Ten zadowolony z siebie, świętoszkowaty obrońca drzew — zżymała się, gdy w telewizji pojawiała się postać rywała Charliego. — Jeżeli kogoś takiego Amerykanie chcą na swojego prezydenta, to znaczy, że na niego zasługują.

Myślę, że wyborcze noce były dla Priscilli i Harolda znamienne i przerażające — wtedy też siedzieliśmy w rezydencji gubernatora, którą oni zajmowali przez osiem lat i gdzie Charlie jako nastolatek spędził większość czasu.

Poleciłam pokojówce, by przyniosła nam orzeszki i popcorn, włączone były dwa telewizory — jeden w drewnianej szafce i drugi, przyniesiony specjalnie po to, byśmy mogli jednocześnie oglądać różne stacje, chociaż w obu wyłączyliśmy dźwięk — a Charlie przygotowywał się, by zadzwonić do swego rywała z gratulacjami, gdy nagle, naraz zaczęły dzwonić telefony Hanka, Debbie i Harolda i jakieś trzy minuty później stacje podały, że Floryda wraca do grupy niezdecydowanych. O pierwszej trzydziści nad ranem Charlie prowadził na Florydzie przewagą stu tysięcy głosów, do trzeciej trzydziści ta przewaga zmalała do dwóch tysięcy, wraz z przewidywaniami, że głosy z nie— policzonych jeszcze obwodów zostały oddane na jego kontrkandydata. Kiedy kładliśmy się do łóżek po czwartej, nie wiedzieliśmy, co myśleć. Wówczas zgoda panowała co do jednego, a mianowicie, że jeżeli ilość głosów nadal będzie tak zbliżona, trzeba będzie przeliczyć je jeszcze raz, co może oznaczać, że minie kilka dni, zanim poznamy ostateczny wynik. Nigdy bym nie przypuszczała, że moje zmęczenie może być aż tak wielkie w tak niespokojną i pełną napięcia noc, ale ostatnie dni kampanii okazały się szczególnie męczące i moje ciało wręcz błagało, aby mogło się położyć. Równie zdumiewające było to, że Charlie czuł się tak samo. W trakcie wieczoru dołączyło do nas kilkoro krewnych, których wcześniej nawiedzili dziennikarze telewizyjni i prasowi, wraz z towarzyszącymi im fotografami i kamerzystami. Zauważyłam, że Charlie coraz częściej trzyma się blisko mnie. Kiedy raz wstałam, by pójść do łazienki, zapytał, dokąd idę.

— Wrócisz zaraz? — spytał jeszcze, a ja kiwnęłam głową.

— Wybaczysz mi, jeżeli pójde się położyć? — zapytałam, gdy dochodziła czwarta.

— Prawdę mówiąc, zrobię to samo — odparł.

Około trzydziestu osób zgromadzonych w salonie nagrodziło go oklaskami, kiedy wychodził, a on przystanął i uśmiechnął się, wyraźnie skrzępowany.

Umyliśmy zęby, położyliśmy się do łóżka i zgasiliśmy światło. Charlie przytulił głowę do mojej piersi, a ja palcami przeczesywałam jego włosy.

— I co teraz będzie? — zapytał.

— Och, kochanie, wiem tyle samo co inni.

— Ale jak ci się wydaje?

— Słowo daję, kochanie, nie potrafię...

Przerwał mi.

— Tak sobie myślałem, że powinienem zostać komisarzem baseballu. Nadałbym się idealnie, no nie?

Wtedy po raz pierwszy usłyszałam o tym pomysśle, ale brzmiał przekonująco.

— Okay — odparłam.

— Byłoby fajnie. Trudno, ale bez przesady, no i mógłbym wykorzystać wszystko, czego się nauczyłem. Ale tego całego gówna związanego z rządzeniem, trzygodzinnych zebrań z powodu wód gruntowych, stosunków pracy czy jakiegoś prawa mleczarskiego z 1850 roku, mam już dość.

— Czy stanowisko komisarza baseballu ma się wkrótce zwolnić? O ile się nie mylę, w tej chwili zajmuje je Wynne Smith, prawda?

— Każę się ludziom rozeznąć, co i jak. Ale Smith dobiega siedemdziesiątki i założy się, że są gotowi na świeżą krew.

— Tylko nie zapominaj, że jeszcze przez dwa lata będziesz gubernatorem.

Charlie milczał jakiś czas.

— Gdybym zrezygnował, myślisz, że stałoby się coś straszego? Monty nadał się idealnie, bez dwóch zdań.

Mówił o Ralphie Montanettim, wicegubernatorze.

— Nie chcesz wytrzymać do końca kadencji?

— Ta kampania była brutalna, ale nie muszę ci tego mówić. I tak między nami, zaczynam czuć, że zabawa się skończyła. Już wiem, że Hank będzie mnie namawiał na 2004 rok, ale ja nie jestem pewien, czy warto. Ostatnio cała ta afera z wygraniami wyborów prezydenckich zaczyna mi przypominać... Jak to było z tym zostaniem partnerem w firmie prawniczej? Wygrałeś konkurs w jedzeniu placka i w nagrodę dostaniesz więcej placka?

— Możesz coś dla mnie zrobić? — odezwałam się. — Czy postarasz się pamiętać, że obojętnie, jak będzie, będzie dobrze? Czy chcesz zostać w polityce, czy chcesz się wycofać i wrócić do baseballu, albo po prostu odpocząć...

— Wtedy Charlie miał już pięćdziesiąt cztery lata i nie byłoby nic krępującego w tym, że przestał pracować; mógł przejść na emeryturę, moglibyśmy podróżować, moglibyśmy nawet kupić nasz własny drugi dom, nie w Halcyon, lecz w Minnesocie czy Michigan, on łowiłby sobie ryby, ja bym czytała. — Jesteś

szczęściarzem, że masz tyle możliwości, tylu sprzymierzeńców i ludzi, którzy cię podziwiają — dodałam. — To się liczy przede wszystkim.

Charlie uniósł głowę i obrócił ją tak, żebyśmy pomimo ciemności znaleźli się twarzą w twarz. W oddali słyszeliśmy telewizor i ludzi wciąż siedzących w salonie.

— Kiedy ogłosili, że nie dostałem Florydy, wkurzyłem się — powiedział.

— Byliśmy tam, ile? piętnaście razy w ciągu roku? I założę się, że w tej chwili wszyscy w liberalnych mediach aż srają w gacie ze szczęścia. Najpierw mówią, że przegrałem, a już za chwilę: „Nie, zaczekaj, nie przegrałeś”, a potem znowu: „Och, tak, jednak przegrałeś”. Dwa razy lepsza zabawa, no nie? Tam, w hotelu nie tak sobie wyobrażałem dobrą zabawę, wcale mi się nie chciało uśmiechać z wdziękiem przegranego, kiedy gapili się na mnie wszyscy, których znam. Ale potem pomyślałem sobie, że jeżeli wszystko dzieje się w jakimś celu, Bóg wie, co czyni. Jaka byłaby moja wiara, gdybym ufał Mu tylko wtedy, kiedy wszystko idzie po mojej myśli?

— Wciąż jeszcze jest szansa, że wygrałeś — powiedziałam. — Wybory jeszcze się nie skończyły.

Potrząsnął głową.

— Wiesz, że przegrałem, i ja też to wiem. Czuję to w kościach. Ale pogodziłem się z tym, Lindy. — Pocałował mnie w usta i dodał: — Może to zabrzmie dziwnie, ale już zaczynam myśleć, że mi się upiekło.

Myślałam, że pojedziemy do Białego Domu w samochodach, w których siedzieliśmy. Cieszyłam się na tę chwilę samotności — względnej, bo w towarzystwie trzech agentów — i na to, że będę mogła zastanowić się nad tym, co się właśnie stało, ale jak tylko Edgar Franklin opuszcza limuzynę, pojawia się Jessica, wsiada i podaje mi telefon.

— To prezydent.

Gdyby dzwonił ktokolwiek inny, nawet Ella czy moja matka, nie odebrałabym. Lecz przykładam telefon do ucha i mówię:

— Halo.

— Kiedy obcy porwali moją żonę i zastąpili ją tobą? — odzywa się Charlie.

Jest wyraźnie wzburzony i chyba gdzieś idzie — podejrzewam, że do windy w rezydencji. Zapewne będzie przebierał się na galę, która zaczyna się już za dwadzieścia minut.

— Charlie, nie chciałam cię zaskoczyć, ale nie mogłam pozwolić, żeby kolejna...

— Nie, to było świetne. Tylko Hank jest wściekły, że sam na to nie wpadł. Jak rodzic z rodzicem, to był jedyny sposób.

— Nie jesteś zły?

— Mam tylko nadzieję, że pan Współczucie docenił twoje poświęcenie, żeby znaleźć czas na spotkanie z nim, tym bardziej że krążą plotki, że nie zdążysz się przebrać. Ale nie martw się, obiecuję nie powiedzieć oddającym ci hołd uczniom i nauczycielom, że masz na sobie brudne majtki.

Z niepokojem uświadamiam sobie, że Charlie jest przekonany, iż rozmawiałam z Edgarem Franklinem zamiast niego, mniej jako ja, lecz przede wszystkim jako prezydencki surogat — tak samo jak pojawiając się czasem na pogrzebach zagranicznych przywódców.

— Charlie — odzywam się. — Powiedziałam Edgarowi Franklinowi, że popieram zakończenie wojny i powrót naszych wojsk do domu.

Przez dziesięć sekund Charlie milczy, a kiedy się odzywa, ton jego głosu jest pełen niedowierzania.

— Popierasz koniec wojny i powrót wojsk do domu? — pyta.

— Wyraźnie podkreśliłam, że nie wypowiadam się w imieniu administracji ani w twoim imieniu, nie wdałam się też z nim w szczegółową dyskusję na temat polityki zagranicznej. Głównie on wyrażał swoje zdanie, a ja słuchałam.

— Wybacz, ale chyba mamy jakieś problemy na linii. Zabrzmiało to tak, że właśnie oświadczyłaś antywojennemu aktywiście, otoczonemu przez kamery telewizyjne, że popierasz jego, a nie mnie. — Nic nie odpowiadam, a Charlie mówi: — Wielki Boże, Lindy

— Kochanie, możemy mieć odmienne zdanie w różnych sprawach. Sprawa aborcji...

— A więc o to chodzi? Postanowiłaś sobie, że doprowadzisz dzisiaj do wielkiej kontrowersji, i kiedy ta stara wiedźma lekarka wykitowała, na szybko znalazłaś coś innego?

Tak bardzo pragnęłam znaleźć się z nim w tym samym miejscu, przyłożyć mu dłoń do policzka, objąć go — pokazać mu, że chociaż zrobiłam coś niespotykanego, nadal jestem jego lojalną żoną.

— Natychmiast idę zobaczyć, co mówią w telewizji — oświadcza, po czym słyszę, że zwraca się do kogoś innego. — Tak, w czasie, jak z nim rozmawiała. Oczywiście, wszystkie stacje to nadają — mówi znowu do mnie. — Tylko tak dalej, dziecinko. Może przy okazji storpedujesz ustawę o imigracji, skoro już tak dobrze ci idzie? Albo zaczniesz sabotować reformę pomocy społecznej?

Już pokazują to wszystkie stacje? Przecież Edgar Franklin wysiadł z mojego samochodu dosłownie przed kilkoma minutami. Ale dziennikarze musieli domyślić się wszystkiego, kiedy był jeszcze w limuzynie, i nadawali na żywo, posuwając się do wszystkich możliwych spekulacji, jak to mają w zwyczaju.

— Będę w domu za pięć minut — mówię. — Zaczekasz, żebyśmy mogli pójść razem, zanim całkiem się nakręcisz?

— Widzisz, zawsze o tym zapominam — mówi, a ja nawet teraz, gdy nasza prywatność przestała w zasadzie istnieć, zastanawiam się, kto go w tej chwili podsłuchuje. — Regularnie co dziesięć lat przygważdżasz mnie do podłogi, siłą otwierasz mi gębę i pakujesz w nią jakieś gówno.

Kiedy miałam trzydzieści jeden lat, a Charlie ubiegał się o mandat w Kongresie, myślałam, że nauczę się trzymać w torebce jakąś powieść i czytać ją ukradkiem podczas wygłaszanych przez niego przemówień, myliłam się jednak — dziennikarze i ludzie na widowni często zerkają na żonę kandydata w czasie, kiedy on przemawia, obserwując jej reakcję. Również mniej więcej w tym samym czasie, to znaczy, kiedy się w sobie z Charliem zakochiwaliśmy, sądziłam, że będę mogła popierać go nie jako polityka, lecz jako osobę, a gdy mu o tym powiedziałam, on też tak myślał.

— Mogę ci dać słowo, że nigdy nikomu n i e powiem, jeżeli nie będę się z tobą zgadzać — oświadczyłam mu. — To wyłącznie nasza sprawa, nikomu nic do tego.

Na gali na moją cześć, w której uczestniczy ponad trzysta osób, jest przyjemnie, tłoczno i odrobinę pretensjonalnie. Charlie i ja siedzimy obok siebie w pierwszym rzędzie. Najpierw słuchamy, jak chór trzecioklasistów wykonuje *Boże, błogosław Amerykę*, następnie patrzymy, jak matka wprowadza na scenę chłopca na wózku inwalidzkim, pod którego przewodnictwem wygłaszamy wszyscy *Przysięgę na wierność*. Potem wygłaszają po kolei przemówienia: dyrektor państwowego liceum w Anacostii, piątoklasista ze szkoły w Bethesdzie i senator z ramienia demokratów, znany ze sponsorowania ustaw dotyczących szkolnictwa (moje stosunki z nim układały się na przestrzeni lat całkiem dobrze, dla nikogo jednak nie jest tajemnicą, że senator nie znosi Charliego; jednak w tej chwili liczy na poparcie swojego projektu budownictwa dla ubogich). Później

trio dziewięciolatek w strojach gimnastycznych wykonuje układ z maczugami w rytm *I Believe I Can Fly* R. Kelly'ego, następnie dwie znane broadwayowskie aktorki odgrywają scenę z *Cudotwórczym*, wreszcie Afroamerykanka z ostatniej klasy liceum czyta wiersz Langstona Hughesa. Dziewczynka ma co najmniej dwadzieścia pięć kilogramów nadwagi, ale posiada niezaprzeczalną osobowość sceniczną.

Teraz trzech nauczycieli odbiera nagrody: chromowane jabłka przymocowane do drewnianych podstawek, każde wręczone przez ucznia, który nominował danego nauczyciela. Kulminacją wieczoru jest pojawienie się na scenie wszystkich, którzy wcześniej na niej wystąpili, i dwoje z nich rozwija długi na co najmniej dziesięć metrów transparent z napisem: **DZIĘKUJEMY PANI ZA WYSTĘPOWANIE W NASZYM IMIENIU**. Tak jak było zaplanowane, podczas nagradzania nauczycieli wymykam się za kulisy, po czym wychodzę na scenę, machając i uśmiechając się. Na podium dwóch dziewięcioklasistów wręcza mi moje własne chromowane jabłko, co najmniej o trzydziestocentymetrowej średnicy (gdyby moje jabłko było naturalnej wielkości, jak jabłka nauczycieli, nie wyszłoby dobrze na zdjęciach, a trzeba przyznać, że flesze błyskają w tej chwili wręcz oślepiająco). Nie wygłaszam prawdziwego przemówienia, lecz mówię tylko:

— Dziękuję wam bardzo za nagrodę i za przybycie tu dzisiaj. To był niezwykły wieczór i czuję się zaszczycona, mogąc spotkać tyle utalentowanych osób. Mam nadzieję, że wszyscy, gdziekolwiek się udacie, będziecie pamiętać, że wykształcenie stanowi przepustkę. A teraz, mając na względzie, że jutro jest zwykły dzień i trzeba iść do szkoły, proponuję, abyśmy rozeszli się już do domów. Nie zapomnijcie o odrobieniu zadania domowego i śpijcie dobrze.

(W gruncie rzeczy żadna przemowa, ale nawet tych słów nie napisałam sama). Normalnie krępowaloby mnie całe to zamieszanie wokół mojej osoby, ale po dniu tak pełnym wrażeń nawet nie zwróciłam na nie zbytnej uwagi. Na scenie pozuję do zdjęć z uczniami i nauczycielami; kilkoro uczniów, którym nie chce się stać w kolejce do mnie, okrążyło jednego z wykonawców *Boże, błogostaw Amerykę*, który z zapalem wije się, tańcząc break dance. Zauważam, że Charlie sobie poszedł. Odegraliśmy dzisiaj nasze role, siedząc obok siebie i przybierając miły wyraz twarzy. Charlie uśmiechał się dzielnie, ilekroć ktoś na scenie mówił o mnie coś miłego, ale nie zwracał na mnie uwagi, jeżeli sytuacja tego nie wymagała, nie szeptał do mnie, nie ścisnął za rękę, nie klepał w kolano.

Kiedy wróciłam do Białego Domu po rozmowie z Edgarem Franklinem, nie miałam czasu znaleźć Charliego — jak przewidział, nawet nie zdążyłam się przebrać, ale pośpieszyłam do rezydencji, żeby przynajmniej skorzystać z łazienki. Natknęłam się przy tym na Ellę, z którą się uściskałyśmy.

— Powinniśmy już schodzić na dół — stwierdziła.

— Nawet nie poprawisz makijażu? — zapytała.

— Kochanie, już jesteśmy spóźnione.

Uśmiechnęła się szelmowsko.

— Boisz się, że zaczną bez ciebie?

Chociaż w salonie piękności (urządzonym przez Pat Nixon) czekała na mnie Mirel, urocza młoda osóbka, pełniąca funkcję mojej makijażystki, i Kim, która mnie czesze, to Ella, używając zapasów Mireli, nałożyła mi błyszczący na usta i odrobinę różu na policzki.

— Popatrz w górę — poleciła, kiedy malowała mi rzęsy. — Teraz popatrz w dół. — Posłusznie wykonałam jej polecenie, a ona na koniec dodała: — A teraz zamrugaj. — Po chwili odezwała się znowu: — Mamo, naprawdę cieszę się, że porozmawiałas z tym gościem, Franklinem, ale gdyby wycofać wojska natychmiast, na całym Środkowym Wschodzie bezprawie pojawiłoby się z efektem domina.

Przypomniał mi się jej ton, którym jako nastolatka tłumaczyło mi coś, co według niej powinnam już dawno wiedzieć — wystarczająco dyplomatyczny, bym się nie obraziła, ale wyrażający niezłomne przekonanie, że logika jest po jej stronie. (O c z y w i ś c i e, że może zostać do drugiej w nocy, ponieważ jest niezwykle odpowiedzialna, nikt z jej klasy nie ma żadnych czasowych ograniczeń, i przecież ona nie pije). W jakiś dziwny sposób Ella mnie zaskoczyła i ujęła swoją bezpośredniością, jej chęcią mówienia o samej wojnie, zamiast o tym, jak naprawić moje rzekome przejęzyczenie. Wiedziałam, że właśnie w ten sposób wszyscy to potraktują. Zanim zdążyłyśmy z Jessicą dojechać do Białego Domu, jej dwa telefony zadzwoniły sześć razy (przynajmniej ja tylko tyle słyszałam — zapewne było znacznie więcej sygnałów informujących o kolejnych przychodzących rozmowach, podczas gdy ona już z kimś rozmawiała) i chyba Hank rozmawiał z kilkoma dziennikarzami. Nie wiem na pewno, czy i tak darowałby sobie galę, ale to właśnie zrobił, bez wątplenia starając się naprawić szkody. Kiedy Jessica, Ella i ja spotkałyśmy się z Charliem w Rodzinnej Jadalni, towarzyszyli mu już Debbie Bell i Hank, być może jako bufor pomiędzy nim a mną, być może na prośbę samego Charliego, poza tym obecni byli również Michael, osobisty asystent Charliego, i Ashley, moja osobista asystentka. Charlie nie pocałował mnie na powitanie, uścisnął tylko Ellę, poza tym w zasadzie mnie ignorował; zauważyłam też, że Debbie jest ' wyraźnie zła. Nasza ósemka przeszła przez Cross Hall i kiedy znaleźliśmy się w Pokoju Zachodnim, Hank się ulotnił, a Charlie wziął mnie za rękę i zmusił się do uśmiechu. Znaczyło to tyle, co: „Nic się nie stało, nikt w Białym Domu nie przejmuje się tym, co opowiada pierwsza dama”.

Kiedy uścisnęłam ręce po kolei każdemu, kto się znajdował na scenie, i każdy zrobił sobie ze mną zdjęcie, Cal wyprowadza Ellę, Jessicę i mnie — Ashley podaje mi płyn do dezynfekcji rąk — i udajemy się do rezydencji, nie zamieniając ani słowa z żadnym z kilkudziesięciu dziennikarzy obecnych na gali; sekretarze prasowi trzymają ich w ryzach.

— Plan Hanka wygląda następująco — informuje mnie Jessica ściszym głosem, kiedy idziemy do windy. — Żadnych wywiadów przez kilka tygodni, poza tym nie odpowiadasz na żadne pytania mediów przy oficjalnych okazjach. Potem zobaczymy, jak mają się sprawy, i pomalutku wrócimy do normalnego stanu.

Przytakuję skinieniem głowy. Nie wygląda to najgorzej; osobiście wolę milczenie od słownej akrobatyki, w którą musiałabym się bawić, gdybym nie usiłowała przeforsować lub zdyskredytować wszystkiego, co powiedziałam Edgarowi Franklinowi. Rzecz jasna nie mogę liczyć na to, że zupełnie dadzą mi spokój — przy okazji każdego kolejnego wywiadu zawsze będą pytania o moje uwagi (Edgar natychmiast powtórzył wszystko zebranych dziennikarzom, jak zresztą wiedziałam, że zrobi), ale zamierzam być oszczędna w słowach.

Jessica jedzie z nami windą na górę, ale nie wysiada; windziarz, dziarski starszy mężczyzna o imieniu Nicholas, przytrzymuje drzwi, podczas gdy ona żegna się z Ellą i ze mną, udając, że sama również wraca do domu, chociaż doskonale wiem, że zamierza udać się do Zachodniego Skrzydła i pracować dalej.

— Dziękuję ci za wszystko — mówię do niej. — Dzisiaj zasłużyłaś sobie na medal.

— Zaslugujesz na wielką plakietkę z jabłkiem — dodaje Ella.

Ella żartuje, ponieważ sądzi, że po południu pojechałam odwiedzić matkę, i nie wie o groźbach doktor Wycomb, nie ma pojęcia, jaki długi był ten dzień. W każdym razie ja nie wiem, co stało się z chromowanym jabłkiem. Podejrzewam, że asystentka Jessiki, Belinda, gdzieś je zabrała.

— Daj już sobie dzisiaj spokój, dobrze? — mówi Jessica do mnie, po czym dodaje do Elli: — Dopilnuj, żeby mama odpoczęła.

— Ty także odpocznij — odpowiadam.

— To nie ja znalazłam się dzisiaj w oku cyklonu — mówi Jessica. Nagle wyskakuje z windy i mocno mnie obejmuje, szepcząc mi przy tym do ucha, żeby Ella nie słyszała:

— Słusznie zrobiłaś.

Siadamy z Ellą w Rodzinnej Kuchni i Ella wyjmuje ser, humus i małe marcheweczki z lodówki. Nie przepada za tutejszym jedzeniem — mimo że kucharze na dole przygotowują wszystko zgodnie z naszym życzeniem — i zawsze pamiętam, żeby zrobić zapasy na jej przyjazd. Sama dzwonię na dół i proszę o sałatkę Cobba dla siebie, potem z Ellą przez chwilę omawiamy miniony wieczór, a zwłaszcza niesamowity występ dziewczynki recytującej wiersz Hughesa i odrobinę krępujący pokaz z maczugami, bo z seksualnym podtekstem.

— Rozmawiałaś dzisiaj z senator Zimoń? — pyta Ella. — Chyba sobie zrobiła implanty. — Po chwili dodaje: — Czy nie denerwuje cię czasem, że Jessika jest zawsze taka doskonała?

Uśmiecham się.

— Czy to znaczy, że ciebie denerwuje, bo jest doskonała?

— Ależ skąd! — Ella uśmiecha się zupełnie jak jej ojciec. — Nie, absolutnie nie czuję się zagrożona przez tę kobietę, w zasadzie moją rówieśnicę, z którą spędzasz cały czas i którą lubisz bardziej niż mnie. Ani odrobinę.

— Uwielbiam Jessicę, ale mam tylko jedną córkę, i nikogo nie kocham równie mocno, jak ją. Chcesz mi usiąść na kolanach?

W zasadzie stroję sobie żarty i Ella też, kiedy wstaje, obraca się i na sekundę przysiada na moich kolanach. Przesuwam dłonią po jej plecach, po jej wciąż długich włosach w kolorze karmelu. Wtedy wstaje, sięga po marcheweczkę i zanurza ją w humusie. Odgryza kęs i mówi do mnie przez ramię, z pełnymi ustami:

— Tak naprawdę to zjadłabym teraz kanapkę z kupą.

— Ależ z ciebie numer — mówię.

To nasz stary dowcip, który powtarzamy zawsze, ilekroć po długiej przerwie jemy wspólnie posiłek. (Nie muszę chyba dodawać, że ja nigdy tego nie robię, ale zawsze mogę liczyć na Ellę).

— Czy ty i tato bardzo się pokłóciliście?

— Dlaczego tak myślisz?

— Muszą być jakieś konsekwencje twojej serdecznej pogaduszki z tym całym Franklinem.

— Nie martw się o tatę i o mnie. Poradzimy sobie.

— No dobrze, to o czym chciałaś ze mną porozmawiać?

— Och... — Czy powinnam to zrobić? Już nie ma takiej potrzeby, ponieważ uratowała mnie śmierć Gladys Wycomb, ale wciąż jeszcze mogę. Czym różni się ujawnienie przez matkę prawdy, która dawno powinna być ujawniona, od zwyczajnej chęci zrzucenia z siebie ciężaru? Dociera do mnie, że mówiąc Elli prawdę, postąpiłabym wobec niej nie w porządku, zdenerwowałabym ją — nie tylko z powodu jej religijnych przekonań, ale także, a może przede wszystkim dlatego, że zaczęłaby się zastanawiać, iż mogłaby mieć brata lub siostrę (znam Elle, a poza tym ja również byłam jedynaczką). — W sumie o niczym specjalnym.

Ella nachyla się i całuje mnie w policzek.

— W takim razie zadzwonię do Wyatta. Powiedz tacie, że jak wróci, muszę pokazać mu coś przekomicznego na YouTube.

Lekko klepię ją po pupie.

— Wstaw talerz do zlewu.

Po odejściu Elli udaję się do Zachodniego Salonu, w którym znajduje się przepiękne lunetowe okno z widokiem na Old Executive Office Building, Ogród Różany i Zachodnie Skrzydło. Siadam na sofie i nie ruszam się z niej przez co najmniej półtorej godziny, czytając. Książka, którą tu wczoraj zostawiłam, *Stop— Time* Franka Conroya, czekała na mnie dwadzieścia cztery godziny — wczorajszą noc i cały dzisiejszy dzień, podczas gdy ja przemieszczałam się z Arlington do Chicago i z Chicago do Riley. Wchodzę w nią, a ona wita mnie z powrotem.

Tuż przed jedenastą odkładam książkę i wstaję, i w tej samej chwili przypominam sobie o kopercie od Pete'a Imhofa, którą złożyłam i schowałam do kieszeni żakietu. Wyjmuję ją, lecz zanim zaglądam do środka — koperta jest już otwarta — zauważam, że jest podpisana moim własnym charakterem pisma i zaadresowana do państwa Imhof. Natychmiast orientuję się, co to za koperta, i koniuszkiem kciuka wyczuwam w niej nieregularne wybrzuszenie oraz znajomy kształt. (Jest taki malutki! Ma nie więcej niż centymetr w najszerszym miejscu). Wyjmuję liścik.

„Nigdy nie zdołam wyrazić, jak bardzo jest mi przykro”, wyjaśnia moje siedemnastoletnie ja niebieskim atramentem. „Wiem, że przysporzyłam państwu mnóstwo bólu. Gdyby to było możliwe, oddałabym wszystko, żeby cofnąć to, co się stało. Ten wisiorek należy do mnie. Kiedyś spodobał się Andrew. Pomyślałam sobie, że będzie państwu miło go mieć”. Puls mi przyspiesza, kiedy wyjmuję wisiorek, cały poczerwieniały — nigdy go nie doczyścę — i spoglądam na niego, trzymając go w dłoni: moje srebrne serduszko. Żeby go dotknąć, Andrew nachylił się w tamto popołudnie, zanim poszedł na trening; serduszko dostałam od

babci na moje szesnaste urodziny. (Och, przeszłość, przeszłość — jakże palą mnie wspomnienia o ludziach, których niegdyś kochałam).

Nie wiem jeszcze, co zrobię z wisiorkiem; na pierwszy rzut oka widać, że nie jest to kosztowny drobiazg i niezbyt pasuje do sześćdziesięcioletniej pani, a tym bardziej pierwszej damy, lecz może mogłabym nosić go na tak długim łańcuszku, by nie był widoczny spod bluzek. Żadna rzecz na świecie nie była mi droższa od niego i zadumałam się nad dziwną drogą, jaką do mnie wrócił. Być może, chociaż wtedy nie wiedziałam jeszcze, że go mam, to właśnie skłoniło mnie do rozmowy z Edgarem Franklinem — ponieważ Pete Imhof zwrócił mi moje serce.

Spotykam Charliego w holu przed naszą sypialnią. Idzie z naprzeciwka i widzę, że zastanawia się, jak powinien się wobec mnie zachować — kiedy nasze spojrzenia się spotykają, natychmiast odwraca wzrok, po czym chyba sobie uświadamia, że absurdem będzie udawanie, że mnie nie widzi, skoro poza nami — poza nami i Snowflakiem, który na mój widok natychmiast czmycha — nie ma nikogo innego. Przy drzwiach do sypialni czeka lokaj i otwiera je, widząc, że się zbliżamy.

— Dobranoc, panie prezydencie — mówi, kiwając Charliemu głową. — Dobranoc pani — dodaje, tym razem do mnie.

— Dobranoc, Rogerze — odpowiada Charlie, kiedy wchodzimy, ja tylko uśmiecham się bez słowa.

Ledwie zamykają się za nami drzwi, odzywam się do Charliego:

— Proszę cię, nie traktuj mnie w ten sposób. Jeżeli jesteś na mnie zły, porozmawiajmy o tym.

— Jeżeli jestem zły? Lindy, jak ty, kurwa, mogłaś mnie tak podejść? Masz pojęcie, jak to wygląda, kiedy nawet w mojej własnej rodzinie nie ma jednogłośnego poparcia dla wojny? Cały świat śmieje się dzisiaj ze mnie, a ja muszę oklaskiwać jakieś gimnastyczne wygibasy.

— Kochanie, chyba reagujesz przesadnie. To, co powiedziałam Edgarowi Franklinowi, nie było żadną polityczną deklaracją.

— Na jakim ty świecie żyjesz? Kiedy pierwsza dama Stanów Zjednoczonych coś mówi, to jest zawsze polityczne! — Między naszym łóżkiem a telewizorem z płaskim ekranem umieszczonym nad kominkiem znajduje się miejsce do siedzenia: dwa fotele, kanapa i drewniany stolik, z którego teraz Charlie gwałtownie podnosi pilota.

— Hm, ciekawe, co też tam mówią w telewizji. Na pewno żadna stacja nawet o tym nie wspomina, ponieważ, co oczywiste, ucięłaś sobie prywatną rozmowę z równie prywatnym obywatelem, nie miało to nic wspólnego z polityką, z której to subtelnej różnicy media oczywiście doskonale zdają sobie sprawę.

Kiedy ekran ożywa — to kanał Fox News — pojawia się na nim sekretarz Charliego, Maggie Carpeni, która wieczorem mówiła przed kamerami.

— Słuchajcie, wszyscy chcemy, żeby nasi żołnierze wrócili do domu, każdy Amerykanin tego właśnie sobie życzy. Pytanie więc brzmi nie „czy”, lecz „kiedy”, a pierwsza dama wie równie dobrze jak wszyscy inni, że przedwczesne wycofanie naszych wojsk mogłoby mieć katastrofalne konsekwencje. Ona i prezydent są zgodni w swoim przekonaniu, że zwycięstwo nadejdzie, kiedy nastanie stabilizacja i wolność.

— Wątpię, by to czyniło z ciebie pośmiewisko — mówię.

Niezbyt przejmuję się, że Maggie błędnie interpretuje moje słowa — po pierwsze, żywię niezłomne przekonanie, że fakt, iż ktoś coś o mnie mówi, nawet jeżeli jest to ktoś z zaufanego kręgu osób mojego męża, nie dowodzi, że jest to prawdą bądź nieprawdą. Poza tym nigdy nie łudziłam się, że Biały Dom pozostawi bez komentarza to, co usłyszał ode mnie Edgar Franklin. Powiedziałam to tylko raz, poza pułkownikiem Franklinem i moim agentem Calem nikt inny tego nie słyszał, i to musi wystarczyć, przynajmniej na razie — gdybym kiedyś chciała swoją wypowiedź potwierdzić, coś do niej dodać lub ponownie dać wyraz mojemu przekonaniu o prawie do wyboru, będę musiała uczynić to niezwykle ostrożnie. A Maggie i Hank mogą sobie umniejszać wagę moich słów, ale nie mogą ich wymazać. One istnieją. Choć często zaskakiwała mnie ufność amerykańskiej opinii publicznej, to jednak za prezydentury Charliego ludzie stali się bardziej czujni, mogę więc chociaż żywić nadzieję, że przynajmniej część z nich domyśla się prawdy: że Edgar Franklin zacytował mnie dokładnie i że chciałam powiedzieć dokładnie to, co powiedziałam. Pozostaje tylko czekać, czy moje słowa będą miały jakiś pozytywny wpływ, również na mojego męża.

Charlie przełącza na CNN, gdzie u dołu ekranu biegnie napis: **PRZECIWNY WOJNIE OJCIEC WRACA DO DOMU**. Edgar Franklin stoi przed elektronicznym bukietem składającym się z co najmniej kilkunastu mikrofonów; za nim można dostrzec pulchną kobietę, zidentyfikowaną jako jego siostra, Cheryl. Wciąż jeszcze jest jasno, co oznacza, że konferencja prasowa miała miejsce kilka godzin wcześniej.

— Jestem przekonany, że nie mogłem dotrzeć do prezydenta bliżej — mówi Franklin. — Dzisiaj rozmawiałem od serca z panią Blackwell i chcę wierzyć, że

mnie wysłuchała i przekaże wszystko swojemu mężowi. Od niego już zależy, czy zechce tego wysłuchać. Co prawda wracam dzisiaj do domu, ale wiem, że dopóki toczy się ta wojna, muszę przeciwko niej protestować. To mój obowiązek.

W tym momencie obraz przeskakuje z Franklina na zebranych w studiu komentatorów — teraz napis u dołu ekranu brzmi: **ET TU, ALICE?** — i odzywa się jeden z mędrców, mężczyzna pod muszką.

— Jestem pewny, że nasi widzowie pamiętają, jak prezydent Blackwell twierdził, że nie wycofa wojsk nawet wtedy, gdy popierać go już będą tylko Alice i Snowflake. Cóż, panie prezydencie, chyba musisz baczniej przyglądać się pierwszemu kotu! (Kolejne dziwactwo wynikające z bycia sławnym — bywa, że w telewizji lub Internecie ludzie zwracają się do nas bezpośrednio, lecz wyłącznie retorycznie, jakby nie zdawali sobie sprawy, że możemy widzieć lub czytać to, co mówią).

Czterech komentatorów zasiada przy długim, wąskim stole w kształcie trójkąta i wszyscy zgodnie rechoczą z ciętego dowcipu faceta z muszką.

— Pozostaje ważne pytanie, czy demokraci uznają, że nadarza się okazja, by dokopać prezydentowi, zwłaszcza teraz, gdy czeka go nominacja Ingrid Sanchez do Sądu Najwyższego.

— Naprawdę chcesz to oglądać? — pytam.

Charlie na ogół unika wiadomości telewizyjnych, wierząc, że większość producentów i dziennikarzy ma skłonności liberalne. Co zrozumiałe, Fox jest mu najbardziej przychylny, ale nawet oni zdołali go kilka razy poruszyć.

— Po prostu nie zachowuj się, jakby twoja dzisiejsza zdrada nie była na ustach wszystkich. — Charlie unosi pilota i wyłącza telewizor. — A jeśli faktycznie tak myślisz, to sama siebie oszukujesz.

— Nie cieszysz się przynajmniej, że Edgar Franklin wrócił do domu?

— Bo mnie sprzedałaś i dałaś mu to, po co przyjechał?

Siedzę na obitej brokatem ławie w nogach naszego łóżka (rama łóżka jest z francuskiego orzecha, kupiona przez Theodora i Edith Rooseveltów; materac Simmons Beautyrest World Class pikowany i robiony na zamówienie z gąbki zapamiętującej kształt). Charlie wciąż stoi za jednym z foteli, prawie trzy metry ode mnie.

— Kocham cię — mówię.

— Może powinnaś spać w innym pokoju.

— Słyszałeś, co powiedziałam?

— Chcesz, żebyśmy się pocałowali i pogodzili? A co jutro zrobisz? Przyłączysz się do Greenpeace? Wciąż nie rozumiem, co do cholery w ciebie wstąpiło.

— Charlie, rozmawiając z pułkownikiem Franklinem, nie zrobiłam nic niezwykłego, jeżeli o mnie chodzi. Jest ojcem, jego syn zginął i czułam się mocno skrępowana tym, że Biały Dom go ignorował.

— W takim razie powinnaś była przynajmniej coś powiedzieć, mnie albo Hankowi, czy...

— Ale ja ci m ó w i ł a m! A przynajmniej próbowałam, ale może nie pamiętasz, że nie dalej jak dzisiaj rano, kiedy przyniosłeś gazety, zastrzegłeś, że dasz mi je, ale wyłącznie pod warunkiem, że nie napomknę o nim.

— I w ten sposób nie zostawiłem ci wyboru, więc musiałaś opluć moją politykę zagraniczną? — Patrzy na mnie ze sceptyczną miną. Wciąż ma na sobie grafitowy garnitur, białą koszulę i czerwony krawat — okazuje się, że żadne z nas nie przebrało się na galę. Charlie w tej chwili ma odpięty guzik pod szyją i poluzowany krawat. Może poddaję się zbyt łatwo, ale taka swoboda w ubiorze zawsze ujmowała mnie w mężczyznach, a już w moim mężu szczególnie. — Nigdy nie pomyślałaś, że może nadeszła wreszcie pora, żebyś mi wybaczyła, że zostałem wybrany na prezydenta? — mówi jeszcze.

Patrzemy na siebie, a ja milczę. Nagle czuję, jak coś ściska mnie w gardle.

— Nie chciałam, żebyś był prezydentem, bo bałam się, że któregoś dnia dojdzie do tego — odzywam się.

— To znaczy do czego? Chodzi ci o nas?

Potrząsam głową.

— Nie, nie o nas. O odpowiedzialność. O stawkę, kiedy ty podejmujesz decyzję. — Nigdy nie rozmawiamy ze sobą w ten sposób. Rozmawiamy o tym, kiedy i gdzie on wygłasza przemówienie, dokąd i kiedy wyjeżdża albo jakie są moje plany. Nasze rozmowy są krótkie i przelotne, na przykład jak udało mu się przemówienie o stanie państwa przed Kongresem, jak bardzo rzucało podczas lotu lub czy ustępuje przeziębieniu. Sądzę, że byłoby dla nas nie do zniesienia, gdybyśmy zaczęli analizować ogrom naszego obecnego życia, jego znaczenie i reperkusje. Jednak owa powściągliwość, roboczy sposób komunikowania się, podążanie krok po kroku doprowadziły nas tam, gdzie nawet nam się nie śniło, że dojdziemy. Tak wyglądała prezydentura Charliego: chwilowe doświadczenia, wybory, jakich dokonywał w oparciu o to, co mówili mu doradcy niechętni do

mówienia tego, czego nie chciał słyszeć; Charlie modlił się, często jednak mar-
twiłam się, że doradzający mu głos pochodzi nie od Boga, lecz od Hanka lub na-
wet od niego samego, powracający niczym echo.

On jednak tego tak nie widzi.

— Naprawdę myślisz, że w każdej minucie dnia nie pamiętam o odpo-
wiedzialności spoczywającej na mnie jako na przywódcy wolnego świata? — py-
ta, spoglądając na mnie z niedowierzaniem. — Lindy, jeżeli dopiero teraz dowia-
dujesz się, że prezydent jest pod ogromną presją, to gdzie byłaś przez ostatnie
sześć i pół roku?

— Ale czy nie... — Milknę, po czym zaczynam od początku. — Czy nie ma
w tobie poczucia winy?

Wybałusza na mnie oczy.

— Za co?

— Wielu z tych żołnierzy, którzy giną, jest młodszych od naszej Elli. Są
młodszy, ale niejeden ma żonę, własne dzieci. Albo wracają, ale co z tego, skoro
mają na przykład dwadzieścia sześć lat, na wojnie stracili obie nogi i nie mają
żadnego wykształcenia? Spotkaliśmy takiego człowieka w Walter Reed, pamię-
tasz? Co on ma teraz zrobić?

Nozdrza Charliego falują jeszcze bardziej niż zwykle. On jest — nie mam co
do tego wątpliwości — zde gustowany.

— Byłaś dzisiaj na jakichś warsztatach antywojennych aktywistów w Chi-
cago? Lindy, dorośnij. Wolność ma swoją cenę. I wiesz, co ci powiem? Wielu
ludzi jest gotowych ją zapłacić.

— Kochanie, nie próbuję się z tobą drażnić. Nie jestem dziennikarzem na
konferencji prasowej. Czy nie możemy porozmawiać szczerze?

Czy w pewnym sensie nie ma racji? Czy nie za późno na zmianę reguł gry?
Nasi poprzednicy — demokraci — słynęli z tego, że stanowili swego rodzaju ze-
spół. „Dwoje za cenę jednego”, brzmiał ich wyborczy slogan, a pierwsza dama
miała na swoim koncie udaną karierę prawniczą. On jednak okazał się cudzołoż-
nikiem, a ona z całą pewnością budziła mieszane uczucia tak wśród mężczyzn,
jak i kobiet (Jadey jej nie znosiła, choć ja w skrytości ducha ją podziwiałam).
Charlie podkreślał różnice między ich administracją a naszą; to co odróżniało
mnie od mojej poprzedniczki, nie było jednak tworem na użytek polityki, lecz
czymś prawdziwym. Ja z powrotem przeniosłam biuro pierwszej damy z Za-
chodniego Skrzydła do Wschodniego, aż do dzisiaj unikałam kontrowersji, do
niczego nie starałam się mojego męża namawiać czy przekonywać. Czy więc

rzeczywiście jest z mojej strony nie fair, że nagle zaczynam mu się sprzeciwiać, wyrażać własne opinie i krytykę? I czy nie byłoby tchórzostwem, gdy konsekwencje nie są zbyt poważne, tego nie robić?

— Kiedyś, chyba ze dwadzieścia lat temu, byliśmy z Jadey w country klubie — mówię. — Czytałam w gazecie artykuł o człowieku chorym na zapalenie wątroby typu C i marskość wątroby, którego nie było stać na leczenie. Artykuł był niesamowicie smutny. Rozejrzałam się wokół i zobaczyłam ludzi pluskających się w wodzie, Jadey i siebie wylegujące się na leżakach, i zapytałam ją, czy nigdy nie czuła, że powinniśmy wieść zupełnie inne życie.

Niemal niezauważalnie Charlie rozluźnia się, nozdrza mu się zwężają, już nie jest taki wściekły.

— Chyba zastanawiam się, czy nie powinnam była być zupełnie inną pierwszą damą — powiadam. — Tak, wiem, że to już sześć lat, ale w końcu mogę powiedzieć: Och, a więc tak to działa. Kiedy byłam bibliotekarką, za każdym razem kiedy czytałam dzieciom jakąś nową książkę, dopiero po skończonej lekcji docierało do mnie, jak powinnam była poprowadzić dyskusję, jakie zajęcia zrobić. Zupełnie jakbym robiąc coś źle, wyciągała wnioski na przyszłość.

— Lindy... — Charlie krzyżuje ramiona na piersiach. — Jesteś wspaniałą pierwszą damą. W notowaniach cieszysz się wręcz niebotyczną popularnością.

— Te liczby nic nie znaczą.

Wzrusza ramionami.

— Na tym froncie wygłaszasz kazania przed chórem, ale powiedzmy sobie: Ameryka cię uwielbia. Aplauz, jaki ci dzisiaj zgotowali...

— Nie musisz mi mówić, jaka jestem wspaniała.

— Serio? Bo ja byłbym zachwycony, gdybyś ty powiedziała mi to choć raz. — Po raz pierwszy odkąd znaleźliśmy się w sypialni, uśmiecha się — może nie jest to najszerszy uśmiech świata, ale przynajmniej prawdziwy.

Zerkam na kominek, na którym po obu stronach telewizora stoją porcelanowe wazy, niegdyś należące do Dolly Madison, potem przenoszę wzrok z powrotem na mojego męża.

— Dzisiaj w samolocie myślałam o tym, że po śmierci Andrew Imhofa wszystko dobre w moim życiu traktowałam w kategoriach przebaczenia. Zwłaszcza to, że spotkałam ciebie, wyszłam za ciebie — nie byłam pewna, czy zasłużyłam sobie na takie szczęście. A kiedy zapragnąłeś zostać najpierw gubernatorem, później prezydentem, nie upierałam się przy swoim, bo uważałam, że nie mam

prawa. Kimże ja jestem, by mówić ludziom, także tobie, jak mają żyć? Żaden ze mnie wzór doskonałości. — Urywam; dotarłam do rzeczy dla mnie najtrudniejszej, obciążającej nie tylko mnie, ale również jego. — Skoro jednak dokonałeś pewnych wyborów, a ja się nie sprzeciwiałam — zaczynam bardzo powoli — czy również nie ponoszę odpowiedzialności, choćby pośrednio? Gdy patrzę na to w ten sposób, wówczas wypadek samochodowy wydaje się niczym w porównaniu ze żniwem, jakie już zebrała ta wojna. Ledwo przeżyłam poczucie winy, kiedy z mojego powodu zginął jeden człowiek, a teraz ile tysięcy, i to nie tylko Amerykanów, ale...

— Takie gadanie to istne wariactwo! — Charlie podchodzi do mnie, podnosi mnie z ławy i ujmując moją głowę z dwóch stron, wpatruje się we mnie intensywnie. Jest wściekły, wściekle stanowczy, ale nie wrogo nastawiony.

— Odbija ci, słyszysz? Podczas każdej prezydentury giną ludzie, każdej bez wyjątku. Masz tak dobre serce, że czujesz się osobiście odpowiedzialna, ale Lindy, to nie ma nic wspólnego z tobą. Kiedy idzie o szerzenie demokracji, zawsze dochodzi do zniszczeń i strat, ale choć może to zabrzmie okrutnie, straty, jakie do tej pory my ponieśliśmy, są niczym w porównaniu z wojną w Wietnamie czy II wojną światową — nawet w przybliżeniu. Jasne, powinniśmy byli zostawić Hitlera w spokoju, mógł sobie zawładnąć Europą. Jesteś w samym centrum wydarzeń i dlatego trudno ci zachować perspektywę — ale przyszłe pokolenia nam podziękują. Podziękują, Lindy. Nie mam nawet cienia wątpliwości.

Czy obnażyłam przed nim duszę — właśnie przed nim, a nie przed Jessicą, Jadey, czy choćby moim teściem — właśnie po to, aby mógł pocieszyć mnie tym pełnym pasji sprzeciwem? Kto jest bardziej przekonany o moim braku winy od Charliego? W podobnym stylu kiedyś, dawno temu pozwoliłam mu się przekonać, że spotkanie się z nim wbrew życzeniu Deny to nic takiego.

— Dali ci dzisiaj popalić, prawda? — mówi do mnie. — Ta wiedźma lekarka i pan Współczucie zgotowali ci piekło, bo jesteś zbyt dobra i nie pokazałaś im, gdzie ich miejsce. Ale to, że są tacy dobrzy w gadce, nie oznacza, że mają rację.

Och, Charlie. Och, mój kochany, uwielbiany mężu, w swojej białej koszuli i poluzowanym czerwonym krawacie, który stoisz przede mną, taki ciepły, żarliwy, znajomy, mój mężu, którego każdą minę, gest, każdy centymetr skóry znam tak dobrze, mój partnerze w dziwnych okolicznościach naszego życia, mężczyzno, którego bez końca pragnę uszczęśliwiać i kochać, który bez końca potrafi mnie rozbawić — czy naprawdę nie sądzisz, że wiem aż za dobrze, że to, iż ktoś jest dobry w gadce, wcale nie oznacza, że ma rację?

Obserwując świat, często czułam się jak ktoś, kto samotnie zamknięty w małej chatce spogląda przez okno na rosnący wokół ciemny las. Od wczesnego

dzieciństwa żyłam w takim właśnie domku, bezpieczna pod osłoną jego dachu i ścian. Wiedziałam, że ludzie ęierpią — nie byłam ślepa na ich cierpienie, jak osoby wychowywane w uprzywilejowanych warunkach, nie byłam ślepa jak mój mąż i córka. Stwierdzam tu fakt, nie osądzam, kiedy mówię, że umysły Charliego i Elli nie są tak ukierunkowane, co w pewnym sensie ich rozgrzesza, podczas gdy ja jestem świadoma, słyszę, jak nieszczęśnicy pukają do moich drzwi; nieraz za mojego życia wylaniali się z lasu i pukali, a ja wpuszczałam ich tylko sporadycznie. Zrobiłam więcej niż nic, ale znacznie mniej, niż mogłam. Leżałam sobie wewnątrz, otulona ciepłą kapą na wygodnej kanapie, pogrążona w swoistej zadumie, a gdy wokół swojej chatki słyszałam nieszczęśników, czasem rzucałam im monetę lub okruchy jedzenia, a kiedy indziej ignorowałam ich kompletnie; wtedy nie pozostawało im nic innego, jak wrócić do lasu, a gdy słabli, gubili się lub otaczała ich wataha wilków, udawałam, że nie słyszę, jak mnie wołają. Kiedy jako dwudziestolatka byłam bibliotekarką i pracowałam z dziećmi z ubogich rodzin, myślałam, że to początek, że mój wkład w społeczeństwo będzie stały i z czasem coraz większy, tak naprawdę jednak był to okres mojego największego zaangażowania. Od tamtych czasów zniżałam się tylko ze swojej coraz wyższej grzędy, coraz bardziej wyrывkowo, w asyście coraz większej liczby kamer dokumentujących moje dokonania.

Mogłam żyć innym życiem, ale żyłam tym. I być może nie było kwestią przypadku, że poślubiłam mężczyznę, który nigdy mnie nie obwiniał ani nie był świadomy moich wad. Poślubiłam mężczyznę, na tle którego wyglądam lepiej, ponieważ nawet jeżeli niewiele dokonałam, on wypadł jeszcze gorzej; jeżeli kogoś skrzywdziłam, to przypadkowo i niebezpośrednio; on czynił to celowo i bez skrępułów, całkowicie świadomie.

Łzy, na które zbierało mi się od początku rozmowy, w końcu płyną i Charlie ociera je opuszkami kciuków. Nachyla się i całuje mnie w prawą brew.

— Cicho, kochanie — mruczy. Nawet jeżeli jeszcze nie wybaczył mi całkowicie, jest to tylko kwestią czasu; wybaczy mi, ale wyłącznie pod warunkiem, że moje dzisiejsze zachowanie pozostanie jednorazowym wybrykiem. — Lindy, my oboje — mówi do mnie — jesteśmy tylko narzędziami w rękach Boga.

Czy popełniłam straszliwe błędy?

W łóżku obok mnie mój mąż śpi, oddech ma równy i głęboki. Zanim się przebudziłam, śnił mi się stary sen o Andrew Imhofie; stoimy oboje w różnych miejscach, w towarzystwie różnych ludzi, w wielkiej, ale słabo oświetlonej sali, a ja nieustannie jestem świadoma jego obecności. Lecz w dzisiejszym śnie nastąpiła zaskakująca zmiana: po kilkudziesięciu latach nieuchwytności dzisiaj nareszcie się odnajdujemy. Co za szczęście! Oboje jesteśmy nieśmiali, oboje młodzi,

podchodzimy do siebie niezgrabnie, ale z wzajemnym zrozumieniem, pewnością. On jest silny, uroczy i złocisty, ja noszę czerwoną sukienkę, której w rzeczywistości nigdy nie miałam. Nie odzywamy się wiele, bo nie ma takiej potrzeby. A potem — cud! — całujemy się, naprawdę się całujemy. Tylko tego zawsze pragnęłam, wrócić do ciebie, znaleźć się w twoich objęciach, żeby to, co między nami było, nie skończyło się nagle, nie przeze mnie. Twoje usta są miękkie i niepewne, bez tej natarczywej pewności siebie języka mojego męża. To mi wystarczy, tylko tyle — twoja dłoń u nasady moich pleców, ciepło twojej piersi wyczuwalne przez koszulę, nasze twarze blisko siebie, otaczająca nas kotara intymności. Czy mimo wszystko mogłabym być twoją żoną, czy mogliśmy wieść wspólne życie na farmie twoich rodziców, a może naszej własnej? Raz, podczas tamtej trwającej przez dłuższy czas wizyty w Riley, doszłam do wniosku, że nie, ale teraz, gdy jesteśmy razem, pasujemy do siebie tak idealnie, że zaczynam myśleć inaczej. Rozmawiamy ze sobą, rozśmieszamy się nawzajem, obdarowujemy czułościami, milczącym uczuciem, w podtekście którego czai się pytanie: „Dlaczego czekaliśmy tak długo?”.

A potem się budzę, sześćdziesięcioletnia kobieta w wielkiej, paradnej ciemnej sypialni w Waszyngtonie, żona prezydenta Stanów Zjednoczonych. Czy my z Charliem również nie rozmawiamy ze sobą, nie rozśmieszamy się nawzajem, czy nie obdarowujemy czułościami? Nie muszę przekonywać samej siebie, że kocham Charliego; ja o tym wiem. Ale tamta wilgotna pewność, którą czułam wobec Andrew, lekkość naszego ówczesnego życia — tego już nie ma. I nigdy z nikim innym niczego podobnego nie doświadczyłam.

Nie głosowałam na Charliego w wyborach prezydenckich. Dwukrotnie głosowałam na niego w wyborach gubernatorskich, kiedy jednak stanął do wyścigu prezydenckiego, nie chciałam szumu ani odpowiedzialności, ale też byłam szczerze przekonana, że jego oponent jest lepiej predestynowany do tej funkcji. Miał większe doświadczenie, bardziej wszechstronnie oceniał sytuację, całe życie poświęcił służbie publicznej. Kiedy wychodziłam z kabiny w lokalu wyborczym, najpierw w 2000 roku, i drugi raz w 2004 roku, zastanawiałam się, czy wyraz mojej twarzy mnie nie zdradzi, najwyraźniej jednak nikomu nawet do głowy by nie przyszło zastanawiać się nad moim wyborem i nikt mnie o to nie pytał, żaden reporter czy członek sztabu wyborczego. Chyba świadczyłoby to o braku szacunku z ich strony. Na zdjęciu zrobionym nam w tamten poranek 2000 roku Charlie i ja stoimy przed kabinami w lokalu wyborczym mieszczącym się w szkole podstawowej w Madison, jednocześnie trzymamy się za ręce i machamy do zgromadzonych. Od tamtego czasu wciąż się zastanawiam, co owo zdjęcie pokazuje? Moją zdradę czy jego? W okresach gdy czułam się najbardziej sfrustrowana naszym życiem lub tym, co działo się w kraju, z pędzącej limuzyny spoglądałam na mijane pojazdy i przechodniów i myślałam sobie: „Ja go tylko

poślubiłam. To wy daliście mu władzę". Kiedy indziej znowu żałowałam, że go oszukałam, ale też byłam aż nadto świadoma, że przyczyniłam się do jego elekcji.

Czy zdradziłam Charliego, czy też działałam zgodnie z zasadami? Czy on zdradził naród amerykański, czy działał zgodnie z zasadami? Być może odpowiedź znajduje się we wszystkim, co wcześniej napisałam. Jeżeli wierzyć powieściom, które przeczytałam, w większości małżeństw dochodzi do zdrady. Chodzi chyba o to, by nie była ona większa od siły partnerstwa.

Nie wyobrażam sobie, bym kiedykolwiek mogła przyznać się Charliemu do tej szczególnej zdrady, lecz jednocześnie też trudno mi przewidzieć przyszłość. Być może nadejdzie kiedyś chwila, gdy przyznanie się do głosowania na jego przeciwnika nabierze cech zabawnej anegdoty. Wątpię w to, lecz nie jest to niemożliwe. Na razie zachowam milczenie; będąc cały czas w centrum zainteresowania opinii publicznej, niektóre sekrety muszę zatrzymać wyłącznie dla siebie.

WYBORY

PODZIĘKOWANIA

Badając życie pierwszej damy, opierałam się na wielu książkach, artykułach i stronach internetowych. Szczególnie zainspirowały mnie fakty i spostrzeżenia zawarte w *The Perfect Wife: The Life and Choices of Laura Bush* autorstwa Ann Gerhart. Również wiele się dowiedziałam z czterech innych książek: *Laura Bush: An Intimate Portrait of the First Lady* Ronalda Kesslera, *Ambling into History: The Unlikely Odyssey of George W. Bush* Franka Bruniego, *Living History* Hillary Rodham Clinton oraz *For Love of Politics: Inside the Clinton White House* Sally Bedell Smith. Wiele zawdzięczam ich autorom. Wszystkich zainteresowanych prawdziwym obrazem życia w czasie kampanii lub też Białym Domu odsyłam do tych właśnie pozycji.

Pragnę ponadto wyrazić wdzięczność mojej redaktorce, Laurze Ford, mojej publicystce, Jynne Martin, oraz agentce, Jennifer Rudolph Walsh. Miałam prawdziwe szczęście, że tak wielu sprzymierzeńców i orędowników wspierało publikację mojej powieści, między innymi Gina Centrello, Jennifer Hershey, Tom Perry, Sanyu Dillon, Sally Marvin, Avidah Bashirrad, Janet Wygal, Victoria Wong, Robin Schiff, Amanda Ice, Suzanne Gluck, Trący Fisher, Raffaella DeAngelis, Michelle Feehan, Lisa Grubka i Alicia Gordon. Za wszystkie lata niezmiennego wsparcia Shana Kelly zawsze będzie w moim sercu.

Dziękuję moim pierwszym czytelnikom za ich błyskodiwe uwagi i pomoc: Suzannie Daniel, Cammie McGovern, Samuelowi Parkowi, Brianowi Weinbergowi, Shaunie Seliy, Emily Miller, Jennifer Weiner, Lewisowi Robinsonowi, Katie Brandi i Susan Marrs.